

Fantasy

# TRZECIE KRÓLESTWO

TERRY GOODKIND

TERRY GOODKIND

TRZECIE  
KRÓLESTWO

Przełożyła  
Lucyna Targosz



Dom Wydawniczy REBIS

# ROZDZIAŁ 1

– Powinniśmy ich zjeść teraz, zanim umrą i zrobią się niesmaczni – burknął czyjś głos.

Cichy szmer głosów ledwo docierał do Richarda. Wciąż na wpół przytomny, nie mógł się zorientować, kto to mówi, a tym bardziej – o czym mowa, lecz był na tyle świadomy, że zaniepokoiła go ta krwiożercza nutka.

– Ja tam myślę, że powinniśmy ich sprzedać – powiedział drugi mężczyzna, zaciskając węzeł na sznurze, którym obwiązał kostki Richarda.

– Sprzedać?! – najeżył się ten pierwszy. – Popatrz na te zakrwawione koce, w które są zawinięci, na krew na dnie wozu. Pewnie umrą, zanim zdążymy ich przehandlować, a wtedy się zmarnują. No i niby jak ich przetransportujemy? Konie żołnierzy i te z zaprzęgu zniknęły, a z nimi wszystko, co było coś warte.

Ten drugi westchnął z irytacją.

– No to powinniśmy zjeść tego większego, zanim ktoś nadejdzie. To mniejsze łatwiej będzie przenieść i potem sprzedać.

– Albo ją sobie zostawimy i potem zjemy.

– Lepiej ją przehandlować. Czy jeszcze kiedyś trafi się nam taka okazja, żeby dostać tyle, ile utargujemy za nią?

Oni się sprzeczali, a Richard próbował dotknąć Kahlan leżącej tuż przy nim. Ale nie mógł. Zorientował się, że nadgarstki ma związane szorstkim sznurem. Więc trącił ją łokciem. Nie zareagowała.

Wiedział, że musi coś zrobić, lecz też zdawał sobie sprawę, że najpierw powinien nie tylko całkiem oprzytomnieć, ale i zebrać wszystkie siły, bo inaczej nie będzie miał szansy. Czuł się fatalnie. Trawiła go jakaś choroba, osłabiająca i ostępiająca umysł.

Uniósł lekko głowę i zmrużył oczy, usiłując coś dostrzec w półmroku, starając się zorientować w sytuacji. Nic z tego. W końcu natrafił na coś głową i dotarło do niego, że są przykryci sztywną płachtą. W prześwicie przy dolnym jej skraju, za swoimi stopami, wypatrzył za wozem niewyraźne, ciemne sylwetki. Jeden z mężczyzn podszedł i uniósł płachtę, odsłaniając stopy Kahlan, a drugi owinął jej kostki sznurem i mocno związał, tak jak to zrobili z nim.

Richard stwierdził, że jest noc. Była pełnia, lecz blask księżyca był przyćmiony, więc niebo musiało być zachmurzone. Mżyło, nie wiał wiatr. Dalej wznosiły się świerki.

Kahlan się nie poruszyła, kiedy trochę mocniej trącił ją łokciem. Jej dłonie – tak jak jego – spoczywały na wysokości talii. Całą siłą woli starał się oprzytomnieć, przerażony jej stanem. Widział, że oddycha, lecz z wysiłkiem i płytko.

Czuł, że jest cały obolały od licznych drobnych ran. Z niektórych wciąż sączyła się krew.

Zobaczył, że i Kahlan znaczą nacięcia i ukłucia. Odzienie miała przesiąknięte krwią.

Jeszcze mocniejszy odór krwi napływał wraz z wilgotnym powietrzem dostającym się pod płachtę. Wcześniej byli z nimi ludzie, którzy przyszedli im z pomocą. Niepokój utrudniał mu odzyskanie jasności umysłu.

Richard wyczuwał objawy uzdrawiania i nawet rozpoznawał ledwie uchwytny dotyk kobiety, lecz skoro wciąż dokuczały mu rany, to proces musiano zapoczątkować, ale nie ukończyć.

Zastanawiał się dlaczego.

Usłyszał odgłos przesuwania czegoś po dnie wozu.

– Popatrz no tylko – odezwał się ten burkliwy, wyjmując ów przedmiot. Richard po raz pierwszy dostrzegł krzepkie ręce mężczyzny.

Drugi cicho zagwizdał.

– Jak mogli o tym zapomnieć? A w ogóle jak mogli przegapić tych dwoje? Ten większy się rozejrzał.

– Cała ta jatka wskazuje na to, że to musieli być Shun-tuk. Ten drugi, nagle zaniepokojony, ściszył głos.

– Shun-tuk? Naprawdę tak myślisz?

– Coś tam wiem o ich metodach i rzekłbym, że to byli oni.

– Ale co Shun-tuk by tu robili? Wielkolud pochylił się do kamrata.

– To samo, co my. Polowali na tych z duszami.

– Tak daleko od swoich ziem? Raczej niemożliwe.

– Przegroda przerwana, to niby gdzie lepiej teraz polować? Shun-tuk pójdą wszędzie i zrobią wszystko, żeby znaleźć tych z duszami. Tak samo jak my. – Zatoczył krąg ręką. – Wyszliśmy, żeby polować na tych ziemiach, no nie? Shun-tuk też.

- Ale ich tereny są rozległe. Jesteś pewny, że zapędzili się tak daleko?
- Ich kraina może być rozległa, a oni potężni, ale nie mają tego, czego najbardziej pragną. Teraz mogą tego szukać, jak wszyscy inni.  
Ten drugi popatrywał to tu, to tam.
- Ich kraina leży tak... To na pewno oni?
- Sam nigdy się nie natknąłem na Shun-tuk i mam nadzieję, że się z nimi nie spotkam. – Wielkolud przeczesał palcami mokre strąki włosów, wpatrując się w ciemną linię drzew. – Alem słyszał, że polują na innych pólludzi dla wprawy, póki nie znajdą tych z duszami. A to tutaj bardzo podobne do ich roboty. Zwykle polują nocą. Kiedy zdobycz jest na otwartym terenie, uderzają szybko i zdecydowanie, przytłaczającymi siłami. Zanim ktoś zdąży ich zobaczyć czy zareagować, jest już po wszystkim. Zazwyczaj zżerają trochę swoich ofiar, ale większość zabierają na później.
- No to co z tą dwójką? Czemu ich zostawili?
- Pewnie tak im się spieszyło, żeby trochę się posilić, że przegapili tych ukrytych pod płachtą. Mniejszy przez chwilę skubał drzazgi na skraju wozu, czujnie przepatrując okolicę.
- Słyszałem, że Shun-tuk często wracają, żeby się rozejrzeć za maruderami.
- Dobrześ słyszał.
- To powinniśmy stąd zniknąć. Jak ich ogarnie żądza krwi, bez wahania nas pożrą. Richard poczuł, że silne ręce chwytają go za kostkę.
- Chybaś chciał zjeść tego tu, zanim umrze i jego dusza odleci. Kamrat chwycił drugą kostkę Richarda.
- Może najpierw powinniśmy go zabrać w bezpieczne miejsce, gdzie Shun-tuk tak łatwo się na nas nie natkną. Wolałbym, żeby nas nie zaskoczyli, jak już zaczniemy. Za to drugie możemy dostać dobrą cenę. Znajdą się tacy, co dużo zapłacą za kogoś z duszą. Nawet Shun-tuk by się potargowali.
- To niebezpieczny pomysł. – Krótco się nad tym zastanowił. – Ale masz rację, Shun-tuk by zapłacili fortunę. – W głosie tego większego znów zabrzmiał wilczy głód. – Ale ten jest mój.
- Wystarczy dla nas obu.  
Tamten coś burknął. Już był we władzy pragnienia.
- Ale tylko jedna dusza.

- Należy do tego, kto ją pochłonie.
- Dość gadania – warknął ten większy. – Mam na niego chrapkę.

Wyciągany z wozu Richard nadal starał się doszukać sensu w tych dziwnych rozmowach. Dobrze pamiętał ostrzeżenia przed zagrożeniami na Mrocznych Ziemiach. Na tyle doszedł do siebie, że pojął, iż ocali życie, nie dając im poznać, że odzyskał przytomność.

Pospiesznie wywleczono go za nogi z wozu i uderzył o ziemię. Choć starał się skulić ramiona, to mając związane ręce, nie uniknął walnięcia głową w kamienisty grunt. Ból był przeraźliwy, a wraz z nim pojawiła się kusząca ciemność – wiedział, że jeśli ulegnie tej pokusie, będzie to miało fatalne skutki. Skupił się na otoczeniu, wypatrując drogi ucieczki. Dzięki księżycowej poświacie zorientował się, że wóz stał porzucony w lesie. Konie zniknęły.

W pobliżu nie było nikogo innego, za to dostrzegł kości. Nie wybielił ich czas – były ciemne od zakrzepłej krwi i strzępków ciała. Widział głębokie zadrapania tam, gdzie zęby usiłowały zedrzeć każdą odrobinę mięsa.

To były ludzkie kości.

Rozpoznał też strzępy mundurów. Żołnierzy Pierwszej Kompanii, jego osobistej straży.

Najwyraźniej oddali życie, broniąc jego i Kahlan.

Ten mniejszy wciąż trzymał Richarda za nogę, najwyraźniej nie miał ochoty puścić zdobyczy.

Drugi stał z boku, przyglądając się czemuś, co wyciągnął z wozu.

Richard zobaczył, że to jego miecz.

Tamten częściowo wysunął Kahlan spod płachty. Nogi zwisały jej bezwładnie z wozu.

Richard wykorzystał to, że wielkolud stracił czujność, gapiąc się na nią – usiadł i próbował chwycić miecz. Lecz mężczyzna go szarpnął, zanim Richard zdążył zacisnąć palce na rękojeści. Ręce i nogi miał związane, toteż nie był tak szybki.

Obaj mężczyźni się odsunęli. Nie mieli pojęcia, że jest przytomny. Richard stracił element zaskoczenia i nic nie zyskał.

Widząc, że ofiara oprzytomniała, obaj postanowili już nie marnować czasu. Rzucili się na niego, warcząc jak wygłodniałe wilki, zaatakowali go jak rozszalałe na widok osłabionego osobnika zwierzęta. To wszystko było aż

trudne do uwierzenia.

Mniejszy rozdarł Richardowi koszulę. Oczy miał szkliste i dzikie. Większy, szczerząc się wściekle, sięgnął do szyi Richarda. Ten instynktownie uniósł ramię, w ostatniej chwili się osłaniając. Krzyknął z bólu, kiedy zęby zatopiły się w jego przedramieniu. Wiedział, że musi coś zrobić – i to szybko.

Przyszło mu na myśl tylko jedno – dar. Sięgnął myślami w głąb siebie, rozpaczliwie przyzywając wrodzoną moc.

Nic się nie stało.

Gniew i rozpacz, strach o Kahlan – to powinno obudzić dar. W przeszłości tak się działo w krytycznej sytuacji. Potężna moc powinna się przebudzić.

Ale było tak, jakby w ogóle nie miał daru.

Ze związanymi nadgarstkami i kostkami nóg nie miał jak pokonać napastników.

## ROZDZIAŁ 2

Sfrustrowany i wściekły, Richard wiedział, że nie ma czasu na rozmyślenia. Musiał wykorzystać to, co było dostępne – instynkt i doświadczenie.

Zaczął się szaleńczo miotać, żeby mężczyźni nie mogli go chwycić i unieruchomić. Ci, z obłędem w oczach, starali się go przygniść do ziemi, a przy okazji próbowali wbić w niego zęby. Słyszał opowieści o ludziach zaatakowanych i pożartych przez niedźwiedzie. Ci dwaj sprawiali, że poczuł bezsilność, jak bohaterowie tamtych historii, lecz w tym przypadku było coś nawet bardziej przerażającego – ludzkie okrucieństwo i agresja.

Kilkakrotnie zęby wbijały się w ciało Richarda, ale za każdym razem udawało mu się odsunąć, wykręcić lub uderzyć łokciem, zanim napastnicy zdołali je na tyle zagłębić, żeby wyszarpnąć kęs żywego mięsa. Nie pojmował, czemu go po prostu nie zadźgają. Obaj mieli noże, no i jego miecz.

Odnosił wrażenie, że brak doświadczenia utrudnia im skuteczne działanie. Lecz i tak ich nieporadne próby zadawały mu bolesne, krwawiące rany. Przygnięciony ciężarem napastników, szybko tracił siły – wiedział, że uda się im to, co zamierzają.

Ku jego zdumieniu od czasu do czasu rezygnowali jednak z walki i szarpaniny i zlizywali jego krew – jakby umierali z pragnienia i nie chcieli pozwolić, żeby choć kropelka wsiąkała w ziemię. Te przerwy pozwalały mu złapać oddech.

Większy, rozeźlony tym, że nie mogą go unieruchomić, przycisnął mu szyję krzepkim przedramieniem. Richard walczył o oddech, próbując się uwolnić. To było straszne – napastnicy go przygniatali i starali się go rozszarpać zębami, a on nie mógł się ruszyć i zrzucić ich z siebie.

Ramię mężczyzny na szyi Richarda nagle ześliznęło się na krwi. Tamten musiał się podeprzeć o ziemię. Richard w mgnieniu oka – strach i desperacja dodały mu sił – wyciągnął śliskie od krwi ręce spod pochylonego nad nim mężczyzny i przełożył je nad jego głowę. Łokciem uderzył napastnika w ramię. Wygiął plecy, zablokował go kolanami i zmusił tamtego, żeby się przekręcił na plecy. Wreszcie, mogąc już założyć dźwignię, ciasno zacisnął na gardle napastnika sznur, którym miał związane nadgarstki. Wytężając



wszystkie siły, posłużył się nim jak garotą.

Tamten, zaskoczony, nie zdążył wciągnąć powietrza, zanim Richard go przydusił. Dławił się i krztusił, desperacko orząc paznokciami jego ręce, które były śliskie od krwi. Sięgał też do twarzy i oczu, ale tylko darł palcami powietrze.

Drugi rzucił się mu na pomoc. Usiłował oderwać Richarda od kamrata, lecz nie udało mu się wepchnąć palców pod sznur, żeby go poluzować. Richard, walcząc o życie, trzymał tamtego w śmiertelnym uścisku.

Ten drugi zaczął tłuc pięściami ramiona Richarda, starając się go zmusić, żeby puścił wielkoluda. Ale Richard, pełen furii, ledwie to czuł.

Widząc, że te wysiłki idą na marne, drugi napastnik uznał w końcu, że powinien spróbować czegoś innego. Wrzeszcząc do kamrata, żeby się nie poddawał, walił Richarda pięścią w twarz. Lecz ciosy nie były zbyt skuteczne, bo Richard mocno przyciskał do siebie wielkoluda. Pięść kilka razy ześliznęła się po jego szczęce.

Richard nie miał zamiaru zwolnić uścisku. To by oznaczało pewną śmierć.

Duszony wielkolud szarpał się rozpaczliwie, wymachiwał ramionami, usiłując choć złapać oddech. Wierzgał, celując w goleń Richarda. Ten jeszcze bardziej podciągnął kolana, żeby łydki znalazły się poza zasięgiem wielkoluda, tak że większość wymierzanych na oślepie kopniaków trafiała w ziemię, a te nieliczne, co dosięgły celu, nie były zbyt skuteczne. Richard, zaciskając zęby z wysiłku, jeszcze bardziej przechylił wielkoluda do tyłu.

Zobaczył nóż w uniesionej okrwawionej garści tego drugiego. Najlepiej jak mógł osłonił się wielkoludem przed atakiem. Tylko tyle mógł zrobić.

Nagle dało się słyszeć głośne łupnięcie i trzask kości. Wielkolud zaczynał wiotczeć. Natychmiast rozległo się drugie łupnięcie. Po trzecim ciosie popłynęła krew. Napastnik upuścił nóż i osunął się bezwładnie na kamrata.

Richard nie miał pojęcia, co się stało, ale nie miał zamiaru puszczać wielkoluda. Ten drugi z nożem był już wyeliminowany, więc mógł wszystkie siły skupić na zadaniu. Wielkolud ruszał się coraz słabiej, tracił oddech, krew nie dopływała do mózgu.

Richard krzyczał w furii, dodając siły obolałym mięśniom. Tamten wyraźnie słabł, toteż pospiesznie zmienił chwyt, otaczając ramieniem jego szyję. Z całych sił przekręcił głowę wielkoluda. Kiedy poczuł opór, pociągnął

odrobinę w tył, a potem jeszcze mocniej szarpnął. Wielkolud całkiem zwiotczał.

Richard dalej go dusił, choć tamten już nie walczył. Czyjaś dłoń delikatnie dotknęła napiętych bicepsów.

– Już dobrze. Nie żyje. Obaj nie żyją – powiedział kobiecie głos, którego nie rozpoznał. – Jesteś bezpieczny. Możesz go puścić.

Richard, dysząc z wysiłku, zamrugał i spojrzał w ocienione, pochylone nad nim twarze.

To nie byli żołnierze. Proste odzienie wskazywało na wieśniaków. Pochylali się nad nim dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Za tą czwórką tłoczyła się garstka innych. I oni wyglądali podobnie.

## ROZDZIAŁ 3

Richard powoli rozluźnił chwyt na szyi martwego mężczyzny. Resztką powietrza z sykiem wydostała się z płuc, głowa się przekrzywiła.

Pochyleni nad nim ludzie chwycili bezwładne ramię mniejszego z dwóch przygniatających Richarda nieżyjących napastników i odciągnęli go na bok. Zakrwawiona twarz zastygła w nienawistnym grymasie. Zakrzepła krew pokrywała policzek i skroń mężczyzny. Ze skołtunionych włosów sterczały odłamki kości. Richard dostrzegł, że tamtemu rozbito czaszkę sporym kamieniem, który jeden z otaczających go ludzi wciąż jeszcze mocno trzymał w ręku. Ten ze skręconym karkiem też został odsunięty. Jakaż to była ulga pozbyć się wreszcie ich ciężaru!

Kobieta podniosła zakrwawiony nóż upuszczony przez tego z rozbitą czaszką. Pochyliła się i przecięła sznur pętający Richardowi nadgarstki. Strząsnął luźną już linę i zaczął masować krwawiące przeguby, a kobieta zajęła się sznurem na jego kostkach.

– Dziękuję – powiedział Richard, szczęśliwy, że w końcu jest wolny. – Uratowaliście mi życie.

– Na razie – odezwał się jeden ze stojących w mroku.

– Liczymy, że się odwdzięczysz – dodał drugi.

Richard nie wiedział, o czym mówią, ale miał teraz większe zmartwienia.

Kobieta gniewnym gestem ich uciszyła, a potem znów zajęła się Richardem. W słabej poświacie księżycy w pełni przebijającego się przez powłokę chmur dostrzegł, że jest w średnim wieku. Jej twarz znaczyły delikatne zmarszczki dodające jej uroku. Było za ciemno, żeby zobaczyć, jakiego koloru ma oczy, lecz dało się w nich zauważyć determinację. A w wyrazie twarzy – stanowczość.

Kobieta przysunęła się bliżej i przycisnęła dłoń do śladów po zębach na ramieniu Richarda, starając się zatrzymać krwawienie. Potem spojrzała mu w oczy.

– Czy to ty zabiłeś Jit, Zaszytą Służkę? – zapytała.

Zdumiony potaknął, wodząc wzrokiem po zwróconych ku niemu kamiennych twarzach.

– Skąd wiesz?

Wolną dłonią odgarnęła z twarzy pasma prostych, sięgających ramion włosów.

– Jakiś czas temu przyszedł do nas chłopak, Henrik. Powiedział nam, że był jej więźniem i że zamierzała go zabić, jak inne swoje ofiary. A potem dwoje ludzi go uratowało i zabiło Zaszytą Służkę, a teraz wpadli w tarapaty i potrzebują pomocy.

Richard spojrzął jej w oczy.

– Był z nim jeszcze ktoś?

– Niestety nie.

Richard zabił Zaszytą Służkę, lecz on i Kahlan byli poważnie ranni. Przyjaciele sprowadzili niewielkie siły, żeby ich wydostać z kryjówki Zaszytej Służki i zabrać do domu. A teraz wszyscy zniknęli. Wiedział, że żadne z nich z własnej woli nie porzuciłoby jego i Kahlan.

– To Henrik powiedział moim przyjaciółom, co się stało i gdzie mogą nas znaleźć – wyjaśnił Richard. – Powinni z nim być.

Kobieta pokręciła głową.

– Przykro mi, był sam. Samotny i przerażony.

– Powiedział wam, co się tutaj stało? Gdzie są teraz ci, którzy nam towarzyszyli?

– Był ledwie żywy i spanikowany. Powiedział, że nie ma czasu na wyjaśnienia. Że musimy się spieszyć i wam pomóc. Od razu się zjawiliśmy.

Richarda opuściło napięcie wywołane walką i dopiero teraz poczuł ból. Drżącymi palcami dotknął czoła.

– Mówił coś jeszcze? – dopytywał się. – To ważne. Kobieta, wpatrując się w mrok, znowu pokręciła głową.

– Tylko że was zaatakowano i że potrzebujecie pomocy. Henrik jest teraz w naszej wiosce. Kiedy wrócimy, będziesz mógł sam go wypytać. Na razie musimy się stąd wydostać. – Ponagliła gestem stojącą za nią kobietę. – Daj mi swoją chustę.

Tamta natychmiast ściągnęła ją z głowy i jej podała. Kobieta, klęcząc obok Richarda, owinęła mu chustą ramię niczym bandażem. Zawiązała, a potem wsunęła pod węzeł rękojeść noża i parę razy okręciła, żeby wzmocnić nacisk. Richard zacisnął z bólu zęby.

Nie mógł uspokoić łomoczącego serca. Martwił się o przyjaciół, niepokoił się, co też mogło im się przytrafić. Musiał dotrzeć do Henrika i się tego

dowiedzieć. A przede wszystkim zależało mu na uzyskaniu pomocy dla Kahlan.

– Nie powinniśmy tu dłużej tkwić – ostrzegł cichym głosem jeden ze stojących z tyłu mężczyzn.

– Prawie gotowe – powiedziała kobieta, pospiesznie oglądając jedną z poważniejszych ran Richarda. – Trzeba ci pozszywać rany i przyłożyć kataplazmy, bo inaczej do rana się zaognią. Takich ukąszeń nie można lekceważyć.

– Błagam. – Wskazał drugą ręką wóz. – Pomożesz mojej żonie? Obawiam się, że jest w gorszym stanie niż ja.

Na jej znak dwóch mężczyzn pospieszyło do wozu.

– Czy to Matka Spowiedniczka? – zapytał jeden z nich, patrząc na Kahlan. Richard trochę się zaniepokoił.

– Tak.

– Tutaj nic nie możemy dla niej zrobić – powiedział tamten.

Drugi zauważył miecz i podniósł go z ziemi. Przyjrzał się ozdobnej pochwie, potem popatrzył na słowo PRAWDA, które tworzyła złota nić wpleciona w srebrną owijkę rękojeści.

– No to ty pewnie jesteś lordem Rahlem?

– Zgadza się – odparł Richard.

– Więc to was szukaliśmy – orzekł mężczyzna. – Henrik powiedział nam, kim jesteście. Richard się uspokoił, słysząc, że wiedzą to od Henrika.

– Wystarczy – odezwała się kobieta i spojrzała na Richarda. – Cieszę się, że zdążyliśmy na czas, lordzie Rahlu. Jestem Ester. Teraz musimy was przenieść w bezpieczne miejsce.

– Mów mi Richard.

– Tak, lordzie Rahlu – powiedziała z roztargnieniem, jakby już go nie słuchała, sprawdzając jego rany.

Skinęła na stojących za nią ludzi.

– Będziecie musieli mu pomóc. Jest mocno poraniony. Musimy się stąd zabierać, zanim wrócą ci, co to zrobili.

Kilku mężczyzn, radych, że wreszcie jest gotowa wyruszyć, podbiegło, żeby pomóc Richardowi wstać. Kiedy już stanął na nogach, uparł się, żeby podejść do Kahlan. Podtrzymywali go, kiedy chwiejnie szedł do wozu.

Stwierdził, że Kahlan wciąż jest nieprzytomna, ale oddycha. Położył na

niej dłoń, do bólu przerażony jej stanem. Ubranie miała przesiąknięte krwią, którą utoczyła jej Zaszyta Służka. Myśl o tej wstrętnej istocie i o tym, co uczyniła Kahlan, na nowo rozpałała w nim gniew.

Zaszyta Służka piła krew Kahlan.

Wsunął dłoń w długie rozdarcie koszuli, szukając miejsca, gdzie familianci Jit rozcięli Kahlan brzuch, żeby zebrać jej krew dla Zaszytej Służki. Martwiła go ta straszliwa rana i to, ile krwi straciła Kahlan. Ku swemu zdumieniu wyczuł obrznięte wypukłości na skórze – długie rozcięcie zostało niemal uleczone.

Wtedy sobie przypomniał – Kahlan musiał uleczyć Zedd albo Nicci, lecz nie wszystkie rany zniknęły, czyli – tak jak w jego przypadku – nie skończyli tego, co zaczęli. Ponieważ pamiętał, że czuł uzdrawiający dotyk Nicci, założył, iż to Zedd zaczął uzdrawiać Kahlan.

Cieszył się, że Zeddowi udało się uleczyć tę straszną ranę brzucha, lecz Kahlan miała liczne rany, które nadal krwawiły, i nie odzyskała przytomności.

– Macie kogoś, kto może jej pomóc? – zapytał Richard. – Kogoś z darem? Ester się zastanowiła.

– Tak, mamy kogoś z darem, może da radę jej pomóc – powiedziała w końcu.

Jeden ze stojących za nią mężczyzn chwycił ją za ramię, odciągnął na bok i szepnął:

– Uważasz, że to rozsądne? Spojrzała na niego gniewnie.

– A mamy wybór? Może powinniśmy pozwolić, żeby umarli? Wyprostował się i tylko westchnął.

– Musimy się spieszyć – powiedziała Ester. – Nie uleczy ich, jak będą nieżywi.

– Poza tym musimy się wydostać z mroków – napominał inny.

Na te słowa wszyscy spojrzeli w ciemność. Richard stwierdził, że przeraża ich pozostawanie poza domem po zmroku. Był kiedyś leśnym przewodnikiem i często widywał wieśniaków. Powszechnym obyczajem wśród nich było zamykanie się w domach po zachodzie słońca. Ludzie w odległych osadach bywali bardziej przesądni niż w miastach, lecz wszyscy bali się jednego – ciemności.

Musiał jednak przyznać, że ci tutaj z pewnością mieli się czego bać.

Patrzył, jak ostrożnie podnieśli Kahlan, a potem umieścili ją na ramieniu najbardziej krzepkiego mężczyzny. Chciałby sam ją nieść, lecz wiedział, że nawet iść samodzielnie nie da rady. Niechętnie pozwolił wziąć się pod rękę dwóm mężczyznom.

Rozejrzał się w słabej księżycowej poświacie i delikatnym złotym blasku latarni trzymany przez ludzi. Po raz pierwszy zobaczył za wozem mnóstwo ciał. To nie byli żołnierze Pierwszej Kompanii. Wszędzie leżeli dziwni, bladzi, półnagzi ludzie. Ich rany świadczyły o tym, że Pierwsza Kompania stoczyła zażarty bój. Zwłok było tyle, iż nic dziwnego, że cuchnęło tu krwią.

W pobliżu wozu jeden z zabitych leżał na plecach, usta miał szeroko otwarte. Martwe oczy wpatrywały się w ciemne niebo. Zęby miał ostro spiłowane.

Zedd i Nicci wzięli ze sobą doborowych żołnierzy, żeby bezpiecznie przewieźć jego i Kahlan do Pałacu Ludu. Richard wodził wzrokiem po zalegających ziemię kościach, strzępach mundurów, emblematach i broni Pierwszej Kompanii. Przerazający widok. Lecz nie zobaczył niczego, co by mogło należeć do Zedda, Nicci czy Cary.

Cara, przyboczna strażniczka jego i Kahlan, Mord-Sith, nigdy by go nie zostawiła, no chyba żeby zginęła; a podejrzewał, że i wtedy wróciłaby z zaświatów, żeby go chronić.

Bał się, że głębiej w mroku, gdzie nie sięgał wzrokiem, leżą kości tych, którzy tyle dla niego znaczyli. Dławił go lęk, że mógł stracić bliskich.

– Szybko – odezwała się Ester, ponaglając mężczyzn podtrzymujących Richarda. – Mocno krwawi. Musimy wracać.

Byli zadowoleni, że mogą zostawić za sobą pobojuwisko i wrócić wreszcie w bezpieczne miejsce.

Richard pozwolił, żeby mężczyźni na poły go nieśli wąską ścieżynką wśród drzew, w noc.

## ROZDZIAŁ 4

Idąc pospiesznie przez las tak gęsty, że światło księżyca niemal nie przedzierało się przez korony drzew, wszyscy niespokojnie popatrywali w otaczający ich mrok. Richard też badał wzrokiem las, lecz niewiele mógł dostrzec za kręgiem nikłego światła latarni. Nie było jak się przekonać, co się kryje w czarnych głębiach, nie było jak sprawdzić, czy nie idą za nimi tajemniczy, dziwni ludzie, którzy być może zabili jego przyjaciół.

Każdy dźwięk przykuwał uwagę Richarda, przyciągał wzrok. Każda gałąź, która go musnęła lub uderzyła w nogę, przyspieszała bicie serca.

Z tego, co widział, towarzyszący im ludzie mieli jedynie zwyczajne noże. Posłużyli się kamieniem, żeby zabić jednego z napastników. Wolałby mieć coś więcej, gdyby na ciemnej ścieżce natknął się na hordy zabójców i musiał z nimi walczyć.

Cieszył się, że znowu ma skórzany pendent przewieszony przez prawe ramię i miecz u boku. Od czasu do czasu bezwiednie dotykał znajomej rękojeści, żeby dodać sobie otuchy. Wiedział jednak, że ma za mało sił, by stanąć do walki.

Samo dotknięcie prastarej broni budziło ukrytą w niej moc i burzę gniewu, rozbudzając te same uczucia w Richardzie i kusząc, żeby je przywołał. Dobrze było mieć na zawołanie ów niezawodny miecz i przynależną mu moc.

Richard wypatrywał w mrokach błysku oczu, które by zdradziły obecność zwierząt poza kręgiem światła. Dostrzegł kilka niewielkich stworzeń, takich jak żaby, szopy pracze oraz nieliczne nocne ptaki, lecz nie zobaczył ślepi żadnych obserwujących ich większych zwierząt.

Zawsze mogło się zdarzyć, ma się rozumieć, że coś większego mogło się dobrze skryć w gęstych kępach paproci i krzaków lub pośród pni drzew, tak że Richard by tego nie dostrzegł.

No i oczywiście oczy by nie lśniły, gdyby należały do ludzi.

Skoro właściwie nic nie widział w mrocznej głębi lasu, skupił się na dźwiękach i zapachach, które mogłyby ostrzec przed niebezpieczeństwem. Ale wyczuł jedynie znajomą woń drzew balsamowych, paproci oraz pokrywającej ziemię ściółki sosnowych igieł i suchych liści. Słyszał wyłącznie



brzęczenie owadów i niekiedy ostre krzyki nocnych ptaków. Od czasu do czasu niosło się echem wśród gór odległe wycie kojotów.

Ludzie prowadzący Richarda i Kahlan do swojej wioski milczeli. Mająca się na baczności grupa szła szybko, niemal bezgłośnie – tak jak to potrafią tylko ci, którzy spędzili życie w lasach. Nawet mężczyzna niosący Kahlan poruszał się prawie bezszelestnie. Richard – niezbyt pewnie trzymając się na nogach i czasem nimi powłócząc, podpierany przez dwóch mężczyzn – robił więcej hałasu, lecz niewiele mógł na to poradzić.

Mając na uwadze ciała dziwnych ludzi, które widział na poboju, napastników, ich rozmowy i ostrzeżenia przed zapuszczeniem się na Mroczne Ziemie, rozumiał, czemu ci ludzie są tacy nerwowi i ostrożni. Tamci dwaj, którzy go zaatakowali, nie przypominali jednak zwłok, które widział. Jeśli mieli rację, to zabici pochodzili z tego tajemniczego ludu, Shun-tuk.

Wszystko przemawiało za tym, że w przeciwieństwie do wieśniaków z rodzinnych stron Richarda ci tutaj mieli poważniejsze powody do obaw niż zwyczajne zabobony.

Podobało mu się, kiedy ludzie z powagą traktowali realne zagrożenia. W kłopoty najczęściej wpadali ci z uporem tkwiący w ignorancji, którzy nie chcieli uwierzyć, że coś mogłoby im zagrozić. Strach jest czasami kluczowy dla przetrwania, toteż Richard uważał, że ignorowanie instynktu to głupota. Lecz z drugiej strony wieśniacy byli lekko uzbrojeni.

A może zagrożenie było dla nich czymś nowym.

Wkrótce wyszli z mrocznego lasu na otwartą przestrzeń. Delikatna mgła wywołana chłodniejszym powietrzem zwilżyła Richardowi twarz. W oddali, za nieco pagórkowatym terenem zalany słabą księżycową poświatą, zobaczył stromą skalną ścianę. Na pewnej jej wysokości dostrzegł słabe, migotliwe światło – pewnie świece lub latarnie w przejściach wydrążonych w skale.

Prowadząca tam ścieżka biegła między polami obsianymi zbożem lub obsadzonymi warzywami. Towarzyszący Richardowi ludzie zaczęli szeptać między sobą, bo wreszcie poczuli się bezpieczni, pośród pól rozciągających się u stóp niebosiężnej skalnej ściany.

Bliżej skały natrafili na drewniane zagrody. W niektórych były owce, w innych dość chude świnie. W kącie jednej z zagród tłoczyło się parę

mlecznych krów. Długie kojce, umieszczone wśród głązów, które spadły ze wznoszącej się ponad nimi góry, były najwyraźniej przeznaczone dla kur, teraz pewnie śpiących na grzędach. Richard dostrzegł ludzi zajmujących się zwierzętami.

Jeden sprawdzał owce; poklepywał je po grzbietach, żeby się odsuwały, kiedy się przeciskał wśród stada stłoczonego w dużej zagrodzie.

– Co się dzieje, Henry? – spytała Ester. – Co tu robicie o tej porze?

Henry nie mógł się powstrzymać od oględzin prowadzonych do osady obcych – podtrzymywanego mężczyzny i kobiety z długimi włosami, przewieszanej przez ramię sąsiada. Uniósł rękę, pokazując zagrody.

– Zwierzęta są niespokojne.

Richard obejrzał się przez ramię. Oparł lewą dłoń na rękojeści miecza i powiódł wzrokiem po polach rozciągających się pomiędzy nimi a ciemną ścianą lasu. Nic nie rzuciło mu się w oczy.

– Lepiej zostawcie zwierzęta i wracajcie do osady – powiedział, wpatrując się w linię drzew.

Mężczyzna się zachmurzył, zdjął miękką wełnianą czapkę, żeby się podrapać po głowie porośniętej rzadkimi siwymi włosami.

– A kim ty niby jesteś, że mnie pouczasz?

Richard popatrzył na niego i wzruszył ramionami. Poczuł, że nogi się pod nim uginają, więc znowu zarzucił lewą rękę na ramię jednego ze stojących przy nim mężczyzn.

– Kimś, kto nie lubi, kiedy zwierzęta są niespokojne. No i nie tak daleko stąd widziałem niedawno przerażające rzeczy.

– Ma rację – odezwała się Ester, ruszając ku skalnej ścianie. – Lepiej chodźcie z nami.

Henry wcisnął czapkę na głowę i chmurnie spojrział ku milczącemu lasowi. Wysokie świerki wyglądały jak wartownicy wzbraniający wstępu księżycowej poświacie. Kiwnął głową.

– Pójdziemy zaraz za wami.

## ROZDZIAŁ 5

Richard, podtrzymywany z obu stron, szedł za Ester, a ta za mężczyzną niosącym Kahlan. Idący na czele niewielkiej, podążającej ku górze grupy człowiek z latarnią odwracał się od czasu do czasu, upewniając się, że nikogo nie brakuje.

Kahlan, z długimi włosami posklejanymi zakrzepłą krwią, zwisała bezwładnie z ramienia niosącego ją mężczyzny. Richard widział w świetle księżycy rany po ciernistych pnączach, którymi związała ją Zaszyta Służka. Krew skapywała jej z koniuszków palców.

Richard miał podobne rany, lecz nie tak liczne. Cierniste pnącza musiały wydzielać jakąś substancję niepozwalającą skaleczeniom się zasklepić, bo i z jego zadrapań nadal sączyła się krew. Przynajmniej udało mu się zabić Zaszytą Służkę, zanim całkiem wykrwawiła Kahlan.

Kiedy tak szli do wioski, pragnął się zatrzymać i ją uzdrowić, ale wiedział, że nie podołałby temu zadaniu. Skuteczne leczenie pochłaniało wiele sił uzdrawiającego, a jemu ich teraz brakowało. Lepiej było znaleźć dla niej pomoc.

Kiedy zyska pewność, że Kahlan jest bezpieczna, będzie się musiał dowiedzieć, co spotkało żołnierzy Pierwszej Kompanii i jego przyjaciół. Bronił się przed myślą, że ci, którzy tak wiele dla niego znaczyli, mogą już nie żyć. Lecz aż nazbyt wyraźnie pamiętał widok ludzkich kości. Był zrozpaczony, że tylu jego ludzi zginęło taką straszną śmiercią.

Zbliżając się do podnóża góry, szli przez rozległe usypisko głazów, przez wieki odpadających od skalnej ściany. Miejscami poruszali się gęsiego i musieli się pochyłać, żeby przejść pod kamiennymi płytami, które spoczywały na głazach.

Richard ze zdziwieniem zauważył, że idący przodem wchodzą na wąską ścieżkę pnącą się po zboczu. Kryła się w płataninie krzaków i sam łatwo by ją przegapił.

Pomyślał, że może mają drabiny prowadzące do zamieszkanym jaskiń czy wewnętrznego przejścia, ale okazało się, że ścieżka wije się po naturalnych skalnych półkach i wybrzuszeniach. Tam, gdzie ich nie było, ścieżkę pracownicy wycięto w skalnej ścianie. W nikłym żółtawym świetle

latań widział, że skała została wygładzona stopami ludzi, pewnie od tysięcy lat korzystających z tego szlaku.

– Co to za miejsce? – spytał szeptem. Ester obejrzała się przez ramię.

– To nasza wioska, Stroyza.

Richard zmylił krok. Ciekaw był, czy kobieta wie, co znaczy ta nazwa. Niewielu żyjących ludzi znało górnod'harański. Richard należał do tych nielicznych.

– Dlaczego tam mieszkacie? Czemu nie pobudowaliście się wśród pól, żeby nie musieć stale chodzić tą zdradliwą ścieżką?

– Nasi od zawsze tu mieszkali. – Kiedy to okazało się dla niego kiepskim argumentem, posłała mu wyrozumiały uśmiech. – Nie sądzisz, że szlak byłby zdradliwy i dla tego, kto by chciał nocą nas napaść?

Richard spojrział ku górze, na podskakujące punkciki latań niesionych przez ostrożnie stawiających kroki.

– Pewnie masz rację. Jedna osoba tam w górze łatwo powstrzymałaby całą armię próbującą wspiać się tą ścieżką. – Zmarszczył brwi. – Często napadają na waszą wioskę?

– To Mroczne Ziemie – powiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Skała była śliska od mżawki i Richard stąpał uważnie. Nigdzie nie było na tyle szeroko, żeby ktoś mógł iść obok niego i mu pomagać, toteż jeden z mężczyzn szedł tuż za nim, żeby go podtrzymać, gdyby się potknął. Na szczęście w bardzo wąskich i niebezpiecznych miejscach wbito w skałę żelazne uchwyty.

Niestety, były po lewej stronie – a jego lewe, obandażowane ramię było mniej sprawne. Tak cierpiał, iż ledwo mógł złapać palcami uchwyt, a czasem musiał sobie pomagać prawą ręką. To utrudniało wspinaczkę, ale chroniło przed upadkiem. Idący za nim mężczyzna jedną ręką się przytrzymywał, a drugą od czasu do czasu popychał Richarda w górę lub nie pozwalał mu upaść. Rzut oka w tył ukazywał w księżycowej poświacie przyprawiającą o zawrót głowy stromiznę.

Kiedy wreszcie dotarli na górę, czekała tam na nich grupka ludzi. Kiedy Richard wyszedł na szczyt, tłumek się odsunął, robiąc im miejsce. Zobaczył, że szeroka jaskinia zwężała się miejscami w kilka tuneli prowadzących w głąb góry. Zebrani z niepokojem obserwowali obcych.

Z mroku wyszło kilka kotów, żeby ich powitać. W głębi korytarzy Richard

dostrzegł więcej tych ostrożnych stworzeń. Większość była czarna.

– Radziśmy, że bezpiecznie wróciliście – odezwał się jeden z czekających.

– Martwiliśmy się, że tak długo jesteście poza wioską.

Ester kiwała głową.

– Wiem, wiem. Ale to było konieczne. Na szczęście ich znaleźliśmy. Zanim Ester zdążyła go przedstawić, nadbiegł Henrik.

– Lordzie Rahlu! Lordzie Rahlu! Żyjesz!

Rozległy się pełne zdumienia szepty. Najwyraźniej nie wszyscy w wiosce wiedzieli, po kogo wyruszyli ratownicy.

– Lord Rahl... przywódca imperium D'Hary? – wyszeptał jeden z ludzi.

– Tak – potwierdził obolały Richard.

Zaczęli przyklękać. Richard pospiesznie ich powstrzymał.

– Darujcie to sobie, proszę.

Nie bez oporów się podnieśli, a jemu udało się uśmiechnąć do chłopca.

– Cieszę się, Henriku, że jesteś cały i zdrowy.

Mężczyzna niosący Kahlan zsunął ją sobie z ramienia. Kilka osób pospieszyło mu z pomocą. Ester pospiesznie przedstawiła kilkoro zebranych, a potem przeszła do rzeczy.

– Musimy ich wprowadzić do środka. Oboje są poważnie ranni. Trzeba się nimi zająć.

Niewielki tłumek – a za nim kilka kotów – ruszył za Ester w jeden z szerszych tuneli. W naturalnych niszach i zagłębieniach urządzono pomieszczenia. Wiele z nich oraz całą sieć tuneli wyłobiono w miękkiej skale. Ściany niektórych zbudowano z połączonych zaprawą kamieni. Jedne miały drewniane drzwi, inne zawieszono skórami zwierząt, tworząc skupisko niewielkich mieszkańek.

Życie w tych stłoczonych w labiryncie tuneli, tworzących strukturę plastra miodu domkach na pewno nie było zbyt wygodne, lecz Richard przypuszczał, że wystarczającą osłodą było bezpieczeństwo siedzib znajdujących się tak wysoko i głęboko w górskim zboczu. Odzienie otaczających go ludzi świadczyło o prostocie życia w małej wiosce. Wszyscy nosili ubrania ze zgrzebnej tkaniny, barwą dopasowane do koloru kamieni.

Ester chwyciła za rękaw idącą przed nią kobietę i nachyliła się ku niej.

– Przeprowadź Sammie.

Tamta obejrzała się na nią przez ramię, marszcząc brwi.

– Sammie?

Ester zdecydowanie kiwnęła głową.

– Trzeba ich uzdrowić.

– Sammie? – powtórzyła kobieta.

– Tak, pospiesz się. Nie ma czasu do stracenia.

– Ale...

– Idź – nakazała Ester. – Pospiesz się. Zabiorę ich do siebie.

Kobieta pospieszyła po pomoc, której zażyczyła sobie Ester, a tłumek wszedł w mniejszy korytarz. Na koniec dotarli do wejścia zawieszono owczą skórą; Ester i kilku innych zanurkowali do środka. Kiedy znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, jeden z mężczyzn zapalił świecę. Stał tam prosty drewniany stół, trzy krzesła i kufer, podłogę zasłano barwnymi chodnikami. Dodatkowymi siedziskami były poduchy z tkaniny podobnej do tej, z której mieszkańcy szyli odzież.

Ester pokierowała ludzi niosących Kahlan w kącie izdebki, gdzie ostrożnie położyli ją na jagnięcej skórze i wysłużonych poduszkach. Mężczyźni pomogli Richardowi usiąść na podłodze i podparli go kilkoma poduchami.

– Musimy się natychmiast tobą zająć – poinformowała Ester, a potem powiedziała do kobiet: – Przynieście gorącą wodę i szarpie. Zrobimy kompres. Przynieście też bandaże, igłę i nici.

Grupa kobiet pospieszyła spełnić jej polecenie. Ester uklękła obok Richarda. Ostrożnie podniosła mu rękę i poluzowała przesiąknięty krwią bandaż.

– Nie podoba mi się kolor twojego ramienia – stwierdziła. – Należy przemyć rany po ukąszeniach. Niektóre trzeba będzie zszyć. – Spojrzała mu w oczy. – Będzie ci też potrzebna bardziej fachowa pomoc.

Richard wiedział, iż to oznacza, że powinien go zobaczyć ktoś z darem. Potaknął, przechylając się i odgarniając pasma włosów z twarzy Kahlan, żeby dotknąć dłonią jej czoła. Było rozpalone.

– Mogę poczekać – powiedział. – Chcę, żebyście najpierw zajęli się Matką Spowiedniczką.

Kiedy znów spojrzał na Ester, kobieta była pełna lęku. Najwyraźniej uważała, że to on wymaga natychmiastowej pomocy.

Richard złagodził ton.

– Jestem wdzięczny za wszystko, co ty i twoi ludzie zrobiliście, lecz

proszę, pomóż najpierw mojej żonie. Masz rację, moimi ranami też trzeba się zająć, ale ona jest nieprzytomna i zdecydowanie w gorszym stanie. Może opatrzycie mnie, a osoba z darem zajmie się Matką Spowiedniczką. Proszę. Bardzo mnie martwi jej stan. Muszę wiedzieć, że z tego wyjdzie.

Ester przez chwilę patrzyła mu w oczy, a potem leciutko się uśmiechnęła.

– Rozumiem. – Odwróciła się i skinęła dłonią. – Peter, upewnij się, proszę, że Sammie nadchodzi.

## ROZDZIAŁ 6

Richard odwrócił się od Kahlan, kiedy usłyszał, że z korytarza nadchodzą ludzie. Pierwsza kobieta, która wsunęła się pod zasłonę z owczej skóry, niosła wiadro wody. Inne przyniosły drugie wiadro wody, bandaże i resztę potrzebnych rzeczy.

Zdziwił się, widząc, że parę starszych kobiet prowadzi za nimi jakieś chucherko, dopiero zaczynające wchodzić w kobiecość. Drobna buzię okalały długie czarne włosy. Ciemne oczy patrzyły z zadziwieniem, kiedy stała nieruchomo w grupce otaczających ją kobiet. Gładka wąska twarzyczka, w gęstwinie ciemnych loków, wydawała się blada w blasku świateł.

Ester wstała i wskazała Richarda.

– To jest lord Rahl, Sammie. Ta kobieta to jego żona, Matka Spowiedniczka. Oboje są ciężko ranni i potrzebują twojej pomocy.

Ciemne oczy dziewczyny przelotnie spojrzały na Kahlan, a potem wróciły do Ester. Na jej ponaglący gest Sammie niepewnie się zbliżyła. Uniosła rąbek długiej spódnicy i niezgrabnie dygnęła przed Richardem.

Nie miał wątpliwości, że jest ogromnie nieśmiała, a on ją przeraża. Pochodziła z małej oddalonej od świata wioski, toteż pewnie rzadko widywała obcych, zwłaszcza takich. Chociaż bardzo cierpiał i bał się o Kahlan, uśmiechnął się do niej serdecznie, żeby dodać jej otuchy.

– Dziękuję, że przyszedł, Sammie.

Skinęła głową i objęła się szczupłymi ramionami. Bez słowa schroniła się w grupce starszych kobiet.

– Czy mogłabyś nas na chwilę zostawić, Sammie? – Popatrzył na Ester. – Mogę z tobą pomówić na osobności?

Najwyraźniej się domyślała, dlaczego chce z nią rozmawiać w cztery oczy, z wymuszonym uśmiechem zaganiając grupkę ku wyjściu. Zawahały się, wyraźnie speszone, ale wreszcie usłuchały, kiedy Ester grzecznie je wyprosiła. Po ich wyjściu opuściła owczą skórę.

– Wiem, lordzie Rahl, że...

– To dziecko.

Ester się wyprostowała, splótła dłonie i wzięła głęboki oddech. Zbliżyła się do niego, starannie dobierała słowa.



– Tak, lordzie Rahlu, lecz choć ma tylko piętnaście lat, jest dzieckiem mającym dar. A wy kogoś takiego potrzebujecie. Mogę opatrzyć zadrapania, leczyć ziołami gorączkę, czasem nawet nastawić złamaną kość – wskazała Kahlan – ale nie wiem, jak jej pomóc. Nawet nie mam pojęcia, co jej jest. Tak, Sammie jest młodziutka, ale ma i wiedzę, i talent.

Richard przypomniał sobie czasy, kiedy był w wieku Sammie. Uważał wtedy, że jest dorosły i całkiem dobrze zna świat. Choć wiedział więcej, niż sądziła większość dorosłych, to kiedy przybyło mu lat, uświadomił sobie, że choćby zdobył nie wiadomo jaką wiedzę, zawsze będzie wiedział mniej, niż mu się zdaje, że wie – tyle jest do nauczenia się. Teraz, jako dorosły patrzący na nastolatkę – choćby nie wiem jak utalentowaną – rozumiał, jak wąskie jest pojmowanie świata u tak młodej osoby.

Wiara młodości we własne siły i wiedzę jest przedwczesna. Ta właściwa mądrość się zbliża, lecz chociaż jest już w zasięgu takiej osoby, pozostaje nieosiągalna. Przypomniał sobie, jak Zedd mu mówił, że starość oznacza tylko świadomość, że nigdy wszystkiego się nie pozna, a tym bardziej nie zrozumie.

Niełatwo mu było zawierzyć życie Kahlan komuś o tak niewielkim doświadczeniu.

– To jeszcze dziecko – powiedział cicho, żeby ci na zewnątrz nie usłyszeli.  
– To trudne i skomplikowane zadanie nawet dla kogoś doświadczonego w takich sprawach.

Ester z szacunkiem skłoniła głowę.

– Lordzie Rahlu, jeśli nie chcesz, żeby Sammie spróbowała, masz prawo do takiej decyzji i dostosuję się do tego. Zrobię, co w mojej mocy, żeby opatrzyć najgorsze rany, i zajmę się najlepiej jak potrafię innymi obrażeniami. Spróbuję się dowiedzieć, czego może potrzebować Matka Spowiedniczka, i przygotuję zioła i inne leki, które mogą jej pomóc.

Potem uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Lecz sądzę, że wiesz równie dobrze jak ja, iż to nie wystarczy. Oboje potrzebujecie leczenia darem. Jeśli nie chcesz, żeby Sammie się tego podjęła, mogę tylko doradzić, żebyście się udali w inne miejsce z nadzieją znalezienia kogoś, kto będzie ci bardziej odpowiadał. To będzie trudna podróż. Nie wiem, jak długo musielibyście podróżować po Mrocznych Ziemiach, żeby znaleźć kogoś takiego. Mogę tylko rzec, że nie ma tu zbyt wiele osób z

darem. Przynajmniej takich, którym bym zaufała. To dlatego Jit mogła wykorzystywać tych, którzy rozpaczliwie potrzebowali pomocy. Niekiedy pomagała komuś, żeby dać nadzieję innym ludziom i zwabić do siebie więcej ofiar. Uważasz, że masz siłę wyruszyć na poszukiwania kogoś godnego zaufania, kto potrafiłby wam pomóc? Sądzisz, że Matka Spowiedniczka może odbyć taką podróż? Chcesz ją narażać, licząc na to, że znajdziesz kogoś innego? A jeśli zmusi cię konieczność, powierysz jej życie komuś zupełnie obcemu? Możesz przecież natrafić na kogoś podobnego do Jit. Już się przekonałeś, że chcemy wam pomóc, nawet narażając się na niebezpieczeństwo.

– Właściwie dlaczego to robicie? – zapytał Richard. Ester wzruszyła ramionami.

– Bo chcielibyśmy, żeby i nam ktoś pomógł, kiedy coś nam zagrazi. Taki mamy zwyczaj. Przekazywany z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów. Uczymy dzieci, żeby pomagały ludziom w potrzebie, bo pewnego dnia to one mogą potrzebować pomocy. A możemy uzyskać pomoc jedynie wtedy, kiedy na nią zasługujemy, jeżeli oferujemy ją innym, a nie tylko przyjmujemy. Uważamy, że innych należy traktować tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani.

– Coś mi się zdaje, że i ja zawsze starałem się tak postępować – powiedział Richard.

– Powiadam ci, lordzie Rahlu, że Sammie może i jest nastolatką, ale ma dar i dobre serce.

Tylko to możemy wam ofiarować. Na pewno chcesz odrzucić naszą pomoc?

Richard wiedział, że jest za słaby, by uzdrowić Kahlan. Co gorsza, nie sądził, że zdołałby to zrobić. Jeszcze leżąc na wozie, próbował przywołać swój dar, żeby ratować jej życie – nadaremnie. Najwyraźniej coś było nie tak.

Nie wiedział, co takiego mogło się stać. Jedno było pewne – dar milczał. A oni potrzebowali pomocy.

Wiedział, że daleko by nie zaszedł. Zedd i Nicci zaczęli ich uzdrawiać, już kiedy wieziono ich wozem; nie zrobiliby tego, gdyby to nie było konieczne.

Mimo to dalej nie całkiem ufał swoim niespodziewanym wybawcom.

Jeśli nie zechce przyjąć pomocy Sammie, to pozostaną tylko działania Ester – igła, nici, zioła i kompresy. Wiedział, że Ester ma rację, twierdząc, że

to za mało, zwłaszcza dla Kahlan.

Richard bywał już ranny. Jednak tym razem czuł coś odmiennego, coś poważniejszego.

Wiedział też, że Kahlan cierpi o wiele bardziej niż on.

Zedd i Nicci próbowali ich uzdrowić, lecz nie zdołali dokończyć tego procesu. A potem zniknęli. Richard zdawał sobie sprawę, że życie nie tylko Kahlan, ale i jego przyjaciół zależy od tego, czy on podejmie właściwą decyzję. I że nie ma czasu do stracenia.

Z darem czy bez niego, nie miał pojęcia, czy ośmieli się powierzyć Kahlan tak młodej i niedoświadczonej dziewczynie. Kiedy w grę wchodzi dar, pomyłka może mieć fatalne skutki.

– Ufasz jej zdolnościom?

Ester podciągnęła szarą spódnicę i znów uklękła przy nim.

– Sammie to poważna i sumienna dziewczyna. Jej matka była czarodziejką. Pewnie dlatego Sammie wydaje się dojrzała jak na swój wiek. Ja nie mam daru i niewiele o tym wiem, lecz matka Sammie przekazała jej swój dar. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Gdzie jest jej matka? Ester odwróciła wzrok.

– Niedawno znaleźliśmy szczątki ojca Sammie. Sądzymy, że matkę porwano i uprowadzono.

Sammie nie traci nadziei, lecz ja myślę, że ona już nie żyje.

– Uprowadzono?

Ester znowu popatrzyła mu w oczy.

– Jak twoich ludzi. I o mało co Matkę Spowiedniczkę. Mroczne Ziemie zawsze były niebezpieczną krainą. Od dawna żyjemy z tymi zagrożeniami i wiemy, jak się bronić. Lecz teraz dzieją się straszne rzeczy, których nie pojmujemy i nie umiemy zwalczać. Potrzebna nam pomoc.

Richard otarł dłonią usta. Tak jak podejrzewał, ci ludzie żyjący wedle zasady „traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany” potrzebowali pomocy, której ich zdaniem mógł im udzielić tylko ktoś taki jak lord Rahl. Po tych okropieństwach, które widział, nietrudno mu było zrozumieć, czemu tak rozpaczliwie jej szukają. Nie mógł im mieć tego za złe.

Popatrzył na Kahlan. Przez chwilę obserwował jej płytki oddech. Czy powinien zawierzyć jej życie niedoświadczonej dziewczynie?

A miał wybór?

– No dobrze – powiedział w końcu, wzdychając z rezygnacją.

## ROZDZIAŁ 7

Gdy tylko Richard zgodził się przyjąć pomoc Sammie, Ester poderwała się z podłogi. Odchyliła ciężką zasłonę i pospiesznie wyszła na korytarz. Słyszał, jak prosi ludzi, żeby zapewnili prywatność lordowi Rahlowi i Matce Spowiedniczce. Pomrukami wyrazili zrozumienie.

Szybko pojawiła się z dziewczyną, zostawiając innych w głębi korytarza. Uspokajająco dotykając dłonią ramienia Sammie, wprowadziła ją do izby i pozwoliła, żeby owcza skóra zasłoniła wejście.

Pod spodem przelazł czarny kot i ruszył za dziewczyną. Usiadł z boku, uniósł tylną łapkę i lizał czarną lśniącą sierść na brzuszku.

Sammie stała sztywno tuż przy wejściu, zbyt przerażona, żeby podejść. Nieskalana cera nadawała jej wygląd posągu wyrzeźbionego z najgładszego marmuru.

Richard wyciągnął zdrową rękę i skinął zapraszająco.

– Podejdź, proszę, Sammie, i usiądź przy mnie.

Kiedy niepewnie się zbliżyła, łagodnie wziął ją za rękę i nakłonił, żeby uklękła przy nim. Przysiadła na piętach, uważając, żeby się nie znaleźć zbyt blisko. Wlepione w niego wielkie oczy połyskiwały w blasku świec. Gdybyż wiedziała, że pewnie ma więcej powodów do strachu niż ona.

Kiedy Ester zobaczyła, że Richard trochę ośmielił dziewczynę, podeszła do Kahlan z bandażami, wiadrem wody i innymi potrzebnymi rzeczami; ukucnęła przy niej i pospiesznie zaczęła przemywać najgorsze rany.

– Bardzo ci współczuję z powodu ojca i zniknięcia matki – powiedział Richard. Na wspomnienie rodziców w oczach Sammie pojawiły się łzy.

– Dziękuję, lordzie Rahlu.

Głos miała cichy, współgrający z jej nieśmiałością, z bolesną nutką straty.

– Jeśli zdołasz nam pomóc, to kiedy będę już zdrowy, pomogę odnaleźć twoją mamę. Sammie na krótko zmarszczyła brwi. Wydawała się speszona.

– Jesteś władcą imperium D’Hary. – Otarła łzy. – Czemu miałbyś się trudzić dla kogoś z małej Stroyzy?

Richard wzruszył ramionami.

– Nie dlatego zostałem władcą, że chciałem rządzić ludźmi. Raczej chciałem chronić ich przed krzywdą. Jeżeli ktoś z tych, których przysięgałem

bronić, jest ranny lub w niebezpieczeństwie, jest to moja sprawa.

Zdumiała się.

– Całymi Mrocznymi Ziemiemi, w tym i naszą wioską, włada Hannis Arc. Nigdy go nie widziałam ani nie słyszałam, żeby ktoś mówił, że zależy mu na nas. Wprost przeciwnie. Podobno dba tylko o proroctwa.

– Też o tym słyszałem – powiedział Richard. – Nie podzielam jego zainteresowania proroctwami. Uważam, że sami kształtujemy naszą przyszłość. Między innymi dlatego się tutaj znalazłem. Oboje z Matką Spowiedniczką zostaliśmy ranni, starając się nie dopuścić, żeby spełniła się okropna przepowiednia, która wyrządziłaby krzywdę naszemu ludowi. To nasza wola, a nie proroctwo, decyduje o tym, co się dzieje.

Dziewczyna zerknęła kątem oka na Kahlan.

– Bardzo mi przykro, że twoja żona ucierpiała. – Wielkie oczy spojrzały znowu na Richarda. – Mama często mówiła, że mam dar i że to ode mnie, a nie od losu zależy, jak go wykorzystam.

– Mądre słowa. A nauczyła cię korzystać z daru? Sammie odrobinę się rozluźniła.

– Całe życie uczyła mnie wielu rzeczy o darze, ale po troszeczkę.

– Dobrze jest zaczynać od małych rzeczy. Z nich składa się szerszy obraz. Z tych drobiazgów, których się uczymy, budujemy ogólniejsze pojęcia.

Sammie wygładziła kciukiem fałdkę sukienki.

– Właśnie zaczynała mnie uczyć, jak wykorzystywać dar do uzdrawiania. Powiedziała, że jestem już wystarczająco duża, żeby się dowiedzieć czegoś więcej. Ale wciąż jestem bardzo młodą czarodziejką. Mój dar nie dorównuje zdolnościom mamy, a już zwłaszcza darowi kogoś takiego jak ty, lordzie Rahlu.

Richard nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Byłem o wiele starszy niż ty teraz, kiedy się dowiedziałem, że mam dar. Nikt mi o nim nie mówił, kiedy dorastałem. Myślę, że dzięki naukom mamy wiesz o darze więcej, niż ja kiedyś.

Z niedowierzaniem zmarszczyła brwi.

– Naprawdę?

– Tak. Od tamtej pory korzystam z daru, ale inaczej niż większość czarodziejów. Za jego sprawą niszczyłem i uzdrawiałem, lecz raczej instynktownie, w rozpaczliwej potrzebie pozwalając, żeby mną kierował, nie

dzięki temu, czego mnie nauczono.

Sammie siedziała na piętach i zastanawiała się nad jego słowami. Czarny kot podszedł i otarł się o nią, a potem bezszelestnie ruszył ku Kahlan.

– Strasznie mieć dar i nie wiedzieć, jak z niego korzystać i nad nim panować. Roześmiał się, chociaż był cały obolały i martwił się o Kahlan.

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

Patrzyła na niego nieodgadnionym wzrokiem.

– Ale i tak musisz dość dobrze posługiwać się darem. W końcu jesteś lordem Rahlem.

Słyszałam, że D'harańczycy są stalą przeciwko stali, żebyś ty mógł być magią przeciwko magii.

Richard nie powiedział jej, że w tej chwili jego moc nie działa.

Kątem oka zobaczył, jak kot ostrożnie wącha but Kahlan. Czarny nosek przesuwiał się tuż nad nogą, potem wyżej, nad ramieniem, ale nigdy nie dotykał skóry. Nagle kot się cofnął. Zasyczał, szczerząc drobne ostre ząbki. Richard pomyślał, że pewnie nie spodobało mu się, że jest wśród nich ktoś obcy, pachnący krwią.

– Wszystkie tutejsze koty są czarne? – zapytał. Sammie spojrzała na niego.

– Są takie, kiedy uznają, że tak trzeba. Richard zmarszczył brwi.

– To znaczy?

– W mroku wszystkie są czarne – powiedziała zagadkowo.

Ester klęcząca przy Kahlan zamachnęła się szmatką na kota i go odpędziła. Położył uszy po sobie i wyszedł z izby.

Richard popatrzył na Sammie. Nie bardzo wiedział, o co jej chodziło, ale miał ważniejsze sprawy na głowie. Wrócił do tej zasadniczej.

– Co wiesz o uzdrawianiu?

Sammie zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Mama dopiero zaczęła mnie tego uczyć. Mówiła mi o podstawach i pozwalała pomagać sobie w łatwiejszych przypadkach. Zajmowałam się tylko prostymi sprawami: skaleczenia, bóle żołądka i głowy, wysypki. Pokazywała mi, jak wnikać darem w chorą osobę, żeby wyczuć, co jej dolega.

Richard potaknął.

– Doświadczałem czegoś takiego, kiedy uzdrawiałem. – Zapatrzył się w ponure wspomnienia.

– Czasem, kiedy sprawa była bardzo poważna, miałem wrażenie, iż zapominam, kim jestem, kiedy wnikałem w duszę chorego, żeby przejąć jego ból.

– Nigdy tak głęboko w nikogo nie wnikałam. – Sammie była wyraźnie zaniepokojona. – Nie wiem, czy kiedyś będę potrafiła wnikać w czyjąś duszę.

– Jeśli uzdrawiałaś ludzi, musiałaś to robić, choć nie zdawałaś sobie z tego sprawy – powiedział Richard. – Tak to działa. Uzdrawiając, wnikasz w samą istotę kogoś, innymi słowy, w duszę. Przynajmniej w moim przypadku tak jest.

– To brzmi... przerażająco.

– Nie, jeśli naprawdę ci zależy na uzdrowieniu kogoś.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy, jakby się w nich kryła jakaś tajemnica.

– Skoro tak mówisz, lordzie Rahlu.

Richard popatrzył na Kahlan. Ester w skupieniu przemywała i oglądała skaleczenia na jej rękach.

– Już kiedyś uzdrawiałem Kahlan – wyznał Richard – ale teraz nie mam na to sił. Ogromnie się o nią martwię.

Sammie odwróciła wzrok od Kahlan i przyjrzała się śladom po zębach na ciele Richarda.

Napięcie zdradzało, jak się przejmuje tą sytuacją.

– Nie wiem, jak głęboko mogę wnikać w czyjąś duszę, lecz jeszcze nigdy nie uzdrawiałam tak poważnych ran. Leczyłam wyłącznie proste przypadki.

– Z własnego doświadczenia wiem, że stopień skomplikowania ran nie ma znaczenia. Choć rozumie się, że w niektórych przypadkach jest inaczej: na przykład kiedy dana osoba jest blisko zasłony lub w trakcie przechodzenia ze świata żywych w zaświaty. Wtedy to co innego.

Sammie szeroko otworzyła oczy.

– Masz na myśli to, że taka osoba wychodzi poza Grace? Richard spojrział na nią z powagą.

– Mama powiedziała ci o Grace? Sammie potaknęła.

– To symbol przedstawiający iskrę życia, światy żywych i zmarłych, to, jak dar przenika granice, żeby wszystko połączyć. Mówiła, że mający dar powinni znać Grace, żeby jej nie naruszyć. Ona określa, jak moc przepływa i jak działa, jej możliwości i ograniczenia, jak również porządek stwarzania,



życia i śmierci. Grace symbolizuje wszystkie nasze działania, kieruje nimi i je determinuje.

– I ja o tym wiem – rzekł Richard. – Płynąc po liniach daru, symbolizowanych przez Grace, przekonałem się, że uzdrawianie w większości przypadków jest podobnym procesem. Jeśli pozwolisz, żeby kierowały tobą potrzeby chorego, poprzez dar wyczujesz, co jest mu niezbędne. Dzięki empatii przejmiesz ból, żeby uzdrawiająca moc twojego daru mogła wnikać w osobę, której pomagasz. Zawsze to właśnie czyjaś potrzeba, cierpienie mną kierowały, przyciągały.

Tyle że z jakiegoś powodu jego dar przestał działać. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Chyba wiem, o czym mówisz. Mama nakazywała mi wczuwać się w ludzi, wczuwać tkwiące w nich głęboko dolegliwości.

– A nauczyła cię przejmować ich ból? Sammie się zastanawiała.

– Tak. Ale ja się bałam. To bardzo trudne. Robiłam to. Czułam to, co oni, chociaż tylko w pomniejszych przypadkach. Staralam się przejąć ten ból i, jak mówiłeś, pozwolić, żeby wniknął w nich mój dar i ich uleczył.

Richard potakiwał.

– Ja też tego doświadczałem.

– Mówiłeś, że uzdrawiałeś ludzi, kiedy byli u granic Grace i przechodzili do świata umarłych.

Płynąłeś po liniach Grace wnikających do ich świata.

To wcale nie brzmiało jak pytanie, raczej jak wymówka, że robił coś, co – jak ją uczono – było zakazane.

– Nawet nie wiesz, Sammie, co byłabyś gotowa uczynić dla tych, których kochasz. – Znowu popatrzył na Kahlan. – Bardzo ją kocham i boję się o nią, ale tym razem nie mam siły, żeby ją uzdrowić. Czy ty mogłabyś to zrobić?

Sammie spojrzała na Ester, delikatnie zmywającą krew z twarzy Kahlan.

– Co jej jest?

– Nie do końca wiem. Porwała ją Zaszyta Służka, piła jej krew i...

– Jit? – Sammie nagle pochyliła się ku niemu, skupiona i spięta. – Mówisz o Jit? – Kiedy potaknął, spytała: – Jak wam się udało uciec Zaszytej Służce?

– Zabiłem ją.

– Naprawdę to zrobił – potwierdziła Ester. Zanurzyła płótno w wiadrze, a potem wyżyła z czerwonej wody. – Przez to ucierpieli – dodała i wróciła do

obmywania Kahlan.

Sammie jakby nie zauważała Ester. Wpatrywała się z podziwem w Richarda.

– Naprawdę jesteś obrońcą swojego ludu. – Umiłkła, spojrzała na zajętą Ester, po czym nachyliła się ku Richardowi, mówiąc cicho: – Jesteś wybrańcem.

## ROZDZIAŁ 8

Richard nie wiedział, co miała na myśli. Ledwo się trzymał, no i miał poważniejsze troski.

– Pomożesz Kahlan? Chciałbym, żebyś pomogła nam obojgu, ale jej najpierw. Muszę wiedzieć, że nic jej nie grozi.

Delikatną buzię Sammie ściągnął niepokój.

– Jest Matką Spowiedniczką.

Richard nie bardzo wiedział, co to zmienia.

– Owszem.

Sammie odrobinę się skrzywiła, spojrzała spod oka, najwyraźniej bojąc się zapytać.

– Czy... no wiesz, czy jej moc nic mi nie zrobi? Nie opanuje mnie mocą Spowiedniczki, kiedy w nią wniknę?

Richard pokręcił głową, jeszcze zanim skończyła mówić.

– Nie, to nie tak.

– Skąd możesz wiedzieć? Powiedziałeś, że nie za dużo wiesz o magii.

– Nie tylko ja już ją uzdrawiałem, ale też czarodziej i czarodziejka. Nic im się nie stało. Czarodziejka zaczęła ją dzisiaj uzdrawiać, ale napadnięto nas, zanim dokończyła. Moc Kahlan cię nie skrzywdzi. Leczenie jej ci nie zagraża. Zrobisz to?

Sammie mocno zacisnęła wargi. Wyduła usta, rozważając za i przeciw. Na koniec skinęła głową.

– Spróbuję, lordzie Rahlu. Zrobię, co w mojej mocy.

– Właśnie o to proszę.

Sammie kucnęła obok Ester i nachyliła się nad Kahlan. Odwróciła jej głowę i wpatrzyła się w nieruchomą twarz.

– Jest bardzo piękna – powiedziała przez ramię.

Richard potaknął, starając się pamiętać o tym, jaka Sammie jest młoda, i nie okazywać niecierpliwości. Bał się, że jeśli nie będzie uważał, to ją przestraszy, a wtedy nie będzie mogła się skoncentrować na czekającym ją zadaniu. Trudno mu było zachowywać pozorny spokój, gdy żołądek mu się skręcał w supeł, a życie Kahlan wisiało na włosku.

– Duszę też ma piękną – powiedział. – Teraz potrzebuje pomocy. I to my

powinniśmy jej udzielić. Może zacznij od mniejszych spraw. Skup się na uleczeniu ran na rękach. W ten sposób, kiedy poczujesz się pewniej, będziesz mogła się zająć większymi problemami.

Sammie kiwnęła głową.

– Tak powiedziałyby mama.

Łagodnie ujęła łokieć Ester i ją odsunęła. Starsza kobieta się cofnęła, zabierając wiadro zabarwionej krwią wody.

– Nie spiesz się, dziecko – powiedziała. – Mama dobrze cię wyuczyła. Wiem, że dasz radę.

– Zrobię, co będę mogła – powiedziała Sammie, kładąc dłoń na brzuchu Kahlan, wyczuwając jej powolny oddech. – Mam nadzieję, że to wystarczy – szepnęła do siebie.

Ester stała z boku, przyglądając się z niepokojem.

– Mama byłaby z ciebie dumna.

Sammie, już skupiona na zadaniu, bezwiednie skinęła głową. Przelotnie dotykała ran na rękach Kahlan, badając je swoim darem. Położyła palce na jej brzuchu, w miejscu rany niemal całkiem uleczonej przez Zedda. Poruszała palcami, jakby badając jego robotę, może w nadziei, że czegoś się nauczy.

W końcu przesunęła się tak, że klęczała za głową Kahlan. Pochyliła się, odgarnęła wilgotne pasma włosów i przycisnęła dłonie do jej skroni. Rozsunięte palce spoczywające na policzkach Kahlan były takie drobne i delikatne, że Richard się bał, że dziewczyna nie będzie mieć siły potrzebnej do tak trudnego zadania, nie wspominając już nawet o doświadczeniu.

Przypomniawszy sobie, że uzdrawiał ludzi, w ogóle nie mając żadnej wprawy. Podejrzewał, że Sammie wie o wiele więcej. No ale chodziło o Kahlan i nie mógł przestać się zamartwiać, nie potrafił uspokoić łomoczącego serca.

Oczy dziewczyny uciekły w głąb czaszki, zamknęła powieki. Wciąż trzymając w dłoniach głowę Kahlan, wyprostowała ramiona i odchyliła głowę, przywołując dar.

Richard jakiś czas temu przekonał się, że umie dostrzec otaczającą czarodziejkę aurę daru. Teraz dostrzegł tę aurę wokół Sammie przywołującej moc. Wyglądało to jak migotliwe, barwne odkształcenie powietrza, coś w rodzaju fal żaru nad ogniskiem.

Dobrze było widzieć taką oznakę mocy lśniąca wokół Sammie. Chociaż

jej aura nie była tak silna jak u potężnej czarodziejki, jaką była Nicci, lecz bez wątpienia dar jaśniał wokół dziewczyny.

Miał nadzieję, że jej moc wystarczy.

Słuchał cichego posykiwania świec, a Sammie znowu się pochyliła i w skupieniu skłoniła głowę. Wiedział, czego doświadcza, jak to jest wnikać w osobę, której starasz się pomóc, zanurzać się w jej jaźni, dotykać jej najtajniejszej istoty. Patrzył, jak chwiały się płomyki świec, jak skapywał wosk. Cały czas się zastanawiał, co czuje Sammie, co wyczuwa we wnętrzu Kahlan.

Kilka świec nagle równocześnie zgasło. Richard rozejrzał się po izbie, szukając cieni. Sammie krzyknęła i zerwała się na równe nogi.

Zdumiony Richard też się poderwał. Ester się cofnęła.

Zanim zdążył zapytać, co się stało, Sammie zaczęła nieprzerwanie krzyczeć, ogarnięta paniką. Wymachiwała rękami, cofając się na oślep, aż uderzyła plecami o kamienną ścianę. W przerażeniu darła palcami powietrze. Kręciła głowę, jakby nie chciała patrzeć na to, co widziała.

Przeraźliwy wrzask był nie do wytrzymania. Ester lękliwie się schowała, na ile tylko mogła. Kiedy Sammie ruszyła ku wyjściu, Richard ją chwycił i nie pozwolił jej na to. Rozpaczliwie wymachiwała chudymi rękami, usiłując uciec przed czymś, co tylko ona widziała. Cały czas krzyczała w okropnym strachu, szarpiąc się z Richardem, starając się mu wyrwać.

Mocno trzymał dziewczynę i wreszcie udało mu się chwycić i unieruchomić dziko młójące ręce.

– Co się stało, Sammie? Płakała.

– Zobaczyłam w niej...

– Już dobrze. Jesteś bezpieczna. Co zobaczyłaś?

Obróciła się w jego ramionach i zaczęła go odpychać, łkając histerycznie i znów próbując uciec, Richard mocno ją przytrzymał. Choć był obolały i słaby, nie dała mu rady.

– Powiedz, co widziałaś, Sammie!

– Widziałam... – Tylko tyle wykrztusiła, łkając. Potrząsnął nią.

– Opanuj się, Sammie. Jesteś bezpieczna. Nic ci się nie stanie. – Znowu nią potrząsnął. – Natychmiast się uspokój. Tu chodzi o życie, może też twojej mamy. Musisz się opanować i powiedzieć mi, co widziałaś. Nie mogę ci pomóc, nie wiedząc, co się stało. Powiedz, co zobaczyłaś w Kahlan.

Zapłakana Sammie cała się trzęsła i szlochała.

– Co w niej zobaczyłaś?!

Twarz dziewczyny wykrzywiła się w grymasie przerażenia.

– Zobaczyłam śmierć.

## ROZDZIAŁ 9

Sammie znowu spróbowała się wyrwać, a Richard kolejny raz na to nie pozwolił.

– Co to znaczy, że widziałaś śmierć? Musisz ze mną porozmawiać. Co masz na myśli?

Sammie, ciężko oddychając, ocierała mokre od łez policzki. Parę razy szybko wciągnęła powietrze, a potem pokazała palcem, jakby to było jasne jak słońce, jakby i on mógł to zobaczyć.

– Ma w sobie śmierć!

– Uspokój się. Weź głęboki oddech. Kahlan jest nieprzytomna. Nie może ci nic zrobić. Jestem przy tobie. Chcę, żebyś mi to wyjaśniła. Kahlan żyje. Nie jest martwa.

Buzia Sammie znowu się skrzywiła, w oczach pojawiły się łzy.

– Ale widziałam...

– Jesteś czarodziejką – powiedział twardo. – Zachowuj się, jak przystało. Twoja mama zniknęła. Może potrzebuje pomocy. To ważne. Chciałaby, żebyś zajęła jej miejsce i zrobiła, co trzeba. Potrafisz to, wiem, że potrafisz.

Sammie pociągnęła nosem, starając się powstrzymać płacz. Wreszcie skinęła głową. Ester położyła dłoń na jej plecach.

– Jesteś bezpieczna, Sammie. Zrób, o co prosi lord Rahl.

Sammie drżała dolna warga. Patrzyła to na Ester, to na Richarda.

– Czy to zobaczył mój tata, kiedy umierał? Czy tak to jest? Musiał na to patrzeć? I mama też?

Czy wszyscy to widzimy, umierając?

Richard współczująco uścisnął jej ramiona i powiedział łagodnie:

– Przykro mi, Sammie, ale nie umiem ci odpowiedzieć. Nie wiem, co widzimy, kiedy umieramy, nie wiem też, co zobaczyłaś w Kahlan. Weź głęboki oddech. Lepiej?

Potaknęła i odgarnęła z policzka czarne włosy.

– No dobrze, teraz wyjaśnij mi, co się stało.

Sammie znowu głęboko odetchnęła i skinęła dłonią ku Kahlan.

– Byłam z nią złączona, wyczuwałam jej ból... no wiesz, ból płytszych ran, jak mi radziłeś.

Staralam się... zebrać jak najwięcej bólu i przyjąć go w siebie.

– Rozumiem – powiedział Richard, puszczając jej ramiona. – I co wtedy? Sammie położyła rękę na biodrze, a drżące palce drugiej przycisnęła do czoła, usiłując sobie przypomnieć.

– Nie wiem. Nie umiem tego opowiedzieć.

– Postaraj się, dziecko – ponagliła ją Ester.

Sammie obejrzała się na nią, a potem spojrzała Richardowi w oczy.

– Wiesz, że zaczynając uzdrawianie, masz uczucie, że porwał cię nurt wciągający cię coraz głębiej, tam, gdzie coraz większe cierpienie tej osoby?

– Tak, wiem, o czym mówisz – powiedział Richard. – Jakbyś w miarę jak się koncentrujesz na jej cierpieniu, zatracala poczucie tego, kim jesteś. Masz wrażenie, jakbyś się rozpuszczała w tej osobie, wnikając coraz głębiej w jej jaźń. Że to coś czerpie z ciebie moc i „ciągnie” cię w głąb.

Sammie potakiwała.

– Właśnie tak. Ale kiedy uzdrawiałam innych, było inaczej. Teraz to było silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

– Pewnie głównie dlatego, że inni nie byli tak poważnie ranni. To potrzeba, cierpienie ciągnie cię ku sobie. Im poważniejszy uraz i silniejsza potrzeba, tym mocniej cię przyciąga. Nie musisz się obawiać tego doznania. Z tego, co wiem, to zwyczajna rzecz.

– Nie to mnie przeraziło – wymruczała Sammie, rzucając zatroskane spojrzenie na Kahlan.

Jej dolna warga znowu zaczęła drżeć. Była jak sparalizowana, nie mogła oderwać wzroku od Kahlan leżącej nieruchomo na jagnięcej skórze.

Richard obrócił buzię dziewczyny ku sobie.

– No dalej. Powiedz mi, co widziałaś. Sammie splotła palce i zmarszczyła brwi.

– Kiedy zaczęłam w nią wnikać, poczułam, że wciąga mnie coraz szybciej. Dotarłam głębiej, niż oczekiwałam. Uświadomiłam sobie, że nie tyle ja staram się w nią wnikać, ile że coś mnie cały czas wciąga. Jakbym się pośliznęła, schodząc stromym stokiem.

– Mówiłem już, że to normalne.

– Początkowo też tak pomyślałam. Ale szybko zrozumiałam, że nie dążę ku jej cierpieniu, tak jak w innych przypadkach. Ciągnęło mnie ku czemuś.

– Ku czemu? – zapytał Richard.



– Czemuś mrocznemu. I złowrogiemu. Kiedy znalazłam się bliżej, usłyszałam głosy. Tego Richard się nie spodziewał.

– Jakie głosy?

– Początkowo nie wiedziałam, co to za dźwięk. Na początku był to odległy gwar. Kiedy coraz szybciej mnie wciągało w ten mrok w niej, zrozumiałam, że słyszę krzyki.

Richard zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem. Jak mogłaś słyszeć krzyki?

Sammie zapatrzyła się przed siebie, jakby znowu tego doświadczała.

– To było jak tysiąc krzyków, jak straszny chór. – Potrząsnęła głową, może usiłując się wyrwać temu wspomnieniu. Znowu popatrzyła na Richarda. – Nie, nie jak tysiąc. Jak milion. Jak milion milionów. Jak niezliczone krzyki dobiegające z mrocznej głębi. Był to najokropniejszy, najsmutniejszy, najbardziej przerażający dźwięk, jaki możesz sobie wyobrazić. Wydawało się, że mógłby cię rozerwać na strzępy.

Richard spojrzał na Kahlan.

– Widziałaś coś? – dążył. – Widziałaś, kto krzyczy? Sammie wykręcała sobie palce.

– Ciągnęło mnie w mrok. Ale potem zobaczyłam, że to właściwie nie jest ciemność.

– To znaczy?

– To bardziej wyglądało jak kłębiące się kształty. To stamtąd dochodziły krzyki. Kotłujący się i wirujący tłum duchów, a wszystkie naraz krzyczały, szarpały się i wiły.

Richard osłupiał.

Sammie szukała właściwych słów, żeby to opisać.

– Przepraszam, że nie umiem tego dobrze wyjaśnić, ale kiedy na to patrzyłam, czułam, że widzę śmierć. Samą śmierć. Po prostu to wiedziałam.

Richard zmusił się, żeby oddychać.

– To rzeczywiście brzmi przerażająco i chociaż nie umiem tego wytłumaczyć, to wcale nie musi znaczyć, że widziałaś śmierć.

Sammie przechyliła głowę i spojrzała na niego chmurnie.

– Ależ tak, lordzie Rahlu. Wiem, że to była śmierć.

Richard nie mógł się doczekać, kiedy czarodziejka wróci do uzdrawiania Kahlan, ale napominał się, że powinien być cierpliwy nie tylko przez wzgląd

na jej młody wiek i brak doświadczenia, ale też i lęk. To wszystko było dla niej nowe, no i nie było tu jej matki, która mogłaby ją wesprzeć. Podejrzał, że po prostu źle odczytała ból ciężkich ran Kahlan.

– To, co wyczuwałaś, Sammie, pewnie było strasliwym bólem Kahlan. Uzdrawiałem już poważnie rannych ludzi i wiem, jakie to może być przerażające. Wniknięcie w ich cierpienie to trudne doświadczenie. Wydaje się, że czas się zatrzymuje. Świat żywych staje się odległy. Zagubiony w tym osobliwym miejscu z ich cierpieniem wiesz, że ból może ich zabić i że tylko ty możesz temu zapobiec. Że jeśli nie zdołasz im pomóc, umrą.

– Nie – upierała się Sammie, kręcąc głową. – Kiedy spojrzałam przez tę migotliwą zieloną kotarę, wiedziałam, że patrzę przez zasłonę w świat zmarłych.

Richard zamarł. Izba zdawała się zbyt cicha, zbyt mała, zbyt duszna.

– Co powiedziałaś? Oblizwała wargi.

– Kiedy spojrzałam za tę kotarę, wiedziałam, że patrzę w...

– Powiedziałaś, że była zielona.

Sammie zmarszczyła czoło i znów powstrzymywała łzy.

– Tak. – Spojrzała na niego chmurnie. – Wyglądała jak połyskliwa zielona mgła. Marszczyła się, jaśniejsza i ciemniejsza, jak poruszana wiatrem delikatna, cienka, przejrzysta zasłonka. Trudno to opisać. Za tą zieloną zasłoną zobaczyłam coś, co wyglądało jak kłębiący się tłum duchów. Wszystkie krzyczały, jakby w okropnym cierpieniu. To ten dźwięk słyszałam. Niektóre rozpadały się z wrzaskiem, a inne bezustannie wyłaniały się z czerni, żeby zająć ich miejsce, dołączając swoje upiorne wrzaski, a wszystkie te dźwięki zlewały się w jeden przeciągły, rozpaczliwy krzyk. Niektóre dusze mnie zobaczyły i próbowały chwycić, ale nie mogły sięgnąć przez tę zieloną zasłonę. Dawały mi znaki, żebym do nich dołączyła. To śmierć mnie wołała, próbowała mnie wciągnąć.

Richard się odwrócił i patrzył na leżącą Kahlan. Wiele razy się zetknął z zaświatami.

Oddzielająca je zasłona zawsze miała niesamowitą zieloną barwę.

Powoli osunął się na kolana obok nieprzytomnej kobiety, którą kochał nad życie.

– Co się dzieje, drogie duchy?

## ROZDZIAŁ 10

– O co chodzi? – Ester patrzyła to na Sammie, to na Kahlan. – W czym rzecz, lordzie Rahlu? Wiesz, co to znaczy? Co jej dolega?

Richard nie odpowiedział. Położył dłoń na ramieniu Kahlan, poczuł jej ciepło, oddech, wyczuł w niej życie. Choć bardzo cierpiał, ignorował własny ból. Ona była w poważnych tarapatkach i potrzebowała pomocy. Kogoś z darem.

Pomocy większej niż mogła ofiarować Sammie.

Odgroził się od wszystkiego, co go otaczało, wycofał do spokojnego miejsca w swoim wnętrzu. Ludzie w domostwach w stoku góry już nie byli tak blisko. Stopniowo cichł gwar ich głosów. Głosy Ester i Sammie zmieniły się w odległy szmer, kiedy koncentrował się na tym, co należało zrobić dla Kahlan.

W owej wewnętrznej ciszy starał się wniknąć w ukochaną, żeby ją uzdrowić, a przynajmniej zorientować się, w czym problem. Chciał to sam zobaczyć. I się z tym rozprawić. Chciał przegnać tę ukrytą grozę. A przede wszystkim chciał ukoić jej cierpienie. Gorąco pragnął, żeby znów otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Choć już wcześniej leczył Kahlan, kiedy była ciężko ranna, tym razem nadaremnie próbował przywołać swoją uzdrowicielską moc. Nie tyle trudno mu było sobie przypomnieć cały proces, ile wyglądało to tak, jakby nigdy nie potrafił tego robić. Doprowadzało go do furii to, że nie może odnaleźć drogi, choć wie, gdzie chce dotrzeć i że kiedyś tam był.

Jakby nigdy w przeszłości nie uzdrawiał. A przecież tak było, wiedział o tym. Nie miał pojęcia, czego teraz zabrakło i jak to odszukać.

Powinien czuć, jak się w nim budzi empatia, żeby go wprowadzić w cierpienie Kahlan – a nie czuł nic. Rozpaczliwie pragnął jej pomóc, lecz nie był to jedyny problem.

Nie miał wątpliwości, że powinien przynajmniej coś wyczuć. Tak samo było na wozie, kiedy chciał przywołać swój dar, żeby ochronić Kahlan przed napastnikami. Wtedy też nic się nie stało. A jego moc powinna działać przede wszystkim po to, żeby ją chronić i uzdrawiać.

Nie chodziło o to, że sam był ciężko ranny lub za słaby. Wiedział już, że

dzieje się coś poważniejszego. Na czymkolwiek jednak polegał problem, nie miał pojęcia, jak mu zaradzić.

Przerazony i zaniepokojony zastanawiał się, czy jego dar całkiem zniknął.

Uświadomił sobie, że zamiast czuć uzdrawiającą moc daru, słyszy cichutki dźwięk. Skupił się na słuchaniu, starał się dociec, co to takiego, i zmroziło mu krew w żyłach, bo dotarło do niego, że to brzmi jak odległe krzyki.

Nie wiedział, czy dochodzą one z czegoś, co było w Kahlan... czy też z jego wnętrza. Zastanawiał się też, czy to możliwe, że to tylko jego wyobraźnia. Nie potrafił uwolnić się od lęku przed tym, o czym mówiła Sammie.

Stłumił narastającą panikę. Powiedział dziewczynce, żeby się uspokoiła, że lęk w niczym nie pomoże, więc powinien się zastosować do własnej rady. Musi jasno myśleć, jeśli chce działać skutecznie.

Z jakiegoś powodu nie udawało mu się nic, co robił, żeby uzdrowić Kahlan. Otworzył oczy, wstał i podszedł do Sammie.

– Ty też to w niej wyczułeś? – spytała. Richard pokręcił głową.

– Co jeszcze w niej czułaś?

Pytanie wyraźnie speszyło Sammie; onieśmielał ją również górujący nad nią wzrostem Richard.

– Nic. Bałam się. I wycofałam.

Richard się odwrócił i patrzył na Kahlan, w zamyśleniu skubiąc dolną wargę.

Cokolwiek było nie tak, musiało się to stać w kryjówce Zaszytej Służki. Jego kłopoty też się tam zaczęły. Obydwoje z Kahlan byli nieprzytomni, kiedy znaleźli ich Zedd, Nicci i Cara.

Pamiętał, że zabił Zaszytą Służkę. Ostrzeżono go, że ani jego miecz, ani dar na nic mu się nie zdadzą w walce z nią. Wróżebna machina wypisała proroctwo: *Twoja jedyna szansa to uwolnić prawdę.*

Dzięki tej wskazówce zrozumiał, że tę wstrętą istotę można pokonać tylko wtedy, kiedy się przetnie skórzane rzemyki, którymi zaszyto jej usta. Wtedy wydarł się z niej wrzask, który w niej przez całe życie więziły. Wyzwoliły się zepsucie i śmierć, zamknięte i buzujące w jej wnętrzu.

Zanim jednak to zrobił, skręcił zatyczki z płótna i zatkał uszy Kahlan i

sobie, żeby nie słyszeli tego pełnego jadu i zła wrzasku zrodzonego w świecie zmarłych – żeby nie usłyszeli zewu śmierci.

A przynajmniej sądził, że dzięki temu nie usłyszą. Znowu spojrzał na Sammie.

– Chcę, żebyś wniknęła we mnie swoim darem, tak jak w Kahlan. Muszę wiedzieć, czy wyczujesz we mnie to samo, co w niej.

Sammie pokręciła głową i odsunęła się.

– Posłuchaj mnie! – krzyknął. – Stawką jest życie! Nie proszę cię, żebyś przeszła za tę zieloną zasłonę i dotarła do tego, co odebrałaś jako śmierć. Muszę wiedzieć, czy jest we mnie to, co w Kahlan.

Kiedy dziewczynka znowu zaczęła się cofać, chwycił ją za szczupły przegub.

– Wysłuchaj mnie, Sammie. Potrafiłaś się wydostać z wnętrza Kahlan, prawda? Popatrzyła z lękiem na leżącą kobietę.

– Tak.

– Więc to nie może cię wciągnąć. Cokolwiek w niej wyczułaś, nie ma takiej mocy. Nad wszystkim panujesz. Chociaż wniknęłaś w nią głęboko, to się wydostałaś, tak?

Nie odpowiedziała.

– Tak? – powtórzył.

Wiedział, że budzi w niej strach, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Właściwie tak – przyznała wreszcie.

– To oznacza, że ty decydujesz. Zło może próbować cię przyciągnąć, ale masz wolną wolę i potrafisz się oprzeć temu mrocznemu zewowi. Zdecydowałaś, że nie dasz się wciągnąć złu.

Puścił jej przegub i ręka Sammie opadła.

– Chyba masz rację.

– Wiem, że tak jest – powiedział Richard. – Wiem to, ponieważ wróciłaś z własnej, wolnej woli. A także dlatego, że inni uzdrawiali Kahlan i mnie. Oni mają większe doświadczenie i wiedzą o uzdrawianiu nieporównanie więcej, niż ty czy ja kiedykolwiek się dowiemy. Wyczuliby, co w niej jest, i nie staraliby się jej uleczyć, gdyby to była śmiertelna pułapka.

– Skąd masz pewność, że ją uzdrawiali?

– Zaleczyli jej ranę na brzuchu. Sammie przez chwilę rozmyślała.

– Tak – przyznała w końcu. – Wyczułam uzdrawiające procesy.

Powiedziałabym, że było to niedawno, że krótko przede mną leczył ją ktoś inny.

– I oni wrócili. Ty też potrafiłaś wrócić. To oznacza, że nie jesteś bezbronna wobec zewu śmierci.

Była wyraźnie spokojniejsza, choć jeszcze nie całkiem uspokojona.

– To ma sens.

Richard zbliżył się o krok.

– Chcę, żebyś mnie sprawdziła. Muszę wiedzieć, czy to samo jest i we mnie. Przez chwilę patrzyła mu w oczy z zaskakującą jak na swój wiek powagą.

– Podejrzewasz, że też masz to w sobie, i uważasz, że może właśnie przez to twój dar nie działa – powiedziała.

To nie było pytanie.

Richard uniósł brew, a potem usiadł na podłodze i skrzyżował nogi.

– Chodź. Zrób to teraz. Muszę wiedzieć.

Podenerwowana Sammie westchnęła, lecz się poddała i usiadła przed nim. Podążyła za wzrokiem Richarda – kot właśnie wolnym krokiem wszedł do izby i zaglądał w ciemne miejsca za poduszkami pod przeciwległą ścianą.

– Myślę, że on wyczuł to, co zobaczyłam w Matce Spowiednicze – powiedziała Sammie.

– Kot?

Potaknęła, krzyżując nogi tak samo jak on.

– Mama mówi, że koty są wyczulone na dusze, na rzeczy ze świata zmarłych.

Richard przez chwilę w milczeniu przyglądał się dziewczynie, potem wyciągnął ręce.

– Ujmij moje dłonie. Spróbuj uleczyć kilka moich ran. Zrób to samo, co z Kahlan.

Sammie w końcu ujęła jego dłonie. Richard nie za bardzo mógł utrzymać w górze lewą rękę, więc oparł przedramiona na kolanach. Ślady po ukąszeniach znowu zaczęły krwawić.

Dłonie Sammie przy jego rękach wydawały się bardzo małe. Przyszło mu na myśl, że teraz, choć jest taka młoda i niedoświadczona, ma większą moc niż on. Niezbyt pocieszająca myśl.

Dziewczyna zamknęła oczy, zaczęła wolniej oddychać. Richard zrobił to

samo w nadziei, że ułatwi jej zadanie. Ester przypatrywała się z boku, wykręcając sobie palce.

Richard starał się nie myśleć o tym, co może znaleźć Sammie. Zamiast tego myślał o Zeddzie, Nicci, Carze i jej mężu, Benie, który jako generał prowadził oddział na poszukiwania jego i Kahlan. Musi się dowiedzieć, co się z nimi stało. Nigdy z własnej woli nie zostawiliby jego i Kahlan na pastwę losu.

Przypomniawszy sobie kości i strzępy mundurów. I to, co mówili ci dwaj mężczyźni – że zaatakowali ich Shun-tuk. I martwych napastników, gębę jednego z nich – zakrwawione zęby spiłowane na ostro, żeby lepiej szarpały ciało.

Zaszyta Służka nie żyła, toteż uznał, że walka się skończyła. Okazuje się zaś, że dopiero się zaczęła. Działo się coś jeszcze. Coś, czego nie pojmował.

Musiał znaleźć odpowiedzi i wiedział, że czas działa na ich niekorzyść. Jeżeli bliscy mu ludzie byli w rękach Shun-tuk, to z każdym mijającym dniem malały ich szanse na przeżycie. Im dłużej Kahlan była pozbawiona pomocy kogoś z darem, tym bardziej się obawiał o jej los. A i z nim samym nie było najlepiej.

Także ci ludzie, mieszkańcy Stroyzy, byli w tarapatkach, pewnie o wiele większych, niż im się zdawało. Byli przyzwyczajeni do surowych warunków życia i niebezpieczeństw Mrocznych Ziem, lecz te dzikusy żywiące się ludzkim mięsem wydawały się czymś niespotykanym.

Sammie nagle zachłysnęła się oddechem i gwałtownie cofnęła dłonie, puszczając jego ręce, jakby płonęły żywym ogniem.

Richard pochylił się ku niej.

– Co zobaczyłaś?

Oczy Sammie były pełne łez i rozszerzone przerażeniem. Oddychała szybko i nierówno.

– Wyczułam twój ból – wyszeptała. – Drogie duchy, jak możesz to wytrzymać?

– Nie mam wyboru. Stawką jest życie tych, których kocham, i tych, których przysięgałem bronić. W tej chwili to jest dla mnie najważniejsze. Co jeszcze wyczułaś?

Sammie otarła łzy.

– Wyczułam to samo, lordzie Rahlu. Masz w sobie to, co Matka

Spowiedniczka. Śmierć za zieloną zasłoną. W obydwójgu was jest śmierć.

Richard wcale się nie zdziwił. Prawdę mówiąc, niczego innego się nie spodziewał. On i Kahlan byli zmuszeni słuchać wrzasków Zaszytej Służki, płynących z samych zaświatów.

Spojrzał w poszarzałą twarz Ester.

– Przyrowadź do mnie Henrika.

– Teraz – zakłopotana się – trzeba się zająć twoimi ranami, lordzie Rahlu.

Ramię znowu krwawi i...

– Natychmiast – powiedział Richard.



## ROZDZIAŁ 11

Richard usłyszał kroki w korytarzu. Ester odchyliła owczą skórę i wszedł Henrik. Kiedy zobaczył Richarda, uśmiechnął się, lecz uśmiech nie ukrył troski.

Richard go odwzajemnił, ale nie taił, że i on się martwi.

– Dziękuję, Henriku, że przyszedłeś. Podejdz i usiądź przy mnie.

Henrik ostrożnie usiadł na podłodze, blisko niego i Sammie. Oczy, w których odbijały się płomyki świec, błędziły po Kahlan. Nie żyłby, gdyby nie przyszła do kryjówki Jit i go nie uwolniła.

– Czy Matka Spowiedniczka wydobrzeje, lordzie Rahlu?

– Nie wiem. Nie do końca wiemy, co jej jest. Mam nadzieję, że uzupełnisz choć niektóre luki i powiesz mi coś, co pomoże nam ją uzdrowić.

– Nie znam się na chorobach, ale myślę, że jej nie uleczysz. Richard się zdziwił.

– Czemu tak mówisz?

– Bo słyszałem, jak rozmawiali Zedd i Nicci. Mówili, że mogą tylko mieć nadzieję, że zdołają wam chwilowo pomóc, zanim was dowiozą do Pałacu Ludu.

Zdumiona Sammie przysunęła się bliżej.

– Do Pałacu Ludu? Naprawdę? Słyszałeś dlaczego? Henrik potaknął.

Ester, widząc, że są zajęci rozmową, przysunęła wiadro z wodą i bandażę, żeby znów się zając obmywaniem ran Kahlan.

Richard uniósł rękę, powstrzymując Henrika od odpowiedzi na pytanie Sammie.

– Chcę, żebyś zaczął od początku. Opowiedz mi, co się wydarzyło. To ważne, żebyśmy znali szczegóły. Niczego nie pomijaj. Czasem drobiazgi mają znaczenie, którego ty nie doceniasz, lecz ja mogę je pojąć.

Richard wspomniał, ileż to razy Zedd mówił mu to samo. Czarodziej zawsze się domagał najdrobniejszych szczegółów. Trochę dziwnie się poczuł, powtarzając słowa, którymi Zedd tak go irytował.

Henrik odgarnął włosy z oczu.

– Matka Spowiedniczka się zjawiała i odcięła mnie od ściany z ciernistych pnączy, w której mnie więziła Zaszyta Służka, ale potem pojawiła się Jit i ją

pojmała, wtedy ja mogłem już uciec. O tym już wiesz, bo wpadłem na ciebie, uciekając z kryjówki Jit. Powiedziałaś mi, że wasi przyjaciele jadą na pomoc z Pałacu Ludu, i poprosiłaś, żebym ich odszukał i powiedział im, gdzie jesteście. No to pobiegłem i zaraz natknąłem się na oddział towarzyszący Zeddowi, Nicci i Carze.

Spieszyło się im, żeby was znaleźć. Powiedziałem im, gdzie jesteście i że Jit uwięziła Matkę Spowiedniczkę. Że chcesz ją uratować. Poszedłem z nimi, żeby im wskazać drogę. Kiedy wreszcie dotarliśmy do kryjówki Zaszytej Służki, Jit nie żyła. Wyglądało to tak, jakby rozerwało ją od środka. Wszędzie było pełno krwi. To był okropny widok. Obydwoje z Matką Spowiedniczką byliście nieprzytomni i bardzo krwawiliście. Kiedy Cara i żołnierze wyciągnęli was z ciernistych pnączy, w których was uwięziła Zaszyta Służka, Zedd spalił to straszne miejsce do gołej ziemi. Dziwnie było patrzeć na ogień płonący wśród mokradeł. Mocno się paliło. Płomienie lizały chmury. Z kryjówki Jit nic nie zostało.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Richard na wpół do siebie. – I co potem? Henrik lekko się skrzywił i zmarszczył czoło, przypominając sobie wydarzenia.

– Żołnierze położyli was na wozie. Cara była taka wściekła, że spotkała was krzywda, że sama prawie pluła ogniem.

Richard nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Mogę to sobie wyobrazić. – Jego uśmiech jednak znikł, kiedy pomyślał, w jakim niebezpieczeństwie są Cara i pozostali; musiał ich odnaleźć, i to szybko.

– Mów dalej.

– Jazda pojechała przodem i ruszyliśmy do Pałacu Ludu. Zedd i Nicci się wami zajmowali. Zedd naprawdę się martwił, że jesteście w takim stanie. Kiedy szli przy wozie, znalazł w twoim uchu zatyczkę. Nicci znalazła takie same w uszach Kahlan. Powiedziała: „Nic dziwnego, że żyją”. Zedd nie zrozumiał. Więc ona powiedziała mu, co się mówi o krzyku Zaszytej Służki: że kiedy rozdziawi usta, jest to wrzask samego Opiekuna. Że wciągnąłby w zaświaty i Zaszytą Służkę, i każdego, kto by go usłyszał. Że wrzask Zaszytej Służki oznacza śmierć nawet dla niej samej, dlatego w dzieciństwie, jeszcze zanim zdąży wykształcić głos zdolny przywołać śmierć do świata żywych, matka ciasno zszywa jej wargi rzemyczkami przepojonymi tajemną mocą

powstrzymującą śmierć.

Nicci mówiła, że sądzi, iż przeżyliście dzięki tym zatyczkom, które osłoniły was przed pełną mocą tego wrzasku.

Zedd chciał wiedzieć, skąd ona tyle wie o takich sprawach. Nicci na to, że była kiedyś Siostrą Mroku służącą Opiekunowi i stąd ta wiedza. Powiedziała, że Zaszyte Służki to wstrętne istoty korzystające z tajemnych mocy bezpośrednio związanych ze światem zmarłych. Że takie moce to wypaczenie Grace i dlatego wasz dar by na nie nie działał. Zaszyta Służka dlatego była tak groźna, że moc lorda Rahla i Matki Spowiedniczki przed nią nie chroniła. Potem Nicci wyjaśniła, że oddziaływała na was nie tylko tajemna moc Zaszytej Służki, lecz, co ważniejsze, także jej wrzask. Powiedziała, że poprzez niego dotknęła was i skaziła sama śmierć.

Sammie spojrzała na Richarda, jakby chcąc rzec „a nie mówiłam”. Richard skinął na Henrika, żeby dalej opowiadał.

– Zedd nie do końca wierzył w to, co mówiła Nicci o potędze wrzasku zrodzonego w zaświatach i o śmierci.

– Brzmi znajomo? – szepnęła Sammie.

Richard spojrzał na nią z ukosa, ale nic nie powiedział.

Henrik był pochłonięty swoją opowieścią i nie usłyszał dziewczynki.

– Nicci przyłożyła dwa palce do głowy Kahlan. Powiedziała do Zedda: „Sam się przekonaj”. Nachylił się i przytknął palce obok palców Nicci. Spytała, czy to czuje. Zedd odpowiedział, że czuje coś przerażającego, grobowy mrok. Wyjaśniła mu, że właśnie wyczuwa zmasę śmierci, którą Zaszyta Służka was naznaczyła.

– Tak jak mówiłam – stwierdziła Sammie. Richard potaknął.

– Miałaś rację.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, a Henrik podjął opowieść:

– Zedda naprawdę przestraszyło to, co wyczuł w Kahlan. Cara też się przeraziła. Zapytała, czy umrzecie, skoro macie w sobie śmierć. Nicci na to, że do tego nie dopuści. Powiedziała, że pewnie przeciąłeś rzemyki zszywające usta Zaszytej Służki, a oboje żyjecie tylko dlatego, że zatyczki, które wetknąłeś wam w uszy, stłumiły zew śmierci, lecz ona i tak was skaziła.

– Mówili, jak ich uleczyć? – zapytała Sammie nagle podekscytowana możliwością rozwiązania zagadki.

– Nicci powiedziała, że chyba może to zrobić, ale w czymś, co nazwała

polem ograniczającym.

Richard miał wrażenie, że zapada się pod nim podłoga. Tu już nie chodziło o zwyczajne uzdrawianie przez kogoś z darem. To nie był taki sobie uraz. Skryte w nich zagrożenie będzie wymagało czegoś więcej.

– Pole ograniczające? – Sammie zmarszczyła czoło. – Co to takiego? Henrik wzruszył ramionami, zakłopotany tym, że nie umie odpowiedzieć.

– To miejsce niepozwalające wniknąć żadnym obcym zakłębom, kiedy korzystasz z niebezpiecznych form magii – wyjaśnił Richard. – Co ważniejsze, zatrzymuje wewnątrz moce, które uwalniasz. Takie, którym nie chciałabyś pozwolić uciec.

Sammie to najwyraźniej oszołomiło.

– Gdzie znajdziemy jakieś pole ograniczające? Jak je zrobić?

– Są prastare – powiedział Richard. – O ile wiem, wykonali je przed wiekami potężni czarodzieje. Znam tylko parę, mają tysiące lat.

– Jest takie w Pałacu Ludu – wtrącił Henrik.

– Owszem – przytaknął Richard. – Ogród Życia jest polem ograniczającym.

Henrik zmrużył oczy, przypominając sobie wszystko dokładnie.

– Nicci powiedziała, że potrzebuje pola ograniczającego, żeby osłoniło ciebie i Matkę Spowiedniczkę, kiedy będzie się wami zajmować. Że musi usunąć z was dotyk śmierci. A ponieważ skażenie wypaczyło w was Grace, to gdyby spróbować je usunąć poza polem ograniczającym, zew śmierci przyciągnąłby do was Opiekuna zaświatów i byście umarli. Powiedziała, że mogą jednak uleczyć inne rany i powinni to zrobić natychmiast, żeby was utrzymać przy życiu, aż was dowiozą do pola ograniczającego.

Ta dziwna opowieść ogromnie zdumiała Sammie.

– Chciałabym zobaczyć pałac. Na pewno jest wspaniały. Jeszcze nigdy nie słyszałam o polu ograniczającym. Jak ono wygląda?

Richard wskazał w górę.

– To w Pałacu Ludu jest pięknym ogrodem pod szklanym dachem i...

– Szklany dach? – Sammie rozdziawiła buzię. – Nawet nie śniłam o tak niesamowitych rzeczach. Wszystko bym dała, żeby zobaczyć ten cudowny pałac.

– Może pewnego dnia zobaczysz – powiedział Richard. Nie mógł się doczekać dalszego ciągu opowieści Henrika. – I co potem?

– Zedd powiedział, że trzeba szybko wracać do pałacu. Pochylił się nad Kahlan, zatroskany tą paskudną raną na jej brzuchu. Wóz trząśł, więc się otworzyła i mocno krwawiła. Zaczął ją ulecząć, a Nicci przeszła na drugą stronę wozu i zaczęła uzdrawiać ciebie, lordzie Rahlu. Carze spadł kamień z serca, bo wreszcie się wami zajęli, weszła na wóz i usiadła obok generała Meifferta. Pomogła mi też się wdrapać, żebym mógł usiąść przy niej, a Zedd i Nicci pracowali.

– Czemu nie skończyli nas uzdrawiać? – zapytał Richard. – Co się stało? Henrik wyglądał teraz tak, jakby wolał nie opowiadać tej części historii.

## ROZDZIAŁ 12

Chłopiec spochmurniał i zapatrzył się we wspomnienia. W końcu zaczął mówić:

– Jechaliśmy tak szybko, jak generał Meiffert ośmielał się popędzać konie, to jego własne słowa. Bardzo się martwiliśmy o ciebie i Matkę Spowiedniczkę, chcieliśmy jak najszybciej wyjechać z Mrocznych Ziem i dotrzeć do pałacu. Zedd i Nicci musieli też wsiąść na wóz. Zedd zaklął i powiedział, że trzeba zwolnić, bo Matka Spowiedniczka jest ciężko ranna i powinien pozasklepić rany, a nie może tego zrobić, kiedy wozem tak trzęsie.

– Czy mówili coś o tym, co zamierzają zrobić, żeby ich uleczyć? – pytała z ciekawością Sammie. – Jak to zrobią przy tej tkwiącej w nich skazie śmierci?

Henrik pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia o uzdrawianiu, o magii. Słyszałem tylko, jak Nicci mówi do Zedda, że mogą zaleczyć rany, lecz muszą zostawić w nich tę skazę śmierci, póki nie dotrą do pałacu i pola ograniczającego.

– To dobre wieści – powiedział Richard. – To potwierdza, że możesz się zająć pomniejszych ranami, pomimo tego, co w nas widziałaś.

Sammie potaknęła w zamyśleniu, a Henrik opowiadał:

– Ściemniało się. Zedd i Nicci leczyli was swoim darem. – Znowu zapatrzył się w przeszłość, głos mu się łamał. – Inni bacznie obserwowali okolicę. Mroczne Ziemie są niebezpieczne nawet za dnia, a wszyscy wiedzą, że bez potrzeby nie należy przebywać na zewnątrz nocą.

Henrik machinalnie skubał chodnik, na którym siedzieli.

– Pewnie nic nie mogliśmy na to poradzić.

– Oczywiście – przyznał Richard. Ciężko mu poczuć winy, że to on ściągnął przyjaciół na Mroczne Ziemie.

– Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, dość wolno, jak nakazał Zedd, żeby on i Nicci mogli się skupić na uzdrawianiu was. Potem nagle obydwójce podnieśli wzrok.

– Jednocześnie? – zapytała Sammie. Henrik potaknął.

– Musieli coś wyczuć swoim darem – powiedziała Sammie. Richard tylko potaknął, nie chcąc przerywać Henrikowi.

– Zedd szepnął do generała, że w mroku są jacyś ludzie. Generał spytał ilu. Zedd przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział, że wielu. Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem.

Henrik zapatrzył się w dal, jakby znowu widział całą scenę.

– Choć ich nie widziałem, miałem wrażenie, że wyczuwam oczy obserwujące nas z mroku pośród drzew. Otaczał nas las, w którym można się było ukryć. Niebo było zachmurzone, księżyc nie dawał zbyt wiele światła. Trudno było coś wypatrzyć.

Chłopiec przełknął ślinę.

– Bałem się. Naprawdę mocno. Pewnie każdy z nas wiedział, że coś nam może grozić, ale nikt nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Widziałem, że jedni żołnierze mocniej chwytają lance, a inni miecze; wszyscy się upewniali, że broń jest w pogotowiu. Potem nagle zobaczyliśmy jakiś ruch na linii drzew, po prawej. Chociaż było ciemno, zobaczyliśmy masy ludzi wylewające się z lasu. W milczeniu wypadali spośród drzew. Nie wydawali wojennych okrzyków ani w ogóle żadnych dźwięków. Przez tę ciszę jeszcze straszniej było na to patrzeć. Było ich tylu, że wyglądało to tak, jakby ziemia się poruszała. Byłem śmiertelnie przerażony. Cara spytała generała, czy nie powinniśmy spróbować uciekać wozem. Zanim generał zdążył odpowiedzieć, Zedd oświadczył, że nie mamy rady uciec. Że są i przed nami, i za nami. Że nas okrążyli.

Żołnierze na koniach otoczyli wóz. Lansjerzy utworzyli zewnętrzny krąg i opuścili lance ku nadciągającym hordom. Trudno sobie było wyobrazić, że ktoś mógłby ich zaatakować.

Żołnierze w wewnętrznym kręgu dobyli mieczy i odczepili od pasów bojowe topory. Naszych nie było dużo i kiedy patrzyłem, jakie tłumy na nas idą, żałowałem, że nie ma ich więcej. Ale w końcu to byli d'harańscy żołnierze. Widząc, jak ci potężni mężowie dobywają broni, pomyślałem, że może jednak mamy szansę.

Richard wiedział, że to z pewnością nie byli zwyczajni żołnierze. Z pałacu wraz z Zeddem, Nicci i Carą musiała wyruszyć Pierwsza Kompania. Oddział ten, dowodzony przez generała Meifferta, był w Pałacu Ludu przyboczną strażą lorda Rahla. Byli to nie tylko najwięksi i najlepsi spośród d'harańskich żołnierzy, lecz także doborowi wojownicy. Zdyscyplinowani, biegli w walce i przygotowani do boju. Żyli po to, żeby wypełnić ten obowiązek. Całe życie

rywalizowali o dostanie się do tej kompanii.

– Zedd stanął na wozie, żeby lepiej widzieć – podjął Henrik. – Nicci też wstała, gniewnie pomrukując, że musiała przerwać uzdrawianie ciebie. Tamci ludzie ciągle wysypywali się z lasu i biegli ku nam, a Zedd stwierdził, że coś mu się zdaje, że czas na uzdrawianie właśnie się skończył.

Generał Meiffert powiedział żołnierzom, że choć nie miał zamiaru się zatrzymać i walczyć, to wszystko wskazuje na to, że jednak będą musieli to zrobić. Cara zaproponowała, żeby ciebie i Matkę Spowiedniczkę wsadzić na konie, a ona i paru żołnierzy mogliby z wami uciec, podczas gdy reszta będzie trzymała w szachu hordę. Zedd powiedział cicho, że to zły pomysł. Kiedy zapytała dlaczego, odparł, że najgorzej jest uciekać przed drapieżnikami, bo to tylko zachęca je do pogoni. Powiedział, że napastnicy nadchodzą ze wszystkich stron i że dopadliby każdego, kto by próbował uciec.

W izbie panowała głucha cisza zakłócana jedynie cichutkim posykiwaniem płomyków świec. Sammie siedziała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, czekając na dalszą opowieść. Nawet Ester zaniechała swojej pracy. Jej dłoń trzymająca okład znieruchomiła nad Kahlan.

– Zedd wyrzucił rękę ku niebu, wysyłając rozbłysk światła – mówił Henrik. – Najpierw była to tylko lecąca w górę iskierka, ale potem się zmieniła w jaskrawy, migotliwy ogień, który oświetlił całą okolicę.

W oczach chłopca pojawiły się łzy.

– I w tym blasku w końcu zobaczyliśmy idące na nas tysiące. Widziałem pędzących ku nam mężczyzn i kobiety. Większość była bosa, półnaga. Nie dostrzegłem, żeby ktoś miał miecz, włócznię lub tarczę, ale wielu miało noże. Kobiety też. Nasi byli konno i o wiele lepiej uzbrojeni. Pocieszałoby mnie to, gdyby tamci nie byli o tyle liczniejsi. Ogień wysłany przez Zedda zaczął przygasać i coraz słabiej było widać pędzących ku nam ludzi. Kiedy się zbliżyli, spróbował wysłać drugi rozbłysk, ale nie dał rady. Nicci zapytała, co jest nie tak. Zedd wydawał się zaskoczony, burknął, że nie wie. Nicci też spróbowała, ale i jej się nie udało.

Henrik znowu przełknął ślinę i na chwilę spuścił wzrok. Richard położył mu dłoń na ramieniu, ale nic nie mówił, dał mu czas na znalezienie słów.

Chłopiec odkaszlnął.

– Kiedy znaleźli się na tyle blisko, że mogli go usłyszeć, dowódca jazdy



stanął w strzemionach i krzyknął do nich, żeby się zatrzymali, bo zginą. Nic to nie dało. Do tej pory milczeli, ale kiedy dowódca ich ostrzegł, to zaczęli wywrzaskiwać, jakby się palili do walki. To nie były bojowe okrzyki żołnierskie, raczej przenikliwe wrzaski. Dla mnie brzmiało to tak, jakby byli złymi duchami ze świata zmarłych. Ich głosy zlały się w niesamowite zawroźnienie, aż mi włosy stanęły dęba. Kiedy generał Meiffert się przekonał, że się nie zatrzymają, kiedy zobaczyliśmy uniesione noże i już nie było wątpliwości, że zaatakują, rozkazał kawalerii na nich ruszyć. Połowa konnych popędziła ku nim, a druga połowa ochraniała wóz. Jazda wbiła się w czoło hordy, kosząc ich jak zboże. Choć było ciemno, księżyc dawał tyle blasku, że widziałem, jak napastnicy masowo giną.

Nabrałem otuchy, myśląc, że jeźdźcy przełamają atak i zmuszą ich do panicznej ucieczki. Ale potem się przekonałem, że wróg nie boi się konnych. Większość napastników nawet nie krzyczała, kiedy ich zabijano. Choć konnica kosiła masy wroga, miało się wrażenie, że za każdego, który padł, spomiędzy drzew wysypują się jeszcze liczniejsi.

Potem zobaczyłem, jak pierwszego jeźdźca ściągnięto z konia. To był wielki, zawzięty walczący żołnierz, zabijał mnóstwo wrogów, przebijając się w głąb hordy. Napastnicy się nie wystraszyli, nie przejmowali się zagrożeniem, otoczyli go rojem. Siekał ich na kawałki. Jego koń wielu stratował. Ale otoczyły go niesamowite roje wroga. Tak liczne, że dla wszystkich nie starczało miejsca. Pchali się, włazili tak na żywych, jak i na umarłych, każdy chciał go pierwszy dopaść. Tratowali się nawzajem. Żaden nie zwracał uwagi na umarłych i umierających. Obchodziło ich tylko, by dopaść jeźdźca. Chociaż żołnierz i koń zażarcie walczyli, to wielka ludzka masa wreszcie unieruchomiła wierzchowca. Inni żołnierze usiłowali pomóc towarzyszowi, siekąc wroga, żeby się przedostać do jeźdźca, ale widziałem wymachujące niezliczone ręce dźgające konia nożami, aż padł.

Henrik otarł oczy.

– Potem wszyscy spadli na żołnierza jak wataha wilków. I wcale go nie dźgali, tak jak przedtem konia.

Chłopiec umilkł, a Sammie zmarszczyła brwi.

– No to co robili?

Richard znał odpowiedź. O mało i jego to nie spotkało.

– Tłum chwycił go za nogi, ręce, za włosy i widziałem, jak wbijają w niego

zęby.

Rozszarpywali go niczym wilki jagnię.

## ROZDZIAŁ 13

Sammie popatrzyła na krwawiące rany na ręce Richarda.

– Zupełnie jak wtedy, kiedy zaczęli cię szarpać zębami, lordzie Rahlu.

– Na to wygląda – powiedział, czekając, aż Henrik zbierze myśli i podejmie opowieść.

To, co słyszał od Henrika o dziwacznej napaści, pasowało do tego, co podsłuchał z rozmowy mężczyzn. Rozmawiali o pożerających ludzi Shuntuk. W pobliżu wozu widział ludzkie kości i strzępy d'harańskich mundurów. Nie wiedział, ile takich szczątków mogło się jeszcze kryć w mrokach. Bał się o tym myśleć.

Na ile się zorientował, choć brzmiało to absurdalnie, to napastnicy myśleli, że zjadając go, wchłoną jego duszę. I gdyby nie mieszkańcy Stroyzy, na pewno by go zabili.

– Widziałem, jak padają kolejni żołnierze – powiedział Henrik. Broda mu drżała. – Słyszałem, jak krzyczą z bólu, kiedy ich ściągnano z koni i żywcem rozszarpywano na strzępy.

– A co z Zeddem i Nicci? – zapytał Richard. – Nie starali się użyć daru, żeby powstrzymać atakujących? Widziałem, jak Zedd zsyłał na nieprzyjaciół ogień czarodzieja. Jest niszczycielski nawet wtedy, kiedy wróg przypuszcza zmasowany atak. Obydwoje powinni coś zaradzić.

Henrik otarł nos rękawem.

– Zedd się starał, lordzie Rahlu. Coraz więcej naszych przyłączało się do walki, próbując nie dopuścić atakujących do wozu. Żołnierze zażarcie walczyli, ale wrogowie wciąż nadchodzili, wyjąc jak demony, co uciekły z zaświatów. Przy tych wrzaskach mało co było słychać, ale dosłyszałem rozmowę Zedda i Nicci. Gorączkowo się starali powstrzymać atak. Nie znam się na tym i nie wszystko słyszałem, ale wiem, że usiłowali rzucać zaklęcia na hordy napastników. Ale najwyraźniej nic się nie działo tak, jak oczekiwali. Nie wiem, co było nie tak, ale domyślam się, że pewnie by powstrzymali wroga, gdyby ich dar działał jak należy.

Czasem jednak coś im się udawało. Przynajmniej częściowo. Kiedy już nic nie dawało efektów, zobaczyłem, jak obydwójce wyciągają przed siebie ręce, jakby otwartymi dłońmi napierali na niewidzialną ścianę. Kiedy to

robili, czasami grupy napastników odrzucało do tyłu. Padali na ziemię i przewracali tych, co byli za nimi. Zwiewało ich w tył niczym liście w podmuchach wichru. Ale to działało tylko na jakiś czas i na ograniczoną liczbę napastników. Od Zedda i Nicci wymagało wielkiego wysiłku, a i tak nie wystarczało, żeby sobie poradzić z nieprzeliczonymi masami gnającymi na nas przez otwarty teren.

Zedd popatrzył wtedy na Carę i powiedział jej to, co nawet ja rozumiałem: że coś jest nie tak z ich darem. Generał rzekł, że przede wszystkim powinni chronić ciebie, lordzie Rahlu, i Matkę Spowiedniczkę. Że jeśli wszyscy skupią się na obronie wozu, to napastnicy się zorientują, że jest tam coś ważnego. Nicci spytała, co proponuje, a generał na to, że powinni zostawić wóz.

Myślałem, że Cara skręci mu kark. Wrzasnęła na niego, krzyczała, że póki żyje i może walczyć, za nic cię nie zostawi. Uciszył ją, tłumaczył, że jeśli porzucą wóz, jakby nic dla nich nie znaczył, i udadzą ucieczkę, wróg rzuci się za nimi, zostawiając w spokoju wóz. Powiedział, że najwyraźniej chcą ich zabić. Że nie ginęliby tysiącami tylko po to, żeby ukraść pusty wóz. Nicci powiedziała, że ma rację. Zedd dodał, że z wielką niechęcią się z tym zgadza i że powinni się pospieszyć z decyzją, bo inaczej będzie za późno. Cara tak mocno zaciskała zęby, że nie mogła mówić. Twarz miała czerwoną jak skórzany uniform. Na koniec warknęła wściekle i skoczyła na wóz. Pospiesznie rozwinęła starą płachtę i z pomocą Nicci rozciągnęła ją na dnie, przykrywając was, żeby wyglądało na to, iż wóz jest pusty.

Richard wreszcie pojął, czemu on i Kahlan leżeli nieprzytomni na wozie, przykryci płachtą.

– Nie wiem, czybym o czymś takim pomyślał – powiedział. – Ben nie bez powodu jest generałem. Co było potem?

– Cara zdjęła mnie z siedziska i postawiła obok siebie na wozie. Generał, Zedd i Nicci zeskoczyli na ziemię, a ona pochyliła się ku mnie i wycelowała mi w twarz Agiel. Kazała mi słuchać, i to uważnie. Pospiesznie spojrzała w las, po przeciwnej stronie od głównej masy napastników, gdzie nikogo nie zobaczyłem. Znowu się do mnie nachyliła i zapytała, czy widzę ścieżkę znikającą w lesie. Nie widziałem, ale bałem się przyznać. Powiedziała, że chce, żebym tam pobiegł i uciekał.

– Skoro była luka, to czemu wszyscy nie spróbowali tamtędy uciec? –

zapytała Sammie.

– Spytałem ją o to. Błagałem, żeby ze mną poszła. Powiedziała, że niesienie lorda Rahla i Matki Spowiedniczki by ich spowalniało i że nie mogliby wystarczająco szybko biec. Że tak liczną grupę by zauważono i ścigano. Że na pewno by ich dopadli, a wtedy wróg pojmałby lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę. Powiedziała, że dla D’Hary i dla przyszłości liczy się przede wszystkim ocalenie ciebie i Matki Spowiedniczki. Uznała, że Benjamin miał rację, to jedyna szansa na ocalenie was i że muszą szybko działać. Pobiegną w przeciwnym kierunku, żeby napastnicy pognali za nimi i nawet się nie zorientowali, że wy zostaliście w wozie. Zapytałem, co będzie z nią, generałem, Zeddem, Nicci i resztą żołnierzy. – Henrik umilkł na chwilę, tłumiąc szloch. – Cara zgrzytnęła zębami i powiedziała, że zrobią, co trzeba, żeby was chronić.

Henrik zalał się łzami. Sammie dotknęła jego dłoni i szepnęła, że rozumie. I jej oczy się zaszklily. Powiedziała, że to samo spotkało jej ojca, a jej mama zaginęła. Że wie, jak to jest cierpieć po stracie bliskich.

Chłopiec się zdziwił, usłyszawszy o jej rodzicach. Powiedział, że jej współczuje. Sammie uścisnęła mu dłoń i powiedziała, że nadciągają poważne tarapaty i że wszyscy muszą być dzielni.

Henrik podjął opowieść:

– Cara postawiła mnie na ziemi. Generał zawołał do niej z drugiej strony wozu, żeby się pospieszyła. Kiwnęła mu głową i spojrzała na mnie. Znów wycelowała Agiel w moją twarz i powiedziała, żebym gnał jak wiatr. Że muszę uciec, żeby znaleźć pomoc dla lorda Rahla i Matki Spowiedniczki. Wszyscy na mnie liczą. Postarają się odciągnąć wroga, żeby dać mi czas, bym się mógł przemknąć przez las. Byłem przerażony. Zapytałem, co się stanie z nią i z innymi. Odparła, żebym się o nich nie martwił. Moim zadaniem jest uciec i znaleźć pomoc. Stałem, trzęsąc się i gapiąc na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje. Cara ujęła mnie pod brodę i powiedziała:

„Uciekaj. Nie oglądaj się za siebie. Za nic się nie zatrzymuj. Znajdź dla nich pomoc. Zrozumiałeś?”. Kiwnąłem głową. Nie mogłem odpowiedzieć, bo za bardzo się bałem. Cara wskazała Agielem w mrok i nakazała: „Ruszaj!”. Odwróciłem się, ale chwyciła mnie za ramię. Obejrzałem się, była naprawdę blisko, patrzyła mi w oczy. Powiedziała: „Nie pozwól, byśmy zginęli na darmo, Henriku. Za wszelką cenę znajdź dla nich pomoc. Niech nasze życie

na coś się przyda. Znajdź kogoś, kto im pomoże”. Odparłem: „Przyrzekam, Caro”. Zobaczyłem jeszcze, jak dołącza do tamtych. Rzucili się do ucieczki, a wyjący wrogowie popędzili za nimi.

Henrik płakał.

Ból był tak silny, że Richardowi dygotały ręce. Nierówno oddychał. Lecz żał spychał cierpienie na dalszy plan. Dotknął ramienia chłopca, współczując jego udręce. Sam miał wrażenie, że serce mu pęknie.

– Kiedy biegłem do drzew, w końcu zauważyłem ścieżkę – powiedział Henrik, usiłując wziąć się w garść i dokończyć opowieść. – Dokoła słyszałem wycie. Nie zwalniając, wpadłem na ścieżkę. Zanim zrobiłem dziesięć kroków, zauważyłem kogoś wśród drzew. Zamarłem. Nie dostrzegli mnie. Zobaczyłem ciemne postaci przeciskające się przez zarośla. Uświadomiłem sobie, że jest tam wróg, i przypomniałem, jak Zedd mówił, że są wszędzie dokoła. Czekali w zasadzce, na wypadek gdyby ktoś spróbował uciec w tamtą stronę.

– To była pułapka – odezwał się Richard. – Postarali się stworzyć pozorną drogę ucieczki, żeby zwabić ludzi.

Henrik potaknął.

– Pewnie tak. Nie zauważyli mnie. Może dlatego, że jestem mały, a może dlatego, że byłem sam w ciemnościach, a wokół panował chaos. Kiedy do nich dotarło, że pozostali uciekają w przeciwnym kierunku, dostali szału i wypadli z lasu, żeby dołączyć do pościgu. Wiedziałem, że jeśli pobiegnę ścieżką, wkrótce mnie złapią. Znalazłem się w pułapce, nie miałem dokąd uciekać, no to się schowałem za zwalonym drzewem. Ryłem palcami w miękkim mchu i spróchniałym drewnie, żeby się wcisnąć pod pień. Leżałem nieruchomo, wstrzymując oddech. Dostrzegałem ciemne postaci poruszające się wśród drzew. Przebiegło obok mnie wiele par nóg. Cały czas pojawiało się ich coraz więcej. Wydawało się, że mijają mnie całe tysiące. Słyszałem odgłosy stóp dudniące w lesie.

Bąłem się, że lada chwila któryś mnie zobaczy i wywlecze z kryjówki. Wiedziałem, że wtedy rozszarpia mnie zębami, jak tamtego żołnierza. Długo siedziałem w ukryciu, bojąc się poruszyć.

Słyszałem, jak pędzą wśród drzew z tym przeraźliwym, świdrującym wrzaskiem, niczym horda dzikich zwierząt, które zwietrzyły krew.

Henrik popatrzył na Richarda.

– Generał i inni dobrze zrobili, nie próbując uciekać z tobą i Matką Spowiedniczką. Gdyby to zrobili, już byście nie żyli.

Richard wiedział, że on i Kahlan zawdzięczają życie przyjaciołom. Wydawało się niesprawiedliwe, że ocalał ich kosztem. Rozpaczliwie chciał znaleźć sposób, żeby im pomóc... jeśli jeszcze żyli.

– Wreszcie – podjął Henrik – minęła jakby cała wieczność, nie słyszałem już biegnących ludzi. Słyszałem z daleka ich wycia i wrzaski, kiedy gonili Carę i pozostałych. Odgłosy wciąż się oddalały. Kiedy w lesie od jakiegoś czasu było cicho, ośmieliłem się wreszcie wyczołgać i ostrożnie rozejrzeć. Nikogo nie zobaczyłem, w lesie było spokojnie i cicho. Pobiegłem.

– I biegnąc ścieżką, dotarłeś aż tutaj? – zapytał Richard. Henrik potaknął.

– Znalazłem ludzi oprzątających zwierzęta. Błagałem ich, żeby wam pomogli. Na szczęście się zgodzili.

## ROZDZIAŁ 14

– Nie wiadomo, co się z nimi stało. – Henrik zwiesił głowę i cicho zapłakał z żalu.

Sammie go objęła. Jej oczy lśniły od łez. Jej ojca zamordowano tak, jak opisywał Henrik, mama zaginęła i najprawdopodobniej spotkał ją ten sam ponury los – toteż dziewczyna dobrze rozumiała jego uczucia.

Ester popatrzyła na Richarda i dokończyła historię:

– Kiedy chłopiec się tu zjawił, nie mogliśmy zrozumieć, o czym mówi. Dość nieskładnie opowiadał. Nie było wątpliwości, że rozpaczliwie prosi o pomoc, ale ciężko nam było uspokoić go na tyle, żebyśmy mogli zrozumieć, o co dokładnie chodzi. Pokazywał kierunek i mówił, żebyśmy się pospieszyli. Kiedy zaczęliśmy pojmować, że był z jakimiś ludźmi, których napadnięto, i że są tam dwie osoby potrzebujące pomocy, wiedzieliśmy, że nie ma czasu do stracenia. Na Mrocznych Ziemiach nocą jest niebezpiecznie, a waszą grupę z pewnością spotkało coś okropnego. Musieliśmy natychmiast wyruszyć, odnaleźć was i zabrać w bezpieczne miejsce. Uznaliśmy, że szczegóły zostawimy na później. Choć się nie paliliśmy do zapuszczania się nocą na pustkowia, nie chcieliśmy was zostawić bez pomocy. Mroczne Ziemie są rzadko zaludnione. Niebezpiecznie tu, rozumie się, zwłaszcza nocą, lecz nigdy nie słyszeliśmy o takich hordach napastników, o jakich mówił Henrik. Pomyśleliśmy, że może tak mu się wydawało ze strachu. Nam trudno było uwierzyć w jego bezładną opowieść, a jemu ciężko było opowiadać, bo przede wszystkim chciał, żebyśmy jak najszybciej ruszyli na pomoc. Był taki wystraszony, iż nie mieliśmy wątpliwości, że sytuacja jest poważna.

Henrik nie wiedział, gdzie konkretnie jesteście. W końcu wydobyliśmy z niego, że jechaliście od Kharga Trace, od Zaszytej Służki. To nam wystarczyło. Od tamtych mokradeł biegnie tylko jedna, rzadko używana droga, toteż dobrze wiedzieliśmy, gdzie szukać. Zostawiliśmy chłopca tutaj i poszliśmy po was.

– Dobrze się spisałeś, Henriku – powiedział Richard. – Ocaliłeś nam życie. Henrikowi udało się uśmiechnąć.

– Tylko odwzajemniłem przysługę, lordzie Rahlu. Ty i Matka



Spowiedniczka mnie uratowaliście. – Skinął ku Kahlan. – Zasyta Służka całkiem by mnie wykrwawiła, jak innych biedaków, których nikt nie uratował. Umarli w jej kryjówce. Matka Spowiedniczka mnie uwolniła.

Richard potaknął.

– Ona właśnie taka jest. Zawsze walczy w obronie życia. – Potarł czoło, posmutniał. – A teraz musi walczyć o siebie.

Czuł się słabo, zarówno z powodu ran, jak i – po tym, co Henrik mu opowiedział o napaści – z obawy o przyjaciół i bliskich. Długa wojna się skończyła. Sądził, że wreszcie zapanował pokój i życie wróci do normy. Domyślał się, że na Mrocznych Ziemiach nic nie było zwyczajne. Ale wiedział też, że to wszystko było czymś niezwykłym nawet jak na te terytoria.

Powinien się położyć. Był chory z niepokoju o przyjaciół, rany po ukąszeniach boleśnie pulsowały, w głowie szumiało od narastającej gorączki.

Dowiedział się trochę więcej o uzdrawiających poczynaniach Zedda i Nicci, teraz musiał nakłonić Sammie, żeby pomogła Kahlan. On też potrzebował pomocy, ale wiedział, że może trochę poczekać. Nie wiedział za to, czy Kahlan może.

Richard już miał zapytać Ester, czy wie coś o tych, którzy zaatakowali jego przyjaciół, kiedy zobaczył, że po drugiej stronie izby kot nagle zwrócił się ku wejściu i wygiął grzbiet. Wyszczrzył zęby i zasyczał. Zjeżył ciemnoszarą sierść.

Richard poczuł, jak jemu też jeżą się włoski na karku.

– Często tak robi? – spytał cicho.

Sammie odgarnęła z twarzy pukiel czarnych włosów i spojrzała na kota, marszcząc brwi.

– Nie. Tylko wtedy, kiedy się czegoś przestraszy.

Płomyki świec zamigotały i zgasły, pozostała po nich unosząca się w nieruchomym powietrzu smużka dymu.

Richard usłyszał, jak koty w korytarzu miauczą dziko. Ester zaczęła się podnosić.

– Co, u licha...

Richard chwycił ją za ramię i przytrzymał. Henrik, słysząc ten koci chór, szeroko otworzył oczy. Sammie się nachmurzyła.

Wtedy w oddali ktoś wydał mrozący krew w żyłach wrzask.

Richard się poderwał. W oszołomieniu, z zawrotami głowy, usiłował

utrzymać równowagę, skupiając się na odgłosach z korytarza.

Dłoń instynktownie znalazła rękojeść miecza w pochwie u boku. Palce się zacisnęły na oplecionej metalową nicią rękojeści, bo korytarzami nagle poniosło się echo krzyków bólu i przerażenia. Początkowo był to tylko jeden krzyk, lecz wkrótce dołączyły inne.

Natychmiast wypełnił go gniew miecza. Miał wrażenie, że gwałtownie się zanurzył w lodowatej rzece. Wstrząśnięty, mocno wciągnął powietrze.

Z tych mrocznych wód uniósł się jego gniew i dołączył do furii płynącej z prastarego oręża. Początkowe wrażenie chłodu zapiekło go szalonym gniewem, kiedy moc miecza przywoływała swój odpowiednik z jego wnętrza.

Kiedy tak trzymał dłoń na rękojeści, płomień rozbudzonej furii pokonał słabość, ból i wyczerpanie. Moc miecza, jego gniew szalały w nim, żadne czynu w odpowiedzi na krzyki trwogi i bólu, które słyszał.

Dobył miecza i w izbie zabrzmiał charakterystyczny dźwięk stali.

Cudownie było go trzymać w ręku. Miecz dobyty, jego gniew obudzony – Poszukiwacz i Miecz Prawdy złączeni jednym celem i pragnieniem.

Stanowili szczególny, jedyny w swoim rodzaju oręż.

Ester się cofnęła. Richard mgliście uświadomił sobie, że pewnie przeraziła ją jego zacięta mina, a zwłaszcza wyraz oczu.

Henrik odsunął się pod ścianę, chcąc mu zejść z drogi.

Sammie przykucnęła obok Kahlan, gotowa jej bronić przed tym, co mogło tu się dostać. Richard nie zamierzał na to pozwolić.

Skierował miecz ku Kahlan i cicho powiedział do Sammie:

– Zostań tu i chroń ją.

Sammie, pełna determinacji, kiwnęła głową.

Richard odsunął zasłonę z owczej skóry i wypadł na korytarz, kierując się w stronę krzyków.

## ROZDZIAŁ 15

Usłyszał nie tylko krzyki przerażenia, ale i coś w rodzaju zwierzęcego warczenia, odgłos zupełnie niepasujący do tego świata. Złowrogi ryk, jawna groźba dla żywych istot, niósł się echem w ciemnych korytarzach.

Richard nie znał tego labiryntu tuneli wydrążonych w miękkiej skale, nie wiedział, dokąd prowadzą i gdzie się łączą, ale słyszał, z jakiego kierunku dochodzą krzyki, i tam popędził. Wiedział, że takie okrzyki wydają jedynie śmiertelnie przerażeni ludzie. Słyszał też inne dźwięki – jęki ciężko rannych lub umierających. I straszne, dzikie wrzaski. Wojna się skończyła, miał nadzieję, że już nigdy nie usłyszy tych straszliwych dźwięków.

Biegnąc korytarzem, napotykał grupki ludzi uciekających od mrozących krew w żyłach ryków napastników. Wielu krzyczało z przerażenia.

Richard uświadomił sobie, że może się zgubić w tym labiryncie korytarzy, ale kierował się po prostu do źródła rozpaczliwych wrzasków. Na chwilę zapomniał o własnym osłabieniu i bólu – odegnała je furia miecza – pragnął jedynie dotrzeć do cierpiących.

Gniew miecza chciał dopaść tych, którzy zadawali ból. Chciał krwi napastników.

Niektórzy, widząc, jak nadbiega z mieczem w dłoni, przyciskali się do ścian, odsuwając się z drogi, lecz wielu go nie zauważało i musiał ich spychać na bok. Kobiety ciągnęły za sobą dzieci. Paru mężczyzn pomagało starszym osobom. Czasem, kiedy mijali go w pędzie uciekający przed zagrożeniem, Richard musiał uważać, żeby się nie nadziali na jego miecz. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi gnali w popłochu, zbyt przerażeni tym, co było za nimi, żeby się przejmować tym, co mieli przed sobą.

Zanim Richard zobaczył zagrożenie, poczuł woń obcą dla wydrążonej w skalnym stoku wioski. Był to charakterystyczny odór rozkładającego się ciała, smród tak mdlący i odpychający, że gardło mu się zacisnęło, blokując oddech. Musiał się zmusić do oddychania.

Wybiegając z za zakrętu, zobaczył przed sobą rozległą, otwartą przestrzeń. Wejście do wioski w zboczu góry. Na zewnątrz, w ciemnościach, padał deszcz.

Na jednej ścianie wisiało na hakach parę lamp, we wnęce w drugiej palił

się ogień, to były jedyne źródła światła. W tym mglistym, migotliwym blasku zobaczył ludzi usiłujących się utrzymać poza zasięgiem dwóch wielkich mężczyzn. Obie ciemne postaci miały się niezdarnie po pieczarze, rzucając się to w jedną stronę, to w drugą. Napastnicy lśnili w blasku lamp, mokrzy po wspinaczce w deszczu.

Niektórzy z zapędzonych w nisze i zakątki rozległej pieczary przywierali do ścian, licząc, że tamci ich nie zauważą. Inni wolniutko przesuwali się do przejść, w nadziei, że uciekną. Jeszcze inni, utrzymując swoim zdaniem bezpieczną odległość, wymachiwali rękami i rzucali kamieniami, próbując zdezorientować napastników.

Pośrodku pieczary atakujący, jak niedźwiedzie w klatce, wściekali się na ludzi wokół nich; ich grzmiące ryki odbijały się echem od skalnego sklepienia. Odór śmierci i rozkładu był nie do wytrzymania.

Od czasu do czasu z ciemnych przejść wynurzali się mężczyźni, żeby obrzucić napastników kamieniami. Większość kamieni chybiała celu, chociaż niekiedy skłaniały któregoś z napastników do odbijania nadlatujących pocisków. Mężczyzna po prawej podbiegł bliżej, żeby rzucić solidny kamień. Pocisk trafił wielkoluda w tył głowy i odbił się, ale odgłos wskazywał na to, że czaszka pękła – nie spowolniło to jednak napastnika, który w żaden sposób nie okazał, że został ranny.

Drugi ryknął i rzucił się, by przeszkodzić ludziom w ucieczce do tunelu. Lecz dwa wielkoludy nie mogły zapanować nad wszystkim i kiedy się odwróciły, paru ludziom udało się wśliznąć w ciemny wlot. Kilku innych nagle skoczyło, nurkując pod wyciągniętymi łapami. Szczęśliwcom udało się wpaść w korytarz lub wybiec z pieczary na zradliwą ścieżkę.

Niestety nie wszystkim dane było uciec. Richard zobaczył kilka pokiereszowanych ciał; ich ułożenie świadczyło o tym, że biedacy zostali dosłownie połamani i odrzuceni na bok. Dno pieczary lśniło nie tylko od deszczówki, ale i od krwi.

Richard pędził już ku atakującym, a jeden z nich rzucił się jeszcze i jednym ruchem pochwycił kobietę wtuloną w ścianę. Potężnym ciosem szponiastej łapy rozszarpał jej brzuch, krew trysnęła na ścianę. Kobieta, skamieniała z przerażenia, nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie stało. Richard wiedział, że jeszcze nie czuje bólu. Osłupiała, z szeroko otwartymi oczami, wydawała tylko krótkie, urywane okrzyki, w miarę jak zaczęła do

niej docierać koszmarna rzeczywistość.

W owej chwili wielkolud nachylił się i złapał ją za nadgarstek. Drugi rzucił się ku nim z przerażającą szybkością i chwycił kobietę za kostkę, zbijając ją z nóg. Stęknęła, ciężko uderzając o ziemię.

Kiedy Richard pędził przez pieczarę ku napastnikom, z mroków wypadło kilka kotów i skoczyło na olbrzyma trzymającego kobietę za nogę. Strząsnął jednego z ramienia. Drugi szarpał pazurami jego twarz. On jednak wczepiał się w kobietę, jakby pazury nie robiły mu krzywdy. Pacnął kota, próbując go z siebie zrzucić, jakby był natrętną muchą.

W tym czasie drugi napastnik wykręcił kobiecie ramię i wyrwał je z barku. Słabo się szarpała, orząc drugą dłońią ziemię, próbując umknąć nieuniknionemu już losowi. Trzymali ją, nie pozwalając jej się odczołgać. Jej krzyki powoli cichły, w miarę jak traciła przytomność.

Richard nadbiegł, krzycząc z wściekłości. Miecz przeciął ciemną noc i błyskawicznie odrąbał ramię wielkoludowi trzymającemu wyrwaną rękę kobiety. Kość pękła z trzaskiem. Obie kończyny spadły na ziemię.

Napastnik trzymający nogę kobiety, nie przejmując się Richardem, obrócił się ku wlotowi pieczary i z rozmachem rzucił biedaczkę w powietrze. Ciało poleciało łukiem w deszczową noc, siejąc za sobą krwią i trzewiami, spadło za skraj urwiska na skały.

Richard zobaczył czubek klingi, sterczący spomiędzy łopatek napastnika. Mężczyzna okręcił się ku niemu, gotowy do ataku. Wydawało się to niemożliwe, lecz sprawiał wrażenie, że nic sobie nie robi z ostrza, które przebiło mu pierś.

I właśnie wtedy, w słabym blasku ognia płonącego w niszy, Richard po raz pierwszy wyraźnie zobaczył zabójcę.

W piersi mężczyzny tkwiły trzy noże aż po rękojeści. Widać było tylko trzonki. Richard zobaczył też sterczącą ułamaną klingę miecza, której czubek wystawał tamtemu z pleców.

Rozpoznał trzonki noży. Wszystkie trzy należały do żołnierzy Pierwszej Kompanii. Przesunął wzrok na twarz wielkoluda.

I wtedy uświadomił sobie całą grozę sytuacji i przyczynę nieznośnego odoru rozkładu.

## ROZDZIAŁ 16

Stwierdził, że patrzy w twarz trupa.

Nie zabiły go jednak ani noże, ani miecz.

Nie było wątpliwości, że zmarł na długo przedtem, nim otrzymał te rany.

Człowiek stojący przed Richardem wyglądał jak świeżo wykopane z grobu zwłoki. Odpychający odór śmierci był charakterystyczny i przytłaczający. Sam smród wystarczył, żeby Richard cofnął się o krok.

Odzienie miał tak brudne i zetłałe, że trudno było dociec, jak kiedyś wyglądało. Ciemne strzępy były miejscami odbarwione przez gnilne wydzieliny. Tkanina tak przylgnęła do rozkładającego się ciała, że niemal się z nim stopiła.

Wargi się skurczyły, odsłaniając w trupim uśmiechu połamane, szerniałe zęby. Szczyt czaszki pokrywał cienki płat skóry z kępkami wyblakłych włosów. Naciągnięta skóra zgniła i popękała na policzku, na czole oraz na szczycie czaszki, odsłaniając przebarwioną kość.

Chociaż bez wątpienia był to trup, oczy miał zupełnie żywe i... inne. Ich widok na chwilę sparaliżował Richarda.

Widział już przedtem w oczach ludzi z darem niedający się z niczym pomylić, choć trudny do uchwycenia blask wrodzonej mocy, który jednak nie wszyscy dostrzegali. Jemu to lśnienie zawsze wydawało się zbyt nikłe, by było realne; sądził, że zauważa je wyłącznie dzięki własnemu darowi. W oczach tego mężczyzny również lśnił blask mocy, chociaż zupełnie odmienny od tego, który Richard widywał wcześniej. I tym razem nie potrzebował swojego daru, żeby go zobaczyć. Był to nie nadprzyrodzony blask, lecz raczej jaskrawe, widoczne dla wszystkich światło obwieszczające, że za tymi oczami czai się zło.

Był to wzrok martwy i pusty, a zarazem pałający groźbą.

Świdrujący, czerwonawy poblask tych oczu błyszczących w niemal całkowitej ciemności sprawił, że Richard dostał gęsiej skórki.

Chociaż nie za bardzo znał się na tym, co wiązało się z darem, przeczytał mnóstwo dokumentów dotyczących owych pradawnych czasów, kiedy powszechne były oba aspekty mocy. Sporo się też dowiedział od znanych mu osób mających dar. Ale nigdy nie słyszał, żeby moc mogła wskrzeszać

zmarłych.

Domyślał się, że jarzenie się oczu zdradza, co daje trupowi zdolność ruchu – nie życie i nie dar, lecz jakieś czary.

Chociaż trupi wygląd, odór i lśniące oczy na moment oszołomiły Richarda, to ani przez chwilę nie wątpił, jakie są zamiary stwora. Miecz już mknął.

Trzy noże i złamane ostrze w piersi napastnika świadczyły o tym, że nie krwawi on bardziej niż od dawna martwe, przegniłe ciało, lecz to nie uciszyło gniewu szalejącego w Richardzie.

Klinga błyskawicznie odcięła stworowi głowę, zanim zdążył zrobić kolejny krok ku Richardowi.

Głowa z głuchym stuknięciem uderzyła o ziemię, a Richard się przekonał, że oczy nadal się jarzą. Zanim zwała się reszta ciała, ciał mieczem twarz, a potem kopnięciem posłał głowę poza wylot pieczary. Widział, jak czerwonawy poblask oczu gaśnie w deszczowej nocy.

Lecz bezgłowy korpus nie upadł. Zrobił krok naprzód. Potem kolejny i następny, a ręce sięgały po Richarda. Dłonie darły powietrze, ramię się zamachnęło. Richard je odciął. Dwoma szybkimi cięciami ostrej jak brzytwa klingi odrąbał drugą dłoń, a potem całe ramię tuż przy barku.

Ciało wciąż szło ku niemu, jakby nieświadome swoich braków. Richard, krzycząc z furii, znowu zamachnął się mieczem i przeciął je w pasie. Klinga roztrzaskała kość, rozcięła skórę. Strzępki ciała z przywartym odzieniem i kawałki kości śmignęły przez rozległą pieczarę.

Rozkawałkowane ciało zaczęło się wreszcie przewracać, a wtedy drugi stwór, któremu została tylko jedna ręka, ruszył z rykiem na Richarda. Te zwłoki wyglądały na nieco świeższe, toteż odór śmierci i zgnilizny był jeszcze silniejszy. Ten żywy trup nie był w tak zaawansowanym stadium rozkładu. Połyskiwał gnilnymi płynami. Ze wzdętego ciała sączyła się jakaś ciecz. Obrzmiaty język sterczał z ust, trochę tłumiąc gniewne ryki atakującego. Stawy chrzęściły i trzeszczały przy każdym ruchu, ale to mu za bardzo nie przeszkadzało.

Richard instynktownie wbił miecz w jego pierś. Klinga nie uczyniła napastnikowi żadnej szkody. Wyszarpnął miecz i cofnął się o krok. Tamten się zbliżał.

Miał w martwych oczach taki sam czerwonawy poblask; jakby były

oknami, za którymi szaleje piekielna czarna magia sterująca jego ruchami.

Z boku nadbiegł jeden z mieszkańców i chcąc pomóc Richardowi, ciął nożem w kark napastnika. Nic to nie dało. Trup zatrzymał się na chwilę i jedyną ręką uderzył mężczyznę. Biedak z krzykiem potoczył się po ziemi.

Richard wykorzystał tę okazję i znowu ciął mieczem. Tym razem nie chciał tylko zdekapitować trupa. Ten odwrócił się ku niemu i akurat zdążył zobaczyć ostrze trafiające go w bok głowy. Miecz z przeraźliwym odgłosem roztrzaskał czaszkę. W skalne ściany uderzyły maziste ochłapy i do nich przylgnęły, odłamki kości zaś odbiły się i spadły na ziemię. Z głowy nic nie zostało.

Richard, nie zastanawiając się, czy to zatrzyma lub chociaż spowolni stwora, zasypał go gradem ciosów; odciął mu pozostałą rękę, rozsiekał tułów na części, a na koniec przeciął w kolanach nogi, które wciąż stały.

Wreszcie umilkły ryki napastników. Ranni mieszkańcy, leżący w całej pieczarze, krzyczeli lub jęczeli z bólu. Inni łkali z przerażenia. Z kryjówek wybiegli ci, którzy się uchowali, i zaczęli im pomagać.

Richard skinieniem głowy podziękował mężczyźnie, który próbował mu pomóc. dzielny człowiek już się podniósł i wielkimi oczami patrzył na całą scenę.

Zdyszany z wysiłku, udręczony smrodem, Richard zakrył usta i odwrócił się ku grupce mężczyzn, którzy wcześniej ciskali kamieniami w napastników. Potem odjął dłoń od ust i zapytał:

– Jak to się stało? Czemu nikt nie trzymał straży? Nie widzieliście, że zbliżają się do wioski?

Zdziwili się i speszyli, wciąż przerażeni nieoczekiwaną napaścią i oszołomieni jej krwawymi następstwami.

– Wybacz, lordzie Rahlu – odezwał się jeden z nich. – Wystawiliśmy straż, ale chyba niezbyt czujną. W tej ciemności i deszczu nie zauważyliśmy ciemno odzianych postaci, póki nie usłyszeliśmy krzyków. Przyszliśmy zobaczyć, co się dzieje, ale wtedy było już za późno. Musieliśmy walczyć o życie.

Richard zacisnął zęby; szalała w nim furia miecza. Domyślał się, że w takich warunkach trudno było zobaczyć czy choćby usłyszeć, że ktoś się zbliża.

– Gdybyście uważniej trzymali straż, wystarczyłoby zepchnąć ich



kopniakami, kiedy się tu wdrapywali, i spadliby na łeb na szyję – powiedział.

Zażenowani spuścili wzrok.

– Masz rację, lordzie Rahlu – odezwał się któryś. – Ale nigdy wcześniej coś takiego się nie zdarzyło. Nie spodziewaliśmy się takiej napaści.

Richard wskazał mieczem w noc.

– Powinniście się spodziewać kłopotów po tym, co wam opowiedział Henrik. A przynajmniej powinniście być czujni.

Zwiesili głowy i milczeli.

– Wybaczcie – rzekł w końcu Richard, biorąc głęboki oddech i starając się wyciszyć gniew. – Nie powinienem łąać tych, co ucierpieli.

Skinęli głowami i poszli pomagać rannym.

– Nigdy przedtem coś takiego nas nie spotkało, lordzie Rahlu – tłumaczył się jeszcze jeden z nich, pogrążony w żalu. – Po prostu nie byliśmy... – Starał się opanować, wodząc wzrokiem po pobojuwisku.

Richard współczująco uściśnął mu ramię.

– Rozumiem. Przepraszam, że mówię w gniewie. Tymi żywymi trupami najwyraźniej kierowała czarna magia. Całkiem możliwe, że skryła ich też przed waszym wzrokiem. Lecz musicie być czujni.

Wszyscy odrobinę się rozpogodzili, słysząc, że być może to magia pomogła się ukryć napastnikom. Mężczyzna z nożem kiwnął ostrzem ku wlotowi pieczary.

– Dopilnuję, lordzie Rahlu, żeby stale trzymano wartę. To się nie powtórzy. – Powiódł udreńczonym wzrokiem po scenie jatki. – Przyrzekam, że już nikt nas nie zaskoczy.

Richard kiwnął głową i popatrzył wokół, upewniając się, że ratowano tych, którym można było pomóc.

W pobliżu dostrzegł odrąbaną rękę jednego z napastników. Palce wciąż się ruszały, otwierały i zamykały, jakby próbowały kogoś złapać.

Podniósł żyjącą własnym życiem kończynę i wrzucił ją do ognia płonącego w niszy – płomień buchnęły.

Rozejrzał się i zrozumiał, że rannych jest tylu, że Sammie będzie musiała się nimi zająć, zanim skupi się na nim i Kahlan. Wielu nie żyło. Nieliczni byli lżej ranni, większość poważnie ucierpiała. Wymagali pomocy kogoś z darem, a pod ręką była tylko Sammie.

Miał nadzieję, że dziewczyna podoła wyzwaniu. Wiedział, że to byłoby

trudne zadanie nawet dla doświadczonej czarodziejki.

Już miał wsunąć miecz do pochwy, kiedy usłyszał z głębi korytarzy krzyki.

Kiedy dobiegł go ryk, zrozumiał, że Stroyzę zaatakowało więcej niż dwóch napastników.

## ROZDZIAŁ 17

Przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując, skąd dokładnie dochodzą krzyki. Kiedy ocenił kierunek i przybliżoną odległość, wbiegł do tunelu. Co najmniej tuzin mężczyzn pognało za nim.

Tym razem nie nieśli kamieni, od razu dobyli noży. Już lepiej rozumieli, z czym mają do czynienia. Żywego trupa powstrzyma wyłącznie posiekanie go na kawałki.

Krzyki były coraz głośniejsze, lecz od czasu do czasu Richard musiał przystawać przy rozgałęzieniach tuneli i znowu nasłuchiwać. Dźwięk niósł się mylącym echem i trudno było natychmiast stwierdzić, w którą odnogę trzeba skręcić. Najszybciej jak się dało biegł labiryntem wydrążonych w skale jaskiń i korytarzy, wiedząc, że każde opóźnienie oznacza, iż więcej ludzi zostanie rannych lub zginie. Irytowało go, że musi się zatrzymywać, by sprawdzić, skąd dochodzą wołania o pomoc, by mieć pewność, że kieruje się we właściwą stronę.

Kiedy dotarł bliżej źródła krzyków, uświadomił sobie, że dochodzą z izby, gdzie zostawił Kahlan.

Gdyby tylko było to możliwe, biegłby jeszcze szybciej, i tak pędził szaleńczo przez korytarze, bez wahania śmigając przez rozgałęzienia.

Wybiegł zza zakrętu i wpadł prosto na jakiegoś wielkoluda. Ten, twardy niczym dębina, ledwie drgnął, kiedy Richard się z nim zderzył. Nie zauważył go, bo mężczyzna był całkiem poczerniały i wtapiał się w cienie. I cuchnął śmiercią.

Richard chwiejnie się cofnął i zauważył, że przerwał tamtemu, gdy dusił jakąś kobietę. Kiedy na napastnika i jego ofiarę padło światło latarni, które nieśli biegnący za Richardem, zobaczył, że biedaczka ma siną twarz i wytrzeszczone, nieruchome oczy. Już nie mogła krzyczeć.

Napastnik zaciskał dłonie na szyi ofiary, która nie dotykała stopami ziemi, i ją miażdżył. Kiedy odwrócił głowę, kości i napięta skóra zatrzeszczały. Popatrzył wściekle na Richarda jarzącymi się ślepiami i groźnie ryknął.

Richard ciął mieczem, potężnym ciosem odcinając tamtemu obie ręce w łokciach. Martwa kobieta upadła na ziemię jak worek ziarna. Napastnik

znowu zaryczał i zaatakował, wyciągając przed siebie kikuty i szeroko rozdziawiając usta, gotów gryźć, skoro stracił prawie całe rękę.

Szybki cios wymierzony w otwartą gębę rozplątał mu czaszkę. Rozpadła się na kawałki. Popękały kości. Dwa kolejne uderzenia rozsiekaly napastnika. Richard widział, jak palce odciętych rąk zamykają się i otwierają na podłodze, nie mogąc już znaleźć ofiary.

Richard, w którym szalała furia miecza, odwrócił się do stojących za nim ludzi.

– Musicie zebrać i spalić wszystkie szczątki tych stworów.

Spojrzeni w dół na dłoń usiłującą pełznąć po podłodze ku Richardowi. Zmiażdżył butem poruszające się palce, rozkruszył je na pył.

– Nie wiem, co się dzieje – mówił dalej – lecz bez wątpienia działa tu jakaś tajemna zła moc.

Nie chcę, żeby choć odrobina tych czarów została pośród was. Spalcie wszystko. Rozumiecie?

Gorliwie potaknęli, wystraszeni gniewem w jego głosie, chociaż wiedzieli, że nie oni go wywołali.

Richard, znowu słysząc wrzaski, zwrócił się w ich stronę. Żywych trupów dostało się tu więcej. Ruszył biegiem, kierując się do źródła dźwięku. Zastanawiał się, ilu napastników przeniknęło do wioski. Jeśli dużo więcej, mogą wymordować i połowę mieszkańców, zanim wszystkich znajdzie i rozsieka.

Pędząc wąskimi tunelami, musiał się przeciskać obok mężczyzn, kobiet i dzieci rozpaczliwie próbujących uciec przed niebezpieczeństwem. Biegli z płaczem, z krzykiem, wszyscy byli przerażeni i nie mieli pojęcia, co robić.

Richard dotarł do skrzyżowania kilku korytarzy i wbiegł w ten szerszy, kierując się mrozącymi krew w żyłach rykami. Rozpoznał, że to tunel prowadzący do mieszkanka Ester. Potwór był blisko. Richard też się zbliżał. Dysząc z wysiłku, wciągał w płuca odrażający odór śmierci. To mu przypominało, że sam został skażony śmiercią przez Zaszytą Służkę.

Zobaczył w oddali ruch – ciemna postać zniknęła za zakrętem. Dobiegł i zatrzymał się przy wejściu zasłoniętym owczą skórą. Odsunął ją, zajrzał do środka i w blasku świec zobaczył Kahlan leżącą tak, jak ją zostawił. Ester stała nad nią, trzymając w ręku nóż. Richard wiedział, że nie dałaby rady powstrzymać chodzącego trupa, lecz była gotowa próbować.

Sammie zniknęła.

Opuścił zasłonę i pobiegł w stronę napastnika. Gnał ku krzykom przerażonych ludzi w środku nocy wyrwanych ze snu. Musiał odsuwać na bok zaspanych mieszkańców stojących w osłupieniu w ciemnych korytarzach.

W oddali znów mignął mu ruch – mała postać przemknęła przez skrzyżowanie i zniknęła w jednym z korytarzy. Ścigała ją z rykiem jakaś ciemna sylwetka. W korytarzu pojawił się kolejny stwór, podążając za tym pierwszym i za Sammie.

Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Richarda. Ten niezbyt dobrze widział w ciemnym tunelu, lecz bez trudu dostrzegł jaskrawy, czerwony poblask oczu, który wkrótce zgasł – stwór wszedł w boczny korytarz, ścigając Sammie.

Richard pobiegł za nimi najszybciej jak mógł. Pędził tak, że towarzyszący mu wieśniacy nie mogli za nim nadążyć. Ścigając napastników, zostawiał za sobą blask latarni. Biegł, choć mało co widział. Od czasu do czasu w izbach po obu stronach korytarza paliły się świece i zza zasłon sączyło się nikłe światło, na tyle oświetlając drogę, by nie musiał zwalniać.

W półmroku natknął się na drugiego ze ścigających Sammie stworów. I ten był chodzącym trupem. Właściwie znakiem rozpoznawczym był sam odór.

Kiedy stwór się zatrzymał i odwrócił, żeby zobaczyć, kto go ściga, Richard już zadawał potężny cios. Strop nie był wysoki, toteż nie mógł się mocno zamachnąć mieczem. Lecz klingą i tak kierowała nie tylko siła jego mięśni, podobnie jak stworami sterowało coś więcej.

Kiedy tamten rozdziawił usta, żeby zaryczeć, miecz spadł z całą siłą Richardowych ramion i zakłętej w nim samym mocy. Ostrze rozplatało napastnika od czubka głowy po tors. Od tułowia odpadły kawałki ciała.

Richard nie czekał, by się przekonać, czy to wystarczy. Krzycząc z furii, siekał stworza. Kiedy dogonili go wieśniacy z latarniami, z napastnika została kupka szczątków.

Wyeliminował jedno zagrożenie i popatrzył w korytarz. W oddali z izby po prawej padało nikłe światło. Zobaczył zarys drugiego napastnika, który się tam kierował. Dostrzegł też, że korytarz kończy się ślepo za tą izbą. Sammie znalazła się w pułapce. Nie miała dokąd uciec.

Richard pognał, wiedząc, że musi zabić tamtego, zanim on zabije Sammie. W biegu krzyczał, starając się rozproszyć napastnika. Lecz ten nie zwracał na niego uwagi. Widział tylko swoją ofiarę.

Niezdarne, wielkie cielsko stało tuż przy wejściu. Trup zaglądał do środka. Richard był za daleko. Stwór łypnął na niego jarzącymi się oczami i znowu zajrzał do izby, po czym z groźnym rykiem wpadł do wnętrza.

Richard gnał ile sił, ale wiedział, że nie zdąży na czas.

Już-już dobiegał, kiedy wielki stwór wyleciał tyłem z izby i walnął o ścianę korytarza. W powietrze wzbily się kłęby kurzu.

Stwór był najwyraźniej ogłuszony, ale szybko wrócił do siebie. Stawał na nogi, kiedy w wejściu pojawiła się Sammie.

Trup znowu zaryczał i ruszył na dziewczynę. Sammie wyciągnęła przed siebie ręce, jakby sądziła, że tak powstrzyma atak.

Ku zdumieniu Richarda stwór znowu poleciał do tyłu i walnął o ścianę.

Tym razem, kiedy się pozbierał i ruszył ku dziewczynie, Sammie krzyknęła, bo próbowała go trzeci raz odrzucić i się jej nie udało.

Lecz Richard już tam był. Jednym potężnym ciosem miecz odrąbał potworowi głowę i ramię. Następne szybkie jak błyskawica uderzenie odcięło drugie ramię, które usiłowało dosięgnąć Richarda. Szybkimi cięciami rozsiekał potwora aż do pasa, a potem przeciął mu nogi w połowie ud.

Na ziemi leżała głowa z szyją i barkiem, z którego sterczał kikut ramienia; patrzyła groźnie jarzącymi się ślepiami. Dłoń sięgnęła i chwyciła Richarda za kostkę. Zdecydowanymi cięciami rozdzielił ramię i głowę. Rozdeptał dłoń, a potem rozplątał głowę na kawałki.

Stał zadyszany, z mieczem w garści, czując, jak szaleje w nim jego gniew, rozbudza w nim furię. Przekrzywił głowę, nasłuchiwał, ale nie usłyszał żadnych krzyków ani ryków.

Sammie się w niego wpatrywała.

– Nic ci się nie stało? – spytał.

Skinęła głowę, głęboko westchnęła z ulgą.

Przyciągnął ją do siebie i ręką, w której trzymał miecz, otoczył drobne ramiona, zadowolony, że zdążył. Udało jej się zyskać parę cennych chwil, aż do niej dobiegł i na dobre się rozprawił z zagrożeniem.

– Na pewno? – dopytywał się. – Nie zranił cię?

Odgarnęła zasypane kurzem czarne włosy i przyjrzała się szczątkom.

– Nie, nic mi nie jest – zapewniła. Głos miała zadziwiająco spokojny.

– Więc może byś mi powiedziała, co właściwie robiłaś? – Richard zgrzytnął zębami i mocniej zacisnął palce na rękojeści miecza. Pochylił się ku niej. – Poleciłem ci, żebyś chroniła Matkę Spowiedniczkę. Kiedy odchodziłem, wyraźnie powiedziałem, że masz zostać i nad nią czuwać.

– I tak zrobiłam.

– Póki nie uciekłaś. Powierzyłem ci jej obronę, zaufałem, a ty się zmyłaś. Nie mogę cię winić, że się wystraszyłaś, ale liczyłem na ciebie.

Sammie pokręciła głową.

– Broniłam jej...

– Przyszli po nią, a ty uciekłaś.

Sammie skrzyżowała chude ramiona na piersiach i spojrzała na niego gniewnie.

– Nie chodziło im o Matkę Spowiedniczkę. To mnie szukali.

– Tego nie wiesz.

– Owszem, wiem. – Wciąż patrzyła gniewnie spod zmarszczonych brwi.

– Dlatego uciekłam: żeby ją chronić, odciągając napastników. To był najlepszy sposób zapewnienia jej bezpieczeństwa.

Richard się wyprostował.

– Jak to?

– Zrobili jej coś? Nie. Potwory rozszarpały ją na kawałki? Nie. A niby czemu, jak myślisz? Kiedy Richard nie odpowiedział, pochyliła się ku niemu.

– Nie zamordowali jej, bo chodziło im o mnie. Kiedy wpadli do izby, w ogóle na nią nie spojrzeli. Patrzyli na mnie tymi swoimi jarzącymi się ślepiami. Przesunęłam się w kąt izby, żeby zobaczyć, co zrobią. Nie odrywali ode mnie wzroku. Wiesz, co było potem?

– Rzucili się za tobą – powiedział znacznie spokojniej Richard.

– Właśnie. Jakby nie widzieli Matki Spowiedniczki. Byli skupieni wyłącznie na mnie. Spróbowałam każdej znanej mi magii, żeby ich powstrzymać. Przyznaję, że nie wiem za dużo o tych sprawach i nie mam doświadczenia, ale spróbowałam wszystkiego, co umiem. Nic nie podziałało. Wtedy sobie przypomniałam, jak Henrik opowiadał, co zrobili twoi przyjaciele. Ja też rzuciłam powietrzną pięść. Nie dała im się we znaki tak, jak powinna, ale odepchnęła ich, co mi pozwoliło dopaść wyjścia. Zostawili izbę z Matką Spowiedniczką i ruszyli za mną. Jak tylko się przekonałam, że

naprawdę chodzi im o mnie, uciekłam, żeby ich zmusić do pościgu i żebym mogła ich odciągnąć. Nie interesowała ich Matka Spowiedniczka. Przyszli po mnie.

Postukała się w pierś.

– Po mnie, nie po nią. No więc uciekłam, żeby ją chronić w jedyny dostępny mi sposób. Bałam się. Ale wiedziałam, że muszę coś wymyślić. Zastanawiałam się, czy uda mi się ich jakoś wciągnąć w ten ślepy tunel. Wpadłam na pomysł, żeby ich zwabić do tej izby i prześliznąć się obok nich, jak to zrobiłam wcześniej, a potem zawalić tunel i ich pogrzebać.

Richard rozejrzał się w blasku latarni trzymany przez czekających trochę dalej ludzi. Gdyby nie udało mu się dobiec na czas, plan Sammie mógłby się powieść. Rzecz jasna, mógł się też nie udać. Równie dobrze mogliby ją zamordować.

Ale spośród wszystkich mieszkańców wioski ona jedna pomyślała o czymś, co mogłoby powstrzymać niebezpieczeństwo. Wymyśliła plan i działała zgodnie z nim.

Richard przeczesał palcami włosy i westchnął.

– Wybacz, Sammie. Masz rację. Postąpiłaś bardzo odważnie. Dziękuję, że zrobiłaś, co w twojej mocy, żeby chronić Kahlan.

– Nie musisz przeproszać. – Uśmiechnęła się leciutko. – Widzę w twoich oczach, że jesteś we władzy magii miecza. No i widzę też, że tylko jego gniew trzyma cię na nogach. Muszę cię uleczyć. To nie może dłużej czekać.

Potaknął, uświadamiając sobie, że rany mu się pootwierały w trakcie walki. Ściekająca po rękach krew skapywała z palców. Przymus zwalczania napastników minął i Richard czuł się coraz słabszy i bardziej obolały.

– Posłuchaj, Sammie, mnóstwo waszych jest rannych. Potrzebują twojej pomocy. Proszę, zajmij się najpierw nimi.

Rozpaczliwie chciał uzyskać pomoc dla Kahlan, lecz wiedział, że pilniej trzeba się zatroszczyć o innych. Bez pomocy wielu umrze. Uznał, że on może poczekać.

Sammie powiodła wzrokiem po szczątkach na ziemi przed izbą, w której zamierzała pogrzebać napastników. Wyglądało na to, że martwi się nie tylko o rannych współmieszkańców. Richard pomyślał, że wygląda na starszą.

Ruszyła i powiedziała przez ramię:

– No to lepiej się pospieszmy.



– Racja – przyznał Richard, chowając miecz.

Kiedy klinga znalazła się w pochwie, wygasł jej gniew. A wraz z nim jego furia.

W owej chwili spadł na niego cały ciężar wysiłku i udręki, ból wszystkich ran. To miecz trzymał je na wodzy.

Nie czuł palców.

Miał wrażenie, że wali się na niego tunel i miażdży go przytłaczający ciężar.

Udało mu się zrobić krok i świat się zachwiało, a podłoże pomknęło ku niemu. Wszystko wydawało się dziwnie odległe, jakby patrzył przez długą rurę. Słyszał wokół siebie przytłumione, pełne troski okrzyki.

Zanim dosięgła go ziemia, zamknęła się wokół niego ciemność.

## ROZDZIAŁ 18

Kiedy się ocknął, nie rozpoznał otoczenia. Leżał na słomianej macie w pozbawionej okien izbie, łagodnie oświetlonej świecami ustawionymi na półkach starannie wyłobionych w skale, podobnie jak cała Stroyza. Ściany izby wygładzono tak dokładnie, że wyglądały jak otynkowane. W porównaniu z innymi pomieszczeniami było to luksusowe mieszkanie.

Kahlan leżała obok niego na drugiej macie. Wciąż była nieprzytomna i nie zareagowała, kiedy dotknął jej ramienia. Z ulgą przekonał się, że oddycha łatwiej i równomierniej niż przedtem.

Zdziwił się, widząc, że jej ubranie nie jest już przesiąknięte krwią. Nie tylko je wyczyszczono, ale też starannie pozszywano i naprawiono, tak że miało się wrażenie, iż koszula jest ozdobiona haftem. Co ważniejsze, Kahlan nie miała już licznych skaleczeń. Wszystkie zaleczono.

Ucieszyło go to, choć niepokoił się tym, że nie odzyskała przytomności.

Spojrzał na siebie i stwierdził, że jego ubranie również jest czyste. Obejrzał rękę i upewnił się, że uleczono głęboką ranę po ugryzieniu. Pod palcami poczuł w tym miejscu jedynie niewielkie obrzmienie. Ból także znacznie zelżał, chociaż dalej czuł pobołowanie mięśni. Wyczuwał delikatne mrowienie – oznaka tego, że go uzdrawiano.

Chociaż wyglądało na to, że uleczono wszystkie zewnętrzne rany, nadal czuł ten okropny, mroczny ciężar wewnętrznej skazy, pozostawione przez Zasytą Służkę dotknięcie śmierci. Ta straszliwa skaza była obecna i usiłowała go wciągnąć w mrok. Wiedział, że i w Kahlan nadal pobrzmiwa śmiertelny zew.

Usiadł i rozejrzał się. Izba była większa niż mieszkanko Ester. Chodniki były grubsze, staranniejsze utkane, a ich barwy nieco żywsze. Stało tu parę krzeseł i stół; może nie eleganckie, ale solidnie wykonane. Wejście zamykały drewniane drzwi, a nie zasłona z owczej skóry. Wszystko wskazywało na to, że to mieszkanie kogoś ważnego.

Ester, widząc, że się ocknął, podniosła się ze stojącej z boku ławy.

– Nie próbuj jeszcze wstawać, lordzie Rahlu. Jak się czujesz?

– Lepiej. – Richard spojrzał na nią oszołomiony. – Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?

– W mieszkaniu naszej czarodziejki. – Zaciśnęła usta. – A przynajmniej było to jej mieszkanie, zanim... – Postanowiła jednak zmienić wypowiedź i zatoczyła łuk ręką. – Właściwie to nadal jest mieszkanie czarodziejki. Sammie wciąż tu mieszka i jest jedyną czarodziejką, jaka nam została. Mieszkanie należało do jej rodziców, a teraz to jej dom.

Richard się rozglądał.

– Gdzie ona jest?

Ester wskazała drzwi w głębi izby. Proste wzory wyrzeźbione wokół nich stanowiły luksus w tej skalnej wiosce.

Pośrodku wyrzeźbiono Grace, symbol reprezentujący Stwórcę, życie i znajdującą się poza granicami świata żywych wieczność zaświatów. Poprzez świat żywych poprowadzono linie wnikające w zaświaty i symbolizujące dar.

Taki wzór to nie ozdoba, a już zwłaszcza w mieszkaniu czarodziejki. Grace stanowiła potężne narzędzie dla osób mających dar, służyła też jako symboliczne przypomnienie o ich obowiązkach, zadaniach i powołaniu. Nigdy nie była zwyczajną dekoracją.

– Sammie odpoczywa. Biedna dziewczyna była wyczerpana.

– Wyczerpana? Więc pomogła rannym? Uzdrowiła wszystkich?

– Tak, tak, ciężko pracowała, uzdrawiając ludzi – powiedziała Ester, gestem kwitując tę sprawę; najwyraźniej chciała zmienić temat. – Potem powiedziała, że musi was uzdrowić, a przynajmniej pomóc wam najlepiej jak zdoła. Mówiłam jej, że powinna wypocząć przed tak trudnym zadaniem, ale się upierała, że to nie może dłużej czekać. Powiedziała, że musi natychmiast zrobić dla ciebie i Matki Spowiedniczki wszystko, co w jej mocy, bo inaczej już nie będzie mogła wam pomóc.

Richard popatrzył na Kahlan. Wiedział, że jest w poważnych tarapatach. I że Sammie nie może jej do końca uleczyć. Do tego potrzebny byłby ktoś o większych talentach i doświadczeniu, no i pole ograniczające. Ale był wdzięczny za to, co Sammie mogła zrobić dla Kahlan.

Wiedział, że musi znaleźć Zedda i Nicci i że muszą dotrzeć do Pałacu Ludu, zanim będzie za późno, żeby z niego i z Kahlan usunąć dotknięcie śmierci.

Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze pożyją z tą tkwiącą w nich trucizną. Kahlan pilnie potrzebowała pomocy. Nie przetrwa długo nieprzytomna. Bez jedzenia i wody jej stan będzie się pogarszać.

Już miał spytać Ester o rannych i o to, czy były jeszcze jakieś problemy, kiedy otworzyły się drzwi w głębi izby. Stała w nich Sammie i przetarła zaspane oczy.

– Obudziłeś się, lordzie Rahlu. – Z troską szybko zmieniło się w ulgę. Richard kiwnął głową.

– Tak, ale Kahlan nie. Sammie zerknęła na nią.

– Wiem.

Zanim zdążył coś dodać, Sammie skinieniem głowy podziękowała Ester.

– Dobrze, że przy nich posiedziałaś. Teraz możesz pójść do domu i odpocząć. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała.

Ester ziewnęła.

– Na pewno? Spałaś ledwie parę godzin. Nie sądzisz, że po takiej wyczerpującej pracy powinnaś bardziej wypocząć?

Sammie przyglądała potargane włosy.

– Ty też ciężko pracowałaś i też nie śpisz już dwie noce. Ja przynajmniej trochę się zdrzemnęłam. Lord Rahl wciąż musi leżeć, żeby proces zdrowienia mógł się zakończyć. Mogę nad nimi czuwać. Idź się przespać.

Ester ciężko westchnęła.

– No dobrze. Przyznaję, że mi się to przyda, ale najpierw chcę sprawdzić, co u innych. – Uśmiechnęła się przelotnie do Richarda. – No to idę. – Podniosła z ławy płócienną torbę. – Przyjdź po mnie, jeżeli będziesz potrzebować mojej pomocy.

Sammie potaknęła i odprowadziła ją do drzwi.

Richard powstrzymał się od pytań, póki Ester się z nim nie pożegnała i wyszła. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Sammie szybko do niego wróciła, przyłożyła mu dwa palce do czoła i badała za pomocą daru.

– No i? – zapytał po chwili, kiedy nie dała po sobie poznać, co wykryła. Sammie cofnęła rękę, trąc palce, jakby dotknęła czegoś paskudnego.

– Trudno powiedzieć na pewno, lordzie Rahlu, ale wygląda na to, że moje uleczenie działa.

Wiedział, że chodziło jej o to, iż trudno cokolwiek ocenić przez wciąż w nim tkwiącą skazę śmierci.

– Przedtem bałaś się nas uzdrawiać.

Pomyślał, że to trochę dziwne, że przełamała lęk, chociaż już jej nie przekonywał.

– Opowieść Henrika o tym czarodzieju...  
– O moim dziadku, Zeddie. Sammie potaknęła.  
– Tak, o nim i o czarodziejce. Kiedy się dowiedziałam, że was uzdrawiali, mimo że zobaczyli w was to samo, co ja, zrozumiałam, że przynajmniej muszę spróbować.

Richard nie wyzbył się podejrzeń.

– Nie bałaś się? Zmarszczyła nos.  
– Owszem, ale wiedziałam, że trzeba to zrobić, więc starałam się zapomnieć o strachu i skupić na tym, co musi zostać zrobione.  
– No a Kahlan? Czemu się nie wybudziła, skoro uleczyłaś jej rany? Sammie z troską na nią zerknęła.

– Przykro mi, lordzie Rahlu, zrobiłam wszystko, co mogłam. Skaza śmierci wydaje się w niej silniejsza. Nie mogę tego uleczyć i ciężko mi było to obejść, żeby się zająć tym, co potrafiłam uzdrowić. Śmierć rzuca na nią mroczniejszy cień niż na ciebie.

Richard kiwnął głową i ciężko westchnął. Nawet Zedd i Nicci powiedzieli, że tę złowrogą moc mogliby z niej usunąć dopiero w pałacu. Mimo wszystko Sammie dobrze się spisała.

– Dziękuję za to, co dla niej zrobiłaś.

Miał nadzieję, że to wystarczy, by Kahlan przeżyła, aż on znajdzie Zedda i Nicci i wszyscy wrócą do pałacu.

– Pamiętaj, lordzie Rahlu, że nie jestem biegła w tych sprawach. Sądzę jednak, że skoro zaleczyłam jej rany i nie traci już krwi, to może wystarczy jeszcze trochę wypoczynku, żeby się ocknęła. Ty też długo spałeś. Mam nadzieję, że i ona się obudzi, jak tylko wypocznie. Była ciężiej ranna, więc pewnie potrzebuje więcej snu.

Richard chciał wierzyć, że to prawda, lecz przypuszczał, że to raczej pobożne życzenia.

– Co z rannymi? Uzdrowiłaś ich najpierw? Sammie nie od razu odpowiedziała.

– Niektórych.

Richard na nią popatrzył.

– Czemu nie uzdrowiłaś wszystkich?  
– Bo gdybym nie została z tobą, tobyś umarł. Matka Spowiedniczka jest w gorszym stanie, bo straszliwy cień śmierci jest w niej o wiele silniejszy, ale

ty byłeś w niebezpieczeństwie z powodu ran i utraty krwi. Groziło nam, że zabije cię to, co mogłabym uleczyć. Musiałam wybierać.

Richard zdrewniał.

– Chcesz powiedzieć, że musiałaś pozwolić, by niektórzy z waszych umarli, żeby mnie ratować?

Sammie przełknęła ślinę.

– Tak.

Zatroskany mocno ściągnął brwi.

– To byli twoi ludzie, Sammie. Czemu ich zostawiłaś, żeby leczyć obcych?

Sammie usiadła na krześle, tuż obok niego. Podparła się dłońmi na siedzisku i lekko kołysała, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Jestem sama – powiedziała spokojnie. – Pracowałam nad tymi, których mogłam ocalić, najszybciej jak zdołałam, robiłam, co w mojej mocy. Niektórzy i tak by umarli. Wiedziałam, że jeżeli spędzę noc, starając się ich wszystkich uratować, to w końcu umrą też ci, których mogłabym ocalić. Tak wielu potrzebowało uzdrawiania. Nie było czasu, żeby wszystkich leczyć. Nawet gdybym zostawiła ciebie, nigdy nie dałabym rady ocalić wszystkich. To druga noc po napaści. Przespałeś noc ataku, cały wczorajszy dzień i większość tej nocy. Wkrótce świt. Kiedy walka się skończyła, zemdłałeś. Kazałam was tu przynieść, a sama leczyłam ludzi. Niektórzy umarli, kiedy leczyłam innych, którzy moim zdaniem mieli większe szanse. Wobec niektórych ran moje umiejętności nie wystarczały. Wiedziałam, że muszę ich zostawić. Ester i inni pomagali, jak mogli.

Uzdrawiając rannych, co jakiś czas zaglądałam do ciebie i Matki Spowiedniczki, żeby się upewnić, że się wam nie pogorszyło i że możecie jeszcze odrobinę poczekać. Lżej rannych zostawiałam osobom takim jak Ester, żeby im pomogli, na ile potrafią. Pracowałam nad najbardziej potrzebującymi, tak długo, jak mogłam. Ale potem to już nie mogło czekać.

Musiałam wybrać, komu pomóc: tobie i Matce Spowiednicze czy naszym rannym. Wiedziałam, że jeśli pomogę wam, tamci umrą. Lecz zdawałam też sobie sprawę, że jeśli nie zrobię, co w mojej mocy, dla ciebie i Matki Spowiedniczki, to oboje tej nocy umrzecie.

Musiałam zdecydować i postanowiłam was uleczyć, póki byłam w stanie to zrobić.

Richard przesunął dłonią po twarzy, zrozpaczony, że musiała

dokonywać takiego wyboru, że życie jego i Kahlan wymagało poświęcenia tylu innych.

– Jeszcze nigdy nie musiałam podejmować takiej decyzji. Mama nigdy ze mną nie rozmawiała o czymś takim. Nie wiem, może ona też nie wiedziałaby, co robić. Nie było nikogo, kto by mi doradził. Wiedziałam, że muszę sama zdecydować.

Richard już podejmował takie trudne decyzje. Zostały mu po nich blizny.

– Tamtej nocy ocaliłeś wielu ludzi. Wiem, że tak naprawdę uratowałeś nas wszystkich. Większość by zabito, gdyby cię tu nie było, może nawet wszyscy byśmy zginęli. Jesteś wybraniec. Musisz żyć. Ratując ciebie, pomogłam naszym, i to nie tylko tym, których uleczyłam.

Wybrańiec. Już raz to powiedziała. Zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli, mówiąc, że jestem wybraniec?

Sammie z zażenowaniem wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Jesteś tym, którego wybrałam.

Wiedział, że wcale nie to miała na myśli, ale nie nalegał. Sama mu powie, kiedy będzie gotowa.

– Rozumiem, Samantho.

Zachmurzyła się i popatrzyła na niego.

– Czemu mnie tak nazwałeś?

– Bo nazywano cię Sammie, kiedy byłeś dzieckiem. Podjęłaś trudną, dojrzałą decyzję. Stajesz się kobietą. Posłużyłaś się rozumem i zdecydowałaś jak osoba dorosła, nie jak dziecko. Wybacz mi śmiałość, ale uważam, że Samantha bardziej ci teraz przystoi.

Dziewczyna rozpromieniła się z dumy, słysząc te nieoczekiwane słowa uznania.

– Dziękuję, lordzie Rahlu. Zawsze chciałam, żeby mnie nazywano Samanthą, to brzmi o wiele bardziej dorośle, ale dla wszystkich byłam Sammie. Ciężko być dziewczyną, która staje się kobietą. Ty pierwszy zobaczyłeś we mnie Samanthę. Dziękuję.

Richard skłonił głowę.

– A teraz, Samantho, podaj mi prawdziwy powód, dla którego postanowiłaś uleczyć mnie i Kahlan, pozwalając umrzeć innym.

Spojrzała mu w oczy. Wyglądała na kobietę, na którą wyrastała.

– Bo tylko ty możesz nas uratować.

- Lepiej wytłumacz, co masz na myśli.
- Też myślę, że już czas najwyższy. Wszyscy mamy go mało.



## ROZDZIAŁ 19

– Co to właściwie znaczy? – zapytał Richard. Wzięła głęboki oddech, zbierając myśli.

– Kiedyś byli tu inni ludzie z darem, ale dawno odeszli, więc to ja muszę ci wszystko wytłumaczyć, chociaż kiepsko jestem do tego przygotowana.

– Byli tu inni z darem? Oprócz twojej mamy? – Kiedy potaknęła, zapytał: – Co się z nimi stało?

– Miałam trzy ciotki z darem. Dwie były siostrami mamy, jedna siostrą taty. Były czarodziejkami służącymi naszemu ludowi. Siostra taty, Clarice, była dużo starsza. Nigdy nie wyszła za męża. Chociaż w Stroyzie osoby z darem oficjalnie nie mają żadnego przywódcy, zawsze uważano, że ona jest liderką. Każdy zdawał się na jej osąd. Tak było przez całe moje życie. To się wydawało naturalną kolejną rzeczą. Około półtora roku temu znaleziono ją martwą w lesie niedaleko stąd. Ludzie uznali, że zmarła ze starości. Jej śmierć wstrząsnęła mieszkańcami Stroyzy.

– Naprawdę zmarła z przyczyn naturalnych?

– Nie wiem. Wtedy wszyscy tak myśleliśmy, nie mieliśmy powodu, by podejrzewać coś innego. Ale teraz nie jestem taka pewna. Po jej śmierci mieszkańcy poprosili mamę, żeby zajęła jej miejsce. – Samantha zatoczyła krąg ręką. – To wtedy się tu wprowadziliśmy. To mieszkanie najważniejszej spośród mających dar w naszej wiosce. Prastara tradycja, którą honorujemy. Wkrótce po śmierci Clarice i naszej przeprowadzce pojawiły się pogłoski, że ludzie widują dziwną kobietę z zaszytymi ustami. Dopiero potem się dowiedzieliśmy, że nazywa się Jit Zaszyta Służka i że ma kryjówkę w Kharga Trace. Nie wiedzieliśmy, skąd się wzięła ani jak długo przebywa w Trace. Nie mieliśmy nawet pewności, kim tak naprawdę jest. Od przejeżdżających kupców, bywających u wielu mieszkańców Mrocznych Ziem, słyszeliśmy najrozmaitsze opowieści o Jit. Niektórzy uważali, że to śmierć zamieszkała pośród nas,znaczając kres czasu. Inni mówili, że ma wspaniałe, wręcz cudowne zdolności uzdrawiania nawet beznadziejnych przypadków. Mamie udało się dowiedzieć, że Jit wykorzystuje jakiś rodzaj magii odmiennej niż nasza, tajemną moc, z którą nigdy przedtem się nie zetknęliśmy. – Samantha spojrzała na niego, żeby się upewnić, że uważnie słucha. – Magia

ta sprawiała rzeczy, które nam wydawały się niemożliwe, na przykład że martwi chodzili.

– Jak te trupy, co napadły na wioskę? Samantha potaknęła.

– Krążyły pogłoski o takich rzeczach, o ciałach wykradanych z grobów. O zmarłych chodzących po Mrocznych Ziemiach.

Richard się zastanawiał, czy to Jit ożywiła zwłoki i nasłała na wioskę. Ją samą zabił, ale czy po okolicy nie krążyły jeszcze jakieś jej sługi?

– Ciotki, Martha i Millicent, były przekonane, że Jit może być jakąś nieczystą istotą, która uciekła zza północnego muru.

Richard pochylił się ku niej.

– Północnego muru? Samantha machnęła ręką.

– Dotrę do tego. Moi rodzice i ciotki z mężami, jak tylko usłyszeli te budzące niepokój opowieści, uznali, że musimy zbadać sprawę i poznać prawdę, bo nasza wioska leży najbliżej Kharga Trace, a więc jest najbardziej zagrożona. Mąż ciotki Marthy miał dar. Nie był jednak czarodziejem. Ani ja, ani nikt, kogo znam, nigdy nie spotkaliśmy prawdziwego czarodzieja. Mąż ciotki Millicent, Gyles, też chyba miał dar, ale innego rodzaju. Potrafił prorokować w pomniejszych sprawach, przynajmniej tak twierdził. Ale nikt mu za bardzo nie wierzył. Mama sobie z tego żartowała. Ale to właśnie wujek Gyles od dawna ostrzegał przed złą mocą, która pewnego dnia zjawi się na Mrocznych Ziemiach. Kiedy usłyszeliśmy, że Jit urządziła sobie kryjówkę w Trace, Gyles uznał, że to dowód jego proroczych talentów. Mama zawsze mawiała, że jeśli się wystarczająco długo przepowiada deszcz, to prędzej czy później się zmoknie, co potwierdzi przepowiednię. Mówiła, że w życiu są dobre i złe okresy i jeśli przepowiedz coś złego, w końcu się to spełni; a jeśli gadałeś o tym wystarczająco głośno, to uznają cię za proroka.

Richard się uśmiechnął. Myślał podobnie.

– Co słyszeliście o Jit? – zapytał, zanim Samantha uwikłała się w rodzinne sprawy. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Przeważnie szeptano za zamkniętymi drzwiami rodzicom, ciotkom i wujkom. Mama nigdy mi tego nie powtarzała, ale widziałam, że się martwi.

– Nie pytałaś?

– Nie. Nie byłam taka niemądra. Kiedy rodzice chcieli, żebym o czymś wiedziała, to mi o tym mówili. Skoro nie powiedzieli, to znaczyło, że nie powinnam pytać, bo to sprawa dorosłych. Wszyscy rozmawiali o takich

rzeczach na osobności. Zwłaszcza jeśli decydowano o bezpieczeństwie wioski.

– Więc ludzie z darem tu rządzą? Choć nieformalnie?

– Nie do końca. – Samantha w zamyśleniu zmrużyła oczy. – Mieszkańcy Stroyzy zawsze polegali na mających dar. Nie wiem, o co ci chodzi z tym rządzeniem. To mała wioska, nie jakieś imperium, i nigdy nie mieliśmy poczucia, że potrzebny nam ktoś, kto by rządził. Może żeby od czasu do czasu rozstrzygał spory. Zawsze było tak, że mieszkańcy szanowali osoby z darem i prosili je o radę, podobnie jak się szanuje starszyznę, ale niekoniecznie chcieli być przez nie rządzeni. Kiedy trzeba było o czymś zdecydować, ludzie często przychodzili do kogoś z darem, do moich rodziców, ciotek czy wujków, i prosili, by coś postanowili.

– Podobnie jak wtedy, kiedy nas tu przyprowadzili i posłali po ciebie: szanują twoje uzdolnienia, ale nie chcieliby, żebyś nimi rządziła.

Samantha się uśmiechnęła.

– Chyba dobrze to ująłeś. W tej sprawie mający dar postanowili, że ciotka Martha wraz z mężem pójda sprawdzić, co się dzieje w Kharga Trace, kim tak naprawdę jest Zaszyta Służka i co może knuć na moczarach. Jesienią, kiedy poziom wody był najniższy, ciotka Martha z mężem wyruszyli do Trace, żeby się wszystkiego dowiedzieć.

– I nigdy nie wrócili. – Domyślił się Richard, kiedy na chwilę umilkła. Samantha kiwnęła głową.

– Nasi ludzie szukali, ale nigdy ich nie odnaleziono. Mroczne Ziemie są rozległe, więc oczywiście nie mogli całych przeszukać. Poza tym bali się zbyt daleko zapuszczać na nieznane bagniska Kharga Trace. A wiosną, kiedy spłynęły wody, ktoś znalazł ich szczątki.

Richard wiedział, że nie mogło z nich wiele zostać. Postarał się spytać o tę ponurą sprawę jak najdelikatniej.

– Skoro tak długo byli pogrążeni w bagnisku, to skąd mieliście pewność, że to oni? Samantha uniosła dłoń w pełnym smutku geście.

– Mama rozpoznała ich kości. Mówiła, że zachował się w nich ślad Grace. Wpatrywała się w leżące na podołku dłonie.

– Powiedziała też, że wyczytała w kościach, że obydwójce zmarli gwałtowną śmiercią. Że ich zamordowano.

Richard był ciekaw, czy to prawda, że mający dar mogą wyczytać takie

rzeczy z kości, czy też przez matkę Samantha przemówił żal i chęć wskazania winnych. Zbyt mało wiedział o darze, by to stwierdzić.

Wiedział jednak, że Mroczne Ziemie są niebezpieczne, a Kharga Trace tym bardziej. Żołnierze z tej tajemniczej części D'Hary ostrzegali go, żeby nie wybierał się na te tereny. Biorąc pod uwagę wszystko, co wiedział – ostrzeżenia, które słyszał, i własne doświadczenia – przekonanie, że ciotkę i wujka Samantha zamordowano, wcale nie było niedorzeczne.

– Wkrótce potem – kontynuowała Samantha – moja druga ciotka, Millicent, i jej mąż Gyles zostali zabrani przez żołnierzy z opactwa.

– Z opactwa? – zdumiał się Richard.

– Tak. To odległe miejsce, w pobliżu miasta Saavedra. Włada nim opat Dreier. Opactwo ma coś wspólnego ze zbieraniem proroctw dla Hannisa Arca, który z cytadeli w Saavedrze rządzi prowincją Fajin.

– Co wiesz o tym opactwie?

– Tylko to, że zbierają proroctwa. Chyba nikt za dużo o nich nie wie. Ludzie nie lubią rozmawiać o opactwie i cytadeli.

Richard znał opata Ludwiga Dreiera, ale nie powiedział tego Samancie. Dreier zasiał w Pałacu Ludu niepokój związany z proroctwami. Prawdę mówiąc, odciągnął wiele krain od sojuszu z imperium D'Hary i związał je z Hannisem Arkiem, który obiecał, że będzie się z nimi dzielił proroctwami i wyjawia ich tajemnice.

– Domyślasz się, po co zabrali ciotkę i wujka do opactwa? Samantha machinalnie tarła kant krzesła.

– Nie mam pewności. Ale skoro wujek Gyles głosił, że ma dar prorokowania, może to miało z tym coś wspólnego. Może chcieli, żeby opowiedział o proroctwie. Pewna jestem tylko tego, że zjawili się żołnierze i oznajmili, że ciotka Millicent i wujek Gyles mają z nimi iść. Ponieważ mają dar, wybrano ich, żeby w opactwie pomogli przy proroctwach. Że to dla dobra mieszkańców prowincji Fajin, a proroctwo należy do wszystkich.

– I już nigdy nie wrócili?

Samantha spuściła wzrok i pokręciła głową, a Richard się domyślił, że z opactwa nikt nigdy nie wrócił. Ciekaw był dlaczego.

– W Stroyzie z osób mających dar została tylko mama.

– No i ty – odezwał się Richard. – Też masz dar. Samantha wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. Powinnam powiedzieć, że mama była w Stroyzie jedyną dorosłą osobą z darem. A teraz jej nie ma. To oznacza, że pradawny obowiązek, który na nas nałożono, spoczywa na mnie.

Richardowi nie spodobało się to, co usłyszał. Strzepnął z nogawki źdźbło słomy.

– Wiesz, co oznacza nazwa twojej wioski? Co znaczy słowo „Stroyza”?  
Samantha odgarnęła z czoła pasma włosów i spojrzała na niego chmurnie.

– Nie. Myślałam, że to taka sobie nazwa. Nigdy nie słyszałam, żeby to miało coś znaczyć.

– To słowo w górnod'harańskim.

– Górnod'harański to prastary, martwy język. Nikt dzisiaj nie zna górnod'harańskiego.

– Ja znam.

– Naprawdę? – Pochyliła się ku niemu z zaciekawiona. – Więc co to znaczy?

– Strażnik.

Samantha pobladła i przestała się uśmiechać.

– Drogie duchy – wyszeptała.

– Czy to słowo w prastarym języku ma coś wspólnego z waszym pradawnym obowiązkiem? Samantha potaknęła, w oczach miała łzy.

– To właśnie robiła mama. Trzymała straż. Rodzice opuścili Stroyzę, żeby donieść, co widziała, ale nigdy się nie zdołała z tego obowiązku wywiązać. Nie odeszli zbyt daleko, kiedy zabito ojca. Mama zaginęła i boję się, że ją też zamordowano.

– Tego nie wiemy – powiedział Richard. – Czego pilnowała? Samantha wskazała drzwi, na których wyrzeźbiono Grace.

– Muszę ci to pokazać.

## ROZDZIAŁ 20

Delikatnie musnęła smukłymi palcami wyrzeźbioną na drzwiach Grace.

– To nasza powinność – powiedziała. – Nasza powinność wobec świata żywych.

– Masz na myśli strzeżenie tego, co symbolizuje Grace?

– Otóż to – potwierdziła, otwierając drzwi.

Richard nie mógł pojąć, jak ludzie w takim miejscu mogliby być strażnikami Grace. Ten symbol zawiera wszystko, co istnieje. Obejrzał się na Kahlan, upewnił, że spokojnie oddycha, a potem przeszedł za Samanthaą przez drzwi z symbolem Grace.

Izbę, równie starannie urządzoną, oświetlało parę świec. Zmięty koc zepchnięto na skraj maty, na której pewnie spała Samantha. Zwyczajna, ale solidnie wykonana wysoka szafka stała obok wygiętej ławy, pod którą leżał niewielki bukłak.

Samantha zaprowadziła go do ciemnego korytarza zaczynającego się w głębi izby. Wzięła z półki latarnię, zaświeciła ją skinieniem dłoni. Korytarz, dłuższy niż Richard się spodziewał, rozświetlił się łagodnym blaskiem.

Znajdowało się w nim kilka izb; jak Richard się domyślał, były to pewnie dodatkowe sypialnie. W ścianie wyżłobiono niewielkie nisze. Umieszczono tam trzy drewniane regaliki. Na wyższych półkach stało parę glinianych figurek. Jedna z nich przedstawiała pasterza z owcami, inna – mężczyznę osłaniającego dłonią oczy, najwyraźniej wpatzonego w dal. Na niższych półkach leżało kilka ksiąg i poskładane płótna. Ciemne izby ciągnęły się wzdłuż korytarza, który biegł dalej w głąb góry, aż wreszcie Richard zobaczył, że kończy się ślepo.

Otwór na końcu zamykała kamienna płyta. Pośrodku niej też wyrzeźbiono Grace. Obok Richard zauważył umocowaną w ścianie metalową płytkę. Była tak przerdzewiała, że wyglądała jak część kamiennej ściany, i omal jej nie przegapił.

Widował już podobne metalowe płytki, chociaż w lepszym stanie. Umieszczano je w ważnych miejscach, do których dostęp miał być ograniczony. Były rodzajem zamka, który mógł otworzyć jedynie dar.

Dar Richarda pozwolił mu w przeszłości wniknąć do wielu chronionych

przejsć i zakazanych sektorów. Nawet do miejsc chronionych zabójczymi osłonami przepuszczającymi wyłącznie osoby z darem obu magii – addytywnej i subtraktywnej, do miejsc, gdzie nikt nie wchodził od setek lat.

– Nie może tam wejść nikt inny z wioski, żaden z niemających daru mieszkańców, prawda? Samantha pokręciła głową.

– Nie. To miejsce przeznaczone wyłącznie dla osób z darem. Inni nie mają tu wstępu. Większość ludzi trochę się nas boi i nikt nigdy nie wszedł do tego mieszkania, chyba że go zaproszono, lecz nie słyszałam, żeby to się zdarzyło. Nigdy też nikt poza osobami z darem nie wspominał o tym miejscu. Uważam, chociaż nie mam całkowitej pewności, że nikt nawet nie wie o jego istnieniu.

Richard przycisnął dłoń do płytki, żeby otworzyć przejście. Nic się nie stało.

– Mój dar ich nie otwiera – powiedział trochę zdziwiony.

Przypomniał sobie jednak, że jego dar nie działał, kiedy chciał ochronić, a potem uleczyć Kahlan. To było kolejne potwierdzenie – jeśli w ogóle takiego potrzebował – że coś jest nie tak.

Samantha płynnym gestem powiodła palcami po liniach Grace wyrzeźbionej w kamieniu, w takiej kolejności, w jakiej należało ją rysować. Najpierw zewnętrzny krąg symbolizujący granice życia; potem umieszczony w nim kwadrat przedstawiający świat żywych; następnie znajdujący się w nim okrąg reprezentujący początek życia; ośmioramienna gwiazda w tym wewnętrznym kręgu symbolizująca Stwórcę, stwarzanie życia. Na koniec przesunęła palcami po liniach wychodzących z wierzchołków ramion gwiazdy, przecinających wewnętrzny krąg wyznaczający początek świata żywych, a potem krąg zewnętrzny oznaczający kres życia i początek świata zmarłych.

– Dar – powiedziała Samantha, kreśląc ostatnią z biegnących na zewnątrz ośmiu linii – jaki powinien być.

Richard zmarszczył brwi, zastanawiając się, do czego ona zmierza.

– Świat życia i świat dusz, a wszystko łączy iskra daru.

– Tak jak powinno być – powiedziała jeszcze raz. – We właściwej kolejności – podkreśliła. – Świat życia, a potem, kiedy ono się kończy, świat dusz: zaświaty, świat umarłych.

– Wiem – rzucił, wciąż nie rozumiejąc, o co jej chodzi, i odrobinę

zaniepokojony tym, jak łatwo przybrała enigmatyczny ton czarodziejki.

– Powiedziałeś, że twój dar nie działa.

– To prawda.

– Z tego, co mama mnie uczyła, wynikałoby, że dar nie działa, bo jest przemieniony, wypaczony.

– Mów. Słucham.

– Masz w sobie śmierć.

– Tak.

– Śmierć w świecie życia – powiedziała, unosząc brew. – Tak nie powinno być. Nie taka jest kolej rzeczy, nie tak powinno się rysować Grace. Ma być świat życia i świat umarłych. Każdy istnieje we własnym miejscu, jak to ukazuje Grace. W tobie te dwa elementy współistnieją. To narusza Grace.

Richard dostał gęziej skórki. O tym nie pomyślał.

– Tak się dowiedziałam, że jesteś wybrańcem – wyznała, pochylając się ku niemu. Richard się nachmurzył.

– Co to właściwie znaczy?

– Teraz nie należysz ani do królestwa życia, ani do królestwa śmierci.

– A jak to czyni mnie tym, kogo szukasz?

– Muszę ci pokazać – powiedziała, prostując się.

Przycisnęła dłoń do metalowej płytki. Zamykający przejście kamień zaczął się przesuwać w prawo, odsłaniając tunel. Richard stał w milczeniu i wpatrywał się w mrok, a ciężki głaz wreszcie z łoskotem się zatrzymał.

– Co to za miejsce?

– Jest przeznaczone dla mających dar mieszkańców Stroyzy. Dla tych, którzy trzymają straż.

Richard był ciekaw, czego pilnują. Przeszedł przez otwór. Tuż za nim tkwiła na wsporniku szklana kula. Wiedział, co to takiego. Często korzystał ze świecących kul z pradawnych czasów.

Lecz tym razem kula się nie zaświeciła, kiedy do niej podszedł. Musnął palcami gładką powierzchnię, ale pozostała ciemna.

Kiedy Samantha podeszła i sięgnęła po kulę, ta zaczęła się jarzyć, rozświetlając korytarz. Wzięła kulę i odstawiła latarnię, a potem dotknęła kolejnej metalowej płytki, żeby zamknąć wejście. Kamień zaczął zasłaniać otwór.

– Mój dar najwyraźniej na to też nie działa – stwierdził zirytowany



Richard, wskazując kulę.

– Nie rozumiem, czemu – Samantha na krótko się zachmurzyła – choć twój dar nie działa, to magia miecza tak. To kontradycja.

– Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, a sędzę, że tak, to wcale nie jest kontradycja. Dar to coś we wnętrzu – tu Richard wysunął trochę miecz z pochwy, a potem pozwolił mu wsunąć się na powrót – a miecz to magia zewnętrzna, coś wykreowanego. Nie potrzebuje daru, żeby działać. Każdy, w tym człowiek bez daru, może się posłużyć mieczem i jego magia zadziała. Jest niezależna od osoby. Potrzebna jej jedynie intencja tego, kto dzierży miecz.

Samantha w zadumie skinęła głową.

– Brzmi sensownie.

Richard spojrział w stronę zamkniętego wyjścia.

– To oznacza, że u Kahlan moc Spowiedniczki też się nie obudzi. Ona urodziła się Spowiedniczką. To także wrodzona moc, tak jak dar.

Zmartwił się, uświadamiając sobie, że Kahlan mogłaby być pozbawiona swojej ochronnej mocy Spowiedniczki.

Samantha potaknęła.

– Też ma w sobie skazę śmierci. To wypacza jej istnienie, tak jak twoje. Tyle że w niej to jest silniejsze. Istniejecie w obu światach: królestwie życia i królestwie śmierci. – Samantha odrobinę się ku niemu pochyliła w blasku kuli. – Te dwa światy do siebie nie przystają.

– No to świetnie – mruknął Richard zatroskany.

– Chodź – powiedziała Samantha, ruszając korytarzem.

## ROZDZIAŁ 21

Richard szedł za szczupłą dziewczyną, zanurzony w blasku szklanej kuli, którą niosła. Kamienne ściany pracowicie wygładzono i precyzyjnie wycięto kąty pomiędzy nimi a podłogą i sklepieniem – jak w mieszkaniu Samantha. Na gładkich ścianach nie było żadnych ozdób, zaznaczała się jedynie naturalna zmienność skały.

Korytarz, pozbawiony mebli lub chociaż półki, wnęki czy ławy, wydawał się Richardowi dziwny – jakby był rozmyślnie taki czysty i prosty, żeby nic tu nie rozpraszało uwagi i nie spowalniało tych, którzy z niego korzystali. Umiejętności i czas poświęcone stworzeniu takiego miejsca same w sobie budziły podziw.

Wspomniał korytarze w Pałacu Ludu, rodowej siedzibie Rahlów. Ozdobiono je pięknymi malowidłami i posągami mającymi dyskretnie przypominać przechodzącemu lordowi Rahlowi o jego obowiązku chronienia życia. Ten korytarz zaś wydawał się dyskretnie przypominać przechodzącym o ogromnej wadze ich służby.

Zastanawiał się, na czym mogła ona polegać.

Miejscami korytarz łagodnie zakręcał. Ze sposobu, w jaki się wił we wnętrzu góry, Richard wywnioskował, że nie chodzi tu o estetykę. Łuki będące raczej lekkimi skrętami, a nie narożnikami pod kątem prostym, wydawały się kolejnym przejawem zasady nierozpraszania uwagi.

Po pewnym czasie dotarli do następnego przejścia. Głaz blokował korytarz, nie pozwalając iść dalej temu, kto by dotarł aż tutaj. Samantha przyłożyła dłoń do metalowej płytki w ścianie.

Richard zauważył, że kiedy to zrobiła, świetlna kula pojaśniała, rozpoznając w niej osobę, której wolno przekroczyć chronione przejście. To mu powiedziało, że ta osłona była mocniejsza niż pierwsza. Na dodatek głaz wydawał się większy i znacznie cięższy od poprzedniego – kolejny sposób na solidne zabezpieczenie tego, co było dalej.

Cała góra zadudniła, kiedy wielki, okrągły kamienny dysk zaczął się przetaczać w prawo; olbrzymi ciężar miażdżył okruchy skały. Płaski kamień wtoczył się do wyciętej w ścianie szczeliny. Kiedy przeszli, Samantha zostawiła przejście otwarte, bo zamknęła poprzednie.

Richard zauważył, że korytarz jest tu o połowę szerszy. Jego ściany także wygładzono tak, że lśniły. Przesunął palcami po chłodnej, kremowej powierzchni kamienia, podziwiając wysiłek potrzebny do uzyskania takiego efektu. Blask kuli, którą niosła Samantha, odbijał się od ścian, pokazując, że kamień wypolerowano, tak jak się poleruje marmurowe posągi, żeby przypominały ciało żywego człowieka.

Minęli zakręt i nagle na ścianie po lewej pojawiły się symbole – Richard zamarł.

Wzory wycięto w nieskazitelnej skalnej ścianie, przez co były nieporównanie trwalsze, niż gdyby je namalowano. Ktokolwiek to zrobił, chciał, żeby przetrwały, póki będzie stać góra. Richard widział, że w głębi korytarza symbole i wzory pokrywają większość ściany.

Rozpoznał je.

Samantha się odwróciła.

– Chodź. Tędy.

Richardowi trudno było oderwać wzrok od rysunków, koncentrycznych okręgów, charakterystycznych emblematów i rozmaitych symbolicznych wzorów. Pospieszył za Samanthą.

Kiedy tak szedł korytarzem, zauważył, że rysunków nie tylko było coraz więcej, ale i robiły się coraz bardziej zawile. Wkrótce niemal od sklepienia do podłogi pokrywały ścianę po lewej stronie. Sama ich liczba świadczyła o doniosłości tego, co w nich zapisano.

Minęli kolejny zakręt i Richard zdziwił się, widząc w głębi łagodny blask. Uświadomił sobie, że to już nie światło kul, lecz słońca. Jakby padało z okna lub otworu w ścianie po lewej. Ciepły blask spływał na przeciwległą ścianę korytarza, rozjaśniając cały tunel i uwydatniając wszystkie rysunki.

– Tutaj – powiedziała Samantha, kładąc jarzącą się kulę na żelaznym wsporniku i wchodząc w obszar dziennego światła.

Wskazała okrągły otwór w ścianie, przez który wpadał blask.

Richard szybko tam podszedł. Przekonał się, że otwór wybito w skale na wylot. Wetknął głowę w idealnie okrągły prześwit, chcąc wyjrzeć na zewnątrz. Okazało się, że „okno” od tej strony miało około czterech stóp średnicy, lecz potem tunel, który otwierało, leciutko się zwężał. Był długi na jakieś osiem lub dziesięć stóp; ściany były gładkie, podobnie jak w korytarzu, ale niewypolerowane. Zanim tunel przebił się na drugą stronę góry,

otwierając drogę światłu dnia i świeżemu powietrzu, zwięzał się do średnicy poniżej trzech stóp.

Pozwolił Richardowi wyrzeć na stronę przeciwną do tej, z której wszedł do skalnej wioski.

„Okno” wychodziło na północ. Richard spojrzał na Samanthę.

– Co to takiego?

– Patrz. – Wskazała otwór.

Oparł dłonie na obrzeżu i lekko się pochylił, patrząc przez cylindryczny otwór na świat skąpany w blasku poranka. Zobaczył rozciągającą się przed nimi daleko w dole kotlinę. Nie było widać końca gęstego lasu, który ją porastał. Długość i kształt cylindrycznego otworu bowiem ograniczały widok.

Otwór był nakierowany na lukę w niebosiężnych górach znajdujących się wiele mil stąd. Richard się pochylił, starając się spojrzeć wzwyż, ocenić wysokość szczytów, lecz góry były ogromne, a kształt tunelu nie pozwolił mu zobaczyć wierzchołków. Widział jedynie wznoszące się z dna kotliny kamienne ściany niemożliwe do przebycia.

Głęboki kanion pomiędzy skalnymi ścianami wyglądał na jedyne przejście przez barierę gór. Richard, niegdyś leśny przewodnik, doskonale wiedział, jak trudno znaleźć trakt w takiej dziczy. W górskich okolicach często bywał tylko jeden szlak. Miał wrażenie, że ta kotlina jest jedyną drogą przez góry.

Cofnął się od otworu.

– Co powinienem zobaczyć?

– Hmm, musisz skorzystać z tego – powiedziała, wskazując dwie małe metalowe płytki w ścianie.

„Okno” okalał rysunek z kilkoma odrębnymi motywami. Richard je rozpoznał. Po obu stronach wśród elementów wzoru kryły się małe metalowe płytki wskazywane przez Samanthę, każda wielkości mniej więcej połowy jego dłoni. Te były w lepszym stanie niż poprzednie, wygładzone dotykiem niezliczonych rąk.

– Pozwól, że ci pokażę.

Dar Richarda nie działał, więc zanurkowała pod jego ramieniem i ustawiła się przed nim, tak by mogła położyć dłonie na płytkach. Była tak drobna, że z łatwością zmieściła się pomiędzy Richardem a ścianą. Czubek

jej głowy znalazł się na wysokości jego piersi.

– Pochyl się i popatrz – zachęciła.

Trzymając dłonie na płytkach, uchyliła się i Richard wetknął głowę w kolisty otwór.

Ku jego zdziwieniu powietrze falowało, podobnie jak nad ogniskiem, tyle że tutaj falowało kolistym, przypominało to zmarszczki na wodzie rozchodzące się na zewnątrz. Aż mu się trochę zakręciło w głowie. Lecz potem zmarszczki się wygładziły i widok na lukę w skałach znacznie się wyostrzył. Jakby Richard nagle się znalazł o wiele bliżej gór.

Kiedy wzrok mu się przyzwyczaił do światła i narastającej klarowności obrazu, uświadomił sobie, że w poprzek kotliny coś zbudowano. Pomiędzy dwiema górami, u wylotu kanionu, od jednej stromizny do drugiej wznosił się mur, bez wątpienia dzieło rąk ludzkich.

Zmrużył oczy, uważnie się przypatrując. Mur był kolosalny. Richard jeszcze nie widział tak ogromnej budowli wzniesionej przez człowieka. Wyniosła ściana górowała nad lasem rosnącym u jej podstawy.

Pośrodku muru – i wystając ponad niego – znajdował się kamienny potwór z szeroko otwartą paszczą, z której nad ogromny mur zwieszały się kły; jakby przejście tędy oznaczało wkroczenie w paszczę niesamowitej kamiennej bestii. W rozwartej paszczęce tkwiły wrota, wyższe od najwyższych drzew. Były niemal tak wielkie jak mur, w który je wbudowano.

I były otwarte.

Richard nieco się cofnął od otworu. Samantha zdjęła dłonie z metalowych płytek i widok za

„oknem” zafalował, znów stając się taki jak na początku.

– Północny mur – wyjaśniła Samantha.

– Północny mur – powtórzył. Ton jego głosu świadczył o tym, że nic nie rozumie.

– Całe moje dotychczasowe życie te wrota były zamknięte – wyjaśniła. – Tak było też za życia mojej mamy. Były zamknięte, odkąd mój lud tutaj mieszka.

– Wiesz, jak to długo?

– Słyszałam, że mieszkamy tutaj od tysięcy lat. Ale mama dopiero zaczynała mnie uczyć o naszym obowiązku, o naszej misji pilnowania północnego muru. Nagle przerwała te nauki, kiedy zobaczyła, że wrota w

północnym murze są otwarte. Nigdy w życiu nie widziałam jej tak zdenerwowanej. Mamrotała tylko, że się nie spodziewała, że to się stanie za jej czy mojego życia. Była na siebie zła.

– Dlaczego?

– Mówiła, że po pojawieniu się Jit powinna była nabrać podejrzeń. Że taka istota mogła się pojawić na Mrocznych Ziemiach tylko wtedy, kiedy północny mur zaczął słabnąć i niektórzy z tamtej strony zaczęli się przezeń przemykać. Zaszyta Służka nie była stąd. Musiała pochodzić z tamtej strony. Mama mówiła, że powinna wiedzieć, że coś jest nie tak, ale że nie podejrzewała, że to mogło mieć coś wspólnego z północnym murem. Kiedy ją spytałam, co to znaczy, odpowiedziała, że to oznacza, iż życie już nigdy nie będzie takie samo. Że świat nie będzie taki sam. Że świat żywych może nie przetrwać tego, co nadejdzie.

Byłam przerażona i domagałam się wyjaśnień, ale powiedziała, że nie ma na to czasu.

Pospiesznie stąd odeszła. Mówiła, że musi iść, póki nie jest za późno.

– Iść? – Richard znowu wyjrzał przez otwór, a potem popatrzył na Samanthę. – Dokąd?

– Ostrzec tych, którzy powinni wiedzieć. – Samantha wpatrywała się w podłogę. – Moi rodzice zginęli, to znaczy ojciec zginął, kiedy wybrali się w podróż do Wieży, żeby przekazać wieści radzie czarodziejów, wypełnić naszą misję ostrzeżenia ich, że północny mur został naruszony.

Richard patrzył na dziewczynę.

– Radę czarodziejów? W Wieży nie ma żadnej rady czarodziejów. Wstrząśnięta podniosła na niego wzrok.

– Jak to?

– Od bardzo dawna w Wieży nie ma rady czarodziejów. Wieża była opuszczona, dopiero mój dziadek niedawno się tam wprowadził, wraz z kilkoma innymi ludźmi.

## ROZDZIAŁ 22

– Ale moi rodzice poszli tam, żeby ostrzec radę czarodziejów. Tak powiedzieli. – Samantha popatrywała bezradnie na boki. – Mówili, że rada czarodziejów w Wieży ma postanowić coś w sprawie północnego muru. Tak powiedziała mama: trzeba iść do Wieży i ostrzec tych, którzy będą wiedzieć, co robić.

Richard dopiero teraz zaczynał rozumieć, jak bardzo Stroyza jest odizolowana od reszty D'Hary; miał na myśli nie tylko oddalenie, ale i wiedzę o otaczającym świecie. Współczuł tym ludziom, którzy mieli poczucie, że wypełniają ważną misję dla czarodziejów, których już nie było.

Rozłożył ręce w geście żalu.

– Bardzo mi przykro, Samantha, ale w Wieży nie ma rady. Była niegdyś, bardzo, bardzo dawno temu. Rady czarodziejów już nie ma ani w Wieży, ani nigdzie indziej. Nie jest tak jak dawniej. Czarodzieje rodzą się nadzwyczaj rzadko. Dziś niewielu ich zostało. Jestem jednym z tych, którzy się urodzili z darem, lecz dorastałem, nic o tym nie wiedząc, toteż nie znam się na tych sprawach. Mój dziadek jest Pierwszym Czarodziejem i wiele wie o dziejach Wieży, lecz zaginął. Jeżeli odnajdę jego i tych, którzy mu towarzyszyli, pewnie będzie mógł ci więcej powiedzieć.

Zedd co prawda sporo wiedział o radzie czarodziejów, ale Richard wątpił, by wiedział cokolwiek o północnym murze.

Samantha, bliska paniki, zaciskała w dłoniach pasma czarnych włosów. Wyrzała przez otwór w skalnej ścianie, jakby wypatrywała odpowiedzi. Najwyraźniej miała ochotę rwać włosy z głowy. Richard rozumiał, że oto wali się jej świat, znika życiowa misja.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Uspokój się, Samantha. Weź głęboki oddech i opowiedz mi, co się potem stało. Przełknęła ślinę.

– Nasi ludzie znaleźli szczątki ojca niedaleko stąd. Rzeczy mamy, jej plecak i prowiant, były porozrzucane w pobliżu. Mówili, że widzieli tam ślady walki. Ale jej ciała nie znaleźli. Teren był kamienisty i nie mogli iść po śladach. Północny mur został naruszony, a ja byłam w Stroyzie jedyną osobą z darem i wiedziałam, co powinnam zrobić. – Wyrzuciła w górę ręce. – Ale

nie miałam pojęcia, jak się dostać do Wieży Czarodzieja. Nawet nie wiem, gdzie to jest, myślę, że gdzieś daleko na Zachodzie. Jeszcze się nie dowiedziałam wszystkiego, co powinnam wiedzieć. Teraz nie wiem, co robić.

Popatrzyła na niego.

– Na szczęście się pojawiłeś. Nie wiem, czy to był przypadek, czy przeznaczenie, może to same dobre duchy cię przysłały, gdy najbardziej cię potrzebowałam.

Richard spojrział na nią z ukosa.

– Nie wierzę w przypadki.

– Cóż, wiem tylko, że powinieneś usłyszeć o tym wszystkim. Zwłaszcza że już nie ma rady czarodziejów. W końcu sam mówiłeś, że jesteś jednym z tych, którzy mają taki dar.

Teraz z kolei Richard ciężko westchnął.

– Nie jestem tego taki pewny.

– Uważam, że wszystko to się stało, bo jesteś tą właściwą osobą, wybrańcem.

– Wybrańcem. – Richard spojrział na nią sceptycznie. – Cieszę się, że tak myślisz. Bo ja nie mam co do tego pewności.

Samantha trochę się uspokoiła.

– Ja mam. Uniósł brew.

– Nie sądzisz, że gdybym był „wybrańcem”, tobym coś o tym wiedział? Nigdy o tym nie słyszałem. Dopiero niedawno dowiedziałem się o Mrocznych Ziemiach.

– Zabiłeś Jit. Tylko ty mogłeś to zrobić. Mogła to zrobić tylko osoba, której potrzebujemy. Sfrustrowany Richard skinął ku okrągłemu otworowi.

– Tak, ale nic nie wiem o północnym murze. Zabiłem Jit, bo pojmała Kahlan, a potem mnie i uśmierciłaby nas, gdybym jej nie powstrzymał. Po prostu starałem się przeżyć, ocalić życie. O to chodziło: zabiję lub zostanę zabity.

Richard zamilkł, bo coś mu przyszło do głowy. Zastanowiło go, czemu Jit dołożyła tylu starań, żeby ich ściągnąć do siebie.

Najpierw zwabiła Henrika i rzuciła na niego czar. Musiał robić to, co mu kazała, a ona wysłała go z misją przeniesienia jej zaklęć na Richarda i Kahlan, żeby z kolei sprowadziły ich do Kharga Trace. Poprzez specyficzną



moc czarów Zaszyta Służka zdołała ściągnąć Kahlan do swojej kryjówki i ją uwięzić. A to sprowadziło tam Richarda.

Kiedy teraz o tym myślał, nie mógł pojąć, skąd żyjąca na odludnych bagniskach Jit mogła wiedzieć o nich, mieszkających w odległym Pałacu Ludu. To kompletnie nie miało sensu; chyba że po prostu chciała dopaść tego, kto był akurat władcą, i tak się złożyło, że trafiła na niego i Kahlan.

Albo ktoś inny miał po temu powody i nakłonił ją, żeby to zrobiła.

– Wszyscy tak postępujemy – stwierdziła Samantha. – Staramy się przeżyć.

Odsunął na bok rozmyślenia o Jit i wrócił do bieżących spraw. Samantha wciąż patrzyła na niego wyczekująco.

– Rozumiem – powiedział. – Ale to nie znaczy, że jestem tym, komu musisz opowiedzieć o północnym murze.

– Jesteś lordem Rahlem – powiedziała z nieubłaganą logiką. – Na mój rozum to czyni cię ważniejszym od rady czarodziejów. Władasz całym imperium D’Hary, czyż nie? A to jest jego część.

Richard niechętnie musiał przyznać jej rację.

– No tak, ale to za mało, żebym był tym, za kogo mnie uważasz.

– To nie wszystko. Głównie chodzi o to, że jesteś z terenów za północnym murem.

Richard wsparł się pod boki i spojrzał na drobną dziewczynę. Usiłował nie robić groźnej, nachmurzonej miny. Z pewnością człowiek niezbyt pewnie się czuje, kiedy sterczy nad nim jakiś wielkolud, będący na dokładkę lordem Rahlem.

– Jestem z Hartlandu. – Wskazał kciukiem za siebie, ku zachodowi. – To niewielka miejscowość w Westlandzie, za Midlandami. Bardzo daleko stąd. Nie pochodzę zza północnego muru.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała spokojnie, jakby był tępym uczniem, a ona starała się zachować cierpliwość.

Ujawniała tę doprowadzającą Richarda do rozpaczyny cechę czarodziejek, która każe im mówić ogródkami i zagadkami, przez co zawsze się czuł ignorantem. Niegdyś podejrzewał, że takie zachowanie to skutek wieku i mądrości. Teraz się przekonał, że wcale nie. Ta wrodzona cecha czarodziejek ujawniała się nawet w młodym wieku, podobnie jak kolor włosów czy określona sylwetka. Irytowało go, że Samantha sprawia, iż czuje się trochę

niemądry.

– Nie chodziło mi o to, że tam dorastałeś – tłumaczyła cierpliwie, widząc, że za nią nie nadąża. – Miałam na myśli, że jesteś stamtąd... hmm... wewnątrznie. Pochodzisz z tamtych stron. – Przekrzywiła głowę, jakby pytała, czy wreszcie rozumie.

Nie rozumiał.

– Jakich stron?

– Z trzeciego królestwa – wyjaśniła krótko.

– Trzeciego królestwa?

– Tak. – Kiwnęła głową, najwyraźniej uznawszy, że teraz wszystko jasne. – Grace ukazuje, jak powinno być.

– Samantha – odezwał się, próbując opanować irytację – nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– W Grace zawarte są dwa królestwa, czyż nie? Królestwo życia, wewnętrzny krąg, i królestwo śmierci, krąg zewnętrzny.

– Co to za trzecie królestwo?

Stanęła na palcach i wskazała na widok za „oknem”.

– To jest trzecie królestwo, za północnym murem, który je odgradzał od czasów pradawnej wojny.

Richard doświadczył przez tę wojnę lat żalości, biedy i kłopotów. Nigdy jej nie rozstrzygnięto. Ów prastary konflikt na nowo rozgorzał i doprowadził do kolejnej wojny, która spowodowała straszne cierpienia i pochłonęła setki tysięcy ofiar. Lecz wreszcie się skończyła.

Zakończył ją na dobre.

Spojrzał w otwór, a potem na Samanthę.

– Co tamto miejsce ma wspólnego z Grace?

– Nie rozumiesz. Nie samo miejsce. Chociaż jest ono...

– Jest, ale nie jest. – Z wysiłkiem panował nad głosem. – Jeśli mam ci pomóc, Samantha, musisz się wyrażać jaśniej.

– Wybacz. – Odgarnęła włosy, odetchnęła i zaczęła tłumaczyć, unosząc ręce: – Trzecie królestwo nie jest światem ani życia, ani śmierci. – Poruszyła najpierw jedną, potem drugą ręką, jakby ukazywała równowagę obu królestw, po czym złączyła dłonie. – Trzecie królestwo to tamte zjednoczone w jednym miejscu i czasie.

Richard dostał gęsiej skórki.

– To niemożliwe.

Przemknęła mu przez głowę przygnębiająca myśl. Kiedyś udał się w zaświaty do Świątyni Wichrów, którą dla bezpieczeństwa przeniesiono tam w czasach wielkiej wojny. On, żywy człowiek, znalazł się w świecie zmarłych. Więc w pewnym sensie wtedy życie i śmierć pozostawały w tym samym miejscu i w tym samym czasie.

Kiedy po raz pierwszy spotkał Kahlan, szukała pomocy za granicą oddzielającą Westland od Midlandów. Ta granica przecinająca ich świat, tworząca w nim pęknięcie, była oknem w zaświaty. Przeszedł przez nie razem z Kahlan.

Zrozumiał, że takie rzeczy są jednak możliwe.

Odwrócił się ku oknu, tym razem patrząc na okalające je symbole, a nie wyglądając na daleką kotlinę. Przyglądał się im, rozszyfrowywał je w myślach, czytał. I wtedy zobaczył, że symbole tworzą słowa „trzecie królestwo”.

Nazywały to, co było widać za skalnym oknem.

Początkowo uznał, że symbol oznaczający „królestwo” odnosi się do jakiegoś starożytnego kraju. W końcu D’Hara powstała z wielu królestw.

Samantha postukała go palcem w pierś.

– Masz w sobie życie i śmierć. W tej chwili nie jesteś ani ze świata żywych, ani ze świata zmarłych. Przynależysz do obu tych miejsc. Podobnie Matka Spowiedniczka. Jeśli skaza śmierci nie zostanie z was usunięta, upomni się o was i umrzecie. Lecz na razie macie w sobie tak życie, jak i śmierć.

Richard się w nią wpatrywał.

– To dlatego powiedziałam, że jesteś stamtąd. – Nie odrywając od niego wzroku, wskazała okno. – Jesteś z trzeciego królestwa, zza północnego muru.

## ROZDZIAŁ 23

– Czemu stale mówisz o północnym murze?

Spojrzała na niego chmurnie, zdziwiona pytaniem.

– Bo tak się nazywa.

– Wcale nie – powiedział Richard. Zmarszczyła czoło.

– O co ci chodzi?

Richard wskazał symbole pokrywające ścianę.

– Nazwano go murem granicznym. Tu nie ma żadnej wzmianki o północy, mówi się wyłącznie o murze granicznym. Dlaczego twój lud nazywa go północnym?

Ciemne oczy Samantha zrobiły się wielkie i okrągłe. Twarz w obramowaniu czarnych włosów pobladła.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz odczytać te dziwaczne znaki?

– Tak. – Wskazał wzory okalające otwór. – Ten tutaj oznacza „trzecie królestwo”. Określa to, co ukazuje okno: „trzecie królestwo”.

Richard przesunął dłoń po gładko wypolerowanej ścianie, w której starannie wyrzeźbiono prastare symbole.

– Ten tutaj mówi o granicy. A ten, widzisz? W połączeniu ze znajdującym się pod nim symbolem oznacza „mur graniczny”. Nigdzie się tego nie nazywa północnym murem.

Samantha słuchała, wpatrzona w niego, a nie tam, gdzie wskazywał.

– Potrafisz odczytać te znaki? Naprawdę wiesz, co one znaczą? Rozumiesz je? Naprawdę? Potaknął, przesuwając dłoń po kolejnej grupie symboli.

– Te tutaj odnoszą się do granicy. Zapisano tu mnóstwo informacji. Musiałbym nad tym popracować, żeby wszystko przetłumaczyć, ale ogólnie rozumiem wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że całość dotyczy granicy i leżącego za nią trzeciego królestwa. – Obejrzał się przez ramię. – No więc czemu nazywacie to północnym murem?

Samantha była w rozterce.

– Nie wiem. Zawsze tak mówiliśmy. Nie było powodu, by podejrzewać, że mur mógłby nosić inną nazwę.

Teraz Richard był zaskoczony. Wpatrywał się w nią.

– Chcesz powiedzieć, że osoby z darem w Stroyzie zawsze miały obowiązek strzec granicy, żeby można było zawiadomić, kogo trzeba, jeśli wrota się otworzą, lecz nikt nie potrafił odczytać tych informacji? Instrukcji i ostrzeżeń, które tu pozostawiono?

Wyglądała na zmieszaną, zdumioną i zakłopotaną.

– Wybacz, lordzie Rahlu, ale uczono mnie, że to znaki w prastarym martwym języku. Nigdy nie słyszałam, żeby mama, ciotki czy wujkowie mówili, że te napisy na ścianach są ważne. Ciotka Martha zawsze się uśmiechała, widząc je, i nazywała je ładnymi wzorkami zostawionymi nam przez przodków. Mama wspominała, że niektórzy myślą, iż mogą zawierać jakąś wiadomość, ale że nawet jeśli tak było, to prastary tekst został dawno zapomniany.

– Przecież twój lud cały czas tu był, najwyraźniej od czasów, kiedy ten mur zbudowano i zapisano te informacje. Jak możecie nie wiedzieć, co znaczą? Czemu z pokolenia na pokolenie nie przekazywano ich znaczenia? Dlaczego nie uczono młodych, jak je odczytywać?

Przez chwilę wpatrywała się w ścianę, a potem znowu spojrzała na Richarda.

– Wybacz, lordzie Rahlu, ale nie wiem.

– To bez sensu. – Uniósł dłoń, po czym pozwolił jej bezwładnie opaść. – Czemu osoby z darem nie uczyły swoich następców, swoich dzieci? W końcu to był ich cel i obowiązek: trzymać straż. Ta ściana opowiada o ich powinności.

Samantha drapała się w czoło, dumając nad tym.

– Czasem rodzi się ktoś, kto nie dziedziczy daru.

Richard potaknął, położył lewą dłoń na rękojeści miecza.

– Dar ominął moją matkę.

– Pewnie musiały być takie luki w rodach ludzi z darem służących Stroyzie – uznała. – I za mało czarodziejek miało dzieci z darem, toteż ich wiedza nie mogła być przekazywana. Kiedy zaś dorosłym już dzieciom bez daru rodziło się potomstwo obdarzone mocą, to żyjące czarodziejki były już bardzo stare, a ich wnuki za młode, żeby je tego uczyć. Mogło być i tak, że już nie żyły i nie miał kto uczyć młodych. Sam przecież powiedziałeś, że masz dar, ale że nikt cię nie nauczył się nim posługiwać. Wiedza, którą mogłeś otrzymać, przepadła. Kto wie, co przez to straciłeś.

Richard na chwilę wykrzywił się w grymasie żalu i irytacji.

– Pewnie masz rację.

– Nasza znajomość tych symboli musiała przepaść w czasach, kiedy pojawili się ludzie pozbawieni daru, a kolejni obdarzeni mocą mogli poznać jedynie fragmenty wiedzy. Mogło być i tak, że z jakiejś przyczyny ich nie uczono. Tak jak ciebie. Jak mnie, kiedy mama zniknęła. Toteż nawet nie wiedzieli, jaka część wiedzy przepadła. Przecież jeśli sama będę miała dzieci, to nie będę mogła im przekazać tego, co mama wiedziała, a nie zdążyła mnie nauczyć. I też nie wiem, czego mi nie powiedziała. Pewnie dlatego ona nie wiedziała, co znaczą te symbole.

Richard westchnął ze znużeniem.

– Zapewne. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym oskarżał was o niesumienność. Twojemu ludowi musiało być ciężko. Cały czas w tym odludnym miejscu, bez świadomości, dlaczego tu jest.

Między innymi dlatego Richard zawsze uważał, że księgi są ważne, dlatego ich szukał i z takim zacięciem wydobywał z nich informacje. Księgi zastępowały ludzkie więzi, przenosiły wiedzę przez czasy upadku i ignorancji.

Dobrze było mieć przodków, którzy przekazaliby ci swoje doświadczenie; lecz jeśli z jakiegoś powodu ich zabrakło, księgi mogły wypełnić pustkę i luki nie tylko w pokoleniach, ale i wiekach, a nawet tysiącletniach. Chroniły z trudem zdobytą wiedzę. Trwały. Mogły być niemal wieczne.

Przesunął dłonią po wyrzeźbionych w skale symbolach. Lecz musisz umieć czytać, żeby zdobyć bezcenne informacje. Wszystko, co zapisano na tych ścianach, było bezużyteczne, jeśli ludzie nie umieli tego odczytać.

Samantha podejrzliwie wpatrywała się w niezrozumiałe dla niej symbole.

– Skoro nikt cię nie uczył, to jak rozumiesz ten martwy język?

– W ciągu życia, w czasie, kiedy stawałem się lordem Rahlem, musiałem się nauczyć wielu rzeczy, w tym górnod'harańskiego – wskazał ścianę – i tego.

Znowu popatrzył na okrągły otwór.

– Ale nigdy nie napotkałem wzmianki o trzecim królestwie. Nigdy o czymś takim nie słyszałem ani nie czytałem.

– Twoi przodkowie najwyraźniej nie nauczyli cię wielu rzeczy. Uśmiechnął się krzywo.

– Najwyraźniej.

– No a co z tym językiem? – dopytywała się. – Naprawdę rozumiesz te wszystkie dziwne znaki?

– Tak. – Znowu powiódł dłonią po jednym z rysunków. – Na przykład te tutaj dotyczą zaklęć granicy. Mówią, że to właśnie te zaklęcia, a nie mury czy żelazna brama, a nawet góry, są prawdziwą mocą zamykającą dostęp wielkiemu złu.

– Wielkie zło... – powiedziała zatroskana.

– A ten układ symboli mówi, że częścią zaklęć granicy są czary grawitacyjne. Musiałbym przeczytać więcej, żeby się dowiedzieć, co to znaczy. – Popatrzył na nią. – A może wiesz, co to są czary grawitacyjne?

Pokręciła głową, wciąż patrząc na niego z podziwem, jakby był dobrym duchem o ezoterycznej wiedzy, co zstąpił do jej świata, by wyjaśnić niewytłumaczalne. Trochę go to krępowало.

Podszedł do kolejnych wzorów, przez chwilę oglądał rozmaite elementy. Postukał w ścianę.

– Te mówią o mających dar, którzy osiedlili się w Stroyzie, żeby pilnować granicy. Napisano, że muszą tutaj przebywać i wypatrywać osłabienia czarów grawitacyjnych, które mogłoby zachwiać przegrodą.

– Strasznie żałuję, że utraciliśmy tę wiedzę. Przodkowie zadali sobie tyle trudu, żeby nam ją przekazać, a my to zaprzepaściliśmy.

Richard z roztargnieniem potaknął. Skubiąc dolną wargę, w skupieniu przypatrywał się symbolom, nie mogąc się oprzeć chęci tłumaczenia ich w myślach. Machnął ręką ku ścianie.

– To ciekawe. Wygląda na to, że ci ludzie mieli świadomość, iż mur nie będzie trwać wiecznie. Głównie dlatego zostawili tutaj strażników granicy. Napisano, że zaklęcia, choć potężne i długo zachowujące moc, z czasem osłabną. A kiedy to nastąpi, istoty zza muru zaczną przenikać do świata życia.

– Jit – wyszeptała Samantha i popatrzyła na Richarda. – Była tym, czego powinniśmy wypatrywać. Mamę niepokoiła Zaszyta Służka i to, skąd się wzięła, ale nic nie wiedziała o tych zaklęciach granicy.

Samantha szła wzdłuż ściany, przypatrując się znakom już w inny

sposób.

– I pomyśleć, że nawet nie wiedziałam, że to jest jakiś język. Nie mogę uwierzyć, że nikt z nas nie wiedział, że te dziwne znaki to ważne dla nas instrukcje.

– Zwą je mową Początku.

Samantha odwróciła się ku niemu, marszcząc brwi.

– Czy w Hartlandzie, skąd pochodzisz, nauczono cię jej? Richard się uśmiechnął.

– Nie. Prawdę mówiąc, nauczyłem się jej całkiem niedawno.

To w mowie Początku prastara wróżebna machina wypisywała proroctwa. Wypalając promieniem światła na metalowych płytkach symbole mowy Początku. W Pałacu Ludu znajdowała się również część księgi zatytułowanej *Regula*. Niestety, był to tylko fragment. Tę jej część, w której objaśniono zadania maszyny, dawno temu wysłano dla bezpieczeństwa do Świątyni Wichrów.

*Regula* wydawała się zawierać instrukcje do maszyny. Z jej pomocą Richard nauczył się tłumaczyć symbole i przy okazji poznał mowę Początku.

Była ona bardzo skondensowana, wykorzystywała symbole oznaczające raczej pojęcia niż słowa. Kiedy Richard to pojął, uświadomił sobie, że od lat posługiwał się elementami mowy Początku. Wykorzystywano je w symbolach w Wieży oraz zaklęciach rysowanych przez mających dar. Mowa Początku wpłynęła na wszystko, co się po niej pojawiło.

– Nie rozumiem, jak to możliwe – westchnęła sfrustrowana Samantha. – Nie rozumiem, jak można coś zawrzeć w symbolach i rysunkach. – Machnęła ręką ku ścianie. – Jak koła, trójkąty i te dziwaczne zawijasy mogą nam cokolwiek powiedzieć? A zwłaszcza coś złożonego?

– Grace jest symbolem, nieprawdaż? – zapytał, wodząc wzrokiem po ścianie.

– No tak.

– To symbol mowy Początku. Znowu szeroko otworzyła oczy.

– Taaak?

– Oczywiście. I dość skomplikowany, nie sądzisz? Spójrz tutaj. – Wskazał palcem kolisty element umieszczony w jednym z rysunków. – Ten symbol mówi o życiu i o zagrożeniu ze strony tego, co się znajduje za granicznym murem. Widzisz, że zawiera pewne elementy Grace?



Samantha aż otworzyła buzię, podchodząc i dotykając motywu życia.

– Nigdy przedtem tego nie zauważyłam. Zawsze przychodziłam tu z mamą, żeby wyrzeć przez otwór i ocenić trwałość muru. Ponieważ nie miałam pojęcia, że te rysunki cokolwiek znaczą, właściwie nie zwracałam na nie uwagi. Przechodziłam obok, nie patrząc.

– To wszystko mowa Początku – powiedział Richard.

– Jesteś wybrańcem – stwierdziła z przekonaniem, znów wpatrzona w niego z podziwem. – Tylko ktoś, kto ma nam pomóc, zrozumiałby te napisy i potrafił powiedzieć, co powinniśmy zrobić, skoro trzecie królestwo przenika przez granicę.

– To, że rozumiem mowę Początku, nie oznacza, że wiem, co należy robić. Mam własne problemy...

Richard nagle się odwrócił ku skalnemu oknu wychodzącemu na mur pomiędzy górami.

– Drogie duchy – wyszeptał. – Chyba wiem, gdzie oni są.

## ROZDZIAŁ 24

Samantha miała zdziwioną minę.

– Kto?

– Moi przyjaciele, którzy przybyli na Mroczne Ziemie, żeby ratować mnie i Kahlan – powiedział z roztargnieniem Richard, gorączkowo starając się dopasować fragmenty układanki. – Zaatakowano ich, podobnie jak twoich rodziców.

– O czym ty mówisz? Co oni mają z tym wspólnego? – spytała, szerokim gestem wskazując wyrzeźbione symbole.

– Zakłęcia graniczne – mruknął Richard, znowu spoglądając na wzory na ścianie. – Kiedy się po raz pierwszy ocknąłem, stali nad nami dwaj mężczyźni. Zapamiętałam trochę z tego, co mówili. Zastanawiali się, kto mógł zaatakować żołnierzy i moich przyjaciół. Jeden z nich powiedział, że jego zdaniem naszą grupę napadli Shun-tuk...

– Shun-tuk? Nigdy nie słyszałam, żeby taki lud mieszkał na Mrocznych Ziemiach. Richard spojrział na otwór w ścianie.

– Nie sądzę, żeby Shun-tuk pochodzili z Mrocznych Ziem. Ten drugi wątpił, że to byli oni. Lecz pierwszy powiedział: „Przegroda przerwana, to niby gdzie lepiej teraz polować? Shun-tuk pójdą wszędzie i zrobią wszystko, żeby znaleźć tych z duszami”.

Samantha była przerażona.

– Sądzisz, że ci Shun-tuk przyszli z za przegrody?

– Na to wygląda. Ten drugi powiedział, że tamci mają własne rozległe ziemie. Zastanawiał się, po co by się zapędzali tak daleko. Kompan mu odpowiedział: „Po to samo, co my. Tropią tych z duszami”.

Samantha się skrzywiła.

– Polują na dusze?

– Tak powiedział. Ich ojczyzna nie leży po tej stronie granicy, myślę, że jest po tamtej.

Richard wrócił do ściany, przyglądał się symbolom i wzorom, szukając wzmianki o duszach. Kiedy tak czytał w milczeniu, Samantha się oddaliła; jej kroki niosły się echem w korytarzu, wodziła dłonią po kamieniu, patrząc na symbole, których nie rozumiała, lecz teraz zaczynała je widzieć w innym

światle.

– Lordzie Rahlu! – zawołała.

Richard popatrzył tam, gdzie przyciskała palec do ściany.

– O co chodzi?

– Myślę, że tu jest imię.

– Imię? Jesteś pewna?

– Nie wiem – powiedziała, pochylając się ku ścianie – ale to nie jest symbol. Uważam, że w kamieniu wyryto imię. Napisano tu „Naja”.

– Naja? – Richard był zdumiony, że mogła coś odczytać.

– Tak, tutaj. Nie mogę uwierzyć, że wcześniej tego nie zauważyłam. Pewnie dlatego, że jest małe i niemal niknie w płątaniu wzorów.

Richard przyjrzał się ścianie w miejscu, gdzie Samantha trzymała palec. Odrobinę się różniło od innych rzeźbień. Linie wyryte w gładkim kamieniu wyraźnie się odcinały w blasku szklanej kuli. Były bardziej zbite, tworząc odrębną grupę symboli. Tkwiły niczym rdzeń wśród otaczających je wzorów.

Istotnie wyglądało to na wyryte imię Naja. Dalej zauważył półkole, pod którym znajdowały się trzy promienie oznaczające „księżyc”.

– Co to znaczy twoim zdaniem?

Richard pospiesznie przetłumaczył kilka innych symboli.

– Masz rację. To imię. Pierwszej części nie można zapisać w mowie Początku, drugą tak.

– Jak więc ono brzmi?

– Naja Moon.

– Piękne – powiedziała Samantha. – Ale dlaczego według ciebie się tu znalazło?

Richard prawie nie słuchał. Szukał odpowiedzi na to właśnie pytanie. Przyglądał się symbolom, żeby potwierdzić wstępne domysły.

– To osobiste zapiski – rzekł na wpół do siebie, na wpół do Samanthy.

– Osobiste zapiski? Richard się wyprostował.

– Otóż to.

Samantha, zapatrzona w symbole, w zadziwieniu pokręciła głową. Potem wskazała trochę dalej na płątanie wzorów.

– Spójrz tutaj. Kolejne imię. Magda Searus.

Pod Richardem ugięły się kolana. Aż zadrżał, widząc to niezmiernie ważne imię wyryte w kamieniu w tak odległej, zapomnianej krainie.

Samantha zobaczyła jego minę i zaniepokoiła się.

– Co się stało, lordzie Rahlu? To coś dla ciebie znaczy?

– Magda Searus była pierwszą Spowiedniczką.

– Chcesz powiedzieć, że była Spowiedniczką, jak twoja żona? Richard przycisnął palce do skroni.

– Właśnie – powiedział wreszcie. – Magda Searus była pierwszą kobietą, która została Spowiedniczką. To od niej wszystko się zaczęło. – Richard wskazał kolejne imię tuż obok:

Merritt. – Merritt był czarodziejem, jej obrońcą, podobnie jak ja jestem obrońcą Kahlan.

Samantha patrzyła na imiona w zamyśleniu.

– Pierwsza... – Spojrzała na Richarda. – Co tu o nich napisano?

Richard ze złością musnął palcami znaki, a potem kolejne wyryte w kamieniu symbole.

– Że spisała to osobiście Naja Moon na życzenie Magdy Searus i czarodzieja Merritta, żeby ci, co przyjdą po nich, nigdy nie zapomnieli.

Samantha przełknęła ślinę.

– Ze wstydem przyznaję, że mój lud zapomniał. – Spojrzała na niego z nadzieją. – Potrafisz to przeczytać? Możesz odczytać te zapiski, żebyśmy znowu się z nimi zapoznali?

Richard odkaszlnął, znalazł początek i zaczął tłumaczyć. Od razu znalazł kolejne imię – Sulachan – wplecione w symbole.

– Powiadam, że konstruktorzy imperatora Sulachana...

– Imperator Sulachan? Kto to jest? I co to za „konstruktorzy”? Richard pokręcił głową.

– Dokładnie tego nie wyjaśniono, ale z dalszej części wynika, że konstruktorzy byli czarodziejami. – Postukał palcem w kolejną grupę symboli. – Tu zapisano, że Sulachan, imperator Starego Świata, rozkazał swoim konstruktorom, żeby stworzyli nową potężną broń do wojny z Nowym Światem. A oni, spełniając jego życzenie, opracowali nowe straszliwe zaklęcia.

Richarda przeszył lodowaty dreszcz – uświadomił sobie, że wojna, którą toczył z imperatorem Jagangiem i Starym Światem, rozpoczęła się właśnie w czasach Nai Moon, Magdy Searus i Merritta. To wtedy stworzono najstraszniejsze ze wszystkich znanych czarów. W tamtych odległych

czasach powstała również magia, która stworzyła pierwszą Spowiedniczkę.

Niezbędne magiczne zrównoważenie zesłanych na świat okropieństw.

Richard patrzył na relację o początku wojny, która doprowadziła do niewyobrażalnych cierpień i śmierci. Był to początek walki o dominację szalejącej przez tysiąclecia. Ogień tej wojny nigdy do końca nie wygasł, lecz tlił się, by na nowo rozgorzeć w czasach Richarda.

To się zaczęło za życia pierwszej Spowiedniczki i jej czarodzieja Merritta i wybuchnęło na nowo w czasach ostatniej żyjącej Spowiedniczki, Kahlan, i jej czarodzieja Richarda.

Te zapiski pochodziły z czasów, kiedy zrodziła się moc Kahlan – moc Spowiedniczki.

## ROZDZIAŁ 25

– Ci konstruktorzy musieli być czarodziejami, którzy za pomocą czarów wytwarzali rozmaite rzeczy – odezwała się Samantha, wrywając Richarda z zadumy. – Słyszałam, jak ciotki mówiły, że czarodzieje układają strukturalne zaklęcia. Pewnie Naja mówi właśnie o takich zaklęciach.

Rzucił jej spojrzenie.

– Nie chodzi tu o strukturalne zaklęcia, przynajmniej nie w tej fazie. Najpierw wymyślają nowe odmiany magii jako takiej. I dopiero później wykorzystują je w strukturalnych zaklęciach. Posługiwali się nimi również do czynienia z ludźmi broni.

Aż otworzyła buzię.

– Zamieniali ludzi w broń? Richard potaknął.

– Straszliwą, taką jak imperator Jagang ze Starego Świata. Jego przodkowie byli orężem stworzonym w czasach Nai. Nazywano ich Nawiedzającymi Sny.

– Naprawdę? – wyszeptała ze zdziwieniem. – Mama nigdy mi o czymś takim nie mówiła.

– Niewielu ludzi w naszych czasach wie o rzeczach z tej pradawnej wojny. Niektórzy dowiedzieli się wtedy, kiedy ta wojna na nowo rozgorzała. Ze zgrozą poznawaliśmy taką broń.

– Ale jak w ogóle są możliwe nowe formy magii? Myślałam, że magia to magia, zawsze taka sama, i że po prostu trzeba się nauczyć, jak działa.

Richard, chociaż doceniał jej ciekawość, był zbyt przejęty tym, czego się właśnie dowiadywał, żeby mieć ochotę zagłębiać się w te sprawy, toteż odparł krótko:

– Tak, to możliwe.

– Napisano tu, jaki nowy rodzaj magii stworzyli? Richard spojrzał na nią chmurnie.

– Samantha, pozwól mi przeczytać. Potem ci opowiem. Pochyliła głowę.

– Wybacz.

Wrócił do tłumaczenia.

– Napisano, że konstruktorzy wymyślili zaklęcia, żeby wykorzystywać umarłych jako...

– Wykorzystywać umarłych! Do czego?

– Jako wojowników. Nowymi zaklęciami budzono zmarłych ze snu śmierci i kazano im służyć sprawie imperatora.

Samantha chwyciła go za ramię.

– Jak te potwory, które nas zaatakowały? Co wyglądały jak trupy wykopane z grobu i przywrócone do życia?

– Najwyraźniej. – Richard kręcił głową, patrząc na zapisaną w kamieniu upiorną opowieść. – Konstruktorzy imperatora, zmieniając elementy Grace, nauczyli się manipulować duszami w zaświatach...

– Po co to zrobili? – przerwała mu znowu Samantha, niecierpliwiąc się.

Uciszył ją gestem, żeby móc w spokoju przestudiować grupę symboli. Westchnęła i czekała w milczeniu.

Richard potarł ręką czoło.

– Lokowali w zwłokach potężną magię, jednocześnie działając magią subtraktywną na ich dusze w zaświatach, i tym sposobem na powrót łączyli dusze z ich ziemskimi szczątkami.

Samantha objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Richardowi też. Przetłumaczył kolejną linijkę.

– Mogli to uczynić, manipulując sprzężeniem w Grace, iskrą daru spajającą wszystko, biegnącą od Stwórcy, poprzez życie i w śmierć. Tak mogli stworzyć ożywione trupy, niemające własnej woli. Ci, którzy je obudzili, dali im cel. Konstruktorzy Sulachana stworzyli dzięki temu armię bezlitosnych, bezwzględnych morderców. Obudzeni ze snu śmierci nie odczuwają głodu, bólu, strachu ani litości. Nigdy się nie męczą. Nigdy się nie wycofują. Nie znają niczego poza tym, co im wpojono, i nie można ich zabić, ponieważ już nie żyją. Napisano tu także, iż zmarłych można budzić w miarę potrzeby. Wybudzeni nieustępliwie dążą do wypełnienia rozkazów. Magia, która ich ożywia, daje im ogromną siłę. Taką, że mogą rozdzierać ludzi na strzępy.

– Widzieliśmy to ostatniej nocy – wtrąciła Samantha.

– Muszę się z tobą zgodzić. – Richard postukał palcem w gęsto stłoczone symbole. – Pasuje to także do tego, co napisano dalej. Są tak ograniczeni i umotywowani zarazem, że jeśli stracą nogi, ciągną się na rękach za tymi, których kazano im zabić. Gdybym tego nie widział na własne oczy, to pewnie

bym powiedział, że to zbyt niedorzeczne, żeby w to uwierzyć. Powiada się tu również, że trzeba ich rozsiekać na kawałki, ostrzegając, że jest to trudne, bo dzięki magii robią się twardzi. Magia, która ich ożywia, zarazem ich chroni, działając jako swego rodzaju osłona, przez co większość form daru jest wobec nich bezużyteczna. Można ich natomiast spalić, tak zwykłym ogniem, jak i ogniem czarodzieja.

– Ogień czarodzieja. Nigdy go nie widziałam. A ty? Mruknął, że tak, i zajął się dalszym tłumaczeniem.

– Osłony przed nimi nie chronią, bo są sprzężone z życiem. Skinął ręką w głąb korytarza.

– Zastanawiałem się, czemu osłony w tym miejscu mają postać wielkich gładów. To niezwykle.

– Naprawdę? A czemu?

– W przypadku wszystkich osłon, jakie wcześniej widziałem, dotknięcie metalowej płytki pozwala osobom z wymaganym rodzajem mocy bezpiecznie przejść. Osłony blokują przejście wyłącznie zaklęciami. Niektóre odstraszały niepowołanych nieprzyjemnymi dźwiękami, gorącem lub nawet bólem; są i takie, które mogą zabić intruzów, jeśli ci uparcie próbują się przedostać. Oddzielą na przykład ciało od kości, jeśli spróbujesz się przedrzeć mimo ostrzeżenia. Wszystkie te osłony wykorzystują magię. Te tutaj zaś muszą najwyraźniej wykorzystywać gładzy, bo zmarli, przed którymi mają chronić, są naznaczeni taką samą magią, toteż ona na nich nie działa. Mogą przejść przez zwykłą osłonę, lecz fizyczna przeszkoda jest za ciężka, żeby mogli ją usunąć.

Samantha się nad tym zastanawiała, a Richard zajął się następną grupą symboli.

– Przerazające... – mruknął. – Ożywione trupy często się wysyła przeciwko konkretnym celom, na przykład przeciwko mającym dar. – Popatrzył na dziewczynę. – Nie myliłaś się: przyszli po ciebie.

Była poirytowana.

– Przecież mówiłam.

– A wiesz, czemu na ciebie polują? Zdziwiło ją to pytanie.

– Mają się pozbyć osób z darem, by nie mogły użyć czarów, żeby im przeszkodzić? Richard postukał w ścianę.

– Magia jest wobec nich bezsilna, z wyjątkiem ognia czarodzieja, a ty z



pewnością nie możesz go użyć. Poza tym nie sądzę, żeby zabili mojego dziadka lub Nicci. To czarodzieje. Podejrzewam, że ktoś chciał ich porwać. Ciekaw jestem, czy i twoją mamę uprowadzono. Znaleziono szczątki tylko twojego ojca.

– No dobrze, a czemu twoim zdaniem tym potworom chodziło o mnie?

– Tutejsi mający dar strzegą granicy, żeby ostrzec innych, gdy istoty z trzeciego królestwa zaczną się wymykać. Podejrzewam, że chcieli uciszyć alarm. Mogli zabić twoich krewnych, żeby im uniemożliwić ostrzeżenie ludzi, zanim zdążą całkiem przełamać zaklęcia granicy. Możliwe, że twoja mama nie żyje, lecz porwanie też nie pozwoliłoby jej przekazać wieści, a może mający dar są im do czegoś potrzebni. W ten sposób w Stroyzie zostałaś tylko ty. Chcieli cię zabić, a może uprowadzić, żebyś nie mogła wysłać ostrzeżenia.

Samantha była zaszokowana.

– Nawet nie wiem, jak to zrobić.

– Oni o tym nie wiedzą.

– Pewnie nie. Naprawdę uważasz, że mama żyje? – Spojrzała na niego z nadzieją. Richard długo zwlekał z odpowiedzią.

– Chcę w to wierzyć, Samantho. Jak i w to, że moi przyjaciele żyją. Jeśli tak jest, to muszę spróbować ich uwolnić. Te potwory z łatwością mogłyby ich zabić, więc może ten, kto je ożywił, miał powód, by chcieć, żeby trafili do niego żywi. Jeżeli naprawdę trzymają twoją mamę wraz z moimi przyjaciółmi, może uda mi się ich ocalić.

Samantha spojrzała na otwór wychodzący na trzecie królestwo.

– Chcesz tam iść? Chyba nie zamierzasz udać się w to straszne miejsce, do świata zmarłych?

Gdzie martwi chodzą po świecie żywych? To byłoby samobójstwo.

Popatrzył na nią twardo.

– Przede wszystkim chcę ocalić przyjaciół. A jeżeli ich nie uwolnię i nie wrócimy do Pałacu Ludu, żeby usunęli z nas skazę śmierci, obydwójce z Kahlan umrzemy.

Samantha przełknęła ślinę i odparła:

– Wiem.

Richard nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pytania, na które już znał odpowiedź.

– Czy widzisz dla nas jakąś nadzieję? Znasz inny sposób na uratowanie nam życia?

Samantha obejrzała się przez ramię, jakby mogła zobaczyć Kahlan leżącą w izbie. Kiedy znowu na niego popatrzyła, jej spojrzenie było nad wiek dojrzałe. W jej oczach i młodej twarzy nie było wątpliwości ani niepewności. Pokręciła głową.

– Obawiam się, że nie, lordzie Rahlu. Matka Spowiedniczka jest bardzo chora. Mam nadzieję, że po moich staraniach wkrótce na tyle odzyska siły, żeby się obudzić i móc jeść i pić, lecz jest śmiertelnie zagrożona. Ty też, chociaż na razie tego nie odczuwasz. Ale to się prędko zmieni. Ona umrze, jeżeli nie zostanie usunięta z niej śmierć. Nie zostało jej wiele czasu. Wasz los jest przesądzony, chyba że zrobimy coś, żeby go odmienić.

Richard kiwnął głową. Nie był w stanie nic powiedzieć ani przestać myśleć o tym, że Kahlan może umrzeć.

– Przykro mi, lordzie Rahlu. Uważam jednak, że należysz do tych, którzy nie chcieliby usłyszeć czegoś innego niż prawda.

Richard patrzył w ciemne oczy Samantha.

– Nie, nie chciałbym. Tylko prawda może nas uratować. Dlatego muszę przetłumaczyć to przesłanie i sprawdzić, czy jest tu jakaś informacja, która by nam mogła pomóc.

Nie chciał głośno mówić, że jeżeli Kahlan umrze, to i on nie chce żyć. Życie bez niej było dla niego nic niewarte. A czeka ich pewna śmierć, jeżeli nie uda mu się odnaleźć Zedda i Nicci. W tym celu zaś musi się wybrać do trzeciego królestwa, lecz najpierw powinien się dowiedzieć, co tam spotka.

Rzucił okiem na zapiski na ścianie podświetlone magicznym blaskiem kuli.

– Może znajdę tu jakieś przydatne wiadomości.

Ponownie wrócił do mowy Początku i przez chwilę czytał w milczeniu przygnębiający tekst.

– Naja pisze, że umarłych jest mnóstwo, toteż w razie potrzeby ozywiano kolejne ciała, czasami mnóstwo. Często wykorzystywali własnych żołnierzy poległych w boju. Magia, którą ich dotknęto, powstrzymuje proces rozkładu, lecz ponieważ te mroczne czary działają w świecie żywych, ich moc ma pewne ograniczenia. Przede wszystkim skoro wszystko w świecie żywych z czasem się starzeje i niszczeje, dotyczy to i magii. Jej skuteczność

maleje i dlatego ciała zaczynają się rozkładać. Uprzedza jednak, że chociaż magia ożywiająca umarłych słabnie, to nie wiadomo, jak długo taki proces trwa.

– Wspaniale. Więc tych zabójców, tych niegnijących chodzących trupów jest bez liku i teraz wymykają się z trzeciego królestwa, żeby grasować wśród nas.

– Na to wygląda – przyznał ze smutkiem Richard. Samantha z rozpaczą pokręciła głową.

– Nawet Jit siedziała w swojej kryjówce. Chociaż na Mrocznych Ziemiach potrafi być niebezpiecznie, to nigdy nie mieliśmy do czynienia z czymś tak przerażającym. Chyba nie może być nic gorszego jak te chodzące trupy.

Richard muskał palcami wyrytą na ścianie kolejną linijkę tekstu w mowie Początku.

– Naja napisała tu, że półludzie są o wiele gorsi.

## ROZDZIAŁ 26

– Zbladłeś, lordzie Rahlu. Kim są ci półludzie? – dopytywała się Samantha. – Odpowiedz. O co chodzi?

Richard na chwilę ucisnął palcami czoło, jeszcze raz sprawdzając tekst. Przeanalizował w myślach tłumaczenia, starając się pojąć tak odrażający koncept.

– Półludzie to żywi ludzie, których pozbawiono duszy.

– Odebrano im duszę? – Pochyliła się ku niemu. – Poważnie?

Richard musiał jeszcze raz to przeczytać, zanim przeszedł do kolejnej części tekstu. Wreszcie cofnął się, wpatrzony w zapiski.

– Niestety tak. – Wskazał skomplikowany symbol. – Tutaj ostrzega, że ci za murem granicznym nie mają dusz.

– To bez sensu. Jak ludzie mogą nie mieć duszy? Dusza jest częścią każdego z nas. To jakby powiedzieć... – zamilkła na chwilę, szukając słów – ... że żywi nie żyją.

– Niestety, dokładnie tak tu napisano. Półludzie nie są w pełni ludźmi. Są czymś na poły ludzkim i nieludzkim.

Samantha się skrzywiła.

– Jak to możliwe?

– Najwidoczniej półludzie i zmarli mają pewne cechy wspólne. Dlatego półludzie nie są w pełni ludźmi w powszechnie przyjętym sensie.

Samantha była zdezorientowana.

– Co to znaczy?

Richard wziął głęboki oddech.

– Hm, powszechnie się zakłada, że żywi ludzie mają dusze. Ale co to właściwie znaczy? Jak czyni nas to istotami ludzkimi? Posiadanie duszy oznacza między innymi to, że ma się intelektualną zdolność rozumowania. Pojmujesz?

– Chyba nie. Co rozumowanie ma z tym wspólnego?

– Zdolność rozumowania umożliwia nam empatię, docenianie życia jako takiego. Dzięki niej potrafimy odróżnić dobro od zła i szanować wszystko, co żyje. Rozum to moralność. Naja pisze, że półludzie nie są zdolni do empatii, i podkreśla, że nie potrafią poprawnie rozumować. Chyba chciała,

żebyśmy pojęli, iż jedno wiąże się z drugim. Tę ich częśćkę, która pozwala dostrzegać nie tylko własny interes, zniszczono za pomocą magii subtraktywnej. A zdolność rozumowania jest źródłem empatii i człowieczeństwa. Naja twierdzi, że ponieważ ich umysły tak ograniczono, potrafią rozumować jedynie schematycznie, jak polujący drapieżnik. Pozbawiono ich zdolności szerszego widzenia spraw, toteż nie są tacy jak my. Nie mają żadnego odniesienia dla swojego życia, wyższych aspiracji, zrozumienia dla innych, żadnych uczuć. Sporządzają broń, polują, zabijają, jedzą, rozmnażają się. Mają ludzką postać, ale na tym się kończy ich człowieczeństwo.

Samantha spojrzała na niego krzywo.

– Rozumiem, że Sulachan chciał mieć taką armię, ale czy twoim zdaniem to wykonalne?

– Widocznie tak – odparł Richard, wodząc wzrokiem po symbolach i tłumacząc je z grubsza. – W tej linii Naja pisze, że rozkawałkowano Grace, a tym samym ich jaźń. Potem tchnięto w nich magię podobną do tej, której użyto do ożywienia umarłych. Tym sposobem konstruktorzy imperatora zdołali stworzyć rasę półludzi mającą mu służyć. Co więcej, ponieważ zadziałano magią subtraktywną na żywe ciało, półludzie starzeją się niezmiernie powoli, niemal niezauważalnie.

Samantha z miną pełną niedowierzania skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Magia potrafi wiele uczynić, ale nie może uchronić ludzi przed starością. W przeciwnym razie mający dar zrobiliby wszystko, żeby się nie zestarzeć.

– Owszem, to możliwe – stwierdził Richard. – Sam to widziałem w Pałacu Proroków. Pradawne zaklęcia odmieniały tam czas. Osoby żyjące wewnątrz tej magicznej otoczki starzały się o wiele wolniej w porównaniu z nami. Zrobiono to na samym początku, w trakcie budowy Pałacu, żeby dać mieszkającym tam czarodziejkom wystarczająco dużo czasu, by mogły wyszkolić młodsze pokolenie. Znam ludzi, którzy tam niegdyś żyli, mają setki lat, przynajmniej wedle naszej rachuby czasu. Nawet mój przodek, Nathan Rahl, który przeżył tam większość życia, ma blisko tysiąc lat.

– Tysiąc lat... – Samantha długo wpatrywała się w dal, a potem potrząsnęła głową. – Szkoda, że nie mogę zobaczyć tych cudów istniejących

poza Mrocznymi Ziemiemi. Zawsze wiedziałam, że jestem skazana na życie w tej małej, położonej na uboczu wiosce, podobnie jak moi przodkowie, że nigdy nie zobaczę szerokiego świata. Ale marzyłam o tym.

– Nie wiem, czybym nazwał to „cudami”. Bardzo często, tak jak teraz, to tylko masa kłopotów. Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami, a potem wróciła do głównego tematu:

– Ale jak można uchronić półludzi przed starzeniem się? Nie żyją pod osłoną takiego zaklęcia jak to, o którym wspomniałeś.

– Z pewnością wymaga to magii subtraktywnej...

– Ale przecież tylko czarodzieje z pradawnych czasów potrafili używać magii subtraktywnej, prawda? Teraz nikt nie ma tego daru.

– Nawet dzisiaj są nieliczni, którzy mają ten dar – nie dodał, że jest jednym z nich. Znowu zrobiła wielkie oczy, toteż wrócił do wyjaśniania: – Skoro użyto magii subtraktywnej do dokonania zmian w Grace, nieuchronnie wiązało się to z zaświatami i spowolniło starzenie się półludzi.

– Czemu włączenie w to zaświatów miałoby spowolnić proces starzenia się?

– Bo życie ma swoje granice: rodzimy się, żyjemy i potem umieramy. Lecz martwi jesteśmy już na zawsze, prawda?

– Prawda – przyznała speszona. – No i?

– Zatem żyjemy przez określony, ograniczony czas. Lecz skoro śmierć nie ma kresu, to nie ma też jak oszacować upływu czasu. To życie nadaje czasowi wymiar.

– Przecież nasze dusze rozpoczynają swój pobyt w zaświatach, kiedy umieramy, podobnie jak zaczynamy życie, kiedy się rodzimy.

– Tyle że nasze życie ma kres, więc można powiedzieć, jak długo ktoś żył. W zaświatach jest tylko ów początek po naszej śmierci, a skoro nie ma końca, to nie ma jak zmierzyć upływu czasu w zaświatach. To dlatego Grace ukazuje życie zaczynające się aktem stworzenia i kończące śmiercią. A kiedy nasze dusze przechodzą w zaświaty, to dzieje się tak już na zawsze.

Samantha nadal była zdezorientowana.

– Ale przecież wtedy zaczyna się okres, jaki tam spędzamy. Zaczynamy mierzyć czas od tego punktu.

– Tak, ale istnieje tylko ten początkowy punkt. To jakby się próbowało ocenić długość liny mającej tylko jeden koniec. Skoro nie możesz dotrzeć do

drugiego końca, bo lina ciągnie się w nieskończoność, to jak mogłabyś zmierzyć jej długość? Życie, od początku po kres, to znana wielkość. Śmierć nie ma końca.

Samantha zmrużyła oczy, próbując to ogarnąć.

– Każdy przeżyty dzień – kontynuował Richard – umniejsza o jeden daną nam określoną liczbę dni. Dlatego czas ma dla nas znaczenie i cenimy go. Życie jest bezcenne, więc i czas taki jest. Pozwala nam doceniać takie sprawy, jak na przykład miłość. Tym, których kochamy, oddajemy to, co dla nas najcenniejsze: czas, część naszego życia.

– Nigdy o tym tak nie myślałam. Ale wiem, jak cenię czas spędzony z rodzicami i jak za tym tęsknię. No a czas w zaświatach?

– Pozostajemy martwi na zawsze. Toteż dusze w zaświatach nie mają poczucia czasu, bo się nie starzeją. Ich czas nigdy się nie kończy. Zmarli są martwi wiecznie, toteż w zaświatach dzień, tysiąc dni czy nawet milion nic nie znaczy, nie odmierza się nieskończoności czasu. Ponieważ śmierć jest niezmienna i będzie się nieżywym bez końca, to czas nie ma znaczenia.

– A co to ma wspólnego z półludźmi? Richard uniósł brew.

– Półludzie nie mają dusz. Ta ich część już jest martwa, a dla umarłych czas nie ma kresu. Półludzie bytują w trzecim królestwie, łamiąc zasady Grace, rządzą się własnymi prawami, życie i śmierć współistnieją tam bez wyraźnego rozdzielenia, mogą się mieszać w nieoczekiwany sposób. Każdy z półludzi ma w sobie trzecie królestwo, a więc śmierć, toteż czas płynie dla nich inaczej. Konstruktorzy imperatora Sulachana najwyraźniej wykorzystali tę więź z pozbawionym czasu światem zmarłych, żeby dać półludziom długowieczność, by mogli lepiej służyć ich sprawie. Dla Sulachana jako żywego człowieka czas miał znaczenie, toteż wykorzystał owe przeciwieństwa, życie i śmierć, żeby manipulować czasem dla własnych celów.

Samantha wpatrywała się w niego.

– Trudno to pojąć.

Richard potaknął, świadom, że widział rzeczy, których ona by sobie nawet nie potrafiła wyobrazić, a co dopiero zrozumieć.

Aż za bardzo był też świadomy tego, że przez Zaszytą Służkę śmierć rościła sobie teraz prawa do niego i Kahlan, że uczyniła i z nich część trzeciego królestwa. Różnica polegała na tym, że oni nie mieli już długo

pożyć. Ich kontakt z tym królestwem, poprzez Zaszycę Służkę, zwiastował śmierć i świat zmarłych wkrótce się o nich upomni.

– Wiem – powiedział spokojnie. – Muszę przyznać, że i mnie trudno to ogarnąć.



## ROZDZIAŁ 27

Znowu skupił się na wyrytych w ścianie symbolach i przez kilka minut czytał, a Samantha cierpliwie czekała. Niekiedy wodziła wzrokiem za jego palcem sunącym po liniach szczególnie skomplikowanego wzoru, kiedy tłumaczył w milczeniu.

– No i co tam napisała? – spytała, kiedy w końcu wyczerpała się jej cierpliwość. Richard potarł twarz dłonią.

– Mnóstwo o tym, jak to imperator Sulachan chciał przemienić jak najwięcej ludzi w tę nową rasę istot bez dusz, żeby mogli długo służyć jego sprawie. Zamierzał również pozbyć się wszelkiej opozycji wobec tego swojego wielkiego planu, zaczynając od wyeliminowania tych mających dar, którzy mogliby się mu przeciwstawić.

Samantha spojrzała na niego, marszcząc brwi.

– O jaki wielki plan chodzi?

Richard zajął się następną liniijką. Przeczytał ją dwa razy, upewniając się, że się nie pomylił.

– I co? – pytała Samantha. – Potrafisz to odczytać czy nie? Westchnął zatroskany.

– Potrafię. Trudno mi w to uwierzyć. Nic dziwnego, że mieszkańcy Nowego Świata byli gotowi iść na wojnę, żeby go powstrzymać.

– Czemu?

– Imperator Sulachan chciał zjednoczyć świat pod swoją władzą, w czymś, co nazywał Przymierzem Ludzi.

Richard walczył ze Starym Światem z powodu wielu podobnych idei – idei o większym dobru, które według niektórych przeważało nad życiem poszczególnych ludzi. Owo większe dobro zawsze się sprowadzało do podporządkowania się władzy tyrana i poświęcenia jego sprawie; kto tego nie robił, ginął. Narzucenie wiary w większe dobro wymagało wymordowania wszystkich, którzy się z tym nie zgadzali, bo nie wytrzymywała ona konfrontacji z innymi przekonaniem.

Sądził, że ta walka wreszcie się skończyła wraz ze śmiercią ostatniego imperatora Starego Świata. Teraz nie miał już tej pewności. Zło stale się odradza i próbuje zniszczyć dobro i pokój, jakie nastały, cały wypracowany

dobrobyt. Przypuszczał, że od początków ludzkości zawsze się trafiali i będą trafiać tacy, którzy uważają, że ich wizja „lepszego świata” wymaga wymordowania wszystkich stojących im na drodze.

Nie miał już wątpliwości, że wojna rozpoczęta tak dawno temu przez imperatora Sulachana oraz wymyślona dla niego przerażająca broń nie zostały całkowicie zakończone i zniszczone. Niektóre z tych dawnych okropieństw przed wiekami odgrodzono od świata żywych granicami i murami, za którymi czekały, żeby znów ruszyć do walki. Inne zabezpieczenia znikły, więc i to w końcu straciło moc.

– Coś mi się wydaje, że zawsze ktoś się rwie do władzy – odezwała się Samantha, wodząc wzrokiem po symbolach, których nie rozumiała.

– Z pewnością – powiedział Richard, stukając palcem w ścianę. – Lecz dramatyczna różnica polega na tym, iż Sulachan uważał, że jego wizja wykracza poza nasz świat, jako że ma na względzie dobro wszelkiego istnienia.

Samantha lekko się skrzywiła.

– Nie rozumiem.

– Wyobrażał sobie świat żywych i świat zmarłych splecione w jedność, tak jak Grace jest całością. Chciał złączyć te światy pod swoją władzą.

Samantha kręciła głową, podczas gdy Richard odczytywał mowę Początku.

– To szaleństwo. Obejrzał się na nią.

– Nie mogę się z tobą nie zgodzić, lecz szaleńcy są czasami tak zdeterminowani, że potrafią cały świat pociągnąć za sobą w obłąd.

– Nie rozumiem, jak ludzie mogą się czemuś takiemu podporządkować. Richard się wyprostował z westchnieniem.

– Często szaleńcom łatwiej zdobyć zarliwych wyznawców, niż rozsądnym ludziom nakłonić innych, żeby się kierowali rozumem. Ludzie często bardziej są skłonni wierzyć w kłamstwa niż w prawdę. Kłamstwo może tak miło i zachęcająco brzmieć. Prawda zaś nie zawsze jest atrakcyjna. Niekiedy pokojowo nastawieni ludzie nie mają innego wyjścia, jak tylko walczyć o życie lub paść od miecza szaleńców. W takiej sytuacji nie ma rozwiązań pośrednich. Nie istnieje kompromis pomiędzy cywilizacją i barbarzyństwem. Cywilizacja zawsze musi się bronić przed barbarzyństwem, bo inaczej upadnie pod jego naporem.

– Domyślam się, że to właśnie nasza rola? Richard potaknął.

– Nigdy nie chciałem walczyć, brać udziału w wojnie, patrzeć, jak giną dobrzy ludzie, musieć zabijać. Chciałem w spokoju przeżyć życie. Lecz mi na to nie pozwolono. Bitwy toczyłem zawsze tylko po to, żeby przetrwać, a nie po to, by podbijać inne ziemie. I tak znalazłem się tutaj, zamiast żyć w Hartlandzie, gdzie dorastałem.

Zamaszystym gestem wskazał napis na ścianie.

– Wygląda na to, że ludzie Nowego Świata nie mieli serca do walki i unikali konfliktu, jak długo się dało, lecz tych ze Starego Świata to nie obchodziło. Wtedy napastnik zwycięża, chyba że pragnący pokoju postanowią mu się przeciwstawić. Według Nai imperator Sulachan i jego zwolennicy byli zdeterminowani stworzyć każdą broń, choćby nie wiem jak straszliwą czy śmiertcionośną, żeby podporządkować sobie wszystkich. Ożywione trupy i półludzie to właśnie taka broń. Sulachan zamierzał ze świata śmierci władać tak żywymi, jak i umarłymi.

Poruszona Samantha zrobiła kilka kroków tam i z powrotem. Była w nastroju równie czarnym jak jej włosy.

– Potrafię zrozumieć, że szalenciec rozpoczyna walkę – widywałam takie rzeczy, oczywiście na mniejszą skalę, w naszej wiosce – ale to brzmi jak kompletne wariactwo. – Postukała się palcem w głowę. – Wariactwo.

– Naja też tak uważa, lecz zarazem ostrzega, że nawet jeżeli te pomysły były nierealne, groteskowe i zwodnicze, jak sądziło wielu mądrych ludzi, i jeśli w końcu okazały się niewykonalne, to Sulachan był gotów wymordować masy niewinnych ludzi, próbując je urzeczywistnić. I właśnie ta jego gotowość była groźna dla tych, którzy mu stali na drodze. Czyli dla ludzi z Nowego Świata. Zamierzał zabijać, póki będzie istniało życie. Wierzył, że w końcu w świecie żywych zostaną wyłącznie ożywione trupy i legiony półludzi, a on będzie przez wieczność ich kontrolował z zaświatów.

– Jesteś pewny, że nie był to Opiekun we własnej osobie, co się narodził na świat życia? – zapytała sarkastycznie Samantha.

– Był tylko człowiekiem – odparł Richard. – Człowiekiem jak tyłu innych, którzy w ten lub inny sposób, świadomie lub nie, byli wyznawcami śmierci. Myślę, że po prostu mniej się z tym krył niż inni. Naja twierdzi, że wierzył, iż zadanie śmierci na tak ogromną skalę będzie transcendentnym doświadczeniem.

Samantha wyrzuciła w górę ramiona.

– To obłąd, wolę się nawet nad tym nie zastanawiać. Ale naprawdę nie mogę pojąć, jak ludzie mogli uwierzyć takiemu szaleńcowi i walczyć za jego chorą sprawę. Nie jestem dorosła, a widzę, że to szaleństwo.

Richard odwrócił się do niej.

– Mnóstwo ludzi takie życie pociąga. Przystając do takiego przywódcy, sami mogą się stać barbarzyńcami, anonimowymi łotrami biorącymi to, co im się wedle słów wodza należy. Niektórych wręcz upaja to, że mają pozwolenie na zabijanie. Lecz właściwie nie w tym rzecz. Chodzi o to, że Sulachan był wystarczająco potężny, by doprowadzić do ogromnych zniszczeń i ludobójstwa. Nawet jeśli sam się łudził i jego pomysły były szaleństwem, to on, jego czarodzieje i niszczycielskie wojska mogli wtrącić świat w mrok wielkiej wojny. Na szczęście Naja i inni współcześni zdołali stworzyć przynajmniej tę barierę i odgrodzić od nas niektóre z najniebezpieczniejszych tworów Sulachana. Bardzo długo granica strzegła świata. Lecz półludzie w trzecim królestwie, zamknięci za granicznym murem, pewnie z biegiem stuleci stawali się coraz liczniejsi. Teraz wydostali się na świat życia. Znowu stali się zagrożeniem.

Samantha splotła ręce.

– Są naszym problemem.

– Naszym problemem – potaknął Richard. – Tak naprawdę liczy się to, że wytwory czarodziejów Sulachana z pradawnych czasów zostały ponownie rzucone przeciwko światu. Jeśli nie wymyślimy, jak je powstrzymać, zniszczą nas.

## ROZDZIAŁ 28

Samantha chodziła nerwowo, a Richard czytał zapiski Nai. Wyczuwał w nich udrękę tej tajemniczej kobiety żyjącej tak dawno temu, jej usilne starania, żeby przyszłe pokolenia zrozumiały powody lęku jej współczesnych i ich przerażenie tym, co zsyłał na nich ów niegodziwiec.

Wiedzieli, że jeśli półludzi się nie powstrzyma lub jakoś nie odgrodzi, to w Nowym Świecie na długo zapanują mroczne, pełne grozy czasy. Nie było wątpliwości, że Nai zależało na tym, by ci, co przyjdą po niej, zdawali sobie sprawę z zagrożenia istniejącego za granicznym murem.

– Drogie duchy – mruknął do siebie.

– O co chodzi? – spytała Samantha, usłyszawszy słowa, które mimo woli wypowiedział na głos.

Richard głęboko westchnął.

– Naja pisze, że półludzie zaczęli polować na dusze, chcąc zastąpić nimi te, które im odebrano.

Samantha przystanąła i spojrzała na niego.

– Polować na dusze?

Richard w skupieniu zmrużył oczy, upewniając się, że dobrze przetłumaczył, a potem wyjaśnił:

– Zgodnie z jej zapiskami brak duszy wywołał u półludzi rodzaj szaleństwa, które kazało im polować na żywych w nadziei, że zabiorą sobie ich dusze.

Nagle zamilkł, zdziwiony.

– I...? – spytała Samantha.

– I... zjadają każdego żywego człowieka, jakiego złapią, próbując przywłaszczyć sobie jego duszę. Naja pisze, że to daremne wysiłki, ale to nie powstrzymało półludzi i ciągle je powtarzali.

Samantha podeszła ku niemu.

– Jedzą żywych? Na pewno tam tak napisano? Richard potaknął.

– To był niezamierzony skutek procesu tworzenia półludzi. Ten nieprzewidziany przez konstruktorów „obyczaj” pojawił się nagle, niedługo po tym, jak tamtym odebrano dusze, zmieniając ich w żywy oręż Sulachana. Nieoczekiwanie opanowywała ich przemożna potrzeba zdobycia duszy.

Stracono nad nimi kontrolę. Pomimo wysiłków czarodziejów półludzie są we władzy chorobliwej potrzeby odzyskania duszy. Napędzani żądzą pożerania żywych, nie potrafią zrozumieć, że ich pragnienia nie można zaspokoić. Naja pisze, że zwykle polują w pojedynkę, lecz mogą też tworzyć grupy, by skuteczniej atakować.

– Chcesz powiedzieć, że zaczęli polować gromadnie? Jak wataha wilków?

– Na to by wyglądało – odparł Richard. – Gdy wyrwali się spod kontroli, początkowo atakowali swoich stwórców, a potem oddziały, którym mieli służyć, by na koniec wydostać się na swobodę. Zdziętkowali szeregi konstruktorów. Ci, których nie pożarli, byli przerażeni własnym dziełem. Wielu uciekło. Przez jakiś czas nikt nie wiedział, jak powstrzymać półludzi. Noc należała do nich. Żywi szybko się nauczyli zamykać w domach po zachodzie słońca i liczyć na to, nie przyjdą po nich całą gromadą. W trwożnych szeptach zwano tych upiornych myśliwych przekłętymi półumarlakami.

– Przekłęte półumarlaki. Moim zdaniem to do nich pasuje – stwierdziła Samantha. Richard przyznał jej rację.

– Naja pisze, że konstruktorzy Sulachana wreszcie znaleźli na to sposób: zmodyfikowali magię, którą wykorzystywali do ich tworzenia, i przekształcili to pragnienie w potrzebę pożerania nieprzyjaciół, to znaczy ludzi Nowego Świata.

– Nas? – zapytała zaniepokojona Samantha. Richard potaknął.

– Niestety, tak. Półludzie, chociaż nie są silniejsi niż zwykły człowiek i o wiele ustępują krzepą ożywionym zmarłym, są niebezpieczniejsi, bo szybsi i, co ważniejsze, potrafią myśleć jak drapieżcy i polować na tych, którzy mają dusze. Chociaż pozbawiono ich możliwości złożonego rozumowania, nauczyli się gromadzić i atakować z liczebną przewagą. Kiedy konstruktorzy odzyskali kontrolę i zmodyfikowali magię, dzięki której ich tworzyli, to tę krwiożerczą naturę skierowano wreszcie przeciwko wrogom Sulachana.

Richard był znużony tłumaczeniem skomplikowanych symboli, lecz nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze przeoczenie, nie mógł teraz przerwać. Przetarł oczy i znowu zaczął czytać.

Kiedy jakiś czas milczał, Samantha pociągnęła go za rękaw.

– Co napisała? Czytaj na głos.

Richard głęboko westchnął i wyprostował się. Machnął ręką ku ścianie.

– W tej części nie ma nowych informacji. Naja opisała tylko, jak półludzie zabijają swoje ofiary.

– Muszę to wiedzieć – stwierdziła Samantha. – Mogą zaatakować naszych. Nie próbuj mnie chronić, pozostawiając w niewiedzy. Nieznajomość prawdy wcale nie pomaga.

Richard spojrział przelotnie w jej oczy. Uznał, że ma rację. Wskazał napisy.

– Rozdzierają ludzi, wierząc, że dusza jest w środku. Często najpierw zjadają wnętrzności, bo uważają, że to w nich mieści się dusza. Piją krew, z obawy, że dusza wycieknie wraz z nią. Kiedy nie są zadowoleni, bo nie zdobyli tego, czego pragnęli, oddzierają mięśnie od kości i pożerają każdy skraweczek, starając się znaleźć w ciepłych jeszcze strzępach duszę i ją wchłonąć. Walczą pomiędzy sobą w nadziei, że zdobędą duszę dla siebie. Pochłaniają wszystko: mięśnie, krew, narządy. Wysysają mózg z czaszki, miażdżą ją kamieniem, żeby się do niego dostać. Zostawiają wyłącznie część jelit i kości, lecz często rozłupują te większe z nich i pochłaniają szpik, starając się dopaść wymykającą się duszę.

Samantha nie posiadała się ze zdumienia.

– Skąd im przyszło na myśl, że zdobędą duszę, pożerając ludzi?!

– Kieruje nimi chorobliwa obsesja. Dla nas to bez sensu, lecz nie dla nich. Uważają, że dusza tkwi w danej osobie, kryje się w tkankach ciała. Wypatrują chwili, kiedy duch opuszcza umierające ciało. Sądzą, że właśnie wtedy mogą go wchłonąć i sobie przywłaszczyć. Toteż zjadają wszystko, mając nadzieję dopaść ducha, póki ukrywa się w ciele, zanim uleci z ciepłych mięśni.

Samantha miała łzy w oczach.

– Przekłete demony.

– Bezduszne – przyznał Richard i czytał dalej: – Niepowodzenia w zdobyciu upragnionej duszy tylko ich rozwścieczają, wzmagają szaleństwo. Im więcej zabijają, tym bardziej są nienasytzeni, tym mocniej opętani pragnieniem posiadania duszy. Naja pisze, że półludzie potrafią wyczuwać dusze tak jak drapieżniki krew.

Samantha znowu chwyciła go za rękaw i pochyliła się ku niemu.

– Chcesz powiedzieć, że wykorzystują tę umiejętność do tropienia i łapania ludzi? Richard przytaknął.

– Półludzie to śmierć wcielona, z kłami, zagraża wszelkiemu życiu.

Musiał przerwać i odetchnąć. Opis był drastyczny, przyprawiał go o mdłości. Samancie tylko go streścił, żeby zrozumiała, co im grozi. Uznał, że to wystarczy.

Bliska łez Samantha w przerażeniu kręciła głową.

– Śmierć z kłami zagraża wszelkiemu życiu – powiedziała sama do siebie. – Więc to spotkało mojego ojca. A może i mamę. Jeśli nawet jej nie pożarli żywcem od razu, to pewnie do tej pory to zrobili.

– Tego nie wiemy. – Richard objął szczupłe ramiona i przytulił dziewczynę. – Przykro mi, Samantho, że muszę ci to czytać.

Rękawem otarła łzy.

– Przemilczenie na nic by się nie przydało. Jestem tu jedyną osobą z darem. Muszę znać prawdę o tym, co zagraża moim ludziom. Może jestem za młoda, żeby ich skutecznie bronić, ale mają tylko mnie.

Richard rozumiał, co ona czuje. Bał się o Zedda, Nicci, Carę i pozostałych. Ze zwiększoną uwagą zajął się tłumaczeniem. Czas mu się kończył. Musiał jednak dobrze zrozumieć, na co są narażeni, a potem ich odnaleźć.

Wiedział, że skoro skaza śmierci „uśpiła” jego dar, to zniknęła więź łącząca go z mieszkańcami D’Hary. Ponadto moc stracił też Agiel Cary oraz dar Zedda i Nicci. Cara, jak oni wszyscy, była zupełnie bezbronna.

– To niepokojące – powiedział do Samanthy. – Naja pisze, że kiedy konstruktorzy Sulachana stworzyli półludzi, to nie pozwolono ich duszom przejść do świata duchów. Czary ożywiające zmarłych sprawiły z kolei, że ich dusze ściągnięto z zaświatów. I tak duchy półludzi i umarłych zostały uwięzione między światami. Nie mogą się dostać ani do osób, z których je wydarto, ani przejść przez zasłonę w zaświaty, zagubione dusze niekiedy kierują się w tę stronę i nawiedzają nasz świat. – Richard popatrzył na Samanthę. – Naja ostrzega, że nie wszystkie są przyjazne.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Wspaniale.

Richard wolał nie wyobrazać sobie mściwego gniewu zabłąkanych duchów.

Tekst stał się bardziej skomplikowany, pojawiły się terminy dotyczące magii subtraktywnej i addytywnej, których Richard nie rozumiał. Były tam elementy opisujące zaklęcia, z jakimi wcześniej się nie zetknął, udało mu się



jednak zrozumieć w ogólnych zarysach to, o czym pisała Naja. A było to przerażające.

Dwa razy przebiegł wzrokiem kolejną linijkę, żeby mieć pewność, iż dobrze zrozumiał. Chyba wolałby nie zrozumieć.

## ROZDZIAŁ 29

– To już wszystko? – dopytywała się Samantha.

Pomyślał, że jej głos brzmi tak, jakby chciała mieć taką nadzieję. Przetarł dłonią oczy i przeczytał resztę tekstu, licząc, że może w końcu natrafi na jakąś wzmiankę o rozwiązaniu problemu półludzi i obudzonych zmarłych. Przygnębiło go to, co przeczytał.

– Napisała, że najtęższe umysły i najbardziej uzdolnieni czarodzieje nie byli w stanie pozbyć się zagrożenia. Zwalczali półludzi i chodzących umarłych, często nawet skutecznie, lecz i wtedy tracili cenne osoby. Stary Świat nie przejmował się swoimi stratami, ponieważ ma o wiele liczniejszą ludność, poza tym mogli ożywić tylu umarłych, ilu potrzebowali, także nieprzyjaciół, których zabili. Za to straty po naszej stronie były niepowetowane i nieustannie uszczuplały siły Nowego Świata. Wszyscy wiedzieli, że jeśli szybko się nie wyeliminuje lub przynajmniej jakoś nie ograniczy zagrożenia, to Nowy Świat i samo życie przegrają wojnę z Sulachanem. Nie mogąc znaleźć skutecznego sposobu, rozpaczliwie poszukiwali rozwiązania, które by ich ocaliło od zguby. W końcu znaleźli odpowiedź, choć nie taką, na jaką liczyli. Lecz to było najlepsze, co mogli zrobić. Wykorzystali czary grawitacyjne przyciągające tak umarłych, jak i półludzi do miejsca za górami, które widzimy za oknem. Kiedy już wszyscy się tam znaleźli, czarodzieje Nowego Świata mogli zamknąć demony za barierą zaklęć Opiekuna.

– Czary grawitacyjne, zaklęcia Opiekuna... nie słyszałam o takiej magii.

– Ja też nie – przyznał Richard. – Naja nie rozwodzi się nad naturą tych zaklęć, ale wydają się całkiem zrozumiałe. Napisała, że dzięki temu mogli wreszcie obronić się przed tymi pozbawionymi duszy demonami grasującymi pośród żywych istot. Przeprasza za to, że musieli przekazać to straszliwe zagrożenie nieznanym przyszłym pokoleniom, lecz nie mogli postąpić inaczej, bo Sulachan wygrałby wojnę, a wtedy nie byłoby żadnych przyszłych pokoleń. Píše, że mogli jedynie ustanowić tę granicę i umieścić tu osadę strażniczą, żeby czuwała i ostrzegła radę czarodziejów przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, gdyby przegroda zawiodła.

Richard postukał palcem w kolejne symbole.

– To jest niepokojące. Napisała, iż ma nadzieję, że do tego czasu rada czarodziejów wymyśli jakiś sposób na całkowite wyeliminowanie tej groźby.

– Cóż, dobrze wiemy, że tak się nie stało – powiedziała Samantha. – A teraz nie ma już rady czarodziejów.

– Niestety, masz rację. Naja błaga tutejszych mieszkańców, żeby trzymali straż, bo kiedy granica puści, ci bez dusz ruszą na żywych i nasz świat znowu znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Richard lekko się pochylił, wpatrując się w kolejny symbol.

– Píše też, że należy wiedzieć, że półludzie będą szukać osób mających dar.

Samantha zmarszczyła brwi.

– Wcześniej napisała, że dar nie działa na chodzące trupy i przeklętych półmartwych, więc czemu mieliby nas szukać?

Richard pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie wyjaśniła tego.

Zawrzał gniewem na samą myśl o tym, co spotkało żołnierzy Pierwszej Kompanii i jego przyjaciół. Nie mógł dłużej czekać. Musiał wiedzieć, co zawierają zapiski Nai, ale czas uciekał.

Samantha wciąż była zamyślona.

– Po co półludziom osoby mające dar? Mogę zrozumieć, że w swoim szaleństwie chcą zdobyć duszę, choć to niemożliwe, ale po co mieliby szukać mających dar?

Richard westchnął sfrustrowany, wodząc wzrokiem po rzędach symboli.

– Nie napisała. Może uważają, że mający dar mogliby im oddać duszę. – Zerknął kątem oka na Samanthę. – A może półludzie w swojej manii posiadania duszy uważają, że dusza mającego dar jest wyjątkowa. Może myślą, że łatwiej ją zdobyć, a nawet się łudzą, że jeśli zdobędą duszę mającego dar, to wraz z nią posiadają i jego moc.

## ROZDZIAŁ 30

Samantha nachyliła się i wpatrzyła w wyrzeźbione symbole, jakby dzięki uważnemu ich zbadaniu mogła nagle zyskać umiejętność ich odczytania. Nie była w stanie tego zrobić, toteż w końcu odwróciła się do Richarda.

– Lordzie Rahlu, jesteś pewien wszystkiego, co tu wyczytałeś? Że półludzie naprawdę pożerają ludzi? Że ich dusze i dusze obudzonych zmarłych są zagubione pomiędzy światami? Bardzo trudno w to uwierzyć.

– Wiem, co tu napisano, Samantho.

– Ale... – wskazała ścianę – ...te symbole są bardzo zawile. Nie wątpię w twoją wiedzę, lordzie Rahlu, ale jesteś pewny, że dobrze to przetłumaczyłeś?

Przyglądał się symbolom, wypatrując czegoś, jakiejś wskazówki, którą mógł przeoczyć. Było parę elementów, co do których miał wątpliwości, lecz były mniej ważne i nie zmieniały znaczenia ani treści przerażającej historii.

– Przetłumaczyłem prawidłowo.

Samantha zmarszczyła nos, nie wyzbyła się sceptycyzmu.

– Ale czyż nie jest możliwe, że coś źle zrozumiałeś? Albo błędnie pojąłeś intencję? Nie sądzisz, że w języku tak starym, dziwnym i skomplikowanym mogłeś coś pojąć opacznie?

Popatrzył na nią, pragnąc, żeby istniały podstawy jej wątpliwości.

– A przegroda przełamana po raz pierwszy od czasu, kiedy ją stworzono? A moje rany, które uleczyłaś? To były ślady po ugryzieniach. Ci dwaj, którzy przyszli spoza przegrody, próbowali pożreć mnie żywcem, tak jak tutaj opisano.

Lekko skrzywiła usta, zmagając się z tym wszystkim.

– Naprawdę myślisz, że chcieli ci ukraść duszę? Może byli kanibalami. Może panuje tam głód i muszą zjadać się nawzajem, żeby przetrwać.

– Obaj byli zdrowi, silni i wyglądali na dobrze odżywionych. Nie cierpieli głodu. Zapytaj Ester, jeśli wątpisz w moją pamięć. Była tam i widziała ich. Byli zgłodniałymi wyłącznie mojej duszy. Wciąż jeszcze trochę umyka mi to, co usłyszałem z ich rozmowy, kiedy się ocknąłem, lecz teraz to, co mówili, zaczęło nabierać sensu. Rozmawiali o tym, żeby mnie zjeść i przywłaszczyć sobie moją duszę. Ester i inni zjawili się w samą porę, żeby ich powstrzymać i ocalić mi życie.

Samantha mocno zacisnęła wargi, dała za wygraną.

– Cieszę się, że zdążyli. – Przechyliła głowę. – W końcu ty jeden potrafisz to przeczytać.

Przypuszczam, że dobrze przetłumaczyłeś. Nie wątpię w ciebie, lordzie Rahlu, po prostu...

– Wiem. Też bym chciał się mylić – powiedział i wrócił do tłumaczenia następnej partii zapisków. – Naja napisała – odezwał się po chwili – że nie wiedząc, jak powstrzymać desperackie ataki przeklętych półumarłych, uznali, iż jedyną nadzieją jest zamknięcie ich za zaklęciami odgradzającymi.

Zasmucona Samantha objęła się ramionami.

– Nie twierdzą, lordzie Rahlu, że źle tłumaczysz, ale czy to nie może być jakiś mit? Prastara legenda? Przypowieść albo nauka?

Richard bardzo chciał, żeby miała rację, lecz wiedział, że tak nie jest. Pokręcił głową.

– Pamiętam, że kiedy zacząłem przytomnieć, usłyszałem, jak ci dwaj mężczyźni mówili, że zabiorą Kahlan ze sobą, bo się boją, że Shun-tuk mogą wrócić, szukając tych, co zostali przy życiu. Mnie zamierzali zjeść od razu, a Kahlan potem albo ją sprzedać. Mówili, że Shun-tuk dadzą wszystko za ludzi z duszą. Oni dwaj i Shun-tuk przybyli spoza przegrody, nie z legend.

Postukał palcem w ciąg symboli.

– Nie można wątpić, że to prawda. Chciałbym, Samantho, żeby było inaczej. Była przygnębiona, miała już dość tej rozmowy.

– To zrobili z moim ojcem. Pewnie porwali mamę, żeby ją pożreć w stosownej chwili albo sprzedać. Nie potrafię sobie wyobrazić jej udręki po okropnej śmierci ojca i przerażenia tym, co szukają dla niej.

Richard zrozumiał, czemu tak się upierała, że źle tłumaczy. Z bardzo osobistego powodu miała nadzieję, że się pomylił. Delikatnie ją przytulił.

Tak się zatracił w próbach ogarnięcia tego, co się dzieje, że zaczął o niej myśleć jak o czarodziejce, a nie o dziewczynce, która straciła rodziców, dopiero stawała się młodą kobietą i do niedawna nie miała styczności z takimi okropieństwami.

– Przepraszam, Samantho. Rozumiem. I ja widziałem kości bliskich mi ludzi. Innych uprowadzili, tak jak twoją mamę. Wiem, co czujesz.

Otarła oczy.

– Nie, to ja przepraszam. Nie mogę pozwolić, żeby moja słabość

przeszkadzała w próbach powstrzymania tych demonów zagrażających nam wszystkim.

Richard spojrzął z ukosa na symbole, na koniec zapisków na ten właśnie temat.

– Nie wiem, czy to możliwe.

Spojrziała na niego oczami wciąż pełnymi łez.

– To znaczy?

Znowu się odwrócił ku rzeźbionej ścianie, stłumił własne odczucia i zaczął czytać. Wiedział, że czas działa przeciwko nim.

– Napisała, że i oni chcieli chronić ludzi Nowego Świata i pozbyć się zagrożenia. Nigdy im się nie udało, pomimo ogromnych wysiłków czarodziejów i ciężkiej pracy innych mających dar. Po części dlatego, że sługusom imperatora Sulachana dano moc nie z tego świata, przeciwko której nic nie możemy poradzić.

– Jaką moc nie z tego świata?

– Przekłęci półumarli potrafią korzystać z jakiejś formy czarnej magii, bardzo starej, bardzo rzadkiej i potężnej. Budziła powszechną grozę, ponieważ niewiele o niej wiadano. Półumarli nie tylko są chronieni przez te ciemne moce, lecz niektórzy mogą je nawet wykorzystywać do ożywiania zwłok. Naja pisze, że istnieje pewien sposób...

Samantha podeszła bliżej.

– Jest sposób?

Richard potaknął, wpatrzony w zapiski na ścianie. Ponownie odczytywał symbole, mając nadzieję, że się pomylił.

– Jaki? – Samantha pociągnęła go za koszulę. – Co tam napisano, lordzie Rahlu? Jak możemy ich powstrzymać?

Richard odkaszlnął.

– Napisała: „Zagrożenie ze strony trzeciego królestwa może wyeliminować jedynie zakończenie proroctwa”.

## ROZDZIAŁ 31

Zdezorientowana Samantha nie mogła skupić wzroku.

– Zakończenie proroctwa? O czym ona pisze? Jak można zakończyć proroctwo?

Richard, jeszcze bardziej zaniepokojony tym, co wyczytał, zaznaczył kolisty symbol zawierający skomplikowaną plątaninę elementów strukturalnych rozchodzących się promieniście od środka.

– Ten symbol w miejscu, w którym Naja pisze, że można skończyć z trzecim królestwem, jedynie kończąc proroctwo, jest swego rodzaju elementem czasu, ale nie rozumiem kontekstu.

– Element czasu? Co to znaczy?

Richard popatrzył na strukturalne rysunki, a potem wzory odchodzące od środka podstawowego symbolu, starając się ubrać w słowa te pojęcia. W niektórych nie mógł się dopatrzeć sensu, inne nie dawały się tak łatwo przetłumaczyć.

– Nie za dobrze to rozumiem. Nie w tym rzecz, że nie potrafię tego przetłumaczyć. Chodzi o to, że Naja dobrze знаła to pojęcie, a ja nie. I dlatego nie mogę pojąć jego dokładnego znaczenia.

– Rozumiesz przynajmniej ogólnie?

– Do pewnego stopnia. Rozumiem słowa, ale nie to, do czego się odwołują. To jakieś obrazowanie odnoszące się do czasu, z którym nie jestem obeznany. Nazywa to *Rachubą Zmierzchu*.

Samantha przez chwilę się zastanawiała.

– Jak liczenie dni? Prowadzenie zapisków? To miała na myśli?

– Tak sądzę – powiedział. – Ale wydaje się, że to coś więcej. Jakiś rodzaj matematycznych obliczeń, których nie rozpoznaję.

– Uważasz, że to może być rodzaj kalendarza? Kalendarze wiążą się z rachubą czasu. Te wszystkie kalendarzowe wydarzenia, jak fazy księżyca, położenie gwiazd w rozmaitych okresach, mogą być trudne do obliczenia w przyszłości.

Richard na chwilę mocno zagryzł wargi i spróbował się w tym dopatrzeć sensu.

– To prawda, ale nie mam pewności, że ona się właśnie do tego odwołuje.

Możesz mieć rację, ponieważ jest to jakiś rodzaj rachuby, ale Naja tego nie wyjaśnia. Ówczesni ludzie musieli być zaznajomieni z tym terminem, więc nie czuła potrzeby jego objaśniania. Zwyczajnie mówi o Rachubie Zmierzchu. Możliwe, że ma to związek z chronologią proroctwa.

Samantha rozważała w skupieniu.

– Chronologia proroctwa? Co masz na myśli? Proroctwo to proroctwo.

– Tak jakby. – Richard oderwał wzrok od symboli. – Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że chronologia to zawsze jedna z największych trudności w objaśnianiu proroctwa. Trudno powiedzieć, czy dane proroctwo dotyczy tego, co się wydarzy jutro czy za tysiąc lat, czy też mówi o czymś, co się wydarzyło dwieście lat temu.

Samantha chłonęła każde słowo.

– To skomplikowane. Richard potaknął.

– Ponieważ symbole w tekście Nai mają związek z czasem, a dokładniej z rachubą czasu, i łączą to z proroctwem, całkiem możliwe, iż Rachuba Zmierzchu jest zapomnianym sposobem umiejscawiania przepowiadanych zdarzeń w czasie.

Samantha z nowym zainteresowaniem patrzyła na ścianę.

– I co napisała o tej Rachubie Zmierzchu?

– Że dzięki niej zdołali określić, iż proroctwo zawiera klucz do rozprawienia się z zagrożeniem.

– Zdawało mi się, że mówiłeś, iż proroctwo trzeba zakończyć.

Richard przeczesał włosy palcami, starając się dopatrzeć sensu w dalszej części zapisków i zastanawiając się, jak to wytłumaczyć. To była trudna do rozszyfrowania kombinacja symboli. Niektóre wydawały mu się dziwnie znajome, ale nie mógł się zorientować, skąd miałyby je znać.

– Owszem, ale dalej wyjaśniła, że zakończyć proroctwo można, jedynie sprowadzając śmierć.

Richard zmarszczył brwi i wpatrywał się w splot symboli z dziwnie wyglądającą dziewiątką pośrodku. Była podobna do haczykowatej cyfry, którą już gdzieś widział.

Nagle zrozumiał.

– Nie, chwileczkę, właściwie nie o to chodzi.

– Co więc tam napisano? – zapytała Samantha z przesadną cierpliwością, kiedy na chwilę umilkł.



Richard dotknął czoła palcami. Nagle zrobiło mu się gorąco i zakręciło mu się w głowie.

– Wcale nie napisano, że zakończyć prorocstwo można, jedynie sięjąc śmierć. Cofnął się od ściany, lecz nadal się w nią wpatrywał.

– Napisano, że zakończyć prorocstwo może jedynie *siewca śmierci*. Samantha uniosła brwi.

– A co to znaczy?

– *Fuer grissa ost drauka* – wyszeptał Richard.

– Co??? – spytała, marszcząc nos.

Richard, zatopiony w myślach, wciąż się wpatrywał w złowieszczy symbol. Teraz, kiedy sobie przypomniał pewne elementy i je dopasował, nie miał już wątpliwości, jak należy to przetłumaczyć.

– To w górnod'harańskim. *Fuer grissa ost drauka* znaczy „siewca śmierci”. To o nim mówi Naja.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli mamy przetrwać, ów siewca śmierci musi zakończyć prorocstwo?

– Tak.

Samantha przyglądała mu się przez chwilę, a on wodził wzrokiem po wyrzeźbionych na ścianie symbolach.

– Wiesz, kto to jest? Wiesz, gdzie możemy znaleźć tego siewcę śmierci?

Richard z wolna potaknął, jak urzeczony wpatrując się w symboliczną, haczykowatą, węzowatą dziewiątkę. Postukał się w pierś.

– To ja. Pradawne prorocstwa nazywają mnie *fuer grissa ost drauka*. To ja jestem siewcą śmierci.

Nie mógł nie pomyśleć, że teraz nosi śmierć w sobie. I że bardziej niż kiedykolwiek potrafił pojąć, że jest *fuer grissa ost drauka*.

## ROZDZIAŁ 32

– Ty jesteś siewcą śmierci? – Samantha spojrzała na niego spod uniesionych brwi. – Masz zakończyć proroctwo? Naprawdę?

Richard wciąż wpatrywał się w symbole, wreszcie pewny, że rozumie ich znaczenie. Nie mogło być wątpliwości.

– Tak tu napisano.

Kiedyś by się rozżłościł, czytając, kim według innych jest, co powinien zrobić, co mu dyktuje przeznaczenie, czego musi dokonać. Lecz zwykle okazywało się to czymś innym niż na początku, toteż obecnie jego reakcja była o wiele spokojniejsza.

Ale i tak to, co zapisano na ścianie w mowie Początku, języku używanym przez prastarą maszynę wróżebną, którą znalazł zagrzebaną w głębiach Pałacu Ludu, było dość niepokojące.

Zamyślona Samantha, odeszła o parę kroków. Zawróciła i stanęła tuż obok Richarda.

Ujawniała się tkwiąca w niej swarliwa – choć jeszcze bardzo młoda – czarodziejka.

– Jak, u licha, można zakończyć proroctwo? I jak niby masz to zrobić? Naja coś napisała? Richard pokręcił głową.

– Napisała tylko, że wielu znakomitych czarodziejów trudziło się nad znalezieniem sposobu pozbycia się półludzi i chodzących trupów. Lecz magia, jakiej użył nieprzyjaciel, była zbyt potężna, a oni nie rozumieli jej na tyle dobrze, by jej przeciwdziałać. Ponieważ nie znaleźli rozwiązania ani człowieka, którego proroctwo zwało siewcą śmierci, mogli jedynie wybudować mur graniczny, odgradzając się nim od zagrożenia do czasu, gdy rada czarodziejów znajdzie sposób lub zjawi się siewca śmierci. Straszny obowiązek wyeliminowania magicznej broni musieli niestety zostawić tym, którzy pewnego dnia, kiedy przegroda zawiedzie, się z nią zetkną. Kiedy nadejdzie czas, to przyszłe pokolenia, siewca śmierci, będą musieli znaleźć sposób, żeby ostatecznie wypełnić zło.

– Skąd wiedzieli, że coś takiego w ogóle jest możliwe? No wiesz, że proroctwo można zakończyć? Na jakiej podstawie to wywnioskowali? Czemu byli tego tacy pewni?

Richard dotknął palcem gładkiej ściany i przesuwał go po skomplikowanych wzorach, żeby móc je streścić Samancie.

– Naja wspomina jedynie, iż wiedzą, że to możliwe, z zapisków pochodzących sprzed przemieszczenia się gwiazdy.

Samantha się w niego wpatrywała.

– Co to jest „przemieszczenie się gwiazdy”?

– Nie mam pojęcia.

– Chyba powinieneś wiedzieć.

Richard na nią spojrzał.

– A niby czemu?

– Jesteś lordem Rahlem. Magią przeciwko magii. – Wskazała symbole, które tłumaczył. – Sam powiedziałeś, że nazwano cię wybrańcem, tak jak ja od początku wiedziałam, że nim jesteś. Więc powinieneś wiedzieć.

Richard westchnął.

– Chciałbym, żeby tak było, Samantho.

– Lordzie Rahlu – powiedziała tak zdecydowanie, jak to tylko czarodziejki potrafią – czy uważasz, że Naja naprawdę tu napisała, iż tylko ty możesz zniszczyć półludzi i obudzonych zmarłych, niosąc śmierć wszystkim i wszystkiemu? Czy ona pisze, że jesteś tym jedynym, siewcą śmierci, który ma zniszczyć świat życia?

Richard drapał się w skroń, patrząc na Samanthę kątem oka.

– Mam zakończyć prorocstwo, a nie samo życie.

– Może Naja się bała powiedzieć to wprost. W końcu prorocstwo dotyczy przyszłości, czyli stwierdzić, że należy zakończyć prorocstwo, to jakby powiedzieć, że trzeba położyć kres przyszłości, nie sądzisz? Jak może istnieć życie, skoro nie będzie przyszłości? Jeśli siewca śmierci „odetnie” przyszłość, to życie się skończy. Jak to wyjaśniałeś, świat życia wiąże się z czasem. Skoro nie ma przyszłości, to czas się zatrzymuje, czyż nie? A jeśli czas staje, to i świat życia zamiera.

Richard długo się w nią wpatrywał.

– Muszę przyznać, że w twoich słowach jest sporo sensu.

– A więc wszyscy umrzemy? Wreszcie spełni się plan Sulachana: przestanie istnieć świat żywych. I to ty masz do tego doprowadzić?

Richard się pochylił i delikatnie ujął ją za kruche ramiona, uśmiechając się dla dodania jej otuchy.

– Chociaż masz trochę racji, to chodzi o coś więcej.

– O co? Z tego, co Naja pisze, wynika, że przyszłość, czas, a więc i samo życie wkrótce się zakończą. Jest dla mnie całkiem jasne, że wszystkim nam kończy się czas. O co jeszcze może chodzić?

– Po pierwsze, proroctwo rzadko okazuje się tym, na co początkowo wygląda. Widywałem, jak najbardziej złowieszcze wróżby okazywały się zupełnie bez znaczenia, jedynie brzmiały poważnie. Po drugie, widywałem, jak niewinnie brzmiące przepowiednie doprowadzały na skraj zagłady. Okazywało się, że niektóre z najbardziej niepokojących proroctw wszech czasów znajdowały się na fałszywym odgałęzieniu, a krytyczne wydarzenie, które je tworzyło, rozgrywało się spokojnie wiele wieków wcześniej i nikt nawet o tym nie wiedział. W takich przypadkach wielu ludzi, w tym mający dar, całe życie zamartwiała się czymś, co było dawno przebrzmiałym odgałęzieniem proroctwa. To może być właśnie jeden z takich przypadków. W przeszłości bywało tak, że prawdziwe kłopoty zapowiadało proroctwo, które nie budziło niepokoju, albo ludzie przerażali się złowieszczo brzmiącymi ostrzeżeniami.

– A jak to się ma do nas?

– Staram się wytłumaczyć, że błędem jest się bać i wywodzić swoje decyzje z proroctwa.

Powtarzam, że niemal nigdy nie jest ono tym, czym się wydaje.

– Jak to możliwe? To proroctwo wydaje się całkiem jasne.

– A gdyby na przykład zapowiadało, że kiedy jutro wyjdiesz z domu, to zmokniesz. Czy to brzmi bardzo groźnie? Martwiłabyś się?

Samantha wzruszyła ramionami.

– Nie.

– A gdyby się okazało, że tak naprawdę znaczyło to, że jeśli jutro wyjdiesz z domu, ktoś poderżnie ci gardło i twoje ubranie będzie mokre, bo nasiąknie twoją własną krwią?

Instynktownie uniosła dłonie ku szyi.

– O, rozumiem, co masz na myśli.

– Ludzie powszechnie wierzą, że spisane słowa proroctwa należy odczytywać wiernie, a tak nie jest.

– Nie?

– Prorocy, doznając wizji wywołanej przez słowa, mają odczytywać

właściwy sens proroctwa. Słowa są jedynie rodzajem nośnika i katalizatora przeznaczonego dla proroków. Często rozmyślnie skrywają prawdę. A ponieważ obecnie prorocy nie są zbyt liczni, zatracono umiejętność rozumienia proroctw.

Samantha głęboko westchnęła.

– Nie wiedziałam, że to takie skomplikowane. Zaczynam się domyślać, o co ci chodzi, lecz nadal nie rozumiem, czemu mamy się nie przejmować siewcą śmierci. Dla mnie to całkiem jasne.

– Może się tylko tak wydawać. Nauczyłem się, by nie kierować się lękiem, jaki budzi proroctwo. Lepiej podejmować decyzje, kierując się rozumem. Proroctwo to po prostu jedna z wielu rzeczy, które się bierze pod uwagę. Ludzie niewprawni w prorokowaniu i rozumieniu proroctw często błędnie uważają, że coś jest absolutnie zrozumiałe, i na tym polegają. Twoja mama słusznie cię uczyła, żebyś nie przywiązywała do tego wielkiej wagi.

– Ale czasem proroctwo musi być ważne. – Wskazała ścianę. – W końcu Naja zadała sobie wiele trudu, żeby nam powiedzieć o przegrodzie i ostrzec przed tym, co za nią. Najwyraźniej zbudowali Stroyę, żeby jej mieszkańcy byli strażnikami. Wszystkie ostrzeżenia prowadzą do tego proroctwa, a w jej czasach żyło wielu proroków. Oni musieli wiedzieć, że to ważne, bo inaczej nie zamieściliby informacji o zakończeniu proroctwa.

Richard znowu popatrzył na pokrytą symbolami ścianę.

– Możesz mieć rację, ale może również chodzić o coś zupełnie innego, czego jeszcze nie pojmujemy. W końcu mamy tutaj tylko fragment proroctwa.

Samantha się skrzywiła.

– Nie wiem, lordzie Rahlu, ale dla mnie brzmi to tak, jakbyśmy musieli zrobić coś z tym, co jest za przegrodą, która została przerwana.

Richard stał i patrzył na ścianę, opierając lewą dłoń na głowicy miecza. Powiódł wzrokiem po prastarych symbolach starannie wyrzeźbionych w skalnej ścianie.

– To prawda. Ta część niekoniecznie odnosi się do proroctwa, a na pewno do zagrożenia.

– Sam powiedziałeś, że proroctwo mówi o siewcy śmierci. – Sfrustrowana Samantha wyrzuciła w górę ramiona. – Wybacz, lordzie Rahlu, ale nie rozumiem. To wszystko nie ma dla mnie sensu.

Richard kiwnął głową.

– Wiem. Lecz prawda często nie jest prosta. Dlatego tak wielu ludzi ma kłopot zarówno z prawdą, jak i z prorocत्वami.

– Więc co mamy myśleć o zapiskach Nai? Ta ich część o zakończeniu proroctwa jest dla mnie dość zagmatwana i nierealna. Za to żywe trupy, które tu przyszły i zabiły tylu ludzi, są aż za bardzo prawdziwe. – Wskazała na skalne okno, przez które wlewało się światło. – Tamto ma największe znaczenie. Nie mam pewności, co się wydarzyło w czasach Nai, lecz wiem, co się dzieje teraz. Czy jej słowa nam jakoś pomogą czy nie? Co mamy z tym zrobić? Co ty zamierzasz zrobić w sprawie przerwanej przegrody i zakończenia proroctwa?

Richard jeszcze raz powiódł wzrokiem po zapiskach Nai Moon o tamtej dawnej wojnie, a potem podszedł do okna wychodzącego na przegrodę oddzielającą trzecie królestwo, która przez niemal trzy tysiące lat powstrzymywała niewypowiedziane zło. A teraz została przerwana.

– Zamierzam zrobić to, czego miałem nadzieję już nigdy nie robić.

– To znaczy? – spytała, patrząc, jak w milczeniu wbija gniewny wzrok w okno.

Richard odrobinę wysunął miecz, upewniając się, że luźno chodzi, a potem na powrót go opuścił.

– Wyruszam na wojnę.

– Słucham?

– Tak, wyruszam na wojnę z szaleńcem, który nie żyje od trzech tysięcy lat – powiedział i odwrócił się, by odejść.

## ROZDZIAŁ 33

Samantha go dogoniła.

– Jak to idziesz na wojnę?

Richard, zatopiony w myślach, ruszył z powrotem korytarzem, którym tu przyszli. Kiedy dotarł do okrągłego kamienia blokującego wejście, Samantha już następowała mu na pięty.

– Zamknij to za nami – powiedział, nie zatrzymując się.

Samantha coś mruknęła, uderzyła dłonią w metalową płytkę, a potem znowu pospieszyła za nim. Richard słyszał, jak kamień zgrzyta, wolno się tocząc, by zamknąć pomieszczenie wychodzące na pradawny mur graniczny.

Samantha chwyciła go za nadgarstek i siłą zatrzymała.

– Lordzie Rahlu, czemu powiedziałeś, że idziesz na wojnę?

– Przeczytałem przesłanie Nai. Wciąż wielu rzeczy nie rozumiem, lecz jedno jest jasne: muszę coś zrobić, żeby powstrzymać to, co się dzieje, i to szybko, bo inaczej będzie za późno.

– Co na przykład? – spytała z rozpaczą. – Co chcesz zrobić?

Jej głos poniósł się echem w kamiennym korytarzu. Chodziło jej o to – choć tego nie powiedziała – co chce zrobić bez swojego daru. Nie potrafił odpowiedzieć na to niezadane pytanie. Wiedział jedynie, że musi powstrzymać zagrożenie.

Nie przekazał Samancie wszystkich makabrycznych szczegółów zapisanych przez Naję. Chciał jej oszczędzić cierpienia emanującego ze słów Nai. Lecz słowa te wciąż rozbrzmiewały w jego myślach, on znał upiorną groźbę tego, przed czym stanęli ludzie w czasach pierwszej Spowiedniczki i co znowu zagraża ich światu.

Czarne włosy Samantha wydawały się jeszcze ciemniejsze w widmowym blasku świetlnej kuli, którą trzymała.

– Odpowiedz mi, lordzie Rahlu. Co zamierzasz zrobić? Richard na chwilę zacisnął zęby, a potem odparł:

– Muszę tam iść.

Pochyliła się ku niemu zaniepokojona.

– Dokąd?

– Muszę pójść do trzeciego królestwa. Teraz już wiem, co jest za przegrodą, toteż nie mam wątpliwości, że będę musiał stoczyć walkę.

Rzuciła okiem w stronę, z której przyszli.

– Iść do trzeciego królestwa? Rozum ci odjęło?

– Tylko to mogę zrobić, tę jedną odpowiedź znalazłem.

– Odpowiedź? Na jakie pytanie? Jak dać się zabić?

Richard zignorował jej sarkazm i szedł dalej.

– Nie. Odpowiedź na pytanie, jak zachować życie i nas wszystkich ocalić.

– Lordzie Rahlu – zaczęła, a jej gęste czarne włosy unosiły się lekko, kiedy tak truchtała obok niego – nie możesz tam pójść.

Postukał się w pierś.

– Co mam w sobie? – zapytał, nie zwalniając kroku. Samantha odgarnęła włosy z twarzy.

– Masz na myśli skazę śmierci?

– Właśnie.

– No i?

– Nie możesz jej usunąć ani ze mnie, ani z Kahlan. – Popatrzył na zatroskaną twarz dziewczyny. – Jeśli nie pozbędziemy się tego sprzężenia ze światem zmarłych, to on się o nas upomni. Sama powiedziałaś, że Kahlan nie zostało wiele czasu, a mnie tylko odrobinę więcej.

– Mimo to nie sądzę...

Richard nie miał ochoty na dyskusję.

– Wkrótce zacznę słabnąć, tak jak ona. Dobrze wiesz, że wtedy nie będę w stanie pomóc sobie, a tym bardziej innym. Mam się położyć i czekać na śmierć?

Dotrzymywała mu kroku w milczeniu.

Richard zatrzymał się przed zamkniętym magią wejściem.

– Otwórz, proszę – powiedział, wskazując metalową płytkę w ścianie. – Mój dar nie działa, pamiętasz?

– Pamiętam – burknęła Samantha, podchodząc, żeby przyłożyć dłoń do płytki. – I dlatego nie powinieneś tam iść.

Richard chwycił ją za nadgarstek i powstrzymał, zanim zdążyła dotknąć metalu. Wydawało mu się, że pośrodku kamienia zagrządzającego wejście coś zalśniło.

– Zaczekaj.



Zmarszczyła brwi i popatrzyła na kamień, a potem na niego.

– Na co?

Richard, zamiast odpowiedzieć, wyciągnął rękę i przycisnął dłoń do metalowej płytki. Potężny głaz nawet nie drgnął, lecz z jego środka – gdzie dostrzegł błysk – zaczął się osypywać pył i odsłaniać wyrzeźbione tam linie, jakby przez stulecia kurz szczelnie oblepił i wypełnił wzór.

– Kto by pomyślał – wyszeptała zdumiona Samantha.

W kole wyrysowanym pośrodku kamienia widniało niewielkie, trójkątne skupisko symboli w mowie Początku. Trzy symbole tworzyły złożony przekaz.

Pierwszy głosił: *Jeśli to czytasz, to znaczy, że jesteś siewcą śmierci, a przegroda została przerwana. Stoisz w obliczu tego, czego nie zdołaliśmy powstrzymać. Czeka cię walka.*

Drugi mówił: *Wiedz, że jesteś jedyną szansą, jaką mają żywi. Trwasz w zawieszeniu pomiędzy życiem a śmiercią. Możesz być tym, który ocali świat życia lub położy mu kres. Twój los nie jest przesądzony. Sam o nim postanowisz.*

Trzeci dopowiadał: *Masz w sobie to, czego potrzebujesz by przetrwać. Wykorzystaj to. Szukaj prawdy. Sercem jesteśmy z tobą. Wybierz własne przeznaczenie i je urzeczywistnij, albowiem los wszelkiego życia waży się na szali. Zostawiamy ci pamiątkę, miej ją zawsze przy sobie, aby przypominała ci o wszystkim, co ważne.*

Richarda przebiegł lodowaty dreszcz, kiedy zobaczył podpisy: Magda Searus, Matka Spowiedniczka, i czarodziej Merritt.

Przemawiali do niego osobiście. Niemal się spodziewał, że zobaczy wyryte w kamieniu własne imię.

Długo wpatrywał się w symbole i imiona. Przeczytał wiele starodawnych tekstów i zapisków.

To był jedyny tekst pierwszej Spowiedniczki, na jaki kiedykolwiek natrafił.

Dotknął imienia, wyobrażając sobie, jak dawno temu stała dokładnie w tym samym miejscu, kiedy rzeźbili w kamieniu słowa przeznaczone dla niego. Miał wrażenie, że jego palce, dotykając tego imienia, łączą go poprzez wieki z Magdą.

Richard zapewne lepiej niż ktokolwiek z żyjących rozumiał, co to znaczyło dla kobiety być Spowiedniczką. Jego życie, podobnie jak Merritta,

należało do Spowiedniczki. Prawie nic nie wiedział o legendarnej Magdzie Searus, lecz znał Kahlan, toteż jakby znał i Magdę. Kochając Kahlan, w pewien sposób znał też Merritta. Dzięki temu czuł osobistą więź z nimi.

Wodząc palcami po imionach, popatrzył na słowa mówiące o pamiętce.

Wsunął palce pomiędzy trzy symbole w niewielkie zagłębienie. Potarł i nagromadzony tam kamienny pył zaczął się osypywać; okazało się, że pod spodem jest kawałek starej skóry, ciasno zwinięty.

Wyciągnął skórę i rozwinął na dłoni. Na skórzanym płatku leżał srebrny pierścień. Wpatrywali się w niego z Samanthą. Widniała na nim Grace. Wyglądał jak pierścień do pieczętowania listów.

Ten pierścień z Grace miał zawsze nosić, żeby mu przypominała o tym, co jest stawką w tej rozgrywce. Wsunął go na serdeczny palec prawej ręki, którą władał mieczem. Pasował jak ulał.

Samantha posłała mu spojrzenie wymowniejsze od słów. Była równie zdumiona jak on.

Dobrze znała znaczenie Grace.

Kiedy Richard dał jej wreszcie znak, przycisnęła dłoń do metalowej płytki i głaz się odtoczył, pozwalając im przejść. Potem przytknęła dłoń do płytki po drugiej stronie, zamykając wejście.

Nie poprosiła, żeby przetłumaczył wiadomość. Z wyrazu twarzy Richarda i z jego milczenia musiała wywnioskować, że jest przeznaczona wyłącznie dla niego.

W końcu jednak nie wytrzymała.

– Wrócił ci rozum i pojąłeś, że nie możesz tam iść?

– Posłuchaj, Samantho, sama wiesz, że nie potrafisz usunąć ze mnie śmiertelności dotknięcia Zaszytej Służki, mogą to zrobić tylko moi przyjaciele. Jedyne sposoby na ocalenie siebie i Kahlan, a co za tym idzie – nadzieja na ocalenie wszystkich ludzi, to wyrwanie moich przyjaciół z rąk Shun-tuk i powrót do Pałacu Ludu. Kiedy nas uleczą, będę mógł się zabrać do obmyślenia, jak położyć kres zagrożeniu ze strony trzeciego królestwa. To wszystko.

– A jeśli Zedd, Nicci i inni nie żyją?

– To wkrótce ja też umrę, a niedługo potem cała ludzkość. Potrzebuję Zedda i Nicci. Jeśli istnieje szansa, że żyją, muszę spróbować ich odszukać.

– Ale to ziemie pełne półludzi i chodzących trupów. A kto wie, jakie

jeszcze przekłete potwory mogą grasować w trzecim królestwie. To zbyt niebezpieczne.

– Jestem wybrańcem, pamiętasz?

– Tak i właśnie dlatego nie możesz tam iść. Jesteś nam potrzebny!

– To jaki masz plan? – Popatrzył na nią. – Słucham. Jak powstrzymamy półludzi i armie żywych trupów? Bez ratunku wkrótce umrę i sama będziesz musiała z nimi walczyć. To co planujesz?

Przez chwilę mocno zaciskała wargi.

– No cóż – powiedziała na koniec – myślę, że nie bez powodu zostałeś lordem Rahlem. Ale nadal nie podoba mi się ten pomysł.

– Mnie też się nie podoba, ale martwy nikomu nie pomogę, prawda? Nawiasem mówiąc, o tym właśnie mówiły symbole wyryte w kamieniu. To było przesłanie dla mnie, wiadomość, że jestem siewcą śmierci i że obowiązek walki spoczywa na mnie. Jestem czarodziejem wojny. Muszę to zrobić.

– Czarodziejem wojny bez daru – przypomniała.

Kiedy nie odpowiedział, westchnęła z frustracją i odstawiła świetlną kulę na metalową podpórkę, przycisnęła dłoń do płytki, żeby zamknąć przejście, i weszła za Richardem z korytarza do izby, w której leżała Kahlan. W cichej izbie nie było nikogo poza nią.

Richard uklęknął przy Kahlan, patrzył, jak równomiernie oddycha. Ilekroć na nią patrzył, zaskakiwało go, jaka jest piękna. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczył, wiedział, że jest tą jedyną. Widok jej twarzy zawsze radował mu serce.

Była jego wybranką. Ostatnią Spowiedniczką. Znajdzie sposób, żeby ocalić jej życie.

Samantha powiedziała, że dzięki uleczeniu niektórych ran Kahlan wypocznie, nabierze siły i wkrótce powinna odzyskać przytomność. Główny problem pozostanie, ale będzie świadoma i przynajmniej nie będzie już cierpieć od ran zadanych przez Zasztyłą Służkę.

Richard położył dłoń na czole Kahlan. Poczul ulgę, że już nie płonie z gorączki. To dobry znak, powiedział sobie, powinna się wkrótce wybudzić. Nie wiedział jednak, jak długo to potrwa, a czas działał na jego niekorzyść.

Jeśli Zedd i Nicci zginęli z rąk półludzi, którzy ich porwali, nie będzie nadziei ani dla Kahlan, ani dla niego, ani dla nikogo innego. Magda Searus

napisała, że on może ocalić świat życia. Albo go zniszczyć.

– Nie mam czasu do stracenia – powiedział spokojniejszym głosem w obecności osoby, którą kochał nad życie. – Muszę iść.

Samantha westchnęła ze smutkiem. Przez chwilę myślała, a potem powiedziała:

– Wolałabym znać jakieś inne rozwiązanie, lordzie Rahlu. Przykro mi to mówić, ale masz rację.

– Wiem.

## ROZDZIAŁ 34

Richard skupił teraz uwagę na Kahlan. Upewnił się, że wszystkie rany wyglądają na zaleczone. Samantha zapaliła parę dodatkowych świec, żeby lepiej widział, a potem trwała w milczeniu, podczas gdy on dotykał policzka Kahlan, prosząc w myślach dobre duchy, żeby nad nią czuwały.

– Potrzeba mi trochę rzeczy na podróż – powiedział, gładząc włosy Kahlan. – Mogłabyś mi je przygotować?

Samantha kiwnęła głową.

– Dobrze. Zgromadzę trochę rzeczy, które się nam przydadzą. Spojrzał na nią.

– Tylko dla mnie, Samantho. Ty nie idziesz.

– Ależ idę – powiedziała spokojnie, lecz nieustępliwie.

– To zbyt niebezpieczne. Sama tak powiedziałaś.

– Wiem. I dlatego muszę z tobą pójść.

– Skoro to niebezpieczne dla mnie, to tym bardziej dla ciebie. Nie masz pojęcia, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

– Świetnie sobie poradziłam z tymi żywymi trupami, gdy po mnie przyszły – zaoponowała półszepem, podchodząc do skrzyni i unosząc wieko.

Richard nie miał ochoty się sprzeczać. Znowu skupił się na Kahlan, pragnąc, żeby się obudziła, zanim on wyruszy. Tyle miał jej do powiedzenia. Nic nie wiedziała o tym, co się wydarzyło. Ostatnie, co zapamiętała, to pewnie uwięzienie przez Jit i cierniste ściany, które ją wykrwawiły. Nie wiedziała, że Zedd, Nicci i Cara wyruszyli im na pomoc. Ani o tajemniczych osobnikach, którzy na nich napadli i zamierzali ją zjeść żywcem.

Nie chciał jej tak zostawiać, niemającą o niczym pojęcia. A już zwłaszcza nie chciał, by nie wiedziała, dokąd poszedł i dlaczego. Ona także była bezbronna wobec wroga. Nie mógł jednak czekać, aż się ocknie, tylko bardziej naraziłoby to jej życie. Przede wszystkim musiał znaleźć sposób, jak się pozbyć owego skażenia śmiercią. A w tym celu musiał odszukać Zedda i Nicci.

– Twój dar nie działa – przypomniała mu znowu Samantha, grzebiąc w skrzyni. – A mój tak.

Jestem ci potrzebna.

– Mam miecz.

– To dobrze. Ale on nie zapewnia ci dostępu do daru. – Wyciągnęła niewielki plecak i machnęła ręką ku wyjściu z izby. – Beze mnie nawet nie mogłeś przejść przez osłonę. Co zrobisz, jeśli będzie ci potrzebna taka zwykła magia? To nic, że jestem młoda i niedoświadczona, przyznaję, że muszę się jeszcze wiele nauczyć, ale przynajmniej mój dar działa.

Richard wiedział, że dziewczyna nie ma pojęcia, jakie niebezpieczeństwa napotka, ale nie miał czasu, żeby jej to wyjaśnić.

– Doceniam twoją troskę, ale gdybym cię zabrał, wszystko stałoby się jeszcze trudniejsze.

Stoczyłem wiele walk, nie korzystając z daru. Nic mi nie będzie.

Otworzyła plecak i sprawdziła, co jest w środku.

– Pewne rzeczy mogę zrobić dzięki mojemu darowi, innych nauczyła mnie mama, to może ci się przydać. Przecież cię uleczyłam z tych okropnych ukąszeń, prawda?

– Istotnie – przyznał Richard. Był wdzięczny, że Samantha zdobyła się na odwagę i uratowała życie Kahlan i jemu. – Bardzo ci za to dziękuję. Ale to zupełnie co innego.

Obejrzała się na niego przez ramię, wciąż pochylona nad skrzynią.

– Uważałam, że ten twój pomysł to szaleństwo, ale przekonałeś mnie, że dla własnego dobra musisz tam pójść i spróbować ocalić przyjaciół. – Wyjęła ze skrzyni nóż w pochwie, przyjrzała mu się, a potem włożyła do plecaka. – Przekonałeś mnie też, że od tego może zależeć życie nas wszystkich. Miałeś rację. A skoro to tak niezmiernie ważne, to muszę ci pomóc, zadbać, żeby się udało. – Znowu zajrzała do skrzyni. – Myślisz, że przyda się nam mydło? – Chwyliła je i włożyła do plecaka. – Nieważne, lepiej wezmę.

– Samantho, nie możesz iść ze mną, to zbyt niebezpieczne – powiedział spokojnie, ale twardo. Martwił się o Kahlan i chciał już wyruszyć. Samantha tylko by go spowalniała.

Nie był w nastroju do dyskusji, ale miał nadzieję, że przynajmniej uświadomi Samancie, iż ma ważne powody, by jej nie zabierać na taką wyprawę.

– Możesz zginąć. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym ci pozwolił pójść i gdyby stało ci się coś złego.

Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Jeśli nie dokonasz tego, po co tam idziesz, lordzie Rahlu, umrzesz, a wraz z tobą Matka Spowiedniczka, ja i wszyscy inni. Sam tak powiedziałeś. Przedkładasz moje bezpieczeństwo nad ocalenie Matki Spowiedniczki i całej ludzkości. Możesz potrzebować mojej pomocy. Będę mogła użyć daru, żeby cię wyciągnąć z tarapatów. To może ci dać przewagę, której potrzebujesz, żeby uratować przyjaciół. Nawet gdyby kosztowało mnie to życie, moja pomoc może się okazać właśnie tym, co ocali życie mieszkańców wioski i wszystkich innych ludzi. Przestań się zamartwiać o jedną młodą kobietę, a zacznij się troszczyć o powodzenie wyprawy. Pomyśl o przesłaniu, które przeczytałeś. Jesteś mądrym człowiekiem. Powinieneś umieć dostrzec sens w moich słowach.

Richard chciał protestować, lecz Samantha uniosła palec, uciszając go, zanim zdążył coś powiedzieć.

– Naprawdę zamierzasz odrzucić pomoc osoby z darem? Taki masz plan? Działać bez czegoś, co mogłoby ci dać przewagę?

– Mój plan to szybko się poruszać, uderzać prędko i znikać. Tylko byś mnie spowalniała.

Uniosła brew.

– A jeśli szybko się poruszając, złamiesz nogę, bo wpadniesz w norę borsuka, to kto ci pomoże? Idę z tobą, lordzie Rahlu, i już.

Richard przeciągle westchnął.

– Mówisz rozsądnie, Samantho, ale ja o wiele więcej wiem o takich sprawach. Wiele lat walczyłem w wojnie ze Starym Światem. Nigdy się nie zetknęłaś z czymś, co choć trochę przypominałoby takie zagrożenia.

– Te zagrożenia zjawily się tutaj, w mojej rodzinnej wiosce, szukając mnie, pamiętasz? – Wzruszyła ramionami. – A poza tym moja mama może być tam więziona, jak twoi przyjaciele. Tak powiedziałeś. Jeżeli mogę pomóc i ją ocalić, to muszę iść i dopilnować, żebyśmy ją odbili tym przeklętym kanibalom.

Richard wpadł na pewien pomysł.

– Wiem, co czujesz. Obiecuję, że jeśli ona tam jest, to będę o nią walczyć tak samo jak o moich ludzi. Poradzę sobie. Nie mogę pozwolić ci iść ze mną.

Stała przed nim.

– Dobrze. Jesteś lordem Rahlem. Robisz to, co uważasz za stosowne. –

Wsparała drobne dłonie na wąskich biodrach i z poważną miną przekrzywiła głowę. – Ale oczywiście wiesz, że jeżeli nie pozwolisz mi iść, to po prostu pójdę twoim śladem. Nie powstrzymasz mnie. Podróżując samotnie, będziemy bardziej narażeni. Byłoby lepiej, gdybyśmy byli razem. Chronilibyśmy się nawzajem. Tak czy inaczej pójdę: z tobą albo za tobą. I tyle.

Richard mocno zacisnął usta, szacując determinację widoczną w ciemnych oczach Samantha.

– Jesteś upartą dziewczynką.

– Nie jestem dziewczynką – sprzeciwiła się. – Jestem Samantha, czarodziejka służąca lordowi Rahlowi.

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Istotnie. Cóż, widzę, że nie zostawiasz mi wyboru. Jest trochę racji w tym, co mówisz. – Pokręcił głową. – No dobrze, zabieram cię ze sobą.

Samantha się uśmiechnęła.

– Nie pożałujesz, lordzie Rahlu.

– Mam nadzieję, że i ty też nie pożałujesz. Pospieszmy się i przyszykujmy zapasy dla dwojga.

Chciałbym, żeby ktoś czuwał nad Kahlan, kiedy nas nie będzie.

– Ester będzie jej pilnować. Richard kiwnął głową.

– Przyrowadź ją. Zanim odejdziemy, musimy trochę opowiedzieć Ester o tym, czego się dowiedzieliśmy, żeby mogła ostrzec innych, no i Kahlan, kiedy się obudzi.



## ROZDZIAŁ 35

– Przeprowadzę ją – powiedziała Samantha, po czym odwróciła się do niego od drzwi, z podejrzliwą miną. – Pamiętaj, że jeśli pójdziesz beze mnie, ruszę twoim śladem. Mam nadzieję, że mnie nie oszukasz.

– Już powiedziałem, że możesz ze mną iść – rzekł z powagą. – Dotrzymam słowa.

– W porządku. – Była trochę zażenowana, że go tak podejrzewała.

Nie chciał narażać jej młodego życia, lecz wiedział, że ma rację, twierdząc, że może mu się przydać. Tkwiła w nim przecież skaza śmierci i nie wiedział, kiedy poważnie da o sobie znać. Jeśli mu się nie powiedzie, wszyscy będą wydani na pastwę tego, co może się wydostać z trzeciego królestwa.

Już odczuwał skutki choroby, czuł się niezwykle wyczerpany i osłabiony. Czuł, jak go nieubłaganie przyciąga mrok śmierci. Zawsze wiedział, że śmierci nie da się uniknąć, lecz była czymś tak odległym, że przez większość czasu nie brał jej pod uwagę. A teraz była blisko, przejmująco realna.

Mrok w pewien sposób zaczynał się wydawać pociągający, kusił, żeby Richard przeszedł przez zasłonę zaświatów w wieczną pustkę, gdzie nie ma żadnych emocji. Oferował wyzwolenie od trudu, wszelkich trosk i lęków.

Richard istotnie mógł potrzebować pomocy Samantha. Nawet najmniejsze wsparcie może przeważać szalę.

Przypomniawszy sobie, jak dziadek mu kiedyś powiedział, że czarodzieje muszą wykorzystywać ludzi. Nie podobała mu się myśl, że wykorzystuje Samentę, chociaż wiedział, że sama tego chce, i choć właściwie nie pozostawiła mu wyboru. W głębi serca wiedział jednak, że tak naprawdę jest to jego decyzja, a dziewczyna może stracić życie podczas tej niebezpiecznej wyprawy. Zresztą obydwójce mogą zginąć.

– Też potrzebuję plecaka – powiedział. – Nie mam ze sobą żadnych rzeczy. Prawie wszystko, z wyjątkiem miecza, zostało na wozie. – Poszperał w kieszeni. – Chwileczkę, mam krzesiwo, żeby rozpalić ogień.

Samanta kiwnęła głową.

– Powiem naszym, czego potrzebujemy.

– Potrzebna nam żywność, żebyśmy nie musieli poświęcać czasu na polowanie, ale powinniśmy też mieć parę rzeczy na wypadek, gdybyśmy musieli coś złowić. Jakaś linkę, haczyki i tym podobne. Jeśli ktoś ma łuk, też by się bardzo przydał.

– Jestem pewna, że któryś z mężczyzn dostarczy łuk i strzały, żeby pomóc w zwalczeniu niebezpieczeństwa. Mamy żywność, która się nadaje na prowiant podróży. Niestety, nie jest zbyt smaczna.

Richard leciutko się uśmiechnął.

– Jak zwykle w takich przypadkach.

– Zawsze mieliśmy suszone mięso, ryby, suchary i tym podobne, na wypadek gdybyśmy musieli iść i ostrzec... miałam powiedzieć radę czarodziejów, ale już dawno jej nie ma. – Wskazała korytarz. – Prowiant jest w drugiej izbie w szafce po prawej. Weź to, co twoim zdaniem może nam być potrzebne. Wrócę, gdy tylko znajdę Ester i zbiorę trochę innych rzeczy.

Kiedy Richard kiwnął głową, Samantha wyskoczyła z izby. Po jej wyjściu znowu ukląkł przy Kahlan, ujął na chwilę jej bezwładną dłoń. Pragnął, żeby się obudziła, by mógł jej opowiedzieć, dokąd idzie, i ostrzec przed zagrożeniem ze strony trzeciego królestwa. Ostatnie, o czym wiedziała, to niebezpieczeństwo ze strony Jit.

Obserwował, jak równomiernie oddycha, przyglądał się jej spokojnej twarzy. Choć pragnął, żeby się obudziła, wiedział, że samo pragnienie tego nie sprawi. Będzie potrzebować pomocy, jeśli ma przeżyć. On także. Musi się o nią postarać.

W ciszy przed burzą, która – jak wiedział – lada chwila się rozpęta, pochylił się i łagodnie ucałował jej delikatne wargi, mając nadzieję, że to nie ostatni pocałunek. Wiedział, że gdyby była przytomna, toby mu powiedziała, by się o nią nie martwił, tylko ruszał i robił to, co konieczne.

Potem poszedł do drugiej izby i znalazł prowiant podróży. Wziął to, co jego zdaniem mogli unieść, tak by ciężar ich nie spowalniał, i równiutko ułożył we frontowej izbie. Wkrótce potem zjawiała się Samantha z plecakiem dla niego i przerzuconymi przez ramię dwiema podróznymi opończami z kapturem. Przeprowadziła Ester.

– Kilkoro naszych gromadzi resztę rzeczy – poinformowała, zamykając drzwi.

– Co się dzieje, lordzie Rahlu? – zapytała Ester, zaciskając dłonie i patrząc

to na niego, to na dziewczynę. – Sammie mówiła, że to ważne, ale nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Czy Matka Spowiedniczka...

– Na razie nic jej nie jest – powiedział Richard. – Ale potrzebujemy twojej pomocy. Samantha i ja musimy iść...

– Samantha? – spytała zdumiona Ester.

– Sammie. Ja nazywam ją Samantha, bo uważam, że staje się młodą kobietą, a teraz stoi w obliczu poważnego wyzwania. Dlatego Samantha wydaje się o wiele odpowiedniejszym imieniem. Jak mówiłem, muszę iść, a Samantha idzie ze mną.

– Dokąd?

Ester wyglądała na oszołomioną. Richard nie chciał jeszcze bardziej mieszać jej w głowie, ale musiała wiedzieć, co się dzieje, żeby mogła ostrzec innych i opowiedzieć o tym Kahlan, kiedy się obudzi.

– Mamy kłopoty – zaczął. – Pamiętasz tamtych mężczyzn, którzy na nas napadli? Przed którymi nas ocaliliście?

– Oczywiście – przytaknęła Ester.

– To byli ludożercy.

– Ludożercy?!

– Tak. Nie pamiętasz, że rzucili się na mnie z zębami? Pokąsali mnie?

– Ale ja nie...

– Nie ma czasu, żeby wszystko wyjaśniać. Najważniejsze, żebyś zrozumiała, iż wioskę założono tu dawno temu, żeby mieszkańcy strzegli przegrody...

– Północny mur – dodała Samantha i popatrzyła na Richarda. – Na Mrocznych Ziemiach wszyscy mówią o północnym murze.

Richard potaknął.

– Rzecz w tym, że północny mur odgradzał bardzo poważne zagrożenie, nie pozwalał złu krzywdzić mieszkańców Nowego Świata. Zapewniał bezpieczeństwo od czasów wielkiej wojny.

Zatroskana Ester kiwała głową.

– Trochę o tym wiem. Od dziecka słyszałam opowieści o zagrożeniu nie z tego świata czyhającym za północnym murem. Nikt nie wiedział, co jest po drugiej stronie, lecz wszyscy wiedzieliśmy, że zło.

– Opowieści pewnie są dalekie od rzeczywistości. Przegroda słabnie i to, co było za nią, zaczyna się wydostawać. Nikt nie wiedział, że Jit była

zaledwie pierwszą przedstawicielką zła zza północnego muru.

Ester nachyliła się ku niemu.

– Co jest po drugiej stronie?

– Te stwory, które wyglądały jak żywe trupy i zjawily się tu w nocy, i tylu ludzi poraniły i zabiły, to były zwłoki ożywione czarną magią zza północnego muru. Chodzące trupy.

Zacisnęła dłonie, aż jej knykcie zbiełały. Odebrało jej głos, zamarla z przerażoną miną.

– Ludzie zza muru nie są tacy jak my – kontynuował Richard. – To jakby kanibale. Zdezorientowana zmarszczyła brwi.

– Jakby kanibale? Co masz na myśli?

– Pożerają żywych ludzi, próbując wykraść ich dusze – odezwała się Samantha.

Ester zachłysnęła się oddechem, ale nic nie powiedziała. Wyglądało na to, że znowu zabrakło jej słów.

– Ci zza muru – mówił Richard – napadli na moich przyjaciół wiozących nas do Pałacu Ludu. Zabili ojca Samantha i prawdopodobnie porwali jej mamę. Sądzę, że ona i moi przyjaciele mogą nadal żyć. Idziemy za północny mur, żeby spróbować ich uwolnić.

Ester spojrzała na Samanthę, potem znowu na Richarda.

– Naprawdę? Już zapomniałeś, co mówił Henrik? Napadli na cały oddział doborowych żołnierzy, twoją osobistą straż z pałacu, i ich pokonali, a tobie się zdaje, że możecie tam iść we dwoje i was nie zamordują, jak tylko przejdziecie przez bramę?!

To samo przemknęło przez myśl i Richardowi.

– Będziemy razem – odezwała się Samantha.

– Czasem bezpieczniej iść mniejszą grupą – stwierdził Richard. – Nie będziemy się tak rzucać w oczy jak oddział wojska.

– Lordzie Rahlu, nie zamierzam cię pouczać, lecz byłeś sam, kiedy tamci cię zaatakowali, i gdybyśmy się nie zjawili, już byś nie żył.

Richard westchnął i wstał z klęczek przy macie Kahlan.

– Wiem. Lecz nie mam wyboru. Muszę to zrobić. To zło może zabić tylu ludzi, że to przekracza twoje wyobrażenie. Jestem lordem Rahlem. Muszę zrobić to, co konieczne, by chronić mieszkańców Nowego Świata.

Ester pochyliła głowę.

– Nie mogę sprzeciwić się słowu lorda Rahla – po czym wskazała Samanthę – ale czemu ona idzie?

– Bo jest uparta – odparł Richard.

Ester po raz pierwszy leciutko się uśmiechnęła.

– Widzę, że się na niej poznałeś.

– Mam dar – broniła się Samantha. – Lord Rahl i Matka Spowiedniczka mają w sobie skazę śmierci, ich magia nie działa. Mogę wspomóc lorda Rahla moim darem. A jeżeli uda się nam wydostać mamę, to ona też go wesprze.

Ester rozmyślała przez chwilę.

– Rozumiem. Jesteś bardzo odważna... Samantho. Jak możemy ci pomóc, lordzie Rahlu?

– Mogłabyś pilnować Kahlan, a jak się obudzi, powiedzieć jej, co się dzieje. Wrócę, gdy tylko uwolnię przyjaciół. Potem musimy szybko dotrzeć do Pałacu Ludu, żeby mogli nas uleczyć. Później będę mógł się rozprawić z zagrożeniem zza północnego muru. Kiedy Kahlan się obudzi, powtórz jej, co powiedziałem, i dodaj, iż to ważne, by tutaj na mnie czekała. Wrócę. Sprowadzę pomoc. Muszę ci też pokrótce przekazać, czego się dowiedziałem. Mieszkańcy Stroyzy powinni przebywać w wiosce, nie wychodzić sami, jedynie w dużych grupach. Cały czas muszą stać warty. Przekłete stwory zza północnego muru mogą próbować się tutaj dostać.

– Żeby nas żywcem pożreć? Richard westchnął.

– Obawiam się, że tak. Z wioski łatwiej wam będzie ich odeprzeć. Miejmy nadzieję, że wrócę, zanim coś wam zagrozi. Musimy ruszać natychmiast – dodał. – Jeszcze długo będzie jasno.

Zanim się ściemni, musimy dojść jak najdalej.

– Do północnego muru długa droga – powiedziała Ester. – Miną dni, zanim tam dotrzecie.

– Wiem. Tym bardziej trzeba się spieszyć.

## ROZDZIAŁ 36

Schodzenie stokiem w mżawce okazało się trudniejsze niż wspinaczka. Richard szedł pierwszy, odruchowo się zastanawiając, ilu mieszkańców Stroyzy – odkąd wioskę tu założono – pośliznęło się na wilgotnej ścieżce, spadło w przepaść i się zabiło.

Kiedy w pewnym momencie spojrzął w górę, zobaczył tłum w wejściu pieczary, przyglądający się, jak schodzą z Samanthą niebezpiecznym szlakiem, w drodze ku jeszcze bardziej niebezpiecznym, nieznanym ziemiom za tajemniczą przegrodą, którą znali jako północny mur. Pewnie się zastanawiali, czy jeszcze kiedyś ich zobaczą.

Richard nie śmiał sobie pozwolić na zwątpienie. Na górze była Kahlan i musiał sprowadzić dla niej pomoc. Jeśli zawiedzie, to ona umrze. Kiedy szybko się spakowali, pokrótce wyjaśnił pomagającym im ludziom zagrożenie płynące z tracącej moc przegrody. Poprosił ich, żeby przekazali pozostałym jego słowa.

Mroczne Ziemie były niebezpiecznym miejscem. Zagrożenie ze strony Zaszytej Służki, która nagle się pojawiła nie wiadomo skąd; tajemnicze hordy, które zaatakowały, zabiły lub uprowadziły żołnierzy i przyjaciół lorda Rahla; żeby już nie wspominać o osobliwych stworach, które zabiły tylu ludzi w Stroyzie – to wszystko sprawiło, że mieszkańcy i tak już byli mocno zaniepokojeni. Richard nie wątpił, że poważnie potraktują jego ostrzeżenia.

Gdy miał okazję, uświadomił zebranim wokół niego nieznaną rodzajem zagrożenia, jaki stanowili ci z trzeciego królestwa. Żaden z mieszkańców Stroyzy, podobnie jak on, nawet nie pomyślał, że mogą istnieć półludzie chcący ukraść ludzką duszę, zjadając człowieka żywcem.

Przykazał, żeby opuszczali górę wyłącznie w razie absolutnej potrzeby, a i to w grupach przygotowanych do odparcia ataku. Z zadowoleniem usłyszał, że od incydentu z żywymi trupami unikali schodzenia z góry. Powiedzieli mu, że grupy mężczyzn pospiesznie zeszyły, żeby doglądać zwierząt, lecz zostały tam tylko tak długo, jak było trzeba. Bali się, że gdzieś może się czaić więcej tych potworów. Richard uznał, że mogą mieć rację. A to było, zanim się dowiedzieli o zagrożeniu ze strony półludzi. Na szczęście jak dotąd nie napotkali więcej tych obudzonych zmarłych.

Był zadowolony, że podejście na górę jest tak mozolne. Uciążliwość górskiego szlaku była najprawdopodobniej najlepszą obroną mieszkańców Stroyzy, teraz już świadomych zagrożenia i czujnych. Przedtem zaniechali wystawianie wart, lecz nie wątpił, że teraz tak nie będzie.

Kiedy się zatrzymał, żeby spojrzeć na posępne pustkowie, przyszło mu na myśl, że ludzie w czasach Nai Moon przypuszczalnie brali pod uwagę tę naturalną barierę obronną, planując założenie wioski tak wysoko. Całkiem możliwe, że to oni zbudowali domy w głębi góry.

Lecz czy było to celowe zamierzenie, czy też wioska z czasem się tam przeniosła, mieszkańcy nie byli szkoleni w sztukach walki. Przecież uderzali jego napastników kamieniami, chociaż mieli noże. Musiał jednak przyznać, że w tamtym przypadku okazało się to bardzo skuteczne. Powiedział im, że w przyszłości nie powinni polegać na takich środkach, a kiedy będą schodzić, żeby oporządzić zwierzęta, powinni mieć ze sobą noże. Kamienie mogą się przydać, lecz ostrza lepiej im się przysłużą w walce o życie.

Lecz przecież zadaniem tych ludzi było tylko pilnowanie. Byli strażnikami, obserwatorami, którzy mieli podnieść alarm. Richard nie wątpił, że nigdy nie mieli stać w pierwszej linii i walczyć w bitwie. Teraz zaś, kiedy odwieczna wojna znowu rozgorzała, będą musieli się bronić najlepiej jak potrafią, póki on nie powstrzyma zagrożenia.

Henrik widział pospieszne przygotowania i chciał pójść z Richardem i Samantha. Richard poprosił chłopca, żeby został i czuwał nad Kahlan. Kiedy się ocknie, Henrik będzie mógł jej opowiedzieć o tym, co się stało. Ester zaś opowie jej o upadku przegrody oraz o jego wyprawie. Ponieważ Kahlan wyrwała Henrika z łap Zaszytej Służki, łączyła go z nią szczególna więź i Richard bez trudu przekonał chłopca, żeby został i zaopiekował się swoją wybawicielką.

Richard poprawił łuk na ramieniu i wszedł w szczególnie zdradziecki skręt stromej ścieżki. Patrzył pod nogi, wyszukiwał punkty zaczepienia dla rąk oraz przeczesywał wzrokiem rozciągający się w dole las, wypatrując, czy aby nie czają się tam półludzie. Nie wypatrzył niczego niepokojącego, ale to go nie uspokoiło. Najbardziej martwiły go ukryte, niewidoczne zagrożenia.

Samantha szła ścieżką swobodnie, wyprzedzała Richarda, stąpając lekko niczym kozica. Przystawała, żeby na niego poczekać, w miejscach szczególnie dla niego trudnych, gdzie musiał bardziej uważać. Rzecz nie w

tym, że on był powolny, lecz w tym, że ona dorastała, wchodząc i schodząc tą ścieżką, dzięki czemu świetnie ją знаła. Albo nie była zbyt ostrożna.

Kiedy wreszcie dotarli do stóp góry, Richard znowu przeczesał wzrokiem posępną okolicę za małymi szopami i szałasami, gdzie trzymano narzędzia i inwentarz. Dalej rozciągały się otwarte pola, więc mógł sięgnąć wzrokiem daleko, aż do odległych podmokłych lasów. Nikogo i niczego nie zobaczył.

Kury i gęsi podniosły wrzawę. Panowała cisza, dopóki Richard z Samanthą nie znaleźli się w pobliżu ich kojców; najprawdopodobniej to oni je zaniepokoiili, więc się nie przejął.

Idąc dalej, zauważył, że pozostałe zwierzęta są dziwnie ciche. Owce zbiły się pod dachem drewnianej wiaty. Albo się schowały przed mżawką, albo czegoś się przestraszyły. Świnie też tłoczyły się w narożnikach zagród.

Richard wbił wzrok w mokrą ziemię, wypatrując śladów świadczących o czyjejś obecności. Wszędzie widniały ślady pozostawione przez ludzi zajmujących się zwierzętami. Prawdę mówiąc, w błocie było ich tyle, że trudno było dojrzeć coś podejrzanego.

Nagle znieruchomiał, bo dostrzegł inny trop. Wszyscy mieszkańcy Stroyzy chodzili w butach, a te ślady zostawiły bose stopy. Szczególnie zaniepokoiło go to, że prawy odcisk nie był śladem ani bosej stopy, ani buta. To było płytkie, nieregularne wgłębienie, jakby ktoś owinął stopę płótnem.

Podniósł wzrok akurat wtedy, kiedy z za kojca z kurami wyszedł człowiek o ciemnych, zapadniętych oczach.



## ROZDZIAŁ 37

To nie był jeden z wieśniaków. Łachmany okrywały kościstą postać, miejscami odsłaniając sączone się rany. Gdzieniedzie, niczym sparciałe chorągwie, wisiały na nim resztki płótna.

Lewa stopa była bosa, prawa – owinięta ubłoconymi szmatami.

Richard uznał początkowo, że to kolejny z ożywionych trupów, wykopany z jakiegoś grobu i wysłany z zadaniem atakowania mieszkańców Stroyzy.

Lecz to nie był chodzący trup. Ten człowiek był żywy, chociaż wyglądał, jakby był bliski śmierci. Zapadnięte oczy otoczone były ciemnymi, czerwonymi obwódkami. Skórę odsłoniętych ramion pokrywały strupy i rany. Wyglądał jak trędowaty, chociaż nie widać było żadnych innych deformacji.

Nie było czasu na litowanie się nad nim.

Gdy tylko zauważył Richarda, natychmiast się na niego rzucił, szczerząc zęby. Atakując, wydał grzmiący ryk, niesamowity, dziki głos nie z tego świata, zrodzony ze strasznego głodu. Szeroko rozdziawił usta, ukazując gotowe do kąsania zęby.

Richard zrobił półobrót, wyrzucając przed siebie nogę, i trafił butem prosto w pierś nadbiegającego stwora. Szybki, silny kopniak odrzucił napastnika w tył, co dało Richardowi pole do walki.

Atakujący cofnął się chwiejnie o kilka kroków, starając się złapać równowagę. Gdy tylko pewnie stanął na nogach, od razu skoczył na Richarda.

Ten, zwinięty jak sprężyna, wykręcił się w lewo. W spokojnym powietrzu rozbrzmiał dźwięczny brzęk stali – to Miecz Prawdy wysuwał się z pochwy. Wraz z klingą pojawił się jej gniew. Gniew Richarda już na niego czekał. Bliźniacze burze rozpały furię dającą moc magii ostrza.

Samantha krzyknęła i skoczyła za Richarda – tak dla osłony, jak i po to, żeby zejść z drogi śmiertelności ostrza.

Richard utkwiał wzrok w pędzącym ku niemu napastniku. Kiedy dobył miecza, zatoczył nim łuk w lewo, by uderzyć tam, gdzie celował.

Zanim biegnący zdążył zrobić kolejny krok, ostrze już go dosięgło.

Rozległ się trzask kości. W wilgotnym powietrzu uniosła się czerwona mgiełka.

Zanim Samantha całkiem schowała się za Richardem, głowa napastnika spadła z karku i pokoziołkowała w powietrzu. Uderzyła w górną belkę zagrody dla świń, zostawiając krwawy ślad, i z łupnięciem wpadła w błąd między zwierzęta. Chrząkały, napierając na siebie – początkowo chciały się od niej odsunąć, ale woń świeżej krwi przemogła ich lęk i rzuciły się ku odrąbanej głowie, rozpychając się, żeby dopaść krwawego łupu.

Korpus padł, ciężko uderzając o ziemię u stóp Richarda, ochlapując mu buty krwią i błotem.

Richard badał wzrokiem drzewa, pola i pobliskie zabudowania, wypatrując kolejnego zagrożenia. Spodziewał się, że pojawi się horda półludzi, licząc, że w gromadzie dadzą mu radę i rozedrą zębami, zanim zdoła ich przegnać, ale nikogo już nie zobaczył. Na terenach za zagrodami dla zwierząt znowu zapanował spokój. Świnie chrząkały i kwiczały. Kury, przerażone rykiem stwora, gdakały w panice.

Samantha wczepiła się w opanczone Richarda i wyjrzała zza jego ramienia. Była przeraźliwie blada.

– Nic ci nie jest? – zapytał głosem, w którym wciąż pobrzmiwała szalejąca w nim furia.

Czarne, gęste włosy Samantha aż podskoczyły, kiedy kiwnęła głową na znak, że wszystko w porządku. Oczy miała szeroko otwarte.

Richard, wciąż trzymając miecz w pogotowiu, spojrział w górę ku wylotowi pieczary. Stojący tam ludzie z przerażeniem na nich patrzyli. Widzieli scenę, która się rozegrała.

– Był tutaj, pośród nas – powiedziała Samantha, najwyraźniej zdumiona, że jeden z półludzi ukrył się tak blisko. – Wykryli, gdzie mieszkamy.

– Dowiedzą się też, gdzie mieszkają inni – rzekł Richard. – Polują na dusze.

Położył dłoń na ramieniu Samantha, przytrzymał ją i kazał nie ruszać się z miejsca, póki nie sprawdzi okolicy. Wyglądała żałośnie, stojąc tak, z łokciami mocno przyciśniętymi do boków, z ciasno splecionymi pod brodą dłońmi, patrząc, jak przeszukuje teren wokół niewielkich budynków.

Szczupłutka postać kruchej dziewczyny jeszcze dobitniej uświadomiła Richardowi, jaka musi się czuć samotna po śmierci ojca i zaginięciu matki.

Dopiero przestawała być dziewczynką i wkraczała w świat, gdzie będzie musiała szybko dorosnąć lub umrzeć. Ponownie pomyślał, że musi uwolnić jej matkę, jeśli to będzie w jego mocy.

Samantha patrzyła, jak Richard zagłębia do budynków i kojców, za sterty drewna na opał. Kiedy okrążał kolejne budynki, upewniając się, że nikt się za nimi nie kryje, zerknęła na boki, wypatrując oznak zagrożenia.

Kiedy Richard miał pewność, że nikt się tam nie czai, przywołał gestem Samanthę. Pobiegnęła za nim, kiedy ruszył łąką między zagrodami.

– Zaczynasz rozumieć, czemu towarzyszenie mi będzie takie niebezpieczne? – zapytał, chowając miecz do pochwy; kiedy puścił rękojeść, pozbył się też gniewu.

– Wolę być z tobą niż z moimi ludźmi – odparła. – Ich jest dużo, ale ty masz miecz. Widziałam, jak ich napadnięto i jak walczysz mieczem, i raczej wolę być z tobą i twoim mieczem niż z nimi wszystkimi.

Richard musiał przyznać jej rację.

– Wyczułaś tego stwora swoim darem?

Samantha zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli?

– Mający dar, czarodzieje i czarodziejki często wyczuwają, że ktoś jest w pobliżu. Czują czyjąś obecność w ciemności lub kogoś, kto się ukrywa.

– Naprawdę? – Skrzywiła się z niezadowoleniem. – Mama powinna mnie tego nauczyć.

– W Stroyzie nie ma koni, prawda? – spytał, chociaż znał odpowiedź. Samantha pokręciła głową.

– Nie. Jest tylko wół do pracy w polu.

Nagle uświadomił sobie, że oni tutaj żyli, nie mieli dokąd pójść. Chyba że obowiązek nakazywał im, by przekazali ostrzeżenie – ale to nie było konieczne przez tysiące lat.

Skoro nie mieli koni, mogli poruszać się jedynie pieszo. Właściwie konie i tak by ich nie zniosły tam, dokąd musieli dotrzeć, toteż ich brak nie był aż tak dużą niedogodnością. W sumie mogli się bez nich obejść.

Minęli zakręt, idąc na północ ścieżką wśród pól. Samantha głębiej nasunęła kaptur, mżawka gęstniała. Richard przyjrzał się chmurom i uznał, że pewnie wkrótce zaczną lać. Zapowiadała się fatalna pogoda na podróż.

Las, nadal dość odległy, zapewni im jakąś osłonę. Przyspieszył kroku,

żeby szybciej dotrzeć do linii drzew.

Samancie taka pogoda najwyraźniej nie przeszkadzała.

– Często tu bywa tak ciemno? – zapytał. Kiwnęła głową.

– Przeważnie jest mroczno i ponuro. Często myślałam sobie, że wolałabym mieszkać w jakimś słonecznym miejscu.

Zanim dotarli do skraju pól w pobliże ogromnych drzew, Richardowi się wydało, że w mrokach gęstego lasu dostrzegł oczy.

## ROZDZIAŁ 38

Zatrzymał się i wysunął prawą rękę, by powstrzymać i Samanthę. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zauważyłaś coś przed nami? – zapytał cicho, leciutko kiwnąwszy głową w tamtą stronę. Popatrzyła na drzewa, a potem chmurnie spojrzała na niego.

– Widzę drzewa. O co ci chodzi? Co mam zobaczyć?

– Zauważyłaś obserwujące nas oczy?

– Oczy? – spytała piskliwym ze strachu głosem.

Pochyliła się nieco, wpatrując się w mrok między drzewami.

Richard metodycznie przepatrywał cienie za drzewami. Las był już całkiem blisko. Prawdę mówiąc, znaleźli się niepokojąco blisko gęstwiny. Zobaczył wróble śmigające wśród sosnowych gałęzi i wiewiórkę, a może mysz, w liściastej ściółce; nic większego.

– Nie, nic nie widzę – powiedziała w końcu Samantha. – Widziałeś oczy? Gdzie?

– Przed nami, wśród drzew, po prawej stronie ścieżki. Spojrzała we wskazane miejsce.

– Jesteś pewny?

– Nie, widziałem to tylko przez chwilę. Większość życia spędziłem w lasach i wiem, że czasem odbłysek światła w wilgotnych liściach czy świetlne plamki na mchu mogą wyglądać jak oczy. Naprawdę można się pomylić.

– Może teraz też coś takiego zobaczyłeś. – W jej głosie było więcej nadziei niż pewności.

– Możliwe, ale teraz już tego nie widzę. – Richard cofnął się o dwa kroki, by stanąć tam, gdzie wcześniej, i próbował sprawdzić, czy mógł to być refleks światła.

Teraz jednak wątpił, by zwodziły go oczy. Ruszył ku Samancie.

– To dobrze, że tego nie widzisz, prawda? To znaczy, że to nic ważnego?

Richard wpatrywał się w mroczne zakątki lasu, w miejsca między podstawami potężnych pni i krzakami.

– Możliwe. Może widziałem odbłask wody skapującej z liści. Lecz równie dobrze ktoś mógł tam być i się cofnąć, kiedy go dostrzegłem.

Samantha przeczesywała wzrokiem pola po lewej stronie. Po prawej

kamienisty grunt wznosił się stromo ku Stroyzie. Znowu popatrzyła na las czekający na nich na końcu rzadko uczęszczanej ścieżki.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytała.

Richard badał okolicę. Po prawej stronie góra uniemożliwiała przejście. Po lewej można było ominąć ścieżkę – było to jakieś rozwiązanie, choć chyba niezbyt dobre.

– Są tu inne ścieżki lub drogi? Samantha pokręciła głową.

– Gęściej zaludnione tereny są na południu. W tamtych stronach mało kto mieszka. To jedyna dróżka biegnąca na północ. Jeśli z niej zejdziemy, czeka nas powolne przedzieranie się przez las. W końcu i tak będziemy musieli to zrobić, bo ścieżka nie biegnie aż do muru. Mniej więcej w połowie naszej trasy skręca na zachód. Potem biegnie na południowy zachód, omijając skaliste granie. Dalej ku północy rozciąga się niezbadane pustkowie. Ścieżka najpierw wiedzie tak daleko na północ, bo musi ominąć ziemie nie do przejścia, a potem skręca ku paru wioskom leżącym na zachodzie i południu.

– Wiele osób tędy podróżuje? Kiwnęła głową ku zachodowi.

– Wioski są daleko za górami. Większość tamtejszych ludzi handluje z miasteczkami na południu, więc rzadko ktoś tędy przechodzi: Stroyza nie tylko leży na uboczu, ale też nikomu tędy nie po drodze. Ta część Mrocznych Ziemi jest zbyt górzysta i niezamieszкана, żeby kupcom opłacało się tędy przejeżdżać, toteż mało kogo widzujemy, poza nielicznymi myśliwymi i handlarzami.

Richard, z dłońmi na biodrach, kiwnął głową, przyglądając się ukształtowaniu terenu.

– Powinienem się tego domyślić. Spojrzała na niego.

– To znaczy?

– W czasach Nai Moon starano się ocalić ludzkość przed zagrożeniem ze strony półludzi i chodzących trupów, nieprawdaż?

– Tak – przyznała Samantha, nie do końca pojmując, do czego Richard zmierza.

– Gdybyś chciała coś niebezpiecznego zamknąć i odizolować, to gdzie byś to umieściła? Samantha spojrzała na północ.

– Gdzieś na pustkowie. Gdzie ludzie nigdy się nie zapuszczają. W miejscu, do którego nikt się pewnie nawet nie zbliży.

– Racja.

Wzruszyła ramionami.

– No to co zrobimy? Skoro mamy dotrzeć do muru, musimy się kierować na północ. Widziałeś to z punktu obserwacyjnego. Przegroda w luce między górami jest właśnie tam. Przestrzeń między górami nie jest zbyt szeroka i nie wygląda na to, żeby było tam jakieś przejście. Jeżeli mamy się dostać do trzeciego królestwa, musimy iść na północ, a to jedyna ścieżka wiodąca w tym kierunku, potem zaś będziemy musieli wejść w nieznanne lasy.

– I właśnie dlatego nie podoba mi się ta ścieżka. To znakomite miejsce na zasadzkę na niczego niepodejrzewającego podróżnego. – Popatrzył na zatroskaną minę Samantha. – Żeby mu ukraść duszę.

Rozmasowała ramiona, jakby zrobiło się jej nagle zimno w tym wilgotnym, lecz ciepłym powietrzu, na myśl o ludziach, którzy mogą próbować pożreć ich żywcem.

– Mają na to taką samą szansę, jak świnie na przemianę w ludzi po zjedzeniu tej odrąbanej głowy.

Richard się zaśmiał.

Patrzyła na niego wyczekująco.

– Więc co robimy? Nawet nie zaczęliśmy naszej wędrówki. Przed nami długa droga.

Richard skinął dłonią ku polu po lewej stronie ścieżki. Była to właściwie goła ziemia z rosnącymi tu i ówdzie kępami zielska. Cokolwiek tam wcześniej rosło, zostało zebrane, a grunt zaorano, przygotowując pod nową uprawę.

– Przetnijmy to pole. Może uda się nam znaleźć ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta. Jelenie i sarny często wydeptują dróżki przydatne ludziom, nie musielibyśmy się przedzierać przez gęste zarośla.

– Całą drogę? – zapytała z niedowierzaniem. – Myślisz, że moglibyśmy przejść jelenim szlakiem całą drogę na północ? Lordzie Rahlu, zwierzęce ścieżki zwykle biegną to tu, to tam. Jeleniom nie chodzi o dotarcie w jakieś konkretne miejsce. Szukają pożywienia.

Kiedy mówiła, Richard potakująco kiwał głową.

– Wiem, ale uważam, że jeśli ktoś się czai, żeby dopaść jakiegoś wędrowca, to właśnie na ścieżce. Gdyby nam się udało jakiś czas iść lasem, omijając ścieżkę, moglibyśmy na nią wrócić dalej na północy, za parę godzin,

i idąc nią, zyskać na czasie.

– Ale przecież jeśli ktoś się czai przy ścieżce, to może się kryć wzdłuż całego traktu.

– Możliwe, ale jeśli półludzie tak desperacko pożądamy dusz, toby nie chcieli, żeby ktoś inny pierwszy dopadł wędrowców wchodzących w las ścieżką. Pewnie już zrozumieli, widząc uprawne pola i zwierzęta hodowlane, że tutaj mieszkają ludzie, a z obserwacji wiedzą, że bardzo niewiele osób wędruje na północ.

– No i? Co nam z tego przyjdzie?

Richard oparł lewą dłoń na rękojeści miecza, wciąż wypatrując w terenie czegoś, co ma im sprzyjać.

– Skoro ich łupy są tak marne, to na pewno nie będą chcieli zostawić dusz innym półludziom czającym się na początku traktu. Wydaje mi się, że półludzie są niecierpliwi i każdy chce pierwszy dopaść jakąś duszę.

Samantha przemyślała to i kiwnęła głową.

– To ma sens. Drażniłoby ich, że inni mogliby pierwsi zdobyć duszę, i dlatego chcieliby wszyscy tu być, niczym wataha wygłodzonych wilków, właśnie na początku ścieżki na północ.

– I ja tak myślę. – Richard się odwrócił i popatrzył na drogę, którą tu przyszli. – Założę się, że tamten koło waszych zagród wpadł na pomysł, że mógłby się zacząć jeszcze bliżej. Pewnie pomyślał, że pierwszy zdobędzie duszę. Sprawiał wrażenie zdesperowanego, no i niezbyt bystrego. W pojedynkę nie miał szans na udane łowy.

– Więc spodziewasz się, iż inni się czają w lesie przed nami. Chciała unieść rękę, lecz Richard ją powstrzymał.

– Nie pokazuj. Jeśli są tam półludzie, to nas obserwują. Znowu się zaniepokoiła.

– Co robimy?

– Uważam, że powinniśmy ich okrążyć i wrócić na trakt dalej na północy.

– Może powinniśmy poczekać, aż się ściemni. Skoro nie chciałeś, żebym im wskazywała, gdzie zamierzamy iść, to z pewnością zobaczą też, gdzie skręcamy. Chyba że będzie ciemno.

– Bardzo rozsądna uwaga i chętnie bym poczekał do zmroku, ale z tym wiążą się dwa problemy.

– Jakie?



– Po pierwsze, niebo jest zachmurzone. To oznacza, że nie będzie poświaty księżyca ani gwiazd, co by nam ułatwiło odnajdywanie nocą drogi przez obce ziemie. To dość niebezpieczne nawet wtedy, kiedy idziesz znanym sobie traktem. W ciemnościach, na nieznanym terenie, próba przejścia przez las staje się naprawdę niebezpieczna. Wystarczy jeden błąd, żeby twoja wędrówka się skończyła. Możesz wpaść na uschnięte gałęzie i wykłuć sobie oko lub stąpnąć w dziurę i złamać sobie nogę, a nawet spaść z urwiska. Niewielkie wzniesienie wystarczy, żeby się zabić w ciemnościach.

– Mogłabym cię uleczyć, gdyby coś takiego ci się przytrafiło.

– A gdybyś to ty spadła i rozbiła sobie głowę o głaz? Samantha się skrzywiła.

– A drugi powód?

Richard zapatrzył się na pole.

– Drugi powód jest taki, że nie możemy marnować czasu. Każda chwila zwłoki może oznaczać, że umrą ludzie, których chcemy ratować.

Samantha pospieszyła za nim przez zaorane pole, przestępując bryły ziemi, żeby się nie potknąć.

– Z pewnością nie chciałam się zjawić dzień po śmierci mamy i przez resztę życia żałować, że się bardziej nie spieszyłam.

– No właśnie – potwierdził Richard, wybierając drogę przez nierówny otwarty teren ku małemu prześwitowi w lesie, który dostrzegł. Wyglądało to na sarnią ścieżkę.

Jedyny kłopot polegał na tym, że jeśli półludzie ich obserwowali, to zobaczą, dokąd oni się kierują. Czyli niewiele by na tym zyskali.

Ale na to nie było rady. I tak było to najlepsze wyjście z tej fatalnej sytuacji.

## ROZDZIAŁ 39

Kiedy tak – najciszej i najszybciej jak mogli – szli przez nierówne pole, z lasu zaczęli wychodzić półludzie. Początkowo było ich około dwunastu, ale wkrótce się od nich zaroilo.

Niepokojące było nie tylko obserwowanie, jak wychodzą z kryjówek na otwartą przestrzeń, ale i to, że tak szybko rosła ich liczba. Garstka, z którą Richard by sobie poradził, zmieniała się w tłum, który by go przygnoił liczebnością.

Zorientował się, że nie zdążą na czas do lasu. Napastnicy biegnący przez zaorane pole odetną im drogę, zanim dotrą do linii drzew.

Nie zauważył, żeby półludzie mieli jakąś broń – wyglądali jak rozszalała hałastra – biegnąc i szybko zmniejszając dystans, zaczęli wyć niczym żądne krwi demony. Richarda przeszył zimny dreszcz, wiedział, że właśnie tego pragną – ich krwi.

Nie bardzo wiedział, co robić. Większą szansę mieliby w lesie, bo na ograniczonej przestrzeni łatwiej walczyć z licznym przeciwnikiem. Kiedy jest mało miejsca, napastnicy nie mogą atakować jednocześnie i osaczyć ofiary. Za to na otwartym terenie niemal nie mieli szans. Wyjące tłumy mogły się na nich rzucić ze wszystkich stron naraz. Miecz Richarda mógł powalić pewną liczbę przeciwników, lecz nie powstrzymałby nawały wrogów.

Co więcej, atakujący byli ludźmi jedynie w ograniczonym sensie. Nie mógł się spodziewać, że będą rozumować jak zwyczajny przeciwnik. Z zapisków Nai i z własnych doświadczeń Richard wiedział, że ci „ludzie” nie obawiają się o własne życie, jak zwykły człowiek. W czasach wojny widział już oddziały wroga przypuszczające szaleńcze ataki, bez obawy przed śmiercią, ale to było co innego.

Ponieważ i tak by nie zdążyli dotrzeć do lasu, Richard zwolnił i w końcu się zatrzymał. Rozejrzał się, ale żaden z kierunków nie wydawał się dobry, bo na otwartym terenie przekłęci półludzie i tak by ich raz-dwa dogonili. Te potwory miały teraz przed sobą dusze, więc nic by ich nie powstrzymało.

Richard po raz pierwszy poczuł to, co musieli czuć Zedd, Nicci, Cara i żołnierze, kiedy gnał ku nim wyjący groźny motłoch.

Jeszcze nigdy nie stawiał czoła czemuś tak straszliwemu.

Tymczasem Samantha, zamiast panikować, zaczęła dziwnie gestykulować. Nie miał pojęcia, co ona robi. Nie poruszała rękami szybko, lecz mozolnie, jakby przesuwiała jakiś niewidzialny ciężar. Wtem zauważył, że wiatr, który się zerwał, zaczyna unosić grudki ziemi. W końcu pojął, co Samantha próbuje zrobić. Przywoływała wiatr, tworzyła epicentrum wichury.

– Możesz zrobić coś więcej? – zapytał, oceniając odległość od pędzących ku nim półludzi, szacując, kiedy horda ich dopadnie.

– Staram się – odparła, coraz szybciej wymachując rękami. Richard dostrzegł na jej czole krople potu.

Podmuchy wichru stawały się coraz silniejsze i unosiły coraz więcej grudek ziemi, słomy i trawy.

– Szkoda, że ziemia nie jest sucha! – zawołał, przekrzykując wycie rozszalałych napastników i narastający ryk wichru. – Zasłona z kurzu mogłaby dać nam czas na ucieczkę do lasu! Nie zauważyliby, co robimy!

Samantha na krótko na niego spojrzała. Dostrzegł domyślny błysk w jej oczach i leciutkie wyduęcie ust, a potem znowu wróciła do swego zadania. Teraz naprzemiennie smagała ramionami, jakby coś odrzucała.

Kiedy poczuł żar, zrozumiał, co robi. Mający dar potrafią zebrać ciepło z powietrza i je skupić, podobnie jak potrafią zestalić powietrze.

Wkrótce było tak, jakby stali przy ognisku. Samantha nie tylko zbierała powietrze w podmuchy wiatru, ale i „wyciągała” z niego ciepło, kierując je ku ziemi. Richard widywał czarodziejki i Zedda, którzy robili to samo albo z kolei usuwali ciepło, żeby zamrozić wodę.

Żar był na tyle odczuwalny, by zdezorientować nadbiegającą hordę, toteż półludzie zwolnili szaleńczy pęd. Niektórzy zaczęli osłaniać oczy przed niesionymi ku nim przez wicher grudami ziemi, a inni tarli oczy, starając się je oczyścić z kurzu.

Narastający żar pozbawił ziemię wilgoci i niemal natychmiast wzbiły się tumany pyłu, tworząc zasłonę.

Część półludzi zaczęła się rozbiegać na boki, próbując znaleźć drogę przez ścianę pyłu i śmieci, ale Samantha się zorientowała i znowu zaczęła zataczać kręgi rękami nad głową. Gorące podmuchy wiatru i kurz zaczęły wirować. Samanthę i Richarda otoczyła ściana pyłu, coraz szybciej wirując

wokół nich, wzbijając coraz więcej ziemi i traw; wkrótce stali w oku ryczącej burzy.

Richard nic nie widział. Wiedział, że w takim razie półludzie też go nie widzą.

Orientował się, gdzie zaczyna się jeleni trakt. Miał to zapisane w pamięci, chociaż już nie widział tego miejsca. W parę chwil stracił z oczu las oraz zdezorientowanych półludzi, miotających się bezładnie, próbujących się do nich dostać przez zasłaniającą ich ścianę kurzu.

Pył utworzył wokół Richarda i Samantha gęstą zasłonę, która całkowicie ich odgrodziła i przytłumiła światło. Wewnątrz wirującego leja zapanował zmrok ciemniejący z każdą chwilą. Samantha wciąż wymachiwała rękami nad głową, utrzymując podmuchy wichru.

Kiedy zrobiło się mroczno i Richard nie mógł dostrzec ani jednego półczłowieka, ledwo widział uniesioną przed twarzą własną dłoń, pochylił się ku Samancie, żeby go usłyszała przez ryk wichru.

– Możesz iść, kiedy to robisz?

Obejrzała się na niego, spięta i skoncentrowana.

– Nie wiem! – przekrzyczyła hałas.

Z jej miny wywnioskował, że nie sądzi, by mogła to zrobić, chociaż wie, że powinna spróbować. Nie było wątpliwości, że to dla niej ogromny wysiłek. Richard wiedział, że muszą tylko dotrzeć do drzew, tak by półludzie nie widzieli, dokąd się kierują, a będą mieli szansę.

Nagle coś przyszło mu na myśl. Pochylił się i przysunął do dziewczyny.

– Nie przestawaj, Samantha! – krzyknął.

Wicher wył tak, że Richard nie słyszał już wrzasków żądnych krwi półludzi. Zaskoczona Samantha obejrzała się na niego. Nie mogła marnować energii na odpowiedź, po prostu kiwnęła głową. A Richard ujął ją w pól i podniósł.

– Nie przestawaj! Przedostaniemy się do lasu!

Samantha zataczała kręgi rękami, kiedy ją podnosił. Wicher wzbijał kurz, osłaniając ich, a Richard posadził sobie szczupłą dziewczynę na ramieniu. Ruszył biegiem, mocno ją trzymając w talii, żeby się nie zsunęła.

Wiedział, że musi być coraz bardziej zmęczona, ale nie spowolniła ruchów i się nie skarżyła. Utrzymywała wokół nich zasłonę z kurzu i źdźbeł wirujących w szalejącym nad polem wichrze. Richard nie miał pojęcia, na

jakim obszarze wieje wicher, lecz wiedział, że są osłonięci – a tylko to się liczyło.

Zanim zrobiło się zupełnie ciemno, zdążył dostrzec, że nie był to pojedynczy wir powietrza, lecz potężny huragan nad sporą połacią pola, spowijający hordę póludzi wybiegających z lasu.

Wewnątrz wirującej chmury pyłu było parno i gorąco. Richard ledwo mógł oddychać w tym żarze. Pył zatykał mu nos, utrudniając oddychanie. Ale nie zwolnił. To była ich jedyna szansa.

Biegł, póki nie usłyszał, jak kurz i źdźbła uderzają w ścianę drzew. Słyszał, jak odbijają się od wilgotnych pni, jak wicher porywa i unosi leśną ściółkę, a gałęzie biją o siebie w wichurze i pękają.

Nagle dostrzegł jelenią ścieżkę i rzucił się w tamtą stronę bez wahania, skoczył głębiej w las, trzymając na ramieniu wymachującą rękami Samanthę, która ciągle przyzywała wicherę.

## ROZDZIAŁ 40

Kiedy wbiegli do lasu, musiał zdjąć Samanthę z barku, bo się bał, że uderzy w jakiś konar i złamie kark. Trzymał ją teraz przewieszoną przez ramię. Sam musiał się pochylać w biegu, żeby nie uderzyć o niskie gałęzie i młode drzewka pochylone nad ścieżką. Jelenia dróżka nie była pozbawiona przeszkód, ale za to wystarczająco szeroka. Kiedy tak biegł, młode drzewka smagały go po ramionach.

Samantha wreszcie przestała gorączkowo machać rękami. Zwiśla bezwładnie, ciężko dysząc, wyczerpana. Wiedział, że wysssało to z niej wszystkie siły.

Teraz jego zadaniem była ucieczka przed hordą ścigających ich pólludzi. Nie sądził, by widzieli, dokąd pobiegli, ale uważał, że mogą się tego domyślić. Spodziewał się, że lada chwila się pokażą.

Przez śmigające po bokach gałęzie, krzaki i zieleń Richard dostrzegł jednego półczłowieka. Wyglądał nieco lepiej niż ten, któremu uciął głowę. Gdy tylko zauważył Richarda i Samanthę, wybiegł na ścieżkę z lewej strony. Kiedy się zbliżył, wyszczerzył zęby. Richard zauważył, że paru brakowało. Zaczął kłapać szczękami, spodziewając się, że wgryzie się w ciało i wyszarpije jego kęs.

Gdy tylko tamten znalazł się wystarczająco blisko, Richard położył mu dłoń na potylicy i wykorzystał impet, żeby go pchnąć. Wyższy od tamtego i rozpędzony, z Samanthą pod prawym ramieniem, popchnął go tak mocno, że zmienił kierunek jego ruchu i niemal go przewrócił.

A kiedy zbliżyli się do drzewa, mocno wbił głowę tamtego w gruby pień, prosto na kikut odłamanej gałęzi. Uderzenie było tak potężne, że Richard poczuł, jak głowa tamtego pęka niczym melon uderzający o kamień. Płynnym ruchem, nie zwalniając biegu, puścił napastnika. Ten już nie będzie ich gonić.

Przebiegł jeszcze trochę i przystanął, żeby nasłuchiwać, czy pościg jest blisko. Dyszał, łapiąc oddech, i pospiesznie oceniał sytuację. Starał się oddychać jak najciszej, żeby nie zakłócać innych dźwięków. Samantha uniosła jego ramię, chciała, żeby ją postawił, więc opuścił ją na ziemię.

Pochyliła się, gęste czarne włosy okalały jej twarz; wsparła dłonie na

kolanach i ciężko oddychała, dochodząc do siebie po trudach przywoływania wichury.

– To było świetne – szepnął do niej Richard.

Chciewie łapiąc oddech, mogła jedynie skinąć głową. Pozwolił jej odzyskiwać siły, a sam nasłuchiwał odgłosów pogoni.

Usłyszał, jak w oddali przedzierają się wśród drzew. Brzmiało to, jakby setki ludzi pędziły przez las. Chociaż byli jeszcze dość daleko, wkrótce dopadną swoje ofiary.

– Dasz radę biec czy mam cię nieść? – zapytał.

W odpowiedzi chwyciła go za rękę i ruszyła truchtem. Szybko ją wyprzedził i niemal ciągnął za sobą, gnając jelenim traktem. Strach wziął górę nad zmęczeniem i Samantha zaczęła mu dotrzymywać kroku. Ścieżka wiła się przez las, omijając drzewa oraz strome wzniesienia i spadki, toteż nic nie utrudniało im biegu. Była na tyle szeroka, że mogli utrzymywać dobre tempo.

Wyglądało jednak na to, że choćby biegli nie wiem jak długo, półludzie wciąż ich ścigali i byli coraz bliżej. Spostrzegł, że chociaż większość nadciągała od prawej strony, to niektórzy gnali od strony pola.

Wiedział, że musi ich jakoś spowolnić, żeby móc zniknąć wraz z Samanthą. Tyle że nie miał pojęcia jak. On był jeden, a odgłosy wskazywały, że ścigają ich setki. Wiedział, że w lesie mógłby jakiś czas z nimi walczyć, lecz w przypadku takiej ich liczby byłaby to przegrana walka.

– Skąd wiedziałaś, jak to zrobić? – zapytał Samanthę.

– Mama mnie nauczyła tej sztuczki z wiatrem. – Łapała powietrze, kiedy ją ciągnął za sobą po większej stromiźnie.

– A żar, żeby osuszyć ziemię?

– Nie wiem. Pewnie sama na to wpadłam z desperacji. Uśmiechnął się do niej.

– Wymyśliłaś magię?

Zadyszana odwzajemniła uśmiech.

– Na to wygląda.

– A znasz jakieś magiczne sztuczki, które by ich spowolniły, żebyśmy mogli zniknąć w lesie?

– Wybacz, lordzie Rahlu, ale już niczego innego nie umiem.

Richard skinął głową i przyspieszył. Drzewa wokół nich stawały się

większe i nie tak gęste, zarazem warstwa ściółki była cieńsza, bo krzewy nie mogły rosnąć w takim cieniu. Mroczne Ziemie i tak nie zaznawały wiele słońca, lecz na dnie cichego lasu, pod ogromnymi sosnami, było jeszcze ciemniej. Łatwiej się im biegło, lecz łatwiej było ich dostrzec w tak rzadkim lesie.

Richard pierwszy ich zauważył – dziesięciu lub dwunastu półludzi w łachmanach, gnających przez las, przeskakujących przez głazy i gnijące pnie, starali się przeciąć drogę jemu i Samancie. Im bardziej zagłębiali się w las, tym bardziej się stawał przejrzysty. Olbrzymie sosny nie miały niskich konarów. Potężne pnie stały w rozłożystych kępach paproci, nad strumieniami, wśród skalnych występów. Im dłużej biegli, tym bardziej kamienista stawała się ziemia i grubsze pnie drzew.

Od czasu do czasu musieli przeskakiwać kamienie sterczące spod ściółki. Ukształtowanie terenu ich spowalniało, lecz półludzie – wciąż dość daleko, na bardziej płaskim gruncie – mogli biec szybciej i zmniejszać dystans.

Co więcej, tamci pędzili na łeb na szyję, na nic nie zważając, gnani szaleńczym pragnieniem pochłonięcia duszy. Richard zobaczył, jak jeden z nich uderzył w drzewo, odbił się i upadł. Inny się potknął, przeskakując przez zwalony pień, i już się nie podniósł. Jeszcze inny dostał konarem w pierś. Zbiło go to z nóg i z głuchym łomotem poleciał w tył na głaz. Od czasu do czasu któryś trafiał stopą w zagłębienie lub zaczepiał o leżącą na ziemi gałąź i łamał nogę.

Lecz miało się wrażenie, iż każdego, który upadł, zastępuje tuzin innych, dołączając do pościgu.

Richard gorączkowo starał się wymyślić sposób na spowolnienie ich lub takie wyprzedzenie, żeby mogli z Samanthą zniknąć w dziewiczym lesie. Ale nic nie przychodziło mu na myśl. Sztuczka z wiatrem, którą Samantha z takim powodzeniem wykorzystywała na otwartym polu, w lesie nic by nie dała. Zdezorientowałyby i przysporzyłyaby trochę kłopotów ścigającym, ale by ich nie powstrzymała.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Popatrzył na biegnącą obok niego Samanthę. Musiała robić dwa–trzy kroki na jeden jego; zdawała się frunąć nad ziemią, czasem nawet jej nie dotykała.

– Jak zrobiłaś tę sztuczkę ciepłem?

– Po prostu zebrałam ciepło z powietrza – odparła, trochę zdziwiona



pytaniem. – To było całkiem łatwe.

– Mama cię tego nauczyła? Nauczyła cię, jak nagrzewać różne rzeczy? Samantha się skrzywiła.

– Nie wiem. Pewnie trochę tak. Kiedy dorastałam, uczyła mnie wielu rzeczy. Niekoniecznie trudnych i poważnych, raczej zwykłych, jak zbieranie ciepła z powietrza i umieszczanie go gdzieś.

– Nauczyła cię nagrzewać kamienie, żeby nie marznąć w zimną noc? Samantha się uśmiechnęła; w biegu starała się złapać oddech.

– Tak. Kiedy byłam mała, wkładała mi gorące kamienie do łóżka. Później pokazała mi, jak to robić, żebym mogła kiedyś ogrzać własne dzieci.

– Więc wiesz, jak ciepło z powietrza przenieść na coś? Możesz je skupić. Kiwnęła głową, kiedy na nią spojrział, zaskoczona jego tokiem rozumowania.

Richard skoczył za długą skalną półkę, unosząc ze sobą Samanthę. Ujął ją w pasie i opuścił po drugiej stronie. Przykucnął, odwrócił ku sobie jej twarz, żeby mieć pewność, iż dziewczyna będzie bacznie słuchać.

– A uczyła cię, jak sprawić, żeby drzewa wybuchły? Ze zdumieniem uniosła brwi.

– Żeby wybuchły drzewa? Nie żartujesz?

– Nie, widziałem coś takiego podczas wojny. Czarodzieje skupiali ciepło zebrane z powietrza, podobnie jak ty to zrobiłaś, żeby wysuszyć ziemię. Tyle że oni zagęszczali je w gorący punkt w pniu drzewa, jak ty w kamieniach, żeby je rozgrzać. Kiedy skupili tak wystarczająco dużo intensywnego żaru, soki drzewa w jednej chwili zaczynały wrzeć i zmieniać się w parę. Robili to tak szybko i gwałtownie, że parujące soki rozsadzały pień.

Aż otworzyła buzię.

– Naprawdę?

– Tak. Rozpryskujące się na wszystkie strony drzazgi i kawałki drewna kosiły ludzi w pobliżu. Siekały ich na kawałki. Można było powstrzymać cały szereg żołnierzy, gwałtownie zastopować atak.

– Ale ja nie wiem, jak to zrobić.

Richard wyjrzał zza skałki, a potem nachylił się ku Samancie.

– Musisz się szybko nauczyć. To może być nasz jedyny ratunek. – Ostrożnie wychylił głowę i wskazał coś w oddali. – Widzisz tę grupkę półludzi, o tam? Zatrzymali się i starają się nas wypatrzyć?

Spojrzała nad skałką.

– Tak. Widzę ich.

Richard położył dłoń na jej głowie i pchnął ją z powrotem w dół, żeby tamci jej nie zauważyli.

– Spróbuj zebrać ciepło i umieść je w pniu drzewa za nimi. Jeśli zdołasz to zrobić naprawdę szybko i wystarczająco je rozżarzysz, sprawisz, że pień wybuchnie. Widziałem, jak to robiono, Samantho. Wiem, że to możliwe. Musisz spróbować.

Na chwilę mocno zacisnęła wargi, a potem znowu wyjrzała ponad skałką. Głęboko zaczerpnęła powietrza i położyła obie ręce na skałce, kierując otwarte dłonie ku drzewu.

Mrużyła oczy z wysiłku, palce jej drżały.

Wreszcie energicznie wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze.

– Wybacz, lordzie Rahlu, ale nie potrafię. Po prostu nie mogę. Richard westchnął z rozczarowaniem i kiwnął głową.

– Wiem, że zrobiłaś, co...

Nagle ktoś przeskoczył skałkę za nimi. Zanim wylądował, Richard chwycił go za poszarpane odzienie i wykorzystał jego impet, żeby go odrzucić.

Tamten poleciał, a za nim skoczyli trzej następni.

## ROZDZIAŁ 41

Richard się poderwał, dobył miecza. Ruszył do ataku. Siłę dawał mu magiczny gniew oręza i własna furia.

Pierwszy, który go zaatakował, stracił głowę. Drugi napastnik okazał się kobietą, która z równą zajadłością pragnęła rozszarpać go zębami. Kopniakiem zbił ją z nóg, potężnym cięciem miecza odrąbał połowę głowy. Spory kawałek czaszki stoczył się ze skałki, ciągnąc za sobą pasma rozwianych włosów. Richard okręcił się w samą porę, by sparować atak kolejnej kobiety. Jednym potężnym cięciem miecza rozplątał jej żebra aż do kręgosłupa. Kiedy upadła u jego stóp, a wnętrzności buchnęły z głębokiej rany, Richard uderzył głowicą miecza w twarz mężczyzny. Potem przeszył klingą półczłowieka sięgającego po Samanthę.

Stopą zepchnął go z klingi, wolną ręką chwytając ramię Samanthy. Śmiertelnie ranny napastnik padł na skałkę, uciskając dłońmi ranę w piersi, dusząc się własną krwią.

Richard jednym ruchem podniósł Samanthę i odstawił ją na bok, kiedy skoczyli na nich dwaj następni, szponiasto zakrzywiając palce. Chwycili jedynie powietrze i upadli. Jednemu nadepnął na głowę, wbijając mu twarz w szorstki granit, drugiego raz za razem dźgał mieczem. Ten pierwszy zakrył rękami rozbitą twarz, wił się w przeraźliwym bólu.

– Uciekamy! – wrzasnął Richard do Samanthy.

Tempo oznaczało życie. Richard nie marnował czasu na walkę; chyba że nie miał wyjścia. Kiedy tylko mógł, przemykał wśród nich, unikając sięgających ku niemu łap i ciągnąc za sobą Samanthę. W biegu pozbawiał głowy każdego, kto się za bardzo zbliżył, albo odrąbywał wyciągające się ku nim ręce. Wolał nie walczyć, było ich zbyt wielu, żeby wszystkich pokonać. Bardziej interesowała go ucieczka, bo walka oznaczała ryzyko, że go powalą i dopadną Samanthę. Zdumiewało go, że półludzie atakowali, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Nie bali się jego miecza, tylko czasem się przed nim uchylali, jakby był drobną przeszkodą w ich próbach dopadnięcia Richarda. Tym łatwiej było ich siekać. Padali gęsto ze straszliwymi ziejącymi ranami albo od razu martwi. Ale było ich zbyt wielu.

Richard nie miał wątpliwości, że ich głównym celem jest dopadnięcie

kogoś, kto ma duszę. Tylko to się dla nich liczyło. Chociaż właściwie nie mieli broni – tylko niekiedy jakiś nóż, choć nie widział, żeby któryś go kiedyś dobył – to determinacja sprawiała, że byli ogromnie niebezpieczni. Ich bronią były zęby.

Kiedy atakowali, robili niewiele, żeby się jakoś osłonić, a niemal nic, żeby uniknąć śmierci od miecza. Byli zdecydowani osiągnąć swój cel. Poza tym nic się nie liczyło. Niektórym udawało się dotrzeć bliżej, kiedy Richard był zajęty innymi, lecz kiedy się zwracał przeciwko nim, stawali się łatwym łupem.

A on z radością wyświadczał im tę przysługę. Furia miecza żądała ich krwi, a jego gniew z nawiązką wystarczał, by dać mu potrzebną siłę. Chciał, żeby te potwory trzymały się z dala od niego, a jeżeli zabicie ich było jedynym na to sposobem, to powalał ich w takim samym tempie, w jakim go atakowali.

Lewą dłoń trzymał Samanthę za nadgarstek i włókł jak szmacianą lalkę, żeby pozostawała poza zasięgiem wyciągających się ku niej łap. Śmigał ponad szczytami skałek, gdy tylko wypatrzył lukę w tłumie półludzi. Uchyłał się, unikając rozcapierzonych palców; od czasu do czasu – jeśli to wystarczało – kopniakiem odrzucał z drogi mężczyzn i kobiety. Jeżeli stanowili większe zagrożenie i kopniak nie wystarczał, ciął mieczem. Pędził przez las, wykorzystując skalne występy jako kamienistą ścieżkę, i raził mieczem na prawo i lewo, zostawiając za sobą krwawy szlak.

Niektórzy z napastników warczeli lub ryczeli, opętani żądzą zdobycia duszy, albo krzyczeli z gniewu, kiedy chybiali Richarda i Samanthy. Ci, których przebijał lub rozplątał mieczem, raczej nie wydawali dźwięków. Nawet ci, którzy stracili rękę lub nogę, nie wrzeszczeli tak, jak robiliby to zwykli ludzie.

Kiedy nadarzyła się po temu okazja, Richard zeskoczył ze skałki na ziemię. Na równiejszym gruncie puścił się szaleńczym biegiem. Samantha, widząc to, trzymała się pół kroku przed nim. Rozumie się, że i ścigający mogli szybciej się poruszać, toteż Richard od czasu do czasu się odwracał, żeby ciąć tych, którzy za bardzo się zbliżyli. Niekiedy wystarczyło skrócić gwałtownie, żeby wybić z rytmu hordeę półludzi i dać sobie czas na zwiększenie dystansu. Niestety, atakowali też z boków, toteż i tych należało omijać lub się z nimi rozprawiać.

Richard wiedział, że musi być skuteczny. Jeśli chybi raz, skoczy w złym kierunku albo popełni jakikolwiek błąd, to ich dopadną. Jakby próbował uciec chmarze rozwścieczonych komarów.

Chlasnął mieczem przez twarz kobiety, która zniemacka skoczyła przed niego. Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że biegnący z tyłu raczej starali się chwycić Samanthę niż jego.

Dziewczyna gorączkowo poruszała dłońmi, starając się rzucić jakiś czar. Nie czyniło to żadnej szkody ścigającym, a już na pewno ich nie spowalniało. Cokolwiek chciała zrobić, najwyraźniej się jej nie udawało.

To samo opowiadał Henrik: że żadne działania Zedda czy Nicci nie były skuteczne. Samantha też miała kłopoty z użyciem daru. Wichura była jak dotąd najskuteczniejszym jej czarem.

Sądził, że osoby z darem podczas walki instynktownie sięgają po to, co znają. Lecz teraz nic się nie udawało, tylko wyczerpywało to siły Samanthy i ich spowalniało.

Właśnie dlatego chciał, żeby wykorzystała swój dar do rozsadzenia pni drzew. Na tych przeklętych półludzi magia nie oddziaływała bezpośrednio, lecz miecz lub nawet kamień trafiający ich w głowę – i owszem. Można ich było zranić, ale nie czarami. Chciał, żeby drzazgi z rozsadzonych pni drzew zabiły napastników. Uznał, że właśnie tak można by wykorzystać magię przeciwko nim.

Ale Samantha spróbowała i nie dała rady.

Richard wskoczył na szczyt pagórka, uniósł Samanthę z ziemi, okręcił i posadził za sobą. Chwycił miecz oburącz i szybkimi cięciami powalił dwóch mężczyzn i kobietę, którzy się na niego rzucili. Padli, zaciskając dłońmi ziejące rany, żeby wnętrzości nie wypłynęły. Wiedział, że będą tak leżeć przez wiele godzin, umierając w męczarniach.

Kiedy zobaczył, że zbiera się coraz więcej groźnie pomrukujących mężczyzn i kobiet, którzy coraz ciaśniej ich otaczają, odwrócił się, szukając miejsca, gdzie by się mogli bronić. W ten sposób nie mogli wygrać, ale możliwości gwałtownie się kurczyły.

Wskazał kierunek okrwawionym ostrzem.

– Tam! – krzyknął do Samanthy. – Wejdz między tamte skały! Tak głęboko, żeby nie mogli cię dosięgnąć!

Samantha bez wahania skoczyła w wąską szczelinę między skałkami

sterczącymi z ziemi. Była tak szczupła, że mogła się całkiem głęboko wcisnąć w rozpadlinę. Miał nadzieję, że – przynajmniej na krótko – znajdzie się poza zasięgiem łap pólłudzi, a on zyska czas na odparcie najbliższych napastników.

Wiedział jednak, że to ich długo nie uchroni. Defensywne działania ich nie uratują. Zbyt wielu napastników napierało ze wszystkich stron. Pozostawało kwestią czasu, kiedy najmniejszy z nich wciśnie się na tyle głęboko w skalną szczelinę, że dosięgnie Samanthę i wywlecze z kryjóWKi. A wtedy rzucą się na nią z zębami i żywcem pożrą.

Na samą myśl o tym poczuł lęk. Odsunął tę okropną myśl, nakazał sobie myśleć o tym, jak do tego nie dopuścić. Twardo postanowił, że zapewni jej bezpieczeństwo, choćby tylko chwilowo. Teraz musiał wykorzystać sposobność, która pozwalała mu przejść od obrony do ataku. Samanthę chroniła skała i mógł przez jakiś czas odpierać pólłudzi, nie musząc się o nią martwić.

Wiedział, że to nie wystarczy, żeby ich ocalić, ale opóźni nieuniknione, dając mu czas na wymyślenie lepszego rozwiązania. Kupi im trochę czasu. Ile – zależało od niego, od tego, jak długo da radę walczyć i jaki będzie groźny.

Już było oczywiste, że siekanie na kawałki nie wzbudzało w pólłudziach strachu. Absolutnie niczego się nie bali. Chcieli tylko jednego. Nie dadzą rady im uciec, więc nie ustępował pola i bez wytchnienia siekł ich mieczem.

Walcząc, usilnie się starał coś wymyślić, ale bezskutecznie. Zresztą naprawdę nie miał na to czasu. Wszystkie siły pochłaniało robienie mieczem, nieustanne zabijanie nacierających ze wszystkich stron pólłudzi.

Stał na wysokim wzniesieniu i wyzwolił w sobie całą furję swojego gniewu, skierował go na rojących się wokół napastników. Wykorzystywał pnie drzew i skały, uniemożliwiając tamtym bezpośredni atak. Bezlitośnie siekł tych, którzy znaleźli się w jego zasięgu. Musiał walczyć z za rosnących stosów zakrwawionych ciał.

Tocząca się właściwie w jednym miejscu walka była rzezią. Kończyny, głowy, kawałki ciał zaścielały ziemię. Niektórzy z powalonych, wciąż jeszcze żywi, wili się w szoku i męce. Skałę plamiły wymiociny, mocz, krew i wnętrzności.

Richard musiał uważać, żeby się nie pośliznąć, kiedy siekł mieczem i

uchylał się przed zażartymi atakami. Ziemię dookoła zrosił krwawy deszcz. Krew skapywała z liści drzew i spływała po skałach. Odcięte palce rąk, które próbowały chwycić klingę, zaścielały skałę niczym czerwone jesienne liście.

Ramiona Richarda zaczęły się robić ciężkie jak z ołowiu. Nieustanne robienie mieczem męczyło. Nie miał czasu na odpoczynek. Przerwa oznaczałaby niechybną śmierć.

Przypomniawszy sobie ból ukąszeń, kiedy starali się zębami wyszarpać skrawek ciała. Owo wspomnienie i przerażenie wizją tak straszliwego końca – nie tylko jego, ale i Samantha – jeszcze bardziej rozpałało w nim gniew, dawało siły do dalszej walki.

Trupy i fragmenty ciał zalegały splątanymi stosami. Atakujący wpadali na nie i przewracali się, zanim udało im się dotrzeć do Richarda. Ślizgali się na krwi i wnętrznościach. Łatwiej było ich zabijać, kiedy upadali na ziemię. Kiedy jeszcze żywi, podnosili się z trudem, byli wysmarowani krwią trupów i Richardowi trudno było się zorientować, kogo już ciał skutecznie, a kto nadal mógł być groźny – toteż siekł wszystkich bez różnicy.

Uniesienie ręki, żeby przedramieniem osłonić twarz – to była jedyna strategia obronna półludzi. Tracili ramię, a potem głowę. Śmiesznie łatwo było zabijać tak zdeterminowanych wrogów, ale w końcu ogromna liczebność da im przewagę, a wtedy to on i Samantha zginą.

Nagle usłyszał, że Samantha krzyczy z przerażenia, i obejrzał się. Zobaczył grupkę półludzi stłoczonych wokół szczeliny w skale; wszyscy naraz wtykali tam ręce, starając się choć czubkami palców pochwycić dziewczynę i wywlec z kryjówki.

Z dziką energią zamachnął się mieczem, odrąbując od razu pół tuzina rąk, jakby ścinał kępę krzaków. Kiedy uderzył wszystkich wokół kryjówki Samantha, zobaczył w mroku jej szeroko otwarte oczy i płynące po policzkach łzy przerażenia.

Wyciągnęła ręce w błagalnym geście, jakby chciała, żeby do niej przyszedł. Jej rozpacz niemal złamała mu serce.

Popatrzył na tłumy nadciągające ze wszystkich stron. Nie mógł już nic zrobić.

Zanurkował w skalną szczelinę, zasłonił Samanthę własnym ciałem. Ustawił się do niej plecami. Poczł, jak go obejmuje i mocno do niego przywiera.

Nastawił miecz ku wlotowi, próbując odwlec nieuniknione, i czekał na kres.



## ROZDZIAŁ 42

Poczuł, jak tężeją obejmujące go ramiona Samantha.

– Przepraszam – udało mu się wyszeptać przez ramię. – Tak mi przykro, Samantho.

Było mu wstyd, że tak łatwo dał się namówić i pozwolił jej iść, że zawiódł Kahlan, zniweczył wysiłki Nai, Magdy i Merritta, że zawiódł wszystkich, których jako lord Rahl miał chronić.

Nigdy nie powinien był zabierać ze sobą Samantha. Była strażniczką i miała ostrzegać innych. Wypełniła swoje zadanie. Nie jej obowiązkiem była walka ze złem, przed którym miała ostrzec. To on miał zakończyć prorocstwo i położyć kres zagrożeniu. To było jego zadanie, nie jej.

Zedd zawsze mu mówił, żeby myślał o rozwiązaniu, a nie o problemie. Starał się, ale tym razem mu się nie udało. Zawiódł. Chciałby myśleć, że czasem po prostu rozwiązanie nie istnieje, ale to by było zwalnianie siebie z odpowiedzialności, która na nim spoczywała. Uznać, że nie ma rozwiązania, to się poddać.

Wszystko na nic. Bez względu na to, jak usilnie próbował, nie mógł skuteczniej walczyć i odeprzeć nieprzebranych tłumów półludzi pragnących rozedrzeć ich na strzępy i ukraść im dusze. Nawet Zedd, Nicci, Cara i Ben, dowódca doborowych żołnierzy Pierwszej Kompanii, nie byli w stanie powstrzymać przeciwnika mającego tak miażdżącą przewagę.

No ale to go nie usprawiedliwiało. Był lordem Rahlem. Tak naprawdę nie miało znaczenia, że oni zawiedli. Liczyło się tylko to, że on nie dał rady.

Baczenie wpatrywał się w otwór w skale. Widział ręce wyciągające się w mrok, po niego. Palce darły powietrze, próbując go chwycić za ubranie. Niektórzy łapali miecz i w ten sposób tracili dłonie.

Widział zarys głodnych ust, warczących w ohydny głódzie. Szczerzyli zęby do tego, czego tak desperacko pragnęli, żądni ludzkiego ciała.

Zatem wszystko się kończyło, zanim wyprawa ratunkowa na dobre się zaczęła. Nawet nie wyszli dobrze poza Stroyzę. Nie przedostali się przez pola do lasu.

– Nie smuć się – szepnęła Samantha za jego plecami. – Nie przepraszaj, lordzie Rahlu. Miałeś pomysł. To nie twoja wina, lecz moja.

– Co takiego?

Położyła mu dłonie na głowie, pochyliła ją.

– Nie podnoś się – wyszeptała jakby z jakiegoś odległego, odrealnionego miejsca.

Richard zmarszczył brwi i już miał zapytać, o co chodzi, lecz jej szczupłe palce mocniej przytrzymały mu głowę.

A potem ziemią targnęła potężna eksplozja.

Chwilę później trafiła go w pierś fala uderzeniowa. Nie mógł zlokalizować jej źródła.

Jeden po drugim nastąpiły trzy kolejne ogłuszające wybuchy, niemalże zlewając się w jeden. Przerażliwy huk brzmiał tak, jakby błyskawica uderzyła w drzewo tuż obok. Wzdrygał się przy każdym grzmocie. Od tak bliskich wybuchów dzwoniło mu w uszach.

Po krótkiej chwili ciszy znowu rozległy się eksplozje. Dokoła huk wybuchów wstrząsał ziemią niczym pioruny rozszałej burzy. Powietrzem targały fale uderzeniowe. Tak mocno trzęsła się ziemia, że Richarda rozboleła głowa. Z góry osypywał się kurz i niewielkie kamyki.

I znowu króciutka przerwa w ogłuszającym huku, a potem znowu grzmiące wybuchy, następujące po sobie tak szybko, że przypominało to Richardowi dźwięk rozdieranego płótna.

Chwila przerwy i kolejna seria wybuchów niosła się miarowym echem, jeden po drugim, jakby młot niebiańskiego kowala walił w kowadło świata. Siła uderzeń wstrząsała powietrzem.

Richard słyszał uderzenia w skałę nad głową i zaczęła się lawina. Coś uderzało w skałę ze zdumiewającą gwałtownością, inne ostre uderzenia brzmiały jak trzask bicza, jeszcze inne tak, jakby mogły rozbić skałę nad głową.

Potem zaczęły się osypywać kawałki drewna. Spadały drzazgi, niektóre nie większe od krawieckich igieł; kłody wielkości wiosła uderzały o skałę, odbijały się i znowu spadały. Richard zobaczył, że wiele z nich było pokrytych krwią. Do niektórych przylgnęły kawałki zmiażdżonego ciała.

Słyszał, jak konary drzew łamią się pod wielkim ciężarem; a potem trzask pękających grubych pni, kiedy drzewa waliły się na ziemię, rozdierając dach lasu. Ziemia dygotała, kiedy uderzał o nią taki olbrzym. Dokoła dudniły grzmoty upadających na ziemię drzew.

Jeden z olbrzymich pni walnął w skałę, pod którą się chowali. Richard miał wrażenie, że mógłby ją rozłupać. Na szczęście pękł na pół pod własnym ciężarem, nad przycupniętymi Richardem i Samanthą. W całym lesie padały drzewa, odłamując przy tym wielkie konary. Ziemia dygotała od huku niosącego się echem po lesie.

Wybuchy trwały nieprzerwanie; krąg eksplozji zaczął się coraz bardziej rozszerzać; grunt dygotał przy każdym grzmocie, aż wszystkie te wstrząsy zlały się w jeden i zaczęło to przypominać trzęsienie ziemi. Na tyle potężne, by mogło powalić góry.

Miało się wrażenie, że to trwa bez końca, ale Richard wiedział, że wszystko się rozegrało w jednej chwili, w gwałtownej, śmiercionośnej chwili coś zdewastowało las z niesłychaną i bezlitosną siłą.

Eksplozje skończyły się równie nagle, jak się zaczęły.

Drzewa jednak nadal padały; każdy kolos łamał po drodze konary sąsiadów, a nawet rozszczepiał ich pnie, które też się przewracały. Richard słyszał przytłumiony trzask korzeni pękających pod potężnym naciskiem, kiedy przewracające się drzewa upadały na inne. Ziemia dygotała.

Wielkie odłamki spadały jeszcze długo. Pnie drzew, zanim runęły, rozdzierały długie pęknięcia. Odgłosy powoli ustawały i wreszcie ostatnie drzewo upadło w pobliżu, wstrząsając ziemią.

Wreszcie zrobiło się cicho, ale Richard się nie poruszył. Nie był pewny, czy na pewno już po wszystkim. Samantha wciąż trzymała rękę na jego głowie.

Powoli cofnęła dłoń.

– Lordzie Rahlu? – spytała cichym, zdławionym przez łyzy głosem. – Żyjesz? Nic ci się nie stało? Na drogie duchy, proszę, żyj.

Richard zamrugał, podnosząc głowę. Musiał strząsnąć z siebie stopy okrwawionych odłamków drewna. W wąską skalną szczelinę, w której się ukryli, nasypało się takie mnóstwo rozmaitych szczątków, że niemal ich przykryły.

– Żyję. – Poruszył rękami. – Chyba nic mi nie jest. A tobie?

Wysunął się z kryjówki na tyle, by móc się odwrócić i spojrzeć na dziewczynę. Łzy spływały jej po policzkach. Wyglądała na strasznie przygnębioną i przeraźliwie wyczerpaną. Udało się jej kiwnąć głową.

– Też nic.

Richard strząsnął paprochy z ostrza, a potem się rozprostował, wstał i szybko się rozejrzał, sprawdzając, czy nic im nie grozi ze strony półludzi – chociaż naprawdę nie spodziewał się żadnego zobaczyć.

Miało się wrażenie, że świat życia został zmieciony.

Gęsty las tworzący nad ich głowami gruby baldachim, zasłaniający niebo i światło dnia, został zniszczony. W górze widać było duży kawał nieba zakrytego ołowianymi chmurami. Czuł zapach świeżego, wilgotnego drewna, niczym z przepiłowanych kłód. Mieszał się z nim dławiący odór krwi.

Wokół ich kryjówek nie stało ani jedno drzewo. Wszystkie leżały na ziemi.

Tu i tam sterczało parę dziwnie popękanych pni. W innych miejscach padające drzewa wyrwały korzeniami płyty leśnego podłoża.

To był obraz tak straszliwego zniszczenia, że Richardowi trudno było uwierzyć w to, co widzi. Wszędzie leżały pnie, niczym setki połamanych kosturów rzuconych na ziemię przez olbrzymia. Podłoże pokrywała gruba warstwa potrzaskanego drewna i drzazg sterczących na wszystkie strony.

Wszędzie – pod pniami drzew, olbrzymimi konarami i gałęziami, i odłamkami wielkości człowieka – leżały zakrwawione, poszarpane ciała. Nikt nie mógł przetrwać tak wścieklej nawały ostrych odłamków drewna niesionych siłą tak licznych potężnych eksplozji.

Richard, wodząc wzrokiem po tym obszarze zniszczeń, nie dostrzegł najdrobniejszego ruchu.

Półludzie, pochwyceni w gwałtowną falę wybuchów, zostali rozszarpani na strzępy. Krwawe ochłapy, które widział, przypominały mielone mięso.

Richard odwrócił się ku Samancie. Patrzyła na niego z mroku skalnej szczeliny, jakby niepewna, czy chce wyjść czy nie.

Wyciągnął do niej ręce. Kiedy to zrobił, wyskoczyła z wąskiej szczeliny i pomknęła w jego ramiona, w końcu wybuchając płaczem.

## ROZDZIAŁ 43

– Już dobrze, Samantho – powiedział łagodnie, gładząc gęste czarne włosy i tuląc jej głowę do piersi. – Już po wszystkim. Jesteśmy bezpieczni.

Rozdzierająco szlochała.

Uspokajał ją, powtarzając, że są bezpieczni.

– Przepraszam – wyszlochała. Richard zmarszczył brwi.

– Za co?

– Bo przeze mnie omal nas nie zabili.

– O czym ty mówisz?

Popatrzyła na niego wielkimi, ciemnymi, pełnymi łez oczami.

– Pozwoliłeś mi pójść, bo powiedziałam, że będę mogła ci pomóc. Przekonałam cię, że mnie potrzebujesz, bo mam dar. A kiedy najbardziej mnie potrzebowałeś, powiedziałeś mi, co powinnam zrobić. Nawet mi wytłumaczyłeś, jak rozsadzić pnie drzew. A ja cię zawiodłam. Mogli cię zabić setki razy, kiedy walczyłeś z tymi bestiami, gdy próbowaliśmy uciec. Nic nie zrobiłam, żeby ci pomóc. Jesteś wybrańcem. Wiedziałam to od samego początku i nie udało mi się zrobić tego, co obiecałam i o co prosiłeś. Omal cię nie zabili, a przecież to ty masz nas wszystkich ocalić. To byłaby moja wina, gdyby świat życia przestał istnieć.

Richard pokręcił głową.

– To nieprawda, Samantho. Robiłaś, co w twojej mocy.

– Wcale nie.

– Jak to?

Zamilkła, szukając słów.

– Bałam się. Bałam się zrobić to, o co prosiłeś. Bałam się, że to sknocę, że zawiodę ciebie i wszystkich. No i nie mogłam tego zrobić.

Richard uśmiechnął się, gładząc jej włosy.

– Nie zawiodłaś, Samantho. – Zatoczył krąg ramieniem. – Powstrzymałaś zagrożenie. Otarła oczy i w końcu się rozejrzała. Zamrugła ze zdziwienia.

– Ja to zrobiłam?!

– Na pewno nie ja – powiedział Richard.

– Dokładnie tak, jak mówiłeś – wyszeptała do siebie. – Uratowałabym nas, gdybym zrobiła to, co powiedziałeś.

– Przecież mówiłaś, że próbowałaś, ale nie mogłaś. – Richard był zdumiony. – To dlaczego w końcu się udało?

Samantha jakiś czas wpatrywała się przed siebie.

– Kiedy siedziałam w tym zagłębieniu – powiedziała na koniec – rozdygotana i przerażona, że zginę, że ci przekłęci półludzie mnie wywloką, rozedrą zębami i żywcem pożrą, to nagle pomyślałam o mamie.

– To znaczy?

– Widziała, jak to się przydarzyło tacie. Widziała, jak te bestie, niczym stado dzikich zwierząt, szarpia zębami człowieka, którego kochała, jak pożerają jego ciało i wypijają krew. Wtedy naprawdę zrozumiałam, jaka musiała być przerażona. Potem ją uprowadzili. Potrafisz sobie wyobrazić, co sobie myślała? Jaka musiała być zrozpaczona? Jeżeli nadal żyje, jesteś dla niej jedyną nadzieją. A ja jestem jej córką, kocham ją ponad wszystko i uparłam się, żeby iść z tobą, aby ci pomagać i ją uwolnić z łap tych dzikusów. W tobie jedyna nadzieja mojej mamy, a ja się kryłam w dziurze, trzęsąc się jak osika.

– Nie powinnaś się wstydzić, że się bałaś – pocieszył ją Richard. – Ja też się bałem. Spojrzała na niego.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Nie można się nie bać w takiej sytuacji. To normalna ludzka reakcja. A bałem się także dlatego, że myślałem, iż to ja zawiodłem wszystkich.

Położyła mu na piersi drobną dłoń.

– Przecież wzięłaś mnie ze sobą, żebym ci pomagała. Dałaś mi szansę. Miałaś pomysł, jak nas wydostać z tarapatów, i powiedziałaś mi, co robić. Wiedziałaś, czego nam trzeba, bo jesteś wybrańcem. To ja zawiodłam.

Richard powiódł wzrokiem po zniszczeniach.

– Wcale tak nie uważam, Samantho. Przecież się nie poddałaś. Podwoiłaś wysiłki i zrobiłaś, co trzeba. Ochroniłaś mnie. Powstrzymałaś zagrożenie. Tylko to się liczy.

Uśmiechnęła się z ulgą, a może i z odrobiną dumy, rozglądając się wokół.

– Nie wiedziałam, że to wyrządzi takie szkody. Nigdy mi to nie przeszło przez myśl. Richard spoważniał, patrząc na ogrom zniszczeń.

– Muszę ci powiedzieć, że jeszcze nigdy nie spotkałem czarodziejki, która by potrafiła narobić takiego spustoszenia. Ale moim zdaniem coś mniejszego by nie wystarczyło, żeby nas uratować.

Spojrzała tam, gdzie on, przez powalony las.

– Nigdy nie sądziłam, że potrafiłabym zrobić coś takiego. Nie wiedziałam, że dar może być taki niszczycielski.

– Destrukcja w dobrej sprawie to chwalebny czyn. Uśmiechnęła się na ten dziwny komplement.

– Skoro próbowałaś i nie dałaś rady, to co się stało potem? – drążył. – Jak nagle mogłaś to zrobić?

– Rozzłościłam się – powiedziała cicho, jakby się tego wstydziła.

– Rozzłościłaś się? Potaknęła.

– Siedziałam w dziurze, myśląc, że lada chwila umrę, a potem pomyślałam o mamie. I rozzłościłam się na siebie za to, że zawodzę siebie, ją, ciebie i wszystkich. Byłam taka zła. A jeszcze bardziej niż na siebie wściekałam się na tych półludzi. Doprowadzało mnie do furii, że skrzywdzili tak dobrego człowieka jak mój ojciec, że skrzywdzą też innych. Byłam wściekła na to, co chcą nam wszystkim zrobić. Nasze dusze należą do nas. Co im daje prawo do naszych dusz?

– Nie sądzę, Samantho, że naprawdę mogą nam ukraść dusze. Naja też tak nie uważała.

– Tak, ale chcą to zrobić. Taki mają zamiar. I próbują. Co z tego, że nie mogą, jeżeli przy tym zginiemy. Mordują niewinnych ludzi, próbując im odebrać dusze. Czemu uważają, że mają prawo do czyjegoś życia?

Richard mógł jedynie potrząsnąć głową.

– Tak się gotowałam z wściekłości, że wreszcie się to przelało. Ponad wszystko chciałam zetrzeć ich ze świata życia. I kiedy się tak wściekłam, myśląc o tym, jak się im odpłacić za to, co robią, uczepiłam się tego, co mi mówiłeś o drzewach. Pozwoliłam, żeby gniew kierował się ku tym, którzy powodują tyle cierpienia i śmierci. Wtedy uświadomiłam sobie, że zaczynam wyczuwać otaczające nas drzewa.

– Jak to? – zapytał Richard.

– Sięgnęłam ku nim myślą, wyczuwając, gdzie stoją, i zogniskowałam wrzący we mnie gniew, umieszczając w pniach punkt żaru, tak jak mówiłeś. Gdy się bałam, nie potrafiłam tego zrobić, ale później się rozzłościłam.

Richard przez chwilę patrzył w jej duże oczy.

– Tak działa mój dar: poprzez gniew.

– Naprawdę? Potaknął.

– Czasem wolałbym bardziej świadomie kontrolować dar, móc go wykorzystywać do różnych zadań, ale obawiam się, że dar czarodzieja wojny działa odmiennie. To gniew lub nagła potrzeba go przyzywa, daje mu moc. Twój dar najwyraźniej działa i tak, i tak: poprzez zamiar i poprzez gniew.

Znowu się rozejrzała.

– Mimo to nigdy bym nie pomyślała, że będę w stanie czegoś takiego dokonać. Nie sądziłam, że zdołam przyzwać taką moc, by spowodować spustoszenie. To jest... bo ja wiem... przerażające.

– Uważam, że włożyłaś w to tyle mocy, ile było trzeba. Łatwo jest podnieść coś lekkiego.

Dźwignięcie ciężaru wymaga więcej wysiłku. Sądzę, że w tym przypadku mniej mocy by nie wystarczyło i zło by zwyciężyło. Twój umysł tak pokierował darem, by sprostał zadaniu, podobnie jak bardziej byś wyteńczyła mięśnie, żeby podnieść coś ciężkiego. Nie musisz o tym myśleć, umysł i ciało same się dostosowują do rangi zadania. Powiedziałbym, że tak się właśnie stało. – Powiódł wzrokiem po oczyszczonej przestrzeni. – I właśnie tego było nam trzeba.

Ogrom zniszczeń był wręcz zdumiewający i Richard potrafił zrozumieć lęk Samantha na widok tego, co zrobiła. Widział mnóstwo konsekwencji działań ludzi mających dar, lecz nie pamiętał, żeby kiedyś był świadkiem czegoś podobnego.

Przypomniawszy sobie, że Ester trochę się bała Samantha. Dziewczyna też wspomniawszy, że ludzie się boją jej i jej krewnych jako mających dar. Z pewnością dotyczyło to wszystkich osób z darem. Większość nieumiejących czarować boi się tych, co potrafią. Obawiają się nieznanego, tego, co mogliby zrobić mający dar.

Richard przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Kahlan i swoje zdziwienie, kiedy się dowiedział, jak bardzo ludzie się jej obawiali. Widział, jak drżą w jej obecności, nawet królowie. Spowiedniczka o wiele bardziej przerażała ludzi niż zwyczajna osoba z darem. Mający dar może odebrać ci życie. Spowiedniczka może odebrać ci umysł. Zgadywał, iż w gruncie rzeczy mogłaby odebrać duszę.

Z bardzo podobnych przyczyn zwykli ludzie bali się proroków. Obawiali się, co prorok mógłby zobaczyć w ich przyszłości. Bali się ich tajemnej wiedzy o nadchodzących wydarzeniach. Lecz zarazem chcieli wiedzieć, co



proroctwo o nich mówi.

Richard – tuż przed wyprawą na Mroczne Ziemie, żeby wyrwać Kahlan z łap Jit – miał kłopoty w pałacu, ponieważ władcy, którzy się zjawili na ślub Cary i Benjamina, chcieli poznać proroctwo. Uważali, że ukrywa je przed nimi, bo im nie ufa. Z tego powodu niektórzy odstąpili od niego i od wspólnoty imperium D’Hary i podporządkowali swoje ziemie i ludzi Hannisowi Arcowi, rządzącemu prowincją Fajin, w zamian za obietnicę podporządkowania się proroctwom.

Hannis Arc był władcą Mrocznych Ziem, będących częścią prowincji Fajin, Richard natomiast władał imperium D’Hary, do którego należała prowincja Fajin. Hannis Arc i jego zwolennicy najwyraźniej chcieli zerwać sojusz i kierować się proroctwami.

Richard popatrzył na Samanthę stojącą pod odkrytym, mocno zachmurzonym niebem. Zaczynał na nią patrzeć innymi oczami.

Do tej pory myślał, że jest niedoświadczoną czarodziejką, dopiero zaczynającą poznawać swoją moc. Kiedy patrzył na to spustoszenie, zaczął się zastanawiać, czy nie jest kimś więcej.

Rozmyślał o Stroyzie i mieszkających tam osobach mających dar. Ciekaw był, czy w czasach Nai Moon zostawiono w wiosce mających dar, żeby byli kimś więcej niż tylko strażnikami, mającymi czuwać nad przegrodą. Zastanawiał się, czy mieli też poważniejsze obowiązki niż tylko

– jak początkowo sądził – ostrzec innych.

Wodząc wzrokiem po zniszczeniach spowodowanych przez tę kruchą dziewczynę, rozważał, czy w pradawnych czasach ludzie mający tak tajemnicze zdolności nie zostawili aby mającym dar w Stroyzie czegoś więcej niż tekst w mowie Początku wyryty na ścianach.

Ciekaw był, czy dali im jakieś uzdolnienia do walki. Naja napisała, że nie potrafili uporać się z zagrożeniem, toteż nie mogli wyposażyć w taką umiejętność żadnego z mających dar, lecz przynajmniej mogli dać im umiejętność walki.

Samantha z pewnością wykazała więcej zdecydowania i siły, niż się spodziewał. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie miała być kimś więcej niż strażniczką. Rozmyślał, czy aby w rzeczywistości nie jest bronią pozostawioną przez starożytnych.

Dziś z pewnością udowodniła, że może nią być.

## ROZDZIAŁ 44

Richard wyciągnął łuk ze skalnej szczeliny i zawiesił go na ramieniu. Stał na skraju skał, które ich osłoniły przed śmiercionośną nawałnicą. Zgarnął stopą grubą warstwę ostrych, zakrwawionych drzazg z górnej części korpusu półczłowieka. Niewiele z niego zostało, akurat tyle, żeby się przekonać, że i ten osobnik, podobnie jak inni, był odziany w brudne łachmany.

– Ci półludzie są inni – powiedział do siebie. Samantha patrzyła na szczątki z odrazą.

– Dlaczego tak uważasz?

Richard, pogrążony w zadumie, nawet się nie zorientował, że mówił na głos. Pokazał ręką obszar zniszczeń i ruszył z miejsca.

– Przyjrzyj się im – rzekł.

Samantha szła za nim, starając się dotrzymać mu kroku, i patrzyła we wskazane miejsca. W pewnej chwili przystanął i wskazał bezgłowe zwłoki.

– Widzisz? Wszyscy są właściwie ubrani tak samo jak ten tutaj. W gruncie rzeczy mają na sobie łachmany. Wygląda to tak, jakby wykopali trupy i zabrali im odzienie.

– Odrażające – mruknęła.

– Mężczyźni, którzy zaatakowali mnie i Kahlan, byli wyżsi niż większość tych tutaj.

– Mówisz o tych, co cię tak okropnie pokąsali?

– Tak. Tamci byli silni, dobrze odżywieni i ubrani w odzież, którą uznalibyśmy za zwyczajną. Ich ubrania niewiele się różniły od strojów mieszkańców twojej wioski. Ci tutaj są mniejsi, chudsi i wielu z nich wygląda niezdrowo. – Wskazał odcięte ramię sterczące z pobojuwiska: było pokryte otwartymi ranami i strupami. – Większość z nich wygląda na chorych. Wszyscy są niedożywieni. Sprawiają wrażenie, jakby żyli niczym zwierzęta. Chodzi nie tylko o różnicę wzrostu i stanu zdrowia. Mężczyźni, którzy mnie zaatakowali, rozmawiali. Byli stosunkowo inteligentni. Zastanawiali się nad tym, co się mogło stać, zanim na nas natrafili, i planowali, co zrobią.

– I jakie mieli plany?

– Mnie chcieli zjeść na miejscu, żeby się dostać do mojej duszy, lecz

Kahlan zamierzali zabrać ze sobą, prawdopodobnie ze względu na jej wartość handlową. – Zatoczył krąg ręką, wskazując bark z ramieniem, kilka bezgłowych tułowi, szczątki porzebijane drzazgami lub długimi jak włócznia kawałkami drewna. – Słyszałaś, żeby któreś z nich mówiło? Krzyczało coś do nas?

– Słyszałam jedynie, jak warczą i wyją – powiedziała, obejmując się ramionami. Richard potaknął.

– Więc chociaż tamci i ci tutaj byli półludźmi chcącymi ukraść nam dusze, to znacznie się od siebie różnią.

Samantha odgarnęła z twarzy burzę czarnych włosów i rozejrzała się, idąc ostrożnie za Richardem wśród szczątków. Marszcząc czoło, rozmyślała nad jego słowami.

– To dziwne, że półludzie mogą się aż tak różnić.

– No i jeszcze te zwłoki, które widziałem – powiedział, siadając na leżącym na ziemi grubym, strzaskanym pniu i przerzucając nogi na drugą stronę.

Kłoda była zbyt wielka dla Samanthy, toteż ją okrążyła.

– Jakie zwłoki?

– Towarzyszący nam żołnierze zabili wielu półludzi, a może uśmiercili ich czary Zedda i Nicci. Było ciemno i dopiero zaczynałem odzyskiwać przytomność, ale kiedy zjawiała się z odsieczą Ester wraz z innymi, trochę się im przyjrzałem. Wszyscy wyglądali tak samo i w ogóle nie przypominali ani tych tutaj, ani mężczyzn, którzy mnie zaatakowali. Dosłyszałem, jak ci dwaj mówili, że ich zdaniem to Shun-tuk.

– Shun-tuk? Jak oni wyglądają?

– Byli skąpo odziani. Jedni mieli spodnie, inni rodzaj przepasek biodrowych. Nikt nie miał koszuli, najwyżej coś, co uznałem za ozdobne kamizele, obszyte paciorkami, amuletami i talizmanami. Byli wysmarowani czymś, co wyglądało jak białawy popiół. Oczy mieli uczernione sadzą albo czymś takim. Resztę twarzy pokrywała ta substancja o mlecznej barwie, zapewne popiół drzewny. Głowy mieli ogolone. Paru z nich miało na czubku czaszki kępę sterczących włosów z wplecionymi paciorkami, zębami i kośćmi.

Samantha znowu się objęła szczupłymi ramionami.

– To brzmi przerażająco. Richard kiwnął głową.

– Wojownicy starają się nadać sobie odstraszący wygląd, a Shun-tuk z pewnością tak wyglądali.

– Powiadasz, że widziałeś trzy różne rodzaje półludzi: chorych w łachmanach, zwyczajnie ubranych mężczyzn, którzy cię napadli, i groźnie wyglądających, wymalowanych Shun-tuk.

– Otóż to. Zupełnie różni, ale to półludzie. Naja, pisząc o zagrożeniu z ich strony, nie wspomina o tym. Napisała jedynie, że konstruktorzy imperatora Sulachana ze Starego Świata stworzyli półludzi jako broń. Współczesnym Nai mieszkańcom Nowego Świata udało się zgromadzić w jednym miejscu półludzi i chodzące trupy i zamknąć ich za przegrodą.

Samantha szła za Richardem.

– Co masz na myśli?

– Że coś się wydarzyło, kiedy byli zamknięci za przegrodą, i już nie są tacy sami.

Zdziwiła się.

– A czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Richard obejrzał się przez ramię i uniósł brew.

– Według Nai niektórzy potrafili się posługiwać czarną magią. Widać było, że Samantha się zaniepokoiła.

– Ci tutaj na pewno nie. Richard przystanął.

– I dlatego się martwię. Może ci tutaj to tylko wyrzutki, padlinożercy. A półludzie zmienili się od czasów Nai, są teraz groźniejsi i lepsi w polowaniu na mających dusze niż w czasach wielkiej wojny.

Kiedy tak szli przez rumowisko, jedyną odpowiedzią Samanthy była zatroskana mina.

Po jakimś czasie dotarli na skraj obszaru zniszczeń i powalonych drzew. Dalej wciąż stało sporo wielkich drzew, które wspierały się na tych z ocalałego lasu. Richard wiedział, że drzewa mogą w końcu upaść pod naporem tak ogromnego ciężaru. W tej części lasu nadal będzie dochodzić do zniszczeń, póki słabsze drzewa wreszcie się nie przewrócą. Ten teren w końcu znów porośnie las, ale upłynie jeszcze wiele czasu.

– Ostrożnie – powiedział Richard, obchodząc kilka mniejszych drzew wspartych o leśnego olbrzyma. – Jeśli konary się złamią, mogą spaść w każdej chwili. Idź po moich śladach, aż znowu wrócimy bezpiecznie do lasu.

Wybierał drogę wśród uszkodzonych, ale wciąż stojących drzew, starając

się unikać tych, które wyglądały, jakby miały zaraz upaść, lecz nie dało się ominąć ich wszystkich. Pnie były potrzaskane – czasem drzazgi były wielkości palca, czasem większe niż noga Richarda. Wiele przechylonych drzew już nigdy nie odżyje.

– A więc to Shun-tuk mogli porwać naszych ludzi – powiedziała po namyśle Samantha. – Jak ich znajdziemy?

– Z tego, co mówili tamci dwaj, wynikało, że Shun-tuk mieszkają za przegrodą, w odległej krainie. – Richard ostrożnie zanurkował pod drzewem wyrwanym niemal z korzeniami, które unosiły połać ściółki. – Byli zdumieni, że Shun-tuk zapuścili się tak daleko. Posłyszałem też, że są oni bardzo liczni.

– Wspaniale – mruknęła pod nosem. – Powiadasz więc, że półludzie, którzy najprawdopodobniej więżą twoich przyjaciół i moją mamę, mieszkają w głębi trzeciego królestwa.

– Całkiem możliwe – powiedział Richard, wchodząc w mrok lasu. Wskazał zniszczenia, które za sobą zostawili. – Nie wydaje mi się, żeby ci mieli zwyczaj brania jeńców. Uważam, że natychmiast zjadali tych, których się im udało schwytać. Shun-tuk wydają się inni. Kierują się ogólniejszymi pobudkami.

– To znaczy, że musimy szukać Shun-tuk, a kiedy już ich znajdziemy, będziemy mieli kłopoty większe niż tutaj.

– Obawiam się, że tak. – Weszli już dość głęboko w cichy las, Richard przystanął i odwrócił się do Samanthi. – Najbardziej martwi mnie ta czarna magia, którą zdaniem Nai mogą się posługiwać. Mogła się stać potężniejsza, kiedy byli odgradzeni murem.

Zmarszczyła nos.

– Czemu by się miało tak stać?

– Natura dąży do równowagi.

– Co masz na myśli?

– Jak wszystko w naturze, drapieżcy i ich ofiary dążą do równowagi. Jeśli, na przykład, jest za dużo królików, to urodzi się więcej wilków i będą miały mnóstwo pożywienia. Wilków będzie coraz więcej i przetrzebią populację królików. Jeżeli będzie ich za dużo, to zanadto wybiją króliki i zaczną im brakować pożywienia. Nie wszystkie przetrwają. Wtedy przeżyje więcej królików i wszystko zacznie się od nowa, bo natura dąży do równowagi.

– Ale to dotyczy zwierząt.

– Całej natury. Magię addytywną równoważy magia subtraktywna. Wolna wola stanowi przeciwwagę dla proroctwa.

Samantha odgarnęła z twarzy pasmo włosów. Szła tuż za Richardem.

– To brzmi sensownie, ale co równowaga ma wspólnego z czarną magią?

– Ciemna moc może być przeciwwagą daru. Zatrzymała się i wpatrzyła w niego.

– Przeróżające.

– Zgadza się.

– Ale czemu magia miałaby potrzebować przeciwwagi?

– Może za bardzo się zwielokrotniła i natura dąży do jej zrównowżenia, pozwalając urosnąć w siłę ciemnym mocom.

Samantha leciutko przekrzywiła głowę.

– No to jesteśmy myśliwymi czy ofiarami? Kto na kogo poluje?

– Dobre pytanie – powiedział Richard, zanim się znów odwrócił ku lekko ocienionemu, porośniętemu mchem obniżeniu prowadzącemu w głąb lasu.

– Ścieżka powinna być tam. I dość blisko. Potem pomaszerujemy szybciej.

## ROZDZIAŁ 45

Richard się nie mylił. Wkrótce wrócili na leśny szlak. Był to mroczny tunel usiany odsłoniętymi gałkami i korzeniami, wśród gąszczu. Przez wieki widział nielicznych, przypadkowych wędrowców, lecz ostatnio służył hordom półludzi ciągnącym tędy, żeby polować na dusze. Teraz spowijała go groźna cisza.

Richard długo stał, nasłuchując, obserwując, starając się dostrzec zapowiedź ewentualnych kłopotów. Samantha stała w milczeniu obok niego, czekając, aż podejmie decyzję.

– Powiedziałeś, że mający dar mogą wyczuwać innych – wyszeptała, a kiedy potaknął, dodała:

– Myślisz, że mógłbyś mi to wytłumaczyć, tak jak sprawę rozsadzania drzew, żebym mogła wyczuć, czy ktoś jest w pobliżu? Mogłabym choć spróbować.

Richard mocno zacisnął wargi.

– Chętnie bym ci to wytłumaczył, ale nie mam pojęcia, jak to robią. Wiem jedynie, że potrafią.

Nikt mi tego nigdy nie wyjaśniał, więc ja też nie mogę ci tego wyłożyć. Zmarkotniała. Richard położył jej dłoń na ramieniu i uśmiechnął się.

– Chodź. Musimy odnaleźć twoją mamę, a potem będzie mogła cię nauczyć, jak się to robi. Odwzajemniła uśmiech.

– Umiesz mnie pocieszyć nawet w okropnej sytuacji.

– Póki mamy w życiu wybór i korzystamy z naszego umysłu, zawsze możemy sobie poradzić, także w najgorszych okolicznościach.

Uśmiechnęła się trochę szerzej, on także, lecz zaraz się zmartwił, bo dostrzegł w jej oczach, jaka jest wyczerpana. Najwyraźniej nie chciała przyznać, ile ją kosztowała sztuczka z drzewami.

– Wykończyło mnie to wymachiwanie mieczem. Ty też musisz być zmęczona po czarach. Mnie męczy korzystanie z każdej magii, nawet tej miecza.

– Trochę – przyznała. – Ale nie będę cię spowalniać. Przrzekam.

Richard zsunął z ramienia plecak i otworzył go. Chwilę w nim grzebał i znalazł suszone mięso.

Wyjął dwa kawałki i podał jeden Samancie.

– Proszę. Jedz w marszu. Pomoże ci odzyskać siły.

Odgryzł kęs. Samantha poszła za jego przykładem i ruszyła za nim.

Bardzo niechętnie szedł szlakiem, bo było to znakomite miejsce na zasadzkę. Przy takim zagrożeniu poszedłby raczej przez las zamiast wąską ścieżką. Ale to by ich znacznie spowolniło. Mieli do przebycia długą drogę do północnego muru, a i tak tylko część mogli przebyć traktem. Każda mijająca chwila zwiększała zagrożenie dla tych, którym spieszyli ratunek, toteż Richard wiedział, że nie mają czasu do stracenia.

Wybranie szlaku nie było jednak łatwą decyzją. Nikogo nie uratują, jeśli zginą z rąk czających się półludzi. Poza tym Richard ogromnie się bał, że się spóźnią. A przyście o moment za późno oznaczało, że Kahlan umrze, bo upomni się o nią tkwiąca w niej śmierć. Wkrótce i on by do niej dołączył w wiekuistych mrokach. Oznaczałoby to też zapewne śmierć nieprzeliczonych istot, a może i kres samego świata życia.

Magda Searus i Merritt przekazali mu wiadomość, że ma moc ocalenia świata żywych lub zniszczenia go. Jeśli podejmie błędną decyzję i zginie w zasadzce zastawionej na trakcie, może się to stać przyczyną końca. Gdyby opuścił trakt, zwłoka mogłaby oznaczać, że tracą szansę, a to również mogłoby doprowadzić do kresu wszystkiego, co żyje.

Wreszcie doszedł do wniosku, że półludzie najprawdopodobniej trzymają się razem. Nie wydawało się możliwe, by jacyś się odłączyli. Powodował nimi głód ludzkiej duszy, toteż można było uznać, że wszyscy zginęli w powalonym lesie.

Dlatego Richard postanowił skorzystać z traktu. Musieli się spieszyć. Miał rzecz jasna świadomość, że rozmaite stwory z trzeciego królestwa mogą nadejść szlakiem lub czaić się w zasadzce. Kolejny powód, żeby zachować czujność.

Ścieżka była podobna do tych, które widywał w Hartlandzie. Nie był to dobrze utrzymany trakt, ale i tak łatwiej się tu szło, niż gdyby musieli sobie torować drogę przez dziewiczy las. Dróżka nie była też na tyle szeroka, żeby mogli iść obok siebie – toteż on prowadził, a Samantha truchtowała za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Richard nieustannie przeczesywał wzrokiem las przed sobą i po bokach.

Niekiedy ścieżkę zagradzały powalone przez wiatr drzewa i musieli



przez nie przełazić. Miejscami tuż przy niej rosły młode drzewka, zmieniając ją w wąski zielony tunel; gałęzie smagały ich wtedy po ramionach i nogach.

Zakrywające niebo ołowiane chmury wraz z gęstym baldachimem z konarów sprawiały, że droga była mroczna i ponura. Czasami w oddali słychać było wołanie ptaków lub trajkot wiewiórek, ale przeważnie w lesie panowała głucha cisza. Mgła i mżawka osadzały się na sosnowych igłach, aż wreszcie krople stawały się zbyt ciężkie i spadały.

Richard zatrzymał się jedynie na chwilę, żeby mogli coś zjeść. Samantha trochę lepiej wyglądała, gdy posiliła się suszonym mięsem, toteż nie chciał poświęcać więcej czasu na odpoczynek. Przystawali, tylko kiedy wyjmowali z plecaków żywność.

Po krótkim postoju raz-dwa ruszyli w dalszą drogę i maszerowali przez resztę popołudnia, nie widząc nikogo ani niczego podejrzanego. Wędrówka przez las poprawiała samopoczucie. Przypomniała Richardowi dzieciństwo w Hartlandzie i czasy, kiedy był leśnym przewodnikiem. To był okres spokoju i zadowolenia, kiedy jeszcze nic nie wiedział o problemach świata.

Patrzył na mchy porastające kamienie i nadające im wygląd zielonych poduszek; widział, jak mech „pełźnie” po ziemi i porasta pnie drzew. Tu i tam przebijały piękne, delikatne białe kwiatuszki. Zdawały się tu nie na swoim miejscu, a ich podróż była najeżona takimi niebezpieczeństwami, że uroda krajobrazu do niej nie pasowała. Była to jednak przeciwwaga dla niepokoju, jaki odczuwał.

Samantha nasunęła kaptur, żeby mżawka i spadające z drzew krople nie zmoczyły jej włosów. Ze spuszczoną głową spieszyła za Richardem. Widział, jak bardzo jest zmęczona, ale się nie skarżyła. Przykro mu było narzucać takie tempo, ale nie było innej rady. Przypuszczał, że myślała o mamie, i trudy jej nie przeszkadzały.

Kiedy zaczęło się ściemniać, zszedł z traktu, żeby znaleźć miejsce na nocleg. Nie chciał kłaść się tam, gdzie mogliby się na nich natknąć półludzie. Dość daleko odszedł od ścieżki, rozmyślnie wybierając najbardziej nierówny teren i miejsca z najgrubszym poszyciem. Zbaczający ze szlaku niemal zawsze wybierają miejsca, gdzie najłatwiej iść przez las, toteż chciał znaleźć zakątek, gdzie raczej nikt się nie zapuści.

W końcu trafił na miejsce, które mu się spodobało – w zakręcie szczeliny w skale wznoszącej się na jakieś trzydzieści–czterdzieści stóp. Poszukał

śladów obecności jakichś niebezpiecznych zwierząt – albo ludzi. Nic nie wskazywało na to, by ktoś kiedyś odwiedził to miejsce. Richard i Samantha byli tu najprawdopodobniej pierwszymi ludźmi. Nie dostrzegł pieczar, gdzie mogłyby być legowiska niedźwiedzi czy wilków, nie zauważył węży.

Robiło się coraz ciemniej i mgła gęstniała, toteż szybko ściał parę młodych drzewek i oparł je o skałę. Potem nałożył na nie sosnowych i jodłowych gałęzi, a na nie chrustu, żeby zamaskować

„budowlę” – dzieło ludzkiej ręki. Kiedy skończył, było niemal zupełnie ciemno.

– Nie zorientowałabym się, że ktoś tu jest, nawet gdybym przeszła tuż obok – powiedziała Samantha.

– I o to chodzi – odparł Richard. – Zazwyczaj w takiej sytuacji chcę na zmianę trzymać wartę, ale sądzę, że jesteśmy dobrze ukryci. Nie sądzę, żeby ktoś się aż tu zapuścił, toteż uważam, że ważniejsze, byśmy się obydwójce dobrze wyspali. Jutro się nam to przyda.

Potaknęła.

– Jestem naprawdę zmęczona. To brzmi zachęcająco. Wskazał bok szafasu.

– Wejść do środka z tamtej strony. Zdziwiła się.

– Nie rozpalimy ogniska, żeby się ogrzać?

– Ogień zwabia niepożądanych gości. Chociaż go nie widać, z daleka czuć dym. Ogień by nas zdradził i dał znać półludziom, że tu jesteśmy.

Popatrzyła na otaczający ich las.

– Z pewnością. A dzikie zwierzęta?

– To mnie nie martwi. Jest ze mną mająca dar czarodziejka. Uśmiechnęła się.

– Chyba masz rację.

– Nie będzie źle, przekonasz się. Wejść do środka.

Musiała wpełznąć na czworakach pod pochyły daszek. Richard poszedł w jej ślady i zasłonił wejście grubą matą sosnowych gałęzi. Wewnątrz było przytulnie, w miarę sucho i zupełnie ciemno. Poszukał po omacku w plecaku i w końcu znalazł podróżną świecę z podstawką. Wyjął ją i położył na niej dłoń Samantha.

– Mogłabyś ją zapalić darem?

Zobaczył w ciemności iskierkę, a potem płomyk przeskoczył na knot

świecy. Postawił świecę między nimi.

– Możesz potrzymać nad nią dłonie, jeśli ci zimno. Nocą pewnie będzie dość chłodno. Spojrzała na niego chmurnie.

– A może rozgrzałabym parę kamieni? Moglibyśmy je trzymać przy sobie i byłoby nam ciepło.

– O... – mruknął Richard. W ogóle o tym nie pomyślał. – No pewnie.

Wygrzebał palcami z ziemi kamień wielkości bochenka chleba i podał Samancie. Na chwilę przytknęła do niego dłonie. Widział, jak na moment przymyka oczy, koncentrując się, potem oddała mu kamień. Był cieputki.

– Nareszcie do czegoś się przydajesz – powiedział, wygrzebując mniejszy kamień dla niej. Zaśmiała się cicho.

Wyjęli z plecaków trochę sucharów, suszoną rybę i kilka świeżych orzechów. Zjedli skromny posiłek, smaczniejszy niż Richard się spodziewał – pewnie dlatego, że był taki głodny.

Kiedy skończyli, zdjął pelerynę i okrył nią ich oboje jak kocem.

– Będzie nam cieplej. Wybacz, ale nocleg w lesie nie jest najwygodniejszy, zwłaszcza w takich warunkach.

– Nie dbam o to – powiedziała cicho. – Zależy mi tylko na tym, żeby tam dotrzeć na czas.

Wyśpię się, jak już wydostanę mamę z łap tych przeklętych półmartwych potworów.

Richard podzielał jej odczucia.

Podciągnął pelerynę aż pod brodę. Samantha na siedząco przytuliła się do niego, żeby nie zmarznąć, ujęła jego rękę drobnymi dłońmi i splótła smukłe palce. Położyła mu głowę na ramieniu.

Richard tak ułożył prawą rękę, żeby móc trzymać dłoń na rękojeści miecza.

Słyszał spokojny, miarowy oddech Samantha i szmer deszczu w liściach. Był tak wyczerpany, że niemal natychmiast głęboko zasnął.

Zasypiając, myślał o Kahlan.

## ROZDZIAŁ 46

Pod koniec następnego dnia dotarli do miejsca, gdzie trakt zaczynał skręcać w lewo, ku zachodowi. Zaprowadził ich dość daleko. Dzięki niemu utrzymywali dobre tempo, ale teraz już nie biegł na północ, toteż musieli rozpocząć wędrówkę do trzeciego królestwa przez nieznane lasy.

Richard badawczo się przyglądał obrzeżu lasu, szukając terenu dogodnego do wędrówki, i dostrzegł jakby świeżo wydeptaną ścieżkę.

– To wygląda na dobrą drogę – powiedziała Samantha. – Szlak na północ jest tu jakby wyraźniejszy.

– I nie bez powodu. – Wskazał połamane krzaki i przydeptane gałązki, wzruszoną ziemię i mech. – Wiesz, co to jest?

Samantha miała zdumioną minę.

– Nie.

– Wygląda na to, że tędy przyszedli z trzeciego królestwa wszyscy półludzie. Spójrz, tu widać, jak ciągnęli stopami po ziemi. – Po czym pokazał inne miejsce. – A tu ktoś się potknął i złamał gałąź. Nie zwracali uwagi, gdzie stawiają stopy. O, tutaj zdeptali grzyby. A tam połamali paprocie. Zwyczajni wędrowcy się tak nie poruszają. Tak idą nieuważni ludzie, niewiele wiedzący o lesie. Moim zdaniem to mogli być właśnie półludzie. Prawdopodobnie tędy przywędrowali z północy.

– Naprawdę? – spytała. – Więc wystarczy, że pójdziemy tą drogą, a zaprowadzi nas dokładnie tam, gdzie chcemy. Prosto do muru, do otwartych wrót.

– Nie – zaproponował. – W ten sposób moglibyśmy natrafić na kolejnych półludzi. Tamci, których zabiliśmy, nie byli jedynymi. Inni zapewne przypominają tamtych dwóch, którzy nas zaatakowali, albo Shun-tuk. Są bystrzejsi. Lepiej, żebyśmy się z takimi nie spotkali.

Cofnęła się o krok, jakby z dróżki nagle powiało grozą.

– Zatem nie jest to dobry pomysł. Richard położył jej dłoń na ramieniu.

– Podejdziemy trochę dalej naszym traktem, a potem skręcimy na północ i ruszymy przez las równoległe do trasy półludzi. Chcę się trzymać od niej na tyle daleko, żeby nas nie usłyszeli ich pobratymcy ciągnący na południe. Ale na tyle blisko, żeby od czasu do czasu sprawdzać, czy idziemy w dobrym

kierunku. Wydeptany przez nich trakt doprowadzi nas prosto do trzeciego królestwa, ale też będziemy bezpieczniejsi. Nie powinno być trudno kierować się według ich drogi przez las. Wygląda na to, że wybrali najłatwiejszą trasę. Możemy zrobić to samo, ale trzymać się z boku.

Skrzywiła się.

– Jak to się dzieje, że umiesz tak wszystko zaobserwować? Richard wzruszył ramionami.

– Robiłem to stale, nawet kiedy byłem młodszy od ciebie.

Przeszli jeszcze kawałek dotychczasowym traktem, aż Richard wreszcie uznał, że są w bezpiecznej odległości od ścieżki wydeptanej przez półludzi, i skręcił w las, kierując się na północ. Żałował, że muszą zejść ze szlaku i wydeptać własną ścieżkę przez nieznanne lasy, ale w końcu miał w tym wprawę. Wiedział, jak wybierać najlepszą drogę w gęstym lesie.

Przez jakiś czas mogli iść sarnią dróżką, ale wkrótce skręciła w inną stronę i znowu musieli wejść w gąszcz. Miejscami wdrapywali się na skały, żeby nie tracić czasu na ich obchodzenie. Raz nawet musieli się cofnąć, kiedy Richard stanął nagle na skraju urwiska, z którego zbyt niebezpiecznie byłoby schodzić.

Kiedy zapadł zmierzch, znowu znalazł osłonięte miejsce i zbudował mały szałas. Zrobiło się ciemno i zaczęło mżyć. Udało im się na czas ukończyć schronienie, więc prawie nie zmokli. Richard był obolały po poprzedniej nocy, ale zmęczenie i ból nóg dokuczały mu po całym dniu wędrówki przez leśny gąszcz, toteż cieszyła go możliwość odpoczynku. Jak poprzednio, on i Samantha usiedli obok siebie, żeby było im cieplej, i szybko zasnęli.

Następny dzień wstał zimny i wilgotny, ale przynajmniej mżawka ustała. Lecz i tak wilgoć i nocna mgła przemoczyły wszystko w szałasie. Kropelki wody zebrały się na pelerynie Richarda i spłynęły strumyczkami, kiedy ją zdjął i strzepnął.

Kiedy opuścili w miarę ciepłe schronienie, zrobiło się jeszcze gorzej. Kolejny ponury dzień. Richard zaczynał mieć dość niekończących się mrocznych dni pod nieustannie zasnutym ciężkimi chmurami niebem. Tęsknił za słońcem, które by ich osuszyło. Zaczynał rozumieć, dlaczego tę krainę nazywano Mrocznymi Ziemiemi. Było to przygnębiające pustkowie.

Zjedli kiełbaski, suchary i parę plasterów suszonych jabłek. Spakowali się i ruszyli w drogę. Wkrótce natrafili na mały strumyk, kierowanie się wzdłuż

niego bardzo ułatwiło wędrówkę przez gęste zarośla. Richard wypatrywał w szemrzącej, przejrzystej wodzie ryb, ale żadnej nie zobaczył. Po godzinnej wędrówce kamienistym brzegiem postanowił sprawdzić, czy nie są za blisko szlaku półludzi. Kazał Samancie przycupnąć pomiędzy skałką a kilkoma małymi świerczkami, gdzie dobrze ukryta mogła na niego poczekać. Ścieżka półludzi niekiedy kluczyła chaotycznie, toteż Richard chciał się upewnić, że wciąż są w bezpiecznej odległości.

Okazało się, że tak. Sprawdził, ale nie znalazł żadnych śladów, że nocą ktoś tamtędy szedł. Zadowolony dał sygnał do dalszej drogi; wykorzystali strumyk jako wskazówkę w swej drodze przez las.

Na obu brzegach rosły przeważnie cedry, miejscami porastał je mech. Ciek tworzył lukę w zaroślach, toteż mogli iść szybciej. Miętko się stąpało po grubych płatach mchu, a Richardowi najbardziej się podobało, że dzięki temu poruszali się niemal bezszelestnie, szmer wody dodatkowo tłumił odgłosy. Cisza oznaczała bezpieczeństwo, bo jeśli nawet gdzieś tu byli półludzie, to nie usłyszą ich i nie ruszą za nimi w pościg.

Mijając zakole strumyka opływającego skalny występ, natknęli się znienacka na mężczyznę klęczącego nad wodą; czerpał ją dłońmi, żeby się napić. Podniósł wzrok znad złączonych rąk i woda przeciekła mu między palcami, bo zaskoczył go widok Richarda i Samantha wychodzących zza skały. Był lepiej ubrany niż półludzie i bardziej krzepki, podobnie jak tamci, którzy zaatakowali Richarda.

Richard mniej się zdziwił, bo cały czas brał takie spotkanie pod uwagę. Wiedział, że skoro półludzie korzystali z pobliskiej trasy, to mogą się na nich natknąć, toteż miał się na baczności. Ale i tak było to dość nieprzyjemne, skoro tak długo mieli las tylko dla siebie.

Mężczyzna, początkowo skamieniały ze zdumienia, szybko otrząsnął się z szoku. W jego oczach natychmiast zapłonął dziki głód, jaki odczuwa drapieżca na widok nieoczekiwanie pojawiającej się w zasięgu zdobyczy.

Poderwał się i zaatakował. Skoczył na Richarda, warcząc i szczerząc zęby.

Richard był na to przygotowany i zamiast się zewrzeć z przeciwnikiem, w ostatniej chwili uskoczył. Kiedy tamten go mijał, otoczył mu szyję ramieniem i podduśił go, żeby nie mógł krzyknąć.

Mężczyzna się szarpał, starał się sięgnąć paznokciami do twarzy

Richarda, drapać go, wyłupić mu oczy. Szczyrzył zęby, ale nie mógł ugryźć. Richard podniósł muskularnego przeciwnika, zwiększył nacisk na jego szyję, żeby odciąć dopływ krwi.

Tamten szybko osłabł i już się tak nie szarpał.

– Kim jesteś? – zapytał Richard.

Mężczyzna tylko warknął, usiłując zachować przytomność.

– Jak daleko do północnego muru?

Z kącików ust uwięzionego w silnym chwycie sączyła się ślina; starał się zaczerpnąć powietrza, nie zemdleć i jeszcze powalczyć.

– Jak daleko? – powtórzył przez zaciśnięte zęby Richard.

– Może dzień.

– A Shun-tuk? Jak daleko do ich ziem za północnym murem?

Kiedy tamten nie odpowiedział, Richard zwiększył nacisk. Mężczyźnie oczy wyszły na wierzch. Język wysunął mu się z ust, twarz poczerwieniała.

– Jak daleko do Shun-tuk? – powtórzył Richard groźnym, choć spokojnym tonem.

– Nie wiem... nigdy nie byłem tak daleko. Nie jestem taki głupi.

– Jak daleko?

– Parę dni. Ale cię złapią, schrupią ciało i wypiją krew. Dostaną twoją duszę.

– Nie możesz zdobyć czyjejś duszy, wypijając jego krew czy go pożerając. Nie można sobie przywłaszczyć duszy. To niemożliwe.

Mężczyzna się szarpał, z nową furią próbując sięgnąć w tył i złapać Richarda. Nie dał rady.

Richard jeszcze mocniej ścisnął.

– Kłamstwo! – wydyszał tamten, purpurowy na twarzy z braku powietrza. – Chcesz ją zatrzymać tylko dla siebie. Wy wszyscy z duszami jesteście chciwi. Brukacie świat. Dostaniemy wasze dusze. Zaslugujemy na nie. Dostaniemy je wszystkie!

Samantha stanęła przed nim i popatrzyła na niego spokojnie.

– Dlaczego myślisz, że zasługujecie na nasze dusze? Co wam daje takie prawo?

Choć Richard trzymał go krzepko za kark, tamten podniósł na dziewczynę wściekły wzrok.

Posłał jej wredny, pożądliwy uśmiezek.

– Zjemy wasze ciepłe mięsko, wypijemy świeżą krew i zdobędziemy dusze. Będziemy władać światem życia.

Richard wykręcił mu kark, aż tamten krzyknął boleśnie.

– Jest z tobą ktoś jeszcze?

– Nie!

– To dobrze – mruknął Richard i dokończył dzieła. Upuścił zwłoki na ziemię i dał znak Samancie.

– Idziemy. Lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy go znajdą.



## ROZDZIAŁ 47

Richard był wyczerpany całodzienną trudną wędrówką po nierównym terenie. Im dalej szli na północ, tym bardziej wyboisty stawał się grunt i tym robiło się mroczniej i poseępniej. Niekiedy chmury wisiały tak nisko, że nikły w nich wierzchołki drzew.

Strasznie męczyło wdrapywanie się na strome skalne wzniesienia tylko po to, żeby zejść po przeciwnej stronie i znowu to powtórzyć, kiedy wśród drzew pojawiała się kolejna stromizna. Marsz utrudniały gęste zarośla, przez które trudno się było przedrzeć, co bardzo ich spowalniało. Niekiedy natrafiali na tak oplątane ciernistymi pnączami, że nie daliby rady się przez nie przedostać, i musieli je omijać.

Richard źle spał w nocy, po rozmowie z pozbawionym duszy mężczyzną. Chętnie by go zabił po raz drugi.

Samantha też wyglądała na zmęczoną. Była niezwykle milcząca poprzedniego wieczoru i przez cały dzień, kiedy mozolnie wędrowali przez nieznane lasy. Kiedy Richard zapytał, czy wszystko w porządku, odpowiedziała, że wytrąciły ją z równowagi okropieństwa wygadywane przez tamtego człowieka – gdy spojrzął jej w oczy i powiedział, że chce zjeść jej ciepłe ciało, wypić krew i odebrać duszę.

Richard wiedział, że zapewne najbardziej wzburzyło ją to, że tacy jak on zabili jej ojca i najprawdopodobniej trzymają w niewoli mamę.

Przynajmniej miał nadzieję, że tak jest i że nic jej nie zrobili. A także że Zedd, Nicci, Cara, Benjamin i żołnierze również żyją. Wiedział jednak, jaka to tak naprawdę słaba nadzieja. To musiało być okropne – znajdować się w łapach bezlitosnych kanibali. Nie mógł się nie bać o przyjaciół, a ów lęk pchał go naprzód, kazał iść najszybciej jak się da.

I nie tylko o przyjaciół myślał, ale i cały czas pamiętał, że jedynym sposobem na uratowanie Kahlan jest umieszczenie jej w polu ograniczającym w Pałacu Ludu, żeby Zedd i Nicci mogli usunąć zmapę śmierci.

Zauważył, że robi się coraz ciemniej, i rozejrzał się. Było dopiero późne popołudnie, za wcześnie, żeby się zaczęło ściemniać. Od czasu do czasu popatrywał w górę, lecz leśny baldachim był tak zwarty, że nie widział nieba,

toteż nie mógł ocenić zachmurzenia. Było mu ciepło, choć spowijała ich chłodna, wilgotna mgła.

W wąskim, grząskim zagłębieniu osunął się nagle na kolano. Osłabiony i wyczerpany nie był w stanie zrobić kolejnego kroku. Musiał przez chwilę odpocząć.

– Co się stało, lordzie Rahlu? – spytała Samantha, podbiegając ku niemu.

– Co ci jest? Zwiesił głowę, wziął głęboki oddech.

– Po prostu jestem bardzo zmęczony. – Zbył to niedbałym gestem. – Nic takiego. Marsz był ciężki, a ja się nie wyspałem... Położyła mu na czole drobną dłoń.

– Masz gorączkę.

Wcale go to nie zdziwiło.

– Chyba tak.

Jedną dłonią przytrzymała go za ramię, drugą wskazała głaz.

– Usiądź tam na chwilę.

Richard spojrział za siebie i przysiadł na pokrytym liśćmi głazie. Samantha stanęła przed nim, buzię miała niemal na wysokości jego twarzy. Przycisnęła mu palce do skroni. Poczul słabe, znajome mrowienie magii.

Cofnęła dłonie.

– To ten mrok w tobie – powiedziała cicho. – Dotknięcie śmierci. To samo, co w Matce Spowiednicze. Zło próbuje was zawłaszczyć. Jest coraz gorzej, tak jak ostrzegałam.

– Yhm. – Richard pokiwał głową. – Możesz coś zrobić? Długo nie odpowiadała.

– Przykro mi, lordzie Rahlu. Już zrobiłam, co w mojej mocy. Żałuję, że nie wiem więcej o uzdrawianiu. Chciałabym znać jakiś sposób, ale nie znam. Teraz tylko twój dziadek może pomóc tobie i Matce Spowiednicze.

– A gdybyś zamiast leczyć, spróbowała mi dodać darem sił?

Przemyślała to, a potem znów przytknęła mu palce do skroni. Poczul ciepłe mrowienie daru. Słyszał dalekie głosy ptaków, czuł na twarzy leciutki powiew wilgotnego powietrza. Wewnątrz czuł ciepły blask magii i spowodowane przez nią znajome zawieszenie w czasie.

Cofnęła dłonie.

– Pomogło?

Richard wstał i poruszył rękami, starając się ocenić, czy jest trochę

silniejszy. Przynajmniej mógł ustać.

– Myślę, że tak. Dziękuję.

– Chciałabym zrobić coś więcej, lordzie Rahlu, ale obawiam się, że nie tego potrzebujesz, to tylko chwilowe wzmocnienie. Wypoczynek też by się przydał.

Kiwnął głową i udało mu się leciutko uśmiechnąć, żeby jej dodać otuchy.

– Mogę już iść. Ruszajmy. Odpoczynek musi poczekać.

Richard zmusił się do marszu, chociaż bardzo by chciał zostać i wypocząć. W głębi ducha wiedział, że jeśli się podda, to umrze, tak jak ludzie, których złapała burza śnieżna – zmęczeni, kładli się, zasypiali i już nigdy nie wstawali.

Powiedział sobie, że po śmierci będzie miał całą wieczność na odpoczynek. Jeśli chce żyć i ocalić innych, musi się zdobyć na wysiłek.

Kiedy docierali na szczyt kolejnego wzniesienia, żałował, że przez gęste listowie, gałęzie i mroczne cienie wśród nieprzeliczonych drzew nie może zobaczyć, co się dalej znajduje. Chciałby stanąć w jakimś punkcie obserwacyjnym, z którego miałby rozleglejszy widok, lecz w bezkresnym, złowrogim lesie nie było takiego miejsca.

W marszu pomyślał, że gdyby tak się wspiał na drzewo, może dojrzałby, co jest przed nimi, lecz nie mógł marnować na to ani energii, ani czasu. Zakładał, że idą we właściwym kierunku, więc musi tylko stawiać jedną stopę przed drugą, a w końcu tam dotrze. Rozglądanie się z punktu obserwacyjnego ani trochę by nie przyspieszyło osiągnięcia celu.

W miarę jak mijał dzień, Richard uświadomił sobie, że robi się trochę jaśniej. Początkowo myślał, że niebo się przeciera, ale potem, mijając wzniesienie, przez lukę w gąszczu gałęzi zobaczył wreszcie plamę światła.

Potruchtał ku wąskiemu prześwitowi wśród drzew i w mglistej oddali po raz pierwszy dostrzegł mur. Kilka dni niecierpliwie do niego dążył, a teraz, nagle go ujrawszy, był niemal zszokowany. Stanął jak wryty i wpatrywał się w niego. Samantha stała tuż obok.

## ROZDZIAŁ 48

Stali tyłem do mrocznego lasu i w szarawym świetle pochmurnego dnia wpatrywali się w przeogromną konstrukcję.

Nie można było zobaczyć pradawnej mocy, jaką tchnięto w mur, by uczynić zeń barierę odgradzającą zło. Lecz to, co widzieli, było przegrodą o oszałamiających rozmiarach. Mur wydawał się olbrzymi, kiedy Richard na niego patrzył z punktu obserwacyjnego w Stroyzie, lecz z bliska jego ogrom wręcz porażał.

Nie potrafił zrozumieć, jak temu, co zamknięto za potężnym murem chronionym zakłęciami czarodziejów, w ogóle udało się wydostać.

Z małej polanki, na której stali wśród kęp cynamonowych paproci, postrzępiony wiecznie zielony wielki dąb pozwalał wyjrzeć za drzewa na skraju lasu i Richard zobaczył, że są dość daleko od wrót – a tego właśnie chciał, żeby się nie natknąć na półludzi ciągnących na południe z trzeciego królestwa. Chciał pozostać w ukryciu, bo to mu dawało sposobność przyjrzenia się okolicy.

– Chodź – powiedział do Samantha, ruszając.

Szedł szybciej, bo w końcu dotarli do muru. Samantha musiała truchtać, żeby nadążyć za jego długimi krokami. Choć musiał wkładać więcej wysiłku w taki marsz, nadal bacznie wypatrywał zagrożenia. Nie chciał, żeby go zaskoczyli i żeby nieprzygotowany musiał walczyć z rojącymi się w lesie półludźmi.

– Co zrobimy, jak już się tam znajdziemy? – spytała Samantha zadyszana z wysiłku, ale dotrzymująca mu kroku.

– Jeszcze nie wiem. Najpierw musimy przejść przez wrota. A potem kierować się na północ, aż znajdziemy ziemie Shun-tuk.

– A potem co?

Richard spojrzał na nią chmurnie przez ramię.

– Potem uwolnimy naszych.

– Jak?

Richard ostrożnie stąpał po kamieniach, przekraczając niewielki, leniwie płynący strumień.

– Sam bym chciał wiedzieć. Na miejscu będziemy musieli ocenić sytuację

i ułożyć jakiś plan.

– Może mogłabym jakoś pomóc czarami. No, wiesz, rozproszyć ich uwagę albo coś...

– Albo coś – zgodził się Richard.

Samantha, początkowo podekscytowana bliskością muru, popadła w smutne milczenie.

Wreszcie zaczęła mówić o tym, co naprawdę ją trapiło.

– Lordzie Rahlu, myślę o tym, jak Jit was uwięziła.

Richard odchylił długą sosnową gałąź i przytrzymał, żeby Samantha mogła przejść.

– Chodzi ci o to, że nas oplątała ciernistymi pnączami? Samantha potaknęła.

– A jeśli robią coś takiego z naszymi ludźmi? Richard zmarszczył brwi.

– Nie wiem, do czego zmierzasz. Martwisz się, co zrobimy, jeżeli ich związano ciernistymi pnączami?

– Nie do końca. – Zerknęła na niego zza gęstwy czarnych włosów. – Chodzi mi o to, co Jit zrobiła Matce Spowiedniczce. I co zamierzała zrobić tobie.

Nagle pojął.

– Ach, mówisz o tym, że wykrwawiała Kahlan.

– Otóż to. Mówiłeś, że Jit i jej słudzy toczyli z niej krew i zbierali w misach, a potem poili Zaszytą Służkę.

Richard nieco się ku niej odwrócił. Spochmurniał.

– Mów dalej.

– Wykrwawiali ją, lordzie Rahlu. Zrobiliby to też z tobą, gdyby ci się nie udało zabić Jit i uciec. Jit piła krew Matki Spowiedniczki, tak samo jak innych swoich ofiar.

Richard przystanął.

– No i?

– Tamten człowiek przy strumyku powiedział, że chce pić naszą ciepłą krew. Naja pisała, że spijają każdą kroplę krwi, myśląc, że może być w niej dusza. Myślą, że dusza zamieszkuje w żywej osobie i że może uciec. Piją więc ludzką krew w nadziei, że złapią umykającą duszę.

– No i zastanawiasz się, czy Shun-tuk wyewoluowali jeszcze bardziej i uważają krew za „siłę napędową”, siedlisko duszy, i biorą jeńców, żeby ich

pozbawiać krwi, a wraz z nią i duszy.

Samantha wzruszyła drobnymi ramionami.

– Bo ja wiem. Może... W końcu Jit była z trzeciego królestwa, więc może to, co zrobiła Matce Spowiedniczce, mówi nam coś o tamtejszych ludziach i ich sposobie rozumowania. Tamten człowiek wydawał się tak myśleć, podczas gdy ci, których zabiłam, woleliby nas pożreć.

Richard do tej pory się nad tym nie zastanawiał.

– To możliwe.

– Mama mówiła, że powinna się domyślić, iż pojawienie się Jit na bagnach było znakiem, że uciekła zza północnego muru. Powinna była zobaczyć w tym sygnał, że mur słabnie. A jeśli zachowanie Jit było też wskazówką, jak półludzie myślą? Co, jeżeli Shun-tuk biorą jeńców, żeby mieć dostęp do ich krwi, jak my hodujemy zwierzęta, by mieć mleko? Jeżeli uwięzili naszych, żeby ich wykrwawiać, bo sądzą, że świeża, ciepła krew to sposób na zdobycie duszy?

– To brzmi sensownie – przyznał z westchnieniem Richard. – Ale czemu w takim razie bardziej są zainteresowani osobami z darem?

Na to nie miała odpowiedzi.

– Może uważają, iż krew mających dar posiada jakieś szczególne właściwości – mówił, podejmując jej tok rozumowania. – Mogą też mieć bardziej ponury powód porywania takich osób.

– Bardziej ponury? Jaki?

Richard rozmyślał w milczeniu, torując sobie drogę wśród gałęzi, dążąc ku szaremu światłu przed nimi.

– Sam nie wiem. Może chodzi o coś bardziej skomplikowanego. Właściwie ich motywy mają tak naprawdę drugorzędne znaczenie. Teraz najważniejsze jest rozwiązanie, a nie problem. Jeśli nasi są w rękach Shun-tuk i nadal żyją, to musimy ich wydostać. Tylko to się liczy.

Gdy tylko to powiedział, las zaczął się przerzedzać. Jeszcze kilkanaście kroków i wynurzyli się z zielonego gąszczu na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się jednak dość rozległy widok.

Mieli przed sobą potężny mur.

## ROZDZIAŁ 49

Richard wyciągnął rękę, nie pozwalając, żeby Samantha wynurzyła się za bardzo na otwartą przestrzeń, gdzie – jak się obawiał – ktoś mógłby ich dostrzec. Stała obok i patrzyła w milczeniu.

Ze wzniesienia mieli dobry widok. Spoglądali na mur wyrastający z dna lasu, sięgający ponad najwyższe drzewa, tak że musieli unieść głowy, żeby zobaczyć jego szczyt. W porównaniu z nim olbrzymie stare drzewa wyglądały jak młode siewki.

– Kiedy patrzyłam na niego ze Stroyzy, wiedziałam, że jest wielki – stwierdziła Samantha. – Ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak olbrzymi.

Kamienny mur wydawał się niesamowicie wysoki nawet Richardowi, który widział już sporo fascynujących rzeczy, będących dziełem tak natury, jak i ludzi. Od patrzenia na ten niebotyczny mur aż mu się zakręciło w głowie.

Rozciągał się w prawo i w lewo i kończył w oddali, docierając do olbrzymich gór, strzelających w niebo, wyższych niż wszystkie, które Richard w życiu widział. Wysoko, powyżej rozdartego pułapu chmur, dostrzegł łąty śniegu na stromych zboczach. Kolejna warstwa chmur przesłaniała szczyty, tak że nie mógł ocenić ich wysokości.

Mur zbudowano z kamieni o rozmaitych rozmiarach i kształtach, dokładnie dopasowanych, jak fragmenty skomplikowanej układanki. Krawędzie bloków ściśle do siebie przylegały. Richard nie dostrzegł ani jednej szpary, w którą dałoby się wcisnąć choć kartkę. Mur wyglądał, jakby go zbudowano bez żadnej zaprawy, spajał go przeogromny ciężar precyzyjnie dopasowanych kamiennych bloków. Jeszcze nigdy nie widział tak idealnej konstrukcji. Widział już mnóstwo wspaniałych budowli, lecz ta była wyjątkowa przez swoją szczególną prostotę i niesamowity ogrom.

W dole, po prawej, ujrzał wrota, a nad nimi konstrukcję, którą wypatrzył już wcześniej przez skalne okno.

Nikogo nie zauważył. Pod murem nie było żadnych ludzi, nikt nie stał na jego szczycie, nikt nie przekraczał otwartych wrót. Wydało mu się dziwne, że po tysiącach lat, w czasie których mur tworzył nieprzebytą przegrodę, teraz teren wokół jest taki wyludniony.

Zastanawiał się przez chwilę, czy półludzie z trzeciego królestwa już się wysypali przez wrota, dążąc na południe w poszukiwaniu dusz, które – jak wierzyli – można tam było zdobyć. Nie wiedział, czy zamierzali się trzymać blisko swoich ziem, czy też, skoro już byli wolni, chcieli ruszyć na łupieżcze wyprawy w świat, żeby się napychać ludzkim mięsem i krwią.

Przez jakiś czas trwał tak w milczeniu, czując na twarzy zimne muśnięcia mgły. Wodził wzrokiem po szczycie muru, starając się dostrzec, czy ktoś ich obserwuje, czy strażę stamtąd zerkają. Nikogo nie wypatrzył, choć oczywiście nie mógł mieć całkowitej pewności, że nikogo tam nie ma. Nie wiedział, czy nie mają jakiegoś niewielkiego obserwacyjnego okna. Chociaż niby po co? Mur nie był obronny, to ich miał odgradzać od innych.

Pomyślał, że może ci, co chcieli wyjść, już to zrobili, a pozostali są dalej na północy, gdzie żyli przez tysiąclecia. Było też możliwe, że wychodzą tylko na pewien czas, polują, a potem wracają do swojego zapewniającego im bezpieczeństwo królestwa, jak nietoperze wampiry, wylatujące nocą, żeby się posilić.

Lecz przede wszystkim zastanawiał się nad tym, jak tam dotrą, żeby nikt ich nie dostrzegł na otwartej przestrzeni. Z pewnością mowy nie było o wdrapaniu się na mur. Wyglądał na zbyt gładki, żeby znaleźć jakieś punkty zaczepienia dla rąk i nóg. Z bliska mogło się rzecz jasna okazać, że są minimalne wgłębienia między kamieniami, ale wątpił w to. Co ważniejsze, podczas wspinaczki na mur byłoby przez długi czas odsłonięci i łatwo by ich było naszpikować strzałami. Porzucił więc pomysł wspinania się, niezależnie od tego, czy był wykonalny czy nie.

Góry po obu stronach wyglądały na jeszcze bardziej niedostępne. Bez wątpienia łatwiej by się było na nie wdrapać niż na gładki mur, ale i tak dla nich byłoby to trudne, a może wręcz niemożliwe, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Poza tym także na zboczach byłoby zbyt długo odsłonięci.

Richard wiedział również, że ludzie w czasach Nai nie postawiliby tutaj muru, gdyby istniała jakaś łatwa droga przez góry. Zakłęcia zamykające były z pewnością najważniejsze, lecz same góry i mur stanowiły potężną fizyczną zaporę. Górska wspinaczka była tu tak samo realna jak wdrapanie się na mur.

Poza tym szukał drogi, która by im pozwoliła ominąć wrota, bo nie chciał za długo przebywać na otwartej przestrzeni, a wdrapywanie się czy to na



zbocza, czy na mur wcale by im nie pozwoliło wśliznąć się niepostrzeżenie do trzeciego królestwa. Zaskoczenie było ich najlepszą bronią, nie chciał jej tracić bez powodu.

Żałował, że nie ma tu smoka, który by ich przeniósł nad olbrzymim murem, ale też już od dawna nie widział żadnego.

Zatem wrota pozostawały jedynym wejściem do trzeciego królestwa.

Kiedy Richard tak się wpatrywał w ogromny mur, uświadomił sobie, że to namacalny dowód na to, jak bardzo ludzie w czasach Nai bali się tego, co było za nim. To mu nie dodało otuchy. Wiedział, że nie ma wyboru, toteż zdecydowanie odsunął tę myśl i wrócił do rozwiązywania problemu.

– Podejźmy bliżej wrót – powiedział cicho, żeby jego głos się daleko nie poniósł. – Musimy się lepiej przyjrzeć.

## ROZDZIAŁ 50

– A co, jeżeli w ich pobliżu są jacyś ludzie? Jeśli są tam strażę?

– Nie sądzę – powiedział Richard. – W końcu przegrodę zbudowano po to, żeby zamknąć za nią półludzi, a nie, żeby nas trzymać z dala. Czemu ktoś z naszych chciałby tam wchodzić? To półludzie chcą się stamtąd wydostać, żeby polować na dusze. Po co im wartownicy?

Samantha wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. A jeśli zaraz za wrotami są domy, wioska i tamtejsi...

– Samantho – przerwał jej cichym głosem. – Nie stwarzajmy sobie problemów. Rzućmy okiem i przekonajmy się, na czym stoimy, a potem zdecydujemy, co zrobić, dobrze? Pamiętaj, że tego muru nie zbudowano jako części fortecy. Chociaż taki ogromny, pod wieloma względami jest wyłącznie symboliczny. Prawdziwą przegrodą były czary grawitacyjne i zaklęcia zamykające. To one przez tysiące lat zatrzymywały półludzi i chodzące trupy za murem. Gdyby nie one, to w końcu przebiliby się przez mur, rozebraliby go, przekopaliby pod nim tunel lub znaleźli jakiś inny sposób, żeby się wydostać, nie sądzisz? Jeśli ktoś potrafi coś zbudować, to ktoś inny zawsze znajdzie sposób, żeby to zniszczyć. Zwłaszcza jeżeli ma czas i motywację. Półludzie mieli jedno i drugie. To oznacza, że ważne są zaklęcia, a nie kamień czy wrota. To czary są zaporą, nie mur. I to nimi przejmowałiby się ci po drugiej stronie. A to działa na naszą korzyść.

– Czemu?

– Bo najprawdopodobniej oznacza, że nie dbają o wrota. Nie mają one dla nich żadnego znaczenia, chyba że tylko jako droga na świat życia.

Richard zaczął schodzić stokiem, trzymając się gęściej rosnących drzew i wykorzystując cienie i listowie jako osłonę. Skoro znał dobrze kierunek, szedł przez gąszcz, żeby pozostawać w ukryciu.

Las był osobliwie cichy. Richard niegdyś często bywał w lasach i zawsze, w dzień i w nocy, słyszał i widział oznaki życia; lecz tutaj te pradawne drzewostany wydawały się opustoszałe i posępne. Nie wiedział, czy taki stan jest tu czymś niezwykłym. Zwierzęta potrafią wyczuć rzeczy ukryte dla ludzi, toteż możliwe, że tak potężna magia zniechęciła je do życia w pobliżu muru. Zatem albo to, albo też jakieś zagrożenie je wystraszyło i zapanowała

cisza. Taka możliwość najbardziej go martwiła i kazała zachowywać czujność.

Schodził ze wzgórza, coraz bliżej wrót, od czasu do czasu zatrzymując się i wyglądając zza osłony drzew. Nie dostrzegł najmniejszego poruszenia. Teren przed murem był tak niesamowicie pusty i cichy, że Richard właściwie niemal chciałby kogoś zobaczyć. Kiedy tak zbliżali się do płaskiej przestrzeni przed wrotami, niebotyczny mur robił coraz większe wrażenie.

Nagle Richard się zatrzymał. Kątem oka coś zauważył. Chyba widział błysk lub jakieś światło, które zamigotało za wrotami, ale gdy tylko skupił na tym uwagę, zniknęło.

Dokładnie przepatrzył obszar wokół i znowu ruszyli. Chętnie by się wspiał na drzewo, żeby zajrzeć za mur i sprawdzić, jakie się tam kryje niebezpieczeństwo – ale stwierdził, że drzewom, nawet olbrzymim, i tak sporo brakuje do szczytu muru. Mogli jedynie iść do wrót.

Zorientował się, że właściwie nie ma żadnej drogi, przecinki czy choćby ścieżki prowadzącej do otwartych wrót. To było zrozumiałe: przez tysiące lat nikt ich nie przekraczał. Widział jednak, że krzaki, małe drzewka, paprocie i trawy zostały połamane i zdeptane, najprawdopodobniej przez wychodzących zza muru półludzi. Ci, którzy napadli na niego i Samanthę, przypuszczalnie niedawno tędy przechodzili. Także tamci dwaj, którzy zaatakowali jego i Kahlan na wozie. Mogło być ich całe mnóstwo.

No i jeszcze Shun-tuk. Oni oczywiście też wyszli przez wrota. Wszystko jednak wskazywało na to, że zabrali jeńców do swojej krainy.

Żałował, że lepiej nie pamiętał rozmowy, którą usłyszał, kiedy wracała mu przytomność.

Nie wiedział, jakie społeczności lub grupy mogły mieszkać w trzecim królestwie, gdzie współistniały życie i śmierć. Mogły tam żyć najrozmaitsze plemiona półludzi, podobnie jak wiele jest narodów w naszym świecie.

Kiedy wreszcie dotarli w pobliże wrót, Richard podszedł bliżej muru, lecz tam, gdzie było to możliwe, trzymał się mroku lasu. Otwarte wrota też stanowiły pewną osłonę.

– Zostań tutaj, za drzewami, a ja się rozejrzę – wyszeptał do Samanthy.

Potaknęła i szybko cofnęła się w cienie młodych klonów i świerków rosnących przy powalanej wichrem sośnie, która rozdarła leśny baldachim.

Wrota były przeraźliwie wysokie. Znacznie wyższe niż najwyższe sosny

w okolicznym lesie. Kiedy się do nich zbliżył, pomyślał, że bardziej przypominają przesuwane ściany. Najprawdopodobniej zamknięto je po ukończeniu muru. I miały tak pozostać.

Kiedy znalazł się w cieniu rzucanym przez jedno skrzydło, przekonał się, że wrota są pokryte metalowymi płytami, które nie zardzewiały, chociaż nosiły na sobie patynę wieków. Przyłożył dłoń. Metal był zimny.

Dał znak Samancie, żeby została jeszcze wśród drzew, poprawił łuk na ramieniu, położył się na ziemi i ostrożnie podczołgał do krawędzi wrót, żeby za nie zajrzeć. Skrzydło miało kilka stóp grubości. Właśnie się dowiedział, co czuje mrówka, kiedy wędruje wokół budynku.

Zajrzał za wrota i zobaczył otwarty, jałowy teren, wyboisty i kamienisty. Na nierównym gruncie tu i ówdzie rosły pojedyncze krzaki. Nie wielki las, jak z tej strony.

Najbardziej zaniepokoiło go jednak to, co ujrzał chwilę później. W oddali migotało punktowo zielone światło.

Już widział ten charakterystyczny blask. Kiedy po raz pierwszy spotkał Kahlan i przeszli przez granicę rozdzielającą Westland i Midlandy.

Potem wiele razy zetknął się z zaświatami. Zasłona świata umarłych zawsze miała niesamowitą zieloną barwę, była nieprzejrystą świetlną kurtyną.

Ten blask był warstwą graniczną samych zaświatów.

Powolutku wysunął się za skraj wrót, ale nikogo dalej nie wypatrzył. Pusty teren, nad którym górowała olbrzymia skała, stercząca z ziemi niczym przebijający ją od spodu szpikulec, a wokół mniejsze głazy. Wszystko wydawało się straszniejsze przez to widmowe zielonkawe światło, migocące pośród skał.

Richard dał Samancie znak, żeby wyszła z za drzew. Wskazał kciukiem za siebie, sygnalizując, że powinna się trzymać blisko muru i dołączyć do niego. Pospiesznie wyskoczyła z ukrycia i raz- dwa wśród niższych krzaków dotarła do Richarda, potem przykucnęła za nim. Ten w końcu wstał i mocniej wychylił się za wrota, żeby mieć lepszy widok na trzecie królestwo.

To, co zobaczył, go zaszokowało.

– Co widzisz? – wyszeptała. – Co jest nie tak? Są tam półludzie?

– Nikogo nie widzę, ale mamy problem i powinnaś się o tym natychmiast dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ 51

– O co chodzi?

Richard się odwrócił i przykucnął przed dziewczyną.

– Posłuchaj mnie, to ważne. Czym jest trzecie królestwo? Trochę się zachmurzyła, niepewna, do czego zmierza.

– To świat życia i śmierci, współistniejących w tym samym miejscu i czasie. To ani życie, ani śmierć. Jedno i drugie.

Richard potaknął.

– Tak jest.

Dotknęła palcem jego piersi.

– Lecz to nie tylko konkretne miejsce, także to, czym sam jesteś. Życie i śmierć razem, choć nie powinno tak być. Jesteś stamtąd, gdzie współistnieją życie i śmierć.

– Yhm. – Pokiwał głową. – Za wrotami znajduje się trzecie królestwo. Świat życia i śmierci razem. Widać tam zielonkawę światło...

Pochyliła się ku niemu, marszcząc brwi.

– Tak?

– Coś w tym rodzaju... widziałaś kiedyś nocą zorzę na północnym niebie?

– Jasne, oczywiście.

– To coś w tym rodzaju. Wygląda podobnie, tyle że to granica zaświatów, świata zmarłych. Podejrzliwie zmarszczyła czoło. Wysunęła głowę za wrota.

– Drogie duchy... – Cofnęła się i wpatrzyła w Richarda szeroko otwartymi oczami. – Lordzie Rahlu, takie samo zielone światło ujrzałam, kiedy próbowałam pierwszy raz uleczyć Matkę Spowiedniczkę. To samo zobaczyłam w tobie.

Richard głęboko westchnął.

– Ów zielony poblask to śmierć.

– Tak też ci powiedziałam. Zobaczyłam to w niej. Wtedy wiedziałam, że ma w sobie śmierć. Niechętnie potaknął.

– Faktycznie. – Richard wskazał kciukiem za siebie. – Jeśli wejdiesz w ten zielony blask, wkroczysz do świata zmarłych. Rozumiesz? To granica pomiędzy życiem a śmiercią, jaką widziałaś w Kahlan, wabiła cię ku sobie. Gdybyś tam weszła, przebywając w jej umyśle, znalazłabyś się w świecie

zmarłych. Nigdy byś nie wróciła. Tutaj jest tak samo. Za tym migotliwym poblaskiem znajduje się świat zmarłych. Jeśli przekroczysz tę granicę, nigdy nie wrócisz.

Wielkie ciemne oczy otwały się szeroko, Samantha przełknęła ślinę.

– Domyślam się, że nie należy tego robić.

– Otóż to. Kiedy wejdziemy za wrota, musisz cały czas uważać. Nie wolno ci stracić czujności. Nie wiem, gdzie konkretnie mogą się znajdować wejścia w zaświaty, lecz tam, gdzie kiedyś byłem, nie widziało się tego, póki nie podeszło się naprawdę blisko. Zielone światło to swego rodzaju ostrzeżenie, że jesteś krok od śmierci, że lada moment przekroczysz granicę. Dusze czasami do ciebie wołają, próbując cię nakłonić, żebyś do nich przyszła.

– Robiły tak, kiedy próbowałam leczyć Matkę Spowiedniczkę i zobaczyłam tę zieloną zasłonę.

Słyszałam zza niej dusze.

Richard przytaknął.

– Wygląda na to, że możemy się natknąć na śmierć w wielu miejscach, na wiele sposobów. Ty napotkałeś tę granicę wiekuistej nicości w Kahlan i we mnie. Widziałaś i słyszałaś, co jest po drugiej stronie. Jak mówiłem, ta zielona ściana bywa ostrzeżeniem, podobnie jak osłony umieszczane przez czarodziejów ostrzegają barwą i światłem, gdy za bardzo się do nich zbliżysz. W tym przypadku zbliżasz się do granicy śmierci. W innych miejscach ściany świata zmarłych są statyczne. Trwają, migocząc, tak że można je dostrzec z pewnej odległości. Wydaje się, że tutaj granica świata zmarłych pojawia się i znika. Nie jest w jednym miejscu. Przesuwa się.

– To ma sens – powiedziała Samantha. – Życie i śmierć w jednym miejscu i czasie, coś jak wymieszane składniki zupy.

– Racja, ale to oznacza również, że granica pomiędzy światami może być odmienna od tych, z którymi się wcześniej zetknąłem, gdy linie pomiędzy życiem i śmiercią były trwałe i można je było ominąć. Z tego, co tu widziałem, wynika, że granice te są płynne, poruszają się jak niesione powiewem babie lato. Dlatego są o wiele bardziej niebezpieczne. W takiej sytuacji niekoniecznie musisz przekroczyć granicę, żeby przepaść. Tutaj może ona sama się pojawić i cię otoczyć.

– To by było fatalne – powiedziała śmiertelnie poważnie, stwierdzając

oczywisty fakt.

– Cały czas musisz zważać na niebezpieczeństwo. Jeśli choć na moment stracisz czujność, możesz wbrew swojej woli wejść w zaświaty. Jeżeli tak się stanie, nigdy nie wrócisz.

Samantha znowu z powagą potaknęła.

– Rozumiem. Mam mieć oczy otwarte i być gotowa usunąć się z drogi zielonemu światłu.

– Właśnie. – Potwierdził energicznym skinieniem głowy i pospiesznie się rozejrzał. – Musimy ruszać. Ani na sekundę nie zapominaj o tym, co ci powiedziałem. Nie bardzo wiem, z czym się tu zetkniemy, lecz tego się nie spodziewałem. Bądźmy czujni.

– Tak, lordzie Rahlu.

– Jeszcze coś.

– Słucham.

– Gdyby coś się stało i byśmy się rozdzielili, najważniejsze jest wydostanie stąd naszych ludzi: moich przyjaciół i twojej mamy. Rozumiesz?

– Rozumiem, lordzie Rahlu. Znaleźć czarodziejów Zedda i Nicci i zabrać ich, żeby mogli cię wyzwolić od tkwiącej w tobie śmierci, byś mógł zakończyć proroctwo i usunąć niebezpieczeństwo grożące światu życia.

Richard by się uśmiechnął, bo zabrzmiało to jak wyuczona lekcja, a Samantha była taka przejęta, lecz powaga sytuacji nie zachęcała do radości.

– Dobrze. A teraz posłuchaj. Możesz uważać, że jestem wybrańcem, lecz są ludzie, którzy lepiej się znają na takich sprawach niż ja. Zedd wie więcej ode mnie. A Nicci pewnie jeszcze więcej. Oboje mają potężną moc, wielkie doświadczenie i wiedzę. To bardzo ważne, nie lekceważ tego. Nawet beze mnie mogą potrafić przezwyciężyć zagrożenie.

– Skoro są tacy potężni, to czemu ich pojmano? Richard westchnął.

– Choćbyś była nie wiem jak potężna, nie oznacza to, że zawsze zwyciężysz. Niekiedy sprawy po prostu idą źle.

Samantha przytaknęła.

– Co teraz?

– Wejdziemy tam i ich odnajdziemy. Trzymaj się blisko mnie i bądź czujna.

Kiwnęła głową, a Richard jeszcze raz wyjrzał za wrota. Nie zobaczył nikogo na tej upiornej ziemi z samotną ciemną skałą i zielonymi światłami

rozbłyskującymi na bezkresnym pustkowiu. W oddali nad posępną krainą wisały opary.



## ROZDZIAŁ 52

Kiedy obchodzili skrzydło wrót, Richard podniósł wzrok i ponad wejściem zobaczył wielki kamienny łuk. Widział go już przez skalne okno w Stroyzie. Z bliska, w całej okazałości, był wręcz monstrualny, przerażający.

Łuk tworzyła głowa z pałającymi wściekłością oczami zrobionymi z czerwonego marmuru. Dwa potężne kły zwieszały się, jakby gotowe wbić się w każdego, kto będzie próbował wejść. Miało to być ostrzeżenie, że przekraczając wrota, wchodzi się w paszczę potwora. Dobitne podkreślenie śmiertelnego zagrożenia.

Była to tak oczywista groźba, że właściwie można ją było uznać za stwierdzenie: „Nie bądź głupi i nie wchodź tam”.

We wrotach Samantha coś wskazała.

– Popatrz, lordzie Rahlu – wyszeptała.

Richard się odwrócił. Na wewnętrznej stronie wrót w metalowych płytach wytłoczono symbole. Kiedy skrzydła były otwarte, ogromny centralny symbol był rozdzielony na pół, a kiedy były zamknięte, stanowił całość. Zaczerpnięto go z mowy Początku, jak te na maszynie wróżebnej i w przesłaniu Nai Moon w Stroyzie.

Nie rozumiał każdego elementu, lecz nie miał wątpliwości, że to części składowe potężnego czaru. Te symbole miały zaklinać moce, których jeszcze nie widział przedstawionych graficznie i które nie w pełni pojmował.

To, co zrozumiał, świadczyło o tym, iż są to zaklęcia powstrzymujące. Zapis w mowie Początku miał nie tyle przekazywać informacje, ile przywoływać moc.

Wrota stały otworem, toteż potężne zaklęcie, zamek spajający skrzydła, był złamany.

Richard poczuł zimny dreszcz – uświadomił sobie, że zerwano pieczęć na wrotach prowadzących do zaświatów.

Nie chciał już poświęcać ani chwili na studiowanie wszystkich symboli na wrotach. Czary były złamane, więc nie miały znaczenia. A do niego należało – czy był na to gotowy, czy nie – uporanie się ze skutkami otwarcia wrót.

Pospiesznie poprowadził Samanthę ku skalnym występom po prawej

stronie, dającym osłonę. Z każdym krokiem oddalali się od wrót i muru, starali się nie pozostawać na widoku, na wypadek gdyby półludzie zacierali ku wyjściu z trzeciego królestwa.

Kiedy tak wędrowali wśród skał, po bokach falowały płachty zielonego poblasku. Richard przystawał i obserwował, jak zasłony niesamowitego światła dryfują leniwie nad ziemią, a ich rąbki migoczą, kiedy muskają grunt. Nie spuszczał z nich oka i upewniał się, że żadnej nie ma w pobliżu, nim ruszył dalej.

Jeszcze nigdy nie widział, żeby granica zaświatów tak się poruszała. Zawsze tkwiła w jednym miejscu, nieruchoma przegroda. Czuł zimny dreszcz, obserwując tę sunącą nad ziemią granicę świata zmarłych.

Wychodząc z formacji skalnej w kształcie kolumny, nieco różniącej się barwą, zauważył w pobliżu człowieka idącego w ich stronę.

Uświadomił sobie, że jest już za późno, żeby się ukryć. Kiedy tamten podniósł wzrok i ich zobaczył, wyraz jego oczu powiedział Richardowi, że to jeden z przeklętych półumarłych, gotów skorzystać z nadarzającej się okazji.

Richard w mgnieniu oka zdjął łuk z ramienia. Napiął go, wyjął strzałę z kołczanu przymocowanego z boku plecaka i nałożył na cięciwę.

Miał wrażenie, że czas zwolnił, kiedy mężczyzna wyszczerzył zęby i ruszył ku nim biegiem.

Richard skupił się na ostrym grocie, wycelował i strzała już leciała. Wbiła się w lewe oko gnającego mężczyzny, dokładnie tak, jak chciał Richard: oczodół to wrażliwe miejsce i strzała zrobi, co trzeba. Miała tyle impetu, że częściowo wynurzyła się z tyłu głowy.

Mężczyzna, nadal rozpedzony, zachwiał się i runął twarzą na kamienisty grunt; był martwy, jeszcze zanim upadł.

Richard rozejrzał się, wypatrując zagrożenia, a potem wyskoczył z za skał. Złapał trupa za ramię i wciągnął między głązy.

– Co robisz? – spytała zaniepokojona Samantha. – Po co go tu przywlokłeś?

– Musimy go ukryć. Jeśli ktoś go zobaczy, zaalarmuje innych. Nie chcę dawać im powodów do podejrzeń ani do pościgu za nami.

– To otwarta przestrzeń – powiedziała. – Jak zdołasz go ukryć?

– Z łatwością – oznajmił Richard. Chwycił tamtego za koszulę i odwrócił go na plecy. Z przykrością stwierdził, że strzała się złamała, kiedy mężczyzna

upadł; inaczej by ją wyjął. Nie lubił marnować strzał.

Natężył się, podniósł trupa i czekał na właściwy moment. A potem, stęknąwszy z wysiłku, cisnął go w sunącą ku nim ścianę zielonego blasku. Zamigotała, kiedy ciało w nią uderzyło, i lekko zafalowała, kiedy przez nią przelatywało.

Mężczyzna zniknął.

– No proszę – mruknęła Samantha. – Teraz widać, czemu mówiłeś, żeby nie przechodzić przez zielone światło.

– Z pewnością byłby to twój ostatni krok.

– I tak nie rozumiem – stwierdziła. – Pojmuję śmierć, ale gdzie się podziało ciało? Kiedy ludzie umierają, ich ciała nie znikają, tylko świadomość, dusza. Gdzie ono się podziało?

– Nie wiem, Samantho – powiedział z roztargnieniem. Miał większe powody do zmartwienia.

– Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, a już zwłaszcza w trzecim królestwie.

Rozejrzał się bacznie, nie tracąc z oka zielonkawej zasłony zaświetów. Niesamowity, nieprzejrzysty woal migoczącego światła przesunął się obok nich, a potem powoli zbladł i znikł, jakby nigdy go tu nie było. Richard przecesał wzrokiem okolicę, wypatrując zagrożenia, ale nikogo już nie dostrzegł. Mężczyzna najwyraźniej był sam.

– Idziemy. Trzymaj się blisko.

– Dobrze – powiedziała Samantha, dotrzymując mu kroku. – Po prostu wydało mi się dziwne, że jego zwłoki zniknęły.

– Cała ta kraina jest dziwna – dodał Richard, kiedy ruszyli w głąb trzeciego królestwa.

## ROZDZIAŁ 53

Kahlan gwałtownie się ocknęła.

Słyszała dziwne hałasy. Starła się skupić; zaczęła sobie mgliście zdawać sprawę z odległego, przytłumionego gwaru. Nie mogła zrozumieć słów, lecz wyczuwała w głosach niepokój.

Zamrugła. Widziała tylko rozmazany blask świateł. W gardle miała sucho, obrzmiały język przylgął do podniebienia. Przełknęła, starając się znaleźć w ustach choć trochę śliny. Była zbyt słaba, żeby się poruszyć.

Chociaż izbę łagodnie oświetlały świece, musiała mrużyć oczy, bo płomyki były dla niej zbyt jaskrawe. Po całej wieczności przeraźliwej czerni światło raniło jej oczy.

Uświadomiła sobie, że leży na macie w niewielkiej, skromnej izbie. Nie rozpoznawała tego miejsca. Nie miała pojęcia, gdzie też może być. Nawet się nie domyślała.

Grube świece stały na półkach wbudowanych w otynkowane ściany. Podłogę zakrywały grube dywany o barwnych wzorach. Dostrzegła też parę krzeseł i stół, może nie eleganckie, ale solidnie wykonane. Drewniane drzwi po drugiej stronie izby były zamknięte. Wzrok jej się wyostrzał; nie było tu okien, więc nie mogła stwierdzić, czy to dzień, czy noc.

Kątem oka dostrzegła kobietę w średnim wieku, z krótkimi, prostymi włosami, ubraną w skromną szarą suknię. Siedziała w pobliżu na niskiej skrzyni. Zwracała głowę ku przytłumionym głosom dochodzącym z oddali. Dlatego się nie zorientowała, że Kahlan otworzyła oczy.

Kahlan ucieszyła się, widząc, że uwagę tamtej zajmuje hałas, który i ona słyszała. To oznaczało, iż sobie nie wyobraziła tych głosów, że nie są one częścią mrocznego świata, w którym tak długo przebywała. I tam słyszała przerażające szepty. Wzywały z mroku.

Kahlan przebierała palcami, w których czuła mrowienie. Poruszyła zeszywniałym przegubem. Zdołała trochę się unieść, na tyle, żeby się podeprzeć łokciami. Musiała chwilę odpocząć, zanim udało jej się usiąść.

Pochyliła się, podpierając się jedną ręką. Drugą dotknęła brzucha rozciętego przez Jit. Spodziewała się bólu i strasznej, krwawej rany. A poczuła pod palcami ścisły ścieg koszuli. Rozejrzała się, ale nie zobaczyła

Richarda.

Kiedy odwróciła głowę, dostrzegła drzwi w głębi izby. Okalały je rzeźbione wzory, a pośrodku widniała precyzyjna Grace. Dobrze było ją zobaczyć. Odrobinę się uspokoiła, widząc symbol obrazujący naturę wszechrzeczy.

Przeraźliwie bolała ją głowa. Była zdezorientowana i nie mogła się połapać w rzeczywistości. Irytowało ją, że nie potrafi ułożyć znanych fragmentów we właściwym porządku; że w jej pamięci zieją dziury; że nie wie, czemu aż tyle brakuje. Rozmaite elementy – słowa, obrazy – chaotycznie się kłębiły.

Miała uczucie, że odbyła długą i ciężką podróż, lecz nie ma dokładnych wspomnień. A może przez tę pełną męki wieczność, kiedy leżała, nie mogąc się obudzić, śniła koszmarny sen. Trudno było orzec, co było jawą, a co osobliwym, pełnym ech, nieostrym światem snów, który nie chciał jej wypuścić.

– Proszę – wykrztusiła ochryple – wody...

Kobieta siedząca na skrzyni podskoczyła. Przyłożyła rękę do piersi w geście zaskoczenia i przestachu.

– Ale mnie wystraszyłaś.

– Wybacz – zdołała szepnąć Kahlan. Język miała opuchnięty.

– Nareszcie – powiedziała kobieta, pospiesznie podchodząc i klękając obok. – Tak się martwiłam. Sammie... hm, teraz Samantha... powiedziała, że się obudzisz. Miała rację.

Kahlan wolniutko uniosła rękę i położyła na ramieniu kobiety.

– Proszę... wody... proszę... Kobieta wyrzuciła ręce w górę.

– O! Wybacz! Tak, woda. Natychmiast. Mam tutaj. Zaraz przyniosę.

Podbiegła do stołu i nalała z dzbanka wody do kubka. Niosąc oburącz kubek cennego płynu, pospiesznie wróciła do Kahlan.

Delikatnie położyła dłoń na jej plecach, żeby się nie chwiała, siedząc, i przytknęła kubek do jej ust.

– Spokojnie. Nie pij za szybko. Długo spałaś. Sammie, to znaczy Samantha, zdołała cię trochę napoić, ale obawiam się, że to było za mało po tak długim...

– Kto? – zapytała Kahlan oszołomiona paplaniną kobiety.

– Wybacz. To w tej chwili nieważne. Upij łyk. Pij powoli.

Woda przewyższała smakiem wszystkie trunki, jakie Kahlan kiedykolwiek piła. Wzięła parę łyków, a potem kobieta zabrała kubek.

– Powoli, powoli.

Kahlan kiwnęła głową, chcąc, by tamta znów przysunęła kubek. Teraz piła wolniej, omywając wodą wnętrze ust, rozkoszując się wilgocią. Była w stanie porządnie przelić.

Zauważyła, że kobieta popatruje na drzwi, ilekroć usłyszy głosy.

Kiedy znowu odwróciła głowę, zobaczyła, że Kahlan się jej przygląda.

– Och, wybacz, Matko Spowiedniczko. Jestem Ester. Richard prosił, żebym nad tobą czuwała.

– Richard – westchnęła Kahlan z ulgą i radosnym podnieceniem. Rozejrzała się, wypatrując jego rzeczy. – Jest tutaj? Gdzie?

– Przykro mi, ale nie. On i Sammie...

– Samantha.

Kobieta zachichotała.

– Tak, Samantha.

– Kim jest Samantha?

Kahlan była zadowolona, że woda przywróciła jej głos. Mówiła już niemal swobodnie.

– Samantha to nasza czarodziejka. Mieliśmy ich więcej, ale została tylko ona, bo jej ojca zamordowano, a matka zniknęła.

Oszłomiona Kahlan przesłoniła twarz dłonią i na chwilę zamknęła oczy, żeby odpoczęły od światła. Miała wrażenie, że nadal przebywa w świecie snów, gdzie słowa nie mają żadnego sensu.

– Wybacz, Matko Spowiedniczko, gadam za szybko i tylko mącą ci w głowie. Kahlan kiwnęła głową.

– Richard?

– On i Samantha musieli iść. Kahlan zamarło serce.

– Dokąd?

Ester głęboko zaczerpnęła powietrza.

– To długa historia, Matko Spowiedniczko. A ty dopiero się ocknęłaś. Nie chcę tak od razu cię przytłaczać. Pij. Powinam ci przynieść trochę zupy. Zostały z ciebie skóra i kości. Powinnaś jeść.

Kahlan przyjrzała się sobie. Istotnie straciła trochę na wadze, ale niezbyt dużo.

– Pojmała mnie Zaszyta Służka... – powiedziała, próbując połapać się w świecie i zrozumieć, jak się znalazła w tej dziwnej izbie.

– Jit – dopowiedziała Ester. Kahlan spojrzała na nią.

– Tak, Jit. – Zmrużyła oczy, starając się sobie przypomnieć. – Richard... Chyba tam był... Ester kiwała głową.

– Tak, powiedział nam, że poszedł tam, żeby cię uwolnić z rąk tej okropnej kobiety. Zaszyta Służka była złą istotą. Niestety, Jit pojmała i jego, ale potem ją zabił...

– Richard zabił Jit? – Kahlan przytknęła dłoń do czoła, próbując sobie przypomnieć tak doniosłe wydarzenie.

– Tak, ale... łączą się z tym pewne kłopoty. Kahlan potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem. – To wszystko wydawało się jej tak odległe. – Wybacz, Ester, ale nie rozumiem, o czym mówisz. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, kim jesteś, gdzie jestem, jak się tu dostałam.

Ester popatrzyła na drzwi. Głosy się zbliżały. Na jej twarzy malowało się napięcie. Kahlan też się zorientowała, że głosy nie brzmią przyjaźnie. Chyba słyszała mężczyznę, który czegoś żądał.

Ester odwróciła się do niej.

– Lord Rahl i Henrik...

– Henrik. – Przypomniała sobie chłopca. – Jest tutaj? Nic mu się nie stało?

– Nic, nic – zapewniła Ester. – Lord Rahl i Henrik opowiedzieli nam, co się stało. Nie wszystko, jak mi się zdaje, ale całkiem sporo. Lord Rahl musiał iść i chciał, żebym ci to wyjaśniła, powiedziała, co się wydarzyło.

– Dokąd musiał iść? – To brzmiało tak, jakby Richard ją zostawił, kiedy była nieprzytomna. – Czemu nie został przy mnie?

Ester, widząc, że Kahlan się denerwuje, położyła jej dłoń na ramieniu.

– Matko Spowiedniczko, dokładnie ci to wyjaśnię, gdy tylko coś zjesz i dojdiesz do siebie. Dobrze? Na razie niech wystarczy ci to, że Richard przyszedł ci na ratunek i zabił Jit. Lecz kiedy umierała, umieściła w was skazę śmierci.

## ROZDZIAŁ 54

Kahlan przyłożyła palce do czoła. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Zmarszczyła brwi i nachyliła się ku kobiecie.

– Co takiego?

– Oboje macie w sobie skazę śmierci, naznaczyła was nią Zaszyta Służka swoim krzykiem. To on właśnie ją zabił. Ten dźwięk uśmierciłby każdego, kto by się znalazł w pobliżu. Także ciebie i lorda Rahla, ale udało mu się uchronić was od najgorszego. Krzyk Jit was nie zabił, ale zostawił w was załazek śmierci. Twój przypadek jest gorszy. Oboje byliście w fatalnym stanie, nie tylko z powodu ran, jakie odnieśliście w niewoli Zaszytej Służki, ale i przez tę skazę śmierci. Wasi przyjaciele, człowiek imieniem Zedd i kilku innych, czarodziejka Nicci i ta druga kobieta...

Ester przytknęła palec do ust i przymknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie imię.

– Cara? – domyśliła się Kahlan. Ester pstryknęła palcami.

– No właśnie, Cara. Wasi przyjaciele i mnóstwo żołnierzy zjawili się z pomocą. Zabrali ciebie i Richarda z kryjówki Jit i wracali z wami do pałacu, kiedy napadli was półludzie z trzeciego królestwa.

Zdezorientowana Kahlan ukryła twarz w dłoniach. Czowała, że gubi wątek opowieści.

– Jacy ludzie i skąd?

– Półludzie z trzeciego królestwa – powtórzyła Ester, znowu popatrując na drzwi i chwilę nasłuchując.

Dalej słyhać było jedynie gwar, w którym nie dało się rozróżnić słów. Kahlan zaczęła coś mówić, lecz Ester gestem nakazała jej cierpliwość.

– Zaatakowano was. Wszystkich, oprócz ciebie i lorda Rahla, albo zabito, albo pojmano. Napastnicy was nie zauważyli, bo Cara przykryła was płachtą na wozie. Udało się was ukryć, ale pozostałych zabito albo uprowadzono.

Wstrząśnięta Kahlan zakryła usta dłonią. Serce jej waliło. Martwiła się, że obudziła się w świecie, który oszalał.

– Wiesz, czy ktoś z pojmanyh wciąż żyje?

– Przykro mi, ale nie wiemy. Kiedy zabrali was z kryjówki Jit, czarodzieje starali się uleczyć wasze rany, ale nie zdołali tego ukończyć, bo was



napadnięto. Nie wiadomo, kto nie żyje, a kogo zabrano w niewolę. Henrik był z wami. Kiedy Cara ukryła ciebie i lorda Rahla pod płachtą, kazała Henrikowi uciekać i sprowadzić dla was pomoc. Na szczęście szybko tu dotarł. Pospieszaliśmy na ratunek i kiedy się zjawiliśmy na miejscu, dwaj mężczyźni ściągnęli was z wozu.

– Dwaj spośród napastników? – zapytała Kahlan. – Oni nadal tam byli?

– Nie, to byli odmienni ludzie.

– Odmienni?!

– Wiem, że to dziwnie brzmi – powiedziała Ester, uprzedzając pytania Kahlan. – Można by rzec, iż napastnicy zniknęli, a to byli łajdacy, którzy się napatoczyli.

– Rozumiem. I co potem?

– Próbowali zabić lorda Rahla, a ciebie chcieli zabrać ze sobą. Przyszliśmy w samą porę. My zabiliśmy jednego, a lord Rahl, choć okropnie pogryziony, zdołał zabić drugiego napastnika.

– Drogie duchy... – wyszeptała Kahlan przez palce dłoni, którą zasłoniła usta.

– Byliście w bardzo złym stanie. Sammie... to znaczy Samantha uleczyła zwykłe rany i skaleczenia, ale nie mogła pozbyć się zwały śmierci umierającej Zaszytej Służki. Lord Rahl powiedział, że do tego potrzeba Zedda i czarodziejki i że najpierw musicie wrócić do pałacu, bo tylko tam można to zrobić.

– W porządku – westchnęła Kahlan, starając się nie stracić wątku opowieści i zbytnio się nie niecierpliwić. – To zrozumiałe.

Ester współczująco dotknęła jej ręki.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Matko Spowiedniczko, lecz jeśli czarodzieje Zedd i Nicci nie zabiorą was do tego specjalnego miejsca w Pałacu Ludu...

– O czym ty mówisz?

Kobieta się skrzywiła i pokręciła głową.

– Wybacz, ale nie jestem obznajomiona z takimi sprawami. Chodzi o jakieś pole. Tak, chyba o pole.

– Masz na myśli pole ograniczające? – podsunęła Kahlan. Ester się uśmiechnęła.

– Właśnie, pole ograniczające. – Uśmiech zaraz zniknął. – Jeżeli was nie

umieszczą w tym polu, to mroczna skaza was zabije. Jit w końcu się o was upomni. Jedyna nadzieja w tym, że wasi przyjaciele zrobią, co w ich mocy, i to w tym polu ograniczającym.

Kahlan wiedziała, że jest poważnie chora. Czuła w sobie mroczny, zły cień wysysający z niej życie. Instynktownie pojęła, że Ester mówi prawdę. Zrozumiała, dlaczego Richard ją zostawił, i jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

Dała Ester znak, żeby podjęła opowieść.

– I co potem?

– Lord Rahl z Samanthą wyruszyli uwolnić waszych przyjaciół. Mają też nadzieję, że jest z nimi mama Sammie.

– Rozumiem – powiedziała Kahlan, starając się to przyswoić.

Wciąż była dezorientowana i trudno jej było złożyć w całość wszystkie fragmenty.

Najpierw poczuła ulgę, kiedy się dowiedziała, że Richard żyje i że uciekli z kryjówki Zaszytej Służki. Lecz teraz znowu zaczynała się bać.

Ester, widząc, że Kahlan jest zaniepokojona, położyła jej dłoń na ramieniu.

– Matko Spowiedniczko, lord Rahl chciał...

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Ester się wzdrygnęła i krzyknęła.

Do izby wkroczył wysoki mężczyzna. Zachowywał się władczo. Za nim kobieta, lecz przy drzwiach nie było świec i Kahlan nie za dobrze ją widziała.

Mężczyzna o surowym wyglądzie miał na sobie skromne czarne okrycie z usztywnionym kołnierzem. Było zapięte pod samą szyję, przez co kołnierz niemal się zamykał. Nosił też czworokątne, pozbawione ronda nakrycie głowy. Blond włosy miał krótko przycięte po bokach.

Kahlan zamrugnęła ze zdumienia.

– Opat Dreier?

Wyglądał na równie zdumionego jej widokiem. Szybko się jednak otrząsnął.

– Matka Spowiedniczka. – Na jego twarz wypełził chytry uśmieszek, którego Kahlan bardzo nie lubiła. – Co za miła niespodzianka.

Ester wstała, więc uprzejmie zdjął nakrycie głowy. Posłał i jej uśmieszek. Ester z respektem cofnęła się o krok.

– Opat Ludwig Dreier – przedstawił się niemal radośnie.

– Ester – powiedziała, skłaniając głowę. – Witamy w Stroyzie, opacie.

Twoja wizyta to zaszczyt dla naszej skromnej wioski.

– Taak – rzekł przeciągle, nadal się uśmiechając.

Ostentacyjnie się rozejrzał i znowu skierował przebiegłe spojrzenie na Kahlan.

– Lord Rahl jest z tobą, Matko Spowiedniczko? Objeżdżacie Mroczne Ziemie i zajrzeliście do leżącej na uboczu wioseczki Stroyza, czyż nie?

Kahlan lekko zmarszczyła brwi.

– Gdzie?

Zatoczył łuk ręką.

– Do Stroyzy. Nie wiesz, gdzie jesteś?

– Mogę być pomocna, opacie? – zapytała Ester, najwyraźniej próbując uchronić dezorientowaną Kahlan przed wypytywaniem.

Błysnął ku niej obojętnym uśmiechem.

– Chcieliśmy się przekonać, czy znajdują się jacyś ochotnicy do pomocy w opactwie.

Znowu popatrzył na Kahlan, wyraźnie zainteresowany nieoczekiwanym gościem. Wtedy wyszła zza niego towarzysząca mu kobieta.

Kahlan ze zdumieniem zobaczyła, że to Mord-Sith.

A co jeszcze dziwniejsze, nie rozpoznała jej.

## ROZDZIAŁ 55

Ponadto Mord-Sith nosiła czarną skórę.

Kahlan widywała Mord-Sith w brązowym, białym i oczywiście czerwonym skórzanym uniformie, lecz nigdy w czerni.

To był mrozący krew w żyłach widok.

Przez chwilę wątpiła, że to naprawdę Mord-Sith. Blond włosy splecione były w warkocz, jak zwykle u Mord-Sith, ale to nie uczesanie czyni Mord-Sith. Ani skórzany uniform w odpowiednim kolorze. Idealna sylwetka wysokiej kobiety i otaczająca ją groźna aura też nie dowodziły, że to Mord-Sith.

Wiele kobiet mogło się tak czesać i ubierać. Mogło być i tak, że ta odgrywała tę rolę na żądanie napuszonego opata. Pasowałyby to do wyobrażeń Kahlan o Ludwigu Dreierze, który pewnie chętnie by pozował na ważną osobistość, mając taką obstawę.

Kahlan zaniepokoił jednak pozbawiony ozdób czerwony pręt wiszący na delikatnym złotym łańcuszku na prawym nadgarstku kobiety. To dowodziło, że jest ona Mord-Sith. Tylko Mord-Sith nosiły Agiel. Trudno było sobie wyobrazić, by jakaś kobieta miała fałszywy Agiel tylko po to, żeby udawać Mord-Sith. Gdyby ją przyłapano na czymś takim, prawdziwe Mord-Sith żywcem obdarłyby ją ze skóry.

Wlepiała w Kahlan lodowate niebieskie oczy.

– Mieliśmy tu ostatnio wielkie kłopoty – powiedziała Ester, starając się mówić unizonym tonem – więc przykro mi, ale nikt nie będzie mógł... się zgłosić na ochotnika do pomagania w opactwie.

– Kłopoty? – zapytał opat niby to zdumiony jej słowami. – Jakie?

Kahlan odniosła wrażenie, że świetnie wie, choć ona sama nie miała pojęcia.

Ester zerkała nerwowo na boki. Zacierała dłonie, starając się wymyślić, jak to opowiedzieć.

– No... cóż... napadli nas. Zaatakowali wioskę.

– Zaatakowali! – Opat wydawał się wstrząśnięty i zatroskany. Kahlan nie sądziła, że jest szczerzy. – No cóż, brzmi poważnie.

– I było – powiedziała Ester, energicznie kiwając głową. – Bardzo

poważne.

– W czasach pokoju? W prowincji Fajin? Biskup się zaniepokoi, słysząc o takich zajściach w jego ukochanej krainie. Hannis Arc z przykrością usłyszy, że jego ludzi zaatakowano. Mogę cię zapewnić, że ani trochę mu się to nie spodoba.

– Jestem pewna, że nie – rzekła cicho Ester. Opat Dreier nachylił się ku niej.

– Kto was zaatakował?

Kobieta odkaszlnęła.

– No więc to byli ci... nie wiem, jak ich opisać.

– Najlepiej najprościej – rzucił opat chłodno, prostując się i splatając dłonie na brzuchu.

– Nnnno – dukała Ester – zaatakowali nas... umarli. Opat zmarszczył brwi i znowu się lekko ku niej pochylił.

– Umarli?!

Ester się skuliła, słysząc jego ton.

Kahlan znowu wszystko zaczęło się mieszać. Zastanawiała się, czy aby się nie znalazła na powrót w zmiennym, rozmywającym się królestwie snów. Miała uczucie, że już na zawsze w nim ugrzęzła. Ciekawa była, czy naprawdę tak się stało i czy to tutaj jest jego częścią.

Lecz wyczuwalne w izbie napięcie nie było sennym złudzeniem. Nigdy nie lubiła opata Dreiera, lecz w przeszłości jako Matka Spowiedniczka zawsze miała nad nim przewagę i on o tym wiedział. Ostatnio spotkała go w Pałacu Ludu, na ślubie Cary i Benjamina. Opat był wyjątkowo nieznośny, upierał się, że ona i Richard mają ujawnić prorocstwo i że powinni się nim kierować w rządzeniu imperium D'Hary.

Dreier narobił zamieszania wśród licznych przywódców krain, wmawiając im, że mają prawo znać prorocstwo. Kahlan podejrzewała, że podzegał też do morderstwa.

Wtedy się go nie obawiała, lecz teraz było inaczej. Czowała się wyjątkowo bezbronna.

Oczywiście choćby była bardzo słaba, będzie się mogła w razie potrzeby uciec do swojej mocy Spowiedniczki. Ta myśl ją podbudowała. Wcale nie była bezbronna. Wprost przeciwnie.

Wystarczyłoby jedno dotknięcie i byłby to koniec opata Dreiera. Nie

miałby najmniejszej szansy. Powinien zachować większą ostrożność.

– Umarli – powtórzył, bo Ester wyglądała na zbyt onieśmioną, by kontynuować opowieść. Dreier wlepił w nią wzrok, czekając, aż się odezwie, a ona skubała guzik sukni.

Mord-Sith wbijała w Kahlan nieruchome, gniewne spojrzenie.

– Nnno tak. Przynajmniej wyglądali jak trupy – wyjaśniła jednym tchem.  
– Wiem, że to dziwnie brzmi, ale nie umiem tego wyjaśnić. Mogę jedynie opowiedzieć, cośmy widzieli. Napadli na nas ludzie wyglądający jak świeżo wykopane z grobu zwłoki. Jak chodzące trupy. Pojawili się znienacka i zabili wielu mieszkańców wioski. A zranili jeszcze więcej.

Kahlan pomyślała, że to naprawdę brzmi jak wariactwo, lecz Ester nie wyglądała na szaloną.

– Nooo prooszę – rzekł przeciągle opat. Spojrzał na Mord-Sith. – Umarli. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

Kobieta o blond włosach skierowała na niego wzrok i pokręciła głową.

– Nie mogę rzec, bym słyszała. Opat znowu popatrzył na Ester.

– A jak zdołaliście odeprzeć ich atak?

– Lord Rahl wszystkich zabił. Dreier uniósł brew.

– Powiedziałaś chyba, że byli martwi. Jak mógł zabić ludzi, którzy już nie żyli?

– Właściwie to... – wykonała ręką gest, jakby coś siekała – ...tak naprawdę poszatkował ich na kawałki. I kazał nam je spalić.

Opat głośno westchnął.

– Dzięki Najwyższemu, że lord Rahl był pod ręką. Inaczej byłaby rzeź.

– Tak – zgodziła się Ester – byłaby, ale i tak dla nas było to straszne przeżycie. Wielu zginęło. Jeszcze liczniejsi zostali ciężko ranni. Wciąż się staramy otrząsnąć, pomóc poszkodowanym i cierpiącym.

– Rozumiem – stwierdził opat – że mieszkańcy Stroyzy mają teraz pełne ręce roboty. – Pocierał palcem brodę, marszcząc w zamyśleniu czoło. – Może znajdziemy kogoś innego, kto zechciałby zastąpić mieszkańców waszej wioski.

Ester skłoniła głowę.

– Bylibyśmy ogromnie wdzięczni, opacie. Niespiesznie przeniósł wzrok na Kahlan.

– Co tutaj robisz, Dreier? – spytała zimno, chcąc przerwać te czcze

pogaduszki. Z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Szukam pomocy przy prorocत्वach, Matko Spowiedniczko. Jestem pokornym sługą biskupa Hannisa Arca. Dostarczam prorocत्वa pomagające mu władać prowincją Fajin. Oraz innymi ziemiami, których władcy ostatnio zwrócili się doń z prośbą o przewodnictwo i wskazówki.

Ester się zbliżyła, wciąż skubiąc guzik. Pokazała Kahlan.

– Obawiam się, opacie Dreier, że Matka Spowiedniczka jest chora. Wiele wycierpiała. Właśnie ją opatrywałam. Jest bardzo słaba i potrzebuje wypoczynku. Wiem, że chciałbyś, by wyzdrowiała jak najszybciej. – Lekko skłoniła głowę. – Jestem pewna, że lord Rahl doceniłby twe zrozumienie dla jego żony i byłby wdzięczny, gdybyś pozwolił jej odpocząć.

Dreier przez chwilę się w nią wpatrywał z lodowatym uśmiechem, a potem rozejrzał się z przesadną uwagą.

– Lord Rahl... jest tutaj? No tak, posiekał te trupy na kawałki, więc musi tu być. Chciałbym mu podziękować osobiście w imieniu nie tylko mieszkańców Stroyzy, ale i całej prowincji Fajin, za mężne rozprawienie się z zagrożeniem. Kolejny raz dał się poznać jako obrońca niewinnych ludzi.

Ester odkaszlnęła.

– Niestety, musiał odejść... na krótko. Powinien wkrótce wrócić. Na pewno. Wkrótce.

– Rozumiem. – Opat wygładził przód okrycia. – No cóż, ja sam mam niewielki talent uzdrowicielski. Mógłbym pomóc naszej Matce Spowiednicze.

– Ale Samantha już... – Ester umilkła, kiedy opat posłał jej zimne spojrzenie.

Zmusił ją wzrokiem, żeby się cofnęła, odwrócił się do Kahlan i ukląkł obok niej. Wyciągnął rękę, chcąc dotknąć jej czoła. Odchyliła głowę i uniosła rękę, by powstrzymać jego dłoń.

– To nie będzie konieczne. Muszę jedynie wypoczywać. Odepchnął jej rękę.

– Ależ Matko Spowiedniczko, nie obawiaj się przyjąć mojej skromnej pomocy. Tylko chwilkę zajmie mi sprawdzenie, czy mógłbym coś zrobić.

Dotknął jej czoła dwoma palcami. Pochylił głowę, koncentrując się.

– Pozwól mi sprawdzić...

Zrobił zdziwioną minę i spojrzał Kahlan w oczy.

A potem się odchylił, leciutko się uśmiechając samymi kącikami ust.

– Wygląda na to, że ostatnio doświadczyłaś uzdrawiania. I to biegłego. Wyczuwam to. Czuję działanie daru, którym cię uzdrawiano.

Ester przelotnie spojrzała na Kahlan.

– Jak mówiłam, Sammie ją leczyła. Powiedziała, że Matce Spowiednicze wystarczy wypoczynek.

Opat wstał, rzucając Mord-Sith znaczące spojrzenie.

– Sądzę, że jej stan pozwala na podróż. W opactwie mogę być niebywale pomocny w przywracaniu jej zdrowia.

– Nie – zaprotestowała zdecydowanie Ester, choć się go bała. – Powinna wypoczywać tutaj.

Lord Rahl życzył sobie, żeby tu została. Nie chciałby, żeby ją przewożono.

Opat niedbale wyciągnął ku Ester palec. Kobieta zadygotała. Ręce jej drżały, zdezorientowana zamrugła. Cofnęła się parę kroków, ciężko oddychając, jakby ją coś bolało. Kahlan nie wiedziała, co opat robi, lecz było jasne, że ma potężną moc i zadaje Ester ból.

Dreier, przebywając w pałacu, nigdy się nie zdradził, że ma dar.

– Sądzę, że powinnaś z nami pojechać – powiedział do Kahlan. – W opactwie będziemy lepiej dbać o twoje potrzeby.

– Obawiam się, że muszę odrzucić twoje uprzejme zaproszenie – odparła lodowato.

Opat Dreier przez chwilę się jej przyglądał, nie okazując żadnych emocji, a potem zwrócił się do Mord-Sith:

– Zabierz, proszę, Matkę Spowiedniczkę. Poczekam na zewnątrz.

Chwył Ester za ramię i wypchnął z izby. Zatrzymał się i od progu jeszcze raz popatrzył na Kahlan.

– Mord-Sith potrafi być przekonująca. Doradzam współpracę, kiedy będzie cię eskortować do naszego powozu.

Z tymi słowy wyszedł, zamykając za sobą drzwi.



## ROZDZIAŁ 56

Kiedy zostały same, Mord-Sith się uśmiechnęła – jak to one potrafią – tak że mogą pozbawić człowieka tchu.

– Nie przedstawiono nas sobie. Jestem Erika. Dla ciebie pani Erika. Kahlan wpatrzyła się w nią gniewnie.

Erika westchnęła zniecierpliwiona.

– Czyli ma być tak, a nie inaczej?

– Wyjdź – nakazała Kahlan.

Erika z kpiącą dwornością rozłożyła ręce.

– Niestety, opat cię zaprosił. Nakazał, żebym ci pomogła. Będzie ze mnie ogromnie niezadowolony, jeśli nie zrobię tego, co kazał. Możesz mi wierzyć, że nie mam zamiaru zawieść opata.

– Wszyscy od czasu do czasu kogoś rozczarowujemy – stwierdziła Kahlan. Mord-Sith skwitowała to uśmiechem. Poruszyła palcami.

– Wstań.

– Nie mogę. Jestem osłabiona.

– Chyba mnie nie zrozumiałaś. Zapewne sądzisz, że cię poprosiłam. – Znowu na jej ustach pojawił się uśmieszek. – Lecz ja ci nakazałam. A teraz wstawaj.

Kahlan uznała, że to dziecinada. Nie pozwoli się zastraszyć Mord-Sith. Tej tutaj w ogóle nie powinno tu być. Jeśli naprawdę jest Mord-Sith.

Ponownie przyszło jej na myśl, że kobieta może być jedynie marionetką butnego opata, kimś, kto udaje prawdziwą Mord-Sith. Wyglądała na osobę uwielbiającą czuć, że jest ważna i że może zastraszać ludzi, przyglądać się, jak się kulą.

Kahlan nie miała zamiaru się płaszczyć.

Pochyliła się do przodu na tyle, żeby podciągnąć nogi. Serce zaczęło jej walić. Długo leżała nieprzytomna i była bardzo osłabiona. Przez chwilę klęczała, łapiąc równowagę, starając się zebrać siły i nie okazać słabości przy tej wyniosłej kobiecie. W końcu była Matką Spowiedniczką. Podniosła się z wysiłkiem – może nie całkiem się wyprostowała, ale prawie. Jakby mięśnie brzucha się skurczyły i nie pozwalały się jej rozprostować; gdyby mogła to zrobić, byłaby cal lub dwa wyższa od Mord-Sith.

– A teraz wyjdź – powiedziała przez zaciśnięte zęby, patrząc tamtej w oczy. – Drugi raz nie poproszę.

Nad zimnymi niebieskimi oczami uniosły się brwi.

– Bo co?

– Nie wiem, skąd jesteś, ale najwyraźniej niewiele wiesz. Erika wzruszyła ramionami.

– Wiem, że opat Dreier chce, żebym cię wyprowadziła. To wystarczy. Co jeszcze powinnam wiedzieć, Matko Spowiedniczko?

– „Spowiedniczka” to kluczowe słowo. Mord-Sith lekko się nachmurzyła.

– Naprawdę?

– Najwyraźniej jesteś nieświadoma zagrożenia, jakie Spowiedniczka stanowi dla Mord-Sith czy też kogoś, kto ją udaje.

– Zagrożenie? Z twojej strony? – Znowu się uśmiechnęła, tym razem z prawdziwym rozbawieniem. – Nie sądzę.

– Masz pojęcie, czym Mord-Sith grozi próba wykorzystania Agiela przeciwko Spowiedniczce? Skutki są przerażające i wszystkie Mord-Sith o tym wiedzą. To śmierć, której się boją.

– Czyżby? – Erika przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi. – Interesujące. Hmm, wiesz, nie muszę cię traktować Agielem. Wyglądasz na bardzo osłabioną. – W jej oczach pojawiła się groźba. – Nie sądzę, żebym potrzebowała Agiela, żeby sobie z tobą poradzić, nawet gdybyś była w lepszej formie.

Kahlan nie miała pojęcia, co się dzieje ani jak do tego doszło, lecz w owej chwili wiedziała, że musi dotknąć tę kobietę swoją mocą i że to nie będzie miłe.

– Lada moment przekroczysz granicę, zza której już nie będziesz mogła się cofnąć – ostrzegła złowieszczym tonem. – Proponuję, Eriko, żebyś się wycofała, póki masz szansę.

– Nie, Matko Spowiedniczko. Jak powiedziałam, poradzę sobie z tobą bez Agiela. A przede wszystkim, jak już mówiłam, dla ciebie jestem panią Eriką.

Zacisnęła Agiel w garści.

To była jawna groźba, akt wrogości, który przekroczył granice. Ta kobieta z jakiejś przyczyny nie ugnie się, jeśli Kahlan jej nie powstrzyma.

W umyśle Kahlan już się dokonało. Nie było odwrotu, już zaczynała uwalniać moc, gotując się do wykorzystania wrodzonego daru.

Mord-Sith zacisnęła zęby.

– Lecz w tym przypadku wolę się posłużyć Agielem. I dźgnęła nim Kahlan w brzuch.

Kahlan spodziewała się wybuchu mocy, która by powstrzymała Mord-Sith. Spodziewała się bezdźwięcznego gromu, który by wstrząsnął ścianami i na zawsze odmienił jaźń tej kobiety.

Zamiast tego jej usta otworzyły się pod wpływem straszliwego bólu, jaki czuła ledwie parę razy w życiu. Szok ją sparaliżował, pozbawił tchu. Zgięła się wpół nad Agielem. Miała uczucie, że to błyskawica, która może ją rozerwać na pół. Jej umysł wypełniła pustka; była tylko ta przeraźliwa, paląca udreka.

Usłyszała własny krzyk. Poczwała, że upada na podłogę.

## ROZDZIAŁ 57

Ból zadany Agielem był tak przeraźliwy, że choć pręt już jej nie dotykał, to umysł wciąż zalewał szok, nie pozwalając sformułować myśli ani nawet złapać oddechu.

Kahlan – oszołomiona, trzęsąca się od stóp do głów – przetoczyła się na plecy, podciągnęła kolana, przycisnęła do szarpanego bólem brzucha. Przez łzy udręki patrzyła na kobietę w czarnym skórzanym uniformie, która stała nieruchomo i obserwowała.

Mord-Sith uniosła brew.

– Powiedziałaś?

– Jak...? – wykrztusiła Kahlan, wciąż targana bólem. Erika wyruszyła ramionami.

– Jak się już pewnie domyśliłaś, Matko Spowiedniczko, twoja moc nie działa. A żebyś była dla mnie groźna – co tak obrazowo opisałaś i czego gorąco pragnęłaś – twoja moc musi działać. – Powrócił okrutny uśmiezek. – Nie sądzisz?

Kahlan nie mogła tego pojąć. Trudno jej było w ogóle myśleć. W głowie miała mętlik, kłębiły się pytania.

– Twoja moc, chociaż nie odpowiada na wezwanie, wciąż w tobie tkwi. Zamierzałaś mnie nią dotknąć, nieprawdaż? Próbowалаś. Szykowałaś się do tego. – Pomachała palcem. – To wystarczyło.

Kahlan nie rozumiała. W owej chwili wiedziała jedno – że jest w tarapatkach i że nie ma tu nikogo, kto by mógł jej pomóc.

Mord-Sith postawiła stopę na jej brzuchu, w miejscu, w które wbiła Agiel, i pochyliła się, tak że oparła łokieć na kolanie.

– I teraz jesteś moja, prawda?

Kahlan wciąż nie mogła mówić, a uciskająca ją stopa Eriki nie pozwalała swobodnie oddychać. Mord-Sith zabrała stopę z brzucha Kahlan i wyprostowała się, groźnie obracając Agiel w palcach.

– Zadałam ci pytanie, Matko Spowiedniczko. A kiedy pytam, oczekuję odpowiedzi. – Znowu się nachyliła, zacisnęła zęby i wycelowała Agiel w jej twarz. – Czy to jasne?

Kahlan nie mogła zapanować nad drżeniem ciała. Przypuszczała, że

gdyby nie była tak osłabiona, lepiej by zniosła dotyk Agiela. Lecz biorąc pod uwagę to, co Agiel potrafił, pewnie byłoby niewiele lepiej. Jeśli Mord-Sith zechciała, dotknięcie Agiela mogło być zabójcze.

Kahlan nie potrafiła jednak pojąć, jak ta kobieta może być prawdziwą Mord-Sith.

Erika przez chwilę z ponurym zadowoleniem przyglądała się udęce Kahlan. Na koniec się schyliła, zacisnęła w garści pęk jej włosów, postawiła na nogi i pchnęła ku drzwiom.

Kahlan wreszcie głęboko zaczerpnęła powietrza. Zapłonął w niej gniew. Odwróciła się do kobiety, zdecydowana położyć temu kres.

Znowu dostała Agielem w brzuch.

Nie wiedziała, jak długo tym razem leżała na podłodze, zwinięta w kłębek. Nie sądziła, by straciła przytomność, lecz ból był tak przeraźliwy, że była kompletnie oszołomiona. Czas wydawał się nie mieć znaczenia, świat – sensu.

Istniał wyłącznie ból. Mogła myśleć jedynie o tym, żeby zelżał. Choć była wściekła i chciałaby udusić Erikę, przede wszystkim pragnęła, żeby przestało boleć.

Erika się schyliła, znowu chwyciła Kahlan za włosy i szarpnięciem postawiła na nogi.

– Dość tego. Opat czeka.

Kiedy Mord-Sith pchnęła ją do drzwi, Kahlan nie próbowała się opierać.

– No, no, ależ szybko się uczysz. Kahlan przystanęła przy drzwiach.

– Jak? – zdołała wykrztusić.

– Co jak?

– Jak...? Nie jesteś lojalna wobec Richarda. Kobieta się skrzywiła.

– Nie, drogi Stwórco. Cóż ci nasunęło tak dziwaczny pomysł? Nie, moja droga Matko Spowiedniczko, nie jestem lojalna wobec lorda Rahla.

– Przecież to więź z lordem Rahlem daje moc Agielowi.

Erika się uśmiechnęła, rada z okazji ujawnienia słodkiej prawdy.

– Lord Arc daje moc mojemu Agielowi.

– Lord Arc?

– Właśnie. On jest moim panem. I będzie panem wszystkich, gdy tylko się rozprawi z twoim najukochańszym mężem.

Mord-Sith otworzyła drzwi i wypchnęła Kahlan na korytarz. Kahlan się

potknęła. Udało się jej oprzeć o przeciwległą ścianę, utrzymać równowagę i nie uderzyć twarzą w skałę. Korytarz był mgliście oświetlony paroma świecami i lampami. Podobnie jak izba, wyglądał na wyżłobiony w kamieniu, lecz nie był tak starannie wykończony.

Szła, zgarbiona z bólu, trzymając się za brzuch, czekając, aż ustaną bolesne szarpnięcia. Ból zadany Angielem nie mijał tak, jak to się dzieje w innych przypadkach. Lecz o wiele gorsza była tęsknota za Richardem. Miała wrażenie, że nie widziała go całą wieczność. Ostatnio było to chyba w pałacu, tuż po weselu Cary i Bena. Pragnęła wtedy znaleźć się w jego ramionach.

Wydawało się jej, że pamięta, iż ją całował, kiedy spała. Nie wiedziała, czy to był sen, czy jawa. Ale ogromnie za nim tęskniła.

Erika popychała Kahlan przez węższe i szersze korytarze. Ilekroć docierały do skrzyżowania, Mord-Sith kierowała ją w odpowiednią stronę. Kahlan nie wiedziała, gdzie jest, dokąd idzie. Była nieprzytomna, kiedy ją tu przyniesiono, i to wszystko było dla niej dziwnym labiryntem.

Miała wrażenie, że zwymiotuje. Że zemdleje. Tak się nie stało. Obolała, szła chwiejnie przed kobietą w czarnej skórce.

Dotarły do jaśniejszych sektorów, gdzie na kamiennych ścianach w regularnych odstępach wisiały lampy, korytarze były szersze, z drzwiami po obu stronach, prowadzącymi do wykutych w skale domostw tworzących jakby plaster miodu. Wzdłuż korytarza stali ludzie. Posępni, ze zwieszonymi głowami, obserwowali, jak ich mijają. Kahlan pomyślała, że Mord-Sith bawi to widowisko.

Za zakrętem, w szerokim korytarzu, stało w milczeniu jeszcze więcej ludzi. Zerkali na nią, nie mogąc się oprzeć chęci spoglądania na potykającą się Kahlan, jęczącą z bólu po dwukrotnym potraktowaniu Angielem.

Korytarz się rozszerzył, zalało go wpadające przez szeroki wlot dzienne światło. Erika złapała Kahlan za włosy i zatrzymała. I tu pod ścianami wokół całej pieczary stali ludzie.

Nikt nie kiwnął palcem, żeby choć spróbować powstrzymać Mord-Sith, nikt nie ośmielił się zaprotestować. Kahlan wiedziała, że nic dobrego by z tego nie wyniknęło. Prawdopodobnie tylko by się im dostało.

W wyjściu pieczary widziała, że niebo jest całkiem zachmurzone. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyła daleko w dole wierzchołki drzew i uświadomiła sobie, że są we wnętrzu góry, wysoko nad ziemią.

Opat Dreier stał na skraju urwiska, z wyraźnym zadowoleniem obserwując upokorzoną Kahlan.

Erika przyciągnęła ją za włosy do opata.

– Nareszcie – odezwał się, wyraźnie w dobrym nastroju. – Widzę, że jesteście w świetnej komitywie.

Kahlan wyrzała na stok góry. Zobaczyła ścieżynkę biegnącą w dół zbocza, ale nie mogła sobie wyobrazić, że nią schodzi, zwłaszcza w mżawce.

– Cóż, naprawdę musimy już ruszać – stwierdził Dreier. Kahlan popatrzyła na niego.

– Wiesz, że cię zabiję.

Natychmiast uniósł dłoń, nie pozwalając, by Mord-Sith wbiła jej Agiel w plecy.

– Będzie na to wiele czasu – powiedział do Eriki. Skłoniła głowę.

– Jak każesz, opacie.

– Ruszajmy – zwrócił się do Kahlan, wskazując urwisko. – W drogę. Tędy, tą ścieżką.

Kahlan cofnęła się o trzy kroki. Wiedziała, że w tym stanie nie da rady zejść tak zdradzieckim szlakiem, że na pewno spadnie. Ledwo mogła iść po płaskim podłożu.

Dreier westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Cóż, Eriko, wygląda na to, że Matka Spowiedniczka woli szybką podróż na dół.

Erika natychmiast zrobiła dwa długie kroki, po drodze chwytając Kahlan za włosy, zatrzymała się gwałtownie na samym skraju urwiska i potężnym zamachem wyrzuciła Kahlan z pieczary w chłodne, szare światło.

Puściła i Kahlan poleciała w powietrze. Zszokowana, wstrzymała oddech.

Palce nie znalazły niczego, żeby się chwycić. W dole widziała ziemię...

Która błyskawicznie się zbliżała; pęd powietrza pozbawiał ją tchu. Ostatnią jej myślą było, że bardzo kocha Richarda.

## ROZDZIAŁ 58

Richard dokładnie przepatrywał teren przed sobą, schodząc między potężnymi skałami wznoszącymi się wokół nich. Samantha wyjrzała zza nieregularnej kolumny, a potem ostrożnie ruszyła za nim, trzymając się blisko.

Sterczące z kamienistego gruntu skalne szpikulce pochylały się pod kątem w stosunku do dna kotliny. Płatanina postrzępionych iglic wznosiła się ukosem, utrudniając marsz. Musieli zejść niżej, gdzie mogliby utrzymywać szybsze tempo.

Richard stale musiał równoważyć konieczność ukrywania się i sprawnego poruszania. Jedno i drugie miało minusy. Zbyt wolne tempo i mogą się spóźnić. Zbyt szybki marsz – mogą ich zauważyć i pochwycić.

Po przeciwległej stronie rozległego, bardziej otwartego terenu wznosiły się ciemne, niebosiężne skalne formacje, a za nimi jeszcze wyższe góry, poszarpane szare obłoki przepływały tam obok ogromnych skalnych zboczy.

Wszędzie dokoła widział migotanie zielonkawych świetlnych welonów. Niektóre były daleko, inne niepokojąco blisko. Na szczęście ten niesamowity poblask bardzo kontrastował z mętnym dziennym światłem i zawsze go zauważali. Richard zachowywał szczególną ostrożność, ilekroć złowieszcze połyskujące zasłony sunęły w ich stronę. Zawsze prędko schodził im z drogi.

Trzecie królestwo było zmienną krainą skał, gór, kamienistej ziemi i zielonych ścian zaświatów, snujących się nad nią i mieszających się ze światem życia. W takim miejscu nikt nie czułby się bezpiecznie.

Richard był wyczerpany brakiem snu, trudną wędrówką, stałym napięciem i wzmożoną czujnością. Po przejściu przez wrota maszerowali niemal całą noc, bojąc się zatrzymać i zasnąć na dłużej w takim miejscu.

Poza tym wiedzieli, że zbliżają się do krainy Shun-tuk, gdzie, jak się domyślali, przetrzymywano ich przyjaciół i bliskich, toteż obydwójce byli gotowi iść naprzód. Musieli być już blisko ojczyzny dziwacznych półludzi, bo dostrzegli wielu z nich zmierzających szeroką kotliną na południe.

Dołem szybciej by się szło, lecz tam byłoby bardziej narażeni na spotkanie z półludźmi.

Ci, których zobaczyli w kotlinie, wyglądali jak tamci, których zwłoki



widział w pobliżu wozu. Szli gromadnie albo grupkami, mieli ciała wysmarowane białą mazią, ogolone głowy i czarne obwódki wokół oczu. Wielu nosiło sznury zębów i kości. Richard nie wątpił, że to Shun-tuk. Im dalej na północ, tym więcej ich widzieli, więc uznał, że się zbliżają do ich ziem. Przynajmniej szli w dobrym kierunku.

Byli blisko celu, wędrowali przez niebezpieczną krainę, toteż poprzedniej nocy nie chcieli się zatrzymać na dłużej. Znaleźli niewielką niszę w płataninie skał i skryli się tam, znikając z oczu każdemu, kto mógłby tamtędy przechodzić. Było tak jak w kryjówce, gdzie przeczekali nawałnicę wywołaną przez Samanthę, która spowodowała wielkie zniszczenia i zmiotła z powierzchni ziemi półludzi.

Zaznali paru godzin tak potrzebnego snu, ale nie więcej. Nie mogli spać, będąc tak blisko. Nie, kiedy Richard czuł, że porwani liczą na ratunek. Nie chciał tracić ani chwili. Samantha także.

Wiedział, że wcześniej lub później będą musieli odpocząć, zwłaszcza on, lecz zdawał sobie również sprawę, że nie wolno mu dopuścić, by jego słabość ich spowolniła. Czuł działanie zabójczego jadu. Wiedział, że będzie tylko gorzej. Samantha też mu to powiedziała, więc musiał uwolnić Zedda i Nicci, żeby go uleczyli. Podjął decyzję, którą uznał za najsensowniejszą: iść naprzód.

Pośpiech oznaczał życie – jego i innych.

Gdyby zwolnili i się spóźnili parę godzin, nigdy by sobie nie wybaczył. Choć pewnie nie pożyłby na tyle długo, by poczuć wyrzuty sumienia i żal, lecz strach o bliskich kazał mu przeć do przodu.

Kiedy przecinali otwarty teren, nie zobaczył żadnego Shun-tuk, jedynie chmary czarnych ptaków na tle łupkowo szarego nieba. Z powodu zachmurzenia miało się wrażenie, że to niemal zmierzch. Richard się zastanawiał, czy ów półmrok nie wypływa po części z tkwiącego w nim samym mroku.

Na dnie doliny, usianym pokruszonym łupkiem, widać było szerokie rozlewisko stojącej wody. Mogła tu spłynąć z północy i utworzyć bajoro pomiędzy wysokimi skarpami. Była biaława, ale na tyle przejrzysta, by stwierdzić, że sięgałaby najwyżej do kostek. Sterczące pod kątem skały były tutaj tak gęste, że Richard i Samantha musieli przejść przez wodę, żeby się dostać na teren, gdzie łatwiej im będzie iść. Niestety, tę drogę mogli

wybierać też inni.

– Masz wrażenie, że strasznie tu ciemno? – zapytał Richard, kiedy brnęli przez płytkie jeziorko. – A może to we mnie?

– Nie – odparła cicho Samantha, usiłując się nie ochlapać wodą. – To nie ty. Tutaj jest ciemniej. Spójrz, chyba się zbierają burzowe chmury.

– No to dobrze, że idziemy tędy teraz. Jeśli będzie burza, woda mogłaby gwałtownie wezbrać i nas zmyć.

Poczuł ulgę, kiedy wreszcie przecięli rozlewisko i znowu znaleźli się na suchym gruncie. Sterczące tu i tam z wyboistej ziemi skalne palce zapewniały osłonę. Szli kamienistym terenem, trzymając się dna kotliny, z dala od wyższych iglic tworzących na tyle gęste skupiska, że mogłyby utrudniać marsz.

Kamienne kolce sterczały wszędzie dokoła, jakby spod ziemi usiłował się wydostać jeżozwierz. Tworzyły ogromny, skomplikowany labirynt. Przesłaniały każdy ewentualny punkt orientacyjny. Richard starał się nie tracić z oczu wyższych gór po lewej stronie, by wiedzieć, że stale idą na północ, lecz nie zawsze było to możliwe.

Ciemność ułatwiała dostrzeżenie migotliwych zielonych zasłon. Patrzyli, jak niesamowita poświata sunie nad ziemią i wśród skalnych kolumn, niczym duchy szukające dogodnego miejsca, gdzie mogłyby straszyć. Właściwie było to bliskie prawdy. Tu, gdzie świat życia i śmierci współistniały, śmierć szukała żywych istot, by je unicestwić.

Przecięli otwarty teren i dotarli pod osłonę skał. Musieli przystanąć. Wybraną trasę zablokowała falująca zielona ściana, która znienacka wyrosła pomiędzy dwiema olbrzymimi skalnymi bryłami.

Tym razem przez zieloną zasłonę mogli dostrzec znajdujące się po drugiej stronie postaci – bezustannie młójące ręce i nogi. Mgliste kształty wyglądały jak duchy uwięzione za zasłoną, szukające drogi wyjścia lub towarzystwa w niedoli.

Ten niepokojący obraz kazał się im zatrzymać. Zarazem przerażeni i urzeczeni, z trudem odwrócili wzrok. Mało kto z żywych widział coś takiego po tej stronie.

Richard chwycił Samanthę za ramię i popchnął ją w prawo, na inną drogę wśród skał. Nawet kiedy skręciła, odwróciła głowę i patrzyła na wijące się postaci za falującą zielonkawą zasłoną.

– Tędy – powiedział Richard. – Staraj się na nich nie patrzeć.

– To trudne – powiedziała przez ramię.

– Wiem – odparł łagodnie.

Jeszcze nie skończył mówić, a już kolejna falująca zielona zasłona znienacka wyrosła przed nimi, jakby się wynurzyła z samych zaświatów. Pojawiła się tak błyskawicznie, że Richard prawie w nią wszedł, omal jej nie dotknął. Była tak blisko, że dokładnie widział kształty poruszające się za nieprzejrzystą ścianą, napierające na nią tak, że się naciągała i wybrzuszała.

Szybko cofnął się o krok.

– Lordzie Rahlu?! – zawołała Samantha z drugiej strony zielonej zasłony.

Wcześniej popchnął Samanthę przed siebie, skierował na inną drogę i zasłona wyrosła pomiędzy nimi.

– W porządku, Samantho. Nic mi się nie stało.

– Słyszę cię, lordzie Rahlu, ale nie widzę. W jej głosie słyhać było niepokój.

– Wszystko dobrze. Jestem tutaj. Trzymaj się od tego z daleka. Nie podchodź. Przyjdę do ciebie.

Skręcił, chcąc ominąć zasłonę i dotrzeć do Samanthy. Okrążył parę potężnych skalnych iglic, szukając innej trasy.

Zmaterializowała się następna falująca zielona poświata, wślizgując się pomiędzy kamienne granie, jakby niósł ją zimny wietrzyk. Zatrzymała go, nie pozwoliła mu iść tam, gdzie chciał.

– Straszysz mnie, lordzie Rahlu. Gdzie jesteś?

– Tutaj. Nic mi nie jest. Po prostu muszę ominąć kolejną zasłonę. Trzymaj się. Zaraz tam będę.

Ogromne skalne iglice tworzyły labirynt, a ściany migotliwego zielonego światła dodatkowo utrudniały poruszanie się.

Kiedy skręcił w lewo, żeby je ominąć, pojawiła się jeszcze jedna zielona zasłona. Tym razem wydawało się to zamierzone. Jakby chciała mu przeszkodzić. Kiedy się odwrócił, już inna blokowała mu drogę.

– Lordzie Rahlu? – rozległ się wśród kamiennych bloków głos Samanthy, a za Richardem pojawiła się kolejna zielonkawa zasłona, odcinając mu odwrót.

Została tylko jedna wolna droga, lecz kiedy się ku niej rzucił, musiał się gwałtownie zatrzymać, bo i ją zablokowała złowieszczą zieloną ścianą.

Uświadomił sobie, że jest otoczony. Musiałby poczekać, aż granice zaświatów się przesuną.

– Samantho, czy zielone ściany blokują ci drogę?

– Nie. Ale nie mogę cię znaleźć. Nie widzę cię. Słyszę, ale słabo. I nie widzę.

Richard był teraz otoczony migotliwymi, falującymi, zielonkawymi zasłonami. Znalazł się w pułapce.

Wiedział, że coś się dzieje. To nie był przypadek.

Za parę chwil ściany się zamkną i zaświaty go pochłoną.

– Słyszysz mnie, Samantho?

– Ledwo.

– Nic ci nie jest?

– Nic.

– Posłuchaj mnie i nie zadawaj pytań. Nie sprzeciwiaj się i nie wahaj. Po prostu zrób, co ci powiem. Rozumiesz?

– Tak, lordzie Rahlu.

– Uciekaj. Zmykaj. Natychmiast.

Usłyszał zgrzytanie kamyków pod jej stopami. Biegła. Westchnął z ulgą, kiedy jej kroki cichły w oddali.

Richard został sam, otoczony ścianami świata zmarłych. Widział je – dusze szamoczące się za niesamowitą, nieprzejrzywą zielonkawą zasłoną. Pragnęły go dopaść i wciągnąć do siebie.

## ROZDZIAŁ 59

Poprzez falującą powoli, marszczącą się zasłonę migotliwego zielonego blasku Richard zaczynał dostrzegać mglisty kształt.

Odmienny od pozostałych. Ten się nie poruszał.

Zielona zasłona przed Richardem zaczęła blednąć, zanikać. Rozwiała się i znowu widział znajdujące się za nią skały. Zielone ściany zaświatów po bokach i z tyłu zostały na swoich miejscach, odcinając inne drogi, lecz ta prowadząca naprzód stała otworem.

Richard rozejrzał się – na tyle, na ile było to możliwe – wśród skalnych iglic i w swoim zielonym więzieniu, wypatrując Samantha. Nigdzie jej nie zobaczył. Poczul ulgę, że zrobiła, jak kazał.

Coś się działo i cieszył się, że nie wpadła w pułapkę wraz z nim. Póki będzie wolna, może jakoś zdoła pomóc innym w ucieczce. Chociaż była bardzo młoda, Richard nie lekceważył ani jej talentów, ani determinacji. Póki choć jedno z nich mogło działać, wciąż istniała szansa.

W głębokich mrokach między kamiennymi szpikulcami, dość blisko, stał w milczeniu człowiek w ciemnych szatach i przyglądał mu się. To była ta sama nieruchoma postać, którą Richard widział za zasłoną zaświatów. Teraz zielony całun zniknął, lecz ciemna postać pozostała, potwierdzając tym samym, że nie jest jednym z umarłych zza zasłony. Za mężczyzną, po jego lewej stronie, w głębszym mroku stała inna postać, której Richard wyraźnie nie widział.

Gdy tylko zielony poblask zaświatów zniknął, czekający mężczyzna zaczął się wyłaniać z ciemności.

Kiedy wszedł w słabe światło pochmurnego popołudnia, Richard osłupiał. Białka oczu tamtego były krwistoczerwone.

Wyglądało to tak, jakby jego oczy wytatuowano jaskrawą czerwienią krwi, żeby miało się wrażenie, iż ciemne tęczęwki i źrenice patrzą z ognia i płomieni – lub też z samych zaświatów. Richard jeszcze nigdy nie widział tak niepokojącego spojrzenia.

Chociaż jego oczy wyglądały tak upiornie, mężczyzna z pewnością nie był zjawą ze świata zmarłych. Richard widział, że jest realny, z ciała i krwi.

I właśnie to ciało było najbardziej przerażające. Była to najupiorniejsza

rzecz, jaką Richard widział w życiu.

Każdy skrawek skóry wylaniający się spod ciemnych szat pokrywały wytatuowane symbole. Które Richard rozpoznał.

Nakładały się na siebie niezliczonymi warstwami, przez co skóra nie przypominała ludzkiej. Na ciele nie było chyba ani jednego miejsca, na którym nie byłby wytatuowany jakiś element lub część kolistych wzorów, bez ładu i składu zachodzących na siebie, warstwa po warstwie, tak że nie było spod nich widać choćby skrawka czystej skóry.

Górne warstwy zdawały się najciemniejsze, spodnie jaśniejsze, te głębsze jeszcze jaśniejsze. Jak gdyby nieustannie wsiąkały w ciało i jakby stale nakładano nowe na te, które już niknęły. Nadawało im to nieskończoną, bezdenną głębię, czyniło z nich złożoną płataninę, przyprawiającą o zawrót głowy, jakby symbole nieustannie się kłębiły, wynurzając się z głębin czegoś mrocznego i straszliwego.

Coraz głębsze warstwy znaków przydawały skórze mężczyzny trójwymiarowości. Niezliczone warstwy przenikających się elementów uniemożliwiały ustalenie konturów ciała, nadając mu mglisty, rozmyty, upiorny wygląd.

Z powodu zróżnicowania tonacji barw każdy symbol – bez względu na to, w jak głębokiej warstwie się znajdował – był wyraźny i rozpoznawalny. Wzory i złożone elementy różniły się też wielkością. Cechowała je nieskończona rozmaitość, lecz każdy z symboli nadawał znaczenie większym, kolistym elementom.

Wystające spod czarnego stroju dłonie i nadgarstki były całkowicie pokryte wzorami, nawet paznokcie wyglądały na wytatuowane od spodu – wzory przeświecały przez płytki.

Szyję i kark nad kołnierzem, całą twarz pokrywały symbole. Na samej twarzy były ich setki, jeśli nie tysiące. Kiedy mężczyzna zamrugał upiornymi oczami, Richard zobaczył, że i powieki były wytatuowane. Nawet uszy – każde zagłębienie małżowiny i kanał uszny, jak Richard mógł zobaczyć – były pokryte dziwnymi kolistymi symbolami, warstwa na warstwie. Było ich tak wiele, że wydawały się nie tyle zwyczajnymi tatuażami, ile manifestacjami czarnych myśli przebijających się na powierzchnię z głębi umysłu.

Podobne symbole pokrywały też łysą czaszkę mężczyzny, a jeden –

większy od innych – dominował. Dolna krawędź dużego kręgu przechodziła przez środek nosa, biegła przez policzki pod oczami i zakrecała w górę tuż pod uszami, tak że okalała ciemię. Wewnątrz kręgu widniał drugi, a pomiędzy nimi pierścień run.

Podstawa trójkąta wpisanego w wewnętrzny krąg biegła tuż nad czołem. Mniejsze, kolisty symbole, narysowane za wierzchołkami trójkąta przecinającego okręgi, zajmowały skronie i potylicę. Sprawiało to wrażenie, jakby mężczyzna spoglądał gniewnie niesamowitymi czerwonymi oczami z wnętrza owego kolistego symbolu, jakby patrzył z zaświatów.

W środku trójkąta, ku przodowi czaszki mężczyzny, widniała odwrócona dziewiątka. Richard rozpoznał wszystkie wzory, a w szczególności ten jeden.

Znajomy tatuaż, zakrywający czubek łysej głowy, był ciemniejszy od pozostałych nie tylko dlatego, że wydawał się stosunkowo nowy, ale i dlatego, że tworzące go linie były grubsze. Lecz chociaż znajdował się na warstwach setek innych symboli, nie było wątpliwości, że jest jedynie elementem większej całości.

Wszystkie tatuaże, chociaż tak różne, były wariacjami tych samych podstawowych motywów, podobnie jak litery alfabetu tworzące jeden zbiór. Były tam symbole ułożone w kręgi o rozmaitej średnicy, także koncentryczne, przy czym niektóre znaki we wnętrzach tych okręgów były utworzone z mniejszych wzorów i elementów, które Richard też rozpoznał. Widok człowieka tak oddanego jakiejś tajemniczej sprawie głęboko niepokoił i wytrącał z równowagi.

Tatuaże czyniły zeń mroczny, żywy, poruszający się obraz, którego każdy element w niezliczonych warstwach był wyraźnie widoczny i miał konkretne znaczenie.

Richarda szczególnie niepokoił centralny wzór pokrywający czaszkę i górną część twarzy mężczyzny, ten z odwróconą dziewiątką. Podobnie jak reszta, był w mowie Początku.

Richard aż za dobrze rozumiał, że dla tego mężczyzny, patrzącego z wnętrza symbolu, znajdująca się w samym środku wzoru dziewiątka wcale nie była odwrócona.

Ów szczególny symbol był taki sam jak ten na maszynie wróżebnej i na okładce powiązanej z nią książki, *Reguli*. I łączył to wszystko z Richardem.

Czerwone oczy mężczyzny spoczęły na dłoni Richarda zaciśniętej na

rękojeści miecza w pochwie, a potem znowu wpatrzyły się w jego oczy, jakby zaglądał mu w duszę.

– Lordzie Rahlu – odezwał się głosem, który równie wytrącał z równowagi jak jego widok – miło mi, że odwiedziłeś prowincję Fajin.

Richard zmarszczył brwi.

– Biskup Hannis Arc?

Hannis Arc władał prowincją Fajin. Tamten skłonił głowę.

– Właściwie lord Arc.



## ROZDZIAŁ 60

– Lord Arc – powtórzył beznamiętnie Richard. – Myślałem, że biskup. Mężczyzna nieszczerze się uśmiechnął.

– To mój poprzedni tytuł. – Zbył to gestem wytatuowanej dłoni. – Wkrótce będę lordem... cóż, w tej chwili to nie ma znaczenia. Czekają na nas poważniejsze sprawy.

Towarzyszący mu cień wreszcie wysunął się naprzód i stanął obok niego.

Richard ze zdumieniem zobaczył, że to Mord-Sith w czerwonym skórzanym uniformie – wysoka, bardzo atrakcyjna i bardzo groźnie wyglądająca.

Jeszcze bardziej zdumiało go to, że nie zna tej blond piękności, a znał wszystkie Mord-Sith. Przynajmniej tak sądził. Ta tutaj, pomyślał, musiała się ukrywać pod kamieniem. Na mrocznych ziemiach.

Hannis Arc, uśmiechając się z zadowoleniem na widok zdumionej miny Richarda, ją przedstawił.

– To pani Vika.

Richard nigdy nie słyszał, żeby któraś z Mord-Sith wymieniła takie imię. Hannis Arc popatrzył na kobietę.

– Widzisz, Viko? Niepotrzebnie się martwiłaś. Jest tak, jak mówiłem. Rozsypałem okruszki, a lord Rahl poszedł ich śladem.

Uśmiechnęła się, lecz jej stalowe błękitne oczy nie odwróciły się od Richarda.

– Tak, lordzie.

Hannis Arc znowu spojrzał Richardowi w oczy i powiedział:

– To tylko szczeniak, któremu się wydaje, że idzie, dokąd chce, a tym czasem ktoś inny trzyma smycz.

– O co ci chodzi? – spytał Richard najspokojniej jak potrafił, upominając się, że nie należy tracić opanowania.

Musiał zrozumieć, co się dzieje. Wiedział, że mu się to nie uda, jeżeli da się ponieść furii, choćby pozwoliła mu się wyładować. Lepiej grać na zwłokę i dowiedzieć się, ile tylko zdoła. Lepiej wiedzieć, co mu tak naprawdę zagraża. Im więcej zada pytań, im bardziej tamci się rozgadają, tym więcej czasu zyska na obmyślenie, jak się wydostać z pułapki, w której się znalazł.

– Lordzie Rahlu, wszystko toczyło się tak, jak chciałem, lecz potem Zaszyta Służka omal nie zniweczyła moich planów. Zawładnęła nią żądza krwi, tak dręcząca jej plemię. Lecz, jak mniemam, sporo się o tym dowiedziałeś. Ponieważ nie potrafiła spełnić moich rozsądnych i przemyślanych wymagań, musiałem zmienić plany. Zadbalem jednakowoż, by wszystko działało na moją korzyść, jak zwykle. Wiedz, że zawsze biorę pod uwagę alternatywne rozwiązania i jestem elastyczny. Dzięki temu byłem gotowy i mogłem odwrócić zaistniałą sytuację na swoją korzyść. Byłeś aż nadto uczynny i w rezultacie było to dla mnie pomyślniejsze, niż mogłem sobie wymarzyć. Bo widzisz, na początku się zastanawiałem, jak powinienem sobie poradzić z twoimi dobrze znanymi i groźnymi talentami, lecz dzięki zawziętości tej wstrętnej Zaszytej Służki to zagrożenie zostało wyeliminowane.

Richard nie miał pewności, o czym tamten mówi. Kiedy nie odpowiedział, Hannis Arc, tak jak Richard się spodziewał, leciutko się ku niemu pochylił, żeby dalej wyjaśniać.

– Mówię o skazie śmierci, którą cię naznaczyła, a która neutralizuje twój dar. Zakłóca funkcjonowanie Grace. – Na jego ustach znowu pojawił się szczywany uśmiezek. – Tak, wygląda na to, że mi się przysłużyła. Znając ją, pozwoliłem, by zaspokajała własne potrzeby, tym samym służąc moim. Wiedziałem, co spróbuje zrobić, i że ją powstrzymasz.

Richard był ciekaw, jaką rolę w tym odegrało proroctwo. Hannis Arc się wyprostował, zadowolony z siebie.

– Widzisz? Moja cierpliwość mi służy i w końcu wszystko działa na moją korzyść.

Richard zauważył, że w mrokach zaczynają się pojawiać postaci, jakby się wyłaniały ze skały. Początkowo widział tylko kilka, lecz po paru chwilach były ich setki. Wszystkie wyglądały tak samo.

Shun-tuk.

– No to jaki jest ten twój doniosły plan? – zapytał bezceremonialnie, wciąż grając na czas. – Co knujesz? Co to za mały intersik?

– Wszystko w swoim czasie. – Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie dodać: – I wcale nie taki mały.

– Naprawdę? Spodziewasz się, że uwierzę, iż w zapadłym zakątku prowincji Fajin, w twoim mrocznym kraiku, wysmażyłeś wymyślny plan,

którym się przejmie świat?

Prowincja Fajin wysłała żołnierzy na wojnę z Imperialnym Ładem. Niektórzy służyli nawet w Pierwszej Kompanii. Przykro było uświadomić sobie, że kraj, który walczył u ich boku, tak naprawdę nigdy nie był po ich stronie. A przynajmniej jego władca jedynie udawał lojalność.

Richard był ciekaw, ilu władców innych ziem, tak uprzejmie się do niego uśmiechających, w rzeczywistości chciało wbić mu nóż w plecy.

Wygrali wojnę, wywalczyli pokój. Richard stwierdził, że taka zdrada nie tylko budzi wściekłość, ale i przygnębia. Sądził, że zapanuje spokój. Zedd go ostrzegął, że nie ma nic tak niebezpiecznego jak pokój. Powinien był poważniej potraktować słowa dziadka.

Hannis Arc się uśmiechnął, jakby próbując zdecydować, czy chce zabić Richarda na miejscu za zlekceważenie jego starannie obmyślonego planu, czy też dalej go dręczyć w jakimś celu. Na koniec się odwrócił i lekko skłonił, unosząc rękę w ironicznym geście uprzejmego zaproszenia.

– Chodź z nami, jeśli łaska, lordzie Rahlu, a pokażemy ci częśćkę moich wielkich planów.

Wtedy sam będziesz mógł uznać, czy świat się nimi przejmie.

Zielone ściany zaświatów wciąż się wznosiły po bokach i z tyłu Richarda, nie pozwalając uciec.

– Mam wybór? – zapytał.

Uśmiech Hannisa Arca zmroził mu krew.

– Właściwie nie.

– Mimo wszystko przepraszam, lecz obawiam się, że mam inne plany, które ciebie nie uwzględniają.

Przez wytatuowaną twarz Hannisa Arca przemknął ponury wyraz. Wycelował w Richarda palec.

Nagły przeraźliwy ból głowy natychmiast powalił go na kolana. Oczy wyszły mu na wierzch, ścisnął głowę dłońmi. Miał wrażenie, że błyskawice przeszywają mu uszy. Ich huk wewnątrz czaszki był ogłuszający, ból – rozdzierający.

Hannis Arc cofnął palec i ból ustąpił. Richard podparł się dłońmi, z trudem oddychał.

– Mogę tak cały dzień – powiedział Arc. – A ty?

– Ja też, biskupie – odparł Richard, rozmyślnie używając niższego tytułu

tamtego. – Kontynuuj, proszę.

– Daj mi kilka minut, lordzie – odezwała się Vika z groźną miną. – Nauczę go respektu. Zbył ją machnięciem ręki.

– Później. Skłoniła głowę.

– Jak sobie życzysz, lordzie.

Richard chciałby wiedzieć, skąd ona się, u licha, wzięła i dlaczego nic o niej nie wie.

– Wystarczy – powiedział Hannis Arc, porzucając uprzejmy ton i okazując swoją prawdziwą naturę. – Jeśli chcesz zobaczyć przyjaciół, chodź ze mną.

Ruszył, ale jeszcze się odwrócił.

– A tak przy okazji, spodziewam się, że wiesz, jak działa moc Mord-Sith. Dobądź miecza, a będziesz należał do Viki.

– Viko – odezwał się do niej Richard, ignorując jej pana. – Co tu robisz? Przy nim? Mord-Sith służą lordowi Rahlowi.

– Nie wszystkie – odparła z tym mrozącym krew w żyłach uśmiechem Mord-Sith. – Już nie.

– Co to znaczy „już nie”?

– Służyliśmy Domowi Rahlów, jak każe tradycja, lecz kiedy Rahl Posępny wysłał nas z misją do prowincji Fajin, niektóre z nas przyjęły propozycję lorda Arca i przyłączyły się do niego. Wybrałyśmy służbę jemu i pozostawanie pod jego ochroną, a nie lorda Rahla.

Richard kiwnął głową.

– Rozumiem, Viko. Rahl Posępny był złym człowiekiem. Wiem, jak traktował Mord-Sith.

Uwierz mi, że i mnie skrzywdził. Zabiłem go.

Znowu się uśmiechnęła.

– To dobrze. – Uśmiech zniknął, zacisnęła Agiel w garści. – A teraz rób to, co ci kazano, albo sprawię, że pożałujesz swego wahania.

Richard wiedział, że na wszystko jest czas i miejsce, także na opór i walkę. Nawet na próbę wyjaśniania różnych rzeczy. Teraz nie była na to odpowiednia pora. Zwłaszcza w obecności Hannisa Arca.

Wiedział też, jakie są Mord-Sith. Powszechnie się ich bano i nie bez powodu. Tak naprawdę nie chciał z nią walczyć. Spojrzał w jej stalowe błękitne oczy i zobaczył w nich determinację, a poza nią setki Shun-tuk, co

się pojawili znikąd.

To nie był czas ani miejsce na stawianie oporu.

Co więcej, ci ludzie najprawdopodobniej byli odpowiedzialni za uprowadzenie jego przyjaciół. Pójście z nimi mogło się okazać najszybszą i najkrótszą drogą do Zedda, Nicci, Cary, Bena i pozostałych.

Jak już się dowie, gdzie ich trzymają, może nadejdzie czas na opór i walkę. Skłonił głowę.

– Prowadź, proszę, pani Viko.

## ROZDZIAŁ 61

Richard w ponurym nastroju szedł za Hannisem Arkiem kroczącym ku skalnym wieżycom w oddali. Kiedy mijał skupisko kamiennych iglic, z cieni wyłoniło się jeszcze więcej kredowobiałych Shun-tuk.

Nigdy przedtem nie widział tak odpychających ludzi. Wszyscy, nawet kobiety, byli nadzy do pasa. Nosili sznury paciorków, kości i zębów, omotane wokół ramion.

Wszyscy byli wysmarowani jakąś białą substancją, pokrywającą każdy skrawek ciała wylaniający się spod skąpego przyodziewku. Ów biały barwnik był jakby ich szatą. Większość, w tym wiele kobiet, goliła głowę. Nieliczni mieli czuby włosów z wplecionymi kośćmi i zębami, tak że sterczały jak pióropusz. Richard nie wiedział, czy jest to oznaka rangi, rodzaj ozdoby, czy też ma im nadawać jeszcze bardziej przerażający wygląd.

Stanowili odpychającą, dziką hordę. Wyglądali jak ludzie, a zarazem nieludzko.

Wszyscy wpatrywali się w niego z wyglodniałymi, ponurymi minami. Oczy Shun-tuk wyglądały upiornie, obwiedzione kręgami wymalowanymi ciemną, tłustą sadzą. Niektórzy wymalowali sobie na policzkach i wokół warg uśmiech śmierci, toteż ich głowy wyglądały bardziej jak trupie czaszki. Jakby chcieli podkreślić, iż coś w nich jest już martwe.

To całkiem sensowne, biorąc pod uwagę, że właściwie nie byli żywymi istotami. Byli półludźmi, mieszkańcami trzeciego królestwa istniejącego pomiędzy życiem a śmiercią. Nie mieli dusz, więzi z Grace, iskiereki Stwórcy, która by im towarzyszyła przez całe życie i potem w zaświatach.

Nie bytowali ani w królestwie życia, ani w królestwie śmierci. Tylko w trzecim królestwie.

Richard był przygnębiony, wiedząc, że i on po części do niego należy, że przesładuje go mrok świata zmarłych.

Przebywanie pośród gromadzących się półludzi było strasznie nieprzyjemne. Gdyby tylko mieli po temu okazję, rzuciliby się na niego, rozszarpali go i pożarli, próbując skraść mu duszę.

Im głębiej wchodzili w bezkresne zbiorowisko sterczących z ziemi skalnych kolców, tym bardziej przesłaniała widoczność unosząca się

warstwa dymu. Cuchnącego siarką. Miejscami dym był tak gęsty, że Richard nie widział wierzchołków skalnych formacji.

Przypominało to wędrówkę przez kamienny las, gdzie dym zastępował baldachim z gałęzi. Richard dostrzegł, że wydobywa się on ze szczelin w ziemi. Im dalej, tym pęknięć było więcej i wreszcie czasami musiał je przeskakiwać w duszących oparach. Z niektórych biło zielone światło, jakby szli po skale unoszącej się na powierzchni wszechświata.

Po bokach Richard widział otwory w poszarpanych kamiennych ścianach. Niektóre wyglądały na płytkie, lecz inne wnikały w ciemność. Z popękanej ziemi wokół nich unosił się gryzący dym, dołączając do szarej warstwy nad głowami.

Głębiej w kanionie kamienne iglice zaczęły przybierać pozór grubych wiązek trzciny, które obróciły się w skałę. Wiele pojedynczych skalnych szpikulców było ułamanych na rozmaitej wysokości, przez co kolumny miały poszarpane wierzchołki. Ziemia była usłana gruzem. W niektórych miejscach wieże się rozpadły, tworząc grubą warstwę rumoszu, po której trudno było iść. W oddali, po obu stronach, kolumny się zlewały, stając się olbrzymimi kamiennymi pniami.

Kiedy tak szli siecią głębokich, mrocznych kanionów wśród iglic, Richard dostrzegł w ciemnych zakamarkach kolejnych Shun-tuk spoglądających upiornymi, głodnymi oczami w czarnych obwódkach.

W głębi niesamowitej krainy skały się zmieniły i wśród iglic pojawiła się taka, która wyglądała, jakby niegdyś miała postać płynną, zalała to miejsce, a potem zakrzepła. Richard częściej dostrzegał w skale otwory. Większe skalne formacje były usiane jaskiniami najrozmaitszych rozmiarów. Miejscami skały zamykały się nad głowami, tworząc mosty i łuki. Stawały się one coraz liczniejsze, tworząc sieć zadaszonych korytarzy. Przypominało to wędrówkę przez pieczary.

Miało się wrażenie, że surowa, skalista kraina powolutku ich połyka.

Shun-tuk z każdą chwilą stawali się liczniejsi, wychodząc z otworów w skałach, albo by patrzeć, albo się przyłączać do idących. Kiedy weszli głębiej w skały, było tak, jakby wędrowali przez system pieczar, niekiedy częściowo otwartych i odsłoniętych. Aż po pewnym czasie znaleźli się w sieci korytarzy niemal całkowicie biegnących pod ziemią. Richard momentami dostrzegał szarą warstwę chmur, lecz potem znowu wchodzili w mroczne podziemne

tunele.

W końcu, kiedy weszli głębiej, skała nad głowami całkowicie się zamknęła i znaleźli się pod ziemią. Zapalono pochodnie, które mieli ze sobą upiorni półludzie wyłaniający się z dziur i tuneli po drodze.

W bocznych korytarzach Richard widział stojące w milczeniu postaci, jakby strzegły przejścia. To nie byli Shun-tuk. Tylko obudzeni zmarli. Trupy – jednemu łopatką przebiła wyschniętą, jakby wygarbowaną skórę – patrzyły jarzącymi się czerwonymi oczami.

Richard już nie starał się zapamiętywać drogi, żeby potem ewentualnie wrócić. Sieć pieczar dziurawiły niezliczone otwory i odnogi. Zagubił się w podziemnym labiryncie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie musiał znaleźć stąd wyjście.

Dotarli do szeregu bocznych pieczar zamkniętych nieheblowanymi deskami, które najwyraźniej służyły jako drzwi lub zapory. Inne otwory zasłaniały płachty falującej, zielonkawej poświaty.

Richard zobaczył postać za jedną z tych zielonych zasłon i zatrzymał się, żeby popatrzeć. To nie był jeden z duchów ze świata zmarłych. Ta postać się nie wiła i nie zawodziła. Poruszała się, a potem nieruchomiła, jak robiłby to człowiek. Zrozumiał, że to więzień po drugiej stronie zielonej ściany. Przyszło mu na myśl, że zasłona zaświatów może tu służyć jako swego rodzaju drzwi więzienia.

Mord-Sith dźgnęła go lekko Agielem w ramię, żeby ruszył z miejsca. Przycisnęła dłoń do ramienia i szedł niepewnie, czując ukłucia bólu. Wiedział z doświadczenia, że gdyby zechciała, ból byłby o wiele silniejszy. Tym razem zamierzała go tylko popędzić.

Trochę dalej Hannis Arc się zatrzymał i odwrócił, wbijając wzrok w Richarda, Vikę i rzeszę milczących, umazanych na biało półludzi. Kiedy Richard stanął, Hannis Arc w milczeniu dał znak Mord-Sith.

Zrozumiała.

– Daj mi miecz – powiedziała, stając przed Richardem. – Nie będzie ci potrzebny.

To ostatnie, czego by chciał, ale miał bardzo ograniczony wybór. Mógł dobyć miecza i walczyć, ale mowy nie było, żeby się rozprawił z całą zgrają Shun-tuk. Pierwszym celem, rzecz jasna, byłby Hannis Arc, lecz ten już zademonstrował swoje moce, więc taki atak okazałby się daremny. Kiedyś



już spróbował użyć miecza przeciwko Mord-Sith. I to był błąd. Drugi raz go nie popełni.

Vika wyciągnęła rękę. Richard położył miecz w pochwie na jej dłoniach. Wyglądała na lekko zdziwioną.

– Znakomicie, lordzie Rahlu. Można by pomyśleć, że już kiedyś tresowała cię Mord-Sith. Hannis Arc bez słowa skinął na stłoczonych w pobliżu pótludzi.

Jeden z Shun-tuk pchnął Richarda w tunel po lewej. Kiedy już tam wszedł, Hannis Arc z gracją uniósł dłoń i połyskująca zielona zasłona zamknęła wejście.

## ROZDZIAŁ 62

Richard, czując się nagi i bezbronny bez miecza, rozejrzał się wokół. Był sam. Zielona zasłona dawała tyle światła, by przez nią widzieć. Przez jakiś czas chodził tam i z powrotem, sfrustrowany i zły; czuł się zapędzony do kąta nie tylko przez połyskliwą zasłonę, zamykającą go w pieczarze, ale i przez samą sytuację.

Liczył, że doprowadzą go tam, gdzie więżą Zedda, Nicci, Carę i pozostałych. Przypuszczał, że jest blisko nich, lecz zamknięty w taki sposób, nie wiedział, jak się do nich dostać.

Nie było wątpliwości, że Hannis Arc knuł od dawna, a Richard był zupełnie nieświadomy jego zdradzieckich intryg. Nie bardzo wiedział, co Arc planuje, jaki jest jego ostateczny cel, lecz miał pewne podejrzenia. I nie było to nic miłego.

Nie znosił poczucia, że znajduje się na marginesie zdarzeń, że wpadł w pułapkę, zanim się zorientował, że coś się dzieje. Nie tylko zawiodła przegroda odcinająca trzecie królestwo, zbudowana w czasach Nai Moon, w trakcie pradawnej wojny, lecz też w tym samym czasie Hannis Arc planował coś złowieszczego. Było oczywiste, że te dwa wydarzenia – upadek przegrody i porwanie przez Hannisa Arca – łączą się ze sobą.

Zganił się, że poświęca tak wiele uwagi problemowi, zamiast starać się wymyślić rozwiązanie. Nic nie wiedział o planach Hannisa Arca. Nie znał wagi problemu, więc nie było sensu gdybać.

Przynajmniej Samantha uciekła. To oznaczało, że sytuacja nie jest beznadziejna. Hannis Arc albo o nią nie dbał, albo jeszcze mu się nie udało jej pochwycić. Najprawdopodobniej nie uważał jej za poważne zagrożenie, dlatego się nią nie przejmował. Zależało mu na Richardzie.

Richard wiedział, że musi kolejno stawiać czoło przeszkodom, jednej po drugiej. Najpierw musiał sprawdzić, czy można się jakoś wydostać z tego więzienia. Nad tym musiał się teraz zastanowić.

Odsunął na bok pytania i zmartwienia i zaczął badać nieregularną jaskinię, w której go zamknięto.

Pod ścianą stało wiadro z wodą, a żywności nie było. Wkrótce się przekonał, że w skale jest pełno otworów. W większości były to małe dziurki,

w które mógł wsunąć najwyżej palec albo dłoń. Nieliczne były na tyle szerokie, że zapewne mógłby się przez nie przecisnąć, lecz były czarne jak smoła. Richard podejrzewał, że donikąd nie prowadzą, toteż te próby zostawił sobie na koniec. Nic by nie zyskał, wciskając się w dziurę i w niej grzęznąc. Były też większe otwory – jak ten, przez który wszedł – lecz blokowały je jarzące się zielone zasłony.

Richard pilnował, żeby się za bardzo nie zbliżyć do tej falującej zielonkawej poświaty. Bywał już niebezpiecznie blisko granic zaświatów, lecz nie znał właściwości tych tutaj. W końcu pojawiły się na żądanie Hannisa Arca. Nie wiedział, czy granice pomiędzy życiem a śmiercią zachowują się inaczej w trzecim królestwie, gdzie życie i śmierć współistnieją, czy też są podobne tym, które napotykał w przeszłości. Co więcej, za bramami trzeciego królestwa granice nie były nieruchome, lecz się przesuwają. Nie chciał znaleźć się za blisko i ryzykować, że któraś z nich niespodzianie go wchłonie.

Kiedy się tak rozglądał, przyszło mu na myśl, że zasłony zamykające go w więzieniu mogą zacząć sunąć ku niemu, żeby go wciągnąć w zaświaty. Lecz to się wydawało mało prawdopodobne. Gdyby Hannis Arc chciał jego śmierci, toby go wydał Shun-tuk.

Nie, w jakimś celu był potrzebny Hannisowi Arcowi żywy. Może z tego samego powodu pojmał on innych, zamiast ich zabić. Richard bardzo by chciał wiedzieć, o co chodzi.

Westchnął sfrustrowany, wetknął dłonie w tylne kieszenie i zaczął obchodzić jaskinię, badając każdy cal swojego więzienia. Nie dostrzegł niczego użytecznego, żadnej drogi wyjścia. To było dobrze zabezpieczone więzienie.

Miał nadzieję, że Shun-tuk nie złapali Samanthy. Stale się o nią martwił. Rozmyślał o tym, że go słyszała przez zieloną zasłonę, lecz nie mogła go zobaczyć.

To mu nasunęło pewien pomysł.

Podszedł do jednego z przejść zasłoniętych płachtą zielonego blasku.

– Jest tam kto?! – zawołał.

Kiedy krzyknął ponownie i usłyszał tylko echo własnych słów, podszedł do zasłony blokującej inny otwór, potem do następnej i przy każdej wołał:

– Czy ktoś mnie słyszy?! Jest tam kto?!

– Richard? – dobiegł go przytłumiony znajomy głos.

Richard okręcił się w stronę, z której do niego dotarł. Skoczył na drugi skraj swojego więzienia, do zielonej zasłony falującej w otworze.

– Zedd?! To ty?!

– Drogie duchy! Richard!

Głos brzmiał, jakby dochodził z oddali, zza kilku pieczar, nie był donośny, ale nie dało się go pomylić z innym. Zedda dławili łzy. Pełna udreki nuta w głosie dziadka przeraziła Richarda.

– Tak, to ja. Nic ci nie jest?

Odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili.

– Tak, chłopcze. Żyję.

Nie takiej odpowiedzi Richard się spodziewał.

– Nic ci nie jest? Co ci robią?

Czekał chwilę, zanim w końcu usłyszał słowa.

– Wykrwawiają nas.

– Co? Upuszczają ci krew?

– Tak.

Richard uderzył pięścią w ścianę przy otworze zablokowanym zielonkawym poblaskiem.

– Po co?

– To długa historia. Widziałem naszych. I kilka osób, których nie znam. Ich też wykrwawiają.

Tych z darem i tych, którzy go nie mają.

Richard przypomniał sobie, jak Jit wykrwawiała Kahlan i piła jej krew. Musiał się napomnieć, żeby oddychać i zachować spokój. Jeśli ma coś wymyślić, musi zachować jasność umysłu.

– Przykro mi, że i ciebie pojмали, chłopcze. Lecz twój głos raduje moje serce.

W głosie Zedda wyraźnie było słychać cierpienie. Zwykle nie bywał tak zrozpaczony.

– Trzymaj się, dziadku. Coś wymyślę. Richard usłyszał cichy śmiech.

– Oto Richard, za którym tęskniłem. Richard przełknął ślinę.

– Po co im twoja krew? Czemu ci ją upuszczają?

– Próbują ożywić zmarłych. Richard zamrugął.

– Co takiego?

– Nie mówią za wiele, lecz z tego, co słyszałem, wynika, że sądzą, iż krew mających dar może ożywić zmarłych.

– To wariactwo, ale daleko mu do najbardziej zblizowanej rzeczy, jaką ostatnio słyszałem. Milczenie trwało przez chwilę, a potem Zedd znowu się odezwał:

– Jestem taki zmęczony... Richardzie, muszę odpocząć. Jestem wyczerpany... Richard pokiwał głową.

– W porządku, odpocznij. Coś wymyślę. Wydostanę nas stąd, przysięgam. Trzymaj się.

Oszczędzaj siły.

– Cicho. Znowu po mnie idą. Kocham cię, mój chłopcze. Zedd umilkł.

Richard znowu walnął pięścią w ścianę, słysząc, jak w oddali krzyczy jego dziadek, którego dokądś wleczono.

Stanowczo musiał coś zrobić.

## ROZDZIAŁ 63

Kiedy powóz podskoczył na kolejinie, Kahlan złapała boczny uchwyt, żeby nie spaść z siedzenia. Gwałtowne kołysanie urażało brzuch zmaltretowany Agielem. Głęboki oddech wciąż sprawiał ból.

Mord-Sith i opat obserwowali ją podczas podróży przez posępną krainę olbrzymich drzew i kamienistą, niegościnną ziemię. Kahlan wyglądała przez okno, żeby nie musieć patrzeć na tamtych. Ich widok budził w niej gniew. Doprowadzali ją do furii.

Nowy Świat przez lata toczył straszliwą wojnę ze Starym Światem. Imperator Jagang przyczynił się do strasznych cierpień. Nie sposób oszacować, ile setek tysięcy ludzi zginęło w tej wojnie. Rodziny straciły ojców, matki, braci, córki i synów. Wymordowano całe pokolenia. Jeszcze liczniejszych ludzi okaleczono na całe życie.

I po co?

Żeby imperator Jagang mógł władać światem, żeby Imperialny Ład mógł urzeczywistnić swoją wizję, iż wszyscy muszą żyć dla niego i wedle jego zasad, jako niewolnicy narzuconych siłą pokrętnych wymysłów o powszechnym dobru.

Podobnie jak tylu władców głoszących, że powszechne dobro leży im na sercu, zamierzał zabić każdego, kto się nie zgadzał z jego rojeniami o lepszym życiu. Gotów był zetrzeć z powierzchni ziemi całe miasta, nawet cały Nowy Świat, byle postawić na swoim.

Sprowadził na ludzi przeraźliwe cierpienia, a wszystko w imię absurdalnej mrzonki o lepszym życiu dla wszystkich.

Lecz Richard poprowadził Nowy Świat do zwycięstwa. Wygrała wolność. Skończyła się udręka i poświęcenia – choć czasem się wydawało, że nigdy nie przeminą.

Na świecie zapanował pokój.

A teraz ci ludzie z jakiejś zapomnianej krainy znowu chcą wtrącić świat w chaos, tak jak kiedyś Imperialny Ład? I po co? Żeby mogli panować?

To chore.

Kahlan zacisnęła zęby, patrząc za okno.

– Jak było?

Kahlan spojrzała chmurnie na opata siedzącego naprzeciwko.

– Co?

Obserwował ją z uśmiechem pełnym zadowolenia, zadomowionym na jego twarzy. Widział, jaka jest zła, i cieszyło go to. Radowało go, że ją uwięził, że Matka Spowiedniczka, żona lorda Rahla, kobieta, która pomogła pokonać Imperialny Ład, jest teraz jego własnością.

– Pytałem, jak było.

Kahlan, nie odpowiadając, posłała mu gniewne spojrzenie. Odwróciła wzrok ku oknu, na bezkresne lasy. Ołowiane chmury nadawały drzewom zielonoszarą barwę. Las wyglądał na prastary, jakby stopa człowieka nigdy go nawet nie musnęła. To była dzicz, pierwotne, niegościnne pustkowie, gdzie rządziły śmierć i rozkład.

Krzywe konary, wyginające się łukiem nad wąską drogą, niemal ich na niej zamykały, zmieniając trakt w ponury tunel przez wrogie terytorium. Wydawały się Kahlan potężnymi ramionami potworów nieustannie sięgających po ofiary. Jeszcze nigdy nie widziała tak okropnie wyglądającego lasu.

Nagły silny cios w twarz powalił ją na siedzisko.

Pięść Mord-Sith pozbawiła ją oddechu. Świat wirował i chwiało się. Przez chwilę Kahlan trudno się było zorientować, gdzie jest i co się dzieje. Jej ręce zwisały bezwładnie – jedna oparta na nogach, druga z czarnego skórzanego siedziska.

Jęknęła. W szczęce pulsowało. Wargi i nos mrowiły, jakby przeszywały je tysiące igieł.

Erika chwyciła Kahlan za włosy, podniosła i walnęła na odlew w drugi policzek, po czym pchnęła na siedzisko.

Kahlan siedziała ze zwieszonymi po bokach rękami, czując, jak ciepła krew spływa jej po brodzie i kapie na spodnie.

– Opat zadał ci pytanie – warknęła Mord-Sith. – Lepiej naucz się okazywać respekt. Jeśli będziesz oporna, będę niewymownie rada, każąc woźnicy zatrzymać powóz, żebym mogła cię wywlec na drogę i nauczyć, jak okazywać posłuszeństwo i należny szacunek.

Pochyliła się, znowu chwyciła Kahlan za włosy, przyciągnęła ją ku sobie i zbliżyła twarz do jej twarzy.

– Chciałabyś tego?

– Nie – odparła Kahlan, zanim Mord-Sith znów ją uderzyła.

Erika uśmiechnęła się z wyższością i puściła ją. Odchyliła się na siedzisku i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Kahlan wierzchem dłoni otarła krew z ust.

Opat Dreier przez chwilę przyglądał się jej z satysfakcją, a potem powtórzył pytanie:

– Jak było? Oczekujemy odpowiedzi. Oboje pałamy ciekawością. Kahlan posłała mu ponure spojrzenie.

– O czym mówisz?

Gestem zamarkował długie spadanie z wysokości.

– No wiesz, lot, upadek z urwiska. Naprawdę musisz być ostrożniejsza. Jak będziesz taka niezdarna, to któregoś dnia się zabijesz. No i jak było?

Kahlan czuła, że puchną jej wargi, ból się wzmagał. Najchętniej by teraz udusiła opata.

– Nie bardzo mi się podobało. Z rozbawieniem uniósł brew.

– No proszę. A dlaczego?

Kahlan spojrzała na Mord-Sith, a potem znowu na niego.

– To było przerażające. Krótco zarechotał.

– Wyobrażam sobie. – Skrzyżował ramiona na piersiach, odchylił się na oparcie, patrząc na nią. – I właśnie taki był nasz cel.

– To miało jakiś cel? Wzruszył ramionami.

– Oczywiście.

– Obawiam się, że nie jestem dobra w zgadywankach. Może mi powiesz, jakiż to cel.

– Ależ, ma się rozumieć, chodziło o to, by śmiertelnie cię wystraszyć. Bo niemal umarłaś ze strachu, nieprawdaż? No wiesz, kiedy byłaś prawie na samym dole, kiedy lada moment miałaś uderzyć o ziemię?

– Czyli celem było przerażenie mnie? No dobrze. Udało ci się. Byłam przerażona.

Zadowolony?

Posłał uśmiech Mord-Sith.

– Ona wciąż nie rozumie.

– Zrozumie – zapewniła Mord-Sith, kołysząc się w rytm powozu. – W końcu.

– Masz rację – westchnął.



– Nie jesteś ciekawa? – zapytał. – Nie zastanawiasz się, jak to zrobiłem?

Kahlan dobrze wiedziała, że pyta, czy ciekawi ją, jak zdołał wykorzystać dar, żeby ją zatrzymać tuż przed uderzeniem o ziemię.

Dorastała wśród czarodziejów. Wiele wiedziała o magii, o jej możliwościach. Mający dar potrafili podnosić przedmioty, nawet ciężkie, i łapać spadające obiekty w locie.

Lecz nie mogli tego robić z żywymi istotami, zwłaszcza ludźmi.

Życie niekiedy ingerowało w tego typu manipulacje. Posiadanie duszy w jakiś sposób uniemożliwiało unoszenie ludzi, z wyjątkiem rzadkich przypadków i na bardzo krótko. A zawsze wymagało to ogromnego wysiłku. Inaczej ludzie potrafiliby latać. Niegdyś jej to wyjaśniano, lecz teraz wydawało się to nieważne.

Ważne było zaś to, jak Ludwigowi Dreierowi udało się to zrobić, jak zdołał tak precyzyjnie ją pochwycić tuż nad ziemią i wyhamować jej upadek. Kiedy się zatrzymała, twarz miała cal nad podłożem. Gładko i łagodnie ją opuścił.

To było potworne, okropne doświadczenie, po którym dygotała jak listek.

– Tak – powiedziała Kahlan. – Prawdę mówiąc, jestem ciekawa. Jak to zrobiłeś? Bez wątpienia masz dar, co w pałacu przed nami zataiłeś. Nie znam czarodzieja, który by potrafił czegoś takiego dokonać. Z tego, co wiem, dar czegoś takiego nie umożliwia.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Istotnie. Lecz ja mam moc odmiennego rodzaju.

– Dar to dar.

– Niby tak, ale tacy jak ja i lord Arc nabyli zdolność wykorzystywania wraz z darem tajemnych mocy. Reszta świata nie pojmuje nawet, czego potrafimy przy ich użyciu dokonać. – Wskazał za okno. – Jedna z zalet życia tutaj, z dala od innych, to możliwość nauczenia się takich mrocznych sztuk od chowańców i przemienienie ich potem w coś całkiem innego, odmiennego niż wszystko, co kiedykolwiek przyszło im na myśl. Oni nie mają daru, to dlatego nigdy o tym nawet nie pomyśleli.

– Przy mrocznych sztukach należy zachować wyjątkową ostrożność.

Jego uśmiech znów stał się szerszy. Zaczynała mieć dość tego uśmiešku. Jakby chętnie się było dla niego celem samym w sobie.

– Nie boję się – powiedział niskim, groźnym głosem.

Kahlan chciała rzec, że powinien. Postanowiła jednak milczeć. Rozpromienił się.

– Ale ty się bałaś. Jak spadałaś. Byłaś przerażona.

– Już mówiłam, że tak.

Nagle szarpnięcie powozu uraziło jej brzuch, zaparło dech w piersi i obudziło pulsowanie w szczęce. Ale przynajmniej warga przestała krwawić.

– I o to mi chodziło.

Kahlan znowu posłała mu ponure spojrzenie.

– Myślałam, że wyrosłeś ze straszenia dziewczyn. Mord-Sith głośno się roześmiała.

– Ona jest zabawna. – Popatrzyła na opata Dreiera. Skrzywił się, lecz zignorował Mord-Sith.

– Strach ma swój cel – mówił cierpliwie do Kahlan. – Usiłuję wyjaśnić ci mój cel, a w tym kontekście ogólniejszy cel pracy mojego życia.

Kahlan wzięła głęboki oddech. Naprawdę nie miała ochoty na rozmowę. Od kiedy Erika uderzyła ją w szczękę, mówienie sprawiało jej ból. Podejrzewała jednak, że pogawędki nie da się uniknąć.

Poza tym uświadomiła sobie, że musi wiedzieć, co ten człowiek zamierza, co to za „praca życia” i co on robi w opactwie. Wyglądało na to, że niewiele trzeba, żeby go zachęcić do opowieści.

– Wybacz, opacie, lecz upadek z urwiska i ocalenie tuż przed roztrzaskaniem się o ziemię to dla mnie pewna nowość. Obawiam się, że jeśli nawet miałeś jakiś cel, to mi on umyka.

Skwitował to uśmiechem i pochylił się ku niej.

– Czy na samym końcu, w tej ostatniej chwili, zanim miałaś absolutną pewność, że zaraz umrzesz, doznałaś objawienia? Miałaś jakąś ostatnią myśl? Wspomnienia swojego życia? W relacjach z doświadczeń na granicy śmierci wiele osób podaje, iż w jednej chwili ujrzeni całe swoje życie. Toteż zastanawiałem się, o czym ty myślałaś w tych rzekomo ostatnich chwilach.

Kahlan musiała odwrócić wzrok od niego. Zapatrzyła się przez okno, obserwując śmigające za szybą pnie i konary drzew.

– No i? – zapytał. – Jakie były twoje ostatnie myśli?

– Nie zrozumiałbyś – powiedziała cicho, nie patrząc na niego. Przez chwilę jechali w milczeniu.

– W takim razie może byś mi je objaśniła – rzekł wreszcie.

Wiedziała, że to nie tylko zwykła ciekawość. To było żądanie, którego nie ośmieliła się zignorować.

– Doświadczyłam uczuć, jakie żywię do męża. Uniósł palec.

– Ach, miłość.

Już miała powiedzieć, że on nie ma pojęcia, co to jest, lecz postanowiła nie marnować sił.

– Cóż, rzecz w tym – podjął, skubiąc paznokiec – że dzięki naszym tajemnym mocom nauczyliśmy się odmieniać owo doznanie.

Kahlan spojrzała na niego.

– Odmieniać doznanie? „Doświadczenie” śmierci? Co właściwie masz na myśli?

– W owej ostatniej chwili przed śmiercią, tą prawdziwą, realną i pewną, ludzie doświadczają bardzo wielu uczuć. Mogą czuć żal, paraliżujący strach, wspominać całe swoje życie. Tak przynajmniej słyszałem.

– No i?

– My, to znaczy ja, nauczyłem się po długim eksperymentowaniu i wielu wysiłkach zmieniać owo doznanie tak, żeby ci, którzy mają przeniknąć przez zasłonę do świata zmarłych, mogli zrobić coś użytecznego dla tych zostających w świecie życia.

Kahlan zmarszczyła brwi, teraz już szczerze zaciekawiona.

– Cóż użytecznego dla siebie możesz uzyskać od ludzi mających umrzeć?

Znowu na jego ustach pojawił się uśmiech, lecz tym razem nie było w nim rozbawienia ani chętności. Jeszcze nigdy nie widziała tak złowieszczej miny.

– Proroctwo.

## ROZDZIAŁ 64

Kahlan osłupiała.

– Proroctwo?

– Tak. Uzyskujemy proroctwa.

– Jak to?

– Cóż – westchnął, odchylając się do tyłu – kiedy dzięki swoim umiejętnościom odmienię je u kresu życia, które jeszcze tli się w danej osobie, w tej ostatniej, szczególnej chwili, kiedy przechodzi przez zasłonę, w tym mgnieniu, kiedy wciąż jeszcze trzyma się życia i zarazem dotyka śmierci, to zamiast oglądać całe swoje życie lub doznawać poczucia straty, potrafi wniknąć w ten sam strumień czasu co prorocy. W owej wyjątkowej chwili konwergencji życia i śmierci jest w stanie ujrzeć spektrum czasu, stanąć w jego strumieniu i prorokować, jak prawdziwi prorocy.

Kahlan była przerażona.

– Sądzisz, że potrafisz wykorzystać tajemne moce, żeby uzyskiwać proroctwa od umierających ludzi?

Popatrzył na nią z wyższością.

– To proces, który stworzyłem i udoskonaliłem, w pełni go rozumiem i kontroluję. Nie ma tu żadnych spekulacji.

– Robiłeś to już? I zamierzasz znowu zrobić?

– To misja opactwa. Wykorzystuję mój proces do zbierania proroctw, które potem przekazuję lordowi Arcowi. A on postępuje wedle ich wskazań.

Kahlan wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Zabierasz ludzi do opactwa i mordujesz, żeby umierając, wykrzyczeli ci proroctwo?

Zabijasz ich w nadziei, że wraz z ostatnim tchnieniem przekażą ci proroctwo?!

– Morduję? Nie, to nie tak. Wyławiamy proroctwa z otchłani wieczności. Zbieramy to, co się tam kryje, dla tych, którzy wiedzą, jak się z tym obchodzić.

– Poprzez morderstwa.

Gestem zbył ten poważny zarzut.

– Ludzie wybrani, by nam pomogli w tej doniosłej pracy, nie są ofiarami.

Wprost przeciwnie. To dla nich zaszczyt oddać życie dla tak szlachetnej sprawy. Mogą, rzecz jasna, sobie tego nie uświadamiać, lecz są bohaterami poświęcającymi się dla dobra innych.

– To szaleństwo... – wyszeptała Kahlan.

– Szaleństwo? Nie, wcale nie – powiedział wyraźnie dotknięty taką sugestią. – Nielicznych poświęca się dla większego dobra ogółu. To wspaniałe założenie i takąż jego egzekucja.

– „Egzekucja” to odpowiednie słowo – stwierdziła Kahlan. – Zwyczajna egzekucja w imię twoich wynaturzonych celów.

Posłał jej cierpkie spojrzenie.

– Wy robicie to samo.

– Nie robimy czegoś takiego, dobrze o tym wiesz.

– Wy, czyli osoby korzystające z proroctw. W Pałacu Ludu z nich korzystacie, na przykład twój mąż, zbieracie i gromadzicie życiowy dorobek proroków, którzy dotknęli owego wielkiego strumienia czasu, podobnie jak robię to ja, lecz wyłącznie po to, żeby zamykać bezcenne proroctwa w sekretnych bibliotekach i wykorzystywać je do kontrolowania innych, a nie po to, żeby również im przynosiły korzyści. Prorocy również poświęcają życie wieszczoniu, podobnie jak ludzie w opactwie, a wy marnujecie ich wysiłek dla egoistycznych celów, zamiast wykorzystywać go dla powszechnego dobra, co było zamierzeniem Stwórcy.

Kahlan wołała milczeć.

Pochylił się i wycelował w nią palec.

– Ty i lord Rahl zachowujecie proroctwa dla siebie, żeby dzięki nim ciemnić ludzi. Natomiast my wykorzystujemy proroctwa uzyskane od tych, którzy się poświęcili, do pomocy w kierowaniu życiem naszego ludu. Wykorzystujemy proroctwa do przewodzenia ludziom w prowincji Fajin. Nie ukrywamy ich przed nimi, jak czynicie ty i lord Rahl dla egoistycznych korzyści. Proroctwa z prawa należą do wszystkich, nie tylko do nielicznych. A teraz inne krainy okazały chęć przyłączenia się do nas i korzystania z wglądu, jaki uzyskujemy dzięki proroctwom.

Kahlan nie zamierzała dyskutować o takim szaleństwie. Miała już dość starań, żeby ludzie zrozumieli, jak działa proroctwo, a jak działać nie może. Przygnębiało ją, że inne krainy porzuciły imperium D’Hary, skuszone obietnicami Hannisa Arca, iż chętnie im udostępni proroctwa.

W końcu ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Prawda ma z tym niewiele wspólnego.

– Wybrano cię, byś się przyłączyła do tej ważkiej sprawy – powiedział na koniec. – Staniesz się jedną z tych, które przekazują proroctwa potrzebującym. Przez wzgląd na twoją rangę i wrodzoną moc Spowiedniczki oczekujemy od ciebie niezwykłego proroctwa.

Kahlan spojrzała na Mord-Sith, potem znów na opata.

– Zamierzasz mnie zabić. Ależ niespodzianka. Żli ludzie od początku czasów zabijali niewinnych. Zetniesz mi głowę, licząc na to, że najpierw wydukam przepowiednię? Wspaniale, ale nie sądz, że z własnej woli położę głowę na katowskim pieńku. To będzie zwyczajne morderstwo, nic więcej, i na pewno nie będzie w tym nic szlachetnego.

Zbył jej słowa kwaśną miną i machnięciem ręki.

– To nie takie proste – odezwała się ze znaczącym uśmiechem Mord-Sith.

– Nie takie proste – powtórzyła Kahlan. – Niby czemu? Powiedziałaś, że zabijacie ludzi, by umierając, wypowiadali proroctwa. To zwyczajne szaleństwo.

– Nie, źle zrozumiałaś – stwierdziła Vika. – Miałam na myśli to, że sam proces nie jest taki prosty.

– Najpierw należy ich przygotować – wtrącił z chorobliwym zapałem opat Dreier.

– Przygotować? Jak przygotowujecie ludzi do śmierci? Uniósł brew.

– Torturami.

Kahlan wpatrywała się w niego.

– Torturujecie ludzi.

– Pozwala im to uzyskać dar prorokowania. Poprzez tortury doprowadzamy ich na skraj życia i śmierci i trzymamy tam, na granicy między dwoma światami, aż są gotowi zaakceptować to, co im ofiarowujemy.

Kahlan nie mogła uwierzyć.

– A cóż możecie ofiarować torturowanym?

– Wybawienie – powiedziała Mord-Sith.

– Wybawienie? – znowu powtórzyła Kahlan, wpatrując się w nich z niedowierzaniem.

– Wybawienie – potwierdził opat Dreier. – Dopiero wtedy, kiedy z własnej woli przyjmują większe dobro i godzą się na złożenie owego daru dla ludzkości, wybawiamy ich i obdarzamy przywilejem śmierci.

Kahlan zrobiło się słabo. Teraz zrozumiała, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Mord-Sith. Erika się uśmiechnęła, kiedy zobaczyła, że Kahlan wreszcie to pojęła.

– W ogromnym cierpieniu jest wielka chwała i chluba – rzekła z przekonaniem, jakby usprawiedliwiając to, co czynią.

– Chwała i chluba – rzuciła sarkastycznie Kahlan, zdjęta wstrętem dla tej ohydy i zła.

– Zaiste. – W Mord-Sith przeważało obrzydliwe zadowolenie z własnej roboty. – Zamierzamy dać ci taką chwałę i chlubę, jakich sobie nawet nie wyobrażasz.

Ludwig Dreier wpatrywał się w Kahlan.

– Wówczas i ty, jak wszyscy przed tobą, z własnej woli wypowiedz proroctwo, by pozwolono ci wkroczyć w śmierć.

## ROZDZIAŁ 65

Richard siedział na kamiennym podłożu pieczary, oparty plecami o ścianę, na poły drzemiąc, wymęczony trawiącą go chorobą. Usłyszał przytłumione głosy i podniósł wzrok. Nie był to głos Zedda. Dobiegały zza przegrody głównego wejścia do jego celi. Ktoś coś mówił, lecz Richard nie mógł zrozumieć co.

Po drugiej stronie falującej zielonej zasłony dostrzegł ruch, a potem zatrzymało się tam kilka postaci. Nie były to wijące się dusze ze świata umarłych, które ostatnio widywał, wabiące go od wielu dni, obiecujące mu spokój wiecznej nicości, szepczące, by przekroczył zasłonę i dołączył do nich w owym wieczystym ukojeniu.

Postaci stały za zieloną kotarą jego celi.

Od kilku dni nie słyszał i nie widział nikogo, kto by choć przechodził za marszczącą się zasłoną zielonego światła. Przynajmniej zakładał, że to było kilka dni. Nie mógł mieć pewności. Trudno było mierzyć czas w wiecznym półmroku pieczary.

Niewiele spał, głównie chodził tam i z powrotem, a czas powoli mijał. Nie przyniesiono mu jedzenia. Znalazł zagłębienie w kształcie misy w skale wyżłobione przez nieustannie kapiącą wodę. Dzięki niej miał co pić, bo wiadro było już puste.

Ponieważ go nie karmili, zaczął myśleć, że może go tu zostawili, żeby umarł. Miał w sobie skazę śmierci i ciekaw był, czy trucizna wsączona przez Zaszytą Służkę prędzej zrobi swoje niż ta cela.

Richard wiele razy podchodził do miejsca, gdzie rozmawiał z Zeddem, ale dziadek już nigdy nie odpowiedział. Chodząc po celi, sprawdzał inne otwory zablokowane zieloną zasłoną zaświetła. Zza żadnego z nich nie dobiegło nawet słowo. Zastanawiał się, czy strażnicy przenieśli więźniów z sąsiednich cel, żeby nikt nie mógł z nim porozmawiać i powiedzieć mu, co się właściwie dzieje. Z ich punktu widzenia lepiej było go całkiem odizolować.

Richard tłumaczył sobie, że może Zedd nie wrócił, bo więźniów po wyprowadzeniu pakowano do najbliższej celi, nie kłopotząc się odprowadzaniem ich tam, skąd ich zabrano. W końcu w skale było mnóstwo



pieczar. Starał się w tym utwierdzić. Odrzucał możliwość, że po ich rozmowie znowu upuścili dziadkowi krwi i po tym zmarł. Mówił sobie, że Zedd jest silniejszy, niż się wydaje, i że na pewno by się trzymał, wiedząc, że Richard tu jest.

Lecz niby jaką nadzieję miałoby mu dawać to, że i Richard jest teraz więźniem?

Najprawdopodobniej umrze razem z nimi.

Zielonkawę światło nagle się rozproszyło, kłębiąc się niczym unoszący się spiralnie i rozwiewający się dym.

W labiryncie korytarzy stali Shun-tuk oraz parę chodzących trupów; ci ostatni trochę dalej, w ciemnych otworach, patrzyli jarzącymi się, czerwonymi oczami. Pólludzie gapili się, jakby usiłowali zobaczyć jego duszę.

Przy wejściu stała Mord-Sith. To jej postać widział za zasłoną. Richard nadal siedział pod ścianą.

W pieczarze nie było prześwitów na zewnętrzny świat i dziennego światła, toteż nie był w stanie określić, ile dni minęło, od kiedy ostatnio kogoś widział, a nawet czy jest dzień czy noc. Od kiedy go zostawiono w tej odosobnionej celi, nawet Mord-Sith nie przychodziła go dręczyć, jak to one mają w zwyczaju.

Richard był osłabiony z braku pożywienia, za to Vika była wypoczęta i świeża. W przypadku Mord-Sith to zwykle zły znak.

Nie był w nastroju do jakichś ich bzdur czy gierek. Czas uciekał, cierpliwość mu się dawno skończyła.

Vika władczo wkroczyła do celi, co przywołało wiele niemiłych wspomnień. Musiał się napomnieć, żeby nie mylić dawnych wydarzeń z obecnymi. To było coś innego. On był inny. Powinien myśleć o tym, z czym ma teraz do czynienia, a nie o tym, z czym musiał sobie radzić w przeszłości.

Warkocz Mord-Sith wyglądał na świeżo zapleciony. Czerwony skórzany uniform był nieskazitelny i ciasno opinał jej muskularne kształty.

– Już czas – powiedziała jedwabistym, chłodnym głosem.

– Czas? – Richard, z przedramionami opartymi na kolanach, nawet nie drgnął. – Na co?

– Czas, żebyś ze mną poszedł – dodała z wyuczoną obojętnością.

Richard westchnął i wstał, zanim do niego podeszła. Otrzepał dłonie z

pyłu. W myślach przygotował się na taniec, który się zaraz zacznie. Odetchnął dla uspokojenia. Nie pozwoli, żeby zyskała nad nim przewagę.

– Słuchaj, Viko, wiem o Mord-Sith więcej, niż ci się zdaje, i sądzę, że ty o wiele mniej wiesz o zewnętrznym świecie, niż sobie uświadamiasz. Trzymano cię nie tylko w Mrocznych Ziemiach, ale i w niewiedzy. Powinnaś mnie wysłuchać. Rahl Posępny był złym człowiekiem. Nie przypisuj mi jego zbrodni czy grzechów. Świat poza granicami prowincji Fajin, poza tymi zacofanymi Mrocznymi Ziemią, zmienił się na lepsze. Wiem, jak Rahl Posępny wybierał dziewczynki na Mord-Sith, jak je tresowano. Rozumiem, dlaczego jedna z nich mogłaby go porzucić... ale ja nie jestem nim. Nie jestem taki jak on. Nie zabieram dziewczynek, by je szkolono na Mord-Sith, i nie traktuję kobiet, które już nimi są, tak jak on. Mord-Sith są moimi przyjaciółkami.

Uniosła brew.

– Jak Cara?

– Tak. Jest tutaj? – Richard postąpił krok ku niej. – Nic jej nie jest? Jest bezpieczna?

– Jest słaba.

– Od upuszczania krwi? Vika się nachmurzyła.

– Nie. Od tego, że jest twoją Mord-Sith. Jest słaba, bo ty jesteś słaby i pozwoliłeś jej osłabnąć.

– Cara jest o wiele silniejsza, niż ty kiedykolwiek będziesz, bo pozwoliłem jej dojrzeć – powiedział Richard przez zaciśnięte zęby. – Miała siłę, żeby stać się taką osobą, jaką chciała być. Nigdy nie będziesz taka jak ona.

– Daj spokój – prychnęła Vika, przewracając oczami. – Nawet jej Agiel nie działa. Teraz jest nikim. – Uśmiechnęła się. – To tak lord Arc się dowiedział, że twój dar zawiódł. Agiele twoich Mord-Sith nie działają, bo twój dar i więź z tobą zawiodły. Zawiodłeś je. Są bezbronne. Teraz i ty jesteś bezbronny.

Richard wcześniej się zastanawiał, skąd Hannis Arc wiedział, że jego dar przestał działać, a to było prostsze wyjaśnienie, niżby oczekiwał.

– Rozmawiałaś z Carą? Próbowiałaś się dowiedzieć, jak teraz się sprawy mają z...

– Ja mówiłam, ona słuchała.

Richardowi się nie spodobało to, co dawała do zrozumienia.

– Możesz postanowić się zmienić, Viko.

– Zmienić? Jak ona? Stać się słaba? Byłam w Pałacu Ludu z opatem Dreierem. Byłam tam, pod twoim nosem, niewidoczna, pomagając mu to wszystko zapoczątkować. Słyszałam plotki, a opat je potwierdził. Powiedział, że Cara, Mord-Sith, wyszła za mąż.

– Wiem – powiedział spokojnie Richard. – To ja dałem im ślub. Wyraźnie zdumiona Vika długo i badawczo wpatrywała się w jego twarz.

– Czemu zrobiła coś takiego? Jest Mord-Sith.

– Jest również kobietą, Viko, tak jak ty. Zakochała się i chciała dzielić życie z ukochanym mężczyzną.

Zmarszczyła brwi. Była naprawdę zaskoczona.

– I pozwoliłeś na to? Dlaczego dałeś im ślub?

– Bo się o nią troszcze, jak o wszystkie Mord-Sith. Chciałem, żeby była szczęśliwa. Po tym, co przeszła w życiu, co wszystkie przeszłyście, zasługiwała na szczęście. Inne Mord-Sith na jej ślubie płakały z radości. – Stuknął się w pierś. – Ja też płakałem z radości.

Vika przyglądała mu się w milczeniu, toteż mówił dalej:

– Zmieniła się z własnej woli, żeby wieść życie, jakiego pragnęła. I ty masz taką możliwość, lecz kurczy się czas, kiedy możesz zdecydować o własnym życiu. Wciąż jeszcze możesz wszystko naprawić i pomóc mi to naprostować. To jedyny sposób. Nie pozwól, Viko, żeby ta sposobność przeminęła. Kiedy okazja minie, już się nie powtórzy.

Nie mogła w to wszystko uwierzyć.

– Sposobność na co?

– Byś nie była własnością złego człowieka.

– To lord Arc, mój pan.

– Jesteś panią samej siebie. Tyle że o tym nie wiesz.

Cierpliwość się skończyła, przeważył gniew i Vika znienacka chciała go dźgnąć Agielem. Richard chwycił pręt, zanim mu go wbiła w brzuch. Vika trzymała jeden koniec, a on drugi, dzieląc z nią przeraźliwy ból, tak jak go nauczono podczas okrutnych lekcji, które – jak sądził –

nigdy mu się nie przydadzą.

Teraz okazały się przydatne. I był za nie wdzięczny.

Od twarzy Viki dzieliły go cale, patrzył w jej błękitne oczy, a ona patrzyła w jego źrenice, czuł ten sam ból, który ona odczuwała, wytrzymując go tak jak ona.

Shun-tuk patrzyli, nie reagując, nie zdając sobie sprawy z doniosłości tego, co się dzieje, co oni oboje razem odczuwają. Kredowobiałe postaci z czarnymi obwódkami wokół oczu nie przeszkadzały im, kiedy stali bez ruchu, twarzą w twarz, wspólnie doznając straszliwego bólu jej Agiela.

Richard, patrząc w oczy Viki, wreszcie dostrzegł w nich cień strachu.

A wtedy, kiedy już zyskał pewność, że zrozumiała, iż to dostrzegł, puścił Agiel i ją odepchnął. Przyglądała mu się, ciężko oddychając, we wzburzeniu zmarszczyła gładkie czoło.

– Jesteś kimś wyjątkowym, Richardzie Rahlu, skoro to potrafisz.

– Jestem lordem Rahlem – powiedział spokojnym, władczym tonem. – Mimo pozorów to ja sprawuję kontrolę, a nie ty. Nigdy o tym nie zapominaj, bo zapłacisz za to życiem wtedy, kiedy się tego będziesz najmniej spodziewać.

– Oczekuję, że umrę w boju...

– A nie stara i bezzębna w łożu – dokończył. Zachmurzyła się.

– Wiesz więcej o Mord-Sith, niż sądziłam.

– Viko, wiem o was więcej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Wiem, że na nowo możecie wybrać życie. Nie jest za późno. Nosilem na szyi Agiel Mord-Sith, która umarła. Niektóre zginęły, walcząc ze mną, inne walcząc dla mnie. Wszystkie były ludźmi mającymi możliwość wyboru, by być nie tylko Mord-Sith. Jedne wybrały mądrze, inne nie.

Vika zajrzała mu głęboko w oczy, ważąc jego słowa. W końcu uniosła Agiel, wymierzając go w twarz Richarda. W oczach znów miała stalowy błysk.

– Jestem Mord-Sith. Zrobisz, co każę i kiedy każę.

Richard łagodnie się uśmiechnął.

– Oczywiście, pani Viko. – Uniósł rękę. – A teraz ruszajmy. Masz mnie dokądś zaprowadzić. Żałosna kreatura, której służysz, rozgniewa się na ciebie, jeśli będziesz zwlekać. Tak traktuje Mord-Sith, nie inaczej niż Rahl Posępny. Przejście od Rahla Posępnego do Hannisa Arca niczego nie zmieniło na lepsze. Zamieniłaś jednego tyrana na drugiego i tyle. Lecz przynajmniej powinno ci to uświadomić, że możesz sama wybierać. Dokonałaś takiego wyboru. Mam nadzieję, że dostałaś nauczki i następnym razem wybierzesz lepiej.

Nie wyglądała na zadowoloną.

– Mam nadzieję, że lord Arc pozwoli mi cię zabić.

– Złudna nadzieja. To się nigdy nie stanie. Poczzerwieniła z wściekłości.

– Niby dlaczego?

– Naprawdę myślisz, że Hannis Arc zadałby sobie tyle trudu, żeby mnie schwytać, tylko po to by ci pozwolić mnie zabić? Wątpię. Ma o wiele większe plany niż twoja rozrywka. Jestem mu potrzebny z jakiegoś powodu. Nie pozwoli, żebyś mnie zgładziła, i uważam, że wydał ci w tej sprawie wyraźne rozkazy. Czyż nie mam racji?

– Masz rację – powiedziała spokojnie. – Masz ważniejsze zadanie niż śmierć z mojej ręki. – Zadarła brodę. – Ale to nie znaczy, że nie cieszy mnie twój los.

– Znakomicie, dajmy spokój pogrożkom. Chodźmy.

Kiedy nie drgnęła, Richard ruszył ku wyjściu. Odsunął się, pozwalając jej się wyprzedzić. Już ją wystarczająco przycisnął. Gdyby teraz wzmógł nacisk, tylko by się utwierdziła w uporze.

Wiedział, że mógłby ją zabić. Wiedział, jak zabić Mord-Sith. Większość ludzi tego nie wie, lecz on, niestety, tak.

Musiał się wydostać i chętnie by ją zgładził, żeby to zrobić, ale powstrzymali go tłoczący się w korytarzach Shun-tuk, wpatrzeni w niego, oraz może z tuzin sterczących za nimi żywych trupów.

Wiedział, że w tym momencie tylko ona gwarantuje mu życie. Gdyby ją zabił, oni by wpadli do celi i żywcem go pozarli.

## ROZDZIAŁ 66

Popatrzył gniewnie na ponure, zwrócone ku niemu twarze i wyszedł za Viką z celi. Ciemne otoczki wokół oczu i wysmarowane na biało ogolone głowy nadawały im wygląd trupich czaszek z pustymi oczodołami. Z owych wewnętrznych mroków wpatrywali się w niego jak drapieżnik w przechodzącą ofiarę. I gdyby im pozwolono, w mgnieniu oka by go rozszarpali.

Dostrzegł w ich pustych oczach, że brakuje im wewnętrznej iskry, połączenia z Grace i tym samym człowieczeństwa. Żyli, lecz byli skorupami, pozbawionymi duszy.

Widział jednak, że potrafią okazywać swoiste emocje, atakując tych, którzy mają dusze. Wtedy stawali się rozszalałymi, maniakalnymi zabójcami ogarniętymi pragnieniem pożerania ludzkiego ciała.

Vika – z towarzyszącą im eskortą około setki Shun-tuk, postępujących za nimi niczym wygłodzone, liczące na posiłek zwierzęta – prowadziła Richarda labiryntem korytarzy i pieczar. Za nimi wlekli się sztywnym krokiem milczący obudzeni zmarli, gotowi rzucić się na rozkaz do walki i usunąć każde zagrożenie.

Miejscami tunele i korytarze prowadziły w dół, schodząc do szeregu naturalnych pieczar; labirynt się rozrastał i komplikował. Przejścia wiodły we wszystkich kierunkach. Niektóre z gładszych tuneli wyglądały na wydrążone przez płynącą wodę. Wydawało się, że jest tu jeszcze więcej milczących, upiornie białych gapiów w każdej dziurze czy zagłębieniu.

Przeszli pod skalną płytą, która najwyraźniej się osunęła i uwięzła pomiędzy ścianami, i znaleźli się wreszcie w rozległej pieczarze, gdzie najwyraźniej mieli dotrzeć. Łukowate ściany i kopulasty strop były barwy jasnobrązowej, brązowej i białej, z rdzawymi plamami. W oddali, w pobliżu szczelin w zewnętrznych ścianach, ze stropu – ponad wyrastającym z dołu lasem stalagmitów – zwieszały się ogromne stalaktyty.

Ogromną, cichą pieczarę wypełniał tłum milczących półludzi. Rzesze kredowobiałych Shun-tuk stały wszędzie, gdzie znaleźli jakieś miejsce – na głazach, półkach i gzymsach – zajmując każdy cal dostępnej przestrzeni. Jeszcze liczniejsze ciemne oczy patrzyły z otaczających pieczarę korytarzy

lub z otworów w ścianach. Patrzyli zza stalagmitów wyglądających jak sople stopionego kamienia. Richard widział ich także wyżej, zerkających z ziejących przejść wiodących do innych pieczar. W blasku setek pochodni zauważył, że ściany się iskrzą, jakby je ozdobiono połyskliwymi drogimi kamieniami.

Dno olbrzymiej pieczary nachylało się ku środkowi, tak że stłoczeni Shun-tuk formowali jakby wielką, białą misę.

Richard widział Hannisa Arca – wyróżniającego się w ciemnych szatach – stojącego pośrodku mlecznego zagłębienia.

Nawet z tej odległości widział, jak purpurowe oczy tamtego obserwują Vikę w czerwonym skórzanym uniformie, wprowadzającą go do pieczary. Shun-tuk się odsuwali, robiąc przejście Mord-Sith, która szła, nie zatrzymując się i oczekując, że się odsuną. Prowadziła Richarda ku swemu panu.

Pośrodku pieczary, za Hannisem Arkiem, wznosiło się podwyższenie sięgające mu do bioder. Wyglądało jak ołtarz, powstały z miękkiego, jasnożółtego i jasnobrązowego kamienia, przypominającego nawarstwiony z czasem, skapujący wosk.

Kiedy Richard znalazł się wystarczająco blisko, zobaczył, że na kamiennym podwyższeniu leżą drobne, wyschnięte zwłoki.

Trupa oświetlały otaczające go pochodnie, trzaskające i posykujące, wydzielające kłęby gryzącego dymu. Kiedy podszedł jeszcze bliżej, ujrzał, że ciało jest zmumifikowane i wygląda na bardzo stare. Ciemna, stwardniała skóra była tak naciągnięta na kościach twarzy, że były one doskonale widoczne.

Zwłoki wyglądały, jakby liczyły sobie tysiąclecia. Po tej skurczonej powłoce trudno było zgadnąć, jak wyglądała żyjąca niegdyś osoba.

Richard dojrzał na stwardniałej skórze białawe złogi. Przypominały popiół lub jakiś biały barwnik wtarty niegdyś w ciało; pewnie kiedy je przygotowywano do mumifikacji. Wąskie wargi się cofnęły, odsłaniając zęby, i czaszka jakby się szczyrzyła. Wokół oczodołów zachowały się ślady wcieranych niegdyś ciemnych olejków.

Shun-tuk, z ciałami natartymi popiołem, z ciemnymi obwódkami wokół oczu i namalowanymi uśmiechami śmierci, sprawiali wrażenie, jakby składali zwłokom upiorny hołd, starając się naśladować ich wygląd.

Richard podszedł jeszcze bliżej i zobaczył, że zwłoki są częściowo owinięte czymś, co niegdyś było ozdobną ceremonialną szatą, a teraz zaledwie kolorowymi resztkami płótna, ozdobionego złotymi i srebrnymi medalionami i drogimi kamieniami. Szata była rozsunięta od szyi do pasa, ukazując sterczące żebra.

Przyjrząwszy się dokładniej, zdał sobie sprawę, że ciemne plamy na szacie to zaschnięta krew. Stosunkowo świeża.

Popatrzył w dół i stwierdził, że krew pokrywa podłogę wokół podwyższenia pośrodku pieczary. Jakby tu kogoś lub coś zaszlachtowano.

– Witaj na doniosłej ceremonii – rzekł Hannis Arc.

Kiedy Richard nie odpowiedział, tamten wskazał wytatuowaną dłońią przypatrujący się tłum.

– Ci ludzie długo czekali na *fuer grissa ost drauka*, albowiem proroctwo przyobiecało, że to on wskrzesi ich króla.

Na wzmiankę o królu wypełniający olbrzymią pieczarę Shun-tuk uklękli. Szeleszczący odgłos poniósł się po pieczarze, cichnąc powoli w leciutkim szuraniu kolan o kamień.

– A cóż ty porabiasz w ich krainie? – zapytał Richard.

– Prastare wrota, tak długo ich więżące, zostały wreszcie z moją pomocą otwarte i mogli tu sprowadzić żywych, z duszami, by umożliwić ukochanemu królowi powrót do życia, władcy trzeciego królestwa, który będzie władał połączonymi światami życia i śmierci.

– Innymi słowy – stwierdził Richard – próbują wykorzystać krew żywych ludzi do przywrócenia życia zwłokom, lecz to nie działa tak, jak oczekiwali.

Hannis Arc się uśmiechnął, a grymas zniekształcił symbole wytatuowane na jego twarzy.

– Niezbyt to uprzejme słowa, lecz w gruncie rzeczy prawdziwe. W swojej ignorancji wierzyli, że krew mających dusze, na przykład krzepkich żołnierzy, przywróci siły ich królowi i da mu moc w świecie życia. W swym nazbyt uproszczonym rozumieniu dawnej wiedzy uważali, że jeśli nasącą swojego króla ciepłą krwią ludzi z duszą, to ona przywróci mu życie i ciepło.

– Tak? – Richard pomyślał, że w tym musi się kryć coś więcej. – Powiadasz, że wierzyli, iż lejąc krew na zwłoki, je ożywią?

– Cóż, procedura była bardziej złożona – przyznał Hannis Arc. – Choć nie do końca pojmowali ten proces, nie byli takimi ignorantami, jak wynika z



twoich słów. Lejąc krew, dodawali mające zasadnicze znaczenie zaklęcia tajemnej mocy, których uczono ich od niepamiętnych czasów, zanim zostali wygnani, zaklęcia dawno zapomniane przez resztę świata. Takie uroki i inkantacje dawno wyszły z użycia i w zewnętrznym świecie popadły w zapomnienie, lecz nie tutaj. Brakowało im jedynie krwi ludzi z duszami, a teraz ją mają.

– No nie wiem – mruknął Richard. – Mnie on wciąż wygląda na nieżywego.

Tylko czerwone oczy Hannisa Arca zdradziły jego irytację. Uśmiech, choć nieszczerzy, pozostał. Lecz chociaż zebrani Shun-tuk twarze mieli pokryte białym popiołem, a czarne otoczki sprawiały, że ich oczy przypominały puste oczodoły, nie było wątpliwości, że ich miny wyrażają niezadowolenie.

– Byli bliżsi prawdy, niż przypuszczasz. Niestety zabrakło im dostępu do proroctw, bo wtedy lepiej by im poszło.

– Proroctw?

– Tak. Stracili kontakt z tymi, którzy znali dawne sposoby i mogliby im przekazać profetyczną wiedzę, niezbędną przy tej misji. Ci, którzy ich wygnali do tej zapomnianej krainy, zabrali im wszystkich znających się na prorokowaniu. Zostawiono ich jako dzieci spragnione niedostępnej wiedzy.

Uniósł rękę i dał komuś znak, żeby się zbliżył. Jedna z kobiet Shun-tuk, z obnażonymi piersiami, pospiesznie przyniosła mały garnuszek, przypominający dzbanek do herbaty, zawieszony na łańcuszku ozdobionym czymś, co wyglądało jak złocone ludzkie zęby. Wylała z garnuszka płyn do sześciu płytkich miseczek ustawionych wokół zwłok. Po niej podeszła kobieta z płonąca drzazgą i podpaliła ciecz. Pojawiły się chwiejne błękitne płomyki, wydzielając gryzący, żółtawy dym. Obie kobiety pokłoniły się zwłokom króla i spiesznie odeszły.

– Jak rozumiem – odezwał się Richard – przez cały ten czas brakowało im twojego przewodnictwa. – Napotkał wzrok Hannisa Arca. – I, założyłbym się, jakiegoś innego ważnego elementu.

Hannis Arc znowu się uśmiechnął, lecz nie można by rzec, iż był to przyjemny uśmiech.

– O tak, cały ten czas czekali na kogoś, kto zrozumie, jak niegdyś praktykowano tajemną magię.

– Taką jak te wszystkie uroki wytatuowane na całym twoim ciele –

powiedział Richard. – I jak wszystkie te pradawne symbole w mowie Początku.

Arc się uśmiechnął i uniósł brew.

– A więc wiesz coś o tych świętych zapisach.

– Już się z nimi zetknąłem – rzucił Richard, więcej nie zdradzając. – Tak więc bez ciebie te

„dzieci” bez końca i bez żadnego pożytku lałyby krew na zwłoki.

– Obawiam się, że tak.

– Lecz ty wiesz, czego im mogło brakować.

– Czego konkretnie im brakowało – rzekł Hannis Arc, na chwilę pochylając głowę. – Proroctwo powiada, że aby to zadziało, potrzeba czegoś wyjątkowego.

– A ty dostarczysz ów wyjątkowy finalny składnik.

– Właściwie – uśmiechnął się Hannis Arc – to ty jesteś tu po to, by dostarczyć ów wyjątkowy finalny składnik.

– Rozumie się, że zgodnie z twoimi wskazówkami. Hannis Arc wzruszył ramionami.

– Jedyne ja, człowiek żyjący na starożytną modłę, praktykujący tajemne sztuki i słuchający skomplikowanych podszeptów proroctw, mogę pojąć szerszy obraz i dzięki temu dostarczyć im to, czego potrzebują. Wyłącznie ja potrafiłem wnieść element proroctw do ich misji i ukończyć to, czego nikt inny nie był w stanie zrobić.

– Proroctwo – powtórzył Richard, marszcząc brwi. – Pojmuję tajemną magię, osobliwą, chorą, rytualną, nawet krew. Ale co ma z tym wspólnego proroctwo?

Hannis Arc uniósł brew.

– Proroctwo wyjawia ów wyjątkowy finalny element. Richard westchnął, znużony tymi gierkami.

– A czymże jest ten wyjątkowy finalny element?

– Wskrzeszenie martwego króla wymaga połączenia życia i śmierci. Niezbędny do tego jest *fuer grissa ost drauka*, siewca śmierci.

Tym razem Richard nic nie powiedział.

– Ach, widzę, że wreszcie zaczynasz rozumieć swoją rolę w tym wszystkim – rzekł Hannis Arc, zadowolony z tego, co owo milczenie oznacza. – Oni po prostu nie pojmują, jak to działa. Nie rozumieją, że nie

wystarczy sama krew ludzi z duszą. To wymaga właściwej krwi, krwi jednego z nich, kogoś, kto jest z trzeciego królestwa, nosi w sobie śmierć, a jednak ma duszę. Jest tylko jedna taka osoba, jeden siewca śmierci. I jesteś nim ty, Richardzie Rahlu.

– Tak mi powiedziano.

– Odrzuciłeś moją wiarę w proroctwa, lecz moje studia nad przepowiedniami po raz kolejny ukazały mi drogę. Byłeś głupcem, tak łatwo rezygnując z proroctw, i teraz drogo za to zapłacisz, Richardzie Rahlu.

Richard krzyknął, kiedy stojąca z tyłu Vika dźgnęła go Agielem w podstawę czaszki.

## ROZDZIAŁ 67

Kiedy Richard znowu zaczął być świadomy otaczającego go świata, w owym świecie nie było nic poza paralizującym bólem. Pamiętał ten jedyny w swoim rodzaju, rozdzierający ból wywołany dotknięciem Agiela w owo miejsce u podstawy czaszki, lecz wspomnienie było niczym w porównaniu z tym, co teraz czuł.

Zdał sobie sprawę, że opadł na czworaki i dygocze w szoku. Jego krzyki – jedyny dźwięk, jaki się tu rozlegał – wciąż niosły się echem po pieczarze. Łzy kapąły na zakrwawioną podłogę.

Kiedy wreszcie ucichło echo jego krzyków, Shun-tuk wydali niesamowite, upiorne wycie, na swój sposób współgrające z nieznośnym dzwonieniem w jego głowie. Powietrze wibrowało i buczało.

Czuł znajome poczucie bezsilności i rozpacz, wrażenie, że przebył bardzo długą drogę i właśnie dotarł do jej kresu.

Choć otaczał go nieprzebrany tłum, w owej chwili ogromny ból sprawiał, że Richard czuł się absolutnie samotny we własnym, prywatnym świecie, gdzie nie było niczego poza cierpieniem. Przypomniawszy sobie dawne pragnienie śmierci, pragnienie wyzwolenia, które wreszcie ukoji ból.

Walczył z chęcią poddania się, kapitulacji, z dręczącym pragnieniem zaakceptowania śmierci. Miał wrażenie, że to pragnienie zawsze w nim było, do tej pory niewyczuwalne, czekało, by się ujawnić.

Śmierć w końcu przyniosłaby ukojenie, lecz wyłącznie w jego cierpieniu. Trzymał się – niczym liny ratunkowej – poczucia, że to by nikomu innemu nie pomogło, nie zakończyłoby niczyjej udęki.

Lecz z kolei jego śmierć pozbawiłaby póllandzi tego, czego chcieli... krwi żywego człowieka mającego duszę, która by przywróciła życie temu, który tak długo był martwy. Richard uświadomił sobie, że próbuje znaleźć usprawiedliwienie dla poddania się śmierci. Jego śmierć w pewnym sensie naprawdę ochroniłaby innych, toteż się zastanawiał, czy nie uczyniłby słusznie, poddając się jej.

Zapiski Nai mówiły jednak, że jedynie on może zakończyć szaleństwo, które zapoczątkował imperator Sulachan – on może zakończyć prorocstwo. Jeżeli umrze, nie będzie mógł tego zrobić, a wtedy nie będzie nadziei dla

nikogo.

On był jedynym, wybrańcem.

Wyłącznie on mógł zakończyć nadciągającą grozę obudzonych trupów i półludzi, grozę przełamanej granicy pomiędzy życiem a śmiercią, grozę śmierci grasującej bez opamiętania w świecie życia.

Ale był też tym, kto ma sprowadzić na powrót ich króla i wypuścić te bestie w świat.

Uświadomił sobie, że jest jednym i drugim. Zarazem życiem i śmiercią. Zbawcą i niszczycielem.

I to zawierało się w ostrzeżeniu, które zostawiła mu Magda Searus.

Richard patrzył, jak łzy bólu kapią na spąg pieczary, pokryty krwią tyłu ludzi. Krwią Zedda. Zapewne Nicci i Cary, i żołnierzy, którzy tyle razy go bronili. Oni przybyli tutaj, żeby mu pomóc. Byli gotowi oddać za niego życie, gdyby to było konieczne. I w przeszłości zrobiło to wielu im podobnych.

Przez wzgląd na wszystkich tych ludzi nie mógł sobie pozwolić na słabość. Dla nich, jeśli nie dla siebie, musiał być silny i przetrwać to, co mu zgotowano, żeby – kiedy męka już się skończy – znaleźć sposób ocalenia świata życia. Teraz on powinien chronić ich życie.

Byli żelazem przeciwko żelazu. A on musiał być magią przeciwko magii, chociaż nie mógł korzystać z daru.

Kiedy dzwonięcie w głowie ucichło, usłyszał, że Shun-tuk zaintonowali cicho monotony zaśpiew w języku, którego nie rozpoznał. Niesamowity dźwięk niósł się echem po rozległej pieczarze, sprawiał, że niemal wibrowała.

Przypominało mu to dawne modły do lorda Rahla. Pomyślał, że prawdopodobnie to coś w tym rodzaju, hołd dla ich dawno zmarłego króla.

Półludzie cicho śpiewali, a Hannis Arc zajmował się ciałem zmarłego. Mówił w tym samym martwym języku, zaklinając moce, których Richard nawet nie potrafił sobie wyobrazić. Kilku Shun-tuk przyniosło misy z oleistą miksturą. Hannis Arc od czasu do czasu zanurzał w niej wytatuowany palec i kreślił na zwłokach symbole.

Richard się przyglądał, dochodząc do siebie, a Hannis Arc wyrysował wzory na czole trupa. Tłuste linie rysunku zaczęły się jarzyć matowym oranżem i żółcią, jakby podświetlone od wewnątrz. Arc uniósł rękę, ponaglając obserwującą horde, i Shun-tuk wymruczeli nowy zaśpiew.

Dźwięk narastał, Arc zaś znowu pochylił się nad umarłym.

Richard ujrzał wtedy coś niezwykłego. Widok zarazem przerażający i urzekający, tak że nie mógł odwrócić wzroku.

Tatuaże Hannisa Arca zaczęły się jarzyć.

Kiedy wymawiał słowa w martwym języku, linie tworzące na jego ciele poszczególne symbole rozpały się tą samą żółto-pomarańczową barwą, co symbol na czole nieżywego króla. Najpierw jeden, potem kolejny tatuaż rozjarzał się na krótko, żeby zblaknąć, kiedy następny zaczynał się podświetlać od środka, w nieustannie powtarzających się cyklach.

Hannis Arc odwrócił się ku patrzącym i uniósł dłoń, wykrzykując słowa, których Richard nie rozumiał.

Święte słowa, wykrzykiwane przez zebranych na znak znajdującego się pośrodku mężczyzny, dudniły w pieczarze niczym grzmot.

Hannis Arc się trudził, nakładając symbole z jarzących się linii na zwłoki, wzory na jego ciele rozjarzały się, jakby w odpowiedzi na te, które rysował – Shun-tuk zaś zaczęli nowy zaśpiew, monotony rytym, powtarzany wciąż na nowo. Każdy takt rozjarzał inny symbol. Śpiew trwał, narastał, aż nawet Richard uległ jego mocy, jego przewrotnej wzniosłości.

Symbole na ciele Hannisa Arca rozjarzały się w rytm śpiewu, najpierw jeden, potem następny; rozbłyskały kolejno i ciemniały, jeden po drugim, w szybkim tempie, jakby wzory oznaczające rozmaite rzeczy kolejno reagowały na zaśpiew.

Richard nigdy sobie nie wyobrażał tak skomplikowanego zaklęcia, które by zawierało w sobie tyle innych.

Na koniec wytatuowany mężczyzna spojrział ponuro na Mord-Sith, a ta tylko na to czekała.

– Wstawaj – rozkazała Richardowi.

Jej głos zdawał się mało realny, był bardziej wspomnieniem z najmroczniejszych czasów w jego życiu. Richard się nie poruszył. Nie był pewny, czy da radę.

Pochyliła się i warknęła mu do ucha:

– Powiedziałam: wstawaj.

Słabo kiwnął głową i z trudem spróbował przenieść ciężar ciała na stopy. Poczul jej rękę pod ramieniem, kiedy pomagała mu się podnieść i wyprostować.

Z pomocą Viki podszedł do zwłok leżących na kamiennym ołtarzu.

Hannis Arc odwrócił się z furkotem czarnych szat, niczym przerażająca zjawa z innego świata.

Czerwone oczy z natężeniem wpatrywały się w Richarda.

Vika przytknęła Agiel do potylicy więźnia, unieruchamiając go. Wszystko się zamazało i zniekształciło. Otworzył usta, żeby krzyknąć, lecz nie był w stanie wydać dźwięku.

Pchnęła go naprzód. Hannis Arc chwycił Richarda za nadgarstek i przyciągnął do wysuszonych zwłok. Richard nie mógł się temu oprzeć. Patrzył jakby z innego świata.

Hannis Arc wyciągnął kamienny nóż o ostrzu tak czarnym jak najmroczniejsze otchłanie zaświatów.

Ciachnął przedramię Richarda.

Richard nie poczuł bólu. Ból zadany Agielem przewyższał wszystkie cierpienia. A przynajmniej ból fizyczny.

Nie stłumił zaś naglej, rozdzierającej, wewnętrznej udręki. Jakby ostrze sięgnęło miejsca w jego wnętrzu, w którym czaiła się śmierć, która wypływała teraz razem z jego krwią i duszą.

Krew chlustała z rany nacięcia na przedramieniu Richarda na ciało króla. Strumyczki wpływały w zagłębienia pomiędzy żebrami.

Hannis Arc przyciągnął ramię Richarda, trzymał je nad zeschniętymi ustami króla.

Kiedy zadowolili go ilość krwi rozchlapana na zwłokach, odepchnął Richarda. Ten widział, jak jego krew wsiąka w szaty i wysuszone ciało zmarłego. Jaskrawoczerwone strumyczki spływały z obłych boków podwyższenia, dołączając do ciemniejszych plam na podłodze.

Vika odciągnęła Richarda na bok. Był zbyt słaby, żeby stawić opór. Zrobiją, co chcą, i w tej chwili Richard nic nie mógł na to poradzić.

Osunął się na kolana, za słaby, żeby stać. Uwaga Hannisa Arca i wszystkich Shun-tuk była skierowana na ciało na podwyższeniu. Był zbyt zaabsorbowany tym, co robił, żeby zwracać uwagę na Richarda.

Vika się nachyliła do jego ucha.

– Połóż tam drugą dłoń.

Richard słyszał, że coś mówi, ale nie rozumiał słów. Utrzymujący się ból zadany Agielem, dawno już zabranym, nadal mieszał mu myśli.

Chwyliła jego lewą dłoń i położyła na krwawiącej ranie na prawym przedramieniu.

– Uciśnij – powiedziała cicho. – Naciśnij tutaj i mocno trzymaj. Richard kiwnął głową.

– Dziękuję...

Nie był pewny, za co jej dziękuje. Po prostu tak należało.

Zobaczył, że całe ciało króla zaczyna się jarzyć, jakby symbole coś w nim rozpały i teraz z powłoki wyłaniał się duch.



## ROZDZIAŁ 68

Vika pomogła Richardowi wstać. Kręciło mu się w głowie, był słaby od utraty krwi. Skutki kontaktu Agiela z jego głową powoli ustępowały i pewniej się trzymał na nogach. Ale i tak musiała go podtrzymywać, żeby się nie przewrócił.

To wewnętrzna skaza – ból dotknięcia śmierci, a nie dotyk Agiela – była najgroźniejsza.

Samantha mówiła, że mu się pogorszy.

Czuł, że tak się dzieje. To, co Vika, a zwłaszcza Hannis Arc zrobili tym paskudnie wyglądającym ostrzem, sprawiło, że nagle poczuł się gorzej, osłabiło go i uczyniło podatniejszym na tkwiącą w nim zmazę.

Nóż, którego użył Hannis Arc, wyglądał złowieszczo, nie przypominał żadnego narzędzia, jakie Richard widział. Miał kościany trzonek, bez wątpienia z ludzkiej kości, i ostrze z najczarniejszego gładkiego kamienia, przymocowane cienkimi rzemykami, które podejrzenie przypominały ludzką skórę. Klinga była tak ostra, że Richard właściwie nie poczuł nacięcia. Równie ostry był Miecz Prawdy.

Białe głowy półludzi to się pochylały, to unosiły, kiedy krzyczeli jednym głosem, radując się tym, co się dzieje. Cała pieczara rozbrzmiewała ich śpiewem. Wreszcie dopełniali swoją misję. Przez tysiąclecia właśnie tego chcieli dokonać.

A Richard pomagał im osiągnąć cel.

Spojrzał na Grace na swoim pierścieniu i znowu przypomniał sobie ostrzeżenie Magdy Searus, że może być tym, który zniszczy świat życia. Bał się, że właśnie do tego zmierza.

– Co to za nóż? – zapytał ochryple Vikę.

– Ten, którym cię zranił?

Richard kiwnął głową, nie chcąc bez potrzeby się męczyć mówieniem.

Vika nachyliła się do jego ucha, żeby ją usłyszał mimo grzmiącego śpiewu. Spojrzała na Hannisa Arca, upewniając się, że jest zajęty. Richard był ciekaw, czy po prostu nie chce wzbudzić gniewu pana, przeszkadzając mu, czy też jest inny powód.

– To nóż zrobiony przez Shun-tuk – powiedziała. – Lord Arc ma kilka

rodzajów broni wykonanych przez nich. Twierdzą, że ich noże mogą zabić umarłego.

– To oni potrafią mówić?

– Kiedy chcą.

Richard nie bardzo rozumiał, co to znaczy – nóż, który może zabić umarłego – lecz uznał, że nie musi się domagać wyjaśnień. Dostrzegł parę trupów wydobytych z grobów i wcielonych do służby jako strażników w podziemnym więzieniu Shun-tuk. Stali sztywno wokół pieczary, a ich oczy lśniły czerwienią, kiedy z mroków obserwowali cały proces. Aż za dobrze wiedział, że kiedy chcą, potrafią się poruszać zadziwiająco szybko.

Gdyby się wymknęli spod kontroli – z jakiegoś powodu znanego tylko samym umarłym lub półludziom – to posiadanie broni, którą by ich można zabić, byłoby bardzo wskazane, a nawet bezcenne. Richard walczył z przebudzonymi umarłymi. Nie było łatwo ich pokonać. To było trudne zadanie, nawet dla jego miecza.

Chciałby go mieć przy sobie. Wiedział, że w tej pieczarze wypełnionej półludźmi i chodzącymi trupami pewnie i tak by mu nie pomógł wyrębać sobie drogi wyjścia, ale i tak dobrze by było mieć miecz.

Choćby po to, żeby szybko posiekać na kawałki zwłoki króla.

Kiedy znowu spojrział na ołtarz, za Hannisa Arca, wstrzymał oddech, widząc, że trup robi wdech.

W tym samym miejscu, co ciało króla, spoczywała teraz przejrzysta, błękitna, podobna duchowi postać. Zaczęła się poruszać. Zwłoki także. Ciało duchowe i martwe ciało fizyczne poruszały się jak jedno. Wyglądało to tak, jakby trupa opętał przezroczysty duch.

Kiedy Shun-tuk dostrzegli ruch na podwyższeniu pośrodku pieczary, niektórzy zawyli z wielkiej radości. Inni krzyknęli, prawdopodobnie ze strachu. W końcu właśnie widzieli króla, który miał moc powrócenia do świata życia. Był to nie tylko władca, którego należało czcić, szanować i słuchać, ale i ktoś, kogo należało się lękać. Chociaż właśnie tego chcieli, przyglądanie się temu budziło grozę.

Dla nich był to również nowy początek, nowa era. Po tysiącach lat oczekiwania wrota do ich krainy stanęły otworem i wreszcie mieli prawdziwego króla. Który – jak Richard się obawiał – wyprowadzi ich za owe wrota na podbój świata.

Czuł, że Vika, chociaż pomagała to urzeczywistnić, jest zaniepokojona tym, co widzi.

Za to jego mierziło, że stał się tym, kto odegrał decydującą rolę w sprowadzeniu złego człowieka do świata żywych. Był to ktoś, kto w dawno minionych czasach zsyłał na świat śmierć i zniszczenie. Teraz wrócił, a Richard nie sądził, żeby pobyt w zaświatach go zmiękczył.

Bez Richarda to nie byłoby możliwe. Shun-tuk mogli się do tego przyczynić, Vika także, Hannis Arc z pewnością, lecz to Richard był tym, kto to umożliwił.

Miał w sobie życie i śmierć. Był z trzeciego królestwa. Życie i śmierć, zmieszane dobro i zło.

Był właściwą osobą – wybrańcem.

A także władcą imperium D'Hary. Nazywano go *fuer grissa ost drauka*, w górnodharańskim

„siewca śmierci”.

Właśnie odegrał swoją rolę jako siewca śmierci. Dopomógł w rozplenieniu się ogromnego zła, sprowadzając śmierć do świata życia.

Wiedział, że do niego należy znalezienie sposobu, jak to zakończyć. Nikt inny nie może tego zrobić.

Musiał tylko wyrwać się z łap Hannisa Arca, Mord-Sith i nieprzeliczonych rzesz półludzi, którzy mogą dodatkowo wystawić armię trupów. A potem jedynie zakończyć prorocstwo.

No i wystarczająco długo utrzymać się przy życiu.

Jarząca się postać króla usiadła. Shun-tuk sapnęli z ekscytacji i zachwytu.

Strasznie było patrzeć na wskrzeszonego trupa – nawet im, a co dopiero Richardowi.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę, co to oznaczało.

Zeschnięte zwłoki króla zrobiły się elastyczne, zmiękczone tak krwią Richarda, jak i mroczną magią Hannisa Arca, które zjednoczyły ducha z jego ziemskim ciałem. Z każdą chwilą umarły łatwiej się poruszał, choć nie tak płynnie jak żywa osoba. Zupełnie jakby przejrzysta postać, jarzący się duch, po części ożywia zwłoki.

Richard się zastanawiał, czy to, co widzi, jest duszą zmarłego króla, sterującą z zaświatów wydarzeniami w świecie życia.

Błękitna poświata sprawiała wrażenie bardziej żywej niż same zwłoki.

Twarz ducha nakładała się na twarz mumii, tak że błękitna poświata jego rysów wypełniała ubytki w szczątkach, dając im wyrazistszy nos, wargi i oczy.

Nowe oczy widziały. Rozglądały się. Reagowały.

Ożywione usta uśmiechały się perfidnie do otaczającego świata, do którego niegdyś przynależał król.

Kiedy król- duch opuścił nogi z podwyższenia, Hannis Arc się odsunął. Król siedział przez chwilę, patrząc na oddających mu cześć Shun-tuk, skandujących jednym głosem i wyrzucających w górę pięści.

– Su-la-chan! Su-la-chan! Su-la-chan!

Tak jak Richard przypuszczał, martwy król półludzi był imperatorem Sulachanem ze Starego Świata, władcą toczącym niegdyś okrutną wojnę, którą jego duch znów ściągnął na ten świat.

Richard chciał umrzeć i mieć to już za sobą.

## ROZDZIAŁ 69

Król-duch lewym ramieniem i dłonią przytrzymał przy piersi nasiąknięte krwią szaty w geście nadającym mu istic królewską pozę. Rozejrzał się po pieczarze z majestatyczną gracją, chłonec wzrokiem wyrazy czci oddawanej mu przez rzesze obserwujące jego triumfalny powrót do świata żywych. Kiedy Shun-tuk z coraz większym zapalem skandowali jego imię, Sulachan zaczął się wreszcie uśmiechać z aprobatą.

Wzrok króla półludzi, niegdyś imperatora całego Starego Świata, prześliznął się po tłumach wypełniających pieczarę. Jarzące się oczy spoczęły na koniec na Richardzie, ofiarodawcy krwi.

Ten odpowiedział gniewnym spojrzeniem. W owej chwili dałby wszystko za swój miecz.

Wskrzyszony król przesunął palcem po strumyczku krwi Richarda wciąż ściekającym po kościstej piersi.

Richard pragnął, żeby skaza śmierci, którą nosił we krwi, zabrała trupa na powrót do świata umarłych, gdzie jego miejsce. Wiedział jednak, że to daremne pragnienie. Trzeba będzie czegoś więcej, żeby go przepędzić ze świata życia.

Sulachan podniósł do ust palec umazany krwią Richarda, posmakował, a potem przymknął oczy z zachwyconą miną. Otworzył je i popatrzył na Richarda. Uśmiechnął się tak wrednym uśmiechem, jakiego Richard w życiu nie widział.

Zgromadzeni w pieczarze Shun-tuk tupali w rytm skandowania: „Su-la-chan! Su-la-chan! Su-la-chan!”.

Król, wciąż patrząc Richardowi w oczy, ruszył po śladach zaschniętej krwi ku człowiekowi, który w końcu ściągnął jego ducha z zaświatów – ku wybrańcowi, który go tu sprowadził.

Richard się nie cofnął – nie pozwolił sobie na to – kiedy umarły król się przed nim zatrzymał.

Złowrogi uśmieszek trwał na błękitnych, jarzących się wargach ducha. Nawet napięta skóra się naciągała w pełnym samozadowolenia uśmiechu.

– Byłem w najdalszych, najmroczniejszych zakątkach zaświatów – powiedział upiornym głosem, który przyprawił Richarda o gęsią skórkę. –

Pozwolono mi wedle woli podróżować po włościach Opiekuna.

– Mam nadzieję, że ci się tam podobało – odciął się Richard – bo zamierzam cię tam odesłać na zawsze.

Trup uśmiechnął się szerzej.

– Będąc w najmroczniejszych rejonach najmroczniejszego ze światów, spotkałem twojego ojca. Nawet go polubiłem.

– A ja nie – odparł Richard. – To ja go zesłałem w ten wiekuisty mrok.

– Wiem. Powiedział mi.

Król zaczął się oddalać. Do jarzących się zwłok wskrzeszonego króla dołączył Hannis Arc.

Jego tatuaże już nie lśniły.

– Zakończyłem tę część, imperatorze, mamy teraz wiele do zrobienia.

Król skinął głową, już niezainteresowany Richardem, nawet jakby nieświadomy, że on nadal tam stoi.

– Nasze uzgodnienia zostaną wypełnione, lordzie. Dałem ci słowo. A więc zacznijmy. – Uniósł rękę, niedbałym gestem dziękując wiwatującym tłumom Shun-tuk. – I ja się nie mogę doczekać.

Richard był ciekaw, co właściwie zamierzają.

Hannis Arc posłał Vice mroczne, zniecierpliwione spojrzenie i wskazał Richarda.

– Chwilowo go odprowadź. Potem się nim zajmę. Vika, splatając dłonie za plecami, skłoniła głowę.

– Wedle rozkazu, lordzie.

Bez wahania wsunęła rękę pod ramię Richarda i odwróciła go w tę stronę, z której przyszli. Zobaczył, że król, w swojej jaśniejącej chwale, słuchał słów Hannisa Arca, których Richard nie słyszał, bo zagłuszało je skandowanie. Widział, jak Hannis Arc się nachyla, mówiąc do króla i gestykułując wytatuowanymi rękami.

Mógł jednak odczytać z mowy ciała wytatuowanego mężczyzny, że to on przewodzi. Sulachan mógł sobie być imperatorem, który władał niegdyś Starym Światem i rozkazywał armiom czarodziejów oraz rzeszom żołnierzy – lecz teraz był od dawna martwy, uwięziony w wieczności świata umarłych.

To Hannis Arc wykorzystał dawno zapomniane tajemne moce, żeby złamać zaklęcia odgradzające trzecie królestwo i obudzić trupa Sulachana. Owe moce wraz z krwią Richarda stworzyły więź, która przywołała ducha

imperatora z mrocznej wieczności. Hannis Arc nadal kontrolował tę więź pomiędzy światami i tym samym obecność króla w świecie życia.

Pomimo władczej postawy martwego mężczyzny to Hannis Arc miał przewagę i nie wahał się tego okazywać.

Jakiegokolwiek były doniosłe plany imperatora, wykoncypowane przed wiekami, Richard nie miał wątpliwości, że Hannis Arc ma własne plany i oczekuje, że trup zmarłego króla Shun-tuk pomoże mu je zrealizować. Arc nie był takim głupcem, by ściągać czarodzieja-imperatora Sulachana ze świata zmarłych, nie mając pewności, czy będzie mógł go kontrolować.

Richard i tak się zastanawiał, czy Arc zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa trzymania na smyczy tak straszliwych sił.

Vika ciągnęła Richarda przez pieczarę do korytarza. Shun-tuk się na niego gapili, kiedy ich mijał. To był człowiek, którzy przywrócił życie ich królowi. Głupio wykrwawiali innych, bez żadnego pożytku, lecz teraz krew Richarda wreszcie zrobiła, co trzeba. Przyglądali mu się z pełnym szacunku, trwożliwym podziwem.

Lecz zarazem półludzie bardziej mu teraz zagrażali. W ich oczach krew Richarda – a pewnie i ciało – okazała się nagle niezwykle cenna. Był przekonany, że każdy z nich chciał odgryźć kęs jego ciała, łyknąć krwi – w nadziei, że zdobędzie jego duszę.

Paru wyciągnęło ręce i zanurzyło palce we krwi na jego ramieniu. Podnieśli je potem do ust, smakując to, czego pożyły oczy.

Hannis Arc sporo ich wyprzedził i Vika uświadomiła sobie zagrożenie, toteż szybciej pociągnęła Richarda przez tłum. Krzepko trzymała go za ramię i przepychała przez półludzi, żywo zainteresowanych jej podopiecznym. Przyspieszyła kroku, łokciami torowała sobie drogę, pragnąc go szybko wyprowadzić z pieczary, usunąć z widoku wygłodniałych oczu. Kiedy już się wydostali z tłumy Shun-tuk i znaleźli w korytarzu, mogli iść szybciej. Utrzymywała tempo, wiedząc, że Richard jest łupem, który Hannis Arc chce zachować dla siebie.

– Ramię wreszcie przestało krwawić – odezwał się do Viki, kiedy jakiś czas szli w milczeniu.

– Dziękuję.

Posłała mu ponure spojrzenie.

– Po prostu chciałam, żeby ci jeszcze zostało trochę krwi na wypadek,

gdyby jej potrzebowali więcej. Nie doszukuj się w tym niczego.

Richard był za bardzo zdenerwowany, żeby się odciąć.

Kiedy przez labirynt korytarzy i pieczar dotarli do jego celi, Vika go wepchnęła do środka.

Niektórzy spośród Shun-tuk stłoczonych w korytarzu na jej znak wykonali gest i zmaterializowała się falująca, zielonkawa zasłona. Słyszał, że niektórzy mają tajemną moc, a nawet potrafią ożywiać trupy, i okazało się, że to prawda.

Ponownie został zamknięty w więziennej pieczarze, bez możliwości ucieczki, z tysiącami półludzi, którzy chcieli ogryźć mu ciało do kości i wychłptać krew, czającymi się za granicą zaświatów, którą mogli kontrolować wedle swojej woli.

Skoro mogli przywołać te zielonkawe ściany, to mogli je i usunąć. Jego przyjaciom groziło takie samo niebezpieczeństwo.

Nawet gdyby zdołał dokonać niemożliwego i uciekł półludziom, to nie mogąc wydostać Nicci i Zedda, umarłby z powodu tkwiącej w nim śmiertelnej skazy.

Kahlan także by umarła.



## ROZDZIAŁ 70

Hannis Arc wyprowadził króla umarłych w świt nowego dnia w świecie życia. Za nimi, zachowując pełen szacunku dystans, ciągnęli dziesiątkami tysięcy pólludzie. Pomyślał, że to dystans wymuszony strachem.

Hannis Arc się zatrzymał, bo król przystanął, żeby się rozejrzeć. Ciężkie chmury przesłaniały niebo i wyższe szczyty. Pasma mgły snuły się nisko, rozmywając kontury skalnych iglic.

Kruszące się skalne wieże przypominały Hannisowi Arcowi gęstą bagienną trawę, która uschła i obróciła się w kamień. Kawałki z czasem odpadały od iglic, pokrywając ziemię odłamkami podobnymi do kamiennych palców.

W tej okolicy wszystko wydawało się stare, kruszejące i martwe. Nieliczne krzaki i powykręcane drzewa, czepiające się życia w rozpadlinach i osłoniętych miejscach, wyglądały jedynie na wpół żywe. Naprawdę było to miejsce, w którym współistniały życie i śmierć.

– Wiele czasu minęło, od kiedy przebywałem na tym świecie – powiedział duch-król głosem zdającym się dochodzić z obu światów naraz. – Dobrze wrócić. Po tym wszystkim, czego dokonałem w zaświatach, wreszcie nadszedł czas, by przejąć kontrolę nad tym światem.

Hannis Arc patrzył, jak nowo złączone duch i człowiek patrzą na ponury świat życia. Dokonali wszystkiego, co było konieczne w tym zapomnianym miejscu. Vika zorganizowała ich wymarsz i zadbała, żeby Shun-tuk zgromadzili zapasy, które się im przydadzą w podróży.

– Chcę, żebyśmy ruszyli natychmiast – powiedział Hannis Arc.

– Zamierzasz zabrać człowieka, którego krew wykorzystałeś? – zapytał król, napawając się widokiem skalistego pustkowia, jakby to było pole barwnych kwiatów.

– Richarda Rahla? – Hannis Arc uśmiechnął się do siebie. – Oczywiście. Musi poczuć ból i żal po utracie władzy i potęgi, wycierpieć upokorzenie upadku, przemianę z władcy imperium w kogoś, kto nic nie znaczy.

– Rozumiem – rzekł król, nie patrząc na niego. – Więc zamierzasz podjąć ryzyko i niewygody wleczenia go ze sobą tylko po to, żeby go upokorzyć?

Hannis Arc spojrzał chmurnie na jaśniejącego ducha.

– Taki mam zamiar. Niemal całe życie planowałem zemstę na dynastii Rahlów. Wreszcie jestem gotów przejąć władzę nad imperium D’Hary. On zobaczy, jak to nastąpi.

Jaśniejąca postać uśmiechnęła się tak, jak by mógł się uśmiechnąć mądry nestor rodu.

Hannisowi Arcowi nie bardzo się ten uśmiech podobał, lecz czekał, aż król się wypowie.

– Mam doświadczenie w takich sprawach i mogę ci powiedzieć, że ludzie władający imperiami nie czują się upokorzeni, tracąc władzę. Odczuwają potrzebę zrobienia wszystkiego, co konieczne, by wrócić na szczyt. Pragną zemsty. Czyż czułeś się upokorzony utratą rodziny? Sądzę, że nie. Zakładam, że chciałeś jedynie zemsty. Mam rację?

Hannis Arc tak o tym nie myślał.

– Tak, lecz chcę, żeby cierpiał. Duch wzruszył ramionami.

– Pragniesz satysfakcji, której nigdy nie osiągniesz. Potężni ludzie, tracąc władzę, nie czują bólu ani żalu jak porzuceni kochankowie.

Hannis Arc mocniej się nachmurzył.

– Do czego zmierzasz?

Duch-król odwrócił się ku niemu.

– Ściągnąłeś mnie ze świata umarłych do moich niedokończonych spraw w świecie życia, a w zamian mam ci pomóc władać tym światem. I właśnie to robię.

– Prosząc, bym zrezygnował z zemsty na lordzie Rahlu? Duch Sulachana znowu się uśmiechnął.

– Wiesz, dlaczego tu dzisiaj stoję, lordzie?

Hannis Arc był zadowolony, że Sulachan tak go tytułuje, nawet jeśli mu się nie podobało to wypytywanie.

– Dlatego że wykorzystałem moje talenty, by cię tu ściągnąć.

Gdyby Hannis Arc tego zapragnął, mógłby również odesłać ducha Sulachana do wieczności. Lecz teraz – jeśli jego plan miał się powieść – potrzebował wszystkiego, co Sulachan mógł zaoferować. Poza tym umowa była tego warta i Hannis Arc czuł, że jak dotąd ma z niej same korzyści.

Duch się uśmiechnął.

– Tak, lecz ściągnąłeś mnie tylko dlatego, że jestem ci potrzebny, a potrzebujesz mnie, bo dawno temu uczyniłem cię kimś bezcennym dla

właściwej osoby. Mogłem sobie pozwolić na czekanie. Miałem na to całą wieczność. Byłeś pierwszym, kto dostrzegł korzyść w połączeniu naszych talentów i celów. Jedną z moich zalet jest ogromne doświadczenie. Owo doświadczenie w rządzeniu może ci pomóc w osiągnięciu celu.

Hannis Arc się zmarszczył. Nie podobało mu się, że jest traktowany jak niedoświadczony, niższy rangą współnik. Jego zdaniem to Sulachan stał niżej w ich układzie. W końcu powrócił do świata życia wyłącznie dzięki mocy i talentom Hannisa Arca. Może i miał na czekanie całą wieczność, lecz przez tysiące lat tkwił w zaświatach i zostałby tam na zawsze, gdyby Hannis Arc go stamtąd nie wyciągnął. Gdyby był taki bystry, potrafiłby samodzielnie wrócić.

– Jak twoje doświadczenie pomaga mi w sprawie Richarda Rahla?

– Wielkość wymaga takiego oddania celowi, jakie wykazałem i dzięki któremu dzisiaj znowu stoję wśród żywych. Nie pozwoliłem, by cokolwiek mi przeszkodziło. I ty wykazałeś wielkie oddanie w dążeniu do władzy. Lecz ci, którzy chcą być wielcy, nie mogą sobie pozwolić na rozpraszające uwagę fiksacje. Takie rozproszenie uwagi prowadzi do marnowania energii potrzebnej do osiągnięcia celu. Dlatego zapytałem, co jest dla ciebie ważniejsze: ciągnięcie z nami tego człowieka czy władanie światem.

Nastrój Hannisa Arca stawał się równie mroczny jak chmury przesłaniające niebo.

– Niby czemu nie miałbym zrobić jednego i drugiego?

– Władałbyś jednym człowiekiem, a powinieneś się zająć wszystkimi ludźmi.

– Powiadasz, że Richard Rahl to dystrakcja, która by mi mogła przeszkodzić w osiągnięciu celu?

Duch wzruszył ramionami.

– Świat jest pełen dystrakcji. Zadaniem wielkiego władcy jest ograniczyć je do minimum.

Zabierają czas i energię należne głównemu celowi.

Hannis Arc obejrzał się na mlecznobiałych półludzi, zabójców, stojących milcząco za nimi.

Ponownie popatrzył na obserwującego go ducha.

– Od dnia, kiedy na rozkaz Rahla zabito moich rodziców, planowałem zemstę, bym...

– A niby czemu twoim zdaniem dynastia Rahlów zabiła twoich rodziców? Twojego ojca, władcę małej, nic nieznaczącej, odległej prowincji Fajin?

Hannis Arc milczał przez chwilę, czując na wytatuowanej twarzy muśnięcia mgły. Pozwolił, by jego gniew odrobinę osłabł.

– Żeby wyeliminować możliwość, iż się zbuntuje i sięgnie po władzę. Duch się uśmiechnął.

– To dlatego dynastia Rahlów tak długo władała D’Harą, a dynastia Arców małą prowincją Fajin. Rahlowie koncentrowali się na panowaniu, nie upokarzali twojego ojca, zmuszając go, by patrzył, jak oni rządzą. Po prostu wyeliminowali możliwość zakwestionowania ich władzy. Skoro twoim celem jest władza, to powinieneś władać.

– Uważam, że mogę robić jedno i drugie.

– Tak jak ojciec Richarda. Za długo zabawiał się z Richardem i wreszcie zapłacił za to życiem. Wielu jemu podobnych przegrało, bo przeszkodził im ktoś, kto nigdy by nie sprawił problemu, gdyby go od razu zabili. Richard Rahl jest władcą imperium D’Hary, bo jest silny i zdeterminowany i ponieważ Rahl Posępny go nie zabił, kiedy powinien był to zrobić. Richard Rahl jest niezwykle niebezpiecznym człowiekiem. W końcu to *fuer grissa ost drauka*. Z nim nie ma żartów. Jeśli jesteś o sobie zbyt dobrego zdania, jeśli sądzisz, że potrafisz go kontrolować, że twoja moc jest na tyle potężna, by go pokonać i utrzymać w poddaństwie, to go nie doceniasz. Na własną zgubę. Możesz go więzić, lecz w każdej chwili swojego życia on będzie myślał, jak cię zabić. Nie zostałby lordem Rahlem, władcą imperium D’Hary, człowiekiem, który pokonał imperatora Jaganga i potęgę Starego Świata, gdyby nie był bardzo dobry w tym, co robi. A jest świetny w pokonywaniu tych, którzy próbują go sobie podporządkować. Czynisz z siebie jego cel, jego zasadniczy cel, i mogę cię zapewnić, że nic go od niego nie odwiedzie. Jeżeli zaś on umrze, to nie będziesz musiał się nim przejmować i będziesz mógł władać światem.

Hannis Arc się skrzywił.

– Muszę z przykrością przyznać, że możesz mieć rację. Dowiódł, jak bardzo jest zdeterminowany.

Duch-król spojrzał Hannisowi Arcowi w oczy.

– Władza to zemsta, lordzie. Zabij swojego wroga teraz, póki masz okazję, i będziesz się mógł zająć rządzeniem. Władanie będzie twoją zemstą.

– Podobnie jak powrót na ten świat jest twoją? Sulachan uśmiechnął się mrocznie, mściwie.

– Na koniec zatriumfuję nad tymi, którzy chcieli przejąć moją władzę i wygnać mnie w niezgłębione otchłanie zaświatów, zarazem przepędzając tych, których stworzyłem – kolistym gestem wskazał posępną krainę – do tego zapomnianego miejsca. Nie mogli nas powstrzymać ani granicami, ani samą śmiercią. Teraz będzie jak chcemy, teraz się zemścimy.

Hannis Arc, pochodzący z małej prowincji Fajin, nie miał środków na wystawienie armii i zrealizowanie swoich ambicji zdobywcy. Rozkazywał naprawdę nielicznym, a potrzebowałyby potężnych sił, żeby zdobyć cel – Pałac Ludu – i władać z odwiecznej siedziby Rahlów. Będzie potrzebować armii, żeby zdobyć to miejsce.

Teraz, dzięki Sulachanowi, miał to, czego potrzebował. Miał do swojej dyspozycji nie tylko Shun-tuk, plemię półludzi, ale i nieprzeliczoną armię umarłych.

Splótł dłonie za plecami i wreszcie popatrzył na ducha-króla. Ducha, którego on, Hannis Arc, kontrolował.

Pokrycie się tatuażami było uciążliwe, czasochłonne i bolesne. Lecz okazały się warte swojej ceny. Symbole w mowie Początku nie tylko pomogły mu ściągnąć z zaświatów ducha Sulachana, ale i ochroniłyby go przed nim, gdyby ten nie zechciał honorować swoich zobowiązań. Były w pewnym sensie zbroją Hannisa Arca, osłaniającą go podczas kontaktów z martwymi.

– Granica została przerwana i nie ma już potrzeby tkwić tutaj. Nie chcę marnować czasu.

Powinniśmy ruszać.

Duch-król skłonił głowę.

– Wedle życzenia, lordzie. – Obejrzał się na wielką armię półludzi. – Czekamy w gotowości i wyruszymy na twój rozkaz.

– Najpierw zabiję Richarda Rahla, a potem odmaszerujemy. Na oblicze ducha Sulachana wypełził przebiegły uśmiezek.

– Powinniśmy pozwolić Shun-tuk pobiesiadować na jeńcach. Zgódź się, by twój wróg był pośród pożeranych. Niech umrze tą samą straszliwą śmiercią, co inni.

Hannis Arc z emfazą pokręcił głową.

– Nie. Masz rację co do tego, że powinienem go zabić, póki mam nad nim

przewagę. Obserwowałem go podczas lat wojny i masz rację, jest bardzo niebezpieczny. Nie powinienem ryzykować. Lecz skoro już podjąłem decyzję, chcę to zrobić sam, własnymi rękami. Chcę patrzeć, jak śmierć go zabiera. Chcę widzieć, jak umiera, by zagrożenie, jakie stanowi, skończyło się raz na zawsze. Chcę, żeby patrzył mi w oczy i wiedział, że to ja, Hannis Arc, wypędzam go do świata umarłych. Chcę, by zanim umrze, wiedział, że to ja rzucam na pastwę Shun-tuk jego przyjaciół, żeby ogryźli ich kości z żywego mięsa. Chcę patrzeć, jak Richard Rahl umiera u moich stóp.

Duch zadarł brodę i wziął głęboki oddech, patrząc na jałową krainę.

– To mój pierwszy dzień w świecie życia, a już jestem ogromnie zadowolony.

Hannis Arc się uśmiechnął, już wyobrażając sobie grozę, jakiej Richard Rahl doświadczy, kiedy spotka go taki smutny kres. Skinął na Vikę.

Zrobiła krok ku niemu.

– Słucham, lordzie?

Nie zdołał powstrzymać uśmiechu, patrząc w jej błękitne oczy.

– Przyrowadź do mnie Richarda Rahla. Wreszcie nadszedł czas jego śmierci. Pochyliła głowę.

– Oczywiście, lordzie. Natychmiast go przyrowadzę.

– Dobrze. I nie musisz być łagodna. Najpierw zadbaj o to, żeby cierpiał, a potem go przyrowadź. Ale ma być żywy, żebym to ja mógł go zabić.

– Dopilnuję tego, lordzie – powiedziała tym mrozącym krew w żyłach tonem, jaki przybierała, kiedy jej pozwalano wykorzystywać jej umiejętności.

Wskazał na horyzont.

– Od razu wyruszamy. Każ Shun-tuk przynieść całe nasze zaopatrzenie, a potem przyrowadź Richarda Rahla.

– Tak jest, lordzie. Dogonię was. Popatrzył na króla.

– Kiedy już poderżnę mu gardło tym samym nożem, którym mu upuściłem krwi dla ciebie, powlecemy go za sobą i zostawimy ślad jego krwi dla Shun-tuk.

Vika przeniosła wzrok z ducha-króla na Hannisa Arca i spiesznie odeszła.

– Jakież to będzie stosowny koniec dynastii Rahlów – wyszeptał do siebie Hannis Arc przed wymarszem na południe.

Za wrotami trzeciego królestwa będzie mógł się skierować ku sercu

imperium D'Hary.

## ROZDZIAŁ 71

Jaśniejący duch imperatora Sulachana patrzył w zamyśleniu na krainę, przez którą szli.

– Skoro już rozmawiamy o rządzeniu, to czy wiesz, lordzie, że darzono mnie ogromnym respektem i niezachwianą lojalnością? Że nigdy nie zagrażał mi wewnętrzny wróg?

– Wewnętrzny wróg? – Hannis Arc zaczął rozumieć, że Sulachan powrócił do świata życia z wieloma przemyśleniami. – Co masz na myśli?

– To znaczy nikt ze ścisłego dowództwa, spośród generałów, dowódców i doradców nigdy się nie zbuntował, a nawet nie spiskował, żeby zająć moje miejsce.

– Dlaczego?

– Bo eliminowałem wszystkich, którzy tego pragnęli i uważali się za sprytniejszych ode mnie. Niekiedy eliminowałem ludzi, bo wiedziałem, że im to przyjdzie do głowy, zanim taki pomysł rzeczywiście im zaświtał.

Hannis Arc potarł kciukiem symbol wytatuowany z boku palca wskazującego. Ostrzegał przed ukrytym zagrożeniem.

– Czy wolno mi coś dodać...? – zapytał duch, spoglądając na pogrążonego w zadumie Hannisa Arca.

– Ależ proszę, wyraż swoją opinię. – Hannis Arc wskazał na Sulachana, a potem na siebie. – W końcu mamy jeden cel. Wspólnie do niego dążymy. Jak powiedziałeś, rządząc tak rozległym imperium, zyskałeś wielkie doświadczenie. Jeśli masz do powiedzenia coś użytecznego, chętnie to usłyszę.

Duch był wyraźnie zadowolony.

– Masz kogoś, kto dostarcza ci proroctw.

Hannis Arc przez chwilę się zastanawiał. Wielu ludzi dostarczało mu proroctw. Zmarszczył brwi.

– Chodzi ci o Ludwiga Dreiera? Mojego opata?

Duch popatrzył na ciągnącą za nimi wielką armię oddanych mu Shuntuk, przesłaniającą kamienistą ziemię, opływającą kruszące się iglice.

– Tak. Czy wzięłeś pod uwagę, jakim się może stać problemem?

– Problemem? – Hannis Arc niedbale machnął ręką. – Ludwig Dreier to



niezbyt ważny człowiek. Nikt. Nawet nie pracuje ze mną w cytadeli. Ma w górach stare, zakurzone opactwo. Oddaje mi rozmaite usługi.

– A jakież to rozmaite usługi oddaje ci ów niezbyt ważny człowiek?

– Niekiedy go posyłam, by zastąpił mnie w sprawach państwowych. Ostatnio wysłałem go do władców innych ziem w imperium D’Hary z przesłaniem o doniosłości proroctw. Tak się zdarzyło, że lord Rahl zaprosił władców wszystkich krain do Pałacu Ludu na ślub. Miałem sprawy z Zaszytą Służką – spojrział na Sulachana – i oczywiście z tobą. Toteż wysłałem do Pałacu Ludu Ludwiga Dreiera jako mego zastępcę. Miał z nimi zacząć rozmowy o ważkości proroctw i postarać się, by przystali do naszej sprawy, stali się lojalni wobec nas, a nie imperium D’Hary. Lecz jego głównym zadaniem jest dostarczanie mi proroctw. To robota opactwa, którym kieruje.

Hannis Arc patrzył, jak król przez chwilę idzie w milczeniu. Wreszcie wypowiedział to, co mu zaprzętało myśli.

– Czy kiedykolwiek ci wyznał, jak zbiera dla ciebie przepowiednie?

Hannis Arc szukał w pamięci, starając się sobie przypomnieć, czy Dreier kiedykolwiek mu powiedział coś konkretnego.

– To rutynowa robota. Kontaktuje się z wieśniakami, chowańcami w rzadko zaludnionych okolicach prowincji Fajin i Mrocznych Ziem, szukając takich, co mają choć odrobinę daru przepowiadania, od których mógłby uzyskać proroctwo. Niektórzy rodzą się z pomniejszym talentem czytania w proroczych wizjach. Ludwig Dreier sprawdza, jakie proroctwa mogliby przekazać. Jeśli wśród wieśniaków krąży jakaś przepowiednia i on się o tym dowie, to powinno do mnie dotrzeć. Lord Rahl zawsze robił z proroctw tajemnicę i nie dzielił się z innymi swoją wiedzą. A ludzie mają prawo do proroctw. One są naszą wspólną własnością. Ja, w przeciwieństwie do lorda Rahla, rozumiem proroctwa i z nich korzystam. – Skinął ku idącemu obok królowi. – W końcu po części dlatego możesz znowu być na tym świecie. Gdyby nie przepowiednie, może nie potrafiłbym odblokować dróg niezbędnych, żeby cię sprowadzić z zaświatów. Tym prostym wieśniakom niekiedy trzeba zachęty, żeby się skoncentrowali na tak złożonym zadaniu jak prorokowanie. Dreier na rozmaite sposoby nakłania ich, by zogniskowali myśli na tym, czego oczekujemy, i tym samym byli w stanie prorokować, jeśli istotnie mają dar.

– No i torturuje ich, żeby się skoncentrowali. Hannis Arc wzruszył

ramionami.

– Cóż, przypuszczam, że kiedy jest to konieczne... Pozostawiam mu tę decyzję. Nie muszę tracić czasu na takie nieistotne sprawy. On jest bardzo skuteczny. Dostarczył mi trochę godnych uwagi prorocत्व. Nie takich, które sam znalazłem dzięki dogłębnym studiom i wykorzystałem do tego wszystkiego – wskazał na idących za nimi Shun-tuk – i do przywołania cię z powrotem. Lecz w ciągu tych lat okazał się bardzo użyteczny, dostarczając prorocत्व, które nie tylko okazały się prawdziwe, ale i bardzo na czasie oraz użyteczne. Mam księgi, w których spisujemy prorocत्व, jakie gromadzi. Przysłała je do cytadeli, przeglądam je wszystkie i potem je spisujemy.

Duch-król popatrzył na niskie pasmo szarych chmur.

– A czy wiesz, że aby uzyskać te prorocत्व, ingeruje w świat umarłych? Hannis Arc zmylił krok.

– Nie... w jaki sposób? I skąd to wiesz?

– Skoro istnieję w zaświatach, to wiem, co się tam dzieje. Ty, rozumie się, nie byłeś tego świadomy, lecz ja dlatego jestem tak cennym sojusznikiem, że wiem, co w tamtym świecie zachodzi. Widziałeś tutaj bardzo doniosłe rzeczy, za to ja widziałem ważne rzeczy w tamtym świecie.

– Tak, to się okazało obopólnie korzystne, a będzie jeszcze korzystniejsze w przyszłości. Lecz co z Ludwigiem Dreierem? Jakie wieści możesz mieć o nim z zaświatów?

– Miesza się w sprawy, o których nie wiesz. Ingeruje w prorocत्व w sposób, którego nie znasz, a nawet nie podejrzewasz. Wiem to, ponieważ wykorzystuje swoje umiejętności, żeby wysłać macki do mojego świata i wyciągać stamtąd prorocत्व.

Hannisa Arca ogarnęła furia.

– W jakim celu?

Duch-król zerknął na niego kątem jarzącego się oka.

– No właśnie, w jakim celu? Dlaczegoż by ktoś miał nie mówić swojemu panu, co robi i jak to robi... jeśli nie zamierzałby pewnego dnia przejąć władzy?

Hannis Arc ledwo panował nad szalejącym w nim gniewem. Jaśniejący duch pochylił się ku niemu.

– Skoro już powstałem z martwych i mój duch do nas tutaj dołączył, czyż naprawdę potrzebny ci opat spiskujący za twoimi plecami i korzystający z

własnych tajemnych zaklęć? Opat mający chrapkę na twoją władzę? Jakąż przysługę mógłby ci oddać, by była warta takiego ryzyka? – Skinął za siebie. – Masz wszystko, czego potrzebujesz, by wykonano każdy twój rozkaz. Póllandzi i umarłych, którym możesz rozkazywać. Świat padnie ci do stóp i będzie się dopraszać możliwości wypełniania twojej woli. Po cóż tolerować potencjalne zagrożenie od wewnątrz? – Znowu się uśmiechnął. – Czemu się niepokoić, że ktoś zada ci cios w plecy?

– Czemu, w rzeczy samej – rzekł przez zaciśnięte zęby Hannis Arc.

Zawsze uważał Ludwiga Dreiera za lojalnego sługę chcącego jedynie służyć swojemu panu.

Uważał go za człowieka niemającego w planach żadnej innej władzy niż kierowanie opactwem.

Wściekł się, dowiadując się, że Ludwig Dreier, któremu zapewnił pozycję i ufnie powierzał takie obowiązki, jak podróż w jego zastępstwie do Pałacu Ludu i rozmowy z władcami innych ziem, intrygował przeciwko niemu. Zastanawiał się, jak bardzo opat zdołał go już osłabić.

Ponuro rozmyślał, co by zrobił Ludwigowi Dreierowi. Powiedział sobie jednak, że jeszcze nie ma pewności, iż to prawda. Sulachan mógł się mylić.

Ale jaką to robiło różnicę? Ludwig Dreier już nie był potrzebny i Sulachan miał rację co do tego, że należy eliminować zagrożenie, czy to prawdziwe, czy potencjalne.

Duch-król wskazał na legiony póllandzi widoczne wokół i maszerujące za nimi cicho jak cień.

– Do swoich spraw nie potrzebujesz ich wszystkich. Kiedy już dotrzemy na miejsce, przywołamy potrzebnych nam umarłych z katakumb, krypt i grobów. Będziemy stale mieli sługi potrzebne ci, żeby uzyskać to, czego pragniesz. Ta armia nie może być nielojalna. Będziesz miał niezliczone wojsko, które bez zwłoki wykona twoje rozkazy. Nikt się nie sprzeciwi twojej władzy.

Hannis Arc obejrzał się na gromadnie ciągnących za nimi póllandzi.

– Jednych moglibyśmy wysłać, żeby ucztowali na jeńcach, a drugich do opactwa. Duch-król kiwnął głową.

– Niech tak będzie.

Odwrócił się nieco i uniósł rękę, dwoma palcami przywołując grupę póllandzi.

Hannis Arc wiedział z doświadczenia, że będą aż nadto chętni, by ruszyć do opactwa oraz by się pożywić jeńcami w pieczarach.

Użyteczność wskrzeszonego ducha-króla przekraczała najśmielsze oczekiwania Hannisa Arca. Nigdy przedtem nie miał towarzysza o równej determinacji, dążącego do tego samego celu i równie bezlitosnego.

Wkrótce urzędzą świat po swojemu.

## ROZDZIAŁ 72

Richard chodził tam i z powrotem po celi oświetlanej zieloną poświatą zasłony, która zamknęła wejście, gdy tylko wszedł do środka. Był sfrustrowany tym, że nie może zrobić nic innego, jak tylko się miotać.

Kiedy Vika odprowadzała go do celi po wskrzeszeniu imperatora Sulachana, zapytał, co zamierzają z nim zrobić. Uśmiechnęła się tym niepokojącym uśmieszkiem, jak tylko Mord-Sith potrafią, i powiedziała, że spędzi z nim trochę czasu, a innych pewnie odda się półludziom, aż się palącym, żeby ich pożreć.

Przypuszczał, że potem przekłęci półmartwi przyjdą i po niego. Wyobrażał to sobie tysiące razy. Próbował wymyślić, jak mógłby uciec, kiedy już usuną zasłonę. Nie potrafił obmyślić niczego, co by miało choć nikłą szansę powodzenia. Wiedział, że wpadną gromadą i go obezwładnią.

Czekając na nieznane, był zrozpaczony i zdenerwowany. Chciał się wydostać. Skoro ma umrzeć, to niech przynajmniej jakoś odzyska miecz i zginie w walce. Lepsze to niż koniec, jaki dla niego zaplanowali.

Gdyby mu się udało dotrzeć do miecza, przynajmniej mógłby zabić wskrzeszonego króla. A może miałby okazję ubić i Hannisa Arca. Spędził wiele czasu na rozważaniach, którego by wybrał, gdyby mógł zgładzić tylko jednego. Bez daru, lecz z mieczem nie byłby bezbronny w chwili śmierci.

Nie mógł jednak zrobić nic – w tym i odzyskać miecza – póki nie znajdzie sposobu na wydostanie się z celi. Jakiś czas myślał, że może Vika mu pomoże, choć troszkę. Ale nie zobaczył jej, od kiedy go zostawiła po ceremonii.

Zastanawiał się dlaczego. Kiedy tak chodził godzinami, rozmyślał o tym, co naprawdę knuje Hannis Arc. Musiał mieć jakiś doniosły cel. Richard mógł zrozumieć, że duch Sulachana chciał powrócić do świata życia, żeby urzeczywistnić swoje plany. Zapiski Nai wyraźnie mówiły, co zamierzał zrobić.

Richard popatrzył na pierścień, który mu zostawiła Magda Searus. Wiedział, czego chciał Sulachan – naruszyć Grace.

Znowu zaczął chodzić tam i z powrotem. Lecz jaka była rola Hannisa Arca? Ktoś taki jak on nie byłby sługusem ducha-króla. Musiał mieć własny

plan, coś, czego chciał dla siebie. Richard wiedział, że ludzie tacy jak Hannis Arc pragną tylko jednego: władzy. Symbole wytatuowane na całym jego ciele świadczyły o tym, do czego gotów się posunąć. Poświęcił się najczarniejszym z tajemnych mocy.

Kiedy wojna się skończyła i zapanował pokój – przynajmniej póki nie padła bariera powstrzymująca półludzi i póki Hannis Arc nie sprowadził z powrotem ich króla – jedyną liczącą się potęgą było imperium D’Hary. Usuwając z drogi Richarda, biskup Arc wyraźnie pokazał, jakie ma zamiary.

Chciał zostać lordem i władać imperium D’Hary.

Richard regularnie podchodził do każdego otworu zamkniętego zieloną zasłoną. Przy każdym wołał w nadziei, że znowu nawiąże kontakt z Zeddem lub z kimś innym. Chciał wiedzieć, czy nadal żyją, czy nic im nie jest. Krzyczał, aż omal nie stracił głosu. Nigdy nie dostał odpowiedzi. Nikogo nie zamknięto w pobliżu.

Starał się nie widzieć w tym złego znaku.

Znowu się zastanawiał, co robią Hannis Arc i duch-król. Czy naprawdę odeszli. Gdyby Hannis Arc pozostał, pewnie już by tu był, chełpił się i go dręczył.

Myślał, że może go trzymają jako źródło świeżej krwi, na wypadek gdyby Sulachan od czasu do czasu jej potrzebował. Może imperator czekał, chcąc się przekonać, czy tak się stanie. Może tego nie wiedzieli i na wszelki wypadek zatrzymali Richarda.

Niczego bardziej nie pragnął, jak żeby Sulachan przyszedł po jego krew. Gdyby miał jakąkolwiek szansę, toby ją wykorzystał. Chciał rozszarpać tego chodzącego trupa na kawałki – gołymi rękami, a nawet, gdyby musiał, zębami. Może i nie mógłby nic zrobić duchowi, lecz gdyby mu się udało rozszarpać jego ziemską powłokę, może to by coś dało.

Wiedział, że taka walka kosztowałaby go życie, ale warta byłaby tej ceny, gdyby mu się udało położyć temu kres. Poza tym i tak pewnie nakarmił nim półludzi.

Wyczuwał w oddali magię miecza. Lecz był za daleko, by mu się to przydało. Był jak więź czekająca na dopełnienie, czekająca na powrót Richarda. Czuł, gdzie jest miecz, ale nie miał jak do niego dotrzeć.

Gdyby znajdował się bliżej, mógłby go przywołać. Był złączony z ostrzem i z pewnej odległości mógł przywołać miecz do ręki. Już przedtem to robił.

Ale teraz był za daleko. No i za zieloną granicą zaświatów. Nawet gdyby Richard zdołał go przywołać, to miecz na zawsze by przepadł w zaświatach.

Sprawdził ranę na przedramieniu. Zasklepiła się i zaczynała się goić, ale pod skórą była czarna. Ciekaw był, czy to od noża, czy od jadu śmierci w jego wnętrzu. Pomyślał, że to nie ma znaczenia. Już wkrótce Shun-tuk dostaną pozwolenie, żeby go rozerwać na strzępy. Pozostałych już pewnie poświęcono. Czas Richarda też nadejdzie.

Prawdopodobnie nakarmią nim półludzi, zanim zdąży go zabić tkwiący w nim jad. Zastanawiał się z ponurym zainteresowaniem, czy ów jad może zabić i półludzi, którzy go pożrą. Podejrzewał, że nie. Byli z trzeciego królestwa.

Siedział oparty o ścianę, rzucał z nudów kamykami i rozmyślał, czy Samantha uciekła. Nie miał pojęcia, co mogłaby zrobić, osamotniona i daleko od domu, ale przynajmniej nie wpadła w łapy Hannisa Arca. Nie było rzecz jasna żadnej gwarancji, że uniknęła dryfujących zielonych zasłon śmierci czy łap półludzi.

Tak bardzo chciała z nim pójść, pomóc mu, uwolnić mamę. Chciała wesprzeć go w walce z nadciągającym zagrożeniem. Wypełnić obowiązek mających dar mieszkańców Stroyzy. Okazała tyle determinacji.

Miał poczucie winy, że ją zostawił, no ale nie miał wyboru. Lecz tak źle się z tym czuł. Choć jedyne, co mógł zrobić, to kazać jej uciekać, żeby nie została schwytana razem z nim.

Ciężko się oparł o ścianę, położył przedramiona na kolanach. Wykończyły go uwięzienie, ból zadany Agielem i troska. Osłabiła utrata krwi.

Osłabiła go wsączona w niego trucizna.

– Lordzie Rahlu?

Podniósł głowę. Chyba usłyszał głos wymawiający jego imię. Odległy i stłumiony falującą zieloną ścianą zaświatów, ale wydało mu się, że brzmiał jak głos Samanthy.

## ROZDZIAŁ 73

– Lordzie Rahlu?

Tym razem był pewny, że to głos Samantha. Pospiesznie wstał.

– Lordzie Rahlu?

Głos dobiegł zza wejścia do celi.

– Samantha? To ty, Samantho?

– Lordzie Rahlu! Lordzie Rahlu! Nic ci nie jest?

– Nie, ale utknąłem tutaj. Nie mogę wyjść. Zamknęli mnie za zasłoną zaświetlonych.

– Wiem.

– Jak mnie znalazłaś?

– Kobieta w czerwonym skórzanym uniformie zobaczyła, jak się chowam w skałach tuż przed pieczarami, do których cię zabrali.

– I nie pojmała cię?

– Pomyślałam, że na pewno mnie złapie i odda półludziom. Większość z nich już przeszła obok mojej kryjówki. Szła do pieczar, miała później dogonić tych, którzy prowadzą półludzi. Ale kiedy mnie zauważyła, dała mi znak, żebym została tam, gdzie jestem, i czekała. Nie miałam pojęcia dlaczego. Bałam się i nie wiedziałam, czy mogę jej ufać, ale też nie wiedziałam, co mogłabym zrobić innego. Gdybym wyszła z kryjówki, na pewno by mnie złapali. Po jakimś czasie, kiedy tamci już poszli, wróciła.

– I nie uwięziła cię? – powtórzył Richard. Samantha przez chwilę milczała.

– Nie. Nie wiem, czemu tego nie zrobiła. Długo mi się przyglądała, myśląc o czymś. Tak przynajmniej mi się zdawało. Stałam, trzęsąc się i wyobrażając sobie, że nakarmi mną półludzi, których dopiero co widziałam. Potem wydarzyła się rzecz najdziwniejsza. Pochyliła się i powiedziała mi, gdzie jesteś.

Richard osłupiał.

– Jest z tobą? Przeprowadziła cię tutaj?

– Nie, tylko mi powiedziała, gdzie cię trzymają. Wydawało się, że ciężko jej było się na to zdecydować. W końcu wyszła, żeby dogonić tamtych.

– Wiesz, dokąd poszli?



– Większość kierowała się na południe, ku wrotom. Towarzyszyło im tyłu Shun-tuk, że zdawało się, iż ziemia się porusza. Nie widziałam wszystkich i nie wiem, czy wszyscy poszli na południe. Chyba cały dzień patrzyłam, jak idą. Ale wiem, że część półludzi została.

– Nadal są w pieczarach?

– Tak. Wielu. Dużo czasu mi zabrało dotarcie tutaj – powiedziała z rozpaczą. – Są wszędzie.

Czasem godzinami musiałam czekać, żeby sobie poszli.

– Gdzie są teraz?

– Nie jestem pewna. Wiem, że patrolują korytarze. Musisz się stąd wydostać, lordzie Rahlu! Wkrótce nadejdą półludzie. Snują się po tych pieczarach jak duchy. Nie mogę tu zostać, bo mnie złapią. Musisz się wydostać!

Sfrustrowany Richard wyrzucił w górę ręce.

– Nie mogę, Samantha. Półludzie potrafią usuwać zieloną zasłonę, ja nie. Nie mam jak wyjść.

Inaczej już by mnie tu nie było. Utknąłem tutaj.

– Nie mogę tu zostać, lordzie Rahlu. Pieczary są pełne półludzi. Jeśli zostanę, to mnie złapią i...

– Posłuchaj, Samantha, musisz uciekać. Masz rację. Nie możesz tu zostać. Uciekaj.

Natychmiast.

– Chcę, żebyś ze mną poszedł.

Richard, niemal warcząc z gniewu, przeczesał palcami włosy.

– Samantha...

– Znalazłam kilkoro innych.

– Co takiego?

– Kiedy cię szukałam, znalazłam kilku żołnierzy. Rozmawiałam z nimi, tak jak z tobą. I oni są zamknięci za zielonymi zasłonami zaświatów. – Nastąpiła długa przerwa. – Lordzie Rahlu – odezwała się w końcu głosem dławionym łzami – rozmawiałam z mamą.

Richard zamarł.

– Drogie duchy – wyszeptał, nie chcąc, by go usłyszała.

– Błagam, lordzie Rahlu, chcę, żebyś mi pomógł ją uwolnić. Nie mogę sama tego zrobić.

Jesteś mi potrzebny.

Richard zacisnął dłonie w pięści. Nakazał sobie spokój i polecił: MYŚL. Musiał jednak powiedzieć jej brutalną prawdę.

– Musisz uciekać, Samantha. Ratuuj się. Mama by chciała, żebyś żyła.

– Wiem. Powiedziała mi to. Ale nie mogę odpuścić.

Richard oparł dłonie o ścianę obok falującego zielonego światła. Kiedy się zbliżył, duchy umarłych po tamtej stronie się ożywiły i napierały na zasłonę, starając się wydostać i go dopaść.

Przez chwilę się w nie wpatrywał. W pewien sposób był jednym z nich. Miał w sobie śmierć. Był z trzeciego królestwa. Był zarazem życiem i śmiercią. A jednak w świecie żywych więziła go śmierć.

– Lordzie Rahlu...

Słyszał, jak cichutko płacze. Był jej jedyną nadzieją.

– Wybacz, Samantha, ale nie potrafię się wydostać.

– Musisz. Jesteś tym jedynym, wybranym.

Wybranim, pomyślał gorzko. I co z tego, że jest wybranym?

Wyprostował się. Był z obu światów. Żył, lecz miał w sobie śmierć. Już był jak nieżywy, lecz jego ducha wciąż trzymało się życie.

Wydawało się to takie proste. Mogłoby być prawdziwe?

Magda Searus i Merritt zostawili mu wiadomość. *Masz w sobie to, czego potrzebujesz, by przetrwać. Wykorzystaj to.*

Wykorzystaj to. A może...

## ROZDZIAŁ 74

– Samantha?

– Jestem.

Popatrzył na Grace na pierścieniu, który mu zostawili Magda i Merritt. Miał mu przypominać o tym, co jest ważne. Grace przedstawiała oba światy i to, jak życie je łączy i utrzymuje w równowadze. Obrazowała również, jak się splatają.

Richard podniósł wzrok.

– Chcę, żebyś się odsunęła, Samantha. Odejdź od zielonej ściany.

– Nie mam dokąd, lordzie Rahlu...

– Chcę, żebyś stanęła z boku. Żebyś się nie znalazła na jej drodze, gdyby granica zaświatów się przesunęła. Odejdź w głąb korytarza.

– Po co? Co chcesz zrobić?

– Pospiesz się, nie mamy dużo czasu. Odsuń się, ale już. Zejdź jej z drogi.

– Dobrze – powiedziała z oddali. – Już się odsunęłam.

– Posłuchaj, Samantha... jeśli coś pójdzie nie tak, masz uciekać. Zrozumiałaś? Nie wahaj się.

Biegiem uciekaj. Twoja mama by chciała, żebyś żyła.

– Przerażasz mnie, lordzie Rahlu, a już i tak się boję. W pieczarach są ludzkie kości. To były zniechęcające wieści.

– Rozumiem, lecz jeśli nie zdołam się stąd wydostać, to przynajmniej ty masz uciec.

– Wiele czasu mi zajęło dotarcie tutaj, przekradanie się obok tych upiornych Shun-tuk. Nie wiem, czy mi się znowu uda.

– Wiem, że to budzi lęk. Ale jeśli mi się nie uda, masz spróbować. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedziała na koniec.

– Teraz trzymaj się z boku.

– Tak. Szybko, lordzie Rahlu. Spiesz się. Słyszę głosy. Chyba nadchodzą. Pospiesz się. Richard wziął głęboki oddech. Musi się udać. To się wydawało sensowne.

Jak Samantha mu kiedyś powiedziała, jest z tamtego świata.

Znowu przypomniał sobie wiadomość zapisaną w mowie Początku.

*Masz w sobie to, czego potrzebujesz, by przetrwać. Wykorzystaj to.*

To mu przekazali Magda Searus i czarodziej Merritt. Wiedzieli, że przyjdzie i przeczyta wiadomość od nich. Zostawili mu pierścień.

Wcale nie miał ochoty próbować czegoś takiego, no ale i tak umrze, jeśli choć nie spróbuje.

Wszyscy umrą. To jego jedyna szansa.

Wiedział, że przede wszystkim to akt desperacji, choćby nie wiem jak starał się przekonywać, że to logiczne.

Zedd zawsze powtarzał, że akt desperacji bywa prawdziwą magią.

Starał się wolniej oddychać. Nie mógł dłużej zwlekać. Przemysłał to najlepiej jak potrafił.

Nie było czasu na dalsze rozmyślenia. Nie miał wyboru ani czasu. Musiał spróbować.

Ostatni raz spojrzął na Grace na pierścieniu. Patrzył na wychodzące ze środka linie symbolizujące iskierkę daru, przecinające świat życia i wnikające w wiekuisty świat umarłych. Każda z nich była ciągła, nieprzerwana, przecinała oba światy.

Richard wziął się w garść, zacisnął zęby. I wbiegł w jarzący się zielony blask będący zewnętrzną granicą samych zaświatów.

Jakby spadł z urwiska w noc.

W jednej chwili zatracił się w wiecznych mrokach.

Nie było tam żadnego ducha, chociaż je widział, będąc po stronie życia. Żadnego wycia, zawodzenia, żadnych wymachujących kończyn.

Nic.

Nie było ciepła ani chłodu, ani światła – jedynie rodzaj mroku ciemniejszy od czerni. Jakby patrzył w nocy na kamień, tyle że bardziej to przypominało wejście w ów kamień, a dokładniej – wessanie w tę doskonałą czerń.

Czuł, że się kompletnie i całkowicie zagubił. Wszystko dla niego umarło.

## ROZDZIAŁ 75

Nie wiedział, czy przebywa w tym świecie sekundy czy setki lat. W pustce nie było obrazów, dźwięków, wymiarów, czasu.

Ale potem otaczająca go czernść zaczęła zanikać. Powrócił świat, stopniowo, tak jak człowiek zaczyna widzieć, kiedy się budzi. Potem proces przyspieszył i gwałtownie otoczyły go dźwięki i światło – stwierdził, że stoi w pieczarze przed swoją celą.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że zniknęła migotliwa, falująca zielonkawa poświata blokująca wejście do celi, w której tak długo go trzymano.

Samantha zamrugła wielkimi ciemnymi oczami. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Drogie duchy – wyszeptała. – Wyszedłeś prosto z zaświatów, lordzie Rahlu.

Richard przyjrzał się sobie. Wszystko wskazywało na to, że jest w jednym kawałku. Nie krwawił. Nic go nie bolało. Czuł się zwyczajnie, tyle że wciąż miał w sobie owo dotknięcie śmierci.

– Jak ci się to udało? – zapytała Samantha.

– Mam w sobie śmierć, pamiętasz?

Kiwnęła głową, zakłósały się gęste czarne włosy. Wyraźnie nie rozumiała.

– Ale jak mogłeś wyjść prosto ze świata umarłych?

– Pamiętasz, co mi mówiłaś? – zapytał, badawczo patrząc w mrok korytarzy. – Że jestem z tego świata, z trzeciego królestwa. Zarazem życiem i śmiercią.

– Uznałeś więc, że skoro jesteś ze świata życia i możesz w nim istnieć, mając w sobie śmierć, to chociaż przez chwilę możesz istnieć i po drugiej stronie, mając w sobie życie?

Richard potaknął.

– Przynajmniej na krótko.

Przypomniała sobie o tym, co ich nagli, rozejrzała się i wskazała korytarz.

– Tam słyszałam głosy innych. Musimy ich wydostać. Musimy uratować

moją mamę. Szybko, zanim Shun-tuk wróca.

Richard już ruszył, kiwając głową. Samantha pobiegła za nim.

– Tędy, lordzie Rahlu – powiedziała, zabiegając mu drogę i skręcając w korytarz po prawej.

W chropawym, krętym tunelu było ciemno. W oddali zielonkawa poświata odbijała się od skalnych ścian, co pozwalało Richardowi widzieć, dokąd idzie.

Przebiegł obok ludzkich kości. Leżały na stercie pod ścianami i zsuwały się w nieregularne zagłębienia.

Zatrzymał się, zadyszany po krótkim biegu, a Samantha wyhamowała i energicznie wskazała.

– Tam.

– Twoja mama? – domyślił się. Potaknęła.

– Szybko.

Richard wziął głęboki oddech i nie zwlekając, wszedł w mrok za migotliwą zieloną zasłoną. Była to taka sama wiekuista, czarna pustka jak za pierwszym razem. Wcale nie było łatwiej znieść poczucie zagubienia w pozbawionym czasu świecie. Zdawało się, że nigdy stąd nie wychodził.

Kiedy wróciła rzeczywistość świata życia, zobaczył czarnowłosą kobietę, oniemiałą i wpatrującą się w niego wielkimi ciemnymi oczami.

Samantha wbiegła przez otwarte już wejście do celi, gdzie stała zszokowana kobieta. Rzuciła się jej w ramiona. Wyglądała jak mniejsza, bardziej krucha wersja matki. Richard się spodziewał, że będą podobne, lecz nie oczekiwał aż tak uderzającego podobieństwa.

– Sammie – westchnęła z głęboką ulgą kobieta. – Drogie duchy, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

– To jest lord Rahl. – Skinęła głową Samantha, ciągnąc mamę ku wyjściu.

– Lord Rahl...? – Kobieta aż otworzyła usta.

– Tak. – Ciągnąc mamę, skinęła na niego ręką, ponaglając, żeby ruszył za nimi. – Pospiesz się, lordzie Rahlu. Musimy wydostać innych.

Richard nie potrzebował zachęt, już im następował na pięty. Samantha przebiegła krótki odcinek tunelem i gwałtownie się zatrzymała. Ponownie wskazała zieloną zasłonę.

– Tutaj.

Richard nie pytał. Nie zwalniając, wbiegł w zieloną zasłonę, w lodowatą

przerazającą pustkę. Mrok się rozproszył, ukazała się cela i znalazł się przed zaszokowanymi żołnierzami Pierwszej Kompanii. Stłoczono ich tutaj. Ci, którzy siedzieli oparci o ścianę, skoczyli na równe nogi.

– Lord Rahl? – zdumiał się jeden.

Nagle przybiegła Cara, przepychając się między nimi. Rzuciła się Richardowi w ramiona.

– Lordzie Rahlu! Żyjesz! Żyjesz!

Tuż za nią stał jej mąż, generał dowodzący Pierwszą Kompanią. Na widok Richarda poczuł taką samą ulgę, choć był bardziej zaszokowany.

Richard uznał, że Cara, choć umęczona, jeszcze nigdy tak dobrze nie wyglądała.

– Wyglądasz okropnie, lordzie Rahlu – stwierdziła.

– Pewnie dlatego, że Mord-Sith wypróbowała na mnie Agiel.

– Co takiego?!

– To długa historia, a teraz nie ma czasu – odparł, zaczynając ciągnąć żołnierzy w tunel. Chwycił generała Meifferta za ramię, zatrzymał i spytał cicho:

– Gdzie reszta żołnierzy?

Udręczony Ben obejrzał się przez ramię na swoich ludzi wybiegających z celi.

– Przychodzili i zabierali po jednym. Wiem, lordzie Rahlu, że to wariacko brzmi, ale zabierali ich i pozerali. Słyszeliśmy. Słyszeliśmy krzyki, zanim...

– Wiem – powiedział Richard. – Wiem... – Westchnął zrozpaczony, patrząc generałowi w oczy. – Tak mi przykro. Żałuję, że nie mogłem się wcześniej zjawić.

Ben pokręcił głową, patrząc Richardowi w oczy.

– Jesteśmy, żeby cię chronić, lordzie Rahlu, a nie na odwrót.

– Richard?

Stłumiony głos Zedda dochodził z boku, zza kolejnej ściany zielonego światła.

– Jest tam – powiedział Ben. – Rozmawialiśmy z nim, kiedy sądziliśmy, że w pobliżu nikogo nie ma. Mówi, że Nicci jest w celi za jego więzieniem. Mających dar trzymają oddzielnie.

Richard nie marnował czasu na dalsze rozmowy. Szkoda go było na wyjaśnienia i na dyskusje. Będą go mieli pod dostatkiem, jeśli zdołają uciec z

pieczar i umknąć polującym na nich Shun-tuk. Teraz musiał wydostać pozostałych i uciekać stąd.

Przebiegł obok żołnierzy, pędem wypadł w nierówny tunel. Minął Samanthę i jej mamę, dobiegł do kolejnej połyskliwej zasłony zielonkawego światła. Bez chwili wahania zanurzył się w blask.

Przez całą wieczność unosił się w miejscu pozbawionym czasu, a potem, kiedy mroczna pustka się rozproszyła, ujawniając obrazy i dźwięki świata, Richard zobaczył zdumionego Zedda wstającego z ziemi. Starzec poruszał się powoli, obolały, jakby za długo siedział na kamiennym podłożu. Falujące siwe włosy sterczały na wszystkie strony.

Objął dziadka, potem szybko się odsunął.

– Nie ma czasu – powiedział, zanim dziadek zdążył zadać tysiąc pytań. – Musimy się stąd wydostać.

Zedd wskazał kościstą dłońią boczną ścianę.

– Nicci tam jest. Możesz i ją wyciągnąć?

Richard potaknął i pospiesznie wyprowadził dziadka na korytarz, gdzie czekały Samantha i jej mama. Zedd ujął dłoń kobiety, bez słów dając wyraz uldze, że są wolni. Najwyraźniej musieli ze sobą rozmawiać.

Za następną zieloną zasłoną mgliste kształty duchów wymachiwały rękami i wiły się, kiedy Richard się zbliżył. I znów, nie zwlekając, wskoczył w świat umarłych – na swój sposób także jego świat. Poza początkowym migotliwym rozbłyskiem zieleni, kiedy dotknął zasłony, nie było duchów. Nie było nic. To był przerażający lot przez ciemność, aż nagle objawił się świat życia.

Kiedy to się stało, płacząca z radości Nicci objęła Richarda za szyję, zanim zyskał pewność, że całkiem wrócił do świata życia.

– Richard... jak...

– Potem – rzucił, chwytając ją za ramię i wyciągając przez otwarte teraz wyjście.

Popatrzyła na krawędzie otworu, kiedy przezeń przechodziła, zdumiona, że śmiertelnie groźna granica zaświatów tak nagle zniknęła.

W korytarzu Richard się zatrzymał. Kiedy wszyscy zaczęli jednocześnie mówić, uniósł rękę, uciszając ich.

– Cicho. Półudzie są w pobliżu i mogą nas usłyszeć. Nie chcemy z nimi walczyć, jeśli nie będziemy musieli, zwłaszcza tutaj.



Natychmiast umilkli. Wielu rzucało niepewne spojrzenia w skalny tunel.

Richard potrzebował ciszy także dlatego, że chciał wniknąć w siebie i poczuć więź z mocą miecza. Czuł, że jest bliżej. Zamknął oczy, pozwolił, żeby otaczający go świat stał się ledwie dostrzegalny, i dotarł do owego nikłego wewnętrznego odczucia.

Uniósł rękę i wskazał.

– Tamtędy.

Pognał tunelem wijącym się w chropowatej skale, na skrzyżowaniach korytarzy wybierając ten, gdzie przyciąganie miecza było najsilniejsze. Czuł, że cały czas się do niego zbliża. Biegł, powodowany desperacką potrzebą poczucia go w dłoniach.

Po drodze napotykali stosy kości pod ścianami. Miejscami było ich tak dużo, że wyglądały, jakby je z katakumb wymyła woda. Nie było całych kościców. Wszystkie zostały rozczłonkowane i fragmenty leżały w stertach. Czaszki rozłupano, żeby Shun-tuk mogli się dostać do mózgow, tak że pozostały jedynie kawałki.

Richard, biegnąc na czele milczącej grupy żołnierzy i mających dar, znalazł wreszcie miejsce, w którym najmocniej wyczuwał miecz. Miał pewność, że jest ledwie o stopę, za kolejną granicą zaświatów. Lecz nie ośmielił się go przywołać. Bał się, że jeśli to zrobi, może go stracić w pustce zaświatów.

Obejrzał się przelotnie na spięte twarze towarzyszy i wszedł przez granicę w świat umarłych. Zanim świat życia zaczął się wokół niego materializować, już zaciskał palce na rękojeści Miecza Prawdy. Jakaż to była ulga mieć go z powrotem. Natychmiast przerzucił pendent przez głowę i pozwolił, żeby miecz znalazł swoje miejsce u lewego biodra.

– Ben, zbierz swoich ludzi! – zawołał przez otwór, z którego zniknęła zielona zasłona, dając przy tym naglące znaki rękoma.

Była tu broń – miecze, topory, piki, noże – niedbale zwalona na stosy w całym pomieszczeniu. Półudnie wrzucali każdy oręż, jaki konfiskowali, do niewielkiej pieczary i zamknęli ją ścianą zaświatów.

Potęźni żołnierze Pierwszej Kompanii wpadli do środka, każdy chwycił broń, podawali ją sobie z rąk do rąk, aż trafiała do tych, którzy się tłoczyli w korytarzu. Żaden nie starał się odnaleźć własnej, cieszyli się, że wreszcie mają jakiś oręż. Richard to rozumiał. Czuł tę samą ogromną ulgę, znowu

mając u boku miecz.

Gdy tylko się uzbroili, zebrali się w korytarzu wokół Richarda. Uniósł rękę, zanim ktoś zdążył się odezwać.

– Musimy się stąd wydostać – powiedział cicho, ale na tyle głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Potem porozmawiamy. Hannis Arc może gdzieś tu być razem ze wskrzeszonym duchem...

– Nie, nie ma go – wyszeptała Samantha. Richard spojrział na nią, marszcząc brwi.

– Słucham?

– Odszedł. On i gromady Shun-tuk. Ale i tak dużo ich zostało w tych tunelach, całe setki, lecz on i większość z nich odeszli.

Richard kiwnął głową, przypominając sobie, że już mu to mówiła.

– W porządku – powiedział. – I tak są tu setki tych kanibali. Teraz najważniejsze, żebyśmy się wydostali z pieczar, zanim nas złapią na próbie ucieczki, a potem stąd zniknęli.

Nicci zignorowała jego ponaglenia i położyła mu na czole dwa palce.

– Jest gorzej – powiedziała cicho do Zedda, który porozumiewawczo kiwnął głową.

– Richardzie, to ważne, żebyśmy zawieźli do pałacu ciebie i Kahlan – stwierdziła Nicci z troską. – Musimy was uleczyć z tego, co w was tkwi.

Cara się rozejrzała.

– Gdzie Matka Spowiedniczka? Richard znowu ich uciszył gestem.

– Kahlan była nieprzytomna – wyszeptał. – Musiałem sam przyjść po was. Do teraz już się pewnie obudziła w Stroyzie. Czeka na nas. Musimy iść po nią, zanim ruszymy do pałacu. Ale najpierw musimy się wydostać z pieczar i z trzeciego królestwa.

– Chodźcie – odezwała się Samantha. – Tędy.

## ROZDZIAŁ 76

Wszyscy pobiegli ciemnym tunelem za Samantha. Trzymając mamę za rękę, pędziła tak, jakby sukienka się na niej paliła.

Tunele nie były regularnymi korytarzami, lecz naturalnymi skalnymi tworami. Były tu kompleksy pieczar, przejścia wyplukane przez wodę w skale, szczeliny w zwietrzałym kamieniu.

Miejscami biegli długimi pęknięciami, gdzie skała się odkształciła i rozszczepiła. W innych miejscach musieli przeciskać się niskimi przejściami pod szerokimi skalnymi półkami – tak niskimi, że wszyscy poza Samantha musieli się zginać wpół, żeby się nie uderzyć w głowę. Jeszcze gdzie indziej musieli się wspinać z pieczary do pieczary.

W końcu przejścia pod płaskimi półkami znów się połączyły z systemem jaskiń, który się przekształcił w dezorientujący labirynt o szorstkich ścianach w warstwach zwietrzałej skały. Czasem kamień był bardzo chropowaty, a czasem woda przez wieki wygładziła przejścia. W wielu korytarzach płynęły małe strumyczki. Miejscami musieli omijać zbiorniki idealnie przejrzystej głębokiej wody. Inne tunele były szerokie i często zakręcały, z wieloma bocznymi odnogami.

Cały ten podziemny świat był tak usiany jaskiniami, różnymi przejściami i rozpadlinami, że Richard miał wrażenie, iż wszystkie mogą prowadzić do samych zaświatów. Sporadycznie przepływające przez pieczary zielonkawe zasłony potęgowały to wrażenie.

– Samantha, na pewno wiesz, dokąd idziemy? – zapytał cicho Richard, który był tuż za nią.

– Dorastałam w pieczarach – odpowiedziała. – Coś niecoś wiem o skałach i skalnych korytarzach.

Najwyraźniej uważała, że takie wyjaśnienie wystarczy. Richard też tak uznał. Jako leśny przewodnik postępował podobnie, wędrując przez nieznane lasy. Zapamiętywał charakterystyczne rzeczy, żeby móc znaleźć drogę powrotną. Dziewczyna lepiej się orientowała w podziemnym labiryncie niż on, toteż musiał ufać, że to jej świat i że jest tu ich przewodniczką.

Sam też zapamiętał pewne punkty orientacyjne, lecz teraz ich nie

widział.

– Nie tędy weszliśmy – szepnął do niej, kiedy kluczyli pomiędzy wieżami, które wyglądały jak ze stopionego kamienia.

– Wiem – odszepnęła. – Musiałam ominąć tych przeklętych półludzi.

Richard był zadowolony, że znalazła bezpieczne przejście. Jak dotąd prowadziła ich drogą wolną od Shun-tuk. Wiedział jednak, że półludzie patrolują tunele i lada moment mogą się pojawić. Gdy tylko odkryją, że więźniowie zniknęli, zaczną ich tropić.

Nie wiedział, ile jeszcze mają do przejścia, lecz był pewny, że poczuje ulgę, kiedy wreszcie wyjdą na powierzchnię. Nie miał pojęcia, czy będą tam bezpieczniejsi, ale pod ziemią na pewno wiele im groziło. Gdyby ich zaatakowano w pieczarach, trudno byłoby walczyć. Shun-tuk mogliby ich uwięzić w tunelu, blokując go z obu stron, i wyłuskiwać po jednym.

Powiedział sobie, że teraz są tu osoby mające dar i że to z pewnością wyrównałoby szanse. Lecz pamiętał również, że półludzie nie dbają o życie i są nieustępliwi w atakach. Mógłby ich siec mieczem, lecz prędzej czy później po prostu byłoby ich za dużo. W końcu by się zmęczył, a wtedy by go dopadli. Poza tym sam mógłby bronić jednego miejsca, a oni rzuciliby się na nich ze wszystkich stron.

Z darem było podobnie jak z mieczem. Mający dar też mogli uśmiercić licznych wrogów, a Richard widział Zedda zabijającego ogniem czarodzieja hordy nieprzyjaciół ze Starego Świata, lecz nawet taka broń miała pewne ograniczenia. Magiczny ogień musiał zostać wyczarowany zaklęciem i rzucony na wroga. Wymagało to ogromnego wysiłku i szybko stawało się męczące. Gdyby nieprzyjaciel stale gromadnie nacierał, to nawet czarodziej mógłby zostać pokonany.

W końcu już raz ich wzięto przewagą liczebną i porwano.

No i dar miał ograniczone działanie, jeśli chodzi o ożywione trupy. To dlatego, domyślał się Richard, półludzie – ci z czasów Sulachana i wielkiej wojny – się nimi wysługiwali. Byli skuteczni na linii frontu i bez żalu spisywało się ich na straty, jako że było ich nieprzebrane mrowie; toteż mogli pokonać każdy opór.

Richard biegł za Samanthą mijającą jeden zakręt po drugim, podążającą drogą, którą tylko ona знаła, w skale usianej przejściami, rozpadlinami i płataniną skrzyżowań. Biegła przez labirynt jak szczur, nie puszczając ręki

mamy i nie zwalniając, żeby wybrać drogę.

Kiedy dotarli do szczególnie skomplikowanej siatki przejść, dziewczyna w biegu wyciągnęła szyję i spojrzała ponad głowami paru żołnierzy na Richarda. Wyciągnęła rękę i wykonała nią węzowy ruch, wskazując zakręty, które będą musieli zrobić. Kiwnął głową, kiedy zrozumiał, dokąd powinni się kierować.

Chwycił Nicci za rękę i pociągnął.

– Idź za nią i chroń ją. Ja chcę mieć pewność, że wszyscy przejdą i się nie zgubią. Nie chcę wracać i szukać tych, co się odłączyli.

Nicci dotknęła jego ramienia, milcząco się z nim zgadzając, i pognęła, żeby dogonić Samanthę i jej mamę.

Richard został w tyle, a żołnierze Pierwszej Kompanii przebiegli obok niego. Ich grupa już nie była zwarta, zaczynała się rozpraszać, pokonując skomplikowaną sieć zakrętów i przejść. Richard kierował przebiegających we właściwy tunel. Ponaglał ich do pośpiechu, gestami pokazywał, jak potem mają skręcać. W niemal całkowitej ciemności niewiele było widać. Odrobinę światła dostarczały jedynie migotliwe zasłony zaświatów dryfujące przyległymi korytarzami. Miał nadzieję, że żadna nie zablokuje im drogi, albo – co gorsza – ich nie rozdzieli.

Na końcu szeregu żołnierzy Richard zauważył Zedda. Nieźle sobie radził z dotrzymaniem im kroku. Choć wiekowy, był nie tylko silniejszy, niż na to wyglądał, ale i zdeterminowany umknąć losowi, jaki ich czekał w tym podziemnym więzieniu. Richard wiedział, że dziadek trzyma się z tyłu, bo chce ich chronić przed ewentualnymi kłopotami.

Cara, wyprzedzając męża, biegła tuż za Zeddem, blisko końca kolumny żołnierzy. Zobaczyła, że Richard stoi, by kierować ich we właściwą stronę.

– Idź – warknęła gniewnie, dając znaki ponad głowami zbitej grupki żołnierzy. – Nie czekaj na nas.

Wiedział, że chce, żeby pozostawał pod eskortą Pierwszej Kompanii, lecz on zdecydowanie chciał mieć pewność, że w mrocznych pieczarach nikt nie ominie właściwego zakrętu. Nie chciał zgubić w tunelach nikogo.

Cara przyspieszyła. Pędem minęła skrzyżowanie, żeby dotrzeć do Richarda. Nie podobało się jej, że się zatrzymał, chciała być przy nim. Wreszcie przemknęli dwaj ostatni żołnierze.

Tuż za nimi, gdy tylko Cara wyprzedzająca Bena przebiegła przez

krzyżówkę, z wielu bocznych jaskiń wylały się masy Shun-tuk.

Z tyłu został tylko Ben.

Z mieczem w dłoni odwrócił się, żeby zablokować tunel.

Zalały go i powaliły na ziemię hordy upiornych białych postaci. Richard i Cara gwałtownie się odwrócili.

– Nie!!! – wrzasnęła Cara, kiedy przekłęci półmartwi wbili zęby w jej męża. Czas się zatrzymał.

Chyba setka kredowobiałych Shun-tuk rzuciła się na Bena jak wataha wygłodniałych wilków.

Richard już trzymał w ręku miecz i gnał z powrotem tunelem. Musiał zdążyć. Nigdy w życiu nie pędził tak szybko.

Krew obryzgała wykrzywione dziko białe twarze, kiedy Shun-tuk zawzięcie szarpali zębami szyję Bena. Usta innych się otwierały, żeby spróbować sięgnąć językiem tryskającą krew, w nadziei, że wraz z nią pochwyca uciekającą duszę.

Richard, rycząc z wściekłości, biegł ku straszliwej scenie.

Cara uderzyła przebiegającego obok niej Richarda barkiem w pierś, rzucając go na ścianę i nie pozwalając mu wpaść w sforę wyjących, warczących, miotających się Shun-tuk ogarniętych szałem.

– Za późno! – zawołała, popychając go mocno w przeciwnym kierunku. – Idź! Idź! Nie pozwól, by jego poświęcenie poszło na marne! Uciekaj!

Richard, wstrząśnięty tym, co zobaczył, krzyknął:

– Zedd!

Dziadek już się odwracał, wyrzucając ręce w kierunku Shun-tuk rozdzierających zębami powalonego generała.

Ostatnie, co Richard widział, zanim rozpętało się piekło oślepiającego ognia czarodzieja, to że jest już o wiele za późno, żeby uratować męża Cary. Nawet nie zdążył krzyknąć.

Richard ciężko dyszał z furii i szoku. To się rozegrało zbyt szybko.

Wyjąca kula ognia, którą Zedd posłał tunelem, wręcz ogłuszała w tej zamkniętej przestrzeni. Kłębiący się żar nadciągnął nad straszliwą scenę, bryznął na ściany i pochłonął wszystko w jednym przerażającym, oślepiającym błysku.

Przynajmniej bestie nie pożrą ciała. Generał oddał życie, żeby spowolnić wroga, w nadziei, że to uratuje pozostałych.

Cara, z twarzą zalaną łzami, popychała Richarda.

– Uciekaj! Szybko! I Richard pobiegł.

Cara opierała dłonie na jego plecach i pchała go naprzód, osłaniając go. Za nimi Zedd był ciemną, patykowatą sylwetką na tle szalejących jaskrawożółtych płomieni. Wyjący ogień w jednej chwili zmieniał ciemne ciała Shun-tuk w szkielety, a potem w popiół.

Śmiercionośny ogień czarodzieja ryczał w tunelu, pochłaniając czoło dzikiej hordy. Wrzaski Shun-tuk mroziły krew w żyłach.

Ale to Richardowi nie wystarczało.

## ROZDZIAŁ 77

Kiedy wydostali się z pieczar i wbiegli pomiędzy ciemne kamienne iglice, znaleźli się w posepnym zmierzchu. Dzień się rozmywał w głębokich szarościach nadających urwistym szczytom wygląd tłoczących się duchów. Lecz po mroku podziemnych tuneli nawet to przytłumione światło wydawało się ostre. Cisza przytłaczała.

Ale trwała krótko.

Shun-tuk, wyjąc w furii, wysypali się ze wszystkich dziur w skale i jaskiń. Byli podnieceni zapachem krwi i widzieli swoje ofiary. Śmiercionośny ogień, jaki Zedd posłał na nich w tunelu, jedynie ich spowolnił. Nie wniknął we wszystkie korytarze i nie dosięgnął tłumów pozostałych pótludzi.

Gnał ich głód dusz. Nic by ich nie powstrzymało.

Wysypywali się z takich miejsc, że Richard nawet by nie przypuszczał, że w litej skale są tam jakieś otwory. Wybiegali w gasnące światło dnia – wyjąca, wygłodniała horda opływała i zalewała skalne iglice.

Richard zrozumiał, że nie dadzą rady uciec, Shun-tuk ich przytłoczą samą liczbą. Zatrzymał się.

Chwycił Carę za nadgarstek i odsunął. Szalał w nim gniew miecza, domagając się, żeby stanął do walki.

Teraz jego kolej, teraz przestanie hamować swoją żądzę krwi.

Skierował ku Shun-tuk śmiercionośną furię – własną i miecza. Kredowobiałe postacie gnały na niego z wyszczerzonymi zębami ze wszystkich stron.

Miecz spadł na wykrzywione twarze, roztrzaskiwał czaszki. Każde cięcie rozłupywało kość lub odcinało głowy. Kości, mózg i krew zbryzgały skały wokół Richarda. Wymachiwał mieczem w czerwonym deszczu. Shun-tuk padali dziesiątkami. Bezgłowe korpusy waliły się na ziemię.

Richard się zatracił w furii. Całkowicie się jej poddał. Chciał jednego – zabijać te pozbawione duszy monstra. Ostrze dopominało się krwi i on z przyjemnością mu ją dawał. Pragnął śmierci tych bestii bardziej, niż sam pragnął żyć.

Był wściekły na to, co zrobili Benowi i tylu innym. Każdy trup jedynie wzmagił chęć zabijania kolejnych. Mowy nie było, żeby przestał, póki



zostanie choć jeden Shun-tuk.

Kiedy siekł tych atakujących go z jednej strony, ci z przeciwnej uznali, że mają szansę go dopaść i powalić. Richard pozwolił im się zbliżyć, a potem się okręcił, jednym zamachem rozcinając dwóch napastników na pół. Nogi odcięte od korpusów ugięły się i upadły. Torsy z wylewającymi się wnętrznościami w bryzgach krwi z głuchym łomotem uderzyły o ziemię. Głowy kolejnych Shun-tuk łupnęły o skałę, pękając od impetu uderzenia. Puste oczy, obwiedzione czarnymi kręgami, wpatrywały się w przestrzeń.

Krzyczał z wściekłości, pracując mieczem, a kredowobiałe postaci waliły się wokół niego na ziemię bez życia.

Nie próbował uciec, wydostać się. Nie było odwrotu. Było tylko zabijanie.

Tkwiał w miejscu, zabijając ich, w miarę jak się zbliżali, aż otaczało go tyle ciał, że musiał się wydostać ze splątanej masy korpusów i odciętych kończyn i głów, żeby móc dalej walczyć. Wnętrzności wylewały się na kamienie. Wszędzie było pełno krwi.

Wielu nadbiegających Shun-tuk ślizgało się na tej mazi i przewracało. Richard dźgał mieczem czołgających się po poboju. Martwi lub umierający powiększali stale rosnące stosy.

To nawet nie była walka, nie elegancki taniec ze śmiercią. Nie było zręcznych cięć i pchnięć, pełnych wdzięku uników i kontr. Wyłącznie brutalny, krwawy mord; nic więcej i nic mniej.

W pobliżu walczyła Cara. Trzymała w rękach noże, które gdzieś zdobyła, i zabijała z zawziętością budzącą grozę. Richard rozumiał jej dziką furję. Zwykle widział, jak posługuje się Agielem, lecz tu Agiel nie działał, podobnie jak jego dar. To on dawał moc więzi, bez której jej oręż był nieprzydatny. Z nożami była jednak równie groźna jak z Agielem. A teraz pewnie wołała ostrza, bo zadawały widoczne, okrutne rany – widomy dowód jej gniewu.

Za nim walczyli żołnierze Pierwszej Kompanii – z taką samą posępną wściekłością, pragnąc pomścić śmierć swojego wodza, którego podziwiali i kochali. Pierwsza Kompania była elitą d'harańskiej armii, najgroźniejszymi wojownikami, i dziś dowodzili tego z całą mocą.

Richard widział, że nie chodzi im o uratowanie siebie. To była wyłącznie pomsta.

Wywierająca zemstę Pierwsza Kompania – to był niesamowity widok.

Lecz choć walczyli zawzięcie, niektórzy niknęli w masie wyjących

pólludzi. Widział, jak padają, przykryci dziesiątkami przeklętych pólludzi, szaleńczo szarpiących ich zębami.

Za otaczającym Richarda polem śmierci, usłanym setkami trupów Shun-tuk, Zedd i Nicci ze śmiercionośną precyzją wykorzystywali swój dar.

Richard słyszał z oddali zawodzący ryk ognia czarodzieja pędzącego w powietrzu, oświetlającego kamienne iglice jaskrawym żółto-pomarańczowym blaskiem i spadającego na Shun-tuk. Płonęli setkami, zanim mieli okazję włączyć się do walki. Chociaż tylu ginęło, jeszcze liczniejsi ich zastępowali.

Richard słyszał, jak skalne iglice wałęsają się na kredowobiałe postaci, jak lecą ogromne kamienne szpikulce, bez wątpienia przewracane przez Nicci albo przez Samanthę i jej mamę. Spadające głązy za jednym razem miażdżyły wielu pólludzi. Wielkie kamienie waliły się na ziemię i toczyły, zmiatając bezsilnych Shun-tuk, nim zdolali się odsunąć.

Ziemia dygotała od grzmiących wybuchów ognia czarodzieja i uderzeń pękających skalnych wieżyc. Huk rozpadających się skał brzmiał jak uderzenia piorunów.

Lecz nawet ryk ognia czarodzieja, łoskot rozbijanych skał, krzyki żołnierzy i wrzaski umierających były dla Richarda jedynie przytłumionym szumem.

Całą uwagę skupiał na pędzących ku niemu potworach, chcących odebrać mu duszę. Pólludziom najwyraźniej zależało przede wszystkim na nim. Wiedzieli, że to jego krew wskrzesiła ich króla. Chcieli jego krwi. Pragnęli dla siebie jego duszy.

Richardowi bardzo to odpowiadało. Był rad, że ciągną przede wszystkim na niego. Mógł więcej ich zabić.

Choć zmęczyły mu się ręce, choć brakowało tchu, ani na moment nie przestał ich zgładzać, w miarę jak się pojawiali. Nie zwolnił tempa. Jego furia narastała, karmiona uwolnionym gniewem miecza, czyniła go jeszcze groźniejszym, całkowicie skupionym na zabijaniu.

Lecz w głębi serca wiedział, że nie da rady. Po prostu było ich za dużo; wyłaniali się zewsząd bez końca. Nie pokona ich wszystkich.

Wtem w gasnącym świetle dnia zobaczył pośród pólludzi niezdarne żywe trupy wylazące z pieczar.

## ROZDZIAŁ 78

Ich jarzące się czerwone oczy wyraźnie się odcinały w zapadającym zmierzchu. Te monstra były powolniejsze od Shun-tuk, dlatego to półludzie najpierw wysypali się z podziemi. Teraz z pieczar człapały żywe trupy.

Richard wściekle wyrąbywał sobie drogę wśród Shun-tuk, żeby dotrzeć i zatrzymać ciemne postaci ożywionych umarłych. Ich przegniłe odzienie wisiało w strzępach. Wyschnięte ciała były ciemne jak ziemia, która do nich przylgnęła, toteż wyglądali, jakby ich ulepiono z pacyn błota i brudu.

Dla Richarda nie miało znaczenia, że są tak wstrętne. Musiał ich powstrzymać, nim dotrą do innych. Wiedział, jak niebezpieczni potrafią być sterowani tajemną mocą umarłych. Żołnierzom ciężko by się było z nimi uporać. Nawet moc mających dar nie na wiele się przydawała przeciwko czarnej magii, którą tchnięto w te monstra.

Richard mgliście widział kątem oka postać w czerwieni – Carę – ruszającą do ataku wraz z nim. Chroniła go przed nacierającymi Shun-tuk. Żywe trupy łatwo było dostrzec dzięki jarzącym się czerwonym oczom. Kiedy ruszyli zabijać, nawet Shun-tuk schodzili im z drogi.

Richard zacisnął zęby i potężnymi zamachami miecza siekł twarde, ciemne ciała. Na ziemię posypały się ręce i nogi. Nadal się ruszały. Palce usiłowały coś pochwycić. Głowy śmigwały w powietrzu i rozbiły się o skalne ściany.

Cały czas szalał ogień, zalewając odrąbane, lecz nadal się poruszające kończyny ścigające Richarda, który parł przez Shun-tuk liczących na to, że wygryzą mu kawałek ciała. Lecz smakowali jedynie żelaza. Powietrze było pełne dymu i odoru spalonego mięsa. Kłębił się kurz wzbijany przez przewracające się kamienne iglice. Noc rozdzierały wrzaski śmiertelnie rannych.

Wszędzie leżały ciała, przeważnie nagie. Kredowa biel sylwetek ostro kontrastowała z barwą krwi. Straszliwe rany wymazanych popiołem ciał wyglądały jeszcze okropniej.

Richard nagle usłyszał swoje imię. To Zedd go wołał.

Nadal ogarnięty wściekłą żądzą krwi, uniósł miecz, wypatrując wroga. Chociaż wciąż miał wrażenie, że pędzą na niego setki warczących,

szczerzających się półludzi, uświadomił sobie, że zniknęli. To jedynie jego wyobraźnia sprawiała, że wciąż mu się zdawało, że atakują.

Zamrugął. Już nie było żadnych Shun-tuk. Wszyscy padli. Nie było też chodzących trupów. Richard słyszał w ciemnościach ciężki oddech zmęczonych walką żołnierzy. Ranni jęczeli. Grupa żołnierzy chodziła wśród leżących na ziemi Shun-tuk i dobijała jeszcze żywych.

Wszystkie topory i miecze ociekały krwią. Żołnierze byli nią pokryci, a także strzępkami ciał. Richard był cały przesiąknięty czerwienią. Popatrzył na Carę, z nożami w obu okrwawionych garściach. Jeden miał stalowe ostrze, drugi kamienne – oręż Shun-tuk. Powalała nim ożywionych umarłych.

Cara napotkała jego wzrok. Furia w jej oczach budziła grozę. To mu złamało serce. Nadal zaciskając w ręku miecz, którego gniew wciąż szalał w każdym włóknie jego ciała, objął ją. Ręce Cary zwisały bezwładnie, kiedy ją tulił ze wszystkich sił; odrzuciła w tył głowę i wydała przeciągły krzyk. Trzymał ją mocno, a ona wtuliła twarz w jego pierś i szlochała. Długo tak stali. W końcu ją puścił i spojrzał w pełne łez niebieskie oczy. Bez słowa na siebie patrzyli. Nie trzeba było żadnych słów. Zresztą nie było odpowiednich słów.

Kiedy Richard wreszcie obrócił się ku stojącym w pobliżu Zeddowi i Nicci, poczuł, jak przytłacza go ciężar rzeczywistości. Osunął się na kolana, bo nie mógł się utrzymać na nogach. Cara go podtrzymała, żeby nie upadł na twarz. Nicci i Zedd od razu znaleźli się przy nim, wsparli klęczącego i pomogli się wyprostować.

Spadł na niego przeraźliwy ból; pomogła mu go znieść moc miecza, którego rękojeść wciąż ścisnął. Był zbyt znużony, nawet żeby oddychać, i musiał się zmuszać do każdego oddechu.

Nicci i Zedd przytknęli mu palce do czoła. Poczuł mrowienie magii, która sprawdzała tkwiącą w nim truciznę. Nicci spojrzała na Zedda.

– Czujesz?

Zedd posłał jej ponure spojrzenie i kiwnął głową.

– Musimy dotrzeć do pola ograniczającego. Nie zostało wiele czasu.

– Gdzie Kahlan? – zapytała Nicci, rozglądając się, czy ktoś może jej to powiedzieć. – I ona powinna się znaleźć w Pałacu Ludu. Jest z nią pewnie gorzej niż z Richardem. Musimy się nią zająć najszybciej jak to możliwe.

Gdzie ona jest?

– Musieliśmy ją zostawić – odezwała się Samantha. – Uleczyłam niektóre jej rany, lecz była nieprzytomna. Musiała wypocząć i odzyskać choć trochę sił. Już powinna się obudzić i czeka na nas w Stroyzie.

– Na południu, za wrotami – wykrztusił Richard.

– Więc musimy się udać najpierw tam i zabrać Matkę Spowiedniczkę – oznajmiła Cara z zadziwiającą mocą i determinacją, stojąc nad Richardem. – Nie możemy bez niej wrócić do pałacu.

– To nie tak daleko – mówiła Samantha. – Ledwie parę dni drogi, jeśli się pospieszymy.

– Gdy tylko ją zabierzemy, jedziemy do pałacu, byśmy mogli was uleczyć – powiedziała Nicci do Richarda zatroskanym tonem.

Richard kiwnął głową. Zmusił się, żeby wstać.

– Kahlan jest w Stroyzie. To blisko miejsca, gdzie nas napadnięto i was porwano, kiedy nas wieźliście od Zaszytej Służki.

Popatrzył na zwrócone ku niemu twarze, potem spojrział na południe.

– Ruszajmy. Wciąż jest dość jasno.

Nadal trzymając w ręku miecz, jeszcze niegotowy, żeby odsunąć od siebie jego gniew, ruszył po wyboistym gruncie, przechodząc po ciałach setek zabitych Shun-tuk. Cara trzymała się pół kroku za nim. Pozostali w milczeniu poszli za nimi.

## ROZDZIAŁ 79

Hannis Arc się odwrócił, kiedy mignęła mu wysoka kobieta w czerwonym skórzanym uniformie, niewzruszenie torująca sobie drogę wśród pomalowanych na biało Shun-tuk. Schodząca ze zbocza wielka armia posępnych półludzi wnikała między drzewa niczym lawina.

Spochmurniał, kiedy zobaczył, że Mord-Sith jest sama.

Zastanawiał się, co ją zatrzymało. Wędrówka przez wymarłe ziemie trzeciego królestwa była łatwiejsza niż przedzieranie się przez niezbadane lasy Mrocznych Ziem. Nie byłaby aż tak trudna z małą grupą, lecz prowadzili za sobą całe rzesze, co spowalniało ich wędrówkę. Tylu ciągnęło za nimi, że na przejście połaci kamienistego terenu potrzebowali większości dnia.

Mord-Sith nie wyglądała na zadowoloną. A on był ogromnie niezadowolony, że jest sama. Vika odepchnęła łokciem kobietę, która się jej nie usunęła z drogi. Hannis Arc usłyszał trzask pękającej kości i kobieta upadła pod nogi maszerującej hordy.

– Gdzie Richard Rahl? – zapytał Hannis Arc, kiedy Vika wreszcie się z nim zrównała. – Chyba nie dałaś mu umrzeć na torturach? Chcę być tym, kto go zabije.

Na chwilę zacisnęła zęby.

– Przykro mi, lordzie, lecz wszystko wskazuje na to, że uciekł. Wymienił spojrzenia z Sulachanem.

– Co to znaczy? – zapytał duch imperatora, zatrzymując się. Ciągące za nimi plemię Shun-tuk też stanęło.

Vika przelotnie spojrzała na zjawę Sulachana i przeniosła stalowobłękitne oczy na Hannisa Arca, po czym odpowiedziała:

– Jakoś udało mu się zbiec. Wszystkie więzienne cele były puste. Grunt przed pieczarami był usiany ciałami Shun-tuk. To była rzeź. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Odór był niewyobrażalny. Sępy przesłaniały niebo. Miało się wrażenie, że ziemia się porusza, kiedy ptaszyska przeskakiwały z jednego miejsca na drugie, uczując na zwłokach. Trupy zwabiły najrozmaitsze zwierzęta: wilki, kojoty, wrony, lisy. Są tam wszystkie drapieżniki, jakie można sobie wyobrazić, i się pożywiają.

Hannis Arc podniósł głos, a oczy Viki świadczyły o tym, że wie, iż to

groźne.

– No a w pieczarach? Co z innymi więźniami? Vika przełknęła ślinę.

– Zniknęli, lordzie. Wszyscy. Żołnierze, mający dar, lord Rahl, wszyscy zniknęli. Grymas na jego twarzy sprawił, że cofnęła się o krok.

– Richard Rahl. Już nie jest lordem. Odebrano mu ten tytuł. To ja jestem lordem, władcą imperium D’Hary, a nie Richard Rahl.

Znowu przełknęła ślinę.

– Wybacz, lordzie.

Duch-król skinął dłonią.

– Będziesz, pewnego dnia.

Hannis Arc spojrział na jarzącą się sylwetkę Sulachana tkwiącą w martwej ziemskiej powłoce.

Nie lubił, kiedy do niego mówiono w taki sposób. Nawet kiedy to robił wskrzeszony Sulachan.

– Czyżbyś sugerował, że mogę nim nie zostać? Że ty i twoja armia mnie opuścicie?

Sulachan przyjrzał się Hannisowi Arcowi nieodgadnionym wzrokiem, a potem się uśmiechnął.

– Oczywiście, że nie, lordzie Arcu. W żadnym razie. Mówię jedynie, że ostrzegłem cię przed Richardem Rahlem i odradzałem pozostawienie go przy życiu.

Hannis Arc zacisnął pięści.

– Nie zostawiłem go żywego! Wtrąciliśmy go do celi zapieczętowanej przez zasłonę samych zaświatów, z armią półludzi pilnującą i jego, i innych! Potem kazałem go do mnie przyprowadzić!

Zamachnął się i uderzył Vikę pięścią w usta.

– A ona mnie zawiodła!

Mord-Sith cofnęła się chwiejnie o trzy kroki. Gdy tylko się otrząsnęła, pospiesznie podeszła ze zwieszoną głową.

– Wybacz, lordzie. Poszłam po niego, tak jak rozkazałeś, lecz już ich nie było. Jakoś uciekli.

Shun-tuk musieli próbować ich zatrzymać, lecz i oni zawiedli.

– Czemu go nie szukałaś? – zapytał Hannis Arc. – Czemu za nim nie poszłaś, nie znalazłaś go i nie przyprowadziłaś do mnie?

Cały czas miała pochyloną głowę.

– Próbowałam, lordzie, ale zniknęli. Sprawdziłam wszystkie pieczary. Były puste, nie licząc stosów osmalonych szczątków. Na zewnątrz było tyle śladów – tu wskazała za siebie – tych wszystkich Shun-tuk wychodzących z podziemi, że mowy nie było, żebym wypatrzyła ślady Richarda Rahla i towarzyszącej mu niewielkiej grupy. Wiele dni go szukałam, bez skutku. Nie mam pojęcia, dokąd się skierował.

– Wygląda na to – odezwał się Sulachan – że Richardowi Rahlowi udało się wyśliznąć z naszych rąk. Mówiłem, że jest niebezpieczny.

Hannis Arc posłał duchowi posępne spojrzenie, ale milczał.

– Zawiodłam cię, lordzie – powiedziała Vika. – Zasłużyłam na każdą karę, jaką mi wymierzysz, i z wdzięcznością ją przyjmę. Oddam życie, jeśli tego sobie zażyczysz.

Westchnął ciężko i zamyślił się.

– A więc nie było go, kiedy tam wróciłaś? Nie widziałaś ani nie rozmawiałaś z żadnym z Shun-tuk, których zostawiliśmy? Nie widziałaś walki?

Nie odrywała wzroku od ziemi.

– Nie, lordzie. Gdy tylko mi kazałeś po niego iść i przyprowadzić go do ciebie, natychmiast ruszyłam. Na miejscu było tak, jak to opisałam. Shun-tuk od dawna nie żyli. Zeszłam do pieczar i zobaczyłam, że wszyscy więźniowie zniknęli. Kilka dni, każdą chwilę, kiedy było jasno, spędziłam na szukaniu jakiejś wskazówki, dokąd mogli się udać, ale niczego nie znalazłam.

Przez chwilę rozmyślał. Przypatrywali mu się Shun-tuk o kamiennych twarzach. Sulachan go obserwował. Chętnie by natychmiast zabił tę kobietę, bo go zawiodła. Lecz przez wiele lat dobrze mu służyła. Nigdy przedtem go nie rozczarowała.

– Cóż – powiedział już spokojniej – chyba nie mogę cię winić za to, że go nie przyprowadziłaś.

– I wszystkie cele, w których trzymano więźniów, też były puste? – zapytał duch Sulachana. Najwyraźniej Mord-Sith dziwnie się czuła, patrząc na ducha, toteż popatrzyła na Hannisa Arca.

– Tak. Nie wiem, jak im się udało zniszczyć zasłony, lecz zniknęły z wejść do pieczar, w których ich trzymano. Sądzę, iż możliwe, że półludzie, którzy mieli się nimi pożywić, wyprowadzili więźniów z cel, a oni wtedy zdołali jakoś uciec.



– Zatem wydaje się – odezwał się Hannis Arc, gniewnie patrząc na Sulachana – że właściwie zawiedli twoi półludzie, których tam zostawiłeś, żeby zakończyli sprawę.

– Nieważne – stwierdził obojętnie duch-król. – Każemy go wytropić. Hannis Arc pochylił się ku jaśniejącemu duchowi.

– Jak? – zapytał.

Duch uśmiechnął się w sposób, który ani trochę się Arcowi nie spodobał. Jedno ramię się uniosło i duch-król skinął na tych, którzy stali za nimi. Kilku Shun-tuk pospiesznie podeszło i stłoczyło się w pobliżu, żeby wysłuchać rozkazów.

– Sprowadźcie mi paru tropicieli dusz. Na jego skinienie pobiegli w tłum.

– Tropiciele dusz? – powtórzył Hannis Arc.

– Stworzyłem więcej niż jeden rodzaj pozbawionych duszy, by mi służyli – rzekł z wyższością Sulachan. – Jedni żywią. Drudzy posługują się mocą. Jeszcze inni tropią dusze. Wyślę kilku tych ostatnich do jaskiń, żeby wychwycili aurę dusz uciekinierów. Wytropią i zabiją tych, co są z Richardem Rahlem. Potem przyprowadzą go, byś mógł uczynić to, co powinienesz być zrobić od razu.

– To tylko chwilowe komplikacje. – Hannis Arc napotkał spojrzenie Viki.

– Wygląda na to, że wkrótce będziesz miała okazję podręczyć Richarda Rahla. A potem poderżnę mu gardło i pozwolę, by się wykrwawił u moich stóp.

Vika skłoniła głowę.

– Tak, lordzie. Nie mogę się doczekać dnia, w którym się oczyszczę w twoich oczach. Przyglądał się jej przez chwilę, ważąc słowa, a potem rzekł do Sulachana:

– Im wcześniej tam dotrzemy, tym szybciej zajmę siedzibę rodu Rahlów i zacznę władać imperium D'Hary.

– Istotnie. Tropiciele wyśledzą dla ciebie Richarda Rahla, a my się zajmujemy ważniejszymi sprawami. – Sulachan uniosł ramię w zapraszającym geście. – Czy możemy ruszać do Pałacu Ludu, lordzie? To długa podróż.

## ROZDZIAŁ 80

Ludwig Dreier przechylił głowę, żeby lepiej widzieć. Wyjął z kieszeni chusteczkę i zasłonił nos i usta. Przestała kontrolować pęcherz, ale to nie był najgorszy odór. Do woni krwi też był przyzwyczajony. To dławiący smród zawartości rozerwanych jelit kazał mu płytko, urywanie oddychać. To była najbardziej uciążliwa część jego pracy.

Przekroczył strużkę moczu płynącą po kamiennej podłodze. Krew była wszędzie, toteż musiał wejść w jej kałużę, lecz to mu nie przeszkadzało. Często bywał unurzany we krwi po nadgarstki.

To wszystko było nieodłączną częścią jego roboty.

Jeszcze bardziej przechylił głowę, żeby lepiej widzieć jej twarz. Wpatrywała się w niego nieruchomo jedynym ocalałym okiem.

– Czy wypowiedziała jakieś proroctwo? – zapytał Mord-Sith stojącą na końcu jednego z mocno napiętych łańcuchów.

– Jeszcze nie – odparła Erika. – Trzymałam ją na granicy, żebyś mógł ją zobaczyć.

Dreier się nachmurzył, próbując się zorientować w tej plątaniu. Łańcuch był naciągnięty, ciągnął się od obręczy w kamiennej ścianie do krwawiącego nadgarstka kobiety. W końcu zauważył, że ramię jest złamane i wygięte pod dziwnym kątem, co nadawało jej ów osobliwy wygląd. Rad był, że wreszcie rozwikłał tę zagadkę.

Widział, że Erika nie marnowała czasu. Nie było co do tego wątpliwości: miała talent do swojej roboty. Podobnie jak on.

Usłyszał ciche dźwięki.

– Co mówisz, moja droga? – zapytał, pochylając się. Chyba coś mówiła, lecz jej nie rozumiał.

Bardziej się pochylił.

– Nie słyszę, niestety. Jeśli chcesz się uwolnić od cierpienia, musisz przemówić tak, bym cię zrozumiał.

– Błagam – wyrzęziła.

– No cóż, wiesz, czego chcemy – powiedział, prostując się. – Jasno to wyłożyliśmy. – Wskazał Mord-Sith. – Erika z pewnością ci to wyjaśniła. Mów.

Jedynе oko wpatrywało się w niego, nie mogąc patrzeć gdzie indziej.

– Błagam... pozwól mi umrzeć.

– Ależ oczywiście. Po to tutaj jestem: żeby cię uwolnić od męki.

Trzeba było czasu, żeby ją doprowadzić do tego stanu. Czegoś takiego nie można było przyspieszyć. Przez lata badań Dreier się nauczył, że cierpliwość przynosi o wiele lepsze rezultaty niż przymus i nadmierny pośpiech.

Powoli narastające napięcie, przerażenie i ból owocowały o wiele wnikliwszymi prorocत्वami. Właściwe, ostrożne prowadzenie ludzi ku kulminacyjnej chwili ich życia dawało – kiedy zaglądali w inny, pozbawiony czasu świat – wyjątkowe wizje. Właśnie o to mu chodziło. Przyspieszanie procesu nie zapewniało odpowiednich wyników. Tortura była zajęciem dla cierpliwych.

Wiedział z doświadczenia i widział po wykonanej robocie, że informacje, jakie przekaże, zanim pozwoli jej odejść w śmierć, będą prorocत्वami najlepszej jakości. Czerpał je z najmroczniejszych głębi zaświatów. Tym razem spodziewał się doniosłych rzeczy. Robił to wystarczająco często, żeby wiedzieć, kiedy informacje będą wyjątkowe i znaczące.

Takie szczególne przepowiednie nigdy nie trafiały do biskupa. Dreier zatrzymywał je dla siebie. Wiedział, że ta nigdy nie opuści opactwa.

– Coś ci powiem – odezwał się do zwróconej ku niemu udręczonej kobiety. – Mógłbym ci odrobinę dopomóc. Pomóc ci to wyrazić. Chciałabyś?

– Tak... błagam, pomóż mi. Błagam.

– Po to tutaj jestem – powiedział z uśmiechem. – Żeby ci pomóc. Potem dam ci to, czego najbardziej pragniesz.

Była blisko, wiedział o tym.

Kiedy już się nie odezwała, skinął na Mord-Sith. Erika, nie zwlekając, przycisnęła Agiel do jej potylicy.

Biedaczka zadygotała w straszliwym bólu. Łańcuchy zagrzechotały. Usta kobiety wykrzywiły się i otworzyły. Nie wydobył się z nich krzyk ani żaden dźwięk.

Dreier z doświadczenia wiedział, że tkwiła pomiędzy światami życia i śmierci. Wiedział, że wreszcie jest gotowa.

Przebywała teraz w trzecim królestwie.

– Widzisz, prawda? – zapytał poufale, czule gładząc głowę kobiety. –

Widzisz to miejsce za zasłoną.

Kiwnęła głową, drżąc pod jego dłonią.

– Najpierw przekażesz mi proroctwo z owego mrocznego miejsca, które widzisz. Gdy tylko to zrobisz, spełnię twoje życzenie i pozwolę ci wkroczyć w wiekiusty spokój. Chciałabyś tego, nieprawdaż?

– Tak...

Niemal mógł posmakować proroctwa wiszącego w pobliżu jak dojrzały do zerwania owoc.

Dostanie je.

Matka Spowiedniczka miała rację, mówiąc kiedyś, iż jeśli to on dostarcza proroctwa, których Hannis Arc potrzebuje, żeby władać, to w takim razie to nie Arc rządzi, lecz on, Ludwig Dreier.

Wtedy nie bardzo go to obchodziło.

Lecz kiedy się nad tym zastanowił, pojął, iż miała więcej racji, niż początkowo przyznawał. Zawsze wiedział, iż Hannis Arc jest zaabsorbowany własną pracą i celami i dlatego zdaje się na proroctwa, które on mu dostarcza. Ponieważ były starannie dobrane, w rzeczywistości to on dyskretnie i ostrożnie nim kierował. Mówił Hannisowi Arcowi tylko to, co sam chciał mu przekazać zza zasłony zaświatów.

Słowa Matki Spowiedniczki tamtego dnia jedynie wydobyły to na jaw. Dreier był ręką, która potajemnie poruszała kukiełką.

Hannis Arc, tak potężny, obdarzony taką mocą, taki bystry, był za bardzo odizolowany i trawiony własną obsesją, żeby wiedzieć, jak się sprawy mają w szerokim świecie. Nie mógłby niczego bez wskazówek Ludwiga.

A on zawsze zamierzał pewnego dnia przejąć władzę. W końcu to jego dziełem była spora część mocy Hannisa Arca, toteż kto się lepiej nadawał na władcę niż on. Władza słusznie mu się należała.

Ale trzeba wielkiej ostrożności. Hannis Arc był mimo wszystko niezwykle groźnym człowiekiem. Nie należało lekceważyć jego tajemnej magii.

Dał znak i Erika cofnęła Agiel. Kobieta była gotowa. Już czas.

Ludwig nisko się pochylił i przycisnął palce do jej skroni. Pozwolił, żeby wreszcie wniknęły w nią własne czary, które sam stworzył. Da jej to resztę tego, czego potrzebowała, by dostarczyć to, na czym mu zależało.

Dygotała, szeroko otwierając usta. Jedyne oko nieruchomo wpatrywało się w dal. Cofnął palce. Zapadła się w siebie.

- Mów, co widzisz – powiedział niecierpliwie.
- Nadchodzą – wychrypiła.

## ROZDZIAŁ 81

Ludwig Dreier wyprostował się nachmurzony. Nie tak brzmiało typowe proroctwo, lecz wiedział, że skoro wszystko wykonano, jak trzeba, jest to przepowiednia.

– Nadchodzą? Kto?

– Ci z obnażonymi zębami – powiedziała ochryple. – Idą, żeby cię pożreć.

Ludwig zmarszczył brwi. To było najdziwniejsze proroctwo, jakie kiedykolwiek słyszał. Choć już przedtem się z czymś takim spotykał. Ludzie, których przygotował, niekiedy zamiast przepowiedni dotyczących odległej przyszłości mówili o najbliższych wydarzeniach, o tym, co w danej chwili widzieli, co lada chwila się wydarzy.

– Ci z obnażonymi zębami?

– Przekłęci półmartwi – wyszeptała. – Nadchodzą. Dreier się skrzywił.

– Nie rozumiem.

– On tak.

– Kto? O czym ty mówisz? Kto i co właściwie rozumie? Musisz być bardziej...

– Wie, co czynisz, Ludwigu Dreierze, i wie, że go zdradzisz. Jest z duszą spoza zasłony, z duchem ze świata, do którego teraz zaglądam. Duch-król powiedział Hannisowi Arcowi, co robisz, o twoich oszustwach i o tym, co zamierzasz. Hannis Arc wie o twojej nieuczciwości i o rzeczach, które przed nim zatajasz. Także o tym, że w swoim sercu pragniesz władzy. Wie również, że w swojej próżności zacząłeś myśleć o sobie jako o lordzie. Duch-król wszystko mu powiedział. Co więcej, duch-król wie, że wściubiasz nos w zaświaty, bo to jego świat. On i Hannis Arc posłali Shun-tuk do opactwa, żeby wypili twoją krew i wyrwali ci serce. Za twoją zdradę mają ogryźć ci kości z mięsa. Nadchodzą. Nadchodzą.

Dreier poczuł, jak pomiędzy łopatkami spływa mu strużka potu. Dostał gęziej skórki, w sercu wezbrała panika.

Popatrzył na Mord-Sith. Wyglądała na zdezorientowaną i mocno zaniepokojoną. Strach w jej oczach sprawił, że serce zabiło mu jeszcze szybciej. W końcu ona miała go chronić.

Wiedziała jednak, jacy są Shun-tuk. Miała powód, żeby się bać.

Chwycił nóż z małego stolika i przeciągnął nim po szyi kobiety. Walczyła o oddech, krztusząc się krwią. Związane połamane ręce trzepotały przez chwilę, a potem zapadła się w sobie i znieruchomiała. Krew wciąż płynęła z przeciętego gardła.

Erika podniosła wzrok.

– Co teraz zrobimy?

Oblizwał wargi, gorączkowo rozmyślając.

– Potrzebujemy więcej informacji. Lepszych. Trzeba nam, by pomiędzy światami znalazła się osoba znaczniejsza, bardziej zaznajomiona z takimi sprawami, mogąca ściągnąć dla nas stamtąd konkretniejsze wieści.

– Matka Spowiedniczka? Dreier kiwnął głową.

– Zaczęłaś ją już przygotowywać?

– Tak, opacie. Pozwoliłam, żeby eunuch Otto zadawał jej ból. Dora nadzorowała robotę, pilnowała, żeby jej udręka zaczęła się, jak trzeba. Osobiście to obserwowałam.

Dreier kiwnął głową, zatopiony w myślach.

– Nie możemy dłużej czekać. Weź do pomocy inną Mord-Sith. – Spojrzał w niebieskie oczy Eriki. – Przyjdź po mnie, jak tylko... – wskazał na skreconą postać u swoich stóp tkwiących w kałuży krwi – ...jak tylko ją doprowadzicie na sam skraj.

– Chcesz spróbować ją ponaglić? To niebezpieczne. Mogłoby to zajść za daleko i za szybko, stracilibyśmy ją, nic nie zyskując.

– To jedyny sposób. Musimy spróbować.

– Opacie – zaczęła z nutką niepokoju w głosie – nie sądzisz, że raczej powinniśmy się stąd wynieść? Skoro lord Arc wysłał półludzi i już tu idą, może nam nie wystarczyć czasu.

Ludwigowi było trudno uporządkować myśli. Rozejrzał się, jakby szukał ratunku.

– Tak, tak, oczywiście. Pewnie masz rację. Poczyń przygotowania. Każ wyprowadzić powóz, niech czeka. A w tym czasie niech inne zaczną pracować nad Matką Spowiedniczką. Musimy się więcej dowiedzieć. Poślij po Dorę. Jej niecierpliwość się tu przyda. Jej niepohamowane okrucieństwo może się okazać tym, czego potrzebujemy. Pozwól, żeby tym razem działała po swojemu.

Erika miała sceptyczną minę, lecz ruszyła do drzwi.

– Natychmiast przyślę Dorę i każe przygotować wszystko do wyjazdu. Zniknęła w korytarzu, lecz zaraz wbiegła z powrotem. Oczy miała szeroko otwarte.

– Musimy natychmiast ruszać, opacie.

– Co? To niemożliwe, by już tu byli...

Erika chwyciła go za ramię i obróciła do okna.

– Spójrz! Popatrz na tamte wzgórza. Widzisz ich? To Shun-tuk.

Dreier przez chwilę z niedowierzaniem się wpatrywał, a potem warknął, rozgniewany na Hannisa Arca. Tak się nie godzi.

– Każ Dorze przyprowadzić Matkę Spowiedniczkę. Musi z nami jechać. Erika złapała go za rękaw.

– Nie sądzę, byśmy mogli tak długo czekać. – Pokazała za okno. Białe postaci spływały ze wzgórz. – Wkrótce tu będą.

Dotknął dłonią szyi, patrząc na ten widok.

– Masz rację. – Ruszył do drzwi. – Ale Matka Spowiedniczka jest zbyt cenna, żeby ją zostawiać. Nie trać czasu na wyjaśnienia, po prostu każ Dorze przyprowadzić Matkę Spowiedniczkę. Powiedz, żeby się pospieszyła.

– Na zdjęcie łańcuchów i zaprowadzenie jej do stajni i tak trzeba czasu. Będziemy musieli czekać...

– Masz rację. – Obliznął wargi. – Powiedz jej... powiedz, żeby dostarczyła Matkę Spowiedniczkę do cytadeli w Saavedrze. Ty i ja wyruszymy natychmiast. Może się tam z nami spotkać.

– A jeśli nie zdoła się stąd wydostać? Skwitował to gniewnym gestem.

– Mamy wybór? Musimy od razu wyjechać, póki jeszcze możemy. Jeśli jej się uda, to do nas dołączy.

Erica ulżyło, kiedy usłyszała, że opat nie zamierza czekać.

– Więc jedziemy do Saavedry?

Pospiesznie szedł, a Erika następowała mu na pięty.

– Wiem, czego chce Hannis Arc. Zawsze pragnął obalić dynastię Rahlów. Nie lubił prowincji Fajin. Miał ambitniejsze plany. Teraz, kiedy wprowadził wszystko w ruch, pójdzie z Shun-tuk na Pałac Ludu, żeby przejąć władzę. Nieprędko, jeśli w ogóle, wróci do Saavedry. To ostatnie miejsce, gdzie będzie nas szukał.

– Brzmi rozsądnie – powiedziała i jej słowa wraz z odgłosami ich kroków poniosły się echem w kamiennym korytarzu.



– Nie ma chwili do stracenia. Każ Dorze zabrać Matkę Spowiedniczkę i przyjechać do cytadeli w Saavedrze. Nie mów jej nic więcej. Idę po powóz. Tam się spotkamy.

Biegli korytarzem. Muszą uciekać. Potem obmyśli, jak się zemścić na Hannisie Arcu. Lecz teraz musiał umknąć losowi, jaki biskup chciał mu zgotować.

## ROZDZIAŁ 82

Kahlan wydało się, że słyszy, jak ktoś nadchodzi korytarzem wiodącym do pozbawionego okien pomieszczenia, w którym wisiała na przymocowanych do sufitu łańcuchach. Z gardła ciągle wyrywały się jej jęki. Wszystkie siły wkładała w balansowanie na czubkach palców, żeby odciążyć zamknięte w okowach nadgarstki. Nadweręzał je łańcuch przeciągnięty przez kółko w suficie i przyczepiony do ściany.

Nie mogła postawić stóp na podłodze, lecz całym ciężarem zawisała na rękach. To utrudniało oddychanie. Gdy zaczynała panikować, dusząc się, szybko stawiała znowu na czubkach palców i stała tak, póki nogi nie zaczynały jej drżeć z wysiłku, a wtedy powoli się osuwała i zwisała na rękach. Krew z nadgarstków ściekała jej po ramionach.

Barki płonęły bólem. Nie mogła już wytrzymać. Lecz nie miała jak tego zakończyć. Pomyślała, że chyba oszaleje.

Z boku siedział tłusty, bosy Otto i mamlął kawałek twardej skórki chleba. Miał wystającą dolną szczękę i tylko dwa zęby, oba na dole. Żółte zębiska wyrastały na zewnątrz i zachodziły na górną wargę, ilekroć zamknął usta. Nos musiał dawno temu zostać tak połamany, że nie dało się go naprawić i raczej nie nadawał się do oddychania. Ponieważ więc Otto zwykle oddychał ustami, to rzadko je zamykał.

Jego zadaniem było dręczenie jej. Od czasu do czasu wstawał i dębowym kijem, grubym jak jego kciuk, bił ją po żebrach, aż traciła równowagę i zawisała na okowach. Kiedy w końcu zaczynała płakać ze straszliwego bólu i poczucia bezsilności, czuł się usatysfakcjonowany i znowu siadał pod ścianą, żując chleb albo skubiąc brudne stopy. Najwyraźniej miał obsesję zdrapywania odcisków.

Nigdy się nie odzywał i metodycznie wykonywał swoją robotę. Wydawał się zadowolony, kiedy cierpiała, i wtedy na chwilę siadał.

Kiedy wreszcie odzyskiwała kontrolę nad ciałem, przestawała płakać i stawiała na palcach, znów się podnosił, podchodził i zaczynał wszystko od początku. Czasami, zamiast bić ją po żebrach, tłukł Kahlan po udach, chcąc, żeby nogi się pod nią ugięły.

Myślała, że straci rozum, zanim się zabiorą do zabijania jej. Miała

poczucie kompletnej beznadziei. Nie wiedziała, gdzie jest Richard i inni, wiedziała za to, iż nie mają pojęcia o jej losie. Była sama wśród bezlitosnych ludzi, którzy wierzyli, że dzięki torturom uzyskają proroctwa. Wiedziała, że wreszcie niczego nie będzie tak pragnąć jak śmierci.

A o to właśnie chodziło Ludwigowi Dreierowi. Wierzył, że osoba na granicy śmierci ma wgląd w wieczność zaświatów i da mu proroctwo w zamian za łaskę śmierci.

Istnieją granice ludzkiej wytrzymałości. Spodziewała się, że w pewnej chwili i ona będzie błagać o śmierć.

Kroki się zbliżały. Korytarz rozbrzmiewał ich echem. Otto był zajęty skórką chleba i nie zwracał na to uwagi. I tak niewiele to dla niego znaczyło. Kahlan podupadła na duchu, wiedząc, że to prawdopodobnie Mord-Sith imieniem Dora.

Opactwo było zbudowane głównie z kamienia. Izby były ciasne i brudne. Chyba nigdy ich nie zmiotano. We wszystkich kątach kurz oblepiał pajęczyny. W tej izbie podłogę pokrywała cienka warstewka słomy. Miała wchłaniać krew. Niezbyt spełniała to zadanie, ale większość krwi już dawno wyschła. Kahlan pomyślała, że w końcu na całej podłodze będzie mnóstwo jej krwi.

Była do nieprzytomności wyczerpana staniem na palcach i niemal całkowitym brakiem snu. Otto dbał o to, żeby nie zasypiała w tych rzadkich chwilach, kiedy ją opuszczano na podłogę, żeby coś zjadła i napiła się wody. Pozwalali jej wyłącznie na krótkie drzemki.

Nie pomagała też tkwiąca w niej skaza śmierci. Nieustannie drążyła jej duszę.

Kroki były już blisko. Kahlan poznawała po nich, że to Mord-Sith. Nie wiedziała, ile ich jest w opactwie, ale Erika z pewnością nie była sama. Z imienia znała jeszcze tylko Dorę, wyjątkowo niemiłą kobietę średniego wzrostu i ponadprzeciętnie złego usposobienia.

To Dora wypełniała obowiązki, takie jak przynoszenie Kahlan jedzenia i wody. Ottonowi kazała opróżniać nocnik. Nie była zadowolona z tej roboty. Najwyraźniej uważała, że jest stworzona do poważniejszych zadań niż nadzorowanie niemego eunucha i karmienie więźniów. Niecierpliwily ją przedłużające się tortury. Ze spojrzeń, jakie czasami jej rzucała, Kahlan wyczytała, co Dora tak naprawdę chciałaby robić.

Kahlan tak osłabiał ją śmiercią, że przeważnie była zbyt słaba, żeby się tym wszystkim przejmować. A to jeszcze bardziej irytowało Dorę. Najwyraźniej by chciała, żeby Kahlan się trzęsła na sam jej widok. Niekiedy Mord-Sith, wychodząc, zaciskała Agiel w garści i celowała nim w Kahlan, dając znak, że wróci i co zamierza wtedy zrobić.

W tych nielicznych chwilach, kiedy Otto zniknął, Dorę szczególnie gniewała i niecierpliwiła cała sytuacja, toteż wyładowywała frustrację, dźgając Kahlan Agielem w brzuch. Kahlan była potem niemal nieprzytomna, zwisała bezwładnie i z trudem chwyciła oddech.

Zbyt słaba i wyczerpana, żeby znów stanąć na palcach, kiedy Dora wychodziła, Kahlan jakiś czas wisała na nadgarstkach, nawet nie mogąc płakać. Mogła jedynie myśleć o tym, jak ogromnie tęskni za Richardem, jak pragnie być w jego ramionach, patrzeć w szare oczy i widzieć jego uśmiech.

Kiedy ciężkie dębowe drzwi zaskrzypiały, Kahlan podniosła wzrok. Po chwili ujrzała – tak jak się spodziewała – Dorę w czarnym skórzanym uniformie.

Tym razem Mord-Sith wydawała się nad wyraz rozkojarzona. Kahlan zauważyła, że ma u pasa klucz zawieszony na krótkim rzemyku. Taki jak ten, którym zamykali kajdany.

Pomyślała, że może ją zabiorą na poważniejsze tortury. Na samą myśl zaczęła się trząść. Była u kresu wytrzymałości, a wiedziała, że męczarnie się jeszcze na dobre nie zaczęły.

Wiedziała też, że gdy Dora zdejmie jej kajdany, będzie miała jedyną okazję do walki i ucieczki.

Była jednak tak słaba, iż nie sądziła, by dała radę krzepko wyglądającej Mord-Sith. Poza tym Dora pewnie się tego spodziewała i w mgnieniu oka wbiłaby Kahlan Agiel w gardło, gdyby ta czegoś spróbowała.

Ale i tak serce Kahlan przyspieszyło, bo wiedziała, że musi wykorzystać jedyną szansę. Jeżeli chce żyć i kiedyś zobaczyć Richarda, musi zawalczyć o siebie.

Dora gniewnie skinęła na Ottona.

– Opuść ją.

Otto skoczył spełnić jej życzenie. Odczepił łańcuch, a potem uwiesił się na nim i opuścił Kahlan. Nie zrobił tego z wyczuciem i ciężko łupnęła o podłogę. Łańcuch biegł do metalowego bolca w ścianie, toteż jeszcze nie była

wolna. Należało otworzyć kajdany.

Dora burknięciem i gestem kazała eunuchowi odejść. Skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

– Wstawaj – warknęła Dora. – Mam cię stąd zabrać.

– Dokąd? – zapytała Kahlan, nie ruszając się.

Była taka słaba, że nie wiedziała, czy ustoi na drżących nogach.

– Wkrótce się dowiesz. A teraz rób, co kazałam. – Dora uśmiechnęła się tym swoim strasznym uśmiechem. – Ale na nic nie licz. Przysięgam, że wcale ci się nie spodoba ani miejsce, w które cię zabieram, ani to, co cię tam czeka.

## ROZDZIAŁ 83

Kiedy Dora szła ku niej przez izbę, Kahlan usłyszała z przeciwległego końca korytarza tupot biegnących stóp. Potem w oddali dał się słyszeć głuchy stuk. Dora chyba też to słyszała.

Jacyś ludzie wbiegali w korytarz.

Mord-Sith odwróciła się akurat wtedy, kiedy ktoś z rozmachem otworzył ciężkie drzwi i wpadł do izby. Kahlan ze zdumieniem ujrzała trzech mężczyzn z obnażonymi torsami, z wygolonymi głowami, od stóp do głów wymazanych białym popiołem. Oczy mieli obwiedzione czarnymi kręgami. Stanowili przerażający, upiorny widok.

Dora już miała w ręku Agiel. Mężczyźni bez wahania się na nią rzucili. Pierwszy dostał Agielem w pierś. Wrzasnął i padł martwy.

Dwaj pozostali zderzyli się z Mord-Sith, zbili ją z nóg i przewrócili na podłogę, tuż przed Kahlan. Kiedy Dora ciężko wylądowała na plecach, straciła oddech.

Ku zgrozie Kahlan jeden z napastników błyskawicznie wyszarpnął zębami kawał mięsa z szyi Mord-Sith. Chlusnęła krew, a on szarpał Dorę zębami jak zwierzę. Drugi wgrzyzł się w jej twarz, wyszarpując kęs policzka, połknął go w całości.

Nogi Dory słabo kopały, krew chlustała z ziejącej rany w szyi. Nie mogła oddychać.

Wpatrywała się w sufit.

Oczy pierwszego napastnika w białej, teraz umazanej krwią twarzy zwróciły się ku Kahlan, jakby dopiero teraz ją zauważył na podłodze. Uniósł głowę i warknął jak wilk na widok zdobyczy. Drugi pożywiał się wciąż jeszcze żywą Dorą, a jego towarzysz nagle skoczył do Kahlan.

Spodziewała się tego. Błyskawicznie owinęła mu łańcuch wokół szyi, obracając przy tym napastnika. Stękając z wysiłku, wbiła mu stopę między łopatki i z całej siły szarpnęła łańcuchem. Zmiażdżyła mu tchawicę. Szarpał palcami gardło, usiłując złapać oddech.

Drugi, widząc, co się dzieje, natychmiast przeskoczył nad Dorą, żeby zaatakować Kahlan.

Z rozmachem kopnęła go w twarz, łamiąc mu nos i kość policzkową.

Znieruchomiał, przycisnął ręce do twarzy. Krew spływająca do gardła zaczęła go dusić.

Upadł, obrócił się na plecy, wił się po podłodze, walcząc o oddech. Kahlan uderzyła go obcasem w twarz najmocniej jak mogła. Połamała mu palce i delikatne kości twarzoczaszki. Dwukrotnie kopnęła go w głowę i znieruchomiał.

Obaj napastnicy się nie ruszali. Kahlan dyszała, z trudem łapiąc oddech.

Słyszała biegnących korytarzem ludzi, którzy przeszukiwali inne izby. Wiedziała, że lada chwila znajdą ją, nadal przykutą do ściany. Musiała uciekać.

Widziała klucz wiszący u pasa Dory. Odwinęła łańcuch z martwego napastnika i spróbowała dosięgnąć klucza palcami, lecz nie zdołała. Ułożyła się inaczej i sięgnęła nogami. Rozciągnęła łańcuch na całą długość i udało się jej położyć stopę na brzuchu Dory.

Z całej siły wcisnęła ją w ciało i starała się przyciągnąć martwą Mord-Sith. Musi odczepić klucz, bo inaczej zabiją ją i pożrą.

Wlokła ciało, stękając z wysiłku. Nie ustawała, aż przyciągnęła Mord-Sith. Kałuża krwi sprawiała, że podłoga była dość śliska, a czarny skórzany uniform lepiej się po niej przesuwiał. Wreszcie mogła chwycić klucz.

Słyszając biegających korytarzami ludzi, dalekie wrzaski i błagania o pomoc i łaskę, rozpaczliwie, usiłowała trafić kluczem w zamek kajdan.

Wreszcie otworzyła się żelazna obręcz na jednym przegubie. Kahlan strząsnęła ją z nadgarstka i zajęła się drugą. Z tą poszło łatwiej, bo jedną dłoń miała wolną. Odrzuciła łańcuchy i pobiegła do drzwi.

Łapiąc oddech, przywarła do ściany za drzwiami akurat w momencie, kiedy do izby wpadło kilku mężczyzn.

Jak wygłodzeni drapieżcy rzucili się na ciało Mord-Sith. Jedni wgryzali się w odsłonięte twarz i szyję, inni zlizywali krew. Jeszcze inni, nie mogąc się dostać do ciała, szarpali czarny skórzany uniform.

Kahlan, patrząca wielkimi oczami na ten upiorny widok, pospiesznie wymknęła się z izby. Pobiegła ciemnym korytarzem. Zobaczyła Ottona, a raczej to, co z niego zostało, w bocznym korytarzu – co najmniej tuzin pomalowanych na białą postaci szarpało go zębami, warcząc. Uświadomiła sobie, że ten głuchy łoskot, który usłyszała w izbie, pewnie był odgłosem upadającego na podłogę Ottona, powalonego przez napastników.

Kiedy usłyszała hałas w oddali i zobaczyła postaci wylaniające się z za rogu, szybko skoczyła na schody. Zbiegała po trzy stopnie, a potem popędziła ciemnym dolnym korytarzem. Nie wiedziała, ile spragnionych krwi potworów ją ściga ani jak są blisko. Biegła, ile sił w nogach, nie oglądając się.

Słyszała tupot innych przerażonych ludzi. Mijając pędem izby, zerknęła do środka i widziała liczne białe postaci, stłoczone wokół leżących na podłodze martwych służących, drące trupy zębami lub zlizujące krew. Pomyślała, że pewnie otworzyły się zaświaty i umarli uczują na żywych.

Nagle usłyszała, że ktoś nadbiega z naprzeciwka. Wkrótce z za rogu wypadli kolejni kanibale.

Puścili się ku niej pędem.

Kahlan skoczyła do izby. Zatrzasnęła drzwi, ale nie było rygla.

Na szczęście w środku nikogo nie było. Stała, opierając się plecami o drzwi, łapiąc oddech.

W palenisku płonął niewielki ogień.

Napastnicy łupnęli w drzwi. Wytężyła wszystkie siły i zdołała je przytrzymać. Rozejrzała się i zobaczyła leżący na stole miecz.

Kiedy kolejny raz rzucili się na drzwi, odskoczyła ku stołowi. Drzwi rozwarły się z hukiem.

Chwyła miecz i odwróciła się, odrzucając pochwę na bok. Natychmiast niemal odcięła głowę pierwszemu napastnikowi. Uskoczyła z drogi następnemu, okręciła się i wbiła mu miecz w plecy.

Dorastała, ucząc się walczyć mieczem, ale dopiero Richard udzielił jej lekcji, dzięki którym stała się mistrzynią. Teraz, mając w dłoniach broń, czuła, że wreszcie ma szansę. Wykorzystywała wszystkie umiejętności, żeby desperacko ciąć, siec i dźgać sforę napastników. Nie było to takie trudne, bo tamci nie byli uzbrojeni i nie próbowali się bronić. Wyglądało na to, że po prostu chcieli ją zagryźć, ich jedyną bronią były zęby.

Ale było ich zbyt wielu. Bez przerwy kolejni wpadali do izby. Niektórzy przewracali się o ciała leżące na podłodze. Kahlan przeszywała ich mieczem najszybciej jak zdołała. Obejrzała się przez ramię na okno. Izba znajdowała się na parterze.

Po szczególnie zawziętym ataku mającym zmusić napastników do cofnięcia się, kiedy miała chwilę oddechu, zanim znów się na nią rzucą,



odwróciła się i popędziła przez izbę.

Skoczyła przez okno stopami do przodu. Na szczęście oba skrzydła się otworzyły, toteż nie poraniła się o rozbite szkło. Twardo wylądowała i przetoczyła się po ziemi.

Poderwała się na nogi i zobaczyła białych ludzi wylewających się przez okno niczym woda.

Inni wypadli z za budynku i przyłączyli się do pościgu. Mowy nie było, żeby zdołała ich pokonać.

Odwróciła się i pobięła. Wróg następował jej na pięty.

## ROZDZIAŁ 84

Wypadła z za rogu porośniętej winoroślą kamiennej oficyny – gałązki krzewów śmigły po twarzy, smagały ramiona, a dzikusy były tuż za nią. Nagle zderzyła się z potężnym mężczyzną.

To był Richard.

W pierwszej chwili pomyślała, że musiała się pomylić. Niemożliwe, żeby to był Richard. Uznała, że pewnie umarł i to zjawą. Pękało jej serce i była niepokieszona. Lecz w drugim mgnieniu oka już wiedziała, że to prawda.

Richard trzymał miecz. Widziała w szarych oczach magię oręża. Otoczył ramieniem jej kibić, podniósł ją i postawił za sobą, a sam się odwrócił i pozbawił głowy pierwszego napastnika.

Miała uczucie, że chwila, w której go zobaczyła i pojęła, że to naprawdę on, zastygła. Nic nie miało sensu. Cały świat, to, że atakowali ich dzicy kanibale, nie miało sensu. Ale potem w ułamku sekundy wymienili spojrzenia i wiedziała, że nic innego się nie liczy.

Richard był tutaj.

Horda spadła na niego, zanim odcięta głowa uderzyła o ziemię. I zaczęła się rzeź.

Kahlan wiedziała, że nie należy wchodzić w drogę Mieczowi Prawdy. Odwróciła się i powaliła jakąś kobietę. Kiedy ruszyli na nią półnaczy ludzie z czarnymi obwódkami wokół oczu, przebiła paru mieczem, a innych usiekła.

Kiedy znowu pchnęła mieczem jednego z nacierających, Cara odciągnęła ją z drogi nadbiegających napastników. Mord-Sith, z nożami w dłoniach, odwróciła się ku dzikusom i cięła, ilekroć któraś z białych postaci znalazła się wystarczająco blisko.

Wydawało się, że minęły wieki, ale Kahlan wiedziała, że ledwie sekundy. Nagle otoczyli ją żołnierze Pierwszej Kompanii, osłaniając ją przed napastnikami. Cara też była przy niej.

A w następnej sekundzie ziemią wstrząsnął ryk ognia czarodzieja. Zobaczyła, jak ogniste piekło stacza się z boczem wzgórza, płynny ogień zalewa dziesiątki białych postaci, zmieniając je w czarny popiół w oślepiającym rozblysku.

W tym samym czasie tuzin żołnierzy z Pierwszej Kompanii,

prowadzonych przez Nicci, wpadł do kamiennej budowli, żeby dopaść tych, co wciąż byli w środku. Opactwo miało trzy piętra i było pełne napastników. Słyszała odgłosy walki szalejącej za kamiennymi ścianami.

Mury, wzniesione wśród dębów i porośnięte winoroślą, wyglądały na bardzo stare. Gdyby Kahlan nie wiedziała, co się tu działo, co robił Ludwig Dreier i jego Mord-Sith, pomyślałaby, że to malownicze miejsce.

Lecz to była rzeźnia.

Z opactwa słychać było łoskot padających ciał, a na otwartej przestrzeni napastnicy atakujący Richarda i żołnierzy napotykali śmiercionośną stal. Zedd spuszczał z boczem wzgórza ogień czarodzieja, który trawił dziwolągi niebezpieczne na niebezpieczeństwo.

A potem, niemal tak gwałtownie jak się zaczął, atak się skończył. Żadna biała postać nie trzymała się na nogach. Wszędzie leżały zwłoki, okrwawione, z okropnymi ziejącymi ranami, bez głów lub kończyn.

Richard, dysząc z wysiłku, mocno ściskając w ręku ociekający krwią miecz, objął Kahlan wolnym ramieniem i mocno przytulił, położył głowę na czubku jej głowy, bez słów ciesząc się, że znowu jest przy nim, bezpieczna. Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuła taką ulgę. Dopiero teraz, kiedy było po wszystkim, kiedy skończyła się walka o życie i ciągnęła ucieczka, poczuła, że drżą jej ręce.

Już po wszystkim. Są bezpieczni.

Zedd podbiegł, kiedy zaczęła się osuwać na ziemię. Richard pomógł się jej położyć. Chociaż starała się uśmiechnąć do starego czarodzieja, Zedd nie odwzajemnił uśmiechu. Przytknął palce do jej czoła. Wiedziała, co sprawdza. Czuła wnikający w nią dar.

Przybiegła czarnowłosa dziewczyna i pochyliła się nad nią obok Zedda.

– Matko Spowiedniczko! Jesteś bezpieczna! Tak się baliśmy. Gnaliśmy tu najszybciej jak się dało, kiedy Henrik nam powiedział, kto cię zabrał. Tak się baliśmy, że nie zdążymy.

Kahlan, której Zedd dodał sił magią, poczuła się lepiej. Usiadła i popatrzyła ze zdumieniem na smukłą dziewczynę.

– Znam cię?

Dziewczyna promieniała z dumy. Pokiwała głową i gęste czarne włosy podskoczyły.

– Jestem Samantha. To ja cię leczyłam w naszej wiosce.

Kahlan wreszcie mogła – przy pomocy Richarda – wstać. Pamiętała wioskę, w której się obudziła, ale nie była w nastroju do zadawania pytań. Wołała się napawać tym, że Richard znowu ją obejmuje.

– Dziękuję, Samantho – powiedziała.

– Przykro mi, że nie mogłam usunąć jadu Zaszytej Służki. Nie potrafię leczyć z dotknięcia śmierci.

Kahlan zobaczyła Nicci wybiegającą z opactwa. Czarodziejka wbiegła na wzgórze i z westchnieniem ulgi ujęła dłoń Kahlan, na chwilę zamknęła ją w swoich dłoniach.

– Drogie duchy – powiedziała ze szczerą ulgą – nie sądziłam, że zdążymy na czas. Kahlan popatrzyła na Richarda.

– Ty pewnie wiedziałeś, że zdążycie, ale wołałabym, żebyś następnym razem tak długo nie zwlekał.

Richard się uśmiechnął. Mimo furii miecza czuł radość.

– Dobrze.

Zapomniała, jak jego uśmiech raduje jej duszę, a głos cieszy serce.

## ROZDZIAŁ 85

Kahlan wskazała zaścielające stoki wzgórza trupy.

– Co to takiego?

– To długa historia – odparł Richard.

– Teraz musimy was zawieźć do Pałacu Ludu – powiedział Zedd. Z otaczających ją twarzy wyczytała, że coś się dzieje.

– Jakiś problem?

– Obawiam się, że tak – rzekł Richard. – Zasyta Służka dotknęła nas śmiercią. Nosimy w sobie jej jad.

Kahlan zamrugła. Pamiętała co nieco z kryjówki Jit, że tkwiła w sieci ciernistych pnączy, że jakieś dziwaczne stwory tańczyły wokół i upuszczały jej krwi. Ale nie pamiętała wszystkiego, co się wydarzyło. Straciła przytomność.

Najwyraźniej nie wiedziała najgorszego.

– Zostaliśmy naznaczeni śmiercią?

– Niestety tak – powiedziała Nicci. – Oboje. Richard zdołał na tyle to złagodzić, że nie zginęliście od razu.

– Sądzisz, że nadal możemy umrzeć? – zapytała Kahlan.

– Możemy was uleczyć – zapewnił ją Zedd, widząc jej minę. – Ale nie tutaj.

– Musisz znać prawdę – powiedziała z brutalną szczerością Nicci. – Powinnaś wiedzieć, że jeśli nie usuniemy z was śmierci, to obydwoje umrzecie. Możemy to zrobić jedynie w polu ograniczającym.

– W Ogrodzie Życia – westchnęła Kahlan. Zedd i Nicci potaknęli.

Kahlan ulżyło, że wiedzą, co robić. Zrozumiała, dlaczego tak im spieszno wracać do pałacu.

Teraz i ona chciała tam szybko się dostać.

– Lordzie Rahlu! – zawołał, podbiegając do nich, jeden z żołnierzy. – Tam są stajnie. – Wskazał budynek w cieniu kilku dębów. – Są konie i powóz.

Zedd westchnął z ulgą.

– Dobrze. To nam pozwoli szybciej wrócić i oszczędzi im sił. Musimy natychmiast ruszać.

– Znaleźliście opata? – zapytał Richard. Nicci pokręciła głową.

- Zniknął. Pewnie jakiś czas temu.
- On chyba też wziął konie – dopowiedział żołnierz.

Richard zacisnął zęby.

- Musimy jechać za nim.

– Nie, wcale nie musimy go ścigać – stwierdziła Nicci głosem, który nawet Richarda powstrzymywał od sprzeczenia się. Wskazała wszystkich obecnych. – I żaden z tych żołnierzy. Wszyscy mają być przy nas. Chcę tak silnej ochrony, jak to możliwe.

- Zgadza się – powiedziała Cara. – Wszyscy zostaną z nami.

Kahlan wyczuła, że coś jeszcze jest nie tak. Chociaż dopiero co wygrali bitwę, ciążył nad nimi jakiś cień. Nie wiedziała, co to może być. Pomyślała, że głos Cary brzmi jakoś smutno.

Nicci się odezwała:

– Wiecie, co się stało, jak ostatnio nas napadnięto. Mieliśmy więcej żołnierzy, a i tak nas pojmano. Nie możemy dopuścić, żeby to się powtórzyło. Już raz byliśmy jeńcami półludzi, a to o jeden raz za dużo.

- Półludzi? – powtórzyła Kahlan. Wszyscy ją zignorowali.

– Najważniejsze, to żeby was zawieźć do pałacu – powiedział Zedd bardziej dyplomatycznie.

- Życie Kahlan jest ważniejsze od pościgu za opatem Dreierem.

Kahlan słyszała w jego głosie troskę. Poczula, jak się rozluźniają mięśnie Richarda, który stłumił gniew. Aż do tej chwili był w bojowym nastroju.

– Masz rację – rzekł o wiele spokojniej. – Z opatem Dreierem, Hannisem Arkiem i duchem-królem rozprawimy się później, gdy nas ulecycie.

- Duchem-królem? – zapytała znowu Kahlan.

- To też długa historia – odparł, nie patrząc na nią.

Wyczuwała w nim takie samo zagrożenie śmiercią, jakie czuła w sobie. Wiedziała, że Zedd i Nicci nie są przesadnie ostrożni. Sytuacja jest poważna i muszą natychmiast wracać do pałacu.

– Możecie to usunąć, nieprawdaż? – zapytała, patrząc to na Zedda, to na Nicci. – Chcę prawdy.

- Prawdy? – rzuciła Nicci. – No chyba.

- Czyżbyś nie miała pewności? – powiedziała Kahlan, przechylając głowę.

Nicci się uśmiechnęła, co odrobinę rozjaśniło jej piękną twarz, choć nie tak bardzo, jak Kahlan by sobie życzyła.

– Wierzę, że możemy, Kahlan. Taka jest prawda. Ale musimy was zaprowadzić do Ogrodu Życia. Takiej magii można użyć wyłącznie w polu ograniczającym.

Kahlan się to nie spodobało, ale cieszyła się, że ona i Richard są w rękach najlepszych. Zedd i Nicci to jedyne osoby, które by wybrała na uzdrowicieli.

Richard westchnął.

– Sądzę, że wróżebna machina ucieszy się z naszego powrotu i z pewnością będzie miała mnóstwo do powiedzenia – mruknął do siebie, wreszcie wsuwając miecz do pochwy. – W końcu dała mi wskazówkę, jak uwolnić Kahlan z rąk Zaszytej Służki, więc zapewne wie coś o tym, co się dzieje. Muszę się dowiedzieć, co wie – znowu westchnął. – Przynajmniej zanim będę musiał zakończyć prorocstwo.

Zedd pochylił się ku niemu, marszcząc siwe, krzaczaste brwi.

– Zakończyć prorocstwo? O czym ty mówisz, chłopcze?

Richard zbył go gestem. Wtedy Kahlan zobaczyła pierścień na jego prawej dłoni, którego nigdy przedtem nie widziała.

– To długa historia – odparł dziadkowi.

– Skąd to masz, Richardzie? – zapytała, wyciągając rękę i muskając starożytny symbol na pierścieniu.

Richard bardzo dziwnie na nią spojrział.

– Od twojej bardzo odległej antenatki.

– Jak to?

I ją zbył gestem.

– Część długiej historii.

– O ile pożyję wystarczająco długo. O ile w ogóle nas ulecą. Nicci położyła dłoń na ramieniu Kahlan i ciepło się uśmiechnęła.

– Nie chciałam cię wystraszyć. To poważne i nie zamierzam cię zwodzić, lecz wierzę, że sobie z tym poradzę. Obydwoje będziecie zdrowi.

Kahlan kiwnęła głową, czując się odrobinę lepiej, lecz nadal wyczuwając dziwny nastrój zebranych.

– No dobrze – odezwał się Richard. – Musimy się o to postarać. – Odwrócił się do żołnierzy.

– Przyszykujcie konie, wracamy do pałacu.

– W samą porę – powiedział jeden z nich. – Mam dość Mrocznych Ziemi na resztę życia.

– Zgadzam się – stwierdził Richard, kiedy ruszyli do stajni.

– Będziemy w domu, zanim się obejrzysz – rzekł Zedd z uspokajającym uśmiechem, wysuwając się naprzód.

Kahlan pomyślała, że jego uśmiech był wymuszony.

– Richardzie – szepnęła, przysuwając się do niego. – Co jest Carze? Wygląda... sama nie wiem. Nie wygląda dobrze. O co chodzi? – Popatrzyła na żołnierzy Pierwszej Kompanii. – I gdzie jest Ben?

Richard zbladł.

– Straciliśmy Bena.

Kahlan poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Nagle zrozumiała to przykre uczucie, które we wszystkich wyczuwała.

– Co takiego?

Richard spuścił wzrok, przełknął ślinę.

– Próbowałem... wszyscy próbowaliśmy, lecz nie zdołaliśmy...

Kahlan odwróciła się i podbiegła do Cary, chwyciła ją za ramiona i zatrzymała.

– Caro...

Nie mogła mówić, patrząc w jej błękitne oczy.

Cara ze zrozumieniem kiwnęła głową, jej wargi leciutko drżały. Ujęła głowę Kahlan i przytuliła.

– Oddał życie, żeby nas bronić – powiedziała Cara. – Tego zawsze chciał. Jestem z niego dumna.

– Ja też – powiedziała przez łzy Kahlan. – Błagam, drogie duchy, chrońcie go teraz.



## ROZDZIAŁ 86

Richard, stojąc samotnie na uboczu, oparł się o szorstką powierzchnię niewielkiej granitowej skały i patrzył na płonące w oddali niewielkie ognisko. Widział śpiących ludzi. Blask ognia odbijał się od niewysokiej skalnej ściany i od grubych konarów olbrzymich sosen rosnących wokół. Woń dymu i trzask palącego się drewna były przyjazne i znajome – nawet jeśli te lasy i mroczne ziemie takie nie były.

Księżyc zasłaniały chmury, ale przynajmniej przestało padać. Warstwa chmur sprawiała, że była to najciemniejsza z nocy. Takie noce zawsze go niepokoiły. Zawsze budziły w nim uczucie, że ktoś mu się z ciemności przygląda.

Richard stał na warcie, czemu wszyscy się sprzeciwiali. Ale postawił na swoim. Chciał pobyć sam.

Rad był, że wreszcie wracają do Pałacu Ludu, a przede wszystkim że jest z nim Kahlan i większość przyjaciół, że są bezpieczni. Nie wiedział, co zrobią w sprawie ducha-króla i Hannisa Arca, który go przywołał ze świata umarłych. Ani co zrobią z otwartą granicą trzeciego królestwa i tymi wszystkimi półludźmi i chodzącymi trupami, co się stamtąd wyrwali. Nie wiedział, co knuje Hannis Arc, lecz był pewny, że na pewno nic dobrego.

A już z pewnością nie miał pojęcia, jak zakończyć proroctwo.

Może wróżebna machina, od tysiącleci pogrzebana pod Ogrodem Życia, będzie знаła odpowiedź na to pytanie. Dziwaczna myśl. Machina, której celem było prorokowanie, ma odpowiedzieć na pytanie, jak ma ją pozbawić sensu istnienia.

Lecz coś mu mówiło, że ma ona klucz do wszystkiego. Podobnie jak wiadomość zostawiona dla niego, dla *fuer grissa ost drauka*, w Stroyzie.

Zbyt wiele jak na przypadek.

Po tym, jak wrócą i Nicci z Zeddem wreszcie ich uleczą, będzie mógł to przemyśleć. Wiedział, że będzie mu do tego potrzebna reszta księgi *Regula*, którą będzie musiał odnaleźć ukrytą w Świątyni Wichrów. Umieszczono ją tam w czasach wielkiej wojny, w czasach Magdy Searus i czarodzieja Merritta. Kiedy zbudowano mur zamykający trzecie królestwo.

Magda i Merritt zostawili mu pierścień, żeby mu przypominał, co jest

stawką w tej grze. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Jedna sprawa naraz, powiedział sobie z westchnieniem, jedna sprawa naraz. Nie myśl o problemie, tylko o rozwiązaniu, tak by rzekł Zedd.

Kazał sobie myśleć o tym, co zyskał.

Odzyskali Kahlan. Jest bezpieczna. Udało mu się wydostać z więzienia strzeżonego przez same zaświaty, siebie, Zedda, Nicci i większość żołnierzy. Sądził, że już uczynił więcej, niż kiedykolwiek uważał za możliwe.

Musi po prostu po kolei stawiać czoło pozostałym problemom. Teraz, kiedy znowu są razem, będzie miał do pomocy Zedda i Nicci, a w pałacu będą też inni o wielkim doświadczeniu, na przykład prorok Nathan.

Richard dostrzegł Carę idącą ku niemu w ciemności. Został tam, gdzie był, oparty o skałę. Wreszcie Cara się przed nim zatrzymała.

– Mogę z tobą pomówić, lordzie Rahlu?

– Oczywiście. Przecież wiesz.

Kiwnęła głową, nie chcąc spojrzeć mu w oczy.

– Przyszłam cię o coś prosić.

– Czego sobie życzysz?

W końcu uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Chciałabym otrzymać wolność. Richard zamrugał.

– Wolność?

– Tak. Służyłam ci wiernie i lojalnie. Teraz proszę, byś w zamian za moją służbę dał mi wolność.

– Nie mogę tego zrobić, Caro. Zadarła brodę.

– Mogę spytać dlaczego?

– Bo nie jesteś moją własnością. Już jesteś wolna. Zawsze ci mówiłem, że ty i pozostałe Mord-Sith jesteście przy mnie z własnego wyboru. Wszystkie jesteście wolne i w każdej chwili możecie odejść. Właśnie o to toczyliśmy wojnę. Nie mam nad tobą żadnej władzy, to ty chciałaś zostać.

Kiwnęła głową.

– Wiem, ale nadal jestem Mord-Sith. I proszę, byś mi zwrócił wolność.

Richard bardzo długo patrzył jej w oczy. Musiał poczekać, aż będzie pewny, że głos go nie zawiedzie.

– Wyrażam zgodę.

Ze smutkiem kiwnęła głową i odwróciła się, żeby odejść, ale odwróciła się jeszcze ku niemu.

– Mogę zatrzymać Agiel? Chciałabym go mieć, żeby wiedzieć, kiedy cię uleczą i odzyskasz swój dar. Jeśli Agiel odzyska moc, będę wiedzieć, że znowu jesteś zdrowy.

– Oczywiście. – Wykonał nieokreślony gest. Smutek odbierał mu głos. – Caro, tak mi przykro z powodu Bena.

Skinęła głową.

– Chcieli odebrać mu duszę, ale tak naprawdę ukradli moją.

Richard chciał dokonać niemożliwego i jakoś jej to wynagrodzić. Nic go bardziej nie zasmucało niż świadomość, że nie jest w stanie tego uczynić.

– Chciałbym, żebyś została z Kahlan i ze mną. Jesteś dla nas kimś bliskim. Kochamy cię. Rozmyślała przez chwilę.

– Wiem. Będę za wami tęsknić.

– Dokąd idziesz?

– Muszę trochę pozabijać.

Richard się tego domyślał. Miał tysiąc argumentów. Okazał jej jednak głęboki szacunek, przemilczając je wszystkie.

– Rozumiem. Przełknęła ślinę.

– Dziękuję, lordzie Rahlu.

Kiedy się odwróciła, żeby odejść, odezwał się:

– Caro, czy pozwolisz, żebym na chwilę cię przytulił, zanim odejdziesz?

W końcu się uśmiechnęła, wróciła i objęła go, złożyła głowę na jego piersi. Czule położył jej dłoń na głowie i tulił ją, pragnąc znaleźć właściwe słowa – bezskutecznie.

Kiedy się od niego odsunęła, stała przy nich Kahlan. Bez słów wzięła Carę w ramiona i długo, w milczeniu, ją tuliła.

– Był wspaniałym, kochanym człowiekiem, Caro, i bardzo go nam będzie brakować – wyszeptała, kiedy się od siebie odsunęły.

– Dziękuję, Matko Spowiedniczko. – Wzięła ich za ręce. – Byliście najwspanialszym darem w moim życiu... wraz z moim oficerkiem... Kocham was.

Puściła ich dłonie i otarła łzy z oczu, potem wsparła ręce na biodrach.

– Wkrótce będzie jasno. Wyruszcie wcześniej. Chcę, żebyście szybko wrócili do pałacu, żeby was uzdrowili. – Uśmiechnęła się. – Może znowu was zobaczę. Nigdy nic nie wiadomo.

– Twój dom jest u nas – powiedział Richard. – Zawsze będzie na ciebie

czekać.

– Dziękuję. – Skłoniła głowę i odwróciła się.

Kahlan oparła się o Richarda i obydwójce patrzyli, jak odchodzi.

– Za bardzo ją kocham, żeby kazać jej zostać – wyszeptał Richard, na poły do Kahlan, na poły do siebie. Serce mu pękało, kiedy patrzył, jak Cara znika w mroku nocy.

Tyle chciałby jej powiedzieć.

– Wiem – powiedziała Kahlan głosem zdławionym przez łzy. – Ja też. Myślisz, że wróci?

– Możliwe – odparł Richard, otaczając ramieniem jej barki.

– Uważasz, że sama będzie bezpieczna?

Richard widział, że Cara miała noże – stalowy i kamienny nóż Shun-tuk zabijający żywe trupy.

– Och, uważam, że Cara nie jest kimś, o kogo trzeba się martwić. Westchnął i popatrzył na Kahlan.

– Wkrótce będzie jasno. Powinniśmy zebrać rzeczy, osiodłać konie i ruszać w drogę. Im prędzej dotrzemy do pałacu, tym szybciej Zedd i Nicci się nami zajmą.

Zobaczył, że Kahlan mimo wszystko się uśmiechnęła.

– Muszę się z tym zgodzić, lordzie Rahlu. – Uściskała go. – Dobrze będzie znaleźć się w domu.

– Cara też wróci. Wiem, że tak. Spojrzały na niego piękne zielone oczy.

– Przyrzekasz?

Richard mógł tylko się uśmiechnąć w odpowiedzi.

# Spis treści

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22  
ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 34  
ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36  
ROZDZIAŁ 37  
ROZDZIAŁ 38  
ROZDZIAŁ 39  
ROZDZIAŁ 40  
ROZDZIAŁ 41  
ROZDZIAŁ 42  
ROZDZIAŁ 43  
ROZDZIAŁ 44  
ROZDZIAŁ 45  
ROZDZIAŁ 46  
ROZDZIAŁ 47  
ROZDZIAŁ 48  
ROZDZIAŁ 49  
ROZDZIAŁ 50  
ROZDZIAŁ 51  
ROZDZIAŁ 52  
ROZDZIAŁ 53  
ROZDZIAŁ 54  
ROZDZIAŁ 55  
ROZDZIAŁ 56  
ROZDZIAŁ 57  
ROZDZIAŁ 58  
ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60  
ROZDZIAŁ 61  
ROZDZIAŁ 62  
ROZDZIAŁ 63  
ROZDZIAŁ 64  
ROZDZIAŁ 65  
ROZDZIAŁ 66  
ROZDZIAŁ 67  
ROZDZIAŁ 68  
ROZDZIAŁ 69  
ROZDZIAŁ 70  
ROZDZIAŁ 71  
ROZDZIAŁ 72  
ROZDZIAŁ 73  
ROZDZIAŁ 74  
ROZDZIAŁ 75  
ROZDZIAŁ 76  
ROZDZIAŁ 77  
ROZDZIAŁ 78  
ROZDZIAŁ 79  
ROZDZIAŁ 80  
ROZDZIAŁ 81  
ROZDZIAŁ 82  
ROZDZIAŁ 83  
ROZDZIAŁ 84  
ROZDZIAŁ 85  
ROZDZIAŁ 86